

DARKOVER

The Ages of Chaos

Darion Zimmer
Bradley
Hawk-
mistress!



W
DORR
1983-1988

BRADLEY ZIMMER

MARION

Kroniki Darkoveru 03:

Sokolniczka

ZIMMER MARION BRADLEY

przełożyła Anna Reszka

Wydawnictwo ALFA Warszawa 1996



Tytuł oryginału *Hawkmistress!*

Copyright © 1982 by Marion Zimmer Bradley

Opracowanie graficzne Jacek Tofil

Ilustracja na okładce Janusz Obłucki

Redaktor serii Marek S. Nowowiejski

Redaktor tomu Izabela Miksza

Redaktor techniczny Ewa Guzenda

For the Polish edition Copyright © 1997 by Wydawnictwo ALFA-WERO Sp. z o.o.

For the Polish translation Copyright

© 1997 by Anna Reszka

ISBN 83-7179-032-5

WYDAWNICTWO ALFA-WERO Sp. z o.o. – WARSZAWA 1997

Wydanie pierwsze Skład, druk i oprawa: Drukarnia WN Alfa-Wero Sp. z o.o.

Zam. 200/97 Cena zł 20,-

Źródła i podziękowania

Żołnierska piosenka pijacka z Księgi Trzeciej została zainspirowana przez *Ballad of Arilinn Tower* napisaną przez Bettinę Helms (copyright 1979). *Aldones błogostawi ludzki łokieć* powstał pod wpływem piosenki ludowej najbardziej płodnego z autorów, Anonima, i z ukłonem w stronę opartego na Berkeleyu tria folkowego Oak, Ash and Thorn i ich managera Sharon Green.

Chociaż *Sokolniczka*, jak większość powieści darkoverskich, może być czytana bez znajomości innych tomów cyklu, tym, którzy śledzą chronologię kronik darkoverskich, pozwalam sobie dodać, że jej akcja toczy się w epoce Stu Królestw, pomiędzy *Królową burzy* i *Dwoma zdobywcami*.

–M. Z. B.

KSIĘGA PIERWSZA

Falconsward na Wzgórzach Kilghardzkich

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Romilly była tak zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach.

W sokołarni panował mrok. Jedyne światło pochodziło od starannie osłoniętej lampy wiszącej na krokwi. Oczy sokolicy były jak zwykle błyszczące, nieujarzmione i pełne gniewu. Nie, poprawiła się Romilly. Nie tylko gniewu, lecz i przerażenia.

Ona się boi. Wcale mnie nie nienawidzi, tylko się boi.

Czuła w sobie ten strach przebijający przez gniew. W końcu sama nie wiedziała, które odczucia są jej – wyczerpanie, pieczenie w oczach, chęć, by paść na brudną słomę – a co dociera do niej z mózgu ptaka: nienawiść, lęk, dzikie pragnienie krwi i wolności.

Wyciągnęła zza pasa mały ostry nóż i ostrożnie odcięła kawałek ścierwa leżącego w zasięgu ręki. Z wielkim trudem zapanowała nad pragnieniem, by uderzyć i wyszarpnąć się z pęt, które trzymały ją – nie, nie ją, tylko sokoła – na stojaku. Bezlitosne więzy, kaleczące jej nogi.

Sokół zatrzepotał skrzydłami, Romilly drgnęła odruchowo i upuściła na słomę ochłap surowego mięsa. Czuła w sobie furię i przerażenie, jakby skórzane pasy krępowały również ją, wrzynając się w jej nogi, powodując nieznośne cierpienie. Schyliła się po mięso, ale emocje ptaka zalewające jej umysł okazały się zbyt silne. Zakryła dłońmi oczy i jęknęła głośno, poddając się. Trzepot, machanie, oszalałe bicie skrzydłami, łopot... Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, ponad rok temu, wybiegła w panice z sokołami. Uciekała na oślep, aż potknęła się i runęła na ziemię o włos od urwiska, które opadało od Zamku Falconsward ku skałom nad brzegiem Kadarinu.

Nie powinna wpuszczać jej tak głęboko w swój umysł. Musi pamiętać, że jest człowiekiem, Romilly MacAran. Uspokoila oddech i przypomniała sobie słowa młodej *Ieronis*, która rozmawiała z nią w tajemnicy, tuż przed wyruszeniem w drogę powrotną do Wieży Tramontana.

„Masz rzadki dar, dziecko, jeden z najrzadszych darów zwanych *laran*. Nie wiem, dlaczego twój ojciec jest taki zawzięty, dlaczego nie pozwala tobie ani twojemu rodzeństwu poddać się testom i nauczyć używania tego daru. Z pewnością wie, że niewykształony telepata stanowi zagrożenie dla siebie i innych. On sam ma dar o pełnej mocy!”

Romilly wiedziała i podejrzewała, że kobieta też zna odpowiedź. Z lojalności wobec ojca nie chciała jednak o tym rozmawiać z obcą osobą. MacAran udzielił jej gościny, ale zdecydowanie odmówił poddania swoich dzieci testom, co było celem wizyty *Ieronis*.

–Jesteś moim gościem, domna Marelle, ale już straciłem jednego syna z powodu przeklętych Wież, które są nieszczęściem naszego kraju. Zwabiają synów uczciwych ludzi, o tak, i córki również; odciągają od domów i rodzin! Możesz schronić się pod naszym dachem, póki trwa burza i korzystać ze wszystkich praw gościa honorowego,

ale trzymaj się z daleka od umysłów moich dzieci!

„Straciłem syna z powodu przeklętych Wież”, powtórzyła w myślach Romilly, wspominając swojego brata Ruyvena, który przed czterema laty uciekł do Wieży Neskaya, na drugą stronę Kadarinu. I pewnie utraci drugiego, bo nawet ja widzę, że Darren bardziej nadaje się do Wieży albo klasztoru Nevarsin niż do przejęcia Zamku Falconsward. Darren przebywał w Nevarsin, jak zwyczaj wymagał od syna górskiego szlachcica, i chciał tam zostać, lecz posłuszny woli ojca wrócił do obowiązków dziedzica.

Jak Ruyven mógł go opuścić? Darren nie da sobie rady jako dziedzic Falconsward, nie mając brata u boku. Między nimi był niecały rok różnicy. Zawsze trzymali się razem jak bliźniacy. Razem pojechali do Nevarsin, ale wrócił tylko Darren. Ruyven udał się do Wieży. Przysłał wiadomość, którą przeczytał tylko ojciec i natychmiast wyrzucił do śmieci. Od tej pory nigdy nie wymówił imienia syna i zakazał tego domownikom.

–Mam tylko dwóch synów – oświadczył z kamienną twarzą. – Jeden jest w klasztorze, a drugi na kolanach matki.

***Leronis* Marelle zmarszczyła brwi.**

–Zrobiłam, co mogłam, dziecko, ale on nie chciał o niczym słyszeć. Musisz więc sama opanować swój dar, albo on zapanuje nad tobą. Niewiele mogę ci pomóc w tym

czasie, który mi został. Gdyby ojciec dowiedział się, o czym z tobą rozmawiałam, nie udzieliliby mi schronienia na dzisiejszą noc. Nie śmiem jednak zostawić ciebie bezbronnej, kiedy budzi się w tobie *laran*. Samej niełatwo ci "będzie go opanować, ale jest to możliwe. Znam parę osób, którym się udało. Między innymi twojemu bratu.

–Znasz mojego brata! – wyszeptała Romilly.

–Tak, dziecko. Jak myślisz, kto mnie przysłał, żebym z tobą porozmawiała? Nie powinnaś myśleć, że zostawił ciebie bez ważnego powodu – dodała łagodnie *Leronis*, widząc, że Romilly zaciska usta. – On ciebie bardzo kocha. Ojca również. Lecz ptaszę, jakie trzyma się dla rozrywki w klatce, nie może stać się sokołem, a sokół nigdy nie będzie *kyorebni*. Powrót do domu, życie bez *laran*, oznaczałoby dla niego śmierć, Romilly. Potrafisz to zrozumieć? Bez towarzystwa podobnych sobie byłby jak ślepy i głuchy.

–Ale czymże jest ten *laran*, że mój brat porzuca nas wszystkich dla niego? –

krzyknęła Romilly.

Marelle spojrzała na nią ze smutkiem.

–Dowiesz się, gdy twój się obudzi, moje dziecko.

–Nienawidzę *Iaran!* – wykrzyknęła Romilly. – I nienawidzę Wież! Ukradły nam

Ruyvena! – Odwróciła się plecami do Marelle.

***Leronis* westchnęła.**

–Nie mogę cię winić za lojalność wobec ojca, dziecko.

Udała się do swojego pokoju, a następnego ranka wyjechała, nie żegnając się z Romilly.

Miało to miejsce dwa lata temu. Romilly próbowała wyrzucić tamtą rozmowę z pamięci, ale w zeszłym roku zaczęła sobie uświadamiać, że ma Dar MacAranów o pełnej mocy. Potrafiła wchodzić do umysłu sokoła, psa, konia albo innych zwierząt. Zaczęła żałować, że nie może porozmawiać z *Leronis*.

Nie powinna nawet o tym myśleć. Może i mam *Iaran*, ale nigdy nie porzucę domu i rodziny z jego powodu! powtarzała sobie z uporem.

Próbowała sama nad nim zapanować. Teraz wysiłkiem woli odzyskała spokój. Wyrównanie oddechu dało uspokajający efekt, który udzielił się także ptakowi i ukoił trochę jego furię. Sokół znieruchomiał, a Romilly uświadomiła sobie, że jest sobą, a nie uwięzionym stworzeniem, które szaleńczo próbuje uwolnić się z krępujących pęt.

Z mieszanej strachu i wściekłości dziewczyna wyłowiła jedną informację. Pęta są za ciasne. Sprawiają jej ból. Wysłała kojące fale do umysłu sokolicy. Jest zbyt oszalała z głodu i przerażenia, żeby to zrozumieć, bo inaczej by wyczuła, że nie zamierzam jej

skrzywdzić. Dotknęła splątanych rzemyków. Gdzieś w głębi umysłu czaił się strach, starannie ukryty za uspokajającymi myślami, które przesyłała ptakowi. Kiedyś widziała, jak młody sokolnik stracił oko, gdy za bardzo zbliżył się do przestraszonego sokoła. Opanowała jednak lęk, żeby jej nie przeszkadzał w tym, co musiała zrobić. Gdyby sprawiła ptakowi ból, jeszcze bardziej by się spłoszył i zdenerwował.

Zaczęła manipulować w półmroku, błogosławiąc wytrwałość, z którą uczyła się węzłów sokolniczych. Potrafiła je teraz robić jedną ręką i z zawiązanymi oczami. Stary Davin wciąż powtarzał: „Większość czasu będziesz spędzać w ciemnej sokołami, a drugą ręką będziesz miała zajęta. ” Tak więc godzinami zawiązywała i

rozplątywała te same węzły na kolejnych gałązkach, zanim pozwolono jej wypróbować umiejętności na cienkich nogach ptaka. Rzemyki były wilgotne od potu z jej palców, ale udało jej się trochę je poluzować. Nie za bardzo, tylko tak, żeby się nie wrzynały, bo w przeciwnym razie sokół uwolniłby się z pęt i mógłby sobie połamać skrzydła o ścianę. Następnie Romilly przeszukała słomę i znalazła upuszczone mięso. Oczyszczyła je z brudu. Wiedziała, że nie jest to konieczne, gdyż ptaki połykały ziemię i kamyki, żeby miądździć pokarm w żołądku, lecz źdźbła słomy przyklepione do mięsa budziły w niej obrzydzenie. Pozdejmowała je starannie i wyciągnęła dłoń w rękawicy do sokoła siedzącego na stojaku. Czy ten ptak kiedykolwiek będzie jadł jej z ręki? Cóż, musi po prostu poczekać cierpliwie, aż głód pokona strach, a wtedy sokolica weźmie mięso. Jeśli nie, stracą kolejnego ptaka. A Romilly postanowiła, że tak się nie stanie.

Była zadowolona, że wypuściła drugiego sokoła. Kiedy znalazła starego Davina rzucającego się i jęczącego w letnicy, w pierwszej chwili przyszło jej do głowy, że mogłaby uratować dwa ptaki, które złapał trzy dni wcześniej. Kazał jej wypuścić oba, bo nie chciały przyjmować jedzenia z ludzkiej ręki i zagłodziłyby się na śmierć. Wcześniej obiecał Romilly, że pozwoli jej wytrenować jednego, podczas gdy on zajmie się drugim. Lecz kiedy w Falconsward wybuchła epidemia i on sam zachorował, polecił jej uwolnić oba. Powiedział, że będą jeszcze następne sezony i inne sokoły.

Lecz te były najwspanialszymi *verrin*, jakie złowił od wielu miesięcy. Wypuszczając większego Romilly wiedziała, że Davin ma rację. Takie sokoły były bezcenne. Davin zapewniał, że sam król Carolin nie ma lepszych w Carcosie, a wiedział, co mówi. Dziadek Romilly służył na dworze jako królewski sokolnik w czasach przed rebelią, zanim król Carolin został wypędzony w Hellery, na pewną śmierć, a uzurpator Rakhal odesłał do domów większość jego dworzan i otoczył się ludźmi, którym ufał.

Jego strata. Dziadek Romilly, znany od Kadarinu po Morze Delereuth jako najlepszy sokolnik na Wzgórzach Kilghardzkich, nauczył swojej sztuki Mikhaila, głowę rodu MacAranów, oraz ich uboższego kuzyna Davina Sokolnika. Dorastające na wolności *verrin* były bardziej uparte od tych wyhodowanych w niewoli od pisklaka. Potrafiły się zagłodzić, a nie wzięły jedzenia z ludzkiej ręki. Lepiej było je wypuścić, żeby płodziły wspaniałe potomstwo, niż nieoswojone zdechły ze strachu lub głodu w sokołami.

Tak więc Romilly z żalem zaniosiła większego ptaka na wysoką skałę za stajniami, zdjęła mu pęta ze skórzastych nóg i zwróciła wolność. Oczy zaszyły jej łzami, kiedy obserwowała, jak ptak znika w oddali. Jakaś część jej samej leciała razem z sokołem, wzbijała się i zataczała koła w dzikiej ekstazie, upojona wolnością. Nareszcie wolna. Na moment ujrzała przygotowującą o zawrót głowy panoramę: Zamek Falconsward leżący w dole, głębokie wąwozy porośnięte gęstym lasem, a dalej, nad brzegiem Jeziora, białą lśniąca Wieżę Hali. Czy jest tam mój brat? Po chwili

znowu była sama. Drżąc z zimna, stała na wysokiej skale. Oczy ją piekły od wpatrywania się w dal. Sokół zniknął.

Romilly wróciła do sokołami, żeby wziąć drugiego sokoła i jego również uwolnić, ale napotkała jego wzrok i nagle olśniła ją pewna myśl, przyprawiając ją o zawrót głowy: Mogę ją oswoić. Nie muszę wypuszczać. Potrafię ją ujarzmić.

Letnica, która zaatakowała zamek i powaliła Davina, okazała się jej sprzymierzeńcem. W zwykły dzień Romilly miałyby swoje obowiązki i lekcje, ale guwernantka jej i młodszej siostry Malliny również zachorowała. Trzęsa się przy kominku w szkolnej sali. Pozwoliła Romilly wybrać się na przejażdżkę konną albo zabrać robótkę czy też książkę do przeszklonego studia na zamkowej wieży i pouczyć się wśród zieleni i kwiatów. Światło drażniło oczy domny Calindy. Stara Gwennis, dawna niania Romilly i jej siostry, zajmowała się Malliną, osłabioną przez gorączkę, lecz niezbyt poważnie chorą. Natomiast lady Luciella, ich macocha, nie ruszała się od łóżka dziewięcioletniego Raela, u którego choroba przybrała najcięższą postać. Chłopiec miał trudności z przełykaniem i zlewały go obfite poty.

Romilly obiecywała sobie zatem wspaniały dzień wolności. Planowała spędzić go w stajni i sokołami. Czyżby domna Calinda była rzeczywiście taka naiwna? Naprawdę przypuszczała, że podopieczna spędzi dzień wolny od lekcji nad nudnym podręcznikiem albo robótką? Okazało się jednak, że Davin też zachorował. Przywitał ją z radością. Jego uczeń nie miał dość wprawy, żeby zajmować się nieoswojonymi

ptakami. Mógł co najwyżej karmić pozostałe i czyścić sokolarnię. Stary sokolnik kazał Romilly wypuścić oba ptaki. Zamierzała go posłuchać...

Lecz ten sokół należał do niej! Nieważne, że siedział na stojaku zły i posępny, a w czerwonych oczach czaiły się gniew i przerażenie. Trzepotał dziko skrzydłami na najmniejszy ruch. Mimo to Romilly była przekonana, że wcześniej czy później ptak poczuje łączącą ich więź.

Wiedziała jednak, że nie nastąpi to szybko i łatwo. Opiekowała się sokolętami, które wykluły się w niewoli albo zostały schwytane jako bezradne pisklęta. Wszystkie nauczyły się jeść z ręki, zanim jeszcze się opierzyły. Lecz ta sokolica uczyła się latać i zdobywać pożywienie na wolności. Takie ptaki były lepszymi łowcami niż wychowane w niewoli, ale trudniej się je oswajało. Dwa z każdych pięciu zwykle ginęły z głodu, gdyż nie pozwalały się nakarmić. Romilly wołała nie myśleć, że to samo może spotkać jej sokoła. Stwierdziła, że musi zasypać przepaść między nimi.

Sokół znowu się zdenerwował. Romilly wysłała do niego kojące fale, starając się jednocześnie zachować własne ja i nie przejąć gwałtownych emocji oszalałego stworzenia. *Nie zrobię ci krzywdy, ślicznotko. Spójrz, tu jest jedzenie.* Lecz ptak nadal bił skrzydłami. Romilly broniła się przed falami wściekłości i strachu, które od

niego napływały.

Czyżby łopotanie ustało tym razem odrobinę szybciej? Sokół był już zmęczony. Wyraźnie słabł. Czy zamierzał walczyć aż do śmierci z wyczerpania, zamiast poddać się i jeść z ręki? Dziewczyna straciła poczucie czasu, ale kiedy ptak się uspokoił, a ona odzyskała jasność myślenia, uświadomiła sobie, że jest Romilly, a nie oszalałym ptakiem. Wyrównała oddech i na chwilę zsunęła rękawicę z dłoni. Miała wrażenie, że zaraz odpadnie jej ramię, ale nie była pewna, czy to dlatego, że rękawica jest za ciężka – przez wiele godzin trzymała ją na wyciągniętej ręce, znosząc ból zdrętwiałych mięśni, przyzwyczajając się do jej ciężaru – czy ból. spowodowało szaleńcze machanie skrzydłami. Nie. Musi pamiętać, że jest sobą, a nie sokołem. Oparła się plecami o szorstką ścianę i przymknęła oczy. Omal nie zasnęła na stojąco. Nie powinna jednak spać.

Nie zostawia się sokoła w takim stanie, powtarzał jej Davin. Ani na chwilę. „Nawet żeby coś zjeść?”, pytała będąc jeszcze małą dziewczynką.

–Możesz się obejść bez jedzenia i picia dłużej niż sokół – prychnął. – Jeśli nie potrafisz przetrzymać ptaka, którego oswajasz, nie masz tutaj czego szukać.

Mówił to co prawda raczej o sobie. Nie mieściło mu się w głowie, że dziewczynka potrafi oswoić sokoła albo że może tego chcieć. Spełnił jednak jej pragnienie i uczył ją wszelkich tajników sokolnictwa. Ostatecznie wszystkie ptaki mogły kiedyś należeć do niej, choć miała dwóch starszych braci. Nie po raz pierwszy Falconsward przeszłoby na potomków w linii żeńskiej. Nie było również rzeczą niezwykłą, że kobiety jeździły na polowania z łagodnymi i dobrze wytrenowanymi sokołami. Nawet macocha Romilly udawała się na przejażdżki z ptakiem nie większym od gołębia, który zdobił jej nadgarstek niczym klejnot. Z drugiej strony Luciella nigdy by nie dotknęła *ver'nn*, a myśl, że jej pasierbica chciałaby to zrobić, nawet nie przyszła jej do głowy.

Dlaczego nie? pomyślała Romilly ze złością. Urodziłam się z Darem MacAranów, który daje mi władzę nad sokołami, końmi i psami. To nie *laran*. Nigdy nie przyznam się do przekleństwa potomków Hastura. Mam stary Dar MacAranów. Mam do niego prawo, to nie jest *laran*, o nie. Jestem kobietą, ale z MacAranów, tak samo jak moi bracia!

Zrobiła krok w stronę sokoła, trzymając mięso w wyciągniętej dłoni. Ptak uniósł głowę i utkwiał zimne spojrzenie paciorkowatych oczu w Romilly. Odskoczył na sam koniec stojaka. Dziewczyna wyczuła, że pęta już mu nie sprawiają bólu. Zaczęła szeptać uspokajającym tonem i raptem poczuła silny głód. Powinna była przynieść trochę jedzenia dla siebie. Często widziała, jak Davin wkłada do sakwy zimne mięso i chleb, żeby coś przekąsić w czasie pracy. Gdyby mogła wymknąć się na chwilę do

kuchni albo spiżarni... i do ustępu. Bolał ją przepelniony pęcherz. Ojciec albo jeden z braci miałby o wiele lepiej: mógłby odwrócić się na chwilę, rozpiąć spodnie i ulżyć sobie pod ścianą. Ona musiałaby rozwiązać za dużo sznurków, choć założyła stare spodnie Ruyvena. Westchnęła tylko i nie ruszyła się.

„Jeśli nie potrafisz przetrzymać sokoła, nie masz tu czego szukać. ” Tylko ta jedna rzecz mogła przeszkadzać dziewczynie w pracy przy zwierzętach, a dla niej po raz pierwszy stała się prawdziwą udręką.

Ty też jesteś głodna, powiedziała bez słów do sokoła, *chodź, masz jedzenie. To, że ja jestem głodna, nie oznacza, że ty nie możesz jeść, uparte stworzenie!* Sokół nie tknął mięsa. Poruszył się lekko i przez chwilę Romilly bała się, że znowu zacznie łopotać skrzydłami. Lecz ptak stał spokojnie i po chwili dziewczyna odprężyła się.

Uważa się za oczywiste, że syn MacAranów powinien wyszkolić własnego ogara, konia i sokoła. Rael ma dopiero dziewięć lat, a ojciec już nalega, żeby sam tresował swoje psy. Kiedy ona była młodsza – zanim Ruyven ich opuścił, a Darren został wysłany do Nevarsin – ojciec z dumą pozwalał jej pracować z końmi i psami.

Zwykł mawiać: „Romilly jest z MacAranów i odziedziczyła Dar. Nie ma konia, na którym nie potrafiłaby jeździć, psa, z którym by się nie zaprzyjaźniła. Nawet suki przychodzą do niej się szcenić. ” Był ze mnie dumny. Powtarzał Darrenowi i Ruyvenowi, że będę lepszym MacAranem niż którykolwiek z nich i kazał im obserwować, jak radzę sobie z końmi.

A teraz... teraz go to złości.

Gdy Ruyven wyjechał, Romilly oddano pod opiekę macosze i wymagano, żeby siedziała w domu i „zachowywała się jak dama”. Teraz miała prawie piętnaście lat. Jej młodsza siostra Mallina już zaczęła spinać włosy kobiecą klamrą w kształcie motyla. Mallina lubiła uczyć się haftu, jeździć usadowiona wdzięcznie w damskim siodle, bawić się z głupimi domowymi pieskami zamiast z wielkimi psami pasterskimi albo myśliwskimi. Mallina wyrastała na głupią kobietę, a najgorsze było to, że ojciec domagał się, by Romilly brała z niej przykład.

Nigdy. Wolałabym raczej umrzeć, niż siedzieć w domu przez cały czas, jak przystało damie, i wyszywać. Mallina kiedyś dobrze jeździła konno, a teraz jest taka jak Luciella, miękka i sflaczała. Boi się, kiedy koń zbliża do niej łeb, nie potrafi galopować nawet przez pół godziny, żeby nie zostawać w tyle, dysząc jak ryba wyciągnięta na brzeg. Podobnie jak Luciella uśmiecha się głupio, wdzięczy i szczebiocze, a najgorsze, że ojcu to się podoba!

W głębi pomieszczenia coś się poruszyło i dobiegł stamtąd dziki krzyk sokołęcia, które poczuło jedzenie. Dźwięk sprowokował ptaka Romilly do dzikiego bicia

skrzydłami. Dziewczyna, która wyraźnie odbierała wściekły głód skręcający kiszki, zorientowała się, że do sokołami wszedł pomocnik sokolnika, żeby nakarmić ptaki. Szedł powoli od jednego stojaka do drugiego, zagadując cicho do podopiecznych. Romilly wiedziała, że zbliża się zachód słońca. Była tutaj od przedpołudnia. Chłopak skończył pracę i zauważył ją.

–Panienska Romilly! Co tutaj robisz, *damisela*?

Na dźwięk jego głosu sokół znowu zatrzepotał skrzydłami, a Romilly poczuła straszliwy ból, jakby zaraz miały jej odpaść ramiona. Próbowwała uwolnić się od strachu, gniewu i żądy krwi. *Zdobycz rozrywana pazurami i dziobem, smak tryskającej krwi...*

–Oswajam sokoła – odparła przyciszonym głosem, żeby nie zdenerwować ptaka. –

Odejdź, Ker, bo ją wystraszysz. Już skończyłeś pracę.

–Davin mówił, że sokół ma być wypuszczony i MacAran jest o to wściekły –

wymamrotał Ker. – On nie lubi tracić *ver'n*. Groził, że wyrzuci starego.

–Ojciec nie straci tego sokoła, chyba że wystraszysz go na śmierć – oświadczyła

Romilly szorstko. – Idź sobie, Ker, nim znowu się spłoszy. – Czowała drżenie narastające

w ciele i umyśle ptaka. Wiedziała, że jeśli znów zacznie się bicie skrzydłami, ona sama

padnie z wyczerpania, będzie krzyczeć z wściekłości i frustracji. – Idź już!

Jej podniecenie udzieliło się ptakowi, który zatrzepotał, wysyłając fale nienawiści i przerażenia. Romilly przestraszyła się, że zaraz straci własną tożsamość i świadomość. Opanowała się, jednocześnie próbując uspokoić sokolicę. *No już, ślicznotko, nikt ciebie nie skrzywdzi, zobacz, tu jest jedzenie.* Gdy wróciła do rzeczywistości, chłopaka już nie było.

Drzwi zostawił otwarte. Do środka wleciał podmuch zimnego powietrza i wieczornej mgły. Wkrótce zacznie padać nocny deszcz albo śnieg. Niech diabli wezmą tego złośliwca! Straciła kilka sekund, by podejść na palcach do drzwi i zamknąć je. Na nic by jej się zdało oswojenie tego sokoła, gdyby wszystkie ptaki zdechły z zimna! Gdy tylko oddaliła się od ptaka, zaczęła się dziwić, co właściwie tutaj robi. Jak mogła myśleć, że dokona czegoś, co nie udawało się Davinowi w dwóch wypadkach na pięć? Powinna była powiedzieć chłopakowi, że sokolica jest u kresu sił, i oddać ją bardziej doświadczonej od siebie. Widziała, co ojciec potrafił zrobić z szalejącym,

wyczerpanym ogierem ze stad żyjących dziko w wąwozach i na wzgórzach. Po godzinie prowadzenia na lonży koń zbliżał się do MacArana i zaczynał pocierać wielkim łbem o jego pierś. Z pewnością ojciec uratowałby również tego ptaka. Romilly była wykończona i zmarznięta. Tęskniła za dawnymi czasami, kiedy wdrapywała się ojcu na kolana i opowiadała mu o swoich kłopotach.

Raptem usłyszała zagniewany głos, w którym jednak pobrzmiwała czułość i troska. Głos Mikhaila MacArana, pana Falconsward.

–Romilly! Córko, co ty wyprawiasz? Oswajanie *verrin* nie jest zadaniem dla panienki! Wydałem polecenie Davinowi, ale nieszczęśnik leży w łóżku, a tymczasem jednym sokołem nieumiejętnie zajmuje się dziecko, a drugi na pewno zagłodził się na śmierć.

–Drugiego sokoła wypuściłam, żeby płodził potomstwo. – Romilly ledwo mogła mówić. Zbierało się jej na płacz. – Az tym nie obchodzę się nieumiejętnie, ojciec.

Na dźwięk głosów sokół zaczął się miotać jeszcze gwałtowniej niż do tej pory. Romilly wzięła głęboki oddech, usiłując zachować własną świadomość. Czuła furię, głód, żądzę krwi i pragnienie wolności, chciała wzbić się na oślep pod ciemne belki

tworzące więzienie. Nagle wszystko uspokoiło się. Romilly, przemawiająca pieszczotliwie do ptaka, wyczuła, że dotyka jej inny umysł, wysyłając fale spokoju. Więc tak ojciec to robi. Odgarnęła z oczu wilgotny kosmyk i zrobiła krok w stronę sokolicy.

Oto jedzenie, chodź i weź je. Widok i zapach nadpsutego mięsa przyprawił ją o mdłości. Tak, sokoły żywią się świeżo upolowaną zdobyczą. Przy oswojaniu głodem nakłania się je do jedzenia padliny.

Więź łącząca trzy umysły zerwała się nagle.

–Romilly, no i co ja mam z tobą zrobić, dziewczyno? – zapytał Mikhail surowo. –

Praca w sokołami nie jest zajęciem dla damy. – Jego ton złagodniał. – Na pewno zachęcił cię do tego Davin. Rozprawię się z nim. Odłóż mięso i idź stąd, Romilly.

Czasem sokół potrafi wziąć jedzenie ze stojaka, jeżeli jest dostatecznie głodny. Jeśli

tak, zatrzymamy go. Jeśli nie, jutro Davin go wypuści. Albo jego chłopak. Niech zarobi

na owsiankę! Dzisiaj już za późno. Do rana nie zdechnie, a jeśli tak, nie będzie to

pierwszy sokół, którego straciliśmy. Idź do domu, Romilly, weź kąpiel i kładź się spać.

Zostaw ptaki sokolnikowi i jego pomocnikowi. Po to tutaj są, kochanie. Moja mała dziewczynka nie musi nic robić. Wracaj do domu, Romy, dziecko.

Romilly głośno przełknęła ślinę. Łzy napłynęły jej do oczu.

–Ojczy, proszę. Na pewno ją oswoję. Pozwól mi zostać, błagam cię.

–Na piekła Zandru! – zaklął MacAran. – Gdyby choć jeden z twoich braci miał twój charakter i zdolności, dziewczyno! Nie chcę jednak, by mówiono, że moje córki muszą pracować w sokołami i w stajniach! Idź do siebie, Romilly, i ani słowa więcej!

Miał zagniewaną i nieprzejednaną minę. Wyczuwając jego gniew, sokół zaczął bić skrzydłami, a Romilly odebrała falę przerażenia, frustracji i wściekłości. Rzuciła rękawicę i wybiegła z sokołami, szlochając ze złości. Ojciec wyszedł za nią i zaryglował drzwi.

Romilly pobiegła do swojego pokoju, gdzie ulżyła przepelnionemu pęcherzowi. Zjadła trochę chleba z miodem i wypila kubek mleka, który przyniosła jej służąca. Myślami wciąż była przy spętanym, cierpiącym, wygłodzonym ptaku.

Jeśli sokolica nie będzie jadła, wkrótce zdechnie. Już trochę zaczęła ufać Romilly. Zanim ojciec im przeszkodził, parę razy, gdy wpadała w szal, uspokajała się szybciej, czując jej kojący dotyk. Teraz na pewno zdechnie.

Romilly zaczęła ściągać buty. Nie można było nie posłuchać MacArana, a z

pewnością nie mogła tego zrobić jego córka. Nawet Ruyven mierzący sześć stóp wzrostu, prawie mężczyzna, nigdy nie ośmielił się otwarcie sprzeciwić ojcu. Romilly, Darren, Mallina, wszyscy słuchali go i rzadko ważyli się nawet na buntownicze spojrzenie. Tylko najmłodszy rozpieszczony Rael czasami przymilaniem wykręcał się od spełniania poleceń ojca.

Mallina spała w sąsiednim pokoju za szklanymi drzwiami. Jasnorude włosy i koszula nocna z koronki odcinały się od bieli poduszki. Lady Calinda już dawno poszła do łóżka, a stara Gwennis drzemała na krześle obok śpiącej Malliny. Romilly nie była zadowolona z choroby siostry, ale cieszyła się, że stara piastunka jest nią zajęta. Gdyby zobaczyła wychowankę w obecnym stanie – Romilly ze skruczą obejrzała brudne i przepocone ubranie – z pewnością nastąpiłoby kazanie, wymówki i kłopoty.

Dziewczyna była wyczerpana. Z tęsknotą pomyślała o kąpeli, czystym ubraniu i własnym miękkim łóżku. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby uratować sokoła.

Może powinna zrezygnować i położyć mięso na stojaku. Lecz gdyby w ten sposób zaczął jeść, nigdy już nie wzięłyby pożywienia z ręki sokolnika i nie dały się oswoić. Trzeba by go wypuścić. I dobrze, niech sobie leci. A gdyby wyczerpany i przerażony w ogóle nie chciał jeść i zdechł... Cóż, w Falconsward już się to zdarzało.

Lecz nigdy żadnemu, z którym nawiązałam bliski kontakt.

Znowu, tak samo jak w sokołami, poczuła narastającą furję. Nawet przywiązany do stojaka, ptak mógł sobie połamać skrzydła. Nigdy by już nie latał. Siedziałby osowiały na stojaku, może by nawet zdechł. Czułby się podobnie jak ja, zamknięta w domu, w kobiecym stroju, skulona nad głupimi haftami.

W tym momencie zrozumiała, że nigdy do tego nie dopuści.

Ojciec będzie bardzo zły, pomyślała obojętnie. Tym razem sprawi jej lanie, którym groził jej ostatnio, gdy go nie posłuchała. Nigdy jeszcze nie podniósł na nią ręki. Parę razy, kiedy była bardzo mała, dostała klapsa od guwernantki, ale głównie karano ją zamknięciem w pokoju, zakazem przejażdżek konnych, ostrymi słowami, utratą obiecaną zabawę albo wycieczki.

Tym razem na pewno mnie zbije, pomyślała oburzona niesprawiedliwością. Dostanę lanie, bo nie chcę dopuścić do tego, żeby biedne stworzenie zdręczyło się na śmierć.

No więc dostanę lanie. Nikt jeszcze od tego nie umarł. Romilly już wiedziała, że sprzeciwi się ojcu. Kuliła się wewnątrz bardziej na myśl o jego gniewie niż o

wyimaginowanych ciosach, ale była pewna, że nigdy nie spojrzy sobie w twarz, jeśli będzie siedziała w pokoju i pozwoli sokołowi zdechnąć.

Powinna była wypuścić oba ptaki wczoraj o świcie, tak jak kazał Davin. Może zasłużyła na lanie za nieposłuszeństwo. Lecz skoro już zaczęła, okrucieństwem byłoby teraz się wycofać. Przynajmniej będzie wiedziała, za co zostanie ukarana. Sokół nie zrozumiałby powodów długiej udręki. Ojciec zawsze mówił, że dobry treser nigdy nie zaczyna z sokołem, koniem albo psem czegoś, czego nie może skończyć. Nieuczciwe jest znęcanie się nad stworzeniem, które nie ma rozumu.

„Jeśli z ważnej dla siebie przyczyny nadużyjecie zaufania jakiegoś człowieka, możecie mu przynajmniej wyjaśnić powody. Lecz jeśli zawiedziecie ufność zwierzęcia, skrzywdzicie je w niewybaczalny sposób, bo nigdy nie zdołacie mu tego wytłumaczyć. ” Romilly nigdy nie słyszała, żeby ojciec mówił o wierze i religii albo o jakimkolwiek Bogu, lecz wtedy rozumiała, że te słowa płyną z samego serca, i wyczuła głębię jego wiary. Prawda, że okazała nieposłuszeństwo, ale w istocie postąpiła zgodnie z naukami ojca. Nawet gdyby ją zbił, pewnego dnia przyzna, że to, co zrobiła, było konieczne i właściwe.

Romilly napiła się wody. Potrafiła znieść głód, ale pragnienie było prawdziwą torturą. Davin zwykle miał pod ręką ceberek z wodą, kiedy pracował z sokołami, ale Romilly zapomniała postawić wiadro i czerpak w zasięgu ręki. Wyśliznęła się cicho z pokoju. Przy odrobinie szczęścia sokół złamie się przed świtem i weźmie jedzenie z ręki. Jeśli wkrótce czegoś nie zje, zdechnie, ale Romilly wiedziała, że choć uwięziła ptaka, nie nadużyje jego zaufania i nie zostawi na śmierć.

Wróciła jeszcze do pokoju po krzesiwo. Ojciec albo chłopak sokolnika na pewno zgasili lampę. Gwennis poruszyła się w pokoju za szklanymi drzwiami i ziewnęła. Romilly zamarła. Ale niania tylko pochyliła się nad Malliną, sprawdziła jej czoło, westchnęła i odchyliła się na oparcie krzesła, nie zerknąwszy nawet w stronę Romilly.

Dziewczyna zeszła bezszelestnie po schodach.

Spały nawet psy. Dwa wielkie szaro-brązowe ogary, zwane Budzicielami, leżały pod drzwiami. Nie były groźne i nie zaatakowałyby nawet intruza, chyba że by je rozdrażnił, ale donośnym przyjaznym szczekaniem budziły domowników, uprzedzając o przybyciu obcego lub przyjaciela. Romilly znała oba od szczeniaka i dawała im pierwsze smakołyki, kiedy przestały ssać mleko matki. Odsunęła je delikatnie od drzwi, a psy, czując znajome ręce, powęszyły tylko trochę przez sen i pozwoliły jej przejść.

Światło w sokołami rzeczywiście było zgaszone. Przekraczając próg, Romilly przypomniała sobie starą balladę, którą matka śpiewała jej w dzieciństwie. Mówiła ona o tym, że ptaki w nocy rozmawiają ze sobą, kiedy w pobliżu nie ma człowieka. Dziewczyna przyłapała się na tym, że idzie na palcach, jakby spodziewała się, że je usłyszy. Lecz oswojone ptaki spały na swoich stojakach. Wszędzie panowała cisza.

Ciekawe, czy porozumiewają się telepatycznie, odbierają nawzajem swój ból albo strach? Nawet *Ieronis* nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Te przynajmniej nie miały telepatycznej wrażliwości ani *Iaran*, bo inaczej obudziłyby się zaniepokojone falami przerażenia, furii, głodu i wściekłości, które Romilly odbierała od wielkiego *vernn*.

Drżącymi rękami zapaliła lampę. Ojciec najwyraźniej nie wierzył, że sokół zacznie jeść. Doskonale wiedział, że te drapieżniki nie pożywiają się w ciemności. Jak mógł zgasić światło? Nawet jeśli był na nią zły, nie musiał pozbawiać jej ptaka ostatniej szansy przeżycia.

Teraz trzeba wszystko zaczynać od nowa. Na stojaku leżało nie tknięte mięso. Sokół nic nie zjadł. Mięso już cuchnęło. Romilly musiała przezwyciężyć mdłości. Fuj, gdybym była ptakiem, nie tknęłabym tego ścierwa.

Sokół zaczął bić skrzydłami. Romilly zbliżyła się do niego, przemawiając pieszczotliwie. Po chwili ptak uspokoił się. Czy to możliwe, że ją pamiętał? Może jeszcze nie wszystko stracone. Dziewczyna założyła rękawicę, ucięła nowy kawałek mięsa i podsunęła sokolicy. Stwierdziła, że odór jest jeszcze bardziej nieznośny. Zrobiło się jej niedobrze.

Czyżby odbierała wrażenia ptaka? Napotkała spojrzenie wielkich, żółtozielonych oczu i poczuła, że z trudem łapie równowagę na wąskiej półce, skórzane więzy ocierają jej kostki, a ktoś obcy i wrogi próbuje zmusić ją do przełknięcia śmierdzącego paskudztwa, zupełnie nie nadającego się do jedzenia. Przez ułamek sekundy Romilly znowu była dzieckiem, które jeszcze nie umie mówić. Siedziała na wysokim krzeselku, piastunka wpychała jej łyżeczką do ust jakieś obrzydlistwo, a ona mogła tylko wyrywać się i wrzeszczeć.

Wstrząśnięta zrobiła krok w tył i upuściła mięso na ziemię. Czyżby tak ją widział sokół? Powinna go wypuścić. Nie mogłaby żyć z taką nienawiścią. Czy wszystkie zwierzęta, które poskramiamy, nienawidzą nas? W takim razie trener koni i psów jest gorszy od człowieka napastującego dzieci, a ten, kto łowi sokoła i więzi go, jest nie lepszy od gwałciciela. Miotający się sokół stracił równowagę. Romilly rzuciła się do przodu i cierpliwie poprawiła stojak. Ptak znalazł oparcie i stanął pewnie.

Dziewczyna znieruchomiała, starając się nawet oddechem nie spłoszyć ptaka, w którym walczyły ze sobą furia i przerażenie. Usiłując odzyskać spokój, Romilly przywołała wspomnienia ostatniego polowania z ulubionym sokolem. Szybowała razem z nim i atakowała. Dobrze pamiętała to nagłe uczucie, kiedy sokół jadł jej z ręki, które zrodzone w jej umyśle byłoby dumą i radością; świadomość dokonania czegoś. Wiedziała, że byłoby ono silniejsze, a poczucie jedności z ptakiem głębsze, gdyby sama go wytresowała.

Podobnej bezgranicznej i niewymownej radości doświadczała, gdy ulubiona suka przynosiła jej szczenięta. Oddanie zwierzęcia było zbliżone do miłości, którą Romilly odczuwała wobec ojca, do zadowolenia i dumy z jego rzadkich pochwał. Gdy nieujężdżony koń walczył z wędzidłem i siodłem, odbierała jego ból i strach, wiedziała jednak, że później jeźdźca i wierzchowca łączy miłość i zaufanie. Uwielbiała jeździć na złamanie karku, bo miała pewność, że nie stanie się jej krzywda, kiedy koń ją niesie. Pozwalała mu biec własnym tempem, dzieląc z nim przyjemność biegu.

Doszła teraz do wniosku, że tresowanie zwierzęcia nie jest gwałtem. Podobnie jak karmienie małego dziecka owsianką, choć wtedy uważała ją za paskudztwo i nie chciała niczego innego oprócz mleka. Gdyby dawano jej tylko mleko, byłaby słaba i chorowita, bo starsze dziecko potrzebuje stałego pokarmu, żeby nabrać sił. Musiała nauczyć się jeść to, co dla niej dobre, i nosić ubrania, chociaż wtedy pewnie wolałaby leżeć w powijkach jak niemowlę! Później musiała nauczyć się jeść mięso

nożem i widelcem zamiast rozrywać je palcami i zębami jak zwierzę. Teraz jestem zadowolona, że to wszystko umiem, pomyślała.

Gdy sokół po raz kolejny zaczął się miotać, Romilly nie zamknęła umysłu przed jego strachem, lecz postanowiła go dzielić.

–Zaufaj mi, ślicznotko, będziesz znowu latać i polować razem ze mną -wyszeptała. – Nie będziesz moją niewolnicą. Zostaniemy przyjaciółkami, obiecuję.

Przywołała wyobrażenie szybowania nad drzewami w świetle słońca, wspomnienia z ostatniego polowania, widok sokoła spiralnie opadającego ze zdobyczą w dziobie, rozrywanie świeżego mięsa, by dać ptakowi jego część zdobyczy. Gdy odebrała z umysłu sokoła wizję ataku i tryskającej świeżej krwi, znowu poczuła mdlące ssanie w żołądku, ale nie potrafiła odróżnić swej ludzkiej odrazy od głodu uwięzionego stworzenia. Wyciągnęła na dłoni pasek mięsa z rogatego królika, ale odór wzbudził w niej takie samo obrzydzenie jak w ptaku. Poczuła, że zaraz zwymiotuje.

Musisz jeść i nabrać sił, preciosa. Wysyłała tę myśl, czując głód sokoła i jego coraz większe osłabienie. Preciosa, to będzie twoje imię, tak będę cię nazywać. Chcę, żebyś jadła i nabierała sił, Preciosa, byśmy mogły razem polować. Najpierw jednak musisz mi zaufać i wziąć ode mnie jedzenie. Chcę, żebyś jadła, bo cię kocham i chcę wszystkim z tobą się dzielić, ale musisz się nauczyć jeść mi z ręki. Jedz, Preciosa, moja śliczna, moje kochanie, moja piękności. Nie będziesz jeść? Nie chcę, żebyś umarła.

Odnosiła wrażenie, że mijają godziny, a ona walczy bez końca ze słabnącym sokołem. Za każdym razem trzepotanie skrzydłami było słabsze, a fale głodu tak intensywne, że Romilly chwyciły bolesne skurcze. Oczy sokoła pozostawały bystre i pełne strachu. Z nich właśnie płynęły wszystkie te odczucia. W dziewczynie narastała rozpacz.

Ptak słabł. Jeśli zaraz czegoś nie zje, zdechnie. Nie jadł, odkąd został schwytany, czyli od czterech dni. Czyżby miał zdechnąć, nie rezygnując z walki?

Może ojciec miał rację, że kobieta nie ma na to dość sił.

I wtedy dziewczyna przypomniała sobie moment, kiedy ujrzała siebie oczami sokoła i ona, Romilly Mac-Aran, nie była człowiekiem, lecz czymś innym. Ogarnęły ją rozpacz i strach. Zobaczyła, jak odbierają jej sokolniczą rękawicę, jak biciem zostaje zmuszona do siedzenia w domu i dłubania igłą, a ściany zamykają się wokół niej na zawsze. Byłaby więźniem jeszcze bardziej niż spętany sokół, który przynajmniej od czasu do czasu ma okazję polatać, przeżyć ekstazę lotu i poczuć wolność.

Nie. Raczej umrze, niż miałyby żyć jak w więzieniu.

Musi istnieć jakiś sposób. Gdybym tylko umiała go znaleźć.

Nie podda się, nigdy nie uzna porażki. Jest Romilly MacAran obdarzoną Darem MacAranów i umie poradzić sobie z każdym ptakiem. Nie pozwoli zdechnąć temu sokołowi... Nie, to już nie był „ten sokół”, lecz Preciosa, którą kochała i zamierzała walczyć o jej życie, nawet gdyby musiała stać tutaj, aż obie padną z wyczerpania. Bez strachu sięgnęła umysłem, tym razem w pełni świadoma samej siebie jako dręczącej, nieokreślonej, lecz znajomej obecności w umyśle ptaka. Czowała odór gnijącego mięsa. Przez chwilę myślała, że sokół znowu zacznie bić skrzydłami, ale tym razem pochylił głowę w stronę jedzenia.

Romilly wstrzymała oddech. *Tak, tak, jedz i nabieraj sił.* Nagle ogarnęły ją mdłości. Poczwała, że zaraz zwymiotuje od smrodu.

Jest teraz gotowa mi zaufać, ale nie może tego zjeść. Gdyby wzięła mięso

wcześniej, kiedy jeszcze nie była taka słaba, lecz teraz... Ona nie jest padlinożercą.

Dziewczynę ogarnęło zniechęcenie. Przyniosła przedtem najświeższe jedzenie, jakie znalazła w kuchni, ale teraz już zdążyło się nadpsuć. Sokół zaczynał jej ufać i może wziąłby od niej mięso, które nadawałoby się do przełknięcia. W kącie przemknął szczur i Romilly stwierdziła, że oczami ptaka patrzy na małe zwierzątko z prawdziwym apetytem.

Zbliżał się świt. Z ogrodu dobiegł świergot pierwszego widmoptaka, a z gołębnika pogruchiwanie gołębi, które hodowano dla specjalnych gości albo dla chorych. Nim w jej głowie uformował się zamiar, Romilly ruszyła w tamtą stronę. Rządca będzie na mnie zły. Nie wolno mi dotykać gołębi bez pozwolenia. Nie mogła jednak oprzeć się głodowi, który docierał do niej od sokoła. Wyrzuciła królicze mięso na śmietnik. Zgnije albo znajdzie je jakiś padlinożerca lub mało wybredny pies. Gdy wsadziła rękę do gołębnika, zapanowało poruszenie i rozległ się trzepot skrzydeł. Wyciągnęła szarpiącego się ptaka. Jego strach napęlił ją bólem i jednocześnie podnieceniem. Nastąpił przyływ adrenaliny, powodując znajome mrowienie w nogach i pośladkach. Lecz Romilly nie była przewrażliwiona. Ostatecznie wychowała się na farmie. Ptactwo kończyło w garnku w zamian za schronienie i ziarno. Przez chwilę z żalem trzymała walczącego ptaka. Nałożyła rękawicę. Do umysłu sokoła wysłała bez słów krótki obraz świeżego pożywienia. Następnie zdecydowanym ruchem skręciła gołębiowi kark i podsunęła Preciosie jeszcze ciepłe stworzenie.

Przez chwilę wydawało się, że sokół znowu wpadnie w szal. Romilly już czwała gorycz kłęski, gdy ptak błyskawicznym ruchem uderzył dziobem martwego gołębia tak mocno, że dziewczyna zachwiała się. Trysnęła krew. Sokół dziobnął raz jeszcze i zaczął jeść.

Romilly zaczęła głośno szlochać. W miarę jak ptak rozrywał świeże mięso i łykał wielkie kęsy, rosło w niej poczucie siły i ekstaza.

–Och, ty ślicznotko – wyszeptała. – Moja piękna, drogocenna, cudowna!

Kiedy sokół najadł się, Romilly stwierdziła, że również jej głód i pragnienie ustąpiły. Posadziła ptaka na stojaku i nasunęła mu na głowę kaptur. Teraz Preciosa miała spać. Gdy się obudzi, będzie pamiętała, od kogo dostała jedzenie. Trzeba będzie wydać polecenie, że mięso dla tego sokoła musi być bardzo świeże. Będzie się dla niej zabijać ptaki albo myszy, póki sama nie zacznie polować. Już niedługo. To był inteligentny sokół, bo inaczej nie walczyłby tak długo. Romilly wiedziała, że Preciosa zawsze ją teraz rozpozna jako karmicielkę i pewnego dnia wyruszą razem na polowanie.

Dziewczyna miała wrażenie, że ręka zaraz jej odpadnie. Zdjęła ciężką rękawicę i wytarła czoło spoconym przedramieniem. Spostrzegła, że na dworze jest już dzień. Przestała tutaj całą noc. Pomyślała, że w domu wkrótce zacznie się ruch, i ujrzała stojących w progu ojca i Davina.

–Panienko Romilly! Byłaś tutaj całą noc? – spytał Davin wstrząśnięty.

Skronie ojca pulsowały z gniewu.

–Ty nieznośna dziewczyno, kazałem ci wracać do domu! Myślisz, że pozwolę ci lekceważyć moje polecenia? Zostaw sokoła i wyjdź stąd!

–Sokół jest nakarmiony – oznajmiła Romilly. – Uratowałam go. Czy to się nie liczy? – Ogarnęła ją wściekłość. – Zbij mnie, jeśli chcesz, skoro dla ciebie jest ważniejsze, żebym zachowywała się jak dama. Miałam pozwolić umrzeć niewinnemu ptakowi? Jeśli tak postępuje dama, to mam nadzieję, że nigdy nią nie będę! Jestem obdarzona *lاران* i nie sądzę, żeby bogowie popełnili błąd. – W gniewie użyła tego słowa bez zastanowienia. – Skoro go mam, powinnam go używać! To nie moja wina, że urodziłam się z Darem MacAranów, a mój brat nie. Nie mogłam stać i patrzeć, jak Preciosa umiera. – Stłumiła szloch, który dławził ją w gardle.

–Ona ma rację, sir – stwierdził stary Davin wolno. – Nie jest pierwszą lady

MacAran z Darem i, oby bogowie dali, nie ostatnią.

MacAran spiorunował go wzrokiem. Wziął pióro, zbliżył się do śpiącego sokoła i delikatnie go pogłaskał.

–Piękny ptak – stwierdził w końcu. – Jak ją nazwałaś? Preciosa? Dobre imię.

Spisałaś się właściwie, córko.

Słowa pochwały wyrwały mu się niechcący. MacAran spochmurniał i znowu wpadł we wściekłość.

–Marsz do domu, weź kąpiel i przebierz się w świeże ubranie. Nie życzę sobie, żebyś chodziła brudna jak dziewczka z obory! Wezwij pokojówkę. I nie pokazuj się więcej poza domem!

Kiedy Romilly przemykała się obok niego, wyczuła, że ojciec ma ochotę ją uderzyć, ale powstrzymuje się. Nie potrafił nikogo bić, a poza tym jednak uratowała życie sokołowi.

–Niech cię lichy, Romilly, nie myśl, że to koniec tej sprawy! – krzyknął gniewnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Romilly wyglądała przez okno, opierając głowę na rękach. Wielkie czerwone słońce chyliło się ku zachodowi. Dwa małe księżyce świeciły blado na niebie, a odległa linia Wzgórz Kilghardzkich i chmury, wśród których latały ptaki, wabiły ją. Zeszyt z ukończonymi rachunkami leżał odsunięty na bok, podobnie jak kartka ze starannie przepisanyymi maksymami z Księgi Brzemion *crisoforo*. Romilly nie widziała ich, podobnie jak nie słyszała głosu nauczycielki. Calinda besztła Mallinę za kleksy i brzydkie pismo.

Kiedy już nauczę Preciosę latać za przynętą, osiodłam Wiatronogiego i posadzę ją przed sobą na siodle, w kapturze, żeby przyzwyczała się do zapachu i ruchu konia. Na razie nie mogę jej wypuścić na samodzielny lot, ale już niedługo.

Siedzący po drugiej stronie pokoju Rael zaszurał głośno i Calinda z naganą pokiwała głową. Romilly stwierdziła, że brat jest coraz bardziej rozpuszczony. Po ciężkiej chorobie przyszedł dzisiaj po raz pierwszy do sali lekcyjnej. W pokoju zapanowała cisza. Słysząc było tylko skrzywienie pióra Malliny i cichutkie pobrzękiwanie drutów. Calinda robiła wełnianą kamizelkę dla Raela. Kiedy skończy, pomyślała Romilly nie bez złośliwości, będzie jeszcze musiała nakłonić chłopca, żeby ją założył!

Romilly patrzyła przez okno znudzonym wzrokiem, póki ciszy nie przerwał jęk Malliny.

–Przekłęte pióro! Lecą z niego kleksy jak orzechy jesienią! Pobrudziłam następną kartkę!

–Cicho, Mallino – skarciła ją nauczycielka. – Romilly, przeczytaj siostrze ostatnią z maksym, które kazałam ci przepisać z Księgi Brzemion.

Przywołana na powrót do szkolnej sali, Romilly westchnęła i przeczytała grobowym głosem:

–„Kiepski robotnik wini narzędzie, którym się posługuje. ”

–To nie wina pióra, że nie umiesz pisać bez kleksów. – Calinda podeszła do uczennicy. – Trzymaj rękę w ten sposób.

–Bolą mnie palce – poskarżyła się Mallina. – Dlaczego muszę uczyć się pisać, psuć sobie oczy i męczyć ręce? Żadna dziewczyna z Wysokich Turni nie potrafi pisać ani czytać i wcale nie jest gorsza z tego powodu. Wszystkie i tak są już zaręczone!

–Powinnaś uważać się za szczęściarę – oświadczyła nauczycielka surowo. – Wasz ojciec nie chce, żeby córki dorastały w ignorancji, umiały tylko szyć, haftować i prząść, a nie potrafiły nawet napisać „Mus jabłkowo-orzechowy” na słoikach z przetworami! Kiedy byłam dziewczynką, musiałam walczyć, żeby zdobyć choćby tyle wiedzy! Wasz ojciec to mądry człowiek i wie, że córkom jest potrzebne takie samo wykształcenie jak synom! Będziesz więc siedzieć tutaj, póki nie napiszesz strony bez kleksa. Romilly, pokaż mi swoją pracę. Tak, bardzo starannie. Ja sprawdzę twoje rachunki, a ty posłuchaj, jak brat czyta, dobrze?

Calinda pochyliła się nad Malliną, żeby poprowadzić jej rękę, a Romilly wstała skwapliwie i podeszła do Raela. Wszystko było lepsze od siedzenia bez ruchu przy biurku! Chłopiec oparł głowę na ramieniu siostry, a ona uściśniła go przelotnie i wskazała palcem pierwszą linijkę czytanki. Był to bardzo stary elementarz napisany ręcznie i zszyty przez babcię. Romilly też uczyła się z niego, przed nią Ruyven i Darren, a jeszcze wcześniej ich ojciec. Na pierwszej stronie widniał rozwlekły niezdarny napis: „Własność Mikhaila MacArana. ” Atrament już trochę wyblakł, ale litery pozostały czytelne.

–Koń jest w stajni – przesylabizował Rael wolno. – Ptak jest w gnieździe. Sokół jest w powietrzu. Drzewo jest w lesie. Łódź jest na wodzie. Orzech jest na drzewie. Chłopiec jest w... – łypnął spode łba na nieznane słowo i spróbował odgadnąć – w stodole?

Romilly zachichotała cicho.

–Na pewno chciałby tam być, podobnie jak ty – szepnęła. – Niestety źle, Raelu. Spójrz, jaka jest pierwsza litera?

–Chłopiec jest w kuchni – przeczytał chłopiec. – Chleb jest w... dzieży?

–Raelu, znowu zgadujesz. Spójrz na litery. Przecież umiesz.

–Chleb jest w piecu.

–Dobrze. Spróbuj następną stronę.

–Kucharz piecze chleb. Rolnik... – zawahał się, poruszając wargami i marszcząc brwi – zbiera?

–Dobrze, dalej.

–Rolnik zbiera orzechy. Żołnierz jedzie na koniu. Stajenny zakłada siodło na konia.

Romy, kiedy będę mógł móc czytać coś, co ma sens?

Romilly znowu się zaśmiała.

–Kiedy trochę lepiej poznasz litery. Pokaż mi swój zeszyt. Tak, zobacz, jakie są nierówne, niczym kołyszące się kaczkę, a powinny maszerować jak żołnierze. Spójrz, jak wygląda linijka, którą napisała Calinda. – Odsunęła elementarz. – Powiem jej, że nauczyła się lekcji, dobrze?

–Och, wtedy będę mógł pójść do stajni – szepnął Rael. – Romy, czy tata zbił cię za to, że oswoiłaś sokoła? Mama mówiła, że powinien być to zrobić.

Nie wątpię. Nie powiedziała jednak tego na głos, bo nie chciała wyrażać się uszczypliwie o lady Lucielli, która była matką Raela. Zresztą macocha nigdy naprawdę nie traktowała jej źle.

–Nie dostałam lania. Tata powiedział, że dobrze zrobiłam, bo inaczej straciłby sokoła, a *verrin* są cenne i rzadkie. Ten omal się nie zagłodził na śmierć.

–Jak to zrobiłaś? Czy ja też kiedyś oswoję sokoła? Bałbym się. One są takie dzikie. Podniósł głos i Calinda spojrzała w ich stronę, marszcząc brwi.

–Rael, Romilly, nie zajmujecie się lekcją?

–Ależ nie, mestra – odpowiedziała Romilly uprzejmie. – Rael już skończył. Przeczytał dwie strony z elementarza i zrobił tylko jeden błąd. Możemy już iść?

–Wiesz, że nie powinniście rozmawiać o czym innym, kiedy pracujecie -powiedziała nauczycielka. Ona również wyglądała na zmęczoną. – Raelu, przynieś mi swoją kartkę. Och, to wygląda haniebnie – stwierdziła niezadowolona. – Litery są rozrzucone po całej stronie. Taki duży chłopiec powinien pisać lepiej! Siadaj i bierz pióro!

–Nie chcę – zaprotestował Rael. – Głowa mnie boli.

–W takim razie powiem twojej mamie, że nie czujesz się dobrze i nie możesz po lekcjach pojeździć na koniu – oznajmiła Calinda skrywając uśmiech.

Rael usiadł z ponurą miną, wziął do ręki pióro i zaczął z mozolem stawiać pijane litery, wysuwając przy tym język.

–Mallino, zmyj atrament z palców. Romilly, przynieś robótkę swoją i siostry – poleciała nauczycielka i nachyliła się nad Raelem.

Romilly zmarszczyła brwi, podeszła do kredensu i wyjęła dwa koszyczki do robótek. Pisanie idzie mi sprawnie, ale wystarczy, że wezmę igłę do ręki, a zupełnie jakbym miała kopyto zamiast palców! pomyślała z irytacją.

–Pokażę ci jeszcze raz, jak się robi ścieg supełkowy. – Calinda wzięła do ręki pognieciony kawałek lnu i próbowała go wygładzić.

Tymczasem Romilly, nawlekając igłę, ukłuła się w palec i pisnęła jak szczeniak.

–Co za niezdarność, Romilly. Rael lepiej by sobie poradził!

–Więc dlaczego Rael tego nie robi? – rzuciła Romilly naburmuszona.

–Wstyd, taka duża dziewczyna, prawie piętnastoletnia, dostatecznie dorosła, żeby wyjść za męża – upomniała ją Calinda i zajrzała Raelowi przez ramię. – Ach, coś tu napisał?

Zaskoczona tonem jej głosu, Romilly zerknęła na nierówne pismo brata. „Chciałbym, żeby mój brat Ruyven wrócił do domu. ”

–Naprawdę tego chcę – powiedział Rael i zaczął trzeć oczy piąstkami.

–Podrzyj to, szybko. – Calinda sama wzięła kartkę i wprowadziła słowa w czyn. – Gdyby ojciec to zobaczył... Wiesz, że w tym domu nie wolno wspominać imienia twojego brata!

–Nie wspomniałem go, tylko napisałem – odparł Rael ze złością. – On jest moim bratem i będę o nim mówił, kiedy będę chciał! Ruyven, Ruyven, Ruyven... Widzicie!

–Cicho, cicho, Raelu. Wszyscy...

Calinda ugryzła się w język, ale Romilly i tak odczytała nie wypowiedzianą myśl. *Wszyscy tęsknimy za Ruyvenem.*

–Odłóż książkę i biegnij na lekcję jazdy, Raelu – powiedziała Calinda łagodniej.

Rael wrzucił elementarz do szuflady biurka i pognał do drzwi. Romilly z

zazdrością popatrzyła w ślad za bratem i przeniosła chmurny wzrok na robótkę. Po chwili Calinda westchnęła.

–Dziecku trudno jest zrozumieć niektóre rzeczy. Darren przyjedzie do domu w połowie lata. Cieszę się z tego. Rael potrzebuje brata. Patrz na moje palce, Romilly. Trzeba trzy razy okręcić nitkę wokół igły i przeciągnąć. Widzisz, jak chcesz, to potrafisz.

–Ścieg supełkowy jest łatwy – stwierdziła Mallina zadowolona z siebie, podnosząc wzrok znad gładkiego kawałka płótna, na którym spod igły wykwitał kolorowy kwiat.

–Nie wstyd ci, Romilly? Mallina już wyhaftowała dwanaście poduszek do swojej wyprawy, a teraz pracuje nad prześcieradłami.

–Po co mam wyszywać poduszki? – spytała Romilly, przyparta do muru. –

Poduszka jest do siedzenia na niej, a nie do demonstrowania wymyślnych haftów.

Mam nadzieję, że kiedy wyjdę za mąż, mój małżonek będzie patrzył na mnie, a nie na haftowane kwiaty na prześcieradłach!

Mallina zachichotała i splonęła się.

–Och, Romilly, co ty wygadujesz! – przywołała ją do porządku Calinda, ale

uśmiechała się. – Mając własny dom, będziesz dumna z pięknych rzeczy, które go udekorują.

Wątpię, pomyślała Romilly, i z rezygnacją wbiła igłę w materiał. Mallina pochyliła się nad kołdrą ozdobioną aplikacją z białych gwiazdnych kwiatów na niebieskim tle i zaczęła drobnym ściegiem wyszywać wzór na obrzeżeniu.

Rzeczywiście ładne, ale dlaczego miałyby to mieć tak wielkie znaczenie? Pod gładką kołdrą byłoby jej równie ciepło, albo i pod końską derką! Chętnie zrobiłaby coś sensownego, na przykład płaszcz do konnej jazdy albo kaptur dla sokoła, a nie głupi kwiatowy wzorek! Chodziło jedynie o popisywanie się wymyślnymi haftami, których nienawidziła! Z posępną miną pochyliła się nad robótką, ściskając niezdarnie igłę w palcach. Nauczycielka uniosła wzrok znad kartki z rachunkami.

–Umiesz już tyle co ja, Romilly – stwierdziła. – Porozmawiam z dom Mikhailem, czy rządca nie mógłby ci udzielać lekcji prowadzenia ksiąg i rachunków. Szkoda byłoby zaprzepaścić takie zdolności jak twoje.

–Lekcje u rządcy? – dobiegł głos od drzwi. – Nonsens, mestra. Romilly jest za duża, żeby brać nauki u mężczyzny. To byłby skandal. Zresztą po co damie umiejętność prowadzenia ksiąg?

Romilly podniosła głowę i zobaczyła swoją macochę Luciellę.

–Gdybym umiała prowadzić rachunki, nie musiałabym się bać, że zostanę oszukana przez nieuczciwego rządcę.

Luciella uśmiechnęła się łagodnie. Była niską pulchną kobietą o starannie utrefionych włosach i ubraną tak wykwintnie, jakby miała bawić królową na przyjęciu w ogrodzie. – Myślę, że znajdziemy ci męża, który wszystkim się zajmie, córko. – Ucałowała Mallinę w policzek, a Romilly pogłaskała po głowie. – Czy Rael już poszedł na lekcję jazdy? Mam nadzieję, że słońce nie jest zbyt silne. Jeszcze nie doszedł do siebie po chorobie. – Zmarszczyła brwi na widok nierównych ściegów i supłów. – Och, nie, tak nie można! Daj mi igłę, dziecko. Trzymasz ją jak zgrzebło! Spójrz na mnie. Widzisz? Teraz ścieg wychodzi równy. Czy tak nie jest łatwiej?

Romilly niechętnie skinęła głową. Domna Luciella zawsze była dla niej dobra, tylko nie mogła zrozumieć, dlaczego Romilly nie jest taka sama jak Mallina, zwłaszcza że starsza.

–Pokaż mi, jak robisz następny ścieg – powiedziała Luciella. – Widzisz, teraz znacznie lepiej, kochanie. Wiedziałam, że potrafisz, tylko nie chcesz próbować. Masz

zręczne palce. Pisziesz znacznie ładniej niż Mallina. Calindo, przyszłam cię prosić, żebyś dała dzieciom wolne. Czy Rael już pobiegł do stajni? Nie szkodzi. Potrzebuję tylko dziewcząt. Chcę, żeby przymierzyły nowe stroje do konnej jazdy. Muszą być gotowe, kiedy goście zjadą na Letnie Święto.

–Będę miała nowy strój do konnej jazdy, przybrana matko? – pisnęła Mallina. – Jakiego koloru? Czy będzie z aksamitu, jak dla damy?

–Nie, kochanie, twój będzie uszyty z gabardyny, bo jest mocniejsza i trwalsza - odparła Luciella.

–Mam dość noszenia ubrań na wyrost, żeby można je wypuszczać kilkanaście razy – zaczęła marudzić Mallina. – Miejsca przy szwach są potem wyblakłe i wszyscy widzą, że ubranie było podłużane.

–W takim razie musisz przestać rosnać – stwierdziła Luciella dobrotliwie. – Nie ma sensu szyć ci sukni dokładnie na miarę, skoro wyrośniesz z niej w ciągu sześciu miesięcy, a nie masz młodszej siostry, której mogłabyś ją przekazać. Masz szczęście, że w ogóle dostaniesz nowy strój – dodała z uśmiechem. – Powinnaś donosić stary po Romilly, ale wszyscy wiemy, jak ona zdiera stroje do konnej jazdy. Po pół roku zostają z nich strzępy. Nie nadają się nawet dla dziewczek z obory.

–Bo ja jeżdżę na koniu, a nie siedzę mu na grzbiecie wdzierając się do chłopca stajennego – oświadczyła Romilly.

–Małpa! – syknęła Mallina, kopiąc ją ukradkiem w kostkę. – Robiłabyś to, gdyby chciał na ciebie spojrzeć, ale nikt nigdy nie zechce. Wyglądasz jak miotła ubrana w suknię!

–A ty jak tłuste prosię – odparowała Romilly. – I tak nie mogłabyś nosić moich sukien, bo jesteś za gruba od miodowych ciastek, które pożerasz, gdy tylko uda ci się zakraść do kuchni!

–Dziewczęta! Dziewczęta! – zawołała Luciella błagalnie. – Czy zawsze musicie się kłócić? Przyszłam zwolnić was z lekcji. Chcecie siedzieć cały dzień w szkolnej sali i obrębiać ściereczki?

–Oczywiście, że nie, przybrana matko, wybacz mi, proszę – powiedziała Romilly pośpiesznie.

–Mam pozwolić, żeby mnie obrażała? – zapytała Mallina nadąsana.

–Nie, ale ty też nie powinnaś jej obrażać – odparła Luciella z westchnieniem. – Chodźcie, szwaczki czekają.

–Czy będę potrzebna, *vai domna*? – spytała Calinda.

–Nie, możesz pójść odpocząć, mestra. Na pewno tego potrzebujesz po całym ranku spędzonym z moim stadkiem. Lecz najpierw wyślij parobka, żeby poszukał Raela. Mój syn musi dziś przymierzyć nową kurtkę, ale mogę poczekać, aż skończy lekcję jazdy.

Romilly niechętnie poszła za macochą do pokoju szwaczek, jasnego, przestronnego, o dużych oknach i pełnego zieleni. Nie rosły tu kwiaty, bo Luciella była praktyczną kobietą, tylko zioła przyprawowe i lecznicze, które pachniały" słodko w ciepłe słońca wpadającego przez szyby. Luciella miała szczególne upodobanie do koronek i falbanek, więc pamiętając dawne spory Romilly bała się, że nowy strój może okazać się koszmarny. Lecz gdy zobaczyła ciemnozielony aksamit skrojony tak zgrabnie, że podkreślał jej szczupłą figurę, i w dodatku prosty, bez żadnych ozdóbek oprócz białej lamówki przy szyi, w odcieniu, który podkreślał zieleń jej oczu i miedziany połysk włosów, zapłonila się z radości.

–Jest piękny, matko – powiedziała, stojąc nieruchomo, podczas gdy szwaczki upinały na niej suknię szpilkami. – Chyba za dobry dla mnie!

–Potrzebny ci jest taki na polowania w czasie Letniego Festiwalu, kiedy zjadą się goście z Wysokich Turni – stwierdziła Luciella. – Musisz im pokazać, jaką jesteś świetną amazonką, choć uważam, że przydałby ci się koń bardziej stosowny dla damy niż stary Wiatronogi. Rozmawiałam o tym z Mikhailem. Czy przypadkiem nie

ujeżdżałaś sama któregoś?

Romilly gwałtownie wciągnęła powietrze, a macocha uśmiechnęła się. Dziewczynie pozwolono pomagać ojcu przy ujeżdżaniu trzech pięknych karych koni ze stadniny Lanartów. Wszystkie stanowiły teraz chlubę stajni Falconsward. Gdyby ojciec zgodził się dać jednego z nich... Rozmarzyła się na myśl o gnaniu po wzgórzach na ognistym karym rumaku, z Preciosą na ramieniu, i spontanicznie uściskała Luciellę, zaskakując ją.

–Och, dziękuję, dziękuję, macocho!

–Przyjemnie widzieć, że wyglądasz jak dama – powiedziała Luciella, uśmiechając się do Romilly, która w zielonej sukni wyglądała jak z obrazka. – Zdejmij ją, kochanie,

do sfastrygowania. Nie, Daro – rzuciła do szwaczki, która dopasowywała suknię na pełnych piersiach Malliny. – Nie tak obcisłe. To nie przystoi młodej dziewczynie. Mallina nadąsała się.

–Dlaczego wszystkie suknie muszą mieć skrojone jak dziecięce fartuszki? Mam już bardziej kobiecą figurę niż Romilly!

–Rzeczywiście. Jeśli cycki jeszcze bardziej ci urosną, będziesz mogła wynajmować się jako mamka – zadrwiła Romilly i obejrzała krytycznie bujne kształty Malliny.

–Ta suknia zmarnuje się na tobie, bo równie dobrze mogłabyś nosić stare portki Darrena! – odcięła się siostra. – Wolałabyś pewnie biegać ubrana jak chłopak stajenny, w męskich skórzanych spodniach, niczym jedna z Sióstr Mieczowych.

–Dajcie spokój – włączyła się Luciella. – Nie naśmiewaj się z figury siostry, Romilly. Ona po prostu rośnie szybciej. A ty też zamilknij, Mallino. Romilly jest już dorosła i ojciec wydał polecenie, żeby nie jeździła okrakiem, w spodniach i długich butach. Ma dostać odpowiednią suknię i damskie siodło na Letnie Święto, kiedy zjadą

się ludzie z Wysokich Turni. Może przyjedzie Aldaran ze Scathfell z synami i córkami

oraz parę osób ze Stornu.

Mallina pisnęła z radości. Bliźniaczki Scathfella były jej najbliższymi przyjaciółkami. Zimą obfite śniegi odcinały Falconsward od Scathfell i Wysokich Turni. Romilly niezbyt się ucieszyła. Jessamy i Jeralda, mniej więcej w jej wieku, ale pulchne i

miękkie, przypominały jej Mallinę. Stanowiły obrazę dla każdego konia, na którego wsiadały. Bardziej interesował je krój ubiorów do konnej jazdy oraz ozdobne ryszunki niż same wierzchowce albo ich własne umiejętności jeździeckie. Najstarszy chłopak z Wysokich Turni, mniej więcej rówieśnik Ruyvena i zarazem jego najlepszy przyjaciel, traktował Romilly, a nawet Darrena, jak głupiutkie dzieci. Ze Stornu miały się zjawić głównie małżeństwa z dziećmi.

Cóż, może trafi się jej okazja, żeby pojeździć z ojcem i Darrenem, który przybędzie z Nevarsin, i wypuścić choć parę razy Preciosę. Nie będzie tak źle, nawet jeśli przy gościach będzie musiała używać damskiego siodła i nosić kobiecy strój do konnej jazdy zamiast znacznie wygodniejszych spodni i długich butów. Goście zostaną tylko przez kilka dni, więc na ich przywitanie ubierze się przyzwoicie, a potem wróci do ulubionych chłopięcych ubrań. Oczywiście nauczyła się jeździć w spódnicy i na damskim siodle, żeby zadowolić macochę.

Wracając do swojego pokoju, żeby się przebrać, nuciła pod nosem. Może zabierze ze sobą Raela, kiedy pójdzie tresować Preciosę. Użyje do tego przynęty, długiej liny z

przyczepionymi kawałkami mięsa i piórami, którą się kręci nad głową. Mimo poszukiwań nie mogła jednak znaleźć starych butów i spodni Ruyvena, które zawsze nakładała do jazdy.

Klasnęła w dłonie, wzywając pokojówkę, ale zamiast niej zjawiła się stara Gwennis.

–Co się dzieje, nianiu? Gdzie moje spodnie?

–Ojciec wydał ścisłe polecenia i lady Luciella kazała mi je wyrzucić. Te łachmany i tak nie nadawały się nawet dla chłopca stajennego. Twoja nowa suknia wkrótce będzie gotowa, a na razie możesz nosić starą, ptaszyno. – Pokazała na spódnicy do konnej jazdy i tunikę leżące na łóżku. – Chodź, owieczko, pomogę ci ją zasznurować.

–Wyrzuciłaś moje spodnie? – wybuchnęła Romilly. – Jak śmiałaś?

–Och, daj spokój, nie mów tak, kochanie. Wszyscy musimy robić to, co każe lady Luciella, prawda? Ten strój jest jeszcze dobry, nawet jeśli trochę przyciasny w pasie. Zobacz, wypuściłam go trochę wczoraj, po rozmowie z lady Luciella.

–Nie mogę jeździć na Wiatronogim w czymś takim! – Romilly chwyciła

znenawidzoną spódnicy i cisnęła ją przez pokój. – On nie jest przyzwyczajony do damskiego siodła i ja też go nie cierpię. Przecież nie ma jeszcze żadnych gości!

Przynieś mi jakieś spodnie – zażądała.

Gwennis zdecydowanie potrząsnęła głową.

–Nie mogę, kochanie. Twój ojciec wydał wyraźny rozkaz. Nie wolno ci więcej

jeździć w spodniach. I najwyższy czas. Na dekadę przed Letnim Festiwalem skończysz

piętnaście lat. Musimy pomyśleć o twoim zamążpójściu, a jaki mężczyzna zechce

poślubić łobuzicę uganiającą w spodniach jak jakaś markietanka albo jedna z tych

Sióstr Mieczowych, co chodzą z mieczami i przekłutymi uszami? Naprawdę, Romy,

powinnaś się wstydić. Taka duża dziewczynka przesiaduje w sokołami całą noc.

Pora,

by cię wreszcie trochę poskromić, żebyś stała się damą. Włóż spódnicę, jeśli chcesz

jeździć, i dość tych bzdur.

Romilly spojrzała na nianię z przerażeniem. Więc na tym miała polegać kara. To było znacznie gorsze niż bicie. Wiedziała, że od rozkazów ojca nie ma odwołania.

Wolałabym, żeby mnie zbił, pomyślała. Przynajmniej musiałby mieć do czynienia bezpośrednio ze mną, z Romilly, z konkretną osobą. A on tak po prostu oddał mnie Lucielli, żeby przerobiła mnie na damę.

–To obraza dla porządnego konia – wybuchnęła Romilly. – Nie zrobię tego!

Kopnęła nienawistny strój leżący na podłodze.

–Cóż, kochanie, w takim razie możesz zostać w domu jak prawdziwa dama. Nie

musisz jeździć – powiedziała Gwennis zadowolona z siebie. – Spędzasz za dużo czasu w

stajniach. Czas, żebyś trochę posiedziała w domu, a sokoły i konie zostawiła braciom,

tak jak powinnaś.

Wstrząśnięta Romilly przełknęła grudę, która uwięzła jej w gardle. Spojrzała na rozpromienioną nianię.

–Spodziewałam się tego po Lucielli. Ona mnie nienawidzi, prawda? Równie złośliwą

rzecz mogłaby zrobić Mallina, tylko dlatego że sama nie potrafi jeździć konno, ale nie sądziłam, że ty sprzymierzysz się z nimi przeciwko mnie, nianiu!

–Przestań, nie powinnaś tak mówić o swojej przybranej matce – upomniała ją Gwennis, cmokając z naganą. – Powiem ci, że niewiele macoch jest tak dobrych dla dorosłych córek domu jak lady Luciella dla ciebie i Malliny. Ubiera was w piękne rzeczy, choć obie jesteście od niej ładniejsze. Poza tym wie, że Darren będzie tutaj panem, a jej syn tylko młodszym synem, niewiele lepszym od *nedestro*! Twoja rodzona matka już trzy lata temu zakazałaby ci chodzenia w spodniach. Nigdy by ci nie pozwoliła uganiać się jak urwis! Jak możesz mówić, że Luciella ciebie nienawidzi?

Romilly wlepiła wzrok w podłogę. Oczy ją piekły. Niania miała rację. Nikt nie mógłby być dla niej lepszy niż Luciella. Gdyby macocha okazywała mi najmniejszą nieżyczliwość, myślała, gdyby była okrutna, mogłabym z nią walczyć, a tak – co mogę zrobić?

Preciosa na nią czeka. Czy Gwennis naprawdę myśli, że ona zostawi własnego ptaka pomocnikowi sokolnika albo nawet samemu Davinowi? Ręce trzęsły się jej z wściekłości, kiedy nakładała znienawidzony strój z podniszczzonej niebieskiej gabardyny, mimo przeróbek nadal przyciasny w pasie, tak że sznurowanie rozchodziło się, ukazując halkę. Lepiej jeździć w spódnicy niż nie jeździć wcale, ale jeśli oni myślą, że tak łatwo ją ujarzmili, to się mylą!

Czy ona w ogóle mnie pozna w tym idiotycznym przebraniu?

Nachmurzona pomaszerowała w stronę stajen i sokołami, potykając się o niewygodną spódnicę, która zmuszała ją do drobienia kroczkami prawdziwej damy. Tak więc Luciella przekupiła ją pięknym strojem, żeby złagodzić cios? Nie powiedziała jej wprost, że musi wyrzucić spodnie! To do niej podobne, użyć takiej głupiej, podstępnej sztuczki!

Romilly włożyła rękawicę, podeszła do stojaka i wzięła Preciosę na nadgarstek. Wolną ręką pogłaskała ją piórem, które trzymała pod ręką w tym celu. Dotykając

ptaka palcami startaby warstwę ochronną z upierzenia sokoła i uszkodziłaby je. Preciosa wyczuła wzburzenie dziewczyny i poruszyła się niespokojnie. Romilly uczyniła wysiłek, żeby się uspokoić. Zdjęła z haka przynętę z piórami i przywołała Kera.

–Masz świeże mięso dla Preciosy?

–Tak, *damisela*. Dopiero co zabiłem gołębia na obiad i zachowałem jego wnętrzności. Nie minęło nawet dziesięć minut – odparł chłopak.

Romilly podejrzliwie obwąchała mięso i przymocowała je do przynęty. Preciosa wyczuła świeże jedzenie, podskoczyła i zatrzepotała skrzydłami. Romilly przemówiła do niej uspokajająco i ruszyła do drzwi, kopnięciem przerzucając zawadzający skraj spódnicy do tyłu. Wyszła na podwórko i poluzowawszy pęta na nogach ptaka zakręciła liną nad głową. Preciosa poderwała się z ręki Romilly, zatoczyła koło wzbijając się wysoko w powietrze, zapikowała w dół i chwyciła przynętę tuż nad ziemią. Romilly przez chwilę pozwoliła jej jeść spokojnie, po czym dmuchnęła w sokolniczy gwizdek, żeby nauczyć ptaka kojarzenia tego dźwięku z jedzeniem. Nasunęła sokolicy kaptur na głowę i podała przynętę Kerowi.

–Teraz ty zakręć. Chcę zobaczyć, jak Preciosa lata.

Chłopak posłusznie spełnił polecenie, a Romilly wypuściła sokoła, który wzbił się i na gwizdek spadł na zdobycz. Jeszcze dwa razy wykonali próbę i Romilly pozwoliła ptakowi zjeść mięso do końca. Następnie założyła mu kaptur i zaniósła do sokołami. Pogłaskała go piórem, szepcząc pieszczotliwe słowa. Odbierała poczucie więzi i bliskości od najedzonego ptaka. Preciosa uczyła się. Wkrótce poleci samodzielnie, upoluje zdobycz i wróci do swojej pani.

–Osiodłaj mi Wiatronogiego – poleciła i dodała ponuro: – Chyba będziesz musiał wziąć damskie siodło.

Chłopak unikał jej wzroku.

–Przykro mi, *damisela*. MacAran wydał taki rozkaz. Był bardzo zły.

To więc miała być jej kara. Subtelniejsza niż bicie i zupełnie nie w stylu ojca. Wyraźnie rzucały się w oczy subtelne ściegi wykonane ręką Lucielli. Romilly niemal słyszała jej słowa: „Taka duża dziewczyna, a ty pozwalasz jej biegać do stajni, więc dlaczego jesteś zaskoczony? Zostaw ją mnie, a zrobię z niej damę. ”

Romilly już miała powiedzieć stajennemu ze złością, żeby dał spokój, bo damskie siodło jest obrazą dla szanującego się konia, ale w tym momencie Preciosa zatrzepotała skrzydłami, wyczuwając jej gniew. Dziewczyna opanowała się z trudem.

–Dobrze, załóż to damskie siodło.

Preciosa musiała przyzwyczaić się do ruchu konia, a jazda w siodle bokiem była lepsza niż żadna.

Przez resztę dnia Romilly usilnie myślała. Apelowanie do ojca nie miało sensu. Najwyraźniej zdał się na Luciellę w sprawach wychowania. Nowy strój do konnej jazdy stanowił sygnał ostrzegawczy. Z pewnością niedługo w ogóle zabronią jej jeździć konno... Nie, Luciella powiedziała przecież, że zamierzają dać jej dobrego

konia. Lecz będzie na nim jeździła przyzwoicie i bardzo statecznie, bo żaden koń pod damskim siodłem nie zdobędzie się na nic więcej niż lekki kłus. Skrępowana spódnicą, nie wyszkoli odpowiednio sokoła. Na damskim siodle nie przewidziano dla niego miejsca. Wkrótce zabronią jej wstępu do sokołami i stajni, z wyjątkiem krótkich przejażdżek. Co mogła zrobić? Jeszcze nie była pełnoletnia. Skończy piętnaście lat w czasie Letniego Święta, więc na razie musiała słuchać ojca i opiekunów. Miała wrażenie, że wokół niej zamykają się mury.

Po co więc jej *laran*, skoro mogą go używać tylko mężczyźni? Romilly zbierało się na płacz. Dlaczego nie urodziła się mężczyzną? Wiedziała, jaką odpowiedź by otrzymała, gdyby zapytała Luciellę, co ma zrobić z Darem. Przekazać go synom.

Czyżby jedynym celem jej życia miało być urodzenie synów nieznanemu mężczyźnie? Często myślała, że chciałyby mieć dzieci. Pamiętała Raela jako śliczne niemowlę, miękkie i rozkoszne jak szczenię. Lecz zrezygnować ze wszystkiego, siedzieć w domu i tyć jak Luciella, żyć tylko dla dzieci i nie myśleć o sobie? To zbyt wysoka cena nawet jak za uroczę niemowlęta. Romilly z wściekłością zamrugła oczami, powstrzymując łzy. Wiedziała, że jej emocje dotrą do konia i sokoła, więc opanowała się z wysiłkiem.

Musi poczekać. Może ojciec zrozumie, kiedy ochłonie z pierwszego gniewu. I wtedy przypomniała sobie, że przed Letnim Festiwalem przyjedzie Darren i może wstawi się za nią jako jedyny dziedzic ojca. Pogładziła piórem pierś sokoła, żeby go uspokoić, i z nadzieją w sercu ruszyła w stronę Falconsward.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dziesięć dni przed Letnim Świętem, na piętnaste urodziny Romilly, wrócił do domu jej brat Darren.

Rael pierwszy zauważył jeźdźców. Cała rodzina siedziała na tarasie. Pogoda była tak piękna, że Luciella kazała podać śniadanie na szerokim, odkrytym balkonie z widokiem na dolinę Kadarinu. Rael wziął drugi kawałek chleba z miodem i podszedł do balustrady, choć Luciella upomniwała go łagodnie, że powinien grzecznie dokończyć jedzenie siedząc przy stole. Chłopiec przewiesił się przez poręcz i rzucał okruszki chleba na duże liście bluszczu, który piał się po zamkowych murach w stronę tarasu.

–Patrz, mamó – zawołał. – Zbliżają się jacyś jeźdźcy. Jak myślisz, czy jadą do nas?

Tato, widzisz?

MacAran zmarszczył brwi i podniósł kubek do ust.

–Cicho, Raelu. Rozmawiam z twoją matką.

Lecz Romilly już wiedziała, kto nadjeżdża.

–To Darren! – wykrzyknęła, podbiegłszy do balustrady. – Znam jego konia. Biegnę mu na spotkanie!

–Romilly! Usiądź i dokończ śniadanie – zbesztła ją Luciella.

Lecz dziewczyna już była za drzwiami. Warkocze obijały się jej o plecy, kiedy zbiegała po długich schodach. Za sobą słyszała stuk butów Raela. Zaśmiała się na myśl o Lucielli. Spokojny posiłek tym razem został zakłócony na dobre. Romilly oblizwała palce lepkie od miodu i wybiegła na dziedziniec. Rael dogonił ją i zawisł na wielkiej bramie, wołając do parobków, by ją otworzyli:

–To mój brat Darren!

Mężczyźni przybiegli i zaczęli odciągać wierzeje, jeszcze zanim dotarł do nich stukot kopyt. Rael był ulubieńcem wszystkich. Wisiał na bramie śmiejąc się, a

parobkowie ciągnęli ją razem z nim. Podniecony chłopiec zamachał ręką do przybyszów.

–To Darren. Ktoś z nim jest, Romilly. Chodź, zobacz!

Romilly cofnęła się jednak, nagle zawstydzona, gdy uświadomiła sobie, że ma

pośpiesznie i krzywo zaplecione warkocze, umazane miodem palce i usta, a w ręce trzyma kromkę chleba. Rzuciła ją szybko psu podwórzowemu i wytarła usta chusteczką. Skąd ta nieśmiałość? To przecież tylko Darren i jego przyjaciel z klasztoru. Młody MacAran zsunął się z konia, a Rael skoczył na niego i uściskał, trajkocząc tak szybko, że trudno go było zrozumieć. Darren roześmiał się, postawił chłopca na ziemi, podszedł do Romilly i wziął ją w objęcia.

–Wyrosłaś, siostrze. Jesteś prawie kobietą.

–Dziś są jej urodziny, Darrenie. Co jej przywiozłeś? – zaciekał się Rael.

Darren wybuchnął śmiechem. Był wysoki i chudy. Rude włosy opadały na oczy gęstymi lokami, a bladość twarzy świadczyła o zimie spędzonej wśród śniegów Nevarsin.

–Zapomniałem o twoich urodzinach, siostrze. Wybaczysz mi? Dam ci prezent w Letnie Święto.

–Wystarczającym prezentem jest twój przyjazd, Darrenie – odparła Romilly.

Serce ścisnął jej ból. Kochała Darrena, ale Ruyven zawsze był jej najbliższy z rodzeństwa. Mallina natomiast znajdowała wspólny język z Darrenem. Ruyven nigdy już nie przyjedzie do domu. Romilly znowu poczuła nienawiść do Wież, które zabrały jej brata. Przełknęła ślinę, powstrzymując łzy gniewu.

–Ojciec i Luciella jedzą śniadanie – oznajmiła. – Chodź na taras, Darrenie. Powiedz *coridomowi*, żeby kazał zanieść sakwy do twojego pokoju.

Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą, ale brat odwrócił się w stronę nieznanego, który właśnie oddawał konia stajennemu.

–Najpierw poznaj mojego przyjaciela. – Pociągnął młodego człowieka do przodu. –

Alderic Castamir. Moja najstarsza siostra Romilly.

Alderic był jeszcze wyższy od Darrena. Oczy miał stalowoszare i głęboko osadzone, czoło wysokie i złote włosy o miedzianym połysku. Podniszczone ubranie stanowiło dziwny kontrast z bogatym strojem Darrena, który jako najstarszy syn Falconsward miał na sobie rdzawy welwetowy płaszcz obszyty ciemnym futrem. Natomiast płaszcz Castamira wyglądał jak odziedziczony po ojcu albo dziadku, a skromne obszycie z futra rogatego królika miejscami się wytarło.

Zaprzyjaźnił się z młodzieńcem biedniejszym od siebie. Na pewno go tu przywiózł,

bo chłopak nie miał środków na podróż do domu. Darren jest zawsze dobry.

–Miło mi, dom Aldericu – powiedziała uprzejmym, odrobinę protekcyjnym tonem. – Proszę wejść. Właśnie jemy śniadanie. Garin... – Skinęła na służącego. –

Zanieś torby Darrena do jego pokoju, a rzeczy dom Alderica na razie złóż w czerwonej

komnacie. Umieścimy naszego gościa blisko pokoju mojego brata, chyba że lady Luciella zarządzi inaczej.

–Tak, chodźmy. – Darren objął Romilly i Alderica. – Nie mogę iść, kiedy na mnie wiesz, Raelu. Biegnij przed nami!

–Tęsknił za tobą – powiedziała Romilly. – I...

Zamierzała wspomnieć o drugim bracie, ale zreflektowała się. Nie chciała wyciągać spraw rodzinnych przed obcym. Ona i Darren będą mieli dość czasu na rozmowy. Gdy dotarli na taras, Darren wpadł w ramiona Malliny, a Romilly przypadło w udziale przedstawienie Alderica Castamira ojcu.

–Witamy cię w naszym domu, chłopcze – zapewnił MacAran z wielką uprzejmością. – Przyjaciel mojego syna jest zawsze miłym gościem. Jesteś spokrewniony z Valdrinem Castamirem z Highgarth? Byliśmy razem w gwardii, nim król Rafael został podstępnie zamordowany.

–Łączy nas dalekie pokrewieństwo, sir – odparł Alderic. – Nie słyszał pan, że lord Valdrin nie żyje, bo udzielił schronienia wygnanemu Carolinowi? Jego zamek został doszczętnie spalony przez płynny ogień.

MacAran przełknął ślinę.

–Valdrin nie żyje? Byliśmy niegdyś towarzyszami zabaw i *bredin*. Valdrin zawsze niepotrzebnie mieszał się w sprawy wielkich tego kraju.

–Szanuję pamięć lorda Valdrina za jego lojalność wobec naszego prawowitego króla na wygnaniu, sir – oświadczył Alderic chłodno.

–Szacunek na nic się nie zda martwemu ani jego rodzinie, którą wmieszał w spór

między możnymi – stwierdził MacAran gorzko. – Też mi honor dla jego żony i małych

dzieci umrzeć od płynnego ognia, który wypala ciało do kości. Czy dla rozsądnego

człowieka ma znaczenie, jaki osioł ogrzewa tron swoim królewskim tyłkiem, gdy lepsi

zajmują się swoimi sprawami?

Romilly spostrzegła, że Alderic jest gotów ostro odpowiedzieć, ale tylko uklonił się i nic nie powiedział. Nie chciał obrazić swojego gospodarza. Przedstawiona Aldericowi Mallina uśmiechnęła się afektownie. Romilly obserwowała ją z pogardą. Zjawia się

pierwszy lepszy osobnik w spodniach, a ta od razu wypróbowała na nim swoje głupie babskie sztuczki. Nawet na tym obszarpanym politycznym wygnańcu, którego Darren przywiózł z Nevarsin, żeby zjadł parę dobrych posiłków. Chłopak był chudy jak tyczka. Zapewne w klasztorze karmiono ich owsianką z żołądzi i zimną wodą!

–Przyjadą ludzie ze Storn Heights i Aldaranowie ze Scathfell – szczebiotała Mallina. – W czasie Letniego Festiwalu będą przyjęcia, polowania i tańce. – Spojrzała na Alderica spod długich rzęs. – Lubi pan tańczyć, dom Aldericu?

–Niewiele tańczyłem od czasów dzieciństwa – odparł Alderic. – Znam tylko tańce mnichów i nowicjuszy, wykonywane w święto zimowe. Spodziewam się jednak, że mnie nauczysz innych, *damisela*. – Uklonił się obu siostrze.

–Romilly nie tańczy z mężczyznami – oznajmiła Mallina. – Najlepiej czuje się w stajni. Pewnie wolałaby pokazać ci, panie, sokoły i ogary!

–Mallino, idź do lekcji – poleciała Luciella tonem, który wyraźnie sugerował: „Rozprawię się z tobą później, młoda damo. ” – Proszę jej wybaczyć, dom Aldericu. Jest jeszcze dzieckiem i do tego złośliwym.

Mallina rozplakała się i wybiegła z pokoju. Alderic uśmiechnął się do Romilly.

–Ja również czuję się swobodniej w towarzystwie sokołów i koni niż kobiet. Zdaje się, że jeden z koni, które przyprowadziliśmy z Nevarsin, należy do was?

–Należał do... – Darren w porę dostrzegł marsową minę ojca – naszego krewnego, który po drodze zostawił go w Nevarsin.

Romilly zauważyła spojrzenie, które wymienił z Alderikiem, i zorientowała się, że

Darren opowiedział całą historię przyjacielowi. Jak daleko rozeszła się już wieść o skandalu, że syn MacArana pokłócił się z rodziną i uciekł do Wieży?

–Romilly, czy nie powinnaś być w sali szkolnej z panną Calindą? – zapytał ojciec.

–Obiecałaś mi wolne na urodziny – przypomniała Romilly macosze.

–Cóż, skoro obiecałam – stwierdziła Luciella niechętnie. – Pewnie chcesz spędzić czas z bratem. Idź, jeśli chcesz.

Romilly uśmiechnęła się do Darrena.

–Chciałabym ci pokazać mojego nowego *verrin*.

–Romilly sama go wytresowała – wypaplał Rael, a ojciec zmarszczył brwi. – Kiedy Davin był chory, czekała całą noc, aż sokół zacznie jeść. Sokolnik powiedział, że nawet ojciec nie mógł być poradzić sobie lepiej.

–Tak jest, twoja siostra dokonała tego, czego ty byś nie potrafił – przyznał

MacAran szorstko. – Ucz się od niej odwagi i zręczności! To ona powinna być chłopcem, a ty panienką, która nosi spódnicę i cały dzień spędza w domu na pisaniu i haftowaniu.

Darren zaczerwienił się aż po korzonki włosów.

–Nie drwij ze mnie w obecności przyjaciela, ojcze. Zapewniam cię, że zrobię wszystko, na co mnie stać. Jestem taki, jakim stworzyli mnie bogowie. Rogaty królik nie może być rumakiem bojowym i stałby się pośmiewiskiem, gdyby tego próbował.

–Tego ciebie nauczyli przekłęci mnisi?

–Nauczyli mnie, że jestem, jaki jestem – odparł Darren powstrzymując łzy. –

Zrobię jednak wszystko, co mi każesz, ojcze. Najlepiej, jak umiem.

Romilly wyraźnie usłyszała zakazane imię. *To nie moja wina, że nie jestem Ruyvenem ani że on uciekł z domu.*

MacAran zacisnął potężne szczęki. On również odebrał tę myśl.

–Zaprowadź brata do sokołami, Romy, i pokaż mu swojego sokoła – powiedział

nachmurzony. – Może zawstydydzi się i spróbuje tego, co potrafi dziewczyna.

Darren otworzył usta, ale Romilly dała mu kuksańca w żebra. *Idziemy, zanim powie coś gorszego.*

–Chodź z nami, Aldericu, chyba że sokoły cię nudzą – zaproponował Darren stłumionym głosem.

Alderic wypowiedział grzecznościową formułkę, ukłonił się MacAranowi oraz lady Lucielli i ruszył za młodymi gospodarzami.

Od kilku dni Preciosa przebywała wśród wytresowanych sokołów. Romilly wsunęła rękawicę na dłoń i wzięła sokolicę ze stojaka.

–To jest Preciosa – przedstawiła ją towarzyszom z dumą w głosie. – Potrzywasz ją przez chwilę, żebym mogła wziąć linę z przynętami? – zwróciła się do Darrena. – Musi

się nauczyć tolerować inną rękę i głos.

Ale kiedy ruszyła w jego stronę, Darren cofnął się zaskoczony. Preciosa natychmiast wyczuła jego lęk. Romilly uspokoiła ją, głaszcząc piórem.

–Nigdy nie wykonuj gwałtownych ruchów przy sokole – powiedziała nie zastanawiając się nad tym, że jej słowa mogą zabrzmieć jak nagana. – Powinieneś to

wiedzieć! Wystraszysz ją albo pomyśli, że się jej boisz!

–Ja tylko... nie jestem przyzwyczajony do takich dużych i dzikich stworzeń - usprawiedliwił się Darren i przygryzł wargi.

–Dzika? Preciosa? Jest łagodna jak szczeniak – zapewniła Romilly. Skinęła na ucznia sokolnika. – Weź przynęty, Ker.

Gdy wykonał polecenie, sprawdziła mięso krzywiąc się i marszcząc nos.

–Czy takie coś masz i dla innych ptaków? Myślisz, że sokoły są padlinożercami? Pies odwróciłby się od tego z obrzydzeniem! Mówiłam, że Preciosa ma dostawać świeże mięso, choćby myszy, jeśli nie ma nic innego, a nie takie śmierdzące paskudztwo.

–Davin odłożył to dla ptaków, panienko Romilly.

Romilly już zamierzała dać mu burę, na którą zasłużył, ale sokół zatrzepotał gwałtownie skrzydłami, odbierając jej gniew. Dziewczynka wzięła głęboki oddech.

–Porozmawiam z Davinem – oświadczyła spokojnie. – Poproszę go, żeby nie

karmił dobrego sokoła byle czym. Póki co, idź i przynieś świeże mięso dla Preciosy.

Jeśli nie gołębia, to przynajmniej poszczuj któregoś z psów, żeby upolował mysz albo

szczura. Natychmiast.

Ker pobiegł wykonać polecenie, a Darren cofnął się przed silnie bijącymi skrzydłami.

–Widzę, że praca z sokołem utemperowała twój temperament i język, Romy. Bardzo dobrze!

–Chciałabym, żeby ojciec też to zauważył – odparła Romilly, wciąż głaszcząc Preciosę piórem. – Ptaki są jak małe dzieci. Odbierają emocje opiekunów. Pamiętasz niańkę, którą Luciella sprowadziła dla Raela, kiedy był malutki? Zapomniałam, jak miała na imię. Marja, Moyra? Jej starszy syn utonął. Luciella musiała ją odprawić, bo kobieta płakała na widok Raela, przez co dostawał kolki. Dlatego na jej miejsce przyszła Gwennis.

–Nie, tu chodzi o coś więcej – stwierdził Alderic, kiedy wyszli z mrocznej sokołami na dziedziniec wykładany płytami. – Istnieje *laran*, który pierwszy raz ujawnił się u Dellerayow i MacAranów. Empatia pomiędzy człowiekiem a sokołami, końmi i ptakami-zwiadowcami. Rozwinięto go w czasach króla Felixa na potrzeby wojny. U Dellerayów łączył się z pewnym letalnym genem i dlatego zaginął, ale MacAranowie mają ten Dar od pokoleń.

–Błagam, przyjacielu, nie mów o *laran* w obecności mojego ojca – poprosił Darren z niepewnym uśmiechem.

–Czyżby należał do ludzi, którzy nie lubiąc zimna płatków śniegu nazywają je

kwieciami słodkiego orzecha? – spytał Alderic ze śmiechem. – Zawsze słyszałem, że

konie ujeżdżone przez MacAranów są najlepsze na świecie, a dom Mikhail to jeden z

najznakomitszych lordów. Z pewnością wie wszystko o Darach i *laran* rodu swojego i swojej pani.

–Nie znosi tego słowa, odkąd Ruyven uciekł do Wieży – odparł Darren. – Nie winię

go, choć można by sądzić, że zyskałem na ucieczce brata. Romilly, powiem ci coś, póki ojca nie ma z nami, a ty możesz to powtórzyć Mallinie. Rael chyba jest za mały, żeby dochować sekretu, ale sama zdecyduj. W klasztorze dostałem list od Ruyvena. Czuje się dobrze i kocha swoją pracę. Jest szczęśliwy. Przesyła wam wszystkim uściski i całusy oraz prosi, żebym w odpowiednim momencie porozmawiał o nim z ojcem.

–To znaczy, kiedy jabłka i jagody wyrosną na lodowcach Nevarsin – stwierdziła Romilly. – Przecież wiesz, co on czuje.

Darren potrząsnął głową.

–Nie, siostrze, nie jestem takim telepatą jak ty, ale spostrzegłem, że jest gniewny.

Romilly zamrugnęła z niedowierzaniem.

–Nie słyszysz nie wypowiedzianych myśli? Czyżbyś był ślepegłowy jak bezrozumny osioł, na którym jeździsz?

Chłopak spuścił wzrok, a na jego twarz powoli wypełził rumieniec.

–Właśnie tak, siostrze.

Romilly zamknęła oczy, jakby wolała nie patrzeć na jakieś straszne kalectwo. Nie znała przedtem prawdy ani nie domyślała się jej. Uważała za oczywiste, że całe rodzeństwo ma Dar, który dla niej był rzeczą normalną.

Z ulgą odwróciła się do Davina, który szedł przez dziedziniec.

–Czy to ty, przyjacielu, wydałeś polecenie, żeby karmić sokoły odpadkami z kuchni, w dodatku nieświeżymi?

Wskazała na rondel z wnętrznościami. Davin powąchał go i skrzywił się z odrazą.

–Z tego próżniaka nigdy nie będzie sokolnik! Posłałem go po świeże mięso do kuchni, ale lady Luciella oznajmiła, że nie możemy więcej zabijać gołębi na przynętę dla sokołów. Ker oczywiście był zbyt leniwy, żeby nałapać myszy, ale znajdę coś dobrego dla twojego ptaka, panienko Romilly.

–Mogę jej dotknąć? – spytał Alderic.

Wziął pióro z ręki Romilly i pogłaskał nim lśniąca pierś Preciosy.

–Jest rzeczywiście piękna. Próbowałem hodować *verín*, ale bez powodzenia. To

trudna sztuka, chyba że wylęły się w niewoli. Twój sokół był dziki? Kto go oswoił?

–Ja. Nadal z nią pracuję. Jeszcze nie latała samodzielnie – odparła Romilly i uśmiechnęła się nieśmiało na widok jego zdumionej miny.

–Sama ją wytresowałaś? Dziewczyna? Właściwie, dlaczego nie. Przecież jesteś z MacAranów. W Wieży, gdzie przebywałem przez jakiś czas, niektóre kobiety oswajały schwyte *verrin*. Osobie, która odnosiła znaczne sukcesy w pracy z sokołami, mówiliśmy: „Masz do ptaków rękę MacAranów. ”

–Czyżby w Wieżach byli jeszcze jacyś MacAranowie, zanim mój brat znalazł się w jednej z nich? – spytała Romilly. – Nie wiedziałam o tym.

–Powiedzenie to było znane już w czasach mojego ojca i dziadka – odparł Alderic. – Dar MacAranów. – Nie użył słowa „*laran*” rozpowszechnionego na Wzgórzach Kilghardzkich, lecz starego określenia „*donos*” z języka *casta*. – Twój ojciec nie jest zadowolony, że ma syna w Wieży? Większość górali byłaby z tego dumna.

Darren uśmiechnął się z goryczą.

–Nie mam daru obchodzenia się ze zwierzętami i w ogóle do niczego szczególnego poza nauką. Póki Ruyven był dziedzicem, nie miało to znaczenia. Czuję się szczęśliwy w klasztorze wśród braci. Teraz ojciec chce, żebym zajął miejsce brata. To

tak, jakby próbował wbić krzywy gwóźdź.

–Przecież macie jeszcze jednego brata – zauważył Alderic. – Chyba nie jest *nedestro* ani niedorozwinięty umysłowo? Czy ojciec nie może oddać starszego syna do

Świętego Walentego od Śniegów i wychować Rafaela, czy Raela, na pana Falconsward? Albo, zważywszy na to, co potrafi panna Romilly...

Uśmiechnął się szeroko.

–Nie znasz mojego ojca – stwierdził Darren gorzkim tonem.

Romilly poczerwieniała. Czyżby Alderic uważał, że ona mogłaby zająć miejsce Ruyvena w Falconsward?

–Przyniosłem świeże mięso dla sokoła, panienko Romilly – zawołał Davin. –

Kucharka właśnie zabiła drób na obiad i pozwoliła mi wziąć wnętrzności.

**Powiedziałem w kuchni, żeby co rano dla nas odkładali najświeższe resztki.
Odpadki,**

**które przyniósł Ker, jedna z kucharek odłożyła jeszcze wczoraj dla psów, a on był
zbyt**

**zajęty gapieniem się na dziewczki, żeby poprosić o świeże mięso. Nigdy nie będzie z
niego sokolnik! Przysięgam, że chętnie pozbyłbym się go za sekala i zaczął uczyć
małego pana Raela!**

Romilly zachichotała.

**–Luciella miałyby wiele do powiedzenia na ten temat. Poślij Kera do karmienia
świń albo do psiarni. Przecież na pewno znajdzie się ktoś w posiadłości, kto ma
dryg**

do sokołów.

Darren uśmiechnął się niewesoło.

**–Wypróbujcie Garrisa, syna Neldy. Został poczęty w czasie Festiwalu i wiele się
plotkuje o tym, kto go spłodził. Jeśli będzie sobie dobrze radził ze zwierzętami, mój
ojciec zwróci na niego uwagę, o co Nelda nie starała się, bo jest za dumna. Kiedyś
zasugerowałem, że powinien uczyć się razem z Raelem, ale nasza wielka dama, pani
Luciella, wpadła w szał. Myślałby kto, że zaproponowałem, by przy stole zasiadł z
nami świniopas.**

**–Chyba wiesz, że Luciella słyszy tylko to, co chce usłyszeć – stwierdziła Romilly. –
Może uznała, że nieślubnym dzieckiem można się zarazić jak dżumą. – Zaczęła
rozwiązać linę, trzymając Preciosę na nadgarstku. – Do licha, Darrenie, nie możesz
potrzymać jej przez chwilę? Albo chociaż nawleczyć mięso na przynętę. Ona zaraz
zacznie szaleć!**

**–Ja ją wezmę, jeśli nie boisz się powierzyć mi swojego sokoła – zaoferował się
Alderic. – Pójdiesz do mnie, ślicznotko? – Ostrożnie wziął niespokojnego ptaka od
Romilly i posadził sobie na rękę. – Jak ją nazwałaś? Preciosa? Naprawdę jesteś taka
drogocenna, co?**

**Romilly z zazdrością patrzyła, jak zakapturzony sokół sadowi się wygodnie na
przegubie Alderica. Ptak wydawał się zadowolony, więc przystąpiła do obwiązywania**

kawałków mięsa liną, żeby Preciosa nie porwała ich za szybko, tylko musiała wylądować na ziemi i dopiero tam je zjeść, czego musi się nauczyć dobry sokół myśliwski. Źle wytresowane ptaki chwytają przynętę w locie, co czyni je nieprzydatnymi do polowania. Trzeba je nauczyć, by przynosiły zdobycz panu i czekały, aż dostaną swoją część z jego ręki.

–Daj mi linę – poprosił Darren. – Nie potrafię niczego innego, więc przynajmniej na coś się przydam.

–Dziękuję – powiedziała Romilly z wdzięcznością. – Będzie ci łatwiej nią kręcić, bo jesteś wyższy ode mnie.

Wzięła Preciosę od Alderica i posadziła sobie na nadgarstku. Zdjęła jej kaptur i wypuściła w powietrze. Sokół wzbił się na taką wysokość, na jaką pozwalała mu linka. Romilly widziała, jak zwrócił głowę w stronę przecinającej ze świstem powietrze liny z przynętą. Błyskawicznie spadł na nią ze złożonymi skrzydłami. Chwyciwszy zdobycz dziobem i pazurami, wylądował u stóp Romilly. Dziewczyna dmuchnęła mocno w gwizdek, by nauczyć ptaka kojarzenia tego dźwięku z pożywieniem. Wzięła Preciosę na rękę i zdjęła z liny kawałek mięsa.

Sokół błyskawicznie pochylił się w stronę jedzenia i nie mogąc go od razu dosięgnąć przeskoczył bokiem wzdłuż ręki swojej pani, wbijając pazury w okryte tylko cienkim rękawem przedramię, tuż nad rękawicą. Trysnęła krew. Romilly zacisnęła usta i nie krzyknęła, choć na niebieskim materiale sukni pojawiła się czerwona plama.

–Och, siostro! – zawołał Darren.

Wystraszona Preciosa straciła równowagę, spadła z ręki i zatrzepotała gwałtownie skrzydłami, uderzając nimi Darrena w twarz. Romilly sięgnęła po sokoła, ale jej brat wrzasnął w panice i zamachał rękami, żeby odgonić ptaka, którego pazury i dziób znalazły się niebezpiecznie blisko jego oczu. Preciosa wzbiła się w górę, wydając przenikliwy okrzyk wściekłości, ale linka zatrzymała ją raptownie.

–Do diabła, Darrenie, przecież mogła połamać sobie lotki! – syknęła Romilly. – Nie wiesz, że przy sokole nie można wykonywać gwałtownych ruchów? Odsuń się, zanim ją wystraszysz jeszcze bardziej!

–Ty... krwawisz – jęknął Darren.

–I co z tego? – rzuciła Romilly szorstko, odepchnęła go do tyłu, po czym

zagwizdała cicho i pieszczotliwie do Preciosy. – Powinnam była wziąć ze sobą Raela, ty

gamoniu! Wynoś się stąd!

–Oto jakiego mam syna i dziedzica – odezwał się MacAran rozgoryczonym tonem.

Stał w drzwiach sokołami, obserwując trójkę młodych ludzi. Choć był zagniewany,

mówił cicho. Wiedział, że w obecności wystraszonego ptaka nie można podnosić głosu. Ze ściągniętymi brwiami obserwował, jak Romilly sadza ptaka na rękę i rozplątuje linki.

–Nie wstyd ci, Darrenie, że dziewczyna bije cię na głowę w tym, co mojemu

synowi powinno przychodzić z łatwością? Gdybym nie znał dostatecznie dobrze twojej

matki, przysięgłbym, że spłodził cię jakiś włóczęga. Święty Nosicielu Brzemion,

dlatego obarczyłeś mnie takim synem! – Chwycił Darrena za ramię i wepchnął do sokołami.

Romilly usłyszała krzyk brata i zagryzła wargi, jakby cios wylądował na jej plecach.

–Wychodź stąd teraz i spróbuj choć raz zachować się jak mężczyzna! Weź tego

ptaka... Nie, nie w taki sposób! Skaranie boskie! Masz ręce jak młoty! Nie wiem, jak

nimi piszesz. Bierz sokoła i potrenuj z przynętą. Jeśli zobaczę, że chowasz głowę,

przysięgam, że cię zbiję i pošlę do łóżka o chlebie i wodzie jak małego chłopca!

Alderic miał śmiertelnie bladą twarz i zaciśnięte szczęki, ale opuścił wzrok i nie

odezwał się. Romilly nadziała mięso na linę, starając się zachować spokój. Nie chciała jeszcze bardziej spłoszyć Preciosy. Alderic sięgnął bez słowa po linę i zakręcił nią wysoko. Preciosa wzleciała w powietrze. Oboje z Romilly starali się ignorować Darrena, który z czerwoną i opuchniętą twarzą próbował w drugim końcu podwórka niezdarnie zdjąć kaptur obcemu sokołowi. Tylko tyle mogli dla niego zrobić.

Dobrze choć, że próbuje. Może wymaga to od niego większej odwagi niż ode mnie przeciwstawienie się ojcu, myślała dziewczyna. Ja mam Dar. Działam zgodnie ze swoją naturą, a Darren, słuchając ojca, postępuje wbrew sobie. Ścisnęło ją w gardle, jakby zaraz miała się rozplakać, ale powstrzymała łzy. W ten sposób nie pomogłaby Darrenowi. Nic nie mogło mu pomóc oprócz starań, by opanować własną nerwowość. Romilly nie zdołała jednak pozbyć się lekkiej pogardy. Jak on może

partaczyć coś, co jest takie łatwe i proste?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Romilly nie widziała, kiedy przybył pierwszy gość Letniego Festiwalu. Dzień wstał jasny i pogodny. Czerwone słońce wzeszło zza kilku zaledwie chmur widniejących na horyzoncie. Od trzech dni i nocy nie padał deszcz ani śnieg, dziedzińiec pokrył się kwiatami. Romilly usiadła na łóżku podekscytowana. Dzisiaj miała po raz pierwszy wypuścić Preciosę w samodzielny lot.

Był to decydujący sprawdzian dla sokoła i tresera. Często zdarzało się, że ptak wlatywał w niebo, krył się w fioletowych chmurach i nie wracał. Romilly próbowała stawić czoła takiej możliwości. Trudno byłoby jej znieść utratę Preciosy, a było to tym bardziej prawdopodobne w wypadku nieoswojonego sokoła, który kiedyś polował samodzielnie.

Dziewczyna była jednak pewna, że Preciosa wróci. Zrzuciła nocną koszulę i ubrała się odpowiednio na polowanie. Macocha kusząco rozłożyła jej nowy strój z zielonego aksamitu, ale ona założyła znoszoną tunikę, koszulę i stare spodnie Darrena. Niech ojciec się gniewa, jeśli ma ochotę. Ona nie zepsuje sobie pierwszego polowania z Preciosa, martwiąc się, czy nie zabrudzi nowego ubrania.

Wyszędłszy na korytarz, potknęła się o kosz stojący pod drzwiami, tradycyjny świąteczny podarunek od mężczyzn dla matek, sióstr i córek. Ojciec zawsze był hojny. Romilly wstawiła koszyk do pokoju, poszperała w nim, znalazła porządne jabłko oraz trochę słodyczy i upchnęła je po kieszeniach jako prowiant na polowanie. Po namyśle wzięła jeszcze parę przysmaków dla Darrena i Alderica. Przed drzwiami stał jeszcze jeden duży kosz – od Darrena? – oraz mały, niezdarnie posklejany z pasków papieru, który Rael robił ukradkiem w sali lekcyjnej. Napełnił go orzechami zaoszczędzonymi z własnych deserów. Romilly uśmiechnęła się pobłaźliwie. Jaki kochany był ten jej braciszek! Przez chwilę korciło ją, żeby jego również zaprosić na tę przejażdżkę, ale po

zastanowieniu doszła do wniosku, że nie będzie ryzykować gniewu macochy. Później wymyśli dla niego coś specjalnego.

Zeszła cicho do holu, gdzie czekali na nią Darren i Alderic. Już wypuścili psy na dwór. Było dawno po świcie. Cała trójka udała się w stronę stajni.

–Powiedziałem ojcu, że wybieramy się o świcie na polowanie. Pozwolił ci wziąć swojego sokoła, jeśli zechcesz, Aldericu – oznajmił Darren.

–Jest wspaniałomyślny – odparł Alderic i podszedł cicho do ptaka.

–Którego weźmiesz, Darrenie? – spytała Romilly, stawiając sobie Preciosę na

nadgarstku.

Brat spojrział na nią z uśmiechem.

–Chyba wiesz, siostrze, że nie przepadam za sokołami. Gdyby ojciec kazał mi poćwiczyć któregoś ze swoich ptaków, byłbym mu posłuszny, ale nie wydał takiego polecenia. Może to ze względu na święto.

Mówił tak gorzkim tonem, że Alderic spojrział na niego.

–Chyba stara się być dobry, *bredu*.

–Tak. Bez wątpienia.

Darren nie podniósł głowy, kiedy szli do stajni, gdzie już czekały przygotowane dla nich konie.

Romilly posadziła Preciosę na stojaku i osiodłała wierzchowca. Nie chciała zmuszać stajennych do okazania nieposłuszeństwa MacAranowi, ale nie zamierzała jechać dziś na damskim siodle. Pogodziła się z myślą, że ojciec ją ukarze.

Czystą rozkoszą było znowu dosiąść konia w wygodnym stroju i poczuć chłodny poranny wiatr na twarzy. Preciosa siedziała przed nią na siodle, zakapturzona, lecz czujna. Romilly odbierała od ptaka strumień pomieszanych emocji, lecz nie potrafiła ich zidentyfikować. Nie był to strach, podniecenie, ani też, ku jej wielkiej uldze, wściekłość, którą dobrze pamiętała z pierwszych chwil, kiedy zaczęła oswajać sokoła. Gdy wjechali na wzgórze, chmury się rozeszły. Pod kopytami chrzęściła tylko cieniutka warstewka szronu.

–Dokąd jedziemy, Darrenie? – spytał Alderic. – Znasz te wzgórza. Darren roześmiał się.

–Zapytaj lepiej Romilly, mój... – urwał raptownie.

Dziewczyna zauważyła ostrzegawcze spojrzenie, które Alderic rzucił przyjacielowi.

–Moja siostra lepiej zna okolicę i sokoły niż ja, lordzie 'Dericu.

–Chyba na pastwisko dla koni – zdecydowała Romilly. – Zawsze jest tam dużo ptaszków i małych zwierzątek. Poza tym nikt nam nie przeszkodzi.

Gdy wjechali na szczyt, ujrzeli w dole rozległą górską łąkę porośniętą gdzieniegdzie dziką różą i innymi małymi krzewami. Kilka koni skubało trawę zieloną o tej porze

roku, a zboże i krzaki były pokryte kępkami niebieskich i białych kwiatów. Bzyczały owady. Konie uniosły czujnie głowy, ale nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, pasły się dalej spokojnie i tylko jedna mała źrebiczka o patykowatych nogach podbiegła do jeźdźców. Romilly roześmiała się, zsunęła z siodła i pogłaskała ją. Sięgała jej do ramienia.

–Ma na imię Angela – powiedziała. – Urodziła się zimą. Karmiłam ją skórkami z jabłek. Nie, Angelo, to moje śniadanie.

Odsunęła klaczkę, która wpychała jej do kieszeni miękkie chrapy. Zlitowała się jednak, wyciągnęła nóż i ukroiła kawałek jabłka.

–Tylko tyle, bo rozboli cię brzuch.

Źrebiczka najwyraźniej potraktowała jej słowa poważnie, bo odbiegła do matki.

–Jedźmy dalej, bo przybiegnie do nas stary Wietrznik – powiedziała ze śmiechem.

–Jest za stary, żeby klacze zwracały na niego uwagę i ledwo gryzie trawę. Ojciec powiedział, że da mu jeszcze jedno lato. Przed zimą wyśle go na spoczynek. Biedak nie

wytrzymałby kolejnej zimy. Ma chore stawy.

–Będzie mi smutno, jeśli ja dostanę to zadanie – stwierdził Darren. – Wszyscy uczyliśmy się na nim jeździć. Siedziało się na nim jak w bujanym fotelu. – Spojrzał ze smutkiem na starego, na pół ślepego kuca, który pasł się w rogu pastwiska. – Myślę, że ojciec go oszczędził, bo to był pierwszy koń Ruyvena.

–Miał dobre życie i będzie miał dobry koniec – skwitował Alderic. – Koniom nie pozwala się żyć tak długo, by stały się zgrzybiałe i na pół obłąkane. Gdyby ludziom okazywano taką łaskę, nie byłbym... na tronie Hali nie zasiadałby teraz uzurpator, a król nie przebywałby na wygnaniu.

–Nie rozumiem – powiedziała Romilly.

Darren zmarszczył brwi.

–Jesteś chyba za młoda, żeby pamiętać, jak umarł król Felix – odparł Alderic. –

Przeżył ponad sto pięćdziesiąt lat. Był *emmasca*, nie miał synów i dawno postradał rozum. Umieścił na tronie najstarszego syna najmłodszego z braci, chociaż jego

prawowitym następcą był starszy syn drugiego w kolejności brata. Na tronie

Hasturów w Hali zasiada więc lord Rakhal, który pochlebstwami i podstępem omotał

starego, dziecinniałego króla, a przekupstwami i kłamstwami podporządkował sobie

wszystkich Regentów. To postarzały rozpustnik, przy którym nie jest bezpieczna żadna kobieta ani, podobno, młodzi synowie dworzan, jeśli chcą zachować jego łaski. Natomiast Carolin i jego synowie błakają się po drugiej stronie Kadarinu, zdani na łaskę bandytów i rozbójników, którzy chętnie zgarnęliby nagrodę wyznaczoną za ich głowy przez naszego miłościwego lorda Rakhala. Nigdy nie nazwę go królem.

–Znasz wypędzonego króla?

–Młody książę przebywał przez jakiś czas wśród mnichów z Nevarsin – wyjaśnił Darren. – Uciekł jednak na wieść, że lord Rakhal będzie go tam szukał.

–A ty popierasz młodego księcia i wygnanego króla? – spytała Romilly.

–Tak. Gdyby jakiś dobry dworzanin uwolnił starego Felixa od życia, zanim stało się dla niego ciężarem, Carolin rządziłby teraz w Hali jako prawowity król, a święte miasto Hasturów nie stałoby się gniazdem rozpusty i bezprawia, gdzie żaden człowiek nie śmie dochodzić sprawiedliwości bez łapówki, a nowo uszlachceni pankowie i cudzoziemcy szarpią i dzielą między siebie nasz kraj!

Romilly nic nie odpowiedziała. Nie miała pojęcia o dworach ani królach i nigdy nie była dalej niż w podgórskim mieście Neskaya, nie mówiąc o nizinach albo Jeziorze Hali. Sięgnęła do kaptura Preciosy i zawahała się. Wypadalo okazać Aldericowi uprzejmość należną wobec gościa.

–Wypuścisz swego sokoła pierwszy, sir?

Alderic uśmiechnął się i potrząsnął głową.

–Chyba równie mocno jak ty pragniemy zobaczyć, jak udało się szkolenie

Preciosy.

Drżącymi rękami Romilly zsunęła kaptur i ptak otrząsnął pióra. Nadeszła pora na sprawdzenie nie tylko klasy sokoła, ale również jego więzi z panią i wyników treningu. Romilly nie zniosłaby, gdyby ukochany ptak, z którym spędziła tyle nerwowych i ciężkich godzin, poleciał sobie i nigdy nie wrócił. Czy tak czuł się ojciec, kiedy Ruyven uciekł? przemknęło jej przez myśl. Musiała jednak wypróbować sokoła w samodzielnym locie. W przeciwnym razie pozostałby zwykłym oswojonym ptakiem

z klatki, siedzącym tępo na stojaku. Łzy zaćmiły jej wzrok, kiedy uniosła rękę. Poczwała, że Preciosa przez chwilę chwyta równowagę, a potem wlatuje w górę jednym silnym machnięciem skrzydeł.

Długim łukiem poszybowała w słońce. Romilly obserwowała ją pełna niespokojnych myśli. Czy z powodu długiego okresu bezruchu nie straciła umiejętności latania? Jakąś cząstką siebie uniosła się w powietrze razem z sokołem.

Wznosząc się mocnymi uderzeniami skrzydeł, zataczając kręgi, szybując, czwała ogarniającą ją radość bez słów, a na piórach ciepło porannego słońca, którego blask ją oślepiał.

Romilly wypuściła powietrze z płuc. Preciosa odleciała i już nie wróci.

–Obawiam się, że ją straciłaś – odezwał się w końcu Alderic. – Przykro mi, *damisela*.

W Romilly żal i ból walczyły z ekstazą lotu. Część niej uleciała razem z sokołem i zniknęła w oddali. Dziewczyna potrząsnęła głową. Jeśli ptak wybrał wolność, to znaczy, że nigdy nie miałam go naprawdę, myślała. Wolę raczej ją stracić, niż przywiązać do siebie wbrew jej woli.

Dlaczego ojciec nie może tego zrozumieć? Wiedziała, że myśl Darrena wynika z rozgoryczenia. Nie był więc ślepegłowy? A może podobnie jak niegdyś u niej, jego zdolności ujawniały się z rzadka i kapryśnie, w chwilach silnego wzruszenia. Jej *laran* umocnił się, kiedy zaczęła pracować ze zwierzętami, lecz Darren nie miał w ogóle tego daru.

Tak więc Preciosa była wolna, a nadzieje Romilly okazały się złudne. Równie dobrze mogła siedzieć w domu i zajmować się szyciem zamiast kręcić się po sokolarni i próbować męskich zajęć.

Nagle serce w niej zamarło. Przez ogromny ból z powodu straty przebił się strumyk innej świadomości. W dole ukazał się jej świat niczym na jednej z map z podręcznika, tylko że kolorowy i dziwnie wyraźny. Oglądała go wzrokiem silniejszym od swojego. Tu i ówdzie dostrzegała błyski życia, małe ptaszki w locie, zwierzątka w trawie...

Preciosa! Sokół był w kontakcie z nią, nie wyrwał się na wolność! Darren powiedział coś, czego nie usłyszała.

–Nie trać głosu, *bredu*, ona ciebie nie słyszy – dotarł do niej głos Alderica. – Jest z sokołem.

Romilly z nawyku trzymała się na koniu wyprostowana i milcząca, ale w rzeczywistości szybowiała w ekstazie nad górskim pastwiskiem, zmysły mając nadnaturalnie wyostrzone głodem. Wzrokiem i wszelkimi innymi zmysłami odbierała obecność małych ptaszków. Stwierdziła, że mlaska wargami. Gdy dotarła do niej absurdalność sytuacji, niemal zachichotała i zerwała kontakt. Nagle chwycił ją głód i pragnienie niemal seksualne w swojej gwałtowności. Pomknęła w dół długimi pociągnięciami skrzydeł, uderzyła dziobem, poczuła krew tryskającą do gardła, ulatujące życie, śmierć.

Pozostało jej tyle samoświadomości, żeby wyciągnąć pięść i nie ugiąć się pod ciężarem lądującego sokoła i jego zdobyczy. Łzy ciekły jej po twarzy, ale nie miała czasu na emocje. Nożem odcięła głowę ofiary, wepchnęła martwego, bezgłowego królika do torby i dała wygłodniałemu ptakowi należną część. Syciła się razem z nim. Alderic wypuścił swojego sokoła, ale Romilly o tym nie wiedziała. Nakładając Preciosie kaptur szlochała otwarcie z miłości i ulgi.

Preciosa wróciła. Wróciła z własnej woli do pęt i kaptura. Romilly przełknęła łzy, głaszcząc ptaka piórem. Ręce jej drżały.

Co zrobiłam, żeby na to zasłużyć? myślała. Jakim cudem jestem tego warta? Dzikie stworzenie zrezygnowało dla mnie z wolności. Jak się odwdzięczę za ten dar?

Później zjedli jabłka i słodycze, które wzięła ze sobą Romilly i ruszyli w drogę powrotną do Falconsward. Gdy wjechali na dziedziniec, zobaczyli obce konie i chorągiew Aldarana ze Scathfell. Zorientowali się, że przybył najważniejszy gość.

–Czy lordem Scathfell nadal jest stary Gareth? – spytał Alderic zaniepokojony.

–Nie, panie. Gareth ze Scathfell ma nie więcej niż czterdzieści dziewięć lat – odparła Romilly.

Na twarzy Alderica odmalowała się ulga. Romilly podchwyciła pytające spojrzenie, które wymienił z Darrenem.

–Mógłby mnie rozpoznać.

–Nie ufasz prawu... – zaczął Darren i urwał, zerknąwszy na siostrę.

Romilly pochyliła głowę nad sokołem. Czy oni uważają mnie za głupią? myślała. Musiałabym być ślepa, głucha, tępa i ślepogłowa, by nie wiedzieć, że Alderic jest związany ze stronnictwem wygnanego Carolina, a może nawet jest samym młodym księciem. Wiem też, dlaczego ojciec nie może niczego się domyślić.

–Stary Gareth umarł trzy zimy temu – powiedział Darren. – Był prawie ślepy. Czy przyjadą wszyscy Scathfellowie, Romilly?

Zadowolona, że napięcie minęło, Romilly zaczęła wymieniać dorosłych synów i córki lorda Scathfella.

–Nowy dziedzic ma też na imię Gareth, ale mówią na niego Garris zgodnie z nizinną modą. Pochował trzy żony. Myślę, że ma dopiero trzydzieści lat, ale wygląda na starszego i kuleje na jedną nogę.

–Nie lubisz go – stwierdził Alderic.

Romilly uśmiechnęła się szelmowsko.

–Skąd wiesz, lordzie Aldericu? Ale to prawda. Zawsze napastuje panny po kątach. W zeszłym roku obmacywał Mallinę, choć jeszcze nawet nie upinała włosów.

–Lubieżny stary cap! – wybuchnął Darren. – Czy ojciec się dowiedział?

–Nie chcieliśmy kłótni z sąsiadami. Luciella powiedziała tylko Mallinie i mnie, żebyśmy jeśli się da trzymały się od niego z daleka, ale tak, żeby nie okazać nieuprzejmości. Po nim idzie ślepy lord Edric. Jego żona Ruanna prowadzi księgi równie dobrze jak mężczyzna. Są jeszcze bliźniacy Cathal i Cinhil, w wieku Ruyvena. Mają po dwadzieścia dwa lata. Żona Cathala to jedna z moich przyjaciółek z dzieciństwa, Darissa Storn. Cinhil nie jest żonaty. Ojciec kiedyś wspominał o zaręczynach, ale nic z tego nie wyszło, co mnie ucieszyło. Nie chciałabym mieszkać w

Scathfell. Przypomina zbójeckie gniazdo! Choć nie miałabym nic przeciwko towarzystwu Darissy, a Cinhil to dosyć miły chłopak.

–Wydaje mi się, że jesteś jeszcze za młoda na małżeństwo – stwierdził Alderic.

Darren roześmiał się.

–W górach kobiety wcześniej wychodzą za mąż, a Romilly ma już piętnaście lat. Nie wątpię, że z tęsknotą myśli o dniu, kiedy będzie miała własny dom i uwolni się spod

opieki Lucielli. Jest stare powiezenie: „Gdzie dwie kobiety rządzą domowym ogniskiem, strzecha może spłonąć od iskier. ” Myślę jednak, że ojciec mógłby dokonać dla Romilly lepszego wyboru niż jeden z młodszych synów, w dodatku czwarty w kolejności. Lepiej być panią w wiejskiej chacie niż służącą w zamku. Gdy dom Garris znowu się ożeni albo stary Scathfell weźmie sobie żonę, małżonka Cinhila będzie miała najniższą pozycję z nich wszystkich, nie lepszą niż dama do towarzystwa. Darissa była ładna i promienna, kiedy wychodziła za mąż, a teraz wygląda dziesięć lat starzej od Cathala i zupełnie straciła figurę po dzieciach.

–Nie spieszy mi się do małżeństwa – oświadczyła Romilly. – W górach jest dość mężczyzn. Manfred Storn jest dziedzicem Storn Heights, mniej więcej w wieku Darrena, więc kiedy osiągnę odpowiedni wiek, ojciec zapewne porozmawia ze starym lordem Storn. Mają też przyjechać do nas mieszkańcy Wysokich Turni. Jest tam paru nieżonatych synów i kilka niezamężnych córek, więc być może Rael albo ja wejdziemy do tego rodu. – Wzruszyła ramionami. – Jakie to zresztą ma znaczenie? Wszyscy mężczyźni są jednakowi.

Alderic zachichotał.

–Po tych słowach widać, jaka jesteś młoda, panno Romilly. Mam nadzieję, że ojciec nie wyda ciebie za mąż, póki nie dorośniesz na tyle, by odróżniać jednego mężczyznę od drugiego, bo pewnego dnia stwierdzisz, że poślubiłaś ostatniego człowieka na ziemi, którego chciałybyś za męża. Jedziemy do domu? Słońce stoi wysoko, a wasza macocha wspominała o świątecznym śniadaniu. Przechodząc obok kuchni czułem zapach pierników!

Romilly miała nadzieję, że dotrze do swojego pokoju nie zauważona. Chciała się wykąpać i przebrać przed świąteczną ucztą. Lecz idąc korytarzem omal nie wpadła na wysokiego, bladego, tłustawego mężczyznę o jasnych włosach, który wychodził z pokoju kąpielowego, gdzie znajdowały się baseny z gorącą wodą zasilane przez wulkaniczne źródła. Był owinięty w szlafrok, a włosy miał wilgotne i potargane. Najwyraźniej zmywał z siebie zmęczenie po podróży. Romilly dygnęła uprzejmie i nagle przypomniała sobie, że ma na sobie spodnie. Niech to diabli! Gdyby go po prostu minęła, gość wziąłby ją za chłopca na posyłki. Niestety, jego nalaną twarz wykrzywił uśmiech.

–Panna Romilly! – zawołał przesuwając wzrokiem po jej długich nogach. – Co za miła niespodzianka. Ależ masz nogi, dziewczyno! I jakże wyrosłaś. – Jego bladoniebieskie oczy spoczęły na rozchodzącym się sznurowaniu starej tuniki opiętej na pełnych piersiach. – Z przyjemnością zatańczę z tobą dzisiaj, skoro miałem rozkosz zobaczyć to, co większość kobiet tak starannie ukrywa przed swoimi wielbicielami.

Romilly spłonęła rumieńcem, pochyliła głowę i uciekła. Uszy ją paliły. Teraz wiem, myślała przygnębiona, co Luciella miała na myśli, mówiąc, że jestem za duża, żeby biegać w spodniach. Tak na mnie patrzył, jakbym była naga. Przez całe życie chodziła w ubraniach brata, wolna od wstydu i nieśmiałości. Teraz, pod wpływem pożądanego wzroku mężczyzny poczuła się sponiewierana. Piersi ją mrowiły, a w dole brzucha doznawała dziwnych sensacji.

Z łomoczącym sercem schroniła się w swoim pokoju. Podbiegła szybko do umywalki i opłukała twarz zimną wodą.

Luciella miała rację. Dlaczego nic mi nie powiedziała?

Uświadomiła sobie jednak, że gdyby jej cokolwiek powiedziano przed ostatnim doświadczeniem, tylko by się roześmiała. Ręce nadal jej się trzęsły, kiedy rozsznurowywała chłopięcą tunikę. Rzuciła spodnie na podłogę i po raz pierwszy spojrzała na siebie w lustrze jak na kobietę. Była smukła. Piersi dopiero co się zaokrągliły, biodra miała tylko trochę szersze niż u chłopca, zaś długie nogi zupełnie chłopięce. Jeśli jeszcze kiedykolwiek założę męskie ubranie, postanowiła, to tylko dostatecznie luźne, żebym wyglądała jak mężczyzna.

Przez szklane drzwi zobaczyła Mallinę przeglądającą świąteczne koszyki. Też dostała trzy. Romilly sięgnęła po kosz od ojca, gdzie było więcej owoców i słodyczy niż kwiatów. MacAran znalazł się na apetytach dziewczynek, które bywały równie łakome jak chłopcy. Mniejszy koszyk pochodził prawdopodobnie od Darrena. Romilly stwierdziła, że jest pełen ogrodowych i szklarniowych kwiatów, pięknie ułożonych. Znalazła również dwa egzotyczne owoce, które musiał przywieźć z Nevarsin, bo takie nie rosły w okolicach Falconsward. Potem zauważyła kartkę i przeczytała zaskoczona:

„Nie mam siostry ani matki, którym mógłbym dać świąteczny upominek. Przyjmij ten, proszę, wraz z hołdem. Alderic. ”

W tym momencie do jej pokoju wpadła Mallina.

–Romy, jeszcze nie jesteś ubrana? Nie możemy się spóźnić na świąteczne śniadanie! Czy założysz odświętną suknię? Calinda jest u mamy. Zapniesz mi guziki na plecach? Jakie piękne kwiaty, Romy! Ja dostałam same ogrodowe, ale mam też piękną kiść lodowych winogron, słodkich jak miód. Wiesz, że w Nevarsin zostawia się je na drzewach do pierwszych mrozów, żeby straciły kwaśny smak. Romy, jak myślisz,

kim on jest? Wygląda tak romantycznie. Myślisz, że dom Alderic zamierza starać się o

jedną z nas? Byłabym szczęśliwa, gdybym mogła się z nim zaręczyć. Jest taki przystojny i szarmancki, jak bohater z baśni.

–Ależ z ciebie głupiotka trajkotka, Mallino – stwierdziła Romilly, ale uśmiechnęła się. – Myślę, że on po prostu jest dobrze wychowanym gościem. Bez wątpienia matce

równie posłał wspaniały kosz.

–Domna Luciella tego nie doceni. Wciąż uważa, że Festiwalowa Noc jest pogańskim świętem, niegodnym dobrego *crisoforo*. Skrzyczała Calindę, bo ta kazała

Raelowi robić świąteczne koszyki, ale ojciec powiedział, że wszystkim należy się święto i każdy pretekst jest dobry, żeby dać parobkom dzień wolnego i zasłużone podarki. Trzeba pozwolić Raelowi cieszyć się świętem, póki jest dzieckiem. Jeśli jest dobrym chłopcem i przestrzega Księgi Brzemion, będzie dostatecznie dobrym *crisoforo*.

Romilly uśmiechnęła się.

–Ojciec mówi to samo każdego roku, odkąd pamiętam. Nie wątpię, że tak samo jak wszyscy lubi pierniki, ciasto szafranowe i owoce. Cytował z Księgi Brzemion, że zwierzęciu nie można żałować paszy, a pracownikowi zapłaty i wolnego dnia. Ojciec jest surowym, ale sprawiedliwym panem. – Zapięła ostatni guzik i odwróciła siostrę do

siebie. – Ale jesteś ładna, Mally! Całe szczęście, że nie nosisz tej sukni na co dzień.

Trzeba pokojówki, żeby ją pozapinać! Dlatego Luciella kazała uszyć moją odświętną suknię ze sznurowaniem, żeby sama mogła ją założyć.

Zapięła haftowane mankiety koszuli, wsunęła przez głowę długą luźną halkę

haftowaną w motyle i odwróciła się do Malliny, żeby klamrą w kształcie motyla upięła jej z tyłu warkocz tak, by obyczajnie zakrywał kark.

Mallina wybrała z koszyka kwiat do wpięcia we włosy.

–Czy ta róża pasuje do mnie? Jest różowa jak moja suknia. Och, Romy –

westchnęła na poły zgorszona – popatrz! On włożył złoty kwiat, *dorylis*, do twojego koszyka!

–I co z tego, głuptasie? – rzuciła Romilly, wybierając niebieski *kireseth* i wpinając go w zwinięty warkocz.

Mallina chwyciła ją za rękę.

–Nie, nie powinnaś, Romy. Nie znasz języka kwiatów? Złoty kwiat to przecież afrodyzjak. Wiesz, co to oznacza, kiedy mężczyzna ofiarowuje dziewczynie *dorylis*.

Romilly zaczerwieniła się na wspomnienie lubieżnego spojrzenia. Przełknęła ślinę. Czyżby Alderic również patrzył na nią z pożądaniem?

–Bzdura – powiedziała szorstko, odzyskawszy rozsądek. – Jest obcy w tych stronach, to wszystko. Skoro jednak głupie dziewczęta wymyślają niestworzone rzeczy, nie wepnę we włosy tego kwiatu, choć jest najładniejszy ze wszystkich. Sama

coś dla mnie wybierz, siostrze.

Dziewczęta zeszły na rodzinną ucztę, biorąc ze sobą, zgodnie ze zwyczajem, owoce ze świątecznych koszyków, żeby podzielić się z nimi z ojcem i braćmi. Rodzina zebrała się w wielkiej jadalni, zamiast w małym pokoju, gdzie zwykle jadano rodzinne posiłki. Domna Luciella witała gości. Rael założył najlepsze ubranie, zaś Calinda nową suknię, ciemną i skromną jak przystało osobie o jej pozycji, lecz nową i dobrze skrojoną, a nie podniszczoną i donaszaną po rodzinie. Luciella jest dobrą kobietą, nawet dla ubogich krewnych, pomyślała Romilly. Darren również miał na sobie najlepszy strój, podobnie jak Alderic, którego ubranie było ciemne i prostego kroju, stosowne dla studenta z Nevarsin, bez kolorów rodowych i herbu. Romilly przyszło do głowy, że jest jednym z ludzi wygnanego króla albo może nawet samym młodym księciem. Nie, z nikim nie podzieli się tą myślą. Żałowała jednak, że Darren nie powierzył jej sekretu.

Gareth Scathfell, jako osoba najwyższą rangą spośród zgromadzonych, dostał honorowe miejsce przy stole, tradycyjnie przeznaczone dla MacArana. Młode małżeństwa, kawalerowie i niezamężne kobiety zasiedli przy osobnym stole. Romilly

dostrzegła Darissę siedzącą obok Cathala i chciała do niej podejść, ale macocha wskazała jej puste miejsce obok dom Garrisa. Romilly poczerwieniała, ale nie chciała wywoływać kłótni. Usiadła posłusznie, zagryzając wargi. Miała tylko nadzieję, że w obecności rodziców Garrisa nie powie niczego niestosownego.

–Ubrana w strój odpowiedni do urody wyglądasz jeszcze śliczniej, *damisela*.

Słowa i ton były uprzejme, ale Romilly spojrzała z niechęcią na bladą nalaną twarz i nic nie odpowiedziała. Nie mogła jednak się oburzyć, bo dom Garrisa przemówił do niej grzecznie i nie zrobił nic złego.

Stoły zastawiono wszelkimi smakołykami, bo było to jednocześnie śniadanie i obiad. Po pewnym czasie, zanim półmiski zostały opróżnione, do sali weszli muzycy. Odsunięto zasłony, żeby wpuścić letnie słońce, a drzwi otwarto szeroko. Usunięto meble z części sali, żeby zrobić miejsce do tańczenia. Kiedy Darren, jak wymagał zwyczaj, prowadził siostrę do pierwszego tańca, Romilly usłyszała, że mężczyźni rozmawiają przy stole o wypędzonym Carolinie.

–Dla mnie to nie ma znaczenia – oświadczył MacAran. – Nie obchodzi mnie, kto zasiada na tronie, ale nie pozwolę robić z moich ludzi złodziei. Kiedyś MacAranowie władali tą ziemią jak udzielni królowie. Nie mieli wtedy dużo do roboty oprócz utrzymania jej siłą oręża, a ja nie mam ochoty zakładać tutaj obozu wojskowego. Hasturowie mogą sobie rządzić jak chcą, ale potępiam ich bratobójcze wojny!

–Słyszałem, że Carolin i jego starszy syn przekroczyli Kadarin – powiedział lord Scathfell. – Zapewne chcą poszukać schronienia u mojego kuzyna z Aldaranu. Między Hasturami i Aldaranami panuje stara nienawiść.

Ojciec wykrzywił usta w uśmiechu.

–Nikt tak nie pali się do polowania na wilki jak pies z wilczą krwią – stwierdził. –

Czyż i Aldaranowie nie wywodzą się od Hastura?

–Podobno – odparł lord Scathfell kiwając głową. – Nie bardzo wierzę w te

wszystkie bajki o dzieciach Bogów, choć w rodzie Aldaranów występuje *laran*, nawet

wśród moich własnych synów i córek. Zresztą u twoich też. Czy jeden z twoich

synów

nie jest w Wieży, dom Mikhailu?

Ojciec nachmurzył się.

–Bez mojej zgody – rzucił krótko. – Nie nazywam synem tego, który mieszka wśród

***Hali'imyn!* – W jego ustach niewinne słowo zabrzmiało jak zniewaga. Opanował się z**

trudem. – Ale to nie jest rozmowa na świąteczną ucztę. Nie masz ochoty zatańczyć,

panie?

–Zostawię tę rozrywkę młodszym – odparł lord Scathfell. – Lecz ty poprowadź

swoją panią do tańca, jeśli chcesz.

MacAran powiódł lady Luciellę na parkiet.

Po pierwszym ceremonialnym tańcu młodszy goście utworzyli podwójny krąg: mężczyźni na zewnątrz, a kobiety i dziewczęta w środku. Zabawa stawała się coraz huczniejsza. Romilly zauważyła, że Darissa wycofuje się z kręgu, przyciskając rękę do boku. Pobiegła po coś do picia dla przyjaciółki i usiadła obok niej. Darissa miała na sobie luźną suknię. Mimo to rozsznurowała ją trochę i zaczęła się wachlować. Była czerwona na twarzy i zasapana.

–Nie będę już więcej tańczyć, dopóki to małe się nie urodzi – oświadczyła

dotykając nabrzmiałego brzucha. – Ono też hula w najlepsze. Tak będzie do samych

żniw, zwłaszcza kiedy spróbuję zasnąć!

W tym momencie podszedł Cathal i z troską pochylił się nad żoną, ale ona machnęła ręką.

–Idź się bawić, mężu. Posiedzę sobie trochę i porozmawiam z towarzyszką

dziecięcych zabaw. Co porabiasz, Romilly? Nie jesteś jeszcze zaręczona? Masz

piętnaście lat, prawda?

Romilly skinęła głową. Wstrząsnął nią widok przyjaciółki, która jeszcze trzy lata temu była taka ładna i pełna wdzięku. Teraz miała obrzmiałe stopy, jej niegdyś drobne piersi napęczniały rozpychając stanik sukni, wcięcie w talii przestało istnieć. W ciągu trzech lat urodziła dwoje dzieci, a teraz nosiła kolejne! Jakby czytając jej w

myślach, Darissa z goryczą skrzywiła usta.

–Och, dobrze wiem, że nie jestem już taka ładna jak kiedyś. Ciesz się swoim ostatnim rokiem tańców, Romilly. Pewnie w przyszłym roku ty również będziesz siedzieć pod ścianą, w ciąży z pierwszym dzieckiem. Ojciec mojego męża mówił o wyswataniu z Cinhilem ciebie albo może Malliny, którą uważa ją za potulniejszą i bardziej kobiecą.

–Musisz tak szybko mieć następne? – spytała Romilly zdumiona. – Chyba dwoje w ciągu trzech lat wystarczy?

Darissa wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

–Tak to się zdarza. Chyba będę je karmiła sama zamiast oddawać mamce, więc może w tym roku nie zajdę już znowu w ciążę. Kocham moje maleństwa, ale troje na razie mi wystarczy.

–Dla mnie byłoby za dużo na całe życie – oznajmiła Romilly zdecydowanym tonem.

Darissa roześmiała się.

–Tak wszystkie mówimy, kiedy jesteśmy dziewczętami. Lord Scathfell jest ze mnie zadowolony, bo dałam mu już dwóch wnuków. Mam nadzieję, że teraz będzie córka. Chciałabym mieć dziewczynkę. Później pokażę ci dzieci. Są ładne. Mały Gareth ma rude włosy. Może będzie obdarzony *laran* i pójdzie do Wieży.

–Chciałabyś, żeby... – wyszeptała Romilly.

–O, tak – odparła Darissa ze śmiechem. – Wieża Tramontana chętnie by go przyjęła. Aldaranowie wywodzą się od Hastura już od czasów Stu Królestw i łączą ich

stare więzi z Tramontana. – Ściszyła głos. – Nie macie wieści od Ruyvena? Czy wasz

ojciec naprawdę go wydziedziczył?

Romilly skinęła głową i oczy Darissy rozszerzyły się. Ona i Ruyven bawili się razem w dzieciństwie.

–Pamiętam, jak kiedyś w czasie letniego święta przysłał mi świąteczny koszyk.

Nosiłam potem gałązkę złotego kwiatu, którą od niego dostałam, ale na koniec

Festiwalu ojciec zaręczył mnie z Cathalem. Jesteśmy całkiem szczęśliwi, no i mamy

dzieci, jednak miło wspominałam Ruyvena i chętnie zostałabym twoją siostrą, Romilly.

Myślisz, że MacAran wydałby cię za Cinhila, gdyby poprosił on o twoją rękę?

–Nie mogę powiedzieć, żebym nie lubiła Cinhila – stwierdziła Romilly, ale

wzdrygnęła się wewnętrznie. Za trzy lata miałyby być taka jak Darissa: gruba, z

plamami na twarzy, zniekształconym ciałem i krótkim oddechem? – Lecz jedyną

dobrą stroną tego związku byłby fakt, że mogłybyśmy mieszkać razem. Nie spieszy mi

się do małżeństwa. Luciella mówi, że piętnaście lat to za mało, żeby się ustatkować.

Ona wolałaby poczekać, aż skończymy przynajmniej po siedemnaście. Nie kryje się

dobrej sukii podczas pierwszej cieczi.

–Och, Romilly – rzuciła Darissa i poczerwieniała.

Obie zachichotały jak dzieci.

–Ciesz się tańcem, póki możesz, bo wkrótce skończą się dla ciebie zabawy –

poradziła Darissa. – Spójrz, tam stoi ten przyjaciel Darrena z klasztoru. W swoim

ciemnym ubraniu wygląda jak mnich. Jest jednym z nich?

Romilly potrząsnęła głową.

–Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jest przyjacielem Darrena i pochodzi z

Castamirów. – Podejrzenia zatrzymała dla siebie.

–Castamirowie to klan Hasturów! – oznajmiła Darissa. – Ciekawe, czy przyjechał

tutaj z własnej woli. Słyszałam, że trzymają się poprzedniego króla. Twój ojciec

popiera Carolina czy nowego króla?

–Nie sędzę, żeby ojca obchodziło, kto jest królem. W tym momencie stanął przy nich Alderic.

–Panno Romilly, mogę cię prosić do tańca z figurami?

–Zostaniesz sama, Darisso?

–Poproszę Cathala, żeby przyniósł mi szklanę wina – odparła Darissa. Romilly i Alderic dołączyli do sześciu par, z których jedną tworzyli Rael i

jedenastoletnia Jessamy Storn, o pół głowy wyższa od partnera. Tancerze stanęli naprzeciwko siebie. Jako pierwsi ruszyli Darren i Jeralda Storn, trzymając się za ręce i skomplikowanymi figurami okrążając pozostałe pary. Kiedy przyszła kolej Alderica, Romilly z ufnością ujęła jego dłonie, duże i ciepłe. Wcale nie były to miękkie dłonie studenta, lecz zrogowaciałe i silne ręce szermierza. Na pewno nie jest mnichem, pomyślała i skupiła się na tańcu. Pod koniec figury znalazła się na wprost Darrena, a potem Raela. Gdy przy kolejnym obrocie stanęła naprzeciwko Cinhila, ten ścisnął jej rękę i uśmiechnął się, ale ona spuściła wzrok i nie odwzajemniła uśmiechu. Lord Scathfell zamierzał więc ożenić z nią Cinhila, jeszcze w tym roku, żeby rodziła jedno dziecko po drugim jak Darissa. Nic z tego! Pewnego dnia będzie musiała wyjść za mąż, ale nie za tego nieokrzesanego chłopaka! Ojciec nie odczuwał aż tak wielkiego respektu wobec aldarzańskich lordów, zwłaszcza że byli to Aldaranowie ze Scathfell, a nie z Zamku Aldaran. Wprawdzie Scathfell to najbogatszy i najbardziej wpływowy z ich sąsiadów, ale MacAranowie już od czasów zbudowania Caer Donn byli niezależnymi właścicielami ziemskimi!

Raptem znalazła się twarzą w twarz z dom Garrisem, który wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu i chwycił jej rękę. Zapłonila się, ledwo dotykając zimną dłonią jego dłoni, jak tego wymagał taniec. Poczula ulgę, kiedy wreszcie wrócili na swoje miejsca. Muzycy zagrali pierwsze takty nowego tańca i Romilly zobaczyła, że dom Garris idzie w jej stronę. Chwyciła Alderica za rękaw i szepnęła:

–Poprosisz mnie do tańca, dom Aldericu?

–Pewnie – odparł z uśmiechem.

–Wcale nie jesteś niezdara – stwierdziła i odwzajemniła jego uśmiech, gdy zostawili za sobą gapiącego się Garrisa.

–Nie? – Zaśmiał się. – Dawno nie tańczyłem, chyba że z mnichami.

–Tańczysz w klasztorze?

–Czasami, żeby się rozgrzać. Poza tym w trakcie niektórych nabożeństw wykonuje się pewien uświęcony taniec. Studenci, co nie zamierzają zostać braćmi, chodzą do wioski i bawią się w okresie Festiwalu. Ja... – Zawahał się. – Ja mam zbyt mało wolnego czasu.

–Tak cię gonią do nauki? Domna Luciella doszła do wniosku, że Darren jest chudy i blady. Czy dostajecie dość jedzenia i ciepłe ubrania?

Alderic skinął głową.

–Przyzwyczailem się do trudnych warunków – odparł i zamilkł.

Romilly przez dłuższy czas rozkoszowała się rytmem i muzyką.

–Nosisz moje kwiaty – stwierdził, gdy taniec dobiegł końca. – Mam nadzieję, że ci się spodobały?

–Bardzo – odparła zawstydzona.

Włożył *dorylis* do jej koszyka jako zaproszenie, tak jak twierdziła Mallina, czy też po prostu nie znał tutejszych zwyczajów? Miała ochotę zapytać, ale zbyt się wstydziła. Wyglądało jednak na to, że Alderic czyta w jej myślach.

–Darren mi powiedział. Proszę uwierzyć, panno Romilly, że nie miałem niewłaściwych zamiarów. W moich stronach, a pochodzę z nizin, *dorylis* to podarunek lorda Hastura dla Błogosławionej Cassildy. W ten sposób chciałem tylko ci

złożyć wyrazy szacunku z okazji uroczystego dnia, to wszystko.

–Nie sądzę, żebyś był zdolny do niewłaściwego zachowania, dom Aldericu – oświadczyła z uśmiechem.

–Jestem przyjacielem twojego brata. Nie musisz mówić do mnie „dom”. Poza tym polowaliśmy razem.

–Ty też nie nazywaj mnie *damisela*. Bracia i siostra zwracają się do mnie Romy.

–Dobrze. Będziemy dla siebie niczym krewni, tak jak ja z Darrenem. Napijesz się wina?

Znaleźli się właśnie przy stole z przekąskami.

–Nie wolno mi pić wina w towarzystwie – odparła Romilly szczerze.

–Więc może *shallan*? Alderic nalał do szklanki słodkiego napoju owocowego.

Romilly wypita go łąpczywie. Włosy jej się rozwichrzyły w tańcu, ale nie miała ochoty

odchodzić do kąta, w którym chichotały dziewczęta, i upinać na nowo fryzury.

–Lubisz polować z sokołami? – spytała.

–Tak. Kobiety z naszej rodziny szkolą ptaki-zwiadowców. Wypuszczałaś jakiegoś, *darni*... Romi?

Potrząsnęła głową. Tylko widziała te wielkie dzikie ptaki.

–Nie miałam pojęcia, że można je oswoić! Potrafią zabić rogatego królika!

Sądziłam, że nie nadają się do polowań.

–Nie wypuszcza się ich dla sportu, lecz szkoli na wojnę albo do wypatrywania pożarów. Robi się to za pomocą *laran*. Ptak-zwiadowca umie wytropić intruzów, bandytów albo dostrzec pożar lasu. Co prawda są dzikie i niełatwo je oswoić. Myślę jednak, że ty byś potrafiła, Romilly, gdybyś podszkoliła swój *laran*.

–Na pewno wiesz, że to niemożliwe, skoro Darren tyle ci opowiadał. Ptaki-zwiadowcy! – Po plecach przebiegł jej lekki dreszcz, całkiem przyjemny, na myśl o szkoleniu tych wielkich drapieżników. – Chyba równie trudno byłoby je tresować jak ptaki banshee!

Alderic zaśmiał się.

–Słyszałem, że oswaja się je w dalekich górach. Banshee są bardzo głupie i

kierowanie nimi nie wymaga dużych umiejętności. Wystarczy hodować je od pisklęcia

i karmić ciepłym jedzeniem. Zrobią wtedy wszystko, co człowiek zechce. Będą tropić

zwierzynę, idąc za śladami ciepła pozostawionymi na gruncie. Są też doskonałymi

wartownikami, bo wrzeszczą przeraźliwie na każdy obcy zapach.

Romilly zadrżała na myśl o wielkich, ślepych, nielotnych mięsożercach szkolonych

na wartowników.

–Komu potrzebne są banshee, skoro do pilnowania domu wystarczają dobre psy, a przy tym są znacznie miłsze?

–Nie przeczę. Wolałbym raczej wspiąć się bosy na High Kimbi niż oswajać banshee. Zresztą ja bym nie dał sobie rady nawet z ptakiem-zwiadowcą. Nie mam tego daru w przeciwieństwie do niektórych kobiet z naszego rodu. Widziałem, jak się to robi w Wieżach, gdzie trzymają te ptaki, żeby ostrzegały o pożarach. Mają lepszy wzrok niż ludzie.

Rozbrzmiała znowu cicha muzyka.

–Zatańczysz? – spytał Alderic. Romilly potrząsnęła głową.

–Dziękuję, na razie nie. Słońce przygrzewa i zrobiło się ciepło.

Alderic uklonił się komuś stojącemu za nią. Romilly odwróciła się i zobaczyła Luciellę.

–Romilly, nie tańczyłaś jeszcze z dom Garrisem – powiedziała macocha.

–To do niego podobne. Poskarżył się mojej matce zamiast przyjść do mnie jak mężczyzna i poprosić do tańca – rzuciła dziewczyna z pogardą.

–Romilly! On jest dziedzicem Scathfell!

–Nie obchodzi mnie, czy jest dziedzicem schodów do nieba czy dziewiątego piekła Zandru. Jeśli chce tańczyć...

W tym momencie za Luciellą pojawił się dom Garris.

–Zaszczycisz mnie tańcem, panno Romilly? – spytał z uśmiechem na tłustej twarzy.

Nie znalazła pretekstu, żeby mu odmówić. Był gościem jej rodziców, więc nie mogła zachować się nieuprzejmie. Uważała jednak, że powinien bawić się z kobietą w swoim wieku, a nie kręcić wokół młodych dziewcząt. Podała mu dłoń i pozwoliła

zaprowadzić się na parkiet. Ostatecznie nie mógł powiedzieć ani zrobić nic niestosownego w obecności jej ojca i braci oraz tłumu sąsiadów. Jego ręka była nieprzyjemnie wilgotna, ale Romilly uznała, że to nie jego wina.

–Tańczysz lekko jak piórko, *damisela*. Prawdziwa młoda dama! Kto by to pomyślał, widząc cię dzisiaj rano w długich butach i spodniach. Przypuszczam, że kręcą się wokół ciebie wszyscy okoliczni chłopcy?

Romilly w milczeniu potrząsnęła głową. Nienawidziła tego rodzaju rozmów, ale wiedziała, że na jej miejscu Mallina chichotałaby i czerwieniła się. Kiedy taniec się skończył, Garris poprosił ją o następny, ale ona grzecznie odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem. Zaproponował, że przyniesie jej wino albo *shallan*, a kiedy powiedziała, że ma ochotę porozmawiać chwilę z Darissą, usiadł obok nich i uparł się, że będzie ją wachlował. Na szczęście muzycy zagrali kolejny taniec z figurami, do którego ruszyli ochoczo wszyscy młodzi ludzie. Dom Garris w końcu sobie poszedł nachmurzony i Romilly odetchnęła z ulgą.

–Dokonałaś następnego podboju – stwierdziła Darissa.

–Nie sądzę. Równie dobrze mógłby przy dybać pomywaczkę. Taniec ze mną do niczego go nie zobowiązuje. Aldaranowie ze Scathfell stoją zbyt wysoko, żeby koligację

się z naszym klanem, chyba że przez młodszych synów. Ojciec wspominał kiedyś o wydaniu mnie za Manfreda Storna, ale on nie skończył jeszcze piętnastu lat, więc nie

ma pośpiechu. Choć nie stanowią najlepszej partii, jestem zbyt dobrze urodzona, żeby

można mnie było uwieść bez konsekwencji. Poza tym nie lubię go. Gdybym wyszła za

Cinhila, najgorsze byłoby to, że musiałabym nazywać tego tłuściocha bratem. Z drugiej strony, nie wypadałoby mu okazywać większego zainteresowania moją osobą,

niż należy się żonie brata.

–Nie liczyłabym na to – powiedziała Darissa półgłosem. – Kiedy w zeszłym roku

byłam w ciąży z małym Rafaelem, próbował mnie uwieść. Twierdził, że skoro już

noszę dziecko, nie muszę się obawiać niepożądanych skutków. Kiedy go zbeształam,

powiedział, że w dawnych czasach bracia mieli wspólne żony i że Cathal nie miałby nic przeciwko temu, gdybym od czasu do czasu dzieliła z nim łożę. Na pewno wyświadczyłby mu braterską przysługę, bo jego żona jest już bardzo ociężała.

Kopnęłam go w goleń i odparłam, żeby do łoża poszukał sobie służącej i zapłacił jej dobrze, by nie zważała na jego brzydotę. Zraniłam jego dumę, więc nie zbliżył się więcej do mnie. Prawdę mówiąc jest nie tyle odrażający co marudny i zawsze ma

wilgotne ręce. Ponadto za bardzo kocham Cathala, żeby zwiedzać inne łóżka –

dodała pokazując dołeczki w policzkach, jedyną rzecz, jaka nie zmieniła się w niej od czasów,

kiedy obie były dziewczynkami.

Romilly zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Wychowana w posiadłości pełnej zwierząt, doskonale wiedziała, o czym mówi Darissa, ale Luciella, jako gorliwa *crisoforo*, uważała, że dziewczęta nie powinny rozmawiać o takich rzeczach. Darissa źle zrozumiała jej rumieniec.

–Rodzę dzieci bez kłopotów – oznajmiła niemal obronnym tonem. – Nie tak jak żona Garrisa, która tuż przed zimowym świętem umarła przy porodzie. Garris pochował trzy żony starając się o dziedzica. Wszystkie jego dzieci umierają przy narodzinach. Nie chciałabym zająć z nim w ciążę, bo pewnie bym umarła tak jak jego żony. Moja starsza siostra, jako młoda dziewczyna, była przez jakiś czas w Wieży Tramontana. Opowiadała mi o dawnych czasach, kiedy wcielano w życie program rozmnażania. Aldaranowie mieli wówczas rozmaite dziwne *laran*, powiązane w ich linii z genami letalnymi. Wiesz, o czym mówię? Tak, oczywiście, przecież twój ojciec hoduje konie. Cathal jest w porządku, ale dom Garrisa raczej nie zostawi po sobie dziedzica, więc pewnego dnia moi synowie odziedziczą Scathfell – trajkotała Darissa.

–A ty będziesz rządziła jako ich matka – stwierdziła Romilly ze śmiechem.

W tym momencie podszedł do nich Rael i wyciągnął obie do tańca z figurami, gdyż podobno brakowało kobiet do wewnętrznego kręgu. Romilly szybko zapomniała o

rozmowie.

Tańce i ucztowanie trwały przez cały dzień. Przed północą MacAran, lord Scathfell oraz inni starsi goście wraz z żonami udali się na odpoczynek, zostawiając młodych w sali balowej. Guwernantka zabrała Raela i protestującą Mallinę, którą pocieszyło tylko

to, że jej przyjaciółki Jessamy i Jeralda również zostały wysłane do łóżek. Darissa też opuściła salę, mówiąc, że potrzebuje snu. Romilly miała ochotę pójść razem z nimi. Była już zmęczona, ponieważ wstała przed świtem. Lecz Alderic i Darren bawili się w najlepsze, a ona nie chciała przyznać, że brat jest wytrzymalszy od niej.

Będę się trzymać niedaleko Darrena, postanowiła. W jego obecności dom Garris nie odważy się krępować mnie swoją natarczywością. W tym momencie nasza ją refleksja, że właściwie nie wiadomo czego się boi. Przecież Scathfell nie powiedział niczego niestosownego. Jak mogła się skarżyć z powodu jednego spojrzenia? Lecz na wspomnienie porannego spotkania aż się wzdrygnęła i uświadomiła sobie, że przez cały dzień i wieczór czuła na sobie jego wzrok.

Czy to właśnie jest Iaran?

Wolałabym nie tańczyć, stwierdziła, tylko rozmawiać o sokołach i koniach z bratem i jego przyjaciółmi.

Ponieważ jednak Cinhil zaprosił ją do tańca, nie mogła potem odmówić dom Garrisowi, nie okazując nieuprzejmości. Gdy starsi opuścili salę, muzyka stała się żywsza. Od wirowania zakręciło się jej w głowie, a poza tym stwierdziła, że partner trochę za mocno ją obejmuje. Kiedy próbowała mu się wywinąć, dom Garris zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej.

–Nie wmówisz mi, że jesteś taka nieśmiała – mruknął trochę bełkotliwie,

zarumieniony od mocnego wina. – Biegasz w spodniach, pokazując swoje piękne

długie nogi, i w przyciasnej koszuli, która opina ci się na piersiach, więc teraz nie

odgrywaj skromnisi!

Przytulił ją i musnął wargami policzek. Romilly odsunęła się z oburzeniem.

–Nie! Nie podoba mi się odór wina w twoim oddechu. Jesteś pijany, dom Garrisie. Puść mnie.

–A ty powinnaś była wypić więcej – stwierdził lekkim tonem i pokierował nią w tańcu na zewnętrzną galerię. – Pocałuj mnie, Romi.

–Nie jestem dla ciebie Romi – fuknęła odwracając twarz. – Gdybyś nie kręcił się tam, gdzie nie miałeś prawa przebywać, nie zobaczyłbyś mnie w spodniach, które noszę tylko w obecności braci. Jeśli sądzisz, że pokazywałam się specjalnie tobie, to bardzo się mylisz.

–Nie mnie, tylko temu wyniosłemu przyłódkowi *HaWimyn*, który towarzyszył ci na polowaniu? – rzucił ze śmiechem.

–Chcę wrócić do sali – oświadczyła poprawiając rozwichrzone włosy. – Nie przyszłam tu z tobą z własnej chęci. Po prostu nie chciałam urządzić sceny na parkiecie. Odprowadź mnie z powrotem do sali, bo zaraz zawołam brata! A wtedy mój ojciec każe cię oćwiczyć!

Garris roześmiał się i przygarnął ją do siebie.

–Jak myślisz, co robi twój brat? Nie podziękowałby ci, że oderwałaś go od tego, co każdy młody mężczyzna robi w letnią festiwalową noc. Tylko ja mam odejść z niczym? Nie jesteś już dzieckiem. Chodź, daj mi całusa.

–Nie! – krzyknęła Romilly wyrywając się.

–Przepraszam – powiedział Garris łagodnie i puścił ją. – Sprawdzałem cię tylko.

Widzę teraz, że jesteś porządną dziewczyną i niech wszyscy bogowie bronią, żebym miał ci zrobić przykrość.

Z szacunkiem złożył pocałunek na jej przegubie. Romilly zamrugła odpędzając łzy i uciekła z galerii. Wbiegła po schodach do swojego pokoju, zrzuciła odświętną suknię, ukryła się pod własną ciepłą kołdrą i zaczęła szlochać.

Jakże go nienawidziła!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Coroczny festiwalowy bal wydawany przez MacArana stanowił wstęp do wielkiego targu sokołów, psów i koni. Następnego ranka obudził Romilly zgiełk. Na dziedzińcu kłębił się tłum mężczyzn i kobiet, a z pola rozciągającego się za murami dobiegało rżenie koni wystawionych na sprzedaż. Romilly ubrała się pośpiesznie w starą suknię – nie mogła nawet myśleć o założeniu spodni Darrena, póki byli goście – i zbiegła na dół. Na schodach spotkała Calindę.

–Wiedziałam, że nie zdołam zmusić dzisiaj Raela do pracy – powiedziała

nauczycielka. – Nie mam już do niego siły. Ojciec powinien wysłać go do Nevarsin.

Tam dadzą sobie z nim radę. Czy ty też musisz się kręcić po targu, Romilly? No dobrze, idź, skoro chcesz. – Uśmiechnęła się do niej miło. – Będę miała cały dzień na zajęcie się Malliną. Pisanie lepiej jej idzie, kiedy w pobliżu nie ma ciebie i Raela. I tak nie miałybyś głowy do książek, przebywając myślami i sercem na dziedzińcu.

Za to jutro będziesz musiała solidnie popracować – dodała surowo.

Romilly z całej siły, do utraty tchu, uściskała nauczycielkę.

–Dziękuję, Calindo, dziękuję!

Ominęła zdeptane błoto pokrywające dziedziniec i wyszła na pole. Davin demonstrował właśnie jednego z najlepszych sokołów, w którego szkoleniu Romilly miała duży udział. Z przejęciem obserwowała pokaz z przynętą. Wreszcie sokolnik ją zauważył.

–Ten sokół jest silny i drapieżny, ale tak łagodny, że może z nim polować nawet

młoda panienka. Panno Romilly, zademonstrujesz nam?

Romilly założyła rękawicę, a Davin posadził jej ptaka na nadgarstku i zakręcił liną z kawałkami mięsa. Sokół wzbił się w powietrze i błyskawicznym ruchem zaatakował przynętę. Romilly nakarmiła go z ręki, co widzowie przywitali okrzykami zdumienia i podziwu.

–Wezmę tego sokoła dla mojej żony – zdecydował Cathal Aldaran ze Scathfell. – Miała niewiele ruchu, odkąd urodziły się dzieci, więc tak wspaniały ptak zachęci ją do przejażdżek.

–Nie – powiedział stanowczo dom Gareth. – Żadna kobieta mieszkająca pod moim dachem nie będzie polować z takim sokołem. Przyznaję jednak, że twoje metody

szkolenia są znakomite, *messire*. Wezmę dla lady Darissy jednego z mniejszych sokołów. Macie ptaka odpowiedniego dla damy? Panno Romilly, czy możesz mi kogoś doradzić?

–Ja używam *verrin, vai dom* – odparła Romilly skromnie opuszczając wzrok. – Lecz te również są dobrze wyszkolone. – Wskazała na trzy mniejsze ptaki, których rozpiętość skrzydeł nie przekraczała długości jej ramienia. – Myślę, że z tymi Darissa nie miałyby kłopotów. Zapewniam cię jednak, sir, iż ten duży jest tak dobrze wytresowany, że z nim również dałaby sobie radę.

Większe ptaki są lepsze do polowania. Mniejsze sokoły mogą złapać co najwyżej pełną mysz.

–Moje kobiety nie muszą zdobywać mięsa, żeby mieć co włożyć do garnka – prychnął dom Gareth. – Jeśli polują z sokołami, to tylko dla świeżego powietrza i ruchu. Czyżby MacAran pozwalał takiej dużej dziewczynie polować z *verrin*? Wstyd!

Romilly przygryzła wargi. Aldaran nie pochwała kobiet polujących z sokołami, ale może inni mężczyźni nie są tacy zacofani i ograniczeni jak on. Wiedziała jednak, że zuchwała uwaga obraziłaby dobrego sąsiada i klienta jej ojca. Choć Falconsward było niemal samowystarczalne, gotówki zawsze brakowało, a pochodziła ona głównie z corocznego targu. Romilly dygnęła więc lordowi Scathfell i oddała sokoła Davinowi, który zaczął targować się z kupcem. Dziewczyna z niepokojem rozejrzała się po placu. Ojciec mógł za karę wystawić Preciosę na sprzedaż. Na szczęście nigdzie jej nie dostrzegła. W drugim końcu placu ojciec demonstrował dwa najlepsze konie, a psiarczyk umiejętności psów. Szlachcice zaproszeni na wczorajszy bal ocierali się teraz o drobnych właścicieli ziemskich i dzierżawców, którzy kupowali psy do pilnowania stad albo konie odrzucone przez bogaczy. Darren siedział w głębi targowiska i spisywał umowy, pomagając rządcy. Rael biegał w tłumie razem z grupką chłopców w swoim wieku. Twarz i ręce miał brudne, a ubranie podarte.

–Czy możesz pokazać mi konie twojego ojca? – odezwał się Alderic, zjawiając się nagle u boku Romilly. – Chciałbym wymienić swojego kuca na lepszego wierzchowca.

Nie mam za dużo pieniędzy, ale może odpracowałbym różnicę. Myślisz, że twój ojciec byłby tym zainteresowany? Zauważyłem, że wasz *coridom* jest stary i słaby. Zastąpiłbym go przez jakieś czterdzieści dni, póki MacAran nie znajdzie lepszego człowieka. Staruszek mógłby zostać zarządcą dworu.

Romilly spojrzała na niego zdumiona. Już nabrała pewności, że Alderic jest księciem Hasturem w przebraniu, a tu raptem chce się on wynająć MacAranowi do pracy w

zamian za konia.

–Musisz go sam zapytać – odparła uprzejmie. – Mamy parę dobrych koni, które nie są dostatecznie piękne, żeby zwrócić uwagę wysoko urodzonych i będą sprzedane za niższą cenę. Może któryś ci się nada, jeśli będzie dobrze ujeżdżony. Na przykład tamten.

Wskazała na wielkiego niezgrabnego konia brzydkiej brązowej maści w nieregularne czarne plamy. Ogon i grzywa wyrastały mu pod dziwacznym kątem.

–Jest brzydki, ale jeśli przyjrzesz się uważnie jego chodowi, stwierdzisz, że to bardzo silne zwierzę i z charakterem. Nie nadaje się dla damy ani dla słabeusza, który lubi łagodny trucht. Potrzebuje mocnej ręki i dobrego traktowania. Jego ojciec był naszym najlepszym ogierem, natomiast matka klaczą wycofaną ze stada, więc choć nie ma złego rodowodu, jest niezgrabny i nie ma najpiękniejszej maści.

–Rzeczywiście, jego zad wygląda na mocny – stwierdził Alderic. – Wolałbym jednak zajrzeć mu w zęby. Zapewne jest przyuczony do siodła?

–Tak, choć początkowo ojciec zamierzał zrobić z niego konia pociągowego. Jest za duży dla przeciętnego jeźdźca, ale ty jesteś wysoki, więc dla ciebie będzie w sam raz. Ruyven go ujeździł, a ja szkoliłam. – Uśmiechnęła się psotnie. – Ojciec o tym nie wie, a ty nie musisz mu mówić.

–Potrafisz na nim jeździć, *damisela*? – spytał Alderic z niedowierzaniem.

–Nie będę tego udowadniać przy wszystkich, ale wierz mi, że nie zniżyłabym się do kłamstwa. Zresztą i tak byś wiedział, gdybym to zrobiła. – Spojrzała mu na moment w oczy.

–To prawda, Romilly – przyznał z powagą.

–Daję ci słowo, że ten koń jest łagodny, ale potrzebuje silnej ręki. Myślę, że ma poczucie humoru. Jeśli konie potrafią się śmiać, przysięgłabym, że ten śmiał się z ludzi, którzy myśleli, że wystarczy wdrapać mu się na grzbiet i już można na nim jeździć. Zrzucił Darrena w dwie minuty, ale mój ojciec potrafi na nim jeździć nawet

bez wędzidla. Prawdziwy MacAran potrafi nakłonić każdego konia do odpowiedniego zachowania.

–Tak, mówiono mi, że ty też masz Dar. Złożę ofertę twojemu ojcu. Jak myślisz, czy weźmie w zamian mojego kuca?

–O tak, potrzebuje tanich koni, które następnie sprzedaje farmerom, a ci będą je dobrze traktować, choć nie mogą sobie pozwolić na porządniejsze stajnie. Jedną z naszych starych klaczy, za słabą już żeby przez cały dzień nosić młodych, energicznych ludzi, oddał prawie za darmo biednemu starszemu mężczyźnie mieszkającemu w sąsiedztwie. Dzięki temu wysłużona klacz mogła spędzić resztę życia w dobrych warunkach. Zapewne to samo robi z twoim kucem. Bardzo jest stary?

–Nie, ale muszę wrócić w Hellery, a na górskie szlaki nawet latem potrzebny jest silny koń.

–Daleko się wybierasz?

Była ciekawa, co goni Alderica w trudno dostępne góry, ale on zrezygnował z tematu.

–Nie przypuszczałem, że młoda kobieta może być takim znawcą koni. Gdzie tyle się nauczyłaś?

–Jestem z MacAranów. Od dzieciństwa pracowałam u boku ojca, zwłaszcza kiedy Ruyven wyjechał...

Nie potrafiła wyznać komuś spoza rodziny, że po ucieczce najstarszego syna ojciec został bez pomocnika, który dzieliłby jego miłość do zwierząt. Najwidoczniej jednak Alderic zrozumiał, gdyż uśmiechnął się ze współczuciem.

–Lubię twojego ojca. Jest surowy, ale sprawiedliwy. Dużo rozmawia ze swoimi dziećmi.

–A twój ojciec nie?

Alderica potrząsnął głową.

–Od czasu, kiedy wyrosłem z krótkich spodenek, rozmawiałem z ojcem zaledwie kilka razy. Matka wyszła za niego ze względów dynastycznych i niewiele było miłości między nimi. Wątpię, czy powiedzieli do siebie choć jedno uprzejme słowo, odkąd moja siostra została poczęta. Teraz mieszkają w osobnych domach i spotykają się

oficjalnie nie częściej niż kilka razy do roku. Mój ojciec jest dobrym człowiekiem, ale chyba patrząc na moją twarz widzi rysy swojej żony, więc czuje się ze mną nieswojo. Nawet jako dziecko mówiłem do niego „sir”. Rzadko ze sobą rozmawiamy, odkąd dorosłem.

–To musiało być niedawno – rzuciła Romilly próbując się z nim droczyć.

–Zazdroszczę wam – ciągnął z taką goryczą, że odechciało się jej żartów. –

Widziałem, jak Rael bez strachu wdrapuje się na kolana ojca. Nie pamiętam, żebym ja

kiedykolwiek to zrobił ze swoim albo rozmawiał z nim swobodnie. Twój traktuje cię niemal jak przyjaciela i słucha uważnie. Choć mój ojciec zajmuje wysoką... – urwał i na

chwile zapadła niezręczna cisza – wysoką pozycję, wolałbym nie musieć zawsze zwracać się do niego „panie mój”. Przysięgam, że zamieniłbym się z tobą w każdej chwili.

–Może mój ojciec uznałby to za dobry interes – stwierdziła Romilly gorzko, ale wiedziała, że jest niesprawiedliwa. Przecież ojciec ją kochał, choć bywał dla niej surowy. – O, widzisz, akurat nie ma klienta. Idź i złóż mu ofertę na Rudego.

–Dziękuję.

W tym momencie Davin zawołał Romilly, żeby zademonstrowała umiejętności psa, którego sama wytresowała. Dziewczyna zupełnie zapomniała o Aldericu. Przez cały dzień krążyła po placu, zajmując się klientami, prezentując sokoły i psy oraz wyjaśniając ich rodowody. Południowy posiłek składał się z chleba, sera i paru orzechów, które zjadła razem ze stajennymi MacArana. Gdy przed wieczornym deszczem ogłoszono koniec targu i goście zaczęli się rozchodzić, była wygłodniała i brudna. Marzyła o kąpeli, przebraniu się w wygodną znoszoną spódnicę i o rodzinnej kolacji. Idąc przez hol, poczuła smakowity zapach pieczonego mięsa i świeżego chleba. Weszła do jadalni i zajęła swoje miejsce. Rael opowiadał każdemu, kto chciał słuchać, o dniu spędzonym wśród zwierząt. W końcu Luciella uciszyła go.

–Cicho, Raelu, bo będziesz jadł kolację w pokoju dzieciennym. Inni też chcieliby powiedzieć parę słów! Jak ci dzisiaj poszło, mój drogi? – spytała męża.

MacAran pociągnął długi łyk wina, zanim odpowiedział.

–Nieźle. Sprzedałem dobrze Rudego. To świetny koń dla kogoś, kto potrafi dostrzec skarb kryjący się pod brzydką powłoką. Dom Alderic powiedział, że ty mu go poleciałaś, Romilly. – Spojrzał łaskawie na starszą córkę.

–Dobrze zrobiłam, ojcze? Nie chciałam się wtrącać, ale uznałam, że to będzie dobry wierzchowiec dla dom Alderica i... – Rozejrzała się po sali, ale miejsca Darrena i jego przyjaciela były jeszcze puste. – Mówił, że ma niewiele gotówki. Stąd wiedziałam, że karę będą dla niego za drogie.

–Jestem ci wdzięczny. Chciałem oddać Rudego w dobre ręce, ale mało kto potrafiłby z nim się obchodzić. Przy młodym Castamirze był łagodny jak baranek.

Dziękuję ci, córko.

–Tak czy inaczej, Romilly po raz ostatni brała udział w targu – oświadczyła

Luciella. – Jest już dorosłą kobietą, Mikhailu!

–Nie martw się – powiedział MacAran z uśmiechem. – Mam dla was inną nowinę.

Romilly, kochanie, wiesz, że jesteś już w wieku odpowiednim do małżeństwa. Nie sądziłem, że otrzymam tak dobrą propozycję.

Dom Garris ze Scathfell poprosił mnie o twoją rękę, a ja się zgodziłem. Romilly miała wrażenie, że na jej gardle zaciska się lodowata dłoń.

–Ojcze! Tylko nie dom Garris!

Luciella rozpromieniła się, a Mallina pisnęła z podniecenia.

–Daj spokój. – Ojciec uśmiechnął się dobrotliwie. – Chyba nie oddałaś serca komuś innemu? Manfred Storn jeszcze nie jest gotowy do małżeństwa. Sądziłem, że kochasz Darissę i chętnie wejdiesz do tej rodziny, żeby być bliżej niej.

–Myślałam... może Cinhil...

–Jeśli ten młody człowiek igrał z twoimi uczuciami, przełożę go przez kolano i

przetrzepię mu portki – oświadczył MacAran. – Jest za smarkaty, żeby mu rzucić

wyzwanie! Po co poślubiać młodszego syna, skoro można mieć dziedzica, kochanie?

Serce zamarło w Romilly, kiedy przypomniała sobie incydent na galerii. „Tylko cię wypróbowałem. Teraz widzę, że jesteś porządną dziewczyną. ” Gdyby więc lubiła dom Garrisa na tyle, żeby dać się pocałować, nie doszłoby do małżeństwa. Zupełnie jakby to była nagroda za dobre prowadzenie się! A skoro okazała pogardę, stała się warta jego zainteresowania? Oczy ją piekły, ale nie chciała płakać przed ojcem.

–Ojciec, ja go nienawidzę. Proszę, nie każ mi za niego wychodzić!

–Romilly, przecież będziesz lady Scathfell! – wykrzyknęła Mallina. – On jest dziedzicem Scathfell i może pewnego dnia nawet Aldaranu! Aldaranowie wywodzą się

od Hastura!

MacAran gestem uciszył młodszą córkę.

–Romi, małżeństwo nie jest kwestią kaprysu. Wybrałem dla ciebie młodego mężczyznę...

–Nie jest taki młody – wybuchnęła Romilly. – Pochował trzy żony. Wszystkie zmarły przy porodzie!

–To dlatego, że poślubiał kobiety Aldaranów – odparł ojciec. – Każdy hodowca koni powie ci, że nie jest dobrze krzyżować blisko spokrewnione osobniki. Ty nie masz w sobie krwi Aldaranów, więc pewnie dasz mu zdrowe dzieci.

Romilly pomyślała o Darissie, niewiele starszej od niej, ale ociążalej i o zniekształconej figurze. Czy ona będzie taka sama, a jej dzieci spłodzi dom Garrisa o jęklwym głosie i wilgotnych miękkich dłoniach? Na samą myśl o tym dostała gęsiej skórki.

–Dość już gadania – oznajmił MacAran stanowczo. – Wszystkie głupie dziewczęta myślą, że wiedzą, jakiego chcą mężczyzny, ale to starsi muszą za nie podejmować życiowe decyzje. Nie chcę cię poganiać do małżeństwa, ale w czasie żniw wyjdiesz za dom Garrisa. To wszystko, co mam do powiedzenia.

–Sądziłam, że urządzasz targ koni i sokołów, a ty sprzedawałeś również córki! – stwierdziła gorzko Romilly. – Powiedz mi, ojciec, czy dom Garrisa dał dobrą cenę?

Widząc rumieniec, który wypełził na twarz ojca, zrozumiała, że dotknęła go do żywego.

–Nie będę słuchał twoich impertynencji, zuchwała młoda damo!

–Nie wątpię – odparowała. – Wolisz handlować sokołami i końmi, bo one nie potrafią mówić i możesz im zgotować dowolny los!

MacAran rzucił jej ciężkie spojrzenie.

–Pani, twoim zadaniem jest utrzymanie moich córek w ryzach – zwrócił się do

Lucielli. – Zajmij się tym, dobrze? Zjem kolację z rządcą. Nie muszę znosić kłótni przy

rodzinnym stole.

Wstał i wymaszerował z jadalni.

–Och, matko – jęknęła Romilly kładąc głowę na kolanach Lucielli. – Mam poślubić

tego... tego... – szukała właściwego słowa – wielkiego ślimaka? Przypomina mi stworzenie o kilkunastu nogach, które wypęła spod zbutwiałego pnia!

Luciella zdziwiona pogłaskała ją po włosach.

–Uspokój się, dziecko – szepnęła. – Nie będzie tak źle, jak myślisz. Sama

powiedziałaś dom Aldericowi, że nie można sądzić konia po brzydkiej maści. Dom

Garris jest dobrym i uczciwym człowiekiem. W twoim wieku miałam już pierwsze

dziecko, podobnie jak twoja własna matka, Romi. No już, nie płacz – dodała

bezzradnie.

Romilly zrozumiała, że nic nie da się zrobić. Luciella nigdy nie sprzeciwi się jej ojcu. Ona zresztą też. Była tylko dziewczyną i nie miała nic do powiedzenia.

Siedząc w swoim pokoju albo jeżdżąc samotnie po wzgórzach z Preciosą na siodle Romilly zastanawiała się, co mogłaby zrobić. Wyglądało na to, że jest w pułapce. Jeszcze nie zdarzyło się, żeby ojciec zmienił zdanie albo raz podjętą decyzję. Nie chciał na przykład słyszeć o tym, by wybaczyć Ruyvenowi. Teraz również nie zerwie umowy

z dom Garrisem – a może zawarł ją z samym Garethem ze Scathfell – choćby się waliło i paliło. Guwernantkę albo nawet macochę udawało się czasami odwieść od wymierzenia kary, lecz ojciec nigdy nie cofał tego, co powiedział, nawet jeśli zdawał sobie sprawę, że nie ma racji. Na Wzgórzach Kilghardzkich słowo MacArana równało

się słowu Hastura, niczym spisana umowa albo uroczysta przysięga.

A gdyby mu się sprzeciwiła? Nie zdarzyłoby się to po raz pierwszy. Aż skuliła się w sobie na myśl o jego gniewie. Lecz gdy przypomniała sobie wyraz żądy w oczach dom Garrisa, doszła do wniosku, że woli, by ojciec bił ją codziennie przez cały rok, niż oddał temu mężczyźnie. Czyżby go nie znał? Nagle serce w niej zamarło, gdy uświadomiła sobie, że MacAran nigdy nie pozna Garrisa od tej strony, bo on pokazywał ją tylko kobietom, których pożądał.

Jeśli mnie dotknie, zwymiotuję, pomyślała. Pojęła, że musi zaapelować do ojca, nie zważając na jego gniew.

MacArana znalazła w stajni. Doglądał chłopca stajennego, który okładami leczył kolana czarnego kuca po upadku na dziedzińcu. Romilly spostrzegła, że nie jest to odpowiedni moment, gdyż ojciec wyglądał na rozeźlonego i nieprzystępnego.

–Rób dalej okłady – polecił chłopcu. – Gorące i zimne przez co najmniej dwie godziny. Później posyp mu kolana proszkiem *karalla* i dobrze je zabandażuj.

Pilnuj, żeby nie kładł się w gnoju. Zmieniaj słomę co kilka godzin. Tak czy inaczej zostaną mu blizny i będę musiał go sprzedać ze stratą albo zatrzymać do łżejszej pracy w gospodarstwie. Może też zdechnąć, jeśli wda się zakażenie. Czynień ciebie odpowiedzialnym za niego. Jeśli stanie się coś złego, wygarbuję ci skórę, gałganie, bo to przez ciebie upadł! Jeździłeś nieostrożnie! – Gestem nakazał milczenie stajennemu, który chciał zaprotestować. – Nie chcę słyszeć żadnych tłumaczeń. Widziałem, jak pędzisz po bruku! Przeklęty głupcze, powinienem dać cię do uprzątania gnoju, a nie pozwalać na ćwiczenie koni!

Odwrócił się z irytacją i zobaczył Romilly.

–Czego szukasz w stajni, dziewczyno?

–Ciebie, ojcze – odparła siląc się na spokojny ton. – Chciałabym zamienić z tobą słowo, jeśli masz czas.

–Nie mam. Kuc jest ranny i być może już nic z niego nie będzie. Wyszedł jednak ze stajni i oparł się o płot.

–O co chodzi, dziecko?

Romilly przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła na panoramę gór

wznoszących się po drugiej stronie doliny, zielony wygon ze żrebnymi kłaczami, służące, które na podwórzu robiły pranie, parujący kocioł zawieszony nad ogniskiem.

Falconsward było jej równie drogie jak braciom, ale to ona musiała opuścić dom, a oni mogli zostać na zawsze wśród rodzinnych wzgórz i koni, nawet Ruyven, który stąd uciekł. Przełknęła ślinę i poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Dlaczego ona nie może być dziedziczką ojca w miejsce Ruyvena, któremu na tym nie zależało? Dlaczego nie może sprowadzić męża tutaj zamiast wychodzić za nienawistnego jej człowieka i żyć w obcym miejscu...

–O co chodzi, córko? – powtórzył MacAran łagodnie.

Romilly zorientowała się, że dostrzegł jej łzy.

–Ojciec, zawsze wiedziałam, że będę musiała wyjść za mąż i zrobię, co mi każesz, ale dlaczego to musi być dom Garris? Nienawidzę go! Nie mogę znieść! On przypomina mi ropuchę!

Ojciec zmarszczył brwi, ale zaraz nadał twarzy wyraz udawanego spokoju, którego tak się bała.

–Szukałem dla ciebie najlepszej partii, Romi. Dom Garris jest dziedzicem

Scathfell i może zostać dziedzicem Aldaranu, jeśli staruszek umrze bezdzietnie, co wydaje się bardzo prawdopodobne. Nie mogę dać ci dużego posagu, a Scathfell jest dostatecznie bogate, żeby nie dbać o wiano. Dom Garris potrzebuje żony...

–Trzy już wykończył – stwierdziła Romilly z rozpaczą. – A teraz zamierza poślubić kolejną piętnastoletnią dziewczynę.

–Prosił mnie o twoją rękę między innymi z tego powodu, że jego żony były słabego zdrowia i zbyt blisko z nim spokrewnione. Potrzebuje świeżej krwi dla swojego rodu. Jeśli urodzisz mu zdrowego syna, dostaniesz wszystko, o co poprosisz, i będziesz otoczona wielkim szacunkiem.

–A jeśli nie, będę martwa i nikt nie będzie musiał troszczyć się o moje szczęście - wykrzyknęła znów bliska łez. – Ojciec, nie mogę, nie poślubię tego... obmierzłego człowieka! Nie chcę ci się sprzeciwić. Chętnie wyszłabym za kogokolwiek innego... Cinhila albo... dom Alderica...

–Alderica? – Ojciec ujął ją pod brodę i spojrzał w twarz. – Powiedz mi prawdę, dziecko. Czy robiłaś coś, czego nie powinnaś? Dom Garris spodziewa się, że jesteś czysta. Czyżby miał się rozczarować? Czy ten arogancki młody Castamir igrał z

twoimi

uczuciami?

Gość pod moim dachem...

–Dom Alderic nigdy nie powiedział ani nie zrobił nic, czego nie mógłby zrobić w twojej i matki obecności – rzuciła z oburzeniem. – Wymieniłam go, bo nie jest dla mnie odrażający, podobnie jak Cinhil czy każdy inny zdrowy i miły mężczyzna w moim wieku! Lecz ten... obleśny... – Zabrakło jej słów. Przygryzła wargi, żeby się nie rozplakać.

–Romilly, dom Garrisa nie jest taki stary – powiedział ojciec, nadal trzymając jej twarz w dłoniach. – Nigdy nie oddałbym cię lordowi Garethowi albo mężczyźnie, o którym bym wiedział, że ma zły charakter, jest pijakiem, hazardzistą albo utracjuszem. Znam Garrisa od dawna. Jest dobrym, uczciwym i dobrze urodzonym młodym człowiekiem, więc nie powinnaś mówić o nim źle, bo na to nie zasłużył. Uroda przemija. U męża mojej córki szukam honoru, dobrego pochodzenia oraz łagodnego charakteru. Jesteś tylko głupiutką dziewczyną i nie dostrzegasz niczego innego poza przystojną twarzą i umiejętnościami tanecznymi. Małżeństwa dla młodych dziewcząt aranżują ojcowie i matki, bo potrafią ocenić prawdziwą wartość mężczyzny.

Romilly przełknęła ślinę. Ogarnął ją wstyd na myśl o tym, co musi powiedzieć ojcu, ale nie miała wyjścia.

–On patrzy na mnie w taki sposób, jakbym była naga, a kiedy tańczyliśmy, obmacywał mnie.

Ojciec zmarszczył brwi i odwrócił wzrok. Romilly wiedziała, że również jest zakłopotany. Po chwili westchnął.

–On po prostu potrzebuje żony. Po ślubie nie będzie musiał się tak zachowywać.

Przynajmniej wiesz, że nie jest... – Zakaszła, żeby pokryć zmieszanie. – Nie jest kochankiem mężczyzny i nie będzie ciebie zostawiał, żeby trzymać się za ręce z

jednym ze swoich przybocznych, pięknym młodym paziem albo gwardzistą.

Myślę, że będzie dobrym mężem, Romy. Może jest niezręczny i nie umie się zaprezentować, ale zależy mu na twoim szczęściu. Romilly łzy popłynęły z oczu.

–Ojcze, proszę – powiedziała łamiącym się głosem. – Ktokolwiek inny, a

przysięgam, że będę ci posłuszna. Tylko nie dom Garris...

MacAran nachmurzył się i przygryzł wargi.

–Romilly, sprawa zaszła za daleko, żebym mógł się wycofać z honorem.

Scathfellowie to nasi sąsiedzi, a ja jestem zależny od ich dobrej woli. Złamanie

obietnicy byłoby afrontem, którego nie naprawiłbym do końca życia. Gdybym

wcześniej znał twoje uczucia, nigdy bym nie dał słowa. Lecz stało się. Nic już nie można zrobić, dziecko. Jesteś młoda. Szybko się przyzwyczaisz do męża i wszystko będzie dobrze. Zapewniam cię. Teraz rozchmurz się i przestań płakać. Obiecuję ci w prezencie ślubnym parę wspaniałych karoszy, które osobiście ujeździłem. Mam też zamiar dać ci małą farmę w Greyrock, żebyś miała coś własnego. Kazałem Lucielli, by posłała kogoś na targ w Caer Donn po piękny materiał na ślubną suknię, żebyś nie musiała na taką uroczystość ubierać się w samodział. Głowa do góry. Wytrzymaj i sama wybierz sobie konie na prezent. Możesz również poprosić Luciellę o trzy nowe suknie, albo cztery. Niech nakupi ci halek, stroików z piór, czepków i rozmaitych błyskotek. Żadna dziewczyna z gór nie będzie tak wystrojona do ślubu.

Romilly pochyliła głowę. Z góry wiedziała, że sprawa jest beznadziejna. Ojciec dał słowo dom Garrisowi i lordowi Scathfell. Za nic w świecie teraz go nie cofnie.

MacAran mylnie wziął milczenie córki za zgodę i pogłaskał ją po policzku.

–Moja ładna i grzeczna dziewczynka – powiedział niezręcznie. – Jestem z ciebie dumny, dziecko. Żeby tak którykolwiek z braci miał twoją siłę i hart ducha.

–Chciałabym być twoim synem – wybuchnęła Romilly – żebym mogła zostać z tobą w Falconsward.

Ojciec wziął ją łagodnie w ramiona.

–Ja też, córko. Ja też. Lecz człowiek pragnie, a Bogowie dają. Tylko Święty

Nosiciel Brzemion wie, dlaczego obdarował moją córkę przymiotami, których

mężczyzna oczekuje od synów. Świat toczy się, jak chce, a nie tak, jak byśmy sobie

życzyli, Romi.

Poklepał ją delikatnie po plecach. Romilly przytuliła się do niego, płacząc rozpaczliwie, jakby nigdy nie miała przestać.

Później doszła do wniosku, że współczucie ojca tylko pogorszyło sprawę. Gdyby na nią krzyczał, wściekał się i groził biciem, uznałaby, że ma prawo do buntu. Natomiast

wobec tej zaskakującej łagodności mogła jedynie starać się zrozumieć jego punkt widzenia: że jest tylko niemądrą dziewczyną, a troskliwi rodzice robią to, co uważają za najlepsze dla niej, więc byłaby głupia i niewdzięczna, gdyby sprzeciwiała się im.

Próbowała więc udawać zainteresowanie przygotowaniem do ślubu, który miał się odbyć w czasie żniw. Luciella posłała do Caer Donn po pajęczy jedwab na suknię ślubną oraz piękne karmazynowe, niebieskie i fioletowe materiały na nowe stroje. Zamówiła przy okazji tak dużo halek, staników i delikatnej bielizny, że Mallina była otwarcie zazdrosna i obnosiła się z nadąsaną miną, kiedy przystąpiono do szycia.

Pewnego ranka ze Scathfell przybył jeździec. Na siodle przed sobą trzymał klatkę.

–Wiadomość od dom Garrisa, sir, i prezent dla panienki Romilly – oznajmił po przywitaniu na dziedzińcu.

MacAran z nieco zasępioną miną odebrał list i otworzył go.

–Masz lepsze oczy niż ja, Darrenie – zwrócił się do syna. – Czytaj.

Romilly pomyślała oburzona, że jeśli list dotyczył jej osoby, sama powinna go przeczytać. Może MacAran nie chciał, by się okazało, że jest lepiej wykształcona niż brat, który uczył się w Nevarsin. Darren przebiegł list wzrokiem, zmarszczył brwi i zaczął czytać na głos:

–„Pozdrowienia dla MacArana z Falconsward i przyszłej żony przesyła Gareth-Regis Aldaran ze Scathfell. Panna Romilly poinformowała mnie, że poluje z *verńn*, co jest zrozumiałe w wypadku córki najlepszego sokolnika w górach, ale nie przystoi żonie dziedzica Aldaranu. Dlatego pozwalam sobie przesłać jej dwa piękne ptaki, które stosownie ozdobią najpiękniejszy nadgarstek na Wzgórzach Kilghardzkich, by nie musiała polować z sokołami wymagającymi męskiej ręki. Błagam, by przyjęła te wspaniałe ptaki. Ślę je już teraz, żeby mogła do nich przywyknąć. Proszę łaskawie przekazać pozdrowienia mojej obiecaniej żonie, a panu składam wyrazy szacunku, sir. ” – Darren podniósł wzrok. – Na dole jest pieczęć Scathfella.

–Uprzejmy list – skwitował MacAran. – Odkryj klatkę, człowieku.

Posłaniec wykonał polecenie i oczom zebranych ukazały się dwa piękne małe sokoły. Ich kaptury były uszyte z delikatnej szkarłatnej skóry i ozdobione herbem Aldaranów wyhaftowanym złotą nicią. Pęta również błyszcząły od złota. Lśniące pióra świadczyły o zdrowiu ptaków. Na ich widok Romilly wstrzymała oddech.

–Piękny podarunek – stwierdziła. – Proszę zapewnić mojego... przyszłego męża, że jestem mu bardzo wdzięczna i że wypuszczając je będę o nim myślała.

Wzięła jednego z ptaków na rękawicę. Siedział bardzo spokojnie, co oznaczało, że jest doskonale wyszkolony. Nieważne, że małe sokoły nadawały się jedynie do łowienia polnych myszy. Były piękne, a zainteresowanie dom Garrisa jej ogólnie znaną pasją stanowiło dobry znak. W pierwszej chwili pomyślała ciepłej o narzeczonym, ale zaraz opadły ją wątpliwości. Może w ten sposób dawał jej do zrozumienia, że jako jego żona w ogóle nie będzie mogła zajmować się porządnymi sokołami? Przypomniały się jej słowa starego Garetha Scathfella: „To nie przystoi żonie dziedzica Scathfell. ” Podjęła mocne postanowienie, że nigdy nie odda Preciosy, choćby ją namawiano i straszono! Łączyła je zbyt silna więź.

Kiedy pierwszy raz wypuściła małe sokoły – z poczuciem winy, że jest niełojalna wobec ukochanej Preciosy – starała się nawiązać z nimi kontakt, lecz odebrała jedynie lekkie zagubienie i radość lotu. Te niewielkie stworzenia zbyt słabo reagowały na *laran* i nie miały zdolności telepatycznych. Przekonała się już kiedyś parę razy o czymś podobnym próbując nawiązać kontakt z ptaszkami trzymanymi w klatce. Nie bez powodu o głupiej kobiecie mówiło się „ptasi mózdzek"! Romilly obserwowała lot sokołów, ale zabawa szybko ją znudziła. Ptaki rzeczywiście były piękne, ale brakowało jej silnych emocji, porozumienia i poczucia jedności, których doświadczała z Preciosą. Sumiennie polowała z nimi co dzień, ale zawsze z ulgą nakładała im piękne kaptury i wypuszczała Preciosę, wzbijając się razem z nią w niebo, rozkoszując się wolnością i lotem.

Przeważnie towarzyszyli jej Darren i Rael. Alderic dostał pracę *coridoma* i wciąż był zajęty rachunkami, księgami stadnymi oraz nadzorowaniem ludzi we dworze i w stajniach. Rzadko go widywała. Tylko od czasu do czasu zamieniała z nim parę zdawkowych słów przy kominku po kolacji, gdy grał w zamki lub w karty z Darrenem lub MacAranem. Niekiedy podczas długich wieczorów strugał drewniane zabawki dla Raela.

Ona również miała wypełnione dni. Ojciec stwierdził, że córka już nie musi brać lekcji, a ponieważ wkrótce miała wyjść za mąż, plan nauki księgowości ze starym rządcą został zarzucony. Calinda natomiast goniła ją do szycia i uczyła prowadzenia domu, to znaczy nadzorowania pracy kucharek, szwaczek, a nawet dojarek. Te umiejętności wcale nie miały być dziewczynie potrzebne. Nauczycielka twierdziła jednak, że Romilly powinna umieć ocenić, czy służba dobrze pracuje. Lord Gareth był wdowcem i ona miała zostać pierwszą damą w Scathfell. Nie mogła dopuścić, by uznano, że Falconsward jest źle zarządzane, a córka MacArana nie potrafi dopilnować służących. Romilly natomiast wolałaby raczej czyścić stajnie i doić mleczne zwierzęta lub własnoręcznie robić masło. Poza tym była przekonana, że nawet najmłodsza i najmniej zręczna szwaczka jest od niej lepsza, więc jak mogła ją pilnować czy nadzorować, nie mówiąc już o poprawianiu błędów czy strofowaniu? Luciella odszukała jedną ze starych lalek Malliny, ubrała ją w dziecinne łaszki Raela i zaczęła uczyć obie pasierbice, jak trzyma się niemowlę, jak się je kąpie, zmienia pieluszki, zapobiega wysypce i odparzeniom. Romilly nie mogła zrozumieć, na co jej

te nauki, skoro w Scathfell są doświadczone piastunki i Darissa z dwójką dzieci... nie, z trójką. Luciella oświadczyła jednak, że są to podstawowe umiejętności młodej żony. Romilly

nie miała nic przeciwko posiadaniu dzieci – Rael jako niemowlę był rozkoszny – ale nie mogła zapomnieć widoku miękkiej, tłustej i zmęczonej Darissy, nie mówiąc o nieuniknionym procesie płodzenia dzieci. Wychowała się na farmie i często ze skrywaną przyjemnością myślała o tym, że kiedyś będzie miała kochanka, ale gdy wyobraziła sobie w tej roli dom Garrisa – a trzeba jej oddać sprawiedliwość, że miała dobre chęci – dostała mdłości i zawrotów głowy. Podobną reakcję zaczęły wywoływać myśli o dowolnym mężczyźnie. Nie, nie może wyjść za mąż. Ucieknie, wstąpi do Sióstr Mieczowych, będzie nosiła broń i walczyła jako najemniczka jednego z rywalizujących ze sobą królów. Obetnie włosy i przekłuje sobie uszy. W tym momencie uświadomiła sobie, jaka jest głupia. Przecież szybko by ją złapano i sprowadzono do domu. Roiała też szalone plany, żeby po raz ostatni zaapelować do ojca, do macochy, samego lorda Scathfella. Kiedy będą jej nakładać bransoletę, krzyknie „nie!” i zerwie ją. Gdy będą ją prowadzić do sypialni, rzuci się z nożem na dom Garrisa. Z pewnością wtedy wyrzuci ją ze swojego domu, nie będzie jej chciał. Powie mu, jak bardzo się nim brzydzi, a on zrezygnuje z małżeństwa. Wiedziała jednak w głębi duszy, że tak się nie stanie. Musiała wyjść za mąż. Nic nie mogła na to poradzić... i nie była w stanie znieść tej perspektywy!

Lato trwało w najlepsze. Wieczne opady śniegu zmieniły się w krótkie deszcze, a wzgórza pokryły kwiatami. Krzewy orzechowe były obsypane małymi zielonymi kulkami, w których wkrótce miały dojrzeć orzechy. Niemal każdego dnia ona i Mallina zbierały świeże grzyby ze starych drzew, na których założono grzybnię. Romilly pracowicie zrywała jagody i pomagała robić z nich konfitury, pomagała też ubijać masło, więc rzadko miała wolny czas choćby na przejażdżkę, nie mówiąc o ćwiczeniu Preciosy. Codziennie jednak odwiedzała ulubienicę w sokołami i prosiła Darrena lub Alderica, żeby zabrali ją na polowanie. Darren bał się sokołów i unikał ich jak mógł, natomiast Alderic chętnie zabierał Preciosę na siodło, jeśli miał czas.

–Nie spisuje się ze mną dobrze – stwierdził pewnego wieczora. – Myślę, że tęskni za tobą, Romilly.

–Zaniedbuję ją – powiedziała Romilly z poczuciem winy.

Stworzyła więź z dzikim stworzeniem, więc teraz nie mogła go zdradzić. Postanowiła, że następnego ranka, niezależnie od obowiązków, które przydzielala jej Luciella, znajdzie trochę czasu na przejażdżkę z sokołem.

Następnego ranka pracowała z takim zapalem, że Luciella zdumiała się.

–Widzisz, co potrafisz, kiedy chcesz, dziecko!

–Już skończyłam, matko. Mogę wybrać się na polowanie z sokołem? Luciella zawahała się.

–No dobrze. Nie możesz zaniedbywać ptaków podarowanych przez dom Garrisa.

Idź, Romilly, ciesz się świeżym powietrzem.

Romilly pobiegła założyć strój do konnej jazdy i kazała osiodłać konia. Wiedziała, że musi zgodzić się na damskie siodło, bo inaczej w ogóle nie mogłaby jeździć. Potem udała się do sokołami. Na dziedzińcu Darren z ponurą miną ćwiczył sokoła, co nie szło mu za dobrze. Romilly oznajmiła, że wybiera się na polowanie i spytała, czy pojedzie z nią. Brat ochoczo poszedł po konia. Romilly wzięła Preciosę ze stojaka i sięgnęła do niej zmysłami, żeby nawiązać kontakt, ale w tym momencie do sokołami wszedł ojciec.

–Romilly, weź swoje sokoły, a tego zostaw – rzucił ostrym tonem. – *Znasz zdanie* przyszłego męża. Nie przystoi ci polować z *verñn*. Masz swoje ptaki.

–Ojczy! – zaprotestowała rozgniewana. – Preciosa należy do mnie. Sama ją oswoiłam! Jest moja, moja!

Nikt inny nie może jej dotykać! Co złego jest w polowaniu z sokołem, którego sama wyszkoliłam? Pozwalasz, żeby dom Garris mówił ci, co jest dobre dla twojej córki, na twoim własnym podwórzu?

Na twarzy ojca dostrzegła konsternację i wewnętrzną walkę.

–Powiedziałem, żebyś zostawiła tego sokoła i wzięła swojego – powtórzył surowo. –

Nie będziesz mi się sprzeciwiać!

Podszedł do niej dużymi krokami. Preciosa wyczuła wzburzenie Romilly i zatrzepotała dziko skrzydłami. Wzleciała w górę na tyle, na ile pozwalały jej ciasne pęta, i opadła z powrotem na nadgarstek dziewczyny.

–Ojczy, nie mów tak – rzuciła Romilly błagalnie, ścisząc głos, żeby bardziej nie zdenerwować płochliwego ptaka.

MacAran chwycił Preciosę za nogi i postawił ją na stojaku.

–Będziesz mnie słuchać i koniec.

–Ona ma za mało ćwiczeń – przekonywała Romilly. – Musi polatać! MacAran

zniechęcił.

–Masz rację – przyznał i skinął na Darrena.

–Daję ci ją. – Skinieniem głowy wskazał na Preciosę. – Potrzebujesz dobrego sokoła, a ta jest najlepszym, jakiego mamy. Weź ją dzisiaj na polowanie i zacznij się do niej przyzwyczajać.

Romilly otworzyła usta zaskoczona i oburzona. Ojciec nie miał prawa tego robić, ani jej, ani Preciosie! MacAran przytrzymał mocno ptaka, aż ten się uspokoił, i postawił go na przegubie syna. Preciosa zaczęła bić skrzydłami i choć była w kapturze, próbowała go dziobnąć. Darren uchylił się, a ptak stracił równowagę, spadł mu z ręki i zawisł na pętach. Chłopak przytrzymał szarpiącego się sokoła.

–Podnieś ją i uspokój, do diabła! – rzucił MacAran ochryplym szeptem. – Jeśli połamię sobie lotki, przetrączę ci kark, chłopcze!

Darren bezskutecznie próbował zapanować nad ptakiem. W końcu udało mu się posadzić go na rękawicy.

–To... nieuczciwe, sir – powiedział łamiącym się głosem. – Ojczy, błagam cię...

Romilly sama wyszkoliła sokoła, dzięki własnemu *laran*...

–Milcz, młody człowieku! Nie waż się wymawiać tego słowa w mojej obecności!

–Udawanie, że on nie istnieje, nic nie pomoże, sir.

To sokół Romilly. Zasłużyła na niego. Nie chcę go jej zabierać!

–To ja daję ci tego ptaka – oświadczył MacAran, wysuwając gniewnie podbródek do przodu. – Jak śmiesz twierdzić, że sokół wyszkolony w Falconsward nie należy do

mnie? Romilly dostała sokoły od przyszłego męża, a tego tu nie potrzebuje. Weźmiesz

go albo... – Nachylił się do Darrena z płonącymi oczami i urywanym oddechem. – Albo

skręcę mu kark na waszych oczach! Nie pozwolę, by mi się sprzeciwiano!

Wykonał gest, jakby miał zamiar spełnić groźbę.

–Nie! – krzyknęła Romilly. – Nie, ojczy, proszę!

Darrenie, nie pozwól mu. Weź Preciosę. Lepiej, żebyś ty ją wziął.

Darren wziął głęboki oddech, zwilżył wargi i posadził ptaka na swoim przegubie.

–Robię to tylko dlatego, że ty mnie prosisz, Romilly – powiedział drżącym głosem.

–Wyłącznie dlatego, zapewniam cię.

Romilly poszła z piekącymi oczami po jednego z malutkich, bezużytecznych sokołów, które dostała od dom Garrisa. Nienawidziła tych niewielkich, głupich stworzeń. Choć piękne i elegancko przystrojone, były tylko ozdobami, żywymi klejnotami, a nie prawdziwymi sokołami. Kojarzyły się jej z drewnianymi zabawkami Raela! Biedactwa. To nie ich wina, że serce Romilly wyrywało się do Preciosy siedzącej niespokojnie na nadgarstku Darrena.

Mój sokół. Mój. Ten głupiec Darren zepsuje go. Ach, Precioso, Precioso, dlaczego musiało się nam to przytrafić? W tym momencie czuła nienawiść do ojca i do

Darrena, który właśnie niezdarnie umieścił Preciosę na łęku siodła. Dosiadając konia, Romilly nic nie widziała przez łzy. Ojciec kazał sobie przyprowadzić swego wielkiego kościstego siwka. Oznajmił gniewnie, że pojedzie razem z nimi, by dopilnować Darrena. W razie potrzeby własną szpicrutą nauczy go sztuki sokolniczej tak jak alfabetu.

Jadąc ścieżką prowadzącą w dół z Falconsward, wszyscy troje milczeli przygnębieni. Romilly wpatrywała się z nieskrywaną nienawiścią w plecy ojca i Darrena, który wiozł na siodle Preciosę. Sięgnęła do niej *laran* i odebrała takie same pomieszane uczucia niepewności i nienawiści, mącaącego myśli gniewu.

Wkrótce dotarli do rozległej łąki, na której kiedyś wypuszczała sokoły razem z przyjacielskim i pomocnym Alderikiem, a nie z rozgniewanym ojcem. Niezdarnie, szarpiąc w pośpiechu sokoła za pióra, Darren zdjął mu kaptur i wypuścił w powietrze. Romilly sięgnęła zmysłami do Preciosy i poczuła, że w miarę wzbijania się w niebo opuszcza ją furia. Pomyślała z rozpaczą: Niech sobie polec wolno. Nigdy już nie będzie moja. Nie mogę patrzeć, jak Darren się z nią obchodzi. Chce dobrze, ale nie ma ręki ani serca do sokołów. Kiedy dotarła do umysłu i serca ptaka, zapłakała w duszy.

Leć, Precioso! Leć na wolność. Przynajmniej jedna z nas powinna być wolna! Wyżej... wyżej... teraz skręć i polec daleko...

–Romilly, co ci jest? – zapytał ojciec szorstkim głosem. – Wypuść ptaka, dziewczyno!

Romilly z trudem wróciła do rzeczywistości. Wprawnymi dłońmi rozwiązała haftowany kaptur. Mały sokół, lśniący jak klejnot w czerwonym świetle słońca, wzbił się wysoko na wietrze. Romilly obserwowała ptaka nie widząc go. Oczywiście miała pełne łez, a całą świadomością była przy Preciosie.

***Wyżej, wyżej, teraz z wiatrem i dalej, hen, ku wolności...* Ostatnie spojrzenie na panoramę rozciągającą się w dole niczym kolorowy obrazek w podręczniku Raela. Krucha więź zerwała się nagle i Romilly została sama, z pustymi rękami i sercem. Usłyszała ostry pisk małego sokoła, który upolował w wysokiej trawie jakiegoś małego gryzonia i po chwili wylądował na jej siodle. Automatycznym gestem rozerwała drobne mysie ciało i nakarmiła nim ptaka, ale w sercu miała pustkę.**

Preciosa. Odleciała. Odleciała. Nigdy więcej...

Ojciec zadarł głowę i przeszukał wzrokiem niebo w miejscu, gdzie zniknął ptak.

–Długo jej nie ma – stwierdził. – Romilly, czy pozwalałaś jej oddalać się poza zasięg wzroku?

Romilly potrząsnęła głową. MacAran czekał bez ruchu. Darren też patrzył w górę z rozdziawionymi ze strachu ustami. Wszyscy troje czekali.

–Straciłeś ją, gamoniu! – zawołał w końcu MacAran ze złością. – Nasz najlepszy sokół, a ty od razu go tracisz. Jesteś nic niewart. Nie nadajesz się do niczego oprócz gryzmolenia.

Opuścił szpicrutę na plecy syna. Darren jęknął, bardziej ze zdumienia niż z bólu, ale Romilly na ten dźwięk zeskoczyła z konia i rzuciła się między ojca i brata, tak że następne ciosy spadły na nią.

–Mnie bij, a nie jego! – krzyknęła. – To nie wina Darrena! To ja pozwoliłam jej odlecieć, skoro sama nie mogę być wolna. Muszę zostać uwiązana w domu, ograbiona

z mojego sokoła, ty przeklęty tyranie, ale przynajmniej Preciosa nacieszy się wolnością! Kazałam jej odlecieć, używając mojego *laran*. Wypędziłeś Ruyvena swoją

tyranią, sprawiłeś, że Darren się ciebie boi, ale mnie nie zastraszysz. Już nigdy nie skrzywdzisz mojego sokoła, mojego sokoła, mojego...

Wybuchnęła płaczem. Ojciec zawahał się, kiedy pierwszy cios spadł na jej plecy, ale gdy usłyszał potok obelg i zabronione słowa „Ruyven” i „*laran*”, twarz pociemniała mu z gniewu. Zdzielił córkę szpicrutą. Potem jeszcze raz. I jeszcze, jeszcze... Romilly drżała z bólu i wrzeszczała na ojca wściekle. MacAran zeskoczył z konia i stanął nad nią. Bił ją po ramionach i plecach, aż w końcu Darren z krzykiem rzucił się siostrze na pomoc. Nagle rozległ się nowy głos i dom Alderic powstrzymał oszalałego mężczyznę silnymi ramionami.

–Wystarczy, sir, dość tego. Wybacz, ale nie można tak bić kobiety. Dobry Boże,

Romilly, masz całkiem zakrwawione plecy. Proszę spojrzeć, sir, podarłeś jej suknię!

Wyjął mu szpicrutę z rąk. MacAran nie zaprotestował. Opuścił bezwładnie rękę. Romilly zachwiała się, czując wilgoć na plecach. Była cała obolała. Alderic pchnął jej ojca w stronę Darrena i podtrzymał ją ramieniem. MacAran wyglądał na oszołomionego. Spojrzał z konsternacją na pociętą szpicrutą suknię Romilly i odwrócił wzrok. Jego gniew ustąpił miejsca odrętwieniu.

–Ja... nie wiedziałem, co robię – wyjąkał. – Jestem twoim dłużnikiem, dom Aldericu. Ja... ja... – Głos go zawiódł.

Zachwiał się. Upadłby, gdyby Darren go nie podtrzymał. Spojrzał na córkę.

–Straciłem panowanie nad sobą – powiedział ochryple. – Nigdy ci nie wybaczę, dziewczyno, że z twojego powodu tak się haniebnie zapomniałem! Gdybyś była chłopakiem, zbiłbym cię do nieprzytomności! Na szczęście wkrótce zajmie się tobą twój mąż. Jeśli odezwiesz się do niego w taki sposób, z całą pewnością spierze cię na kwaśne jabłko! Wynoś się sprzed moich oczu!

Prowadzona przez Alderica, Romilly ruszyła chwiejnie w stronę konia.

–Możesz jechać? – spytał półgłosem. Skinęła głową i wybuchnęła płaczem.

–Lepiej wracaj do domu, póki jest wstrząśnięty tym, co zrobił – szepnął Alderic. MacAran potrząsał głową w konsternacji i gniewie.

–Przez wszystkie lata mojego życia nigdy nie podniosłem ręki na kobietę ani

dziewczynę! Nie wybaczę sobie ani Romilly, że sprowokowała mnie!

Popatrzył na niebo w stronę, gdzie zniknął sokół, i mruknął coś. Romilly z Alderikiem ruszyli w stronę Falconsward.

Kiedy potykając się doszła do swojego pokoju, stara piastunka przywitała ją ze zgrozą.

–Och, moja owieczko, moja maleńka, co się stało?

Twoje plecy, twoja suknia...

–Ojciec mnie zbił – wymamrotała Romilly i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. –

Zbił mnie, bo przez Darrena mój sokół odleciał.

Gwennis ciepłą wodą odlepiła strzępy sukni od jej pleców i nasmarowała poranioną skórę maścią i balsamem ziołowym, a następnie przyniosła starą sukienkę z miękkiego materiału i podała gorącą zupę do łóżka. Romilly dygotała i czuła się źle. Dostała gorączki.

–Czym tak bardzo rozgniewałaś ojca? – gderła Gwennis potrząsając głową. – On jest takim łagodnym człowiekiem. Musiał wpaść w szal, skoro zrobił coś takiego!

Romilly nie mogła mówić. Zęby jej szczękały. Bezskutecznie próbowała powstrzymać się od płaczu. Przerażona Gwennis pobiegła po Luciellę. Macocha zaczęła lamentować nad ranami dziewczynki i nad porwaną suknią.

–Czym aż tak rozgniewałaś ojca? – zadała takie samo pytanie jak piastunka. –

Musiałaś go sprowokować!

Obwiniają mnie. Wszyscy mnie obwiniają, bo dostałam lanie, myślała Romilly.

Nie ma już dla mnie nadziei. Preciosa odleciała. Ojca bardziej obchodzi utrzymanie dobrych stosunków z Aldaranami niż ja. Traktuje Darrena bezlitośnie za to, że nie ma mojego daru, ale mnie nie pozwala być sobą. Nie obchodzi go, jacy jesteśmy. Chciałby nas przerobić na swoją modłę.

Nie słuchała łagodnych słów Lucielli ani pieszczotliwych Gwennis. Nie mogła

pohamować łkania. Piekły ją oczy, poczerwieniał nos i rozboleła głowa. W końcu usnęła zmęczona płaczem.

Obudziła się późno w nocy z łomotem w głowie i plecami obolałymi mimo balsamów,

które nałożyła Gwennis. W całym Falconsward panowała cisza, a wielka fioletowa twarz Kyrrdis w pełni świeciła prosto w okno. Romilly stwierdziła, że jest bardzo głodna, więc postanowiła zejść na dół do kuchni i poszukać chleba oraz zimnego mięsa.

Ojciec mnie nienawidzi, myślała. Przez swoją tyranię zmusił syna do ucieczki, ale Ruyven przynajmniej jest wolny i uczy się w Wieży jak być tym, kim się urodził. Słusznie zrobił uciekając. Z dala od ojca i jego żelaznej woli może być sobą. Nagle Romilly zrozumiała, że ona również musi być wolna, tak jak Preciosa, żeby ocalić swoje ja.

Drżąc nałożyła włóczkową kamizelkę oraz starą tunikę i spodnie. Wyśliznęła się cicho na korytarz, trzymając buty w ręce. Były to damskie buty. Romilly nie raz słyszała, że samotna kobieta nie jest bezpieczna na drogach, ale dopiero po spotkaniu z dom Garrisem w czasie letniego święta zrozumiała dlaczego. W zamkniętym pokoju Ruyvena jego rzeczy leżały nie ruszane, tak jak je zostawił. Bezszelestnie wśliznęła się do środka, wyjęła z szuflady jedną z jego zwykłych koszul oraz starą parę skórzanych spodni, trochę na nią za dużych. Założyła je, ściągnąwszy przyciasne spodnie Darrena. Wzięła również płaszcz i skórzany kaftan. Ponownie zakradła się do swojego pokoju po sokolniczą rękawicę. Przypomniałszy sobie, że Preciosa odleciała, chciała ją zostawić, ale pomyślała: Pewnego dnia znowu będę miała sokoła, który przypomni mi Preciosę. Przed wyjściem obcięła krótko włosy i zabrała ze sobą nową suknię do konnej jazdy oraz sztylet. Chciała, żeby szukano dziewczyny o długich włosach i w zielonym stroju amazonki, a nie chłopca w znoszonym prostym ubraniu. Zamknęła drzwi pokoju Ruyvena, żeby nikomu nie przyszło do głowy przeszukać jego rzeczy i policzyć koszule. Wymknęła się na dwór i po drodze upchnęła warkocz głęboko w śmietniku, żeby go nie znaleziono. Zakradła się do stajni, odnalazła wśród zużytego rynsztunku stare zakurzone siodło i założyła je swojemu koniowi, ale po namyśle zostawiła go w boksie. Kary rasowy wierzchowiec zdradziłby ją wszędzie jako kogoś spośród MacAranów. Wyniosła ostrożnie siodło ze stajni i zostawiła je na zewnątrz razem z dziewczęcym strojem, a sama weszła cicho do letniej kuchni. Zawinęła w ścierkę trochę mięsa, bochenek chleba, garść orzechów i trochę podplomyków z

grubej mąki, które kucharz piekł dla najlepszych psów oraz szczennych i karmiących suk. Nadawały się do jedzenia, a ich brak łatwo było przeoczyć, gdyż wypiekano je dziesiątkami, niemal setkami. Włożyła buty i zaniósła węzełek z prowiantem oraz siodło na pastwisko, gdzie pasły się stare zwierzęta wycofane ze stada. Wiedziała, że braku któregoś z nich nikt nie zauważy przez kilka dni. Niech wszyscy myślą, że wyruszyła na piechotę. W końcu zdecydowała się na starą szkapę, na której wiekowy *coridom*, obecnie na emeryturze i już nieczęsto wychodzący z domu, z rzadka odwiedzał dalekie pastwiska. Zacmokała i koń podbiegł cicho do płotu. Poszeptała mu do ucha, nakarmiła garścią warzyw, osiodłała i ruszyła ścieżką, prowadząc go za uzdę, póki nie znalazła się z dala od

murów. W zamku zaszczekał jakiś pies. Romilly wstrzymała oddech i telepatycznie nakazała mu się uciszyć.

U stóp wzgórza dosiadła wierzchowca, krzywiąc się z bólu. Zaciśnęła zęby i owinęła się płaszczem dla ochrony przed nocnym chłodem. Spojrzała po raz ostatni na Falconsward zbudowane wysoko na skale.

Święty Nosicielu Brzemion! Nie mogę, nie mogę. Ojcu jest przykro, że mnie zbił. To szaleństwo. Powinnam wrócić, nim zauważą moją nieobecność, stwierdziła.

W tym momencie wróciło wspomnienie twarzy Darrena, kiedy podała mu sokoła, gniewu ojca, zaciętych, pełnych rozpaczycy oczu Ruyvena, gdy widziała go przed ucieczką z Nevarsin... Nie, myślała, ojciec chce, żebyśmy byli tacy, jak on sobie życzy, a nie jacy jesteśmy. Zachowanie dom Garrisa w czasie letniego festiwalu, myśl o tym, jak by ją traktował, gdyby została jego żoną, własnością, z którą mógłby zrobić wszystko...

Twarz Romilly stężała. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, dostrzegłby, jak bardzo jest podobna do ojca. Ruszyła przed siebie, nawet się nie obejrzawszy do tyłu.

KSIĘGADRUGA

Uciekiniarka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzeciego dnia zaczął padać śnieg. Romilly, przez całe życie mieszkająca u podnóża Hellerów, wiedziała, że musi szybko znaleźć schronienie. O tej porze roku można było przeżyć burzę tylko w dobrej kryjówce. Wiatr ciął jak ostry nóż, gwizdał i wył jak sto tysięcy diabłów wśród drzew rosnących po obu stronach ścieżki. Romilly zastanawiała się przez moment, czy nie wrócić po własnych śladach do małego gospodarstwa, które mijala wcześniej tego ranka i poprosić o schronienie... Jednak – nie. Właściciele mogli od czasu do czasu bywać w Falconsward i rozpoznać ją jako córkę MacArana mimo chłopięcego stroju. Nie знаła ich. Nigdy tak bardzo nie oddalała się od domu i nie była pewna, gdzie się znajduje.

Wiedziała, że jeśli podąży tym szlakiem na północ, dotrze w końcu do Nevarsin, gdzie skręci do Wieży Tramontana. Tam znajdzie swojego brata Ruyvena albo przynajmniej dowie się, gdzie wysłały go *Ieroni*. Przyszło jej do głowy, że mogłaby podszkolić w Wieży swój *Iaran*, tak jak jej proponowała przed kilku laty *Ieronis* Marelle. Brała też pod uwagę pomysł, żeby zostać na zimę w Nevarsin. Dostatecznie długo mieszkała w Hellerach, by wiedzieć, że podróżowanie po nich zimą było niebezpiecznym przedsięwzięciem, tylko dla szaleńców lub desperatów. W Nevarsin poszuka sobie pracy jako uczeń sokolnika albo stajenny u hodowcy koni lub kowala, gdyż nie zamierzała ujawniać, że jest dziewczyną. Mieszkała w domu, gdzie nawet podkuchenne i praczki traktowano dobrze, czego pilnowała sama domna Luciella, ale ich reakcje świadczyły, jak rzadkie to było zjawisko. Była tam pewna kobieta, która przez kilka lat służyła w gospodzie i Romilly nasłuchiwała się od niej wielu historii o tym, co ją w życiu spotkało. Nie wątpiła, że potrafi zadbać o siebie i obronić się przed natarczywymi rękami, lecz nawet najgorszy chłopak stajenny zarabiał więcej niż kucharka albo służąca z tawerny. Poza tym posiadała niewiele umiejętności, które

pozwołyby jej na znalezienie pracy lepszej niż praca pomywaczki. Znała się tylko na koniach i sokołach oraz potrafiła nadzorować służące. Wiedziała, że krawcowe i opiekunki do dzieci zarabiają nieźle, ale sama myśl o tym, że miałyby być szwaczką, rozbawiła ją. Znała swoje zdolności do szycia, a gdyby chciała wynająć się jako piastunka, musiałaby powiedzieć o sobie więcej, niż by się odważyła. Nie, jeśli postanowi spędzić zimę w Nevarsin, zostanie w przebraniu chłopca i poszuka sobie zajęcia w stajni albo sokołami.

W ten sposób będzie przynajmniej blisko koni i sokołów. Pomyślała o utraconej Preciosie i poczuła ukłucie w sercu.

Tak czy inaczej, dobrze się stało, rozważała, kuląc się pod smagnieniami wiatru i naciągając połę płaszcza na twarz. A gdybym tak nie miała odwagi uciec? Byłabym posłuszna, może nawet poślubiłabym dom Garrisa. Wstrząsnął nią dreszcz odrazy. Nie; dobrze, że się uwolniła, nawet gdyby przez resztę życia miała pracować jako chłopak w obcej stajni!

Śnieg przeszedł w deszcz. Koń potykał się na stromym szlaku. Romilly weszła z nim w kontakt i poczuła chłód wiatru, drżenie, niepewność, z jaką stawiał kopyta na śliskiej drodze. Deszcz zamarzał. Jej płaszcz zeszywniał od lodu. Musi znaleźć schronienie i to naprawdę szybko.

Dotarła do ostrego zakrętu, gdzie droga rozwidlała się. Jedna ścieżka prowadziła w górę między gęste drzewa, a druga, szersza, biegła stromo w dół. Romilly zeskoczyła z konia i ruszyła przed siebie, wyciągając szyję, żeby cokolwiek dojrzeć przez gęsty deszcz. W dole zobaczyła tylko mały potok spadający kaskadą z przydrożnych skał. W górze natomiast dostrzegła jakąś budowlę: chatę pasterza albo szopę dla zwierząt. Szeroka droga mogła prowadzić do wioski albo skupiska gospodarstw, ale Romilly nie miała pewności. Nie widziała żadnych świateł w dolinie, a deszcz nasilał się.

Musi wspiąć się na górę, by znaleźć choć prymitywne schronienie, które osłoni ją od wiatru i ulewy. Nie wsiadła na konia, bo szlak był zbyt stromy. Chwyciła uzdę i przemówiła uspokajająco do zwierzęcia, które potrząsało łbem. Żałowała, że nie ma swojego wierzchowca, ale ten był dość potulny, a nawet przyjazny.

Ciemność gęstniała. Romilly dotarła wreszcie do niewielkiego, ale dość solidnie wyglądającego domu. Drzwi na powykrzywianych zawiasach otworzyły się z głośnym protestem, kiedy je pchnęła.

–Kto tam? – zawołał drżący głos.

Serce podskoczyło jej do gardła. Okazało się, że chata, choć ciemna i zaniedbana, wcale nie jest opuszczona.

–Nie zrobię ci krzywdy, paniusiu – powiedziała szybko. – Zgubiłem się w czasie burzy, a deszcz zaczyna zamarzać. Mogę wejść?

–Chwała Świętemu Nosicielowi Brzemion, że się zjawiłeś – odparł drżący, starczy głos. – Mój wnuk udał się do miasta, i zapewne poszukał sobie gdzieś schronienia przed burzą. Usłyszałam kroki twojego konia i przez chwilę myślałam, że to wraca Rory, ale on jeździ na jelenio-kucu, a ty masz konia. Nie wstaję z łóżka. Możesz dorzucić jakąś gałąź do ognia, chłopcze?

Teraz, gdy Romilly trochę odtajała, poczuła dym. Macając w ciemności, podeszła do

kominka. Ogień niemal wygasł. Poruszyła żar, dorzuciła najpierw drobnych patyczków, a kiedy się zajęły, większą gałąź i polano. Ogrzała sobie ręce. W coraz jaśniejszym świetle dostrzegła kilka podniszczonych mebli: dwie ławy, starą skrzynię oraz łóżko wbudowane w ścianę, na którym leżała stara kobieta oparta o wezglowie.

–Podejdź tutaj, chłopcze. Chcę ci się przyjrzeć.

–Mój koń... – zawahała się Romilly.

–Możesz go zaprowadzić do stajni, ale zaraz wracaj.

Romilly otuliła się płaszczem i z niechęcią wyszła na przejmujące zimno. Stajnia była pusta z wyjątkiem dwóch wychudzonych kotów, które z miauczeniem zaczęły ocierać się o nogi dziewczyny. Rozsiodła konia i dała mu parę psich podplomyków, a potem wróciła do izby ogrzanej przez rozpalony już porządnie kominek. Koty weszły za nią.

–Jak to dobrze – powiedziała staruszka drżącym głosem. – Myślałam o nich, marznących na dworze, ale nie mogłam wstać, żeby je wpuścić. Podejdź do mnie.

Niech na ciebie spojrzę, chłopcze.

Gdy Romilly stanęła przy łóżku, staruszka podciągnęła się trochę i przysunęła pomarszczoną twarz do jej twarzy.

–Jakżeś tu dotarł w taką pogodę, chłopcze?

–Jadę do Nevarsin, mestra.

–Samiutki? W taką burzę?

–Wyruszyłem trzy dni temu, kiedy pogoda była dobra.

–Jesteś z okolic na południe od Kadarinu? Te rude włosy. Masz wygląd *HaWimyn* – stwierdziła kobieta.

Leżała pod kilkoma postrzępionymi szalami i trzema czy czterema przetartymi kocami, niewiele lepszymi od końskich derek. Była chuda, zabiedzona i wyczerpana.

Westchnęła ciężko.

–Miałam nadzieję, że Rory wróci dzisiaj z Nevarsin, ale pewnie na północy śnieg jest większy. Skoro jednak roznieciłeś ogień, nie zamarznę tutaj sama pośród burzy. Moje stare kości już nie znoszą zimna tak dobrze jak kiedyś. Zanim wnuk wyjechał, rozpałił kominek na trzy dni. Powiedział, że do tego czasu na pewno wróci.

–Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić, mestra?

–Jeśli potrafisz ugotować kociołek owsianki, mógłbyś ją razem ze mną zjeść –

**odparła kobieta, wskazując na pusty garnek i miskę z łyżką stojące przy łóżku. –
Lecz**

najpierw zdejm to mokre ubranie, chłopcze.

Romilly odetchnęła z ulgą, gdyż staruszka najwyraźniej uważała ją za wiejskiego chłopaka. Zdjęła buty, a płaszcz rozwiesiła do wysuszenia przy ogniu. Wzięła pusty kociołek i wypłukała go wodą z beczki stojącej przy kominku. Zgodnie ze wskazówkami kobiety znalazła sól oraz do połowy opróżniony worek, w którym było więcej ziemnych orzechów niż ziarna. Powiesiła pełny kociołek na nisko zwisającym nad paleniskiem haku. Staruszka znów wezwała ją gestem ku sobie.

–Dokądżeś to się wybrał o tej niedorzecznej porze roku, mój chłopcze?

Romilly cieszyło to „mój chłopcze”, ale raptem przyszło jej do głowy, że oszukanie na pół ślepej staruszki nie jest wcale takim wielkim wyczynem. Ludzie o młodszych oczach i bystrzejszym umyśle mogą szybciej ją przejrzeć. W tym momencie uświadomiła sobie, że kobieta obserwuje ją spod pomarszczonych powiek, czekając na odpowiedź.

–Jadę do Nevarsin – powiedziała wreszcie. – Tam jest mój brat.

–W klasztorze? Cóż, młodzieńcze, mocno zboczyłeś z drogi. Powinieneś był skręcić w lewo na rozstaju u stóp góry. Teraz musisz zostać, aż skończy się burza. Kiedy wróci Rory, pokaże ci właściwą ścieżkę.

–Dziękuję, mestra.

–Jak się nazywasz, chłopcze?

–Rom... – Romilly nie pomyślała o tym wcześniej.

Zastanawiała się teraz, czy nie powiedzieć „Ruyven”, ale miała obawy, że zamiast reagować na to imię, będzie się oglądać za bratem. Zakaszła, udając, że gardło podrażnił jej dym z kominka. – Rumał.

–Dlaczego jedziesz do Nevarsin tak całkiem sam?

Masz zostać mnichem albo pobierać nauki u braci, tak jak szlacheccy synowie? Patrzysz mi zresztą na szlachcica, jakbyś urodził się w Wielkim Domu, a twoje ręce

są

za delikatne na parobka.

Romilly omal się nie roześmiała, przypomniawszy sobie Gwennis, która kiedyś spojrzawszy z dezaprobatą na jej dłonie stwardniałe od uzdy i sokolich szponów i powiedziała: „Będiesz miała ręce jak chłopak stajenny, jeśli nie zadbasz o nie!” Staruszka czekała na odpowiedź, więc Romilly pomyślała o synu Neldy, Loranie. Wszyscy w Falconsward wiedzieli, że jest synem *nedestro* MacArana, choć Luciella nie przyjmowała do wiadomości istnienia chłopca.

–Wychowałem się w Wielkim Domu. Zostałem poczęty w czasie Festiwalu. Moja matka była zbyt dumna, żeby domagać się uznania mnie przez ojca. Powiedziała, że lepiej mi będzie w mieście. Mam nadzieję znaleźć pracę w Nevarsin. Uczyłem się u sokolnika.

Przynajmniej to jest prawdą, pomyślała. Byłam lepszym uczniem Davina niż ten nicpoń Ker.

–Jesteś tu mile widziany, Rumalu. Mieszkam sama z wnukiem. Moja córka umarła przy porodzie, a jego ojciec jest na nizinach w służbie u króla Rafaela, na południu, po drugiej stronie Kadarinu. Mam na imię Mhari i mieszkam w tej chacie prawie przez całe życie. Dało się tu żyć z uprawy orzechów, przynajmniej póki się nie

zestarzałam. Rory musi teraz sam doglądać drzew orzechowych przez cały rok i jeszcze dbać o mnie, ale to dobry chłopak. Pojechał na targ do Nevarsin, żeby sprzedać orzechy i kupić trochę mąki na owsiankę, no i zioła na moje stare kości. Może kiedy będzie ciut starszy, znajdzie sobie żonę i wtedy będą żyli z tego kawałeczka ziemi, bo to wszystko, co mam i zostawię mu.

–Chyba owsianka kipi – stwierdziła Romilly i podbiegła do ognia.

Zdjęła kociołek znad płomienia i naląła zupy do miski. Pomogła staruszce jeść, a następnie strzepnęła jej poduszki i wygładziła pościel.

–Masz ręce zręczne jak dziewczyna – zauważyła Mhari, a w Romilly na chwilę

zamarło serce. – Pewnie dzięki temu, że zajmowałeś się ptakami. Ja nigdy nie miałam

do tego drygu ani cierpliwości. Owsianka ci wystygnie, dziecko, idź ją jeść. Możesz spać na sienniku przy kominku, bo Rory chyba nie wróci do domu w taką burzę.

Romilly zjadła zupę, umyła miskę i postawiła przy ogniu do wyschnięcia. Potem wyciągnęła się na barłogu i otuliła płaszczem. Legowisko było twarde, ale na szlaku sypiała w gorszych warunkach. Przez jakiś czas leżała nasłuchując wycia burzy i kapania deszczu, którego krople wpadały przez komin i parowały z sykiem. W ciągu nocy budziła się dwa razy i sprawdzała, czy ogień nie zgasł. Nad ranem burza

uspokoila się i Romilly zasnęła głęboko. Obudziło ją łomotanie do drzwi. Mhari usiadła na łóżku.

–To Rory. Zasuнаłeś rygiel?

Romilly zrobiło się głupio. Przed pójściem spać zamknęła drzwi na zasuwę, czego oczywiście chora staruszka nigdy by nie zrobiła. Nic dziwnego, że głos dobiegający z podwórka był donośny i wzburzony! Zerwała się z siennika i odsunęła rygiel.

Ujrzała potężnego młodego człowieka z wąsami, w wytartym ubraniu z materiału na worki i płaszczu, jakich nie nosiło się w Hellerach od czasów dzieciństwa jej ojca. Mężczyzna wyciągnął sztylet i już miał zaatakować Romilly, ale usłyszał krzyk babki:

–Nie, Rory. Chłopiec nie ma złych zamiarów. Zajął się mną. Ugotował mi kolację.

Pozwoliłam mu przespać się u nas!

Mężczyzna opuścił sztylet i podbiegł do łóżka.

–Wszystko w porządku, babciu? Kiedy stwierdziłem, że drzwi są zaryglowane, a potem zobaczyłem obcego, pomyślałem, że włamał się i zrobił ci krzywdę.

–No, no, już dobrze. Jestem bezpieczna. Dobrze, że chłopiec się zjawił, bo ogień prawie wygasł i umarłabym nocą na śmierć!

–Dziękuję ci, kimkolwiek jesteś, przyjacielu – powiedział mężczyzna. Schował

sztylet i pocałował staruszkę w czoło. – Burza była taka paskudna, a ja przez całą noc

myślałem tylko o babci, samej przy wygasłym palenisku, bez jedzenia. Miejsce przy

moim ogniu należy do ciebie, kiedy tylko będziesz go potrzebował – rzucił tradycyjną

górką formułą gościnności. – Gdy tylko deszcz ustał, ruszyłem w drogę, choć gospodarze zapraszali, żebym został do rana. Najważniejsze, że jesteś cała i zdrowa,

babciu. – Spojrzał czule na staruszkę.

Rzucił płaszcz na ławę, podszedł do kociołka nadal wiszącego przy ogniu, nalał sobie owsianki zgęstniałej po całej nocy i zaczął jeść.

–Nie ma to jak ciepłe jedzenie. Na dworze ziąb niczym w piekle Zandru. Deszcz zamarza na drzwiach i ziemi. Bałem się, że stary Rogal pośliznie się i złamie nogę. Kupiłem trochę ziarna, babciu, więc będziesz miała chleb oprócz owsianki. Mam też w torbie suszone czarne owoce. Przysyła je dla ciebie żona młynarza. Powiedziała, że spodoba ci się odmiana. – Spojrzał na Romilly. – Mógłbyś przynieść moje juki? Ręce mam tak zziębnięte, że nie dam rady rozwiązać rzemieni. Ty spędziłaś noc w ciepłe.

–Chętnie – odparła Romilly. – I tak muszę zajrzeć do mojego konia.

–Masz konia? – Na twarzy Rory'ego odmalowała się zazdrość. – Zawsze chciałem mieć konia, ale to nie dla takich jak ja! Musiałeś wychować się w Wielkim Domu.

Romilly narzuciła płaszcz na ramiona i wyszła z chaty. Odwiązała ciężkie torby przytroczone do siodła grubokościstego, podobnego do jelenia *chervine*, na którym jeździł Rory. Worek z ziarnem zaniósł do stajni, a juki wzięła do domu. Cisnęła je na podłogę przy kominku.

Rory pochylał się nad babką i mówił coś do niej cichym głosem. Romilly była pewna, że jej nie usłyszał, więc wymknęła się z chaty i wróciła do stajni. Nakarmiła konia psimi podplomykami i pogłaskała po chrapach pogadując do niego. W pomieszczeniu znajdował się staroświecki wychodek, skorzystała więc z niego. Gdy podciągała bieliznę, dostrzegła na niej z przerażeniem krwawe plamy. Z powodu burzy straciła rachubę czasu. Kiedy postanowiła udawać mężczyźnę, zapomniała o paru ważnych rzeczach. Starła się pamiętać, żeby mówić niskim głosem i chodzić dużymi krokami, za które zawsze strofowały ją Luciella i guwernantka. Nie wzięła jednak pod uwagę, że mogą ją zdradzić kobiece rytmy biologiczne.

Drąc na pasy starą halkę znaną w torbie, zastanawiała się co dalej. Staruszka obiecała, że Rory wskaże jej drogę do Nevarsin. Czy okazałyby niewdzięczność, gdyby uparła się, że musi wyruszyć natychmiast? Powinna była skłamać, że ktoś czeka na nią w mieście i będzie jej szukał, jeśli nie zjawi się w wyznaczonym czasie. Sprawdziła, czy odzież nie odstaje podejrzenie. Przyproceedziła z dworu kuca

chervine i dała mu siana oraz świeżej podściółki. Nie podobał się jej Rory, wyglądał raczej na gruboskórnego brutala, ale kuc nie był niczemu winien i nie powinien cierpieć z powodu fizjonomii swojego pana.

Wróciła do chaty, ale zatrzymała się w progu, słysząc głos Mhari.

–Ten młodziak był dla mnie dobry, Rory. Prawa gościnności są święte. To, co zamierzasz, jest złe. Bogowie cię pokarzą.

–Wiesz, od jak dawna pragnę mieć konia – odparł Rory posępnie. – Mieszkam tu na końcu świata, więc nigdy nie trafi mi się lepsza okazja. Jeśli to zbiegły skądś bękart, nikt nie będzie go szukał. A widziałaś jego płaszcz? W życiu takiego nie miałem. Sama zapinka wystarczyłaby na sprowadzenie uzdrowiciela z Nevarsin, który by wyleczył twoje stawy! A jeśli chodzi o twoje zobowiązania wobec niego, spędził przecież w cieple całą noc. Nie pomagał ci tylko z dobroci. Poderżnę mu gardło tak szybko, że nawet nie zdąży się przestraszyć.

Przerażona Romilly złapała się za szyję. Rory chce ją zabić! Mimo biedy panującej w chacie nawet przez chwilę nie pomyślała, że jej wierzchowiec, płaszcz, nie mówiąc o miedzianej zapince i pieniądzech w małej sakiewce, mogą narazić ją na

niebezpieczeństwo. Wyszłaby cicho i uciekła, ale bez ciepłego ubrania, bez konia i prowiantu szybko by zginęła na mrozie! Chwyciła za sztylet wiszący u pasa. Przynajmniej nie będzie łatwą ofiarą. Drogo sprzeda swoje życie. Nie może jednak dopuścić, by się zorientował, że zna ich plany. Musi udawać, że niczego nie podejrzewa, poczekać na odpowiedni moment, by pochwycić płaszcz i resztę rzeczy, a potem dopaść konia. Bezszelestnie wróciła do stajni i osiodłała wierzchowca. Musiała jeszcze odzyskać płaszcz, żeby nie zamarznąć w górach.

Otwierając drzwi chaty, starała się narobić tym razem nieco hałasu. Rękę trzymała blisko sztyletu. Kiedy weszła do środka, Rory siedział na ławie, mocując się z butami, a stara Mhari spała albo udawała, że śpi.

–Pomożesz mi, przyjacielu? – spytał Rory.

–Chętnie – odparła Romilly myśląc gorączkowo.

Na bosaka nie dogoni jej tak szybko. Uklękła i ściągnęła mu but. Gdy chwyciła drugi i pociągnęła mocno, Rory nachylił się do przodu. Romilly dostrzegła błysk noża w jego dłoni.

Zareagowała bez namysłu. Pchnęła mocno w górę nogę Rory'ego, aż kolano z głośnym trzaskiem uderzyło go w szczękę. Ława przewróciła się w tył, a Rory razem z nią. Romilly zerwała się i pobiegła do drzwi, chwytając po drodze płaszcz. Słyszała, jak Rory krzyczy i przeklina. Obejrzała się z bijącym sercem i zobaczyła, że usta mu

krwawią. Miał wybity ząb albo przecięte wargi. Wybiegła z chaty i próbowała zatrzaskać drzwi ramieniem, ale mężczyzna pchnął je i dopadł ją. Nie dostrzegła noża. Może go upuścił albo zamierzał posłużyć się swymi wielkimi łapskami. Chwycił ją mocno, rozrywając tunikę. Przyciągnął do siebie i zacisnął ręce na gardle. Raptem oczy mu się rozszerzyły.

–Na Brzenię! Cycki jak u krowy! Jesteś dziewczuchą, co?

Romilly próbowała wsadzić mu palce w oczy, ale złapał ją za rękę i wykręcił. Wprowadził dziewczynę do domu.

–Hej, babciu! Zobacz, co znalazłem. To dopiero byłaby strata, gdybym ją skrzywdził. Szukałem żony przez cztery lata, nie mając ani sztuki miedzi na wykupne,

a tu sama zjawia się u moich drzwi! – Zaśmiał się rozradowany. – Nie bój się, dziewczko!

Nie spadnie ci włos z głowy! Mam inne zamiary wobec ciebie. Babciu, ona będzie opiekować się tobą, gdy ja pojedę do młyna, do miasta albo będę pracował! – Objął

Romilly i zmiądzzył jej usta pocałunkiem. – Jesteś służącą, co zbiegła ze dworu, prawda? W takim razie, ślicznotko, będziesz tu miała własną kuchnię i kominek. Co na to powiesz?

Romilly milczała, zaskoczona tym potokiem słów i przerażona. Myślała jednak szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

Rory miał na nią ochotę. Nie zrobi jej krzywdy, póki będzie miał nadzieję, że ją zdobędzie. Dotyk jego ust nappełnił Romilly odrazą, ale opanowała mdłości i zmusiła się do uśmiechu.

–Przynajmniej nie jesteś gorszy od mężczyzny, za którego chcieli mnie wydać za mąż. – Uświadomiła sobie, że mówi najszczerzą prawdę. – Był prawie dwa razy starszy ode mnie i wciąż obłapiał bezbronne dziewczęta. Ty chociaż jesteś młody i czysty.

–Myślę, że będziemy do siebie pasować, kiedy już do siebie przywykniemy - stwierdził zadowolony. – Musimy tylko dzielić łożę, stół i ogień, a będziemy prawnie

poślubieni, jakby sam lord Storn zamknął nam na rękach *catenas* niczym jakiemuś państwu! Rozpalę ogień w środkowym pokoju, gdzie stoi łoże, a ty możesz zająć się przygotowaniem posiłku. W workach jest mąka. Potrafisz upiec chleb z czarnymi owocami? Lubię dobry chleb z owocami. Od czterdziestu dni nie jadłem nic innego oprócz owsianki z orzechami!

–Postaram się – wykrztusiła Romilly, usiłując zachować spokój. – Jeśli nie będę czegoś umiała, na pewno mestra Mhari mi podpowie.

–Uważasz siebie za lepszą od mojej babci, co? – spytał Rory zaczepnym tonem. – Będziesz do niej mówiła „damę Mhari”, póki nie pozwoli ci mówić „babciu”, słyszysz?

Romilly uświadomiła sobie, że automatycznie użyła słowa, którym szlachcianki zwracają się do osób niżej postawionych. Zwiesiła głowę, udając zawstydzoną.

–Nie miałam nic złego na myśli.

–Jesteś dziewczyną, więc bardziej ci uchodzi myć babcię i zmieniać jej koszulę

nocną – stwierdził Rory. – Myślisz, babciu, że mogłabyś dzisiaj posiedzieć trochę przy

kominku, jeśli ta nasza piękna pani cię ubierze?

–Pewnie. Siądę do twojej weselnej uczy, Rory – odparła staruszka.

Romilly zapewniła potulnie, że chętnie zrobi dla damę Mhari wszystko co w jej mocy.

–Wiedziałam, że masz za ładne ręce jak na chłopaka – rzekła Mhari, kiedy Romilly poszła zaczerpnąć ciepłej wody z beczki.

Umyła twarz i ręce kobiety, a następnie przyniosła ze skrzyni stojącej w kącie czystą, lecz podniszczoną suknię. Jednocześnie myślała intensywnie. Wiedziała, że

gospodarze będą ją obserwować przez cały czas, póki małżeństwo nie zostanie skonsumowane. Wtedy zaś uznają, że jest zbyt stłamszona, żeby próbować ucieczki. Zrobiło się jej niedobrze na myśl, że ten niedomyty gbur weźmie ją do łóżka. Pocięszała się jednak, że przynajmniej jej nie zabije, nie uczyni też brzemienną, skoro akurat ma miesięczne krwawienie. Nagle przypomniała sobie coś, co szepnęła jej Darissa kilka miesięcy po swoim zamążpójściu. Wtedy Romilly poczuła się skrępowana i tylko zachichotała – ależ ci mężczyźni to głuptasy, skoro mają przesady w takich sprawach! Teraz jednak mogła te obawy wykorzystać.

–Zimno – poskarżyła się staruszka. – Ubierz mnie, dziewczyno... Jak mam do ciebie mówić?

Romilly już miała podać swoje imię, skoro prawda wyszła na jaw, ale pomyślała, że ojciec może jej szukać nawet tak daleko.

–Calinda – rzuciła pierwsze imię, jakie jej przyszło do głowy.

–Ubierz mnie, Calindo. Trzęsę się!

–Przepraszam, matko Mhari. – Tym razem użyła zwrotu wyrażającego szacunek dla starszych osób. – Zamyśliłam się.

Wytarła kobietę ręcznikiem, ubrała, otuliła wełnianym szalem i poprawiła poduszki.

–Ja... chętnie poślubię waszego wnuka. – Omal nie zadławiła się tymi słowami.

–I dobrze zrobisz – oświadczyła staruszka. – Jest porządnym człowiekiem, będzie cię dobrze traktował i nigdy nie będzie bił, chyba że zasłużysz.

Romilly przełknęła ślinę. Przynajmniej tej jednej rzeczy nie musiałaby się obawiać ze strony dom Garrisa.

–A... ale rozgniewa się, jeśli spróbuje dzielić dzisiaj ze mną łóżko – wyznała, udając zakłopotaną, co okazało się nie takie trudne. – Właśnie mam krwawienie...

–Ach tak. Dobrze, że mi powiedziałaś. Mężczyźni są śmieszni. Rory mógłby cię za to zbić. Mój stary tłukł mnie, jeśli go w porę nie uprzedziłam, żeby trzymał się ode mnie z daleka i szedł do dojarcki. Tak, kiedyś dobrze mi się powodziło. Miałam dojarckę i kucharkę, a teraz spójrz tylko na mnie. Lecz wkrótce się poprawię z twoją pomocą, a Rory nie będzie musiał gotować owsianki i piec chleba. To nie jest zajęcie dla chłopca. Popatrz, jakiego mężczyznę dostajesz. Nigdy nie gardził myciem swojej starej babci, karmieniem jej czy nawet opróżnianiem nocnika. A mówią o nocniku...

Romilly podała naczynie i podtrzymała staruszkę.

Ona myśli, że takie życie mi się spodoba, myślała. Najważniejsze, że będę miała

męża, a wystarczy mi krzątanie się po stajni, stodole i kuchni oraz opieka nad staruszką przykutą do łóżka. Póki jestem żoną, nie muszę marzyć o niczym innym. Zadrzała. Może niektóre kobiety uznałyby, że dobrze się im powodzi, skoro mają własny dom i ciężko pracującego mężczyznę, takiego, co potrafi być dobry dla swojej starej babci. Poszła opróżnić nocnik. Była przyzwyczajona do ciężkiej i brudnej pracy przy zwierzętach, więc nie odstręczało jej to, bała się tylko Rory'ego.

Nie po to odrzuciłam dom Garrisa, buntowała się w duchu, żeby wyjść za człowieka z lasu, choćby uczciwego i dobrego. Na razie zyskałam kilka dni. Będę udawała potulną i łagodną, a wcześniej czy później spuszczą mnie z oczu.

Kiedy staruszka była już umyta i ubrana w czystą koszulę, Romilly udała się z wiadrami do studni. Wróciwszy, zawiesiła wielki kocioł nad ogniem, żeby podgrzać wodę na pranie. Potem według wskazówek damę Mhari wzięła się do zagniatania ciasta na chleb, dodając drobno pokrojonych czarnych owoców. Gdy chleb piekł się już w zakrytym garnku w gorącym popiele, a staruszka zapadła w drzemkę, usiadła na ławie, żeby chwilę odpocząć i pomyśleć.

Zyskała na czasie. Podczas krótkiej wizyty w stajni stwierdziła, że jej koń został rozsiodłany i porządnie przywiązany. Cóż, jeśli nadarzy się odpowiedni moment do ucieczki, musi mieć przy sobie sztylet, żeby przeciąć węzły. Najlepiej wybrać chwilę, kiedy Rory będzie zdejmował buty albo spodnie. W razie konieczności zostawi torbę. Prowiant i tak się skończył, a bez pozostałych rzeczy mogła się obejść. Niezbędny jednak był ciepły płaszcz, buty i siodło, choć na oklep jeździła lepiej niż wiele kobiet w siodle. Jedzenie również powinna zabrać. To nie będzie kradzież. Należy jej się, bo pracowała ciężko i dbała o staruszkę.

Może dzisiaj w nocy, kiedy wszyscy zasną, pomyślała. Wstała ciężko z ławy i zabrała się za pranie stęchłej pościeli staruszki oraz prześcieradeł z łóżka stojącego w od dawna nie używanym wewnętrznym pokoju. Mhari powiedziała, że w ciepłe noce Rory tam sypia, a kiedy jest zimno – na sienniku przed kominkiem. Zawsze to coś.

Gdyby musiała spać z tym zwierzęciem, to przynajmniej nie pod wścibskim wzrokiem starej babki, jak często bywało w biednych chatach o jednej izbie. Wzdrygnęła się. Czy tak żyli ludzie poza Wielkimi Domami?

Może powinna wrócić do rodziny i zamienić wolność na wygodne życie małżonki dom Garrisa? Przez chwilę odczuwała pokusę, choć drżała na myśl o tym, co by ją czekało, nawet gdyby uciekła od Rory'ego i jego babki.

Jak sokół na stojaku, spętany, zakapturzony, odrętwiały, strzeżony jak cenna własność w zamian za jedzenie i opiekę.

Och, Precioso, na co bym cię skazała... Była szczerze zadowolona, że wypuściła sokoła. Przynajmniej nigdy nie zostanie własnością Darrena. Miałaby czyste sumienie, gdyby sama zatrzymała Preciosę. Ptak wrócił do niej z własnej woli, z miłości, choć pozwoliła mu na swobodny lot. Do Darrena nigdy by nie wrócił.

Ona jest wolna, nie należy do żadnego człowieka. Ja również nie będę, postanowiła. Może odda się Rory'emu – raz – by go przekonać, że jest pokonana i uległa. Nigdy jednak nie będzie do niego należała. Nie zostanie niewolnicą. Odleci niczym źle

wyszkolony sokół, który popróbował samodzielnego lotu.

Westchnęła, z pasją szorując bieliznę szarym mydłem. Ręce miała poobcierane i obolałe, ale przynajmniej nie będzie musiała spać z tym człowiekiem w brudnej pościeli!

Rozwiesiła pranie blisko ognia, wyjęła ciasto z pieca i przeszukała chybotliwe kuchenne półki. Znalazła suszoną fasolę i zioła. Włożyła je do kociołka, żeby ugotować zupę. W tym momencie z dworu wszedł Rory obsypany śniegiem. Rozpromienił się na jej widok i rzucił na stół worek grzybów.

–To na naszą weselną kolację, dziewczyno – powiedział i objął ją niezdarnie.

Wilgotny pocałunek wylądował na jej karku. Romilly zacisnęła zęby i nie wyrwała się. Rory wziął ten spokój za przyzwolenie, odwrócił ją do siebie i wycisnął na ustach następny pocałunek.

–Jutro nie będziesz taka nieśmiała, moja piękna damo. No, babciu, dobrze tobą się opiekowała? Jeśli nie, nauczę ją.

Narzucił na ramiona jej płaszcz i zaczął paradować w nim dumnie.

–Wezmę go. Aż do wiosennej odwilży nie musisz chodzić dalej niż do wygodki, a potem nie będziesz go potrzebować – stwierdził i wyszedł z chaty.

Romilly zdusiła wściekłość, widząc na nim dobrze skrojony, podszyty futrem płaszcz brata. Cóż, jeśli trafi się okazja do ucieczki, będzie musiała zabrać płaszcz Rory'ego, wprawdzie szorstki, ale dostatecznie gruby, żeby chronił przed zimnem. W Nevarsin przyda się też te trochę pieniędzy, które miała w sakiewce u pasa. Było ich niewiele. MacAran był hojny dla córek i żony. Kupował im wszystko, co chciały, ale uważał, że nie potrzebują gotówki. Dawał im tylko od czasu do czasu parę srebrniaków do wydania na targu. Romilly wiedziała jednak, że dla Rory'ego będzie to spora suma. Znalazła więc chwilę, żeby schować się przed Mhari za bieliźniarką i przełożyć monety do zawiniątka ukrytego między piersiami. Była pewna, że wcześniej

czy później Rory zabierze jej sakiewkę, więc zostawiła trochę drobniaków, by zaspokoić jego chciwość. Może nie będzie szukał gdzie indziej.

Kiedy po krótkim ponurym dniu zapadła ciemność, Romilly usiadła przy topornym stole, żeby zjeść zupę, którą sama ugotowała, i upieczony przez siebie chleb, nie najlepszy zresztą. Rory zapytał gderliwie, czy tylko tyle potrafi, ale Mhari stwierdziła pojednawczo, że dziewczyna jest młoda i jeszcze nauczy się gotować, a chleb, choć

gliniasty, jest niezłą odmianą po owsiance! Gdy przyszedł czas na spoczynek, Rory powiedział ostrym tonem, nie patrząc na nią, że dzisiaj Calinda może spać z damą Mhari, a on poczeka cztery dni, nie więcej, póki dziewczyna nie wróci do zdrowia.

Romilly wiedziała teraz, ile ma czasu. Jeśli przez chwilę miała nadzieję, że ucieknie, kiedy wszyscy zasną, wkrótce ją straciła.

–Będziesz spała od środka, dziewczyno – powiedziała Mhari. – Wiem, że byś uciekła, gdybyś mogła. Sama nie wiesz, co dla ciebie dobre. No, ale kiedy już będziesz żoną Rory'ego, nie będziesz chciała stąd odejść.

Czyżby? Romilly położyła się, zdecydowana spróbować ucieczki, kiedy staruszka zaśnie. Nie była jednak przyzwyczajona do całodziennej ciężkiej pracy, więc zmęczona zasnęła, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. W ciągu nocy budziła się parę razy i za każdym poruszeniem widziała w świetle kominka obserwujące ją oczy starej kobiety, rozbudzone i czujne jak u sokoła.

W ten sposób minęły trzy dni. Romilly gotowała proste posiłki, prała rzeczy staruszki, ledwo znajdując czas, żeby wyprać swoje ubrania oraz pasy ze zniszczonej halki, którą podarła do zabezpieczenia bielizny. Na szczęście nie była zbyt pilnie obserwowana, więc miała okazję wysuszyć płótno, złożyć je i ukryć pod tuniką.

Doszła do wniosku, że jeśli ma udawać chłopca – a była zdecydowana bardziej niż kiedykolwiek, że nie będzie podróżowała przez góry jako kobieta – musi znaleźć lepszy sposób na ukrywanie tej kobiecej przypadłości. Słyszała plotki o walczących Siostrach Mieczowych, które ślubowały nigdy nie nosić sukien ani długich włosów. Nigdy ich nie spotkała, ale podobno miały zioła, które zatrzymują krwawienie. Żałowała, że nie zna tego sekretu! Wiedziała co nieco o ziołach służących do leczenia zwierząt oraz wywołujących płodność krów i suk – a pewnie i kobiet – ale nie o takich, które powstrzymywałyby miesięczny cykl. Co prawda istniał specyfik hamujący na krótko cieczkę u suk, gdy nie powinny mieć młodych. Czy tego właśnie używały wojowniczkki? Może by go wypróbować? Nie, nie była przecież zwierzęciem, a okresy ciecarki u suk

bardzo się różniły od miesięcznych cykli płodności u kobiet. I tak były to tylko spekulacje, bo nie miała dostępu do tego zioła ani do uzdrowiciela zwierząt; a zresztą nie wiedziałyby, jak je rozpoznać w naturze.

Czwartego dnia Rory oznajmił ze sprytnym uśmieszkiem:

–Dzisiaj będziesz spała ze mną w pokoju. Dzieliliśmy stół i miejsce przy kominku. Teraz muszę już tylko wziąć ciebie do łóża, żeby małżeństwo stało się legalne.

Zgodnie z prawem panującym w górach zbiegłą żonę przyprowadzało się do męża.

Choćby poślubiona bez własnej zgody, kobieta nie mogła liczyć na pomoc prawną. Jeśli ucieknie po tym, jak Rory weźmie ją do łóża, będą jej szukali już dwaj ludzie: ojciec i mąż. Czy w takich okolicznościach Wieża ją przyjmie?

Cóż, potem będzie się tym martwić, czyli – jak to się mówi – pojedzie na tym źrebaku, kiedy dorośnie on do siodła. Dzisiaj spróbuje uciec.

Przez cały dzień, krzątając się po gospodarstwie, rozważała różne możliwości. Zaczeka, aż Rory ją weźmie, a potem wymknie się, kiedy on zaśnie. Słyszała, że mężczyźni zwykle tak robią. Oczywiście staruszka nie będzie jej gonić, lecz obudzi Rory'ego. W każdym razie ona musi uniemożliwić Rory'emu pościg.

Skoro tak, równie dobrze mogła oddać mu się pierwszej nocy. W gardle ją ścisnęło z odrazy na myśl o tym, że ma być bierną ofiarą i pozwolić mu na wszystko.

Może kiedy się rozbiorą, ukryje jego buty i skórzane spodnie, żeby nie mógł od razu pobiec za nią. Musiałby ją gonić bosi, bez spodni i w dodatku na piechotę, bo zamierzała wypuścić jego *chervine* do lasu. Nim znajdzie buty, spodnie i schwyta wierzchowca, ona będzie już daleko w drodze do Nevarsin.

Najpierw jednak musi mu ulec.

Później pomyślała, że kiedy się rozbiorą na noc, dobrze wymierzony kopniak kolanem w krocze sparaliżuje go na tyle, żeby uniemożliwić natychmiastowy pościg. Musiałaby tylko zdobyć się na odwagę, żeby kopnąć mocno i trafić od pierwszego razu. W przeciwnym razie Rory ją złapie i zatłucze, a poza tym nigdy więcej jej nie zaufa. Przypomniła sobie przestrogi matki, kiedy ona i Ruyven byli bardzo mali, że nie wolno kopać brata w to miejsce, choćby w zabawie, bo nawet stosunkowo lekki cios może mieć poważne skutki, spowodować trwałe kalectwo albo nawet śmierć. To skłoniło ją do zastanowienia się.

Czy jest gotowa zabić Rory'ego w razie konieczności?

Ostatecznie próbował poderżnąć jej gardło. Zrobiłby to za konia i płaszcz, gdyby nie rozdarła się jej koszula albo gdyby naprawdę była chłopcem. Traktował ją całkiem

dobrze, kiedy odkrył, że jest kobietą, ale po prostu wolał mieć niewolnicę zamiast trupa. Z pewnością takie właśnie byłoby jej życie: przez cały dzień ciężka praca i spełnianie poleceń staruszki. Miałby więcej z niej żywej, a do tego konia i piękny płaszcz! Nie, nie – żadnych skrupułów.

Gdy wczesnym popołudniem apatycznie zagniała ciasto na chleb, wszedł do chaty i rzucił na stół martwego rogatego królika.

–Wypatroszyłem go i ściągnąłem skórę. Upiecz comber na dzisiejszą kolację. Nie

próbowałem mięsa w tej dekadzie. Jutro zasolimy resztę. Na razie powieś go w stajni, z dala od szkodników.

–Jak sobie życzysz, Rory – odparła ciesząc się w duchu.

Zamrożone mięso wystarczyłoby na jakiś czas, jeśli zdoła zabrać je ze sobą. Powiesi je blisko swojego siodła.

Wkrótce chatę wypełnił miły zapach pieczeni. Romilly była głodna, ale gdy nakarmiła staruszkę, wytarła jej usta i ułożyła na noc, stwierdziła, że nie może nic przełknąć.

Muszę być gotowa, muszę być gotowa. Dzisiaj albo nigdy. Zwlekała przy stole, sącząc gorącą herbatę z kory, aż Rory podszedł do niej z tyłu i otoczył ją ramionami.

–Rozpaliłem kominek w naszym pokoju, więc nie zmarzniemy. Chodź, Calindo.

Pewnie staruszka podała mu jej zmyślane imię. Na pewno ona sama tego nie zrobiła. Nie mogła dłużej zwlekać. Kolana uginały się pod nią. Przez chwilę miała wątpliwości, czy zdobędzie się na odwagę, żeby przeprowadzić plan.

Pozwoliła zaprowadzić się do pokoju. Rory zamknął drzwi na haczyk. Niedobrze. Jeśli w ogóle ma uciec, powinna mieć wolną drogę.

–Musisz zamykać drzwi? – spytała. – Przecież bab... damę Mhari nie wejdzie w nieodpowiedniej chwili, bo w ogóle nie może chodzić.

–Pomyślałem, że będziemy się czuli swobodniej – odparł, znów uśmiechając się znacząco.

–Przypuśćmy jednak... że damę Mhari będzie mnie potrzebowała w nocy, a ja jej nie usłyszę? Zostaw drzwi uchylone, żeby mogła zawołać, jeśli ją coś rozboli albo będzie chciała odwrócić się na drugi bok.

–Masz dobre serce, dziewczyno – stwierdził Rory i uchylił drzwi.

Potem usiadł ciężko na brzegu łóżka i zaczął ściągać buty.

–Pozwól, że ci pomogę – zaoferowała się Romilly i zaraz skrzywiła nos. – Faj, ale smród. Musiałeś wdepnąć w gnój! Daj mi je, mój mężu – celowo użyła tego słowa. –

Wyczyszczę ci buty, zanim rano wstaniesz.

Możesz też dać mi spodnie.

Ugryzła się w język. Czy posunęła się za daleko? Rory jednak niczego nie podejrzewał.

–Tak, i chcę czystą koszulę na rano, jeśli uprałaś jakąś. – Podał Romilly ubranie. –

Zanieś je do balii.

Niech tam zaczeka do rana. Jeśli śmierdzi gnojem, lepiej niech nie leży w naszej małżeńskiej sypialni.

Lepiej, coraz lepiej! W każdej chwili jednak mógł popędzić za nią, gdyby zaczął coś podejrzewać. Kiedy stała przy balii, gotowa rzucić się do ucieczki – nagi nie goniłby jej daleko – usłyszała podejrzliwe wołanie.

–Calindo! Czekam na ciebie! Chodź tutaj!

–Idę – odkrzyknęła.

Wróciła do pokoju. Los zdecydował za nią. Weszła do sypialni i rozebrała się.

Rory odsunął pościel i wszedł do łóżka. Gdy usiadła na brzegu, chwycił jej pierś w geście, który pewnie uznał za pieszczotę, ale jego ręka była tak twarda, że Romilly krzyknęła z bólu. Mężczyzna przycisnął usta do jej ust i pociągnął ją na łóżko.

–Lubisz walczyć, co? W takim razie masz, jeśli tego właśnie chcesz, dziewczyno... –

wysapał przykrywając ją nagim ciałem. Jego oddech był gorący i kwaśny.

Romilly zapomniała o skrupułach. Odsunęła się trochę i wymierzyła najsilniejszego kopniaka w życiu. Trafił prosto w cel. Rory stoczył się z łóżka, wyjąc z bólu i wściekłości, trzymając się kurczowo rękami za krocze.

–Auu! Auu! Diablica, tygrysica, suka! Auu!

Romilly usłyszała zaniepokojony głos Mhari. Wyskoczyła z łóżka, narzuciła na siebie tunikę i w biegu chwyciła płaszcz. Wpadła do kuchni, złapała reszkę chleba i pieczonego mięsa, a następnie buty i spodnie Rory'ego oraz swoje i popędziła do drzwi. Mocując się z zamkiem, słyszała wściekłe wrzaski i jęki. Sparaliżowały ją na moment, ale opanowała się i wbiegła do stajni. Sztyletem przecięła pęta *chervine*, klepnęła go mocno po zadzie i krzykiem wypędziła na podwórko. Odcięła zasupłaną uzdę swojego konia i zaczęła zakładać mu wędzidło. Nieartykułowane wrzaski Rory'ego oraz pytające okrzyki Mhari nasiliły się i stopiły w przerażający duet. Romilly poczuła rwący ból, ale wiedziała, że to tylko *laran*. Stwierdziła, że to niewielka cena za cios, który ją pomścił.

Zabijby mnie, zgwałcił. Nie muszę czuć się winna z jego powodu!

Starannie zapięła tunikę dla ochrony przed zimnem. Już miała cisnąć buty i spodnie Rory'ego w śnieg, ale rozmyśliła się. Otworzyła drzwi do wychodka i mściwie cisnęła ubranie do dołu. Niech ich sobie szuka, a potem czyści, nim za mną wyruszy, pomyślała. Chwyliła węzełek z jedzeniem, wskoczyła na konia i z krzykiem ścisnęła mu boki piętami. Popędziła w stronę lasu i ścieżki prowadzącej w dół. Musiała przywrzeć do karku wierzchowca, bo droga była bardzo stroma, ale wiedziała, że nie narodził się jeszcze koń, z którego by spadła. Przypomniała sobie słowa Mhari: „Powinieneś był skręcić w lewo na rozstaju u stóp góry. " Serce waliło jej tak mocno, że ledwo słyszała głośny stukot kopyt.

Była wolna, przynajmniej na razie. Rory nie mógł jej ścigać. Mniejsza o to, że w środku deszczowej nocy znajdowała się pod gołym niebem, z niewielkim zapasem jedzenia i bez pieniędzy, z wyjątkiem kilku monet ukrytych w zawiniątku między piersiami. Najważniejsze, że wyrwała się z rąk Rory'ego i staruszki.

Jestem wolna. Teraz muszę postanowić, co zrobić z moją wolnością. Przez chwilę zastanawiała się nad powrotem do Falconsward, ale ojciec uznałby jej pojawienie się za oznakę uległości. Dom Garris zapewniłby jej niewolę bardziej komfortową niż Rory w lasach, ale nie po to wysiliła całą swoją pomysłowość i uciekła, żeby wracać do więzienia.

Nie. Poszuka Wieży i wyszkoli swój *laran*. Wszystkie stare baśnie zaczynają się od tego, że bohater musi przezwyciężyć liczne trudności. Teraz ja jestem bohaterem - dlaczego zawsze jest nim mężczyzna? – i ruszam na własną wyprawę. Wyszłam już zwycięsko z pierwszej próby.

Zadrżała na myśl, że na drodze ku wolności czeka ją jeszcze wiele doświadczeń.

ROZDZIAŁ DRUGI

Romilly ściągnęła koniowi wodze i zwolniła dopiero, kiedy zaszedł księżyc. Nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje. Nie skręciła w lewo na rozstaju dróg u stóp wzgórz, jak powinna była zrobić, skoro chciała jechać do Nevarsin. Rory zbyt łatwo by ją wytropił. Teraz rozumiała, że się zgubiła. Nie miała nawet pewności, w jakim kierunku jedzie. Musiała poczekać do wschodu słońca.

Znalazła kępę drzew o zwieszających się konarach, rozsiadła konia i przywiązała go do pnia. Owinęła się płaszczem i szorstkim kocem, który chwyciła wybiegając z chaty, i położyła się w małym zagłębieniu pod drzewem. Była przemarznięta i zdrętwiała, ale szybko zasnęła. Parę razy budziła się z koszmarów, w których mężczyzna bez twarzy, Rory albo Garris – czasami miał też wygląd ojca – zbliżał się do niej z wolna, nieubłagane, a ona nie mogła ruszyć ręką ani nogą. Zdawała sobie sprawę, że przy spotkaniu z Rorem musi mieć sztylet w pogotowiu. Ktoś jednak wrzucił nóż do ustępu, a ona nie mogła go poszukać, bo miała na sobie tylko jedną ze swoich pokrwawionych szmat. Właśnie odbywały się festiwalowe tańce na łące, gdzie jej ojciec urządzał targi żywego inwentarza. Obudziło ją niespokojne parskanie i trącanie końskiego nosa. Słońce już weszło, topiąc lód, a z drzew kapła woda.

Pędząc w ciemności na złamanie karku miała szczęście, że koń nie skręcił nogi na oblodzonej drodze. Teraz dokonała przeglądu. Wśród rzeczy, które porwała z chaty ostatniej nocy, była zamrożona ćwiartka mięsa z rogatego królika. Przy tej pogodzie nie powinno się zepsuć. Mogła je upiec i uwędzić, choć nie miała soli. W najgorszym razie będzie odcinać paski i jeść na surowo. Zgubiła hubkę i krzesiwo... Ależ z niej głuptas. Ma przecież sztylet, a krzemienia poszuka, kiedy stopnieje lód na drodze. Gruby płaszcz Rory'ego chronił przed zimnem, a nie wzbudzał takiej pożądlivosti jak jej własny, pięknie utkany, ozdobiony haftem i podszyty gęstym futrem. Miała

ponadto wysokie buty, grube skórzane spodnie, sztylet i trochę drobnych monet. Sakiewkę z kilkoma srebrniakami zostawiła w nadziei, że razem z porządnym płaszczem zaspokoją chciwość Rory'ego na tyle, że nie będzie mu się chciało jej gonić. Nie powinna jednak niepotrzebnie ryzykować – należało jechać w miarę możliwości jak najszybciej. W juku znalazła jeszcze parę kawałków chleba dla psów. Wyjęła jeden i dała koniowi, a sama doprowadziła ubranie do porządku – wybiegła z chaty na pół ubrana – i przeczesiała palcami swe krótkie, nierówno obcięte włosy. Niewątpliwie wyglądała na zbiegłego ucznia sokolnika! Słońce stało już wysoko. Zapowiadał się piękny dzień. Drzewa zrzucały śniegowe strąki i od razu wypuszczały pączki. Romilly ukroiła kilka cienkich pasków zamrożonego króliczego mięsa i zaczęła je żuć. Mięso było twarde i niesmaczne, ale nauczono ją, że człowiek strawi wszystko, co jedzą ptaki. Sokoły karmiono takim pożywieniem, więc z pewnością jej też nie zaszkodzi, choć wolała gotowane rzeczy.

Na podstawie słońca określiła swoje położenie i wyruszyła na północ. Wcześniej czy później spotka kogoś, kto wskaże jej drogę do miasta Nevarsin, a tam zapyta o drogę do Wieży Tramontana.

Przez cały dzień jazdy nie widziała żywego ducha czy choćby jedyne domostwa. Nie czuła strachu, bo w tej okolicy mogła znaleźć pożywienie. Była bezpieczna, póki utrzyma się ładna pogoda, ale wiedziała, że przed następną burzą musi znaleźć schronienie. Może uda się jej w Nevarsin zamienić konia na *chevinne* i dostateczną ilość gotówki, by kupić jedzenie oraz cieplejsze ubranie. Z takim pośpiechem wciągała buty, że zapomniała o ciepłych skarpetach.

Westchnęła, przełknęła ostatni kęs mięsa i schowała nóż. Na krzakach pozostało kilka zwiędłych jabłek. Były małe i kwaśne, ale zerwała je dla konia i schowała do kieszeni. Wysoko na niebie usłyszała krzyk sokoła krążącego nad jej głową. Obserwując go pomyślała o Preciosie. Przez chwilę wydawało się jej – z pewnością to tylko wyobraźnia lub niewyraźne wspomnienie – że nawiązała z nim słaby kontakt. Ujrzała rozciągający się w dole świat oraz siebie i konia jako małe plamki. *Och, Precioso, kochałam cię. Byłaś moja, ale teraz jesteś wolna, a ja również szukam wolności.*

Tej nocy spała w schronisku dla podróżnych, opuszczonym od momentu, kiedy Aldaranowie ogłosili niezależność od nizinnych Sześciu Dominiów. W obecnych czasach niewielu wędrowców przekraczało Kadarin w drodze między Thendarą a Nevarsin. Choć zaniedbany, niewielki budynek lepiej chronił przed deszczem niż

korony drzew. Romilly udało się rozniecić ogień, więc spała w cieple, a wcześniej jeszcze upiekła sobie kawałek królika. Miała nadzieję, że znajdzie trochę orzechów, bo mięso już jej obrzydło, ale nie mogła się skarżyć, gdyż zaspokoila głód. Gdyby musiała, jadłaby nawet podpłomyki dla psów, ale wołała zostawić je koniowi.

Jechała tak przez następne trzy dni. Przypuszczała, że do tej pory rodzina zarzuciła poszukiwania. Zastanawiała się, czy ojciec poczuł żal, czy uznano ją za zmarłą.

Kiedy dotrę do Nevarsin, jakoś przekażę wieść, że jestem bezpieczna, postanowiła. Na pewno będzie ze mną tak samo jak z Ruyvenem. Ojciec oświadczy, że już mnie nie uważa za córkę. Poczula ściskanie w gardle, ale nie mogła zapłakać. Dostyc łez przelała, a nie zyskała nic oprócz bólu głowy i pieczenia w oczach, więc postanowiła zamiast tego działać.

Kobiety wierzą, że łzy pomagają, myślała. Mężczyźni mają rację twierdząc, że płacz jest niemęski. Tak, kobiety płaczą i dlatego są bezradne, natomiast mężczyźni czerpią siłę ze swego gniewu. Nigdy nie są bezsilni, bo nie tracą czasu ani energii na łzy.

Królik wkrótce się skończył, czego wcale nie żałowała. Pod koniec nawet pies musiałby być wściekle głodny, żeby coś takiego jeść, a każdy sokół na pewno odwróciłby dziób z odrazą. Piątego dnia zostało jej na kolację tylko kilka orzechów znalezionych na samotnym drzewie i parę zdrewniałych grzybów na kolację. Może następnego dnia złapie w sidła jakiegoś ptaka albo spotka kogoś, kto jej powie, czy rzeczywiście zmierza w stronę Nevarsin. Miała jednak wątpliwości, gdyż droga stawała się coraz gorsza. Gdyby zbliżała się do największego miasta w tych górach, z pewnością dotarłaby już do bardziej uczęszczanych szlaków i zamieszkanym okolic!

Chleb również się skończył, więc kilka godzin przed zachodem słońca pozwoliła koniowi nieco się popaść. Na szczęście utrzymywała się ładna pogoda, więc Romilly mogła spać pod gołym niebem. Była bardzo zmęczona, ale przyszło jej do głowy, że nawet gdyby chciała, nie mogłaby teraz wrócić do domu. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się Falconsward. Tym lepiej. Nareszcie przetnie wszystkie więzy łączące ją z domem.

Była głodna i zmarznięta, więc tej nocy spała kiepsko i obudziła się wcześnie. Może powinna cofnąć się po własnych śladach i dotrzeć do bardziej uczęszczanych dróg? Porwała starą koszulę na pasy i owinęła nimi otarte stopy. Wysoko na niebie krążył sokół. Dlaczego wciąż widziała tylko jednego? Czyżby miały swoje terytoria

łowieckie podobnie jak niektóre inne zwierzęta? Znowu odniosła wrażenie, że patrzy oczami sokoła – czyżby znowu *laran*? – i pomyślała o Preciosie. Preciosa odleciała, zniknęła, jest wolna. To dziwne, myślała. Tęsknię za nią bardziej niż za ojcem, braćmi albo domem.

Choć nie była to odpowiednia pora roku, znalazła jeszcze na krzaku kilka małych owoców i zjadła je, żałując, że nie ma więcej. Wypatrzyła drzewo o jadalnej korze, ale nie była jeszcze aż tak głodna. Osiodłała konia, zmęczona mimo długiego snu. Powoli zaczęła sobie uświadamiać, że zabłądziła i może nawet umrzeć w tych niezamieszkanym lasach. Miała jednak nadzieję, że dzisiaj kogoś spotka, znajdzie drogę do Nevarsin albo dotrze do małej wioski, gdzie kupi jedzenie.

Po godzinie jazdy dotarła do rozwidlenia szlaków i zatrzymała się niezdecydowana. Dała koniowi popaść się trochę, a sama wdrapała się na szczyt pobliskiego wzgórza i rozejrzała w poszukiwaniu ludzkiej siedziby, dymu ogniska albo pasterskiej chaty. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna. Oczywiście, że nie, bo nigdy jej się nie zdarzyło być samotną.

Nie jadłam porządnie od wielu dni, myślała. Koniecznie muszę zdobyć pożywienie i rozpalić tej nocy ogień. Niemal żałowała, że nie została z Rorym i jego koszmarną babką. Przynajmniej miała u nich ciepło i nie głodowała. Czy naprawdę byłoby aż tak źle, gdyby poślubiła tego matoła?

Wolę raczej umrzeć w puszczy, powiedziała do siebie zapalczywie, choć była wystraszona i głodna. Z pagórka dostrzegła tylko gęstwinę drzew. Daleko na północnym zachodzie majaczyła wysoka góra, a wokół niej blade cienie – ośnieżone szczyty. Wiedziała, że są to Hellery, wobec których tutejsze wzgórza stanowiły niewielkie kopczyki. Za nimi ciągnął się Mur Otaczający Świat, według opowieści podróżników nieprzebyty. W każdym razie nie zdobył go nikt, kogo znała. Na wszystkich znanych jej mapach wytyczał granicę poznanego świata. Kiedyś zapytała guwernantkę, co leży za nim.

„Zamarznięte pustkowia”, odpowiedziała nauczycielka. „Nikt tego nie wie na pewno.”

Wtedy Romilly była zaintrygowana. Teraz miała już dość wędrowania po nieznaną krainie i tęskniła za ludzkim towarzystwem.

Co prawda dotychczasowe przeżycia nie budziły w niej nadziei, że spotka ją coś dobrego ze strony ludzi, na których mogłaby natrafić.

Cóż, po prostu miała pecha. Westchnęła i mocniej zacisnęła pas. Nie zaszkodzi jej, jeśli popości kolejny dzień, ale wieczorem za wszelką cenę musi znaleźć cokolwiek do jedzenia. Rozejrzała się jeszcze raz, uważniej przyglądając się odległej górze. W pobliżu wierzchołka dostrzegła białą budowlę, najwyraźniej wzniesioną przez człowieka. Zastanawiała się, czy to jest zamek, Wielki Dom czy też może jedna z Wież. Północny zachód. Musi uważać na słońce, żeby zachować właściwy kierunek i nie zacząć krążyć w kółko. Nie grozi jej to jednak, jeśli dalej pojedzie tą drogą.

Powinna wracać do konia. Spojrzała znowu w górę. Dziwne. Na niebie wciąż krążył sokoł. Nasunęło się jej szalone przypuszczenie, że to ten sam ptak. Nie. Po prostu w tych górach żyje mnóstwo sokołów. Wystarczy zadrzeć głowę, żeby dojrzeć drapieżnego ptaka. Przez chwilę wydawało się Romilly, że leci. Ujrzała białą iglicę Wieży i bladoniebieską błyskawicę, która z niej wystrzeliła. Dziewczyńie zakręciło się w głowie. Nie wiedziała, czyimi oczami ogląda ten widok: swoimi czy sokoła. Otrząsnęła się i zerwała kontakt. Łatwo było zatracić się w jedności z niebem, wiatrem i chmurami.

Zeszła z pagórka i z powrotem osiodłała konia. Dobrze, że przynajmniej on się posilił.

–Szkoda, że nie mogę jeść trawy tak jak ty, staruszkule – powiedziała.

Przestraszył ją dźwięk własnego głosu.

Ale oto, jakby w odpowiedzi, rozległ się przenikliwy krzyk atakującego sokoła. Gdy dopadł zdobyczy, Romilly poczuła w ustach smak ciepłej krwi, napływ śliny i wilczy

głód. Zaniepokojony koń rzucił się w bok. Romilly ściągnęła wodze i przemówiła do niego cicho. W tym samym momencie ujrzała przed sobą ciemne lotki skrzydeł. Odruchowo wyciągnęła rękę. Poczowała ostre szpony i weszła w znajomy kontakt.

–Preciosa! – wykrzyknęła szlochając.

Nigdy nie dowiedziała się, jakim cudem i dlaczego ptak towarzyszył jej w podróży. Ostry krzyk i trzepoczące skrzydła przywróciły ją do rzeczywistości. Uświadomiła sobie, że Preciosa trzyma sporego, jeszcze ciepłego ptaka. Zdjęła ją z nadgarstka, który krwawił w miejscu, gdzie przecięły go szpony. To była jej wina, bo nie miała rękawicy. Z bijącym sercem posadziła sokoła na siodle i wyciągnęła sztylet. Głowę i skrzydła upolowanego ptaka dała Preciosie – chwala Nosicielowi Brzemion, koń stał spokojnie. Resztę oskubała, roznieciła ogień i upiekła zdobycz.

Przyleciała do mnie, kiedy byłam głodna. Wiedziała. Przyniosła mi jedzenie, rezygnując z wolności.

Na nogach Preciosa nadal miała pęta. Romilly przecięła je sztyletem.

Jeśli ma ze mną zostać, zrobi to z własnej woli. Nigdy więcej nie będę próbowała zdobyć nad nią władzy. Ona jest panią siebie.

Nie mogła powstrzymać łez. Spojrzała w oczy sokoła i nagle owładnęło ją dziwne, gwałtowne uczucie, nie zwykła miłość, lecz coś w rodzaju zazdrości. To nie ona jest moim sokolem. To ja należę do niej. Ona mnie adoptowała!

Sokół nie drgnął, kiedy zbliżyła do niego twarz. Przeszępując lekko z nogi na nogę, spojrzał w oczy Romilly nieruchomym wzrokiem, podskoczył lekko i wylądował na jej ramieniu. Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy przez tunikę i płaszcz poczuła ostre szpony. Ich uścisk natychmiast zelżał. Preciosa trzymała się jej tylko tak, żeby zachować równowagę.

–Ty ślicznotko, ty cudzie – szepnęła Romilly.

Ptak zaczął czyścić pióra.

Nigdy nie słyszała, żeby uwolniony sokół wrócił. Doszła do wniosku, że to jej *laran* pomógł wytworzyć tak ścisłą więź z ptakiem.

Romilly zjadła upieczone mięso, zgasiła ognisko i osiodłała konia. Wszystkie te czynności wykonywała automatycznie, pozostając w milczącym kontakcie z Preciosa, podążając ku niej oczami i umysłem.

Zostanie ze mną czy odleci? To bez znaczenia. Ważne, że jesteśmy razem.

Ucieła gałąź, ostrugała i przymocowała za siodłem, na wypadek gdyby Preciosa postanowiła zostać. Dosiadła konia. Ptak stał przez chwilę spokojnie na prowizorycznym stojaku, potem zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze. Nie oddalił się jednak, lecz zaczął krążyć nad wierzchołkami drzew. Romilly odetchnęła głęboko. Preciosa nigdy nie opuści jej zupełnie.

Raptem usłyszała stukot kopyt i szczekanie. Ściągnęła wodze.

–Mówię ci, że widziałem dym – twierdził ochryply męski głos.

Drugi uparcie zadawał mu kłam.

Romilly zeskoczyła z konia i wprowadziła go między gęste drzewa porastające skraj drogi. Nie miała ochoty na spotkanie z obcymi, póki ich nie zobaczy i nie przekona się, co to za jedni.

W tym momencie odezwał się inny głos, również szorstki, ale o wymowie wykształconego człowieka z nizin. Nieznajomy wyrażał się podobnie jak Alderic.

–Jeśli ktoś jedzie tą drogą, Orainie, z pewnością jest w podobnej sytuacji jak my i ucieszy się na widok ludzkich twarzy.

Jeźdźcy znaleźli się w zasięgu wzroku. Romilly ujrzała wysokiego mężczyznę o płomiennie rudych włosach. Mimo podniszczonego, prostego ubrania oraz nie przyciętych włosów i brody miał wygląd wielkiego pana. Nie był to prostak w rodzaju Rory'ego, przypominał jej raczej lorda Storna albo starszego lorda Scathfella. Towarzysz jadący u jego boku również był wysoki, chudy, ubrany w kaftan o staroświeckim kroju i długie buty, które wyglądały na własnoręcznie uszyte z niewyprawionej skóry. Na siodle przed nim niespokojnie przestępował na stojaku z nogi na nogę wielki zakapturzony ptak, jakiego Romilly nigdy w życiu nie widziała. Pozostając w częściowym kontakcie z Preciosą krążącą nad wierzchołkami drzew, odebrała lekki gniew i chyba strach. Nie wiedziała, co to za ptak, ale wyczuła instynktownie, że sokolicy nie podoba się jego bliskość.

Za tymi dwoma mężczyznami Romilly zobaczyła pięciu czy sześciu innych. Tylko ci na przedzie mieli konie. Pozostali jechali na *chervine*, niedużych, o zaniedbanej sierści i nierównych rogach. Jedno lub dwa ze zwierząt zostały pozbawione rogów, tak nieumiejętnie i brutalnie, że Romilly aż się skrzywiła na ten widok. Ojciec wyrzuciłby koniuszego, który by doprowadził wierzchowce do takiego stanu, a jeśli chodzi o ucinanie rogów, ona sama chyba poradziłaby sobie lepiej! Podobali się jej dwaj mężczyźni jadący na czele, ale nigdy jeszcze nie widziała takich zbirów jak ich towarzysze! Chudy brodacz zsiadł z konia.

–Jest ślad ogniska i koński nawóz. Niedawno był tutaj jeździec – stwierdził.

–Na koniu, w tej dziczy? – spytał rudy arystokrata unosząc brwi.

Rozejrzał się, ale to chudy wypatrzył Romilly stojącą wraz z wierzchowcem w największej gęstwinie.

–Wyjdź, chłopcze. – Kiwnął na nią ręką. – Nie zrobimy ci krzywdy.

Rudowłosy zeskoczył z konia i stanął obok resztek ogniska. Pogrzebał w zasypanym starannie żarze. Jak wszyscy ludzie wychowani w Hellerach, Romilly była niezwykle ostrożna, jeśli chodzi o ogień w lasach. Gdy pokazało się kilka iskier, dorzucił trochę gałązek.

–Oszczędziłeś nam kłopotu rozniecenia ogniska – stwierdził spokojnie. – Chodź do nas. Nikt nie zrobi ci krzywdy.

Romilly rzeczywiście nie wyczuwała żadnego zagrożenia ze strony nieznajomych. Wyprowadziła konia z gęstwiny.

–Kim jesteś, chłopcze, i dokąd zmierzasz? – zapytał chudy przyjaźnie.

Romilly zauważyła, że nie jest taki stary jak jej ojciec, lecz starszy niż bracia.

Powtórzyła bajeczkę, którą sobie wymyśliła.

–Jestem uczniem sokolnika. Wychowałem się w Wielkim Domu, ale moja matka była zbyt dumna, żeby domagać się uznania mnie za syna szlachcica. Pomyślałem, że większe szanse będę miał w Nevarsin, więc wyruszyłem w drogę, ale zgubiłem się.

–Masz konia, płaszcz, sztylet i, jeśli się nie mylę, również sokoła – powiedział rudy. Spojrzenie jego szarych oczu spoczęło na prowizorycznym stojaku, na którym Romilly zawiązała odcięte pęta. Nauczono ją, by nigdy nie wyrzucała nawet kawałka skóry, która zawsze mogła się przydać.

–Ukradłeś ptaka? Skąd zwykły uczeń ma sokoła?

I gdzie on jest?

Dziewczyna uniosła rękę i po chwili wylądowała na niej Preciosa.

–Ona jest moja – oświadczyła Romilly. – Nikt inny nie ma do niej prawa, bo sam ją wyszkoliłem.

–Nie wątpię – zapewnił arystokrata. – Skoro wypuszczasz ją bez pęt w tej głuszy, a ona nie odlatuje, to znaczy, że należy do ciebie; na tyle, na ile człowiek może posiadać dzikie stworzenie.

On rozumie! Romilly poczuła się nagle bliska temu mężczyźnie, jakby był jej bratem, krewniakiem. Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił uśmiech.

–My również jedziemy do Nevarsin, choć trochę okrężną drogą... ze względów bezpieczeństwa. Jedź z nami, jeśli chcesz.

–Dom Carlo ma na myśli, że gdybyśmy jechali głównymi drogami, szybko trafilibyśmy w ręce kata! – wyjaśnił chudzielec.

Bandyci wyjęci spod prawa? Romilly przemknęło przez myśl, że uciekłszy Rory'emu i natknąwszy się na tych ludzi, wpadła z deszczu pod rynnę!

–Robisz z nas bandę morderców, Orainie – powiedział dom Carlo, patrząc z miłością na towarzysza. – Jesteśmy ludźmi bez ziemi. Utraciliśmy posiadłości swoich

ojców, a niektórzy z nas również rodziny, bo poparliśmy prawowitego króla zamiast szubrawca, który rości sobie prawa do tronu Hasturów. Pozbył się przeciwników za pomocą trucizny, sznura albo noża, a miał dość ziemi, żeby wynagrodzić stronników.

Morduje albo skazuje na wygnanie każdego, kto spojrzy na niego krzywym okiem i nie

pada od razu na kolana. Jedziemy do Nevarsin, żeby tam zebrać armię. Rakhal nie dostanie Kryształowego Pałacu bez walki! On... Hasturem? – Mężczyzna zaśmiał się krótko. – Ciężyc będzie jego głowie ta korona, póki żyje którykolwiek z nas! Jestem Carlo z Niebieskiego Jeziora, a to mój przyboczny i przyjaciel Orain.

Słowo, którego użył na określenie „przyjaciela”, mogło również oznaczać „kuzyna” albo „przybranego brata”. Romilly zauważyła, że Orain patrzy na dom Carla z takim oddaniem, jak dobry pies na swojego pana.

–Skoro chłopak jest sokolnikiem, nie wątpię, że potrafi stwierdzić, co dolega naszym ptakom-zwiadowcom, dom Carlo – powiedział Orain.

Carlo spojrzał uważnie na Romilly.

–Jak masz na imię, chłopcze?

–Rumal.

–Z twojej wymowy wnoszę, że wychowałeś się na północ od Kadarinu. Znasz się na sokołach, Rumalu?

–Tak, sir.

–Pokaż mu ptaki, Orainie.

Orain podszedł do konia i zdjął z siodła wielkie stworzenie. Skinął na dwóch mężczyzn, którzy wieźli takie same ptaszyska. Ostrożnie zdjął kaptur, trzymając się w bezpiecznej odległości od dzioba. Zwiadowca rzucił głową, jakby próbując dziobnąć, ale był zbyt apatyczny, żeby naprawdę zaatakować. Nad oczodołami miał długi upierzony grzebień, głowę nagą i brzydką, a pióra zaniedbane. Nawet pokryte łuską szpony były brudne. Romilly nigdy jeszcze nie widziała tak brzydkich i groźnych ptaków, choć w dobrym zdrowiu mogły mieć w sobie piękno dzikich stworzeń. Teraz wyglądały po prostu żałośnie, skulone i nieszczęśliwe. Jeden z nich wydał długi okrzyk, a potem smętnie wtulił głowę między skrzydła.

–Nigdy nie widziałem takich ptaków – stwierdziła Romilly.

Pomyślała, że przypominają padlinożerne *kyorebni* z wysokich gór.

–Ptak to ptak – skwitował Carlo. – Dostaliśmy je od sprzymierzeńca i wieziemy jako dar dla armii Carolina, ale wygląda na to, że mogą nie przeżyć drogi. Nie mamy pojęcia, co im dolega, choć niektórzy z nas tresowali sokoły. Znasz się na ptasich chorobach, mistrzu Rumalu?

–Trochę – odparła Romilly.

Rozpaczliwie starała się przywołać swą skąpą wiedzę o leczeniu ptasich niedomagań. Te stworzenia rzeczywiście były chore. Każdy ptak – czy to żyjący w klatce, czy dziki *ver'ín* – który nie czyści sobie piór i nie dba o stan nóg, jest chory. Romilly umiała składać złamane lotki, ale nie знаła się na leczeniu. Jeśli ptaki-zwiadowcy cierpiały na linienie albo dokuczało im coś innego, nie miała najmniejszego pojęcia, jak im pomóc.

Mimo to podeszła do nich i wyciągnęła rękę do tego, którego trzymał Orain. Zajrzała mu w oczy i sięgnęła do umysłu, próbując nawiązać kontakt. Odebrała apatię, chorobę i ból. Wycofała się, czując mdłości.

–Czym je karmiliście?

Dobrze pamiętała reakcję Preciosy na niedostatecznie świeże mięso.

–Tylko najlepszymi i najświeższymi kaskami – zapewnił jeden z mężczyzn. –

Mieszkałem w Wielkim Domu, gdzie trzymano sokoły, dlatego wiem, że są

mięsożercami. Gdy polowanie nie udawało się, wszyscy odejmowaliśmy sobie od ust,

żeby wystarczyło świeżego mięsa dla cholernych ptaków. I dużo nam z tego przyszło –

dodał patrząc strapionym wzrokiem na nieruchomo siedzącego ptaka.

–Dawaliście im tylko świeże mięso? – upewniła się Romilly. – Stąd wasze kłopoty,

sir. Proszę spojrzeć na ich dzioby i pazury, a potem na mojego sokoła. To

padlinożercy. Powinny same szukać pożywienia. Nie potrafią rozrywać świeżego

mięsa, bo mają za słabe dzioby. Jeśli przez cały czas wieźliście je na siodłach, nie

mogły dziobać piasku i kamyków. One żywią się na pół zgniłym mięsem, w dodatku

razem z futrem lub pierzem. Wy dawaliście im samo mięso odarte ze skóry, prawda?

–Myśleliśmy, że tak należy robić – przyznał Orain.

Romilly potrząsnęła głową.

–Powinniście zostawić pióra lub futro, a ptakom dać możliwość połknięcia żwiru, patyków, a nawet zielska. Jestem pewien, że staraliście się karmić je jak najlepiej, ale one zdychają z głodu, bo nie mogą strawić tego, co dostają. Trzeba je czasami wypuścić, choćby na przynęty.

–Na piekło Zandru, on mówi z sensem, Orainie – stwierdził dom Carlos zdumiony. – Powinienem sam na to wpaść. Teraz już wiemy. Co można zrobić?

Po chwili namysłu Romilly weszła w kontakt z Preciosą krążącą w górze i spojrzała na ziemię jej oczami.

–W gęstwinie leży jakaś padlina. Nie znam się na ptakach-zwiadowcach. Mają swoje terytoria czy żyją razem?

–Trzymamy je osobno, bo walczą ze sobą – odparł Orain. – Mój niemal wydziobał

oczy temu, który siedzi na siodle Gawina.

–Więc nie ma rady, trzeba je karmić oddzielnie – stwierdziła Romilly. – Tam w lesie jest kilkudniowa padlina. Musicie ją przynieść i pokroić dla nich.

Mężczyźni zawahali się.

–No, na co czekacie? – rzucił ostro dom Carlo. – Carolin potrzebuje tych ptaków.

W Tramontanie na pewno jest *leronis*, która potrafi obchodzić się z nimi. Musimy jednak dowieźć je żywe!

–Wydelikacone, przewrażliwione niedorajdy! – zaczął wymyślać Orain. – Boicie się pobrudzić ręce? Dam wam przykład! Gdzie to ścierwo, chłopcze?

Romilly ruszyła w stronę gęstwiny, a Orain za nią.

–Idźcie i pomóżcie! – rozkazał dom Carlo. – Pozwolicie, żeby ci dwaj sami przyciągnęli mięso dla trzech ptaków?

Dwóch mężczyzn niechętnie poszło za nimi. Martwe zwierzę – Romilly podejrzewała, że to jeden z małych, pstrokatych leśnych *cheruine* – wkrótce dało o sobie znać odorem. Dziewczyna skrzywiła nos.

–Tym paskudztwem mamy karmić nasze wspaniałe ptaki? – spytał Orain z niedowierzaniem.

Pochylił się i ostrożnie dźwignął cuchnące ścierwo. W pustych oczodołach wiło się robactwo, ale mięso jeszcze nie rozpadało się w rękach. Romilly chwyciła zwierzę z drugiej strony, starając się oddychać ustami.

–*Kyorebni* uznałyby to za rarytas – zauważyła. – Nigdy nie hodowałem padlinożercy, ale wiem, że mają inne żołądki niż sokoły. Jak by wam smakowała trawa?

–Bez wątpienia masz rację – przyznał Orain ponurym tonem. – Nie

przypuszczałem jednak, że będę musiał dźwigać śmierdzącą padlinę, nawet dla króla!

W tym momencie podeszli inni mężczyźni i pomogli im nieść zwierzę. Gdy wykonali

zadanie, jeden z nich zwymiotował, natomiast Orain wyciągnął nóż i zaczął dzielić mięso na trzy części. Jeszcze zanim skończył, zakapturzony ptak siedzący na jego siodle zaczął krzyczeć. Romilly odetchnęła z ulgą. Najwyraźniej miała rację. Wzięła garść drobnego żwiru i posypała nim mięso. Po chwili wahania podeszła do chorego ptaka i zdjęła mu kaptur.

–Hej, chłopcze! – krzyknął Orain. – Uważaj na oczy...

Ptak wydawał się jednak łagodny i uległy pod jej delikatnym dotykiem. Biedne głodne stworzenie, pomyślała Romilly. Wzięła je na ręce, co wymagało znacznej siły, i postawiła na ziemi obok padliny. Zwiadowca wydał okrzyk i zaczął łapczywie dziobać gnijące mięso, rozrywać je i łykać wielkie kawały razem z sierścią i kamykami.

–Widzicie? – rzuciła Romilly i poszła po drugiego ptaka.

Orain chciał jej pomóc, ale zaraz cofnął się, bo ptak próbował go dziobnąć.

Gdy ptaki najadły się, przystąpiły do czyszczenia piór, pokrakując cicho z zadowolenia. Dom Carlo spojrział na Oraina unosząc brwi.

–Jedź z nami do Nevarsin, chłopcze, a potem do Tramontany – zaproponował

Orain. – Będziesz opiekował się w drodze ptakami. Damy jeść tobie i twojemu

koniowi, a ty dostaniesz po trzy sztuki srebra za każdą dekadę pracy. Sokół na pewno

sam się wykarmi – dodał z uśmiechem.

–To jest ona – sprostowała Romilly.

–Nikogo nie obchodzi, czy to jest samica, czy samiec, oczywiście poza ptakami

tego samego gatunku – stwierdził. – Z ludźmi jest inaczej, prawda, dom Carlo? –

Roześmiał się, ale Romilly nie zrozumiała żartu. – No więc jak, chłopcze? Jedziesz z nami i z naszymi ptakami?

Romilly bez wahania podjęła decyzję. Sama przecież wybierała się do Nevarsin, a potem do Tramontany, by odszukać brata. W ten sposób miała zapewniony wikt i opiekę.

–Chętnie, dom Carlo i panie Orainie.

–Zatem umowa stoi. – Orain wyciągnął do niej sękatą dłoń. – Ptaki są nakarmione, więc chyba możemy oddalić się od ich cuchnącego smakołyku i rozpakować własne wiktuały?

–To brzmi zachęcająco – skwitowała Romilly i poszła rozsiodłać konia.

Do jedzenia były kawałki twardego ciasta nasadzone na patyki i obracane nad ogniem. W popiele piekło się kilka dużych bulw. Romilly usiadła obok Oraina, który podał jej mały woreczek z solą. Po skończonym posiłku Orain poprosił nowego sokolnika o pomoc przy zakładaniu ptakom kapturew i przenoszeniu ich z powrotem na siodła. W pewnym momencie Romilly usłyszała narzekanie:

–Chłopak jedzie na koniu, a my musimy zadowolić się jelenio-kucami? Może powinniśmy mu go zabrać, co ty na to?

–Tylko spróbuj, a pojedziesz w swoją stronę, Alaricu – uprzedził Orain. – Wśród nas nie ma złodziei i bandytów. Jeśli choć palcem tkniesz konia chłopaka, dom Carlo policzy się z tobą!

Romilly poczuła wdzięczność. Wyglądało na to, że znalazła opiekuna w Orainie. Patrząc na grupkę obszarpańców, trochę się jednak bała. Wcześniej czy później mogła znaleźć się z nimi sam na sam.

–Jakie imiona noszą ptaki? – spytała Oraina. Mężczyzna uśmiechnął się.

–Czy ktoś nadaje imiona takim brzydactwom, niczym ptaszkom z klatki?

–Ja nadaję – odparła Romilly. – Każde oswojone zwierzę powinno dostać imię, żeby mogło je odczytać z umysłu tresera i wiedziało, że o nim lub do niego się mówi.

–Naprawdę? – Orain zachichotał. – Może nazwiesz je Paskuda-Jeden, Paskuda-Dwa i Paskuda-Trzy!

–W żadnym razie – oburzyła się Romilly. Ptak siedzący na jej nadgarstku zatrzepotał niespokojnie. – To są bardzo wrażliwe stworzenia! Jeśli chce się z nimi pracować, trzeba je kochać. – Dostrzegłszy drwinę w oczach mężczyzn, zaczerwieniła się, ciągnęła jednak dalej: – Trzeba dbać o nie i szanować je. Być dla nich dobrym. Myślicie, że one nie wyczuwają w was strachu i niechęci?

–A w tobie nie? – spytał dom Carlo ze szczerym zainteresowaniem.

–Wymagając, żeby najlepszy pies reagował na każde wasze słowo i gest,

kpilibyście z niego przed polowaniem? Myślicie, że by tego nie rozumiał?

–Nie polowałem od wczesnej młodości, ale na pewno żadnego zwierzęcia, które chciałbym oswoić, nie traktowałbym inaczej jak z szacunkiem. Posłuchajcie chłopaka.

On ma rację. To samo mówił mój sokolnik.

Wszyscy kochamy i szanujemy nasze zwierzęta, konie albo *chervine*, które tak wiernie nas noszą. – Poklepał po karku swą wspaniałą karą klacz.

–Cóż, tego możemy nazwać Ślicznotką – odezwał się Orain, patrząc z

rozbawieniem na wielkiego ptaka-zwiadowcę. – Tamtego Pięknością, a trzeciego

Wspaniałym. Nie wątpię, że dla siebie nawzajem są piękne; każda potwora ma swego

amatora, jak mawiała moja stara mamuśka.

Romilly zachichotała.

–Myślę, że to byłaby przesada. Nie są szczególnie piękne, ale możemy je nazwać według cnót. – Podsadziła ciężkie ptaszysko na siodło Oraina. – Ten niech będzie Rozwagą. Temu... – Na widok brudnego stojaka zmarszczyła brwi, oddała zakapturzonego ptaka Orainowi, a sama wyciągnęła nóż i zdrapała nagromadzony brud i odchody. – Temu nadamy imię Wstrzemięźliwość, a tamtemu Pilność.

–Jak mamy je odróżnić? – zapytał jeden z mężczyzn.

–Przecież wcale nie są jednakowe – odparła Romilly z powagą. – Pilność jest duża i ma niebieskie końce skrzydeł. Widzicie? Rozwaga... teraz spod kaptura tego nie widać, ale ma duży grzebień w białe plamki.

A Wstrzemięźliwość jest najmniejsza i ma po dodatkowym palcu na każdej nodze. Orain ze zdumieniem wytrzeszczył oczy.

–Nigdy nie zauważyłem, że aż tak się różnią.

Romilly wsiadła na konia.

–Jeżeli chce się pracować z ptakami, to przede wszystkim trzeba sobie

uprzytomnić, że każdy ptak jest indywidualnością. Pod względem zachowania i

zwyczajów są nie bardziej do siebie podobne niż wy, panie Orainie, i wy dom Carlo.

Proszę mi wybaczyć, sir – zwróciła się do rudowłosego. – Może powinienem naradzić

się z tobą, panie, zanim nazwałem twoje ptaki.

Mężczyzna potrząsnął głową.

–Sam o tym nie pomyślałem. Wybrałeś dobre imiona, chłopcze. Jesteś *Cristoforo*? Romilly skinęła głową.

–Tak mnie wychowano. A ty, sir?

–Służę Panu Światła – odparł dom Carlo krótko.

***HaWimyn* nieczęsto przybywali w te góry, więc Romilly była trochę zaskoczona, ale nic nie powiedziała. To oczywiste, że jako stronnicy wypędzonego króla służyli bogom Hasturów. Jeśli armia Carolina zbierała się w Nevarsin... Zaszło jej w gardle z podniecenia. Niewątpliwie z tego właśnie powodu Alderic znalazł się w górach. Zamierzał przyłączyć się do króla, kiedy nadejdzie pora. Przez chwilę zastanawiała się, kim naprawdę jest Alderic. Może jej nowi towarzysze podróży, jako ludzie Carolina, znali go. Doszła jednak do wniosku, że nie powinna mieszać się w cudze sprawy. Ojciec zawsze to powtarzał i miał rację. Jakie ma znaczenie, który łotr siedzi na tronie, póki zostawia w spokoju porządnych ludzi?**

Jadąc, trzymała się na wszelki wypadek blisko Oraina i dom Carla. Nie podobał się jej sposób, w jaki patrzył na nią Alaric. Tak samo jak Rory, łypał z zawiścią na jej konia. Na szczęście nie domyślał się jej prawdziwej płci, więc nie zerkał na nią samą. Pod opieką dom Carla jej koń był na razie bezpieczny.

Prawdę mówiąc, jak dotąd sama też spisała się nieźle, broniąc własnego ciała.

Jechali przez cały dzień, zatrzymując się tylko na krótko w południe, żeby zjeść owsiankę przygotowaną w ten sposób, że drobną kaszę owsianą zmieszano z zimną wodą i dorzucano garść orzechów. Po posiłku wszyscy odpoczywali, a Romilly zajęła się struganiem nowych stojaków, bo zauważyła, że ptakom jest ogromnie niewygodnie na dotychczasowych. Sprawdziła też pęta i stwierdziła, że jeden z ptaków ma na nodze zaognione otarcie od zbyt ciasnych więzów. Przemyślała je zimną wodą i zrobiła okład z ziół leczniczych. Następnie przeszła do kuców. *Chervine*, któremu nieprawidłowo usunięto rogi, miał w tym miejscu jątrzącą się ranę. Romilly wyczyściła ją i obłożyła mchem silnie chłoniącym wilgoć. Obejrzała po kolei wszystkie jelenio-kuce.

Kulejącemu zwierzęciu wyjęła czubkiem noża mały kamyk z kopyta. Podczas gdy ona się krzątała, mężczyźni leżeli na polance, rozkoszując się słońcem. W pewnym momencie Romilly spostrzegła, że dom Carlo obserwuje ją spod przymkniętych

powiek.

–Dobrze wykonujesz swoją pracę – stwierdził w końcu, siadając. – Nie jesteś

leniwy, Rumalu. Gdzie się tyle nauczyłeś o zwierzętach? Masz zdolności MacAranów.

Przysięgłbym również, że masz ślad *laran* tego klanu. Gdy tak ci się przyglądam, stwierdzam też, że masz ich wygląd.

Romilly odniosła dziwne wrażenie, że szare oczy przejrzały ją na wylot. Skuliła się w sobie. Pochodził z Hasturów, obdarzonych przez bogów. Czyżby zauważył, że jest dziewczyną? Najwyraźniej jednak nie wyczuł jej lęku. Patrzył na nią, czekając na odpowiedź.

–Już mówiłem... wychowałem się u nich...

–Jesteś z nieprawego łoża? Tak, historia stara jak świat. Między innymi dlatego ten szubrawiec Rakhal zasiada na tronie, a Carolin... czeka na nas w Nevarsin.

–Dobrze znasz króla, sir? Wyglądasz na *HaWimyn*.

–Bo nim jestem. Orainie, nie patrz takim wzrokiem. To słowo jest obrażą na

południe od Kadarinu, ale nie tutaj w górach. Chłopak nie miał nic złego na myśli.

Czy znam króla? Jestem z nim spokrewniony i popieram go, choć... nie widuję często. Jak powiedziałem, jest aż za wielu bękartów z ambicjami, którzy doprowadzili właśnie do obecnej sytuacji. Ojciec Carolina miał zbyt dobre serce wobec ambitnych krewniaków. Zresztą jedynie tyran broni tronu, mordując tych, którzy mają do niego choćby niewielkie prawo. Tak więc rozumiem twoje położenie, chłopcze. Jeśli uzurpator Rakhal dostanie w swoje ręce mnie albo, powiedzmy, któregoś z synów Carolina, nasze głowy udekorują mury jego zamku. Podejrzewam, że masz nieco *donas* MacAranów, bo inaczej nie radziłbyś sobie tak dobrze ze zwierzętami. W Tramontanie jest *laranzu* z rodu MacAranów. To jemu i jego współpracownikom wieziemy ptaki-zwiadowców. Znasz się na tych stworzeniach, chłopcze?

Romilly potrząsnęła głową.

–Aż do dziś nigdy nie widziałem żadnego. Wiem tylko, że podobno używa się ich do szpiegowania.

–To prawda, ale musi pozostawać z nimi w kontakcie człowiek obdarzony *laran* twojego rodu albo podobnym. Może, na przykład, policzyć siły nieprzyjaciela i

meldować o ruchach wrogiej armii. Kto ma dobrze wyszkolone ptaki-zwiadowców,

często wygrywa bitwę, bo może działać z zaskoczenia.

–Czy nasze będą do tego właśnie szkolone?

–Tak. To królewski dar od jednego z sympatyków Carolina. Niestety, moi ludzie niewiele o nich wiedzą, więc zdaje się, że zesłali nam ciebie sami Bogowie. Utrzymasz ptaki w dobrym zdrowiu i może uda ci się trochę przyuczyć je do współpracy.

–Tym powinien się zająć człowiek, który będzie je wypuszczał na zwiad –

stwierdziła Romilly. – Ja mogę tylko oswoić je z ludzkim głosem i dotykiem, dobrze karmić i dbać o ich zdrowie.

Raptem przyszło jej do głowy, że być może tym *laranzu*, do którego wieziono ptaki, jest Ruyven. Jakże dziwne są zrządenia losu! Możliwe, że jeśli uda się jej dotrzeć do Tramontany, ona też nauczy się kierować zwiadowcami.

–Dobrze by było, gdyby pańscy ludzie upolowali dla nich jakieś nieduże zwierzę. Co prawda mięso nie powinno być zbyt świeże, ale ostatecznie mogą pokroić je drobno i podać ptakom razem z sierścią lub piórami.

–Ptasią dietę zostawiam tobie – rzekł dom Carlo. – Jeśli będziesz miał kłopoty, przyjdź do mnie. To bardzo cenne stworzenia, więc nie chcę, żeby źle się z nimi obchodzono. – Spojrzał w niebo czerwieniejące na zachodzie. W oddali widać było Preciosę jako maleńką kropkę. – Twój sokół cały czas trzyma się blisko ciebie. W jaki sposób tak go wyszkoliłeś? Jak ma na imię?

–Preciosa, sir.

–Preciosa – powtórzył szyderczo Alaric, zbliżając się do nich, by osiodłać konia dom Carla. – Tak mała dziewczynka mogłaby nazwać lalkę!

–Nie drwij z chłopaka – powiedział dom Carlo łagodnie. – Potrzebujemy go, chyba że sam nauczysz się obchodzić z ptakami. Lepiej zadbaj o swojego *chervine*, choć nie jest koniem. Powinieneś dziękować Rumalowi, że wyjął kamień z kopyta twojego Szaraka!

–Ależ oczywiście – rzucił Alaric zgryźliwie i odwrócił się na pięcie.

Romilly obserwowała go z grymasem niechęci. Zdaje się, że miała wroga wśród tych ludzi, choć na to nie zasłużyła. Może była nietaktowna, zajmując się *chervine* zamiast tylko ostrzec Alarica, że jego zwierzę okuleje. Lecz czy on sam nie czuł albo nie

widział, że biedne zwierzę utyka? Wytłumaczyła sobie, że jest ślepegłowy i nie potrafi komunikować się ze zwierzętami. Zaraz jednak pomyślała z brakiem tolerancji charakterystycznym dla młodych ludzi: „Jeśli nie rozumie zwierząt, nie powinien na nich jeździć!”

Niedługo potem wyruszyli w dalszą drogę. Jechali przez całe popołudnie. Na coraz bardziej stromych szlakach Romilly zaczęła zostawać w tyle. Urodzone w górach *cheruine* spisywały się tu lepiej niż konie. W niektórych miejscach Romilly, Orain i dom Carlo musieli zsiadać z wierzchowców i prowadzić je za uzdy, podczas gdy pozostali bezpiecznie siedzieli na pewnie stąpających kucach. Romilly nie bała się gór, ale niektóre ostre urwiska i wąskie ścieżki biegnące tuż nad przepaściami zapierały jej dech w piersiach. Przygryzała wargi, usiłując nie okazywać strachu. Jechali wciąż pod górę, pokonując kolejne warstwy zimnej mgły i chmur. W uszach szumiało, oddech stawał się krótszy, a serce waliło tak mocno, że ledwo słyszała stukot kopyt na kamienistej ścieżce. Raz potrafiła kamień. Spadł odbijając się co kilka metrów i zniknął w chmurach.

Zatrzymali się u wlotu przełęczy. Orain wskazał skupisko światełek widoczne na tle mrocznego zbocza następnej góry.

–Tam leży Nevarsin, Miasto Śniegów, *vai dom*.

Jeszcze dwa, najwyżej trzy dni drogi, i znajdziesz się bezpieczny za murami Świętego Walentego od Śniegów.

Choć mówił bardzo cicho, Romilly, która została trochę z tyłu, słyszała go.

–A twoje wierne serce nareszcie uwolni się od strachu, *bredu!* Ci ludzie są lojalni i nawet gdyby wiedzieli...

–Nie mów tego nawet szeptem, panie mój... dom Carlo – rzucił pośpiesznie Orain.

Dom Carlo dotknął czule jego ramienia.

–Ochroniałeś mnie od dzieciństwa. Któż jak nie ty powinien być u mojego boku, przybrany bracie?

–Później zadbają o ciebie dziesiątki i setki ludzi, mój... *vai dom*.

–Ale nie z takim oddaniem jak ty – powiedział łagodnie dom Carlo. – Otrzymasz wszelkie nagrody, jakie będę mógł ci dać.

–Wystarczającą nagrodą będzie ujrzeć ciebie znowu na należnym miejscu... Carlo – odrzekł Orain.

Dał znak i jeźdźcy ruszyli wąską przełęczą w dół, na dno parowu.

Tej nocy obozowali pod gołym niebem, w prymitywnym namiocie rozbitym obok drzewa, za ledwie pochyło umocowaną płachtą chroniącą przed największym deszczem. Jako dobry przyboczny, Orain trzymał się blisko dom Carla. Kiedy przygotowali legowiska, a Romilly nakarmiła ptaki resztką padliny – ludzie sarkali i narzekali na odór, ale nikt nie śmiał sprzeciwić się przywódcy – Orain rzekł krótko:

–Rumalu, rozłóż koc obok nas. Sam płaszcz nie ochroni cię przed zimnem, chłopcze.

Romilly podziękowała mu i ułożyła się między dwoma mężczyznami. Zdjęła tylko buty – nie chciała, żeby ją zobaczyli bez ubrania – lecz nawet mimo koca i płaszcza dokuczało jej zimno, więc była wdzięczna za propozycję. Zasypiając wyczuła nadlatującą Preciosę, która usadowiła się w kręgu ognisk. Ponadto odebrała coś jeszcze. Słabą świadomość, dotyk *lاران*, myśli dom Carla krążące po obozie, sprawdzające, czy z ludźmi, zwierzętami i ptakami wszystko w porządku.

Potem zasnęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pojąc rankiem ptaki, które wyglądały znacznie lepiej, czyściły pióra i nogi – przy okazji stwierdziła, że trzeba będzie zdobyć dla nich pożywienie – Romilly widziała mury Nevarsin, jasne w świetle poranka, jakby zbudowane ze śniegu albo soli. Stare miasto wzniesiono na zboczu tuż poniżej linii wiecznego śniegu. Nad nim widniały szare ściany klasztoru wyciosane w litej skale, niczym kości góry przeświecające spod śniegu.

Jeden z towarzyszy podróży, którego imienia nie znała, nosił wodę na owsiankę, a drugi odmierzał porcje ziarna dla *chervine* i koni. Alarica, potężnego, niechlujnie ubranego mężczyzny o groźnym spojrzeniu bała się najbardziej, ale nie mogła go całkiem unikać. W każdym razie musiał trochę lubić ptaki, bo wiozł jednego z nich na siodle.

–Proszę mi wybaczyć, ale będziecie musieli coś upolować dla ptaków –
powiedziała Romilly uprzejmie.

–Zabita rano, do wieczora zdobycz zacznie się rozkładać i będzie dla nich w sam raz do jedzenia.

–Ach tak – warknął mężczyzna. – Więc po jednej nocy spędzonej z naszym dobrym przywódcą uważasz, że możesz wydawać rozkazy ludziom, którzy byli z nim przez cały głodny rok? Którego miałeś? A może jednego i drugiego, po kolei, pedałku?

Wstrząśnięta obraźliwą sugestią, Romilly cofnęła się. Twarz jej płonęła.

–Nie masz prawa tak do mnie mówić. Dom Carlo kazał mi opiekować się ptakami i dbać, żeby były dobrze karmione. Wypełniam polecenia *vai dom*, tak samo jak ty!

–Rzeczywiście – przyznał Alaric szyderczo. – A może chciałbyś przyłożyć tę dziewczęcą buzię i damskie rączki...

Reszta była tak dosadna, że Romilly jej nie zrozumiała. Wcale zresztą nie chciała.

Naprawdę nie miała pojęcia, jak na takie słowa zareagowałby któryś z jej braci. Prawdopodobnie wyciągnąłby nóż, ale ona nie mogła mierzyć się z tym wielkim mężczyzną.

–Może jeśli *vai dom* osobiście wyda ci rozkaz, wykonasz go – oświadczyła starając się zachować resztki godności.

Odeszła, zaciskając zęby i z trudem panując nad łzami. Niech go diabli. Niech go diabli! Nie mogę płakać, nie wolno mi.

–Ach, cóż to za chmura gradowa na twarzy, chłopcze? – zapytał Orain z rozbawieniem. – Coś cię boli?

O co chodzi?

Romilly opanowała się z wysiłkiem.

–Masz zapasową rękawicę, wujku? – powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy. Użyła słowa, którym określało się przyjaciela w wieku ojca. – Nie mogę z gołymi rękami zajmować się ptakami-zwiadowcami, najwyżej sokołem. Mają za długie szpony. Od wczoraj krwawi mi dłoń. Chyba muszę je wypuścić na linie, żeby same spróbowały zapolować na małe zwierzęta albo znaleźć padlinę.

–Będziesz miał rękawicę – odezwał się za nimi dom Carlo. – Daj mu swoją starą, Orain. Wprawdzie jest zniszczona, ale chroni rękę. W bagażu są kawałki skóry, więc wieczorem możesz uszyć sobie nową. Ale dlaczego musisz wypuścić ptaki, Rumalu? Dlaczego nie wydasz komuś polecenia, żeby zapolował? Mamy dość wnyków. Zresztą my również potrzebujemy mięsa. Wyślij kogoś na polowanie. – Spojrzał na Romilly unosząc rude brwi. – A więc to tak? Który z nich ci dokuczył... Rumalu? – Romilly spuściła wzrok.

–Nie chcę sprawiać kłopotów, *vai dom* – powiedziała ledwo dosłyszalnie. – Poza tym, ptakom przyda się trochę ruchu.

–Bez wątpienia – zgodził się Carlo. – Więc je wypuść, jeśli chcesz. Nie pozwolę jednak, by lekceważono moje rozkazy. Daj tę rękawicę, Orainie, a ja pogadam sobie z Alarikiem.

Romilly dostrzegła w jego oczach błysk, jakby siwa stal wykrzesła iskrę z krzemienia. Wzięła rękawicę i oddaliła się ze spuszczoną głową. Znalazionym piórem pogłaskała Wstrzemięźliwość, która szybkim ruchem skłoniła głowę w geście zadowolenia. Wielkie ptaszyska stopniowo przyzwyczajają się do ludzkiej obecności i dotyku. Romilly wypuściła Wstrzemięźliwość i obserwowała, jak ptak spada na jakieś niewielkie martwe zwierzę leżące w trawie i stojąc na jednej nodze zaczyna je

rozrywać pazurami drugiej i dziobem. Następnie dała polatać Pilności, a na koniec – z ulgą, bo od ciężaru już ją rozboleła ręka – mniejszej i łagodniejszej Rozwadze.

To brzydkie stworzenia, myślała, ale mają siłę, wytrzymałość i bystry wzrok. Dzięki nim świat jest przyjemniejszym miejscem, bo oczyszczają go z gnijących szczątków. Była zdumiona, że ptaki, choć przywiązane do linek, znajdują w trawie padlinę, której

ona nie dostrzegała ani nie wyczuwała. Dlaczego dotychczasowi opiekunowie nie poznali się na ich potrzebach, skoro dla niej były one oczywiste?

Oto co znaczy mieć *laran*, pomyślała Romilly z nagłą pokorą. Był to wrodzony dar, na który niczym sobie nie zasłużyła. Lecz nawet dom Carlo, który sam miał cenny *laran* – w oczy rzucała się jego władczość – nie umiał porozumiewać się z ptakami, choć najwyraźniej znał się na ludziach. Dar MacAranów. Ojciec bardzo się mylił, a ona miała rację, gdy twierdziła, że ma ten cenny i wspaniały Dar po to, by się nim posługiwać. Ignorowanie go, nadużywanie, igranie z nim bez wyszkolenia... och, to dopiero było złe, złe!

Jej brat Ruyven miał rację, że opuścił Falconsward, by nauczyć się korzystania z *laran*. W Wieży znalazł swoje właściwe miejsce jako *laranzu* zajmujący się ptakami-zwiadowcami. Pewnego dnia będzie to również jej miejsce.

Gniewny krzyk Rozwagi wyrwał Romilly z marzeń na jawie. Zobaczyła, że ptak skończył posiłek i wzbił się w powietrze, ciągnąc linę. Pozwoliła mu zrobić kilka okrążeń, a potem nawiązała z nim kontakt i nakłoniła do powrotu na ziemię. Włożyła mu kaptur – wdzięczna za rękawicę, którą dał jej Orain, gdyż nawet przez nią czuła ostre szpony – i postawiła go na stojaku.

Przygotowując się do dalszej jazdy, myślała z niepokojem o odległości, która dzieliła ich od celu. Postanowiła trzymać się jak najbliżej Oraina. Gdyby Alaric znalazł się z nią sam na sam... Ze strachem pomyślała o bezdennych otchłaniach, które mijali poprzedniego dnia. Jeden fałszywy krok, lekkie pchnięcie i runęłaby w dół jak tamten kamień, obijając się i łamiąc kości na długo przed uderzeniem o dno. Ogarnęły ją mdłości. Czy Alaric posunąłby się do tego? Nie zrobiła mu żadnej krzywdy.

Jednak zdemaskowała jego niekompetencję przed dom Carlem, którego Alaric najwyraźniej darzył szacunkiem. Wspomniawszy Rory'ego, Romilly zaczęła się zastanawiać, czy istnieją mężczyźni, którymi kieruje coś innego niż złość, pożądanie i nienawiść. Uważała, że w chłopięcym ubraniu będzie bezpieczna przynajmniej od ich żądz, a przecież nawet tutaj, wśród mężczyzn, poznała jej paskudną stronę. Ojciec? Bracia? Alderic? Cóż, ojciec chciał ją sprzedać dom Garrisowi dla własnej wygody.

Alderic i bracia? Tak naprawdę wcale ich nie znała, gdyż nie ukazywali swoich prawdziwych twarzy siostrze, którą uważali za dziecko. Bez wątplenia oni również byli w środku źli. Zacisnąwszy zęby, Romilly osiodłała swojego konia, a następnie wierzchowce Oraina i dom Carla. Do jej obowiązków należało dbanie tylko o ptaki, ale w obecnej sytuacji wołała towarzystwo koni niż ludzi! Jej zamyślenie przerwał łagodny głos dom Carla.

–Osiodłałeś Długonogą? Dziękuję ci, chłopcze.

–To piękne zwierzę – stwierdziła Romilly poklepując klacz.

–Widzę, że masz oko do koni. Nic dziwnego, skoro masz w sobie krew MacAranów. Moja klacz pochodzi z płaskowyżów Armidy. Hodują tam lepsze konie niż w górach, ale czasami wydaje mi się, że brakuje im wytrzymałości górskich ras. Może niedobrze robię, zabierając Długonogą na tutejsze szlaki. Często myślę, że powinienem odesłać ją w rodzinne strony i postarać się o konia z górskiej rasy albo nawet *chervine*. – Położył rękę na lśniącej grzywie. – Pochlebiam sobie jednak, że tęskniłaby za mną. Jako wygnaniec nie mam aż tylu przyjaciół, żebym chętnie rozstawał się z którymś, nawet jeśli jest nim zwierzę. Skoro tak dobrze znasz się na koniach, chłopcze, powiedz mi, czy tutejszy klimat nie jest dla niej za ostry?

–Nie sędzę – odparła Romilly po namyśle. – Jest dobrze karmiona i zadbana. Można by owinąć jej czymś pęciny, żeby nie nadwerżyła sobie ścięgien na tych stromych ścieżkach.

–Dobra myśl – przyznał dom Carlo i skinął na Oraina.

Obaj przystąpili do bandażowania nóg swym nizinnym wierzchowcom. Koń Romilly pochodził z Hellerów. Miał gęstą sierść i kosmate nogi oraz kępki szorstkich włosów na pęcinach. Po raz pierwszy od ucieczki z Falconsward Romilly była zadowolona, że zostawiła swojego konia, a wzięła tego. Nosił ją wytrwale.

Niedługo potem wyruszyli, kierując się w stronę doliny, do której dotarli akurat w porze południowego posiłku. Następnie pojechali stopniowo poszerzającą się i uczęszczaną drogą prowadzącą do Nevarsin, Miasta Śniegów.

Zanim zajechali do miasta, jeszcze jedną noc obozowali pod gołym niebem. Tym razem, pamiętając czym zajmowała się Romilly poprzedniego dnia, Orain wydał rozkaz, żeby mężczyźni sami wyszczotkowali swoje *chewine* i zadbali o nie należycie. Posłuchali go z niechęcią i ponurymi minami. Romilly usłyszała ich narzekanie:

–Dlaczego ten cholerny sokolnik nie zajmie się zwierzętami, skoro już go tu mamy? To powinna być jego robota, a nie nasza!

–Nic z tego. Orain już zrobił sobie z niego pieszczoszka – rzucił Alaric. – Diabli tam ptaszyska! Ten chłopak jest tu dla Oraina, a nie dla nich. Myślicie, że lord Carlo odmówi czegokolwiek swojemu przybocznemu i przyjacielowi?

–Zamknij się – wtrącił trzeci. – Nie masz prawa tak mówić o lepszych od siebie. Dom Carlo jest dla nas dobrym panem i wiernym sługą dla Carolina, a Orain to przybrany brat króla. Nie zauważyłeś, że mówi prostym językiem, ale jeśli chce albo się zapomni, potrafi się wysławiać jak sam dom Carlo albo jakiś hasturski lord! Jeśli zaś chodzi o jego prywatne gusta, nie obchodzi mnie, czy woli kobiety, chłopców czy

rogate króliki, póki nie interesuje się moją żoną.

Romilly oddaliła się z płonąca twarzą. Wychowana w rodzinie *cristoforo* nigdy nie słyszała takich rozmów. Teraz utwierdziła się w przekonaniu, że towarzystwo mężczyzn podoba jej się jeszcze mniej niż towarzystwo kobiet. Po tym, co usłyszała, była zbyt zażenowana, żeby położyć się na kocu obok dom Carla i Oraina, więc spędziła tę noc skulona między drzemiącymi jelenio-kucami. Rano wstała sina z zimna. Kucnęła jak najbliżej ogniska i ukradkiem próbowała ogrzać dłonie o kociołek z owsianką. Gorące jedzenie trochę pomogło, ale karmiąc ptaki nadal dygotała. Walcząc z mdłościami pokroiła mocno śmierdzące rogate króliki, które wcześniej złapał niezadowolony i sarkający Alaric. Gdy wsiadali na konie, dom Carlo rzucił zatroskane spojrzenie kichającej Romilly.

–Mam nadzieję, że się nie przeziębiłeś, chłopcze.

Odwracając wzrok Romilly mruknęła, że *vai dom* nie powinien się martwić.

–Jedna rzecz powinna być jasna – oświadczył dom Carlo marszcząc czoło. –

Zdrowie moich ludzi jest dla mnie równie ważne jak dla ciebie zdrowie ptaków.

Nie zaniedbuję żadnego człowieka, którego mam pod swoją pieczę! Chodź no tutaj!

– Z troską przyłożył Romilly dłoń do czoła. – Masz gorączkę. Możesz jechać?

Wkrótce będziesz miał ciepło w klasztornym domu gościnnym, a dobrzy braciszkanie zajmą się tobą, jeśli jesteś chory.

–Wszystko ze mną w porządku – zapewniła Romilly, przestraszona nie na żarty.

Nie mogła sobie pozwolić na chorowanie! Gdyby ją zabrano do klasztornej infirmerii, odkryto by, że jest dziewczyną!

–Masz ciepłe ubranie? Orainie, znajdź coś dla chłopaka. Jesteś bardziej do niego zbliżony wzrostem niż ja.

Nadal dotykał ręką jej czoła i raptem twarz mu się zmieniła. Spojrzał uważnie na Romilly, która nagle nabrała pewności – czyżby dzięki *laran*? – że on wie. Zamarła ze strachu.

–Orain przyniósł ci ciepłą kamizelkę i skarpety – powiedział tylko i odsunął się. –

Włóż je natychmiast.

Zauważyłem, że masz pęcherze na stopach. Jeśli jesteś zbyt dumny, żeby przyjąć prezent, potrącimy ci z zapłaty. Chcę, żeby moim ludziom było ciepło, sucho i wygodnie. Idź do ogniska i ubierz się. W tej chwili.

Romilly skinęła potulnie głową, schowała się za wierzchowce, założyła grube skarpety – cóż za boska ulga dla obolałych stóp! – i kamizelkę. Rzeczy były trochę za duże, ale ciepłe. Gdy znowu kichnęła, Orain nabrał z kociołka wiszącego nad ogniskiem pełną chochlę gorącej zupy i wsypał do niej garść liści, które wyjął z sakiewki.

–Lekarstwo wiejskich babek na kaszel jest lepsze niż wszelkie napary uzdrowicieli.

Wypij to. Jest gorzkie jak nie odwzajemniona miłość, ale spędza gorączkę.

Romilly skrzywiła się, wypiwszy śmierdzący, cierpki i smakujący pleśnią płyn. Natychmiast zrobiło się jej gorąco, a w ustach pozostała gorycz, ale później, jeszcze tego samego poranka, stwierdziła, że katar ustąpił. Podjechała do Oraina.

–Na tym leku zbilbyś fortunę w miastach, panie Orainie.

Mężczyzna roześmiał się.

–Moja matka była *Ieronis* i zgłębiała sztukę uzdrawiania. Wędrowała wśród ludu zdobywając wiedzę o ziołach, ale uzdrowiciele z miast śmiali się z wiejskich leków.

Romilly przypomniała sobie, że Orain jest przybranym bratem króla. Obecnie zaś służył zwolennikowi króla na wygnaniu, Carlowi z Niebieskiego Jeziora. Towarzysze Alarica mieli rację. Sama wcześniej nie zauważyła, że rozmawiając z nimi, Orain używa wiejskiego dialektu, a gdy zwraca się do dom Carla albo do niej, nabiera sposobu mówienia człowieka wykształconego. W jego towarzystwie czuła się bezpiecznie i swobodnie, tak jak w obecności braci albo ojca.

–Czy król Carolin oczekuje nas w Nevarsin? – spytała. – Sądziłam, że mnisi nie mieszają się do świeckich konfliktów. Dlaczego wzięli w tej wojnie jego stronę?

Niewiele wiem o tym, co dzieje się na nizinach.

Przypomniała sobie rozmowy Darrena i Alderica, co tylko obudziło w niej chęć, by dowiedzieć się więcej.

–Braciszków z Nevarsin nic nie obchodzi tron Hasturów. I nie powinien.

Udzielają schronienia Carolinowi, bo nikogo nie skrzywdził, a jego kuzyn, ten wielki

łotr, Rakhal, który zasiada na tronie, chętnie by go zabił, żeby zaspokoić swoje ambicje. Mnisi nie przyłączą się do Carolina, ale też nie wydadzą go wrogom.

–Jeśli roszczenia Carolina do tronu są słuszne, dlaczego Rakhal zdobył takie poparcie? – zdziwiła się Romilly.

Orain wzruszył ramionami.

–Bez wątpienia dzięki ludzkiej chciwości. Moja ziemia jest teraz w rękach głównego doradcy Rakhala.

Ludzie popierają tego, komu zawdzięczają bogactwo, co ma niewiele wspólnego z prawem. Ci wszyscy ludzie – pokazał za siebie – to drobni posiadacze. Nie zrobili nic złego poza tym, że byli lojalni wobec swego króla. Nie powinni byli zostać wmieszani w walki między wysoko urodzonymi i potężnymi. Alaric jest zgorzkniały, to prawda, ale czy wiesz, na czym polegało jego przestępstwo, za które stracił ziemię, trafił do więzienia i został skazany na ucięcie języka i ręki?

Romilly wzdrygnęła się.

–Musiał popełnić wielką zbrodnię, skoro dostał taki wyrok!

–Tylko w oczach tego *cagawezu* Rakhala – odparł Orain ponuro. – Zbrodnia? Jego dzieci krzyczały: „Niech żyje król Carolin!” kiedy przez wioskę przejeżdżał jeden z największych zbirów Rakhala. Nie miały nic złego na myśli. Nie sądzę, żeby nieszczęsne smarkacze odróżniały jednego króla od drugiego! Lecz ta kanalia, Lyondri Hastur, stwierdził, że to Alaric nauczył dzieci zdrady. Zabrał mu je mówiąc, że powinien je wychować lojalny poddany, i wziął na służbę do swojego Wielkiego Domu, a Alarica wtrącił do więzienia. Jedno z dzieci zmarło, a żona Alarica oszalała z powodu tego, co spotkało jej dzieci i męża. Rzuciła się z okna. Tak, chłopcze, Alaric jest zgorzkniały i o nikim nie myśli dobrze. Ale to nie ciebie nienawidzi, tylko życia w ogólności.

Romilly westchnęła i opuściła wzrok. Zrozumiała, dlaczego Orain opowiedział jej tę historię, i poczuła dla niego jeszcze większy podziw. Był tolerancyjny i współczujący nawet wobec człowieka, który mówił o nim takie paskudne rzeczy.

–Postaram się nie myśleć o nim ani w połowie tak źle, jak on o mnie, wujku.

Była jednak zdezorientowana. Alderic mówił o Hasturach jako potomkach Bogów, wielkich i szlachetnych ludziach, a Orain słowo „Hastur” wymawiał jak obelgę.

–Czy wszyscy Hasturowie są więc złymi ludźmi, wujku?

–W żadnym razie – odparł Orain z żarem. – Po ziemi nie stąpał lepszy człowiek od Carolina. Popełnił on jednak jeden błąd, że traktował zbyt pobłażliwie drani z ambicjami, zresztą swoich krewnych.

Skrzywił usta w parodii uśmiechu i popadł w milczenie, a Romilly, obserwując bruzdy na jego twarzy, zorientowała się, że Orain jest myślami tysiące kilometrów od niej, dom Carla i jego ludzi. Wydawało się jej, że w jego umyśle dostrzega obraz pięknego miasta leżącego między dwiema górskimi przełęczami, w zielonej dolinie nad jeziorem, którego fale są niczym mgła unosząca się z głębin. Na brzegu wznosiła się biała wieża, a po ulicach chodzili wysocy i elegancy mężczyźni i kobiety odziani w jedwabne lśniące szaty, zbyt piękni, żeby mogli być prawdziwi. Wyczuła w Orainie wielki smutek, smutek wygnańca, człowieka bezdomnego.

Ja również jestem bezdomna, myślała. Wyrzekłam się swojego rodu, ale może w Wieży Tramontana czeka na mnie Ruyven. Orain jest zupełnie samotny, bez rodziny.

Tuż po zmierzchu wjechali do Nevarsin przez wielką bramę. Niebo zasnuły deszczowe chmury typowe dla tej pory roku. Dom Carlo jechał przodem. Naciągnął na głowę kaptur, zakrywając twarz. Starymi brukowanymi ulicami, a następnie stromymi drózkami i wąskimi krętymi zaułkami dotarli do zaśnieżonej drogi prowadzącej do klasztoru. Romilly nigdy nie czuła tak dojmującego zimna. Klasztor, leżący między lodowcami, wyciosano w litej skale. Drżała mimo ciepłego ubrania, kiedy zatrzymali się przed bramą, pod olbrzymim posągim Świętego Nosiciela Brzemion uginającego się pod ciężarem świata oraz mniejszą nieco, choć i tak większą od człowieka, figurą Świętego Walentego od Śniegów.

Wysoki, pełen godności mężczyzna w obszernym brązowym mnisim habicie z kapturem zaprosił ich gestem do środka. Romilly zawahała się. Jako *cristoforo* wiedziała, że żadna kobieta nie może wejść do klasztoru, nawet do domu gościnnego. Jednak teraz nie mogła odrzucić przebrania. „Błogosławiony Nosicielu Brzemion, Święty Walenty, wybaczcie mi. Wcale nie chcę wdrzeć się do tego świata mężczyzn i przysięgam, że nie zrobię niczego, co by Was znieważyło”, wyszeptała.

Wybuchłby jeszcze większy skandal, pomyślała, gdybym teraz wyjawiała swoją płęć. Nie miała pojęcia, dlaczego kobietom aż tak surowo zabrania się wstępu do klasztoru. Czyżby mnisi obawiali się, że w obecności kobiet nie umieliby dotrzymać ślubów? Jaki pożytek z przysięgi, jeśli składający ją nie są w stanie oprzeć się pokusom? Dlaczego w ogóle sądzili, że kobiety miałyby ochotę ich kusić? Patrząc na małego, pulchnego mnicha w kapturze, Romilly stwierdziła, że uwodzenie go wymagałoby doprawdy wielkiego poświęcenia i miłosierdzia! Omal nie zachichotała.

Wierzchowce znalazły schronienie w wygodnych stajniach, a ptaki w kamiennym pomieszczeniu z odpowiednimi stojakami.

–Idź do miasta i kup dla nich trochę jedzenia – powiedział Orain i wręczył jej parę miedzianych kółek. – Tylko wróć w porze kolacji. Jeśli chcesz, możesz uczestniczyć w nocnych modłach i posłuchać chóru.

Romilly skinęła głową, zachwycona. Darren opowiadał jej kiedyś o świetnym chórze z Nevarsin, do którego nie przyjęto go, bo nie był dostatecznie muzykalny. Ojciec też wspominał udział w uroczystej mszy i śpiew mnichów jako jedno ze swoich najwspanialszych przeżyć.

Dziewczyna udała się do miasta, podniecona i lekko wystraszona obcym miejscem. Znalazła człowieka handlującego ptakami. Kiedy powiedziała mu, czego potrzebuje, wiedział od razu, jakiej karmy potrzebują ptaki-zwiadowcy. Romilly nieco się obawiała, że przez całe Nevarsin będzie musiała nieść na pół zgniłe, śmierdzące mięso, ale sprzedawca powiedział, że sam je chętnie dostarczy do stajni domu gościnnego.

–Będziesz mieszkał w klasztorze, młody człowieku?

Jeśli sobie życzysz, mogę codziennie dostarczać stosowne pożywienie dla twoich ptaków.

–Zapytam swojego pana. Nie wiem, jak długo zamierza tu pozostać.

Romilly pomyślała, że tego rodzaju usługi to świetna rzecz, ale kiedy mężczyzna podał cenę, mina trochę jej zrzędła. Z drugiej strony nie mogła sama wyruszyć na polowanie, więc zamówiła mięso na dwa dni i zapłaciła handlarzowi, ile żądał.

Wracając przez miasto, czuła się nieswojo. Stare, poszarzałe domy chyliły się nad ulicami, zewsząd otaczały ją mury. Uświadomiła sobie, że od wejścia do Nevarsin straciła kontakt z Preciosą. Tutejszy klimat był zbyt ostry dla sokoła, a w samym mieście nie dałoby się niczego upolować. Sądząc po odorze, nie brakowało w nim padliny, lecz nie był to odpowiedni pokarm dla ptaka wymagającego świeżego pożywienia. Romilly miała nadzieję, że Preciosą jest bezpieczna w cieplejszych stronach.

Ona musiała na razie zajmować się ptakami-zwiadowcami. Nakarmiła je, a potem przystąpiła do ćwiczeń na dużym brukowanym dziedzińcu. Ptaki nie krzyczały już tyle co dawniej, więc Romilly doszła do wniosku, że zaczynają się przyzwyczajać do jej dotyku i głosu. W głębi podwórca dostrzegła grupę małych chłopców. Wszyscy

mieli na sobie obszerne habity z kapturami, byli jednak chyba za młodzi na mnichów. Romilly domyśliła się, że są to chłopcy z dobrych rodzin, przysłani tu na naukę, podobnie jak kiedyś Ruyven i Darren. Może pewnego dnia znajdzie się wśród nich jej

najmłodszy brat. Jakże tęskniła za Raelem!

Chłopcy z podnieceniem i zainteresowaniem obserwowali ptaki.

–W jaki sposób radzisz sobie z nimi? – zawołał najśmielszy.

Zbliżył się i wyciągnął rękę do Wstrzemięźliwości. Romilly powstrzymała go gestem.

–To dzikie ptaki i potrafią mocno dziobać. Mogłyby ci wykluć oczy!

–Tobie nie robią krzywdy – zauważył chłopiec.

–Bo mnie znają, a poza tym umiem się z nimi obchodzić – odparła Romilly. Chłopiec cofnął się posłusznie. Nie był wiele starszy od Raela. Miał dziesięć albo

dwanaście lat. W tym momencie na dziedzińcu rozbrzmiał dzwon i dzieci wbiegły do sieni, popychając się i trącając. Został tylko chłopiec, który obserwował ptaki.

–Nie powinieneś pójść razem z kolegami?

–Nie mam lekcji o tej porze. Czekam na dzwon wzywający chór. Potem będę miał ćwiczenia z bronią.

–W klasztorze?

–Nie zostanę mnichem. Z wioski każdego dnia przychodzi fechtmistrz i daje lekcje mnie i paru innym chłopcom. W tej chwili nie mam żadnych obowiązków.

Chciałbym popatrzeć na ptaki, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Czy jesteś *Ieronis, vai domna*, że znasz się na nich tak dobrze? Romilly wytrzeszczyła oczy.

–Dlaczego nazwałeś mnie „domna”?

–Przecież widzę, kim jesteś, choć masz na sobie chłopięcy strój.

Romilly miała tak skonsternowaną minę, że chłopiec wyszeptał konspiracyjnie:

–Nie martw się, nie powiem nikomu. Przeor byłby bardzo zagniewany, chociaż według mnie nie robisz nic złego. Dlaczego nosisz chłopięce ubranie? Nie chcesz być

dziewczyną?

A czy ktokolwiek by chciał? Romilly zadała sobie pytanie, dlaczego ten dzieciak widzi to, czego inni nie dostrzegli.

–Jestem do tego szkolony, podobnie jak ty do zajmowania się sokołami i innymi ptakami – odpowiedział chłopiec na nie zadane pytanie. – Pewnego dnia będę służył ludziom jako *laranzu* w Wieży.

–Takie dziecko?

–Mam dwanaście lat – oznajmił z godnością. – Za trzy lata będę mężczyzną. Mój ojciec to Lyondri Hastur, doradca króla. Bogowie dali mi szlachetną krew, więc muszę

być gotowy służyć ludziom, którymi kiedyś będę rządził.

Syn Lyondri Hastura! Romilly przypomniała sobie opowieść Oraina o Alaricu i jego rodzinie. Zaczęła udawać, że majstruje przy linie z przynętami. Nigdy wcześniej nie musiała ukrywać myśli, ale wiedziała, że jednym ze sposobów jest szybko i chaotycznie mówić.

–Chciałbyś potrzymać Rozwagę? Jest najłżejsza z ptaków. W sam raz dla ciebie.

Będę pilnować, żeby zachowywała się spokojnie.

Na twarzy chłopca odmalowało się podniecenie i radość. Romilly ostrożnie założyła Rozwadze kaptur, wysyłając kojące myśli – *to przyjaciel, nie skrzywdzi cię, nie bój się* – wsunęła rękawicę na dłoń chłopca i postawiła na niej ptaka. Dała mu pióro.

–Pogłaszcz ją tym. Nigdy nie dotykaj ptaka ręką.

Nawet jeśli jest czysta, może zniszczyć lub zwichrować pióra.

Chłopiec pogłaskał delikatną pierś ptaka, pomrukując coś do niego cicho. Starał się, żeby nie drżała mu ręka.

–Nigdy nie byłem tak blisko ptaka-zwiadowcy – szepnął zachwycony. – Słyszałem, że są dzikie i nie dają się oswoić. Przypuszczam, że jest taka spokojna dzięki twojemu *laran*, domna?

–Nie powinieneś nazywać mnie „domna” – powiedziała Romilly usiłując zachować spokój. Nie chciała płoszyć ptaka. – Używam imienia Rumał.

–Chodzi o *laran*, Rumału? Myślisz, że nauczyłbym się z nimi obchodzić?

–Na pewno, gdybyś trochę potrenował. Powinieneś jednak zacząć od małych damskich sokołów albo krogulców, żeby nie męczyło ci się ramię, bo niepokoisz tym ptaka. Lepiej już zabiorę Rozwagę – dodała widząc, że mała ręka drży z wysiłku. – *Laran* tylko pomaga ci dostroić się do umysłu ptaka. Tutaj klimat jest za ostry dla zwykłych sokołów, więc musisz zaczekać do powrotu na niziny.

Chłopiec westchnął, patrząc z żalem na zwiadowcę.

–Trudniej je oswoić niż sokoły, prawda? Czy są spokrewnione z *kyorebni*?

–Są podobne, ale znacznie bystrzejsze od *kyorebni* czy też sokołów.

Choć Romilly czuła się nielojalna wobec Preciosy, po kilku dniach kontaktu z ptakami-zwiadowcami doszła do wniosku, że przewyższają one inteligencją sokoły.

–Mogę ci pomóc, dom... Rumalu?

–Już prawie skończyłam, ale jeśli chcesz, możesz wymieszać to zielsko i żwir z mięsem. Uprzedzam jednak, że ręce będą ci cuchnęły padliną.

–Mogę je umyć przy studni, zanim pójdę na próbę chóru. Ojciec kantor jest bardzo tłusty i zawsze spóźnia się na próby.

Romilly uśmiechnęła się, gdy zaczął dzielić cuchnące mięso na porcje. Szybko jednak spoważniała. To dziecko było telepatą i synem Lyondriego Hastura. Mogło dla nich wszystkich stanowić zagrożenie.

–Jak masz na imię? – spytała.

–Caryl. Dostałem imię po królu, który panował, kiedy się urodziłem, ale ojciec mówi, że obecnie Carolin to nie jest dobre imię. Carolin nadużywał władzy.

Powiadają, że był złym królem, więc jego kuzyn Rakhal musiał przejąć tron. Dla mnie jednak był dobry.

Romilly wytłumaczyła sobie, że dziecko tylko powtarza słowa ojca. Caryl wykonał zadanie i spytał, czy może dać jedzenie któremuś z ptaków.

–Daj je Rozwadze. Ona jest najłagodniejsza. Widzę, że już się zaprzyjaźniliście.

Chłopiec zaniósł porcję ptakowi i obserwował, jak ten łapczywie rozrywa je

dziobem. Tymczasem Romilly karmiła dwa pozostałe. Kiedy na zewnętrznym dziedzińcu klasztoru rozległ się głos dzwonu stłumiony przez mury, Caryl drgnął.

–Muszę już iść. Najpierw na chór, a potem na lekcję fechtunku. Mogę przyjść wieczorem i pomóc ci karmić ptaki... Rumalu?

Romilly zawahała się.

–Dotrzymam sekretu, obiecuję – zapewnił chłopiec. W końcu dziewczyna skinęła głową.

–Oczywiście. Przychodź, kiedy chcesz.

Chłopiec puścił się biegiem w stronę klasztoru. Romilly zauważyła, że jak każdy ruchliwy dzieciak wytarł ręce o siedzenie spodni, zapominając o obietnicy, że je umyje.

Kiedy zniknął we wnętrzu budynku, westchnęła. Przez chwilę stała bez ruchu, nie zwracając uwagi na podopiecznych.

Syn Lyondriego Hastura, tu, w klasztorze, gdzie dom Carlo ma spotkać się z królem Carolinem i przekazać mu w darze cenne ptaki-zwiadowców, a potem zebrać w mieście armię. Całkiem prawdopodobne, że Caryl zna króla z widzenia, więc jeśli Carolin przebywa w Nevarsin i zjawi się w pobliżu klasztoru, chłopak może go rozpoznać.

„Co mnie obchodzi, jaki łobuz zasiada na tronie?” Słowa ojca rozbrzmiewały echem w jej głowie. Lecz Alderic, który wyglądał na najlepszego mężczyznę, jakiego

znała – poza braćmi – był zaprzysiężonym sługą Carolina, może nawet jego synem. Carlo i Orain również pozostali lojalni wobec wypędzonego króla. Natomiast doradca obecnego, Lyondri Hastur, niezależnie od tego, co mówił jego syn, był chyba jednym z najgorszych tyranów. Świadczyła o tym historia Alarica i jego rodziny.

Ona służyła dom Carlowi, przynajmniej póki brała od niego zapłatę za wykonywaną pracę. Powinien dowiedzieć się o niebezpieczeństwie grożącym człowiekowi, którego nazywał swoim prawowitym królem. Mógłby ostrzec Carolina, żeby nie zbliżał się do klasztoru, gdzie zostałby zapewne rozpoznany. Chłopiec rzeczywiście miał bystry wzrok i *laran*. Spostrzegł przecież, że Romilly jest kobietą.

Nie mogę jednak wyjawić dom Carlowi ani jego przyjacielowi, skąd wiem, że chłopiec ma *laran*, zdecydowała.

Udała się do stajni przylegających do klasztoru i stwierdziła, że konie są w dobrych rękach. Porozmawiała krótko ze stajennymi i hojnie sypnęła im miedzią i srebrem, które dostała od Oraina na wydatki. Po spotkaniu z młodym Carylem miała się na baczności, ale nie wzbudziła podejrzeń u żadnego ze stajennych. Wszyscy uznali ją za członka świty jednego z młodych szlachciców przebywających w klasztorze.

Po wyjściu ze stajni Romilly poszła ostrzec dom Carla. W przeznaczonych dla nich pokojach domu gościnnego zastała tylko Oraina naprawiającego buty.

Mężczyzna podniósł na nią wzrok.

–Coś nie w porządku z ptakami albo zwierzętami, chłopcze?

–Nie, wszystko dobrze – odparła Romilly. – Proszę wybaczyć, że zakłócam wypoczynek, ale muszę zobaczyć się z dom Carlem.

–Nie możesz teraz się z nim zobaczyć, bo rozmawia z opatem, choć nie sędzę, żeby wyznawał grzechy. Nie jest *cristoforo*. Mogę coś dla ciebie zrobić, chłopcze? Nie masz

chyba dużo pracy, skoro ptaki są zadbane i zdrowe. Idź, obejrzyj sobie miasto. Jeśli potrzebujesz pretekstu, możesz zanieść mi buty do naprawy. – Uśmiechnął się szeroko. – Moje umiejętności okazały się zbyt skromne.

–Chętnie wypełnię polecenie, ale naprawdę mam ważną wiadomość dla dom Carla. Obaj jesteście ludźmi Carolina. Właśnie dowiedziałem się, że w klasztorze przebywa ktoś, kto może znać z widzenia króla lub jego doradców. To Caryl, syn Lyondriego Hastura.

Orain zmienił się na twarzy i ściągnął wargi, jakby chciał zagwizdać.

–Naprawdę? Pomiot tego wilka zatruwa tu umysły chłopców i ludzi przeciwko mojemu panu?

–On ma zaledwie dwanaście lat i wygląda na miłe dziecko – zaprotestowała Romilly.

– Dobrze mówił o królu, który podobno zawsze był dla niego miły. – No, ale może go rozpoznać...

–Młody wąż potrafi kąsać jak stary. Co prawda nie mam nic przeciwko dzieciakowi. Nie pozwolę, żeby Alaric coś zwęszył, bo pewnie chciałby się zemścić: syn za syna. Gdyby zobaczył dzieciaka Hastura, wątpię, czy potrafiłby utrzymać ręce z dala od jego gardła. Dobrze wiem, co on czuje. Trzeba natychmiast powiadomić mojego pana.

–Czy Caryl jego też by rozpoznał? Dom Carlo często bywał na dworze? Jest jednym z krewnych Carolina?

–Pochodzi z Hasturów – potwierdził Orain i westchnął. – Cóż, będę miał oko na dzieciaka i szepnę słowo dom Carlowi. Dobrze, że mnie ostrzegłeś, Rumalu. Jestem ci wdzięczny. – Wręczył Romilly mocno połataną buty i rzekł, celowo zmieniając temat: -Zaniesiesz je do szewca, a żebyś się nie zgubił, pójdę z tobą i wskażę ci drogę.

Swobodnym gestem wziął Romilly pod ramię, kiedy wychodzili z klasztornej domu gościnnej. Górskie powietrze było ostre i zimne. Romilly ciasniej otuliła się płaszczem, ale Orain nie wyglądał na zmarzniętego, choć miał na sobie tylko lekką kurtkę.

–Lubię górskie powietrze – powiedział. – Urodziłem się w cieniu Wysokiej Kimbi i mimo że wychowałem się nad brzegami Hali, nadal uważam się za górala. A ty?

–Urodziłem się na Wzgórzach Kilghardzkich, na północ od Kadarinu.

–W okolicach Storn? Znam je dobrze. Nic dziwnego, że masz dryg do sokołów. Ja też. – Zaśmiał się niewesoło. – Ty jednak jesteś mistrzem. Nigdy wcześniej nie zajmowałem się ptakami-zwiadowcami i nie będę czuł się pokrzywdzony przez los, jeśli więcej żadnego nie dotknę.

Skręcili do warsztatu cuchnącego skórą, garbnikami i kalafonią. Szewc lekceważąco uniósł brwi, patrząc na stare buty, ale szybko zmienił wyraz twarzy, kiedy Orain wyjął z kieszeni srebrniaki, a nawet sztukę miedzi.

–Kiedy *vai dom* chce je mieć z powrotem?

–Myślę, że nie da się ich już naprawić, ale ponieważ są wygodne, zrób mi według nich nowe. Wybieram się w Hellery. Masz odpowiednie buty, Rumalu? Zapewne pojedziesz z nami do Tramontany.

Właściwie dlaczego nie? pomyślała Romilly. Nie mam dokąd jechać, a Tramontana to dobry cel podróży, skoro jest tam Ruyven albo przynajmniej wieści o

nim.

–Buty, które ma na sobie młody panicz, nijak nie nadają się na lodowiec –

oświadczył szewc, rzucając Orainowi chytre spojrzenie. – Zrobię waszemu synowi mocną parę za dwie sztuki srebra.

Dopiero teraz Romilly uświadomiła sobie, jak hojnie dom Carlo wynagradza ją za opiekę nad ptakami-zwiadowcami.

–Mam... – rzuciła pośpiesznie.

–Cicho, chłopcze. Dom Carlo kazał mi zadbać, żebyś miał wszystko, co trzeba na podróż, jak każdy inny – oznajmił Orain. – Usiądź i daj wziąć sobie miarę... synu - dodał z uśmiechem.

Romilly wyciągnęła przed siebie szczupłą stopę w zniszczonej i za dużej skarpecie. Szewc nucił pod nosem, zapisując kredą cyfry i uwagi na tablicy znajdującej się obok ławy. – Kiedy mają być gotowe?

–Na wczoraj – burknął Orain. – Możemy wyruszyć w każdej chwili.

Szewc zaprotestował. Mężczyźni targowali się przez chwilę, aż wreszcie ustalili cenę i termin na pojutrze.

–Powinny być na jutro, ale dzisiejsi rzemieślnicy nie są dumni ze swojego fachu – stwierdził Orain ponurym tonem, kiedy opuścili warsztat. Hej! – zawołał, kiedy

Romilly skręciła w stronę klasztoru. – Spiesz ci się, Rumalu, do zimnej soczewicy i kwaśnego piwa? Po wielu dniach podróży i jedzenia owsianki oraz chleba nie lepszego

od podpłomyków dla psów tęsknię za pieczonym drobiem i dobrym winem. Po co masz wracać? Ptaki przecież nie odlecą. Konie mają ciepło w stajni, a mnisi dadzą im

siana, jeśli nie wrócimy. Przejdźmy się po mieście.

Romilly wzruszyła ramionami. Jeszcze nigdy nie była w mieście tak dużym jak Nevarsin i sama bałaby się je zwiedzać, ale z Orainem czuła się pewniej w labiryncie krętych uliczek. W każdym razie zawsze trafiłaby do klasztoru, bo wystarczyło, żeby poszła którąkolwiek drogą prowadzącą w górę. Klasztor wznosił się nad miastem.

Krótki zimowy dzień przygał, kiedy oboje spacerowali po mieście, przeważnie w zgodnym milczeniu. Orain najwyraźniej nie miał ochoty na długie rozmowy, ale pokazywał Romilly różne ciekawe rzeczy: jaskinię, gdzie podobno mieszkał Święty Walenty od Śniegów, oraz jego świątynię, najlepszą kuźnię na północ od Armidy i sklepik ze słodyczami, w którym uczniowie z klasztoru w wolne dni wydawali kieszonkowe. Romilly czuła się jakby była jednym z własnych braci, wolna tutaj, nie skrępowana nakazami, które regulowały zachowanie kobiet. Czuła się dobrze z

Orainem, jakby go znała przez całe życie. On całkiem zapomniał o wiejskim akcencie i mówił niczym dobrze wychowany człowiek, z nikłym śladem nizinnej wymowy, podobnie jak Alderic.

Romilly nie potrafiła odgadnąć jego wieku. Z pewnością nie był młody, ale na pewno nie aż tak stary jak jej ojciec. Ręce miał twarde i zgrubiałe jak człowiek nawykły do miecza, lecz paznokcie czyste i zadbane, a nie połamane i brudne jak u innych ludzi dom Carla.

Musiał przecież pochodzić z dobrego rodu, skoro był przybranym bratem wygnanego Carolina. Wiedziała, że ojciec powitałby Oraina z honorami należnymi szlachcicowi, a dom Carlo, choć nie traktował go jak całkowicie równego sobie, okazywał mu przyjaźń i szacunek oraz we wszystkim szukał jego rady.

O zmierzchu wstąpili do jadłodajni i Orain zamówił posiłek.

–Nie powinienes – zaprotestowała Romilly. – Mogę płacić za siebie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

–Nienawidzę jeść sam, a dom Carlo dał mi wyraźnie do zrozumienia, że ma dzisiaj inne zajęcia.

Romilly skinęła głową, z wdzięcznością przyjmując zaproszenie. Nigdy nie była w tawernie ani publicznej jadłodajni. Zauważyła, że nie ma tutaj żadnych kobiet z wyjątkiem tłustej służącej, która z hałasem postawiła przed nimi talerze i odeszła zamasyście. Gdyby Orain znał prawdę, nigdy by tutaj nie przyprowadził Romilly. Gdyby w tym lokalu zjawiała się jako dama – co było nie do pomyślenia – uczyniono by wokół niej wielkie zamieszanie, nie traktując jej obecności jako czegoś naturalnego. Tym bardziej nie mogłaby siedzieć w swobodnej pozie, z nogami opartymi na przeciwległej ławie, i sączyć cydru, podczas gdy miły zapach jedzenia powoli wypełniał salę.

Zdecydowanie lepiej będzie pozostać chłopcem. Miała szanowane zajęcie i trzy srebrniaki za każdą dekadę. Żadna kucharka czy dojarka nie mogła oczekiwać takiej zapłaty za swoją pracę. Przy tym Romilly pamiętała słowa babki Rory'ego, że czasami

wyganiała męża z łoża i odsyłała go do dojarki, nawet nie pytając o zdanie tej ostatniej. Lepiej całe życie chodzić w spodniach niż mieć tego rodzaju dodatkowe obowiązki!

Romilly zastanawiała się, czy Luciella miała podobne wymagania wobec swoich służących. Czasami zapewne tak. Przecież Nelda urodziła syna. Romilly czuła się nieswojo, myśląc w taki sposób o ojcu, zwłaszcza gdy przypomniała sobie, że jest on

crisoforo... Lecz czy to rzeczywiście ma znaczenie? W środowisku, w którym się wychowała, uważano za rzecz naturalną, że szlachcic ma bękartów, synów i córki *nedestro*. Romilly nigdy nie myślała o ich matkach. Poprawiła się na ławie.

–Głodny? – spytał Orain z uśmiechem. – Coś ładnie pachnie w kuchni. Zagramy w strzałki?

Kilku mężczyzn rzucało strzałkami do tarczy wiszącej w głębi tawerny, a paru innych grało w kości.

Romilly potrząsnęła głową mówiąc, że nie umie rzucać.

–Ale ty graj, jeśli masz ochotę.

–Pora się nauczyć – stwierdził Orain i pociągnął Romilly w stronę tarczy. –

Trzymaj strzałkę w ten sposób i po prostu pozwól jej lecieć. Nie musisz jej mocno pchać – poinstruował.

–Właśnie – odezwał się jeden z mężczyzn stojących za nią. – Wyobraź sobie, że koło namalowane na ścianie to głowa króla Carolina i że masz szansę na pięćdziesiąt miedzianych reisów wyznaczonych za nią!

–Raczej, że to jest głowa tego krwiożerczego wilka Rakhala albo jego głównego szakala Lyondriego Hastura! – krzyknął wzburzony głos.

–Zdrada! – zawołał ktoś. – Nawet po tej stronie Kadarinu takie gadanie nie jest bezpieczne. Kto wie, ilu szpiegów Lyondri Hastur przysyła do miasta.

–Niech Zandru ześle na nich obu tyfus i czyraki – powiedział inny mężczyzna. – Jakie znaczenie ma dla wolnych górali, który drań grzeje tyłkiem tron, a który, jeszcze większy łotr, próbuje go stamtąd wysadzić? Powiadam, że niech obu Zandru zabierze do piekła i cieszy się ich kompanią. Najlepiej, żeby trzymali się na południe od rzeki i zostawili uczciwych ludzi w spokoju!

–Carolin musiał coś nabroić, bo inaczej nie wykopaliby go z tronu – stwierdził

następny. – Ci tam *HaWimyn* uważają, że Hasturowie są krewniakami ich parszywych bogów. Jak wędrowałem w tamtych stronach, to słyszałem różne rzeczy. Mogę wam opowiedzieć...

Całkiem zapomniano o grze.

–Pozwolisz im tak mówić o królu Carolinie? – szeptem zapytała Romilly.

Orain nie odpowiedział na pytanie.

–Jedzenie czeka na stole, Rumalu – oznajmił. – Sąsiedzi, my tu gadamy, a kolacja stygnie. Może później zagramy następną rundkę.

Gestem kazał Romilly odłożyć strzałki i oboje wrócili na swoje miejsca.

–Jesteśmy tutaj, by służyć Carolinowi, a nie bronić go w tawernach przed głupcami – szepnął krojąc pieczeń na porcje. Po chwili dodał półgłosem: – Jednym z powodów, dla których spacerowałem po mieście, była potrzeba wybadania, co ludzie

myślą i w jakim stopniu są stronnikami króla. Jeśli mamy tu zgromadzić dla niego armię, musi mieć poparcie wśród ludzi, by nikt nas nie zdradził. Wiele rzeczy można zrobić w sekrecie, ale nie da się w ten sposób zebrać armii!

Romilly jadła w milczeniu. Zauważyła, że kiedy Orain odezwał się do niej, z miejsca porzucił wiejski akcent i znowu mówił jak wykształcony człowiek. Nic dziwnego, skoro był przybranym bratem króla. Carlo również musiał zajmować wysoką pozycję w najbliższym otoczeniu władcy, zapewne był jednym z jego zaufanych ludzi. Kiedy usunięto Carolina, zapewne też stracił ziemię i uciekł w góry. W tym momencie przypomniało jej się...

Nie wiem, czy Carolin ma wrogów w tym mieście, myślała, ale z pewnością ma co najmniej jednego w klasztorze, choć nie sądzę, żeby taki dzieciak jak Caryl mógł wyrządzić mu wielką szkodę. Chłopiec zresztą mówił, że król był dla niego dobry. Jeśli jednak Carlo i Orain zamierzają spotkać się z królem w klasztorze, wystarczy ten jeden dzieciak, mogący go rozpoznać. Muszą ostrzec Carolina. Romilly zastanowiła się, czemu los wygnanego króla ma dla niej takie znaczenie. Jak mawiał jej ojciec: co za różnica, który łotr zasiada na tronie, a który, jeszcze większy, próbuje go usunąć?

Orain i Carlo nie mogliby służyć złemu panu. Ich król jest również moim władcą!

postanowiła. Zresztą historia, którą usłyszała o podłości Lyondriego Hastura, nappełniła ją odrazą. Romilly pomyślała z lekką ironią, że nie wiadomo kiedy została stronnniczką Carolina.

–Weź ten ostatni kawałek pieczeni, chłopcze. Potrzebujesz dużo jedzenia, bo jeszcze rośniesz – rzucił Orain z uśmiechem i zawołał o więcej wina.

Romilly podstawiła kubek, ale Orain odsunął jej rękę.

–Nie, już dość wypieś. Przynieś chłopcu cydru, kobieto. Jest za młody na tutejszy

trunek! Nie mam ochoty nieść cię do domu. Chłopcy w twoim wieku nie mają

głowy.

Nieco zirytowana Romilly wzięła duży kubek cydru przyniesiony przez służącą. Popijając napój przyznała sama przed sobą, że smakuje jej lepiej niż mocne wino, które paliło usta i żołądek oraz szumiało w głowie.

–Dziękuję, Orainie – szepnęła.

Mężczyzna skinął głową.

–Nie ma za co. Szkoda, że w młodości nie miałem przyjaciela, który dałby mi w ucho, kiedy sięgałem po dzban! Teraz już za późno.

Uniósł kubek i pociągnął duży łyk.

Po chwili zaprosił ją do gry, ale Romilly potrząsnęła głową. Orain sam wrócił do tarczy, a ona została przy stole ociężała i śpiąca. Przysłuchiwała się rozmowom toczonym w barze.

–Dobry rzut! Prosto w oko króla, którego nie popierasz!

–Słyszałem, że Carolin jest w Hellerach, bo *Hali'imyn* są za wielkimi wygodniami, żeby go tutaj szukać.

Mogliby odmrozić swoje delikatne tyłki!

–Czy Carolin jest tutaj, czy nie, ma dość zwolenników swoich rządów. To dobry człowiek!

–Jakikolwiek on jest, przyłączę się do wszystkiego, żeby tylko Lyondri zawisł na sznurze, na który zasłużył!

Słyszeliście, co zrobił staremu lordowi di Asturien? Spalił biedakowi dach nad głową, a jego samego wraz z żoną wypędził na drogę w nocnych koszulach. Gdyby nie przygarnął ich do siebie jeden z leśników...

Po pewnym czasie Romilly zapadła w drzemkę, w której Carolin i uzurpator Rakhal mieli mordy wielkich górskich kotów, przemykali po lasach i rzucaли się na siebie. Słyszała przenikliwy krzyk sokołów, jak gdyby obserwując walkę szybową wysoko. Przeleciała nad białą Wieżą, a z jej szczytu machał do niej Ruyven. Potem rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze. Leciał obok niej, mówiąc z powagą, że ojciec tego nie pochwali.

–Święty Nosiciel Brzemion rzekł, iż człowiekowi nie wolno latać. Dlatego nie mam skrzydeł.

Powiedziawszy to, spadł jak kamień. Romilly obudziła się raptownie i stwierdziła, że Orain potrząsa nią lekko.

–Chodź, chłopcze, już zamykają. Musimy wracać do klasztoru.

Jego oddech był przesycony winem, a mowa bełkotliwa. Romilly nie wiedziała, czy będzie mógł iść. Narzuciła mu płaszcz na ramiona i oboje wyszli w mroźną ciemność. Zrobiło się bardzo późno. Większość domów była ciemna. Gdzieś zaszczekał pies, ale poza tym panowała cisza, a wąskie ulice oświetlała tylko blada i lodowato-błękitna Kyrrdis wisząca nisko nad dachami miasta. Orain szedł niepewnym krokiem, opierając się ręką o ściany domów, a kiedy natknęli się na schody, potknął się i runął

jak długi na bruk. Wydał zdziwiony pijacki ryk. Romilly pomogła mu wstać i rzuciła z rozbawieniem:

–Lepiej trzymaj się mnie.

Czy dlatego zadbał o trzeźwość towarzysza, żeby miał go kto odprowadzić do klasztoru? Romilly bez trudu znajdowała drogę, którą już raz szła.

–Nie wiesz, czy Carolin naprawdę jest w mieście, Orainie? – spytała cichym głosem.

Orain łypnął na nią podejrzliwie.

–Czczego pytasz?

Romilly wzruszyła ramionami. Porozmawia z nim, kiedy będzie trzeźwy. Dobrze przynajmniej, że wino nie rozwiązało mu języka i nie wypaplał nic o swojej misji ani planach. Kiedy pokonywali ostatni stromy odcinek drogi prowadzącej na dziedziniec domu gościnnego, trzymał się blisko niej, czasami obejmując ją ramieniem, ale Romilly odsuwała się. Gdyby tak jak Rory przycisnął ją do siebie zbyt mocno, nawet mimo grubego ubrania mógłby odkryć, że ma do czynienia z kobietą.

Lubię Oraina i szanuję go, myślała, ale gdyby się dowiedział, kim jestem, pewnie zachowałby się jak inni.

Wspierał się na niej coraz mocniej. W pewnym momencie odwrócił się od niej i rozpiąwszy spodnie wysiusiał się pod ścianą jakiegoś domu. Romilly nie po raz pierwszy była wdzięczna losowi, że wychowała się na wsi, dzięki czemu przyjmowała takie rzeczy bez rumieńca. Gdyby chowała się pod kloszem, jak jej młodsza siostra albo Luciella, gorszyłaby się teraz po kilkanaście razy dziennie. Z drugiej strony, gdyby więcej siedziała w domu, pewnie nigdy nie przyszłoby jej do głowy zbuntować się przeciwko małżeństwu, które zaaranżował ojciec. Nie potrafiłaby też podróżować z grupą mężczyzn i nie zdradzić się.

Gdy dotarli do klasztoru, Orain pociągnął za sznur dzwonka. Przez chwilę Romilly zastanawiała się, czy w ogóle zostaną wpuszczeni, ale w końcu brat furtian zjawił się przy bramie i mamrocząc wpuścił ich do środka. Zmarszczył brwi i z dezaprobatą pokręcił nosem, gdy poczuł odór wina, ale pozwolił im wejść. Potrząsnął głową, kiedy Orain chciał mu dać sztukę srebra.

–Dziękuję, ale nie wolno mi, przyjacielu. Wasze pokoje są tam. – Zwrócił się do

Romilly. – Dasz sobie z nim radę?

Dziewczyna skinęła głową.

–Tędy, Orainie.

Wepchnęła go do pokoju. W środku Orain rozejrzał się mętным wzrokiem, mrugając niczym sowa w dziennym świetle.

–Gdzie...

–Kładź się i śpij.

Romilly pchnęła go na bliższe z dwóch łóżek i ściągnęła mu ciężkie buty. Protestował niezrozumiale. Był bardziej pijany, niż sądziła. Nagle chwycił ją za nadgarstek.

–Jesteś dobrym chłopcem. Tak, lubię cię, Rumalu, ale jesteś *cristoforo*. Słyszałem

raz, jak wzywasz Nosiciela Brzemion... Niech to diabli...

Romilly łagodnie uwolniła się, przykryła Oraina płaszczem i wyszła cicho z pokoju, zastanawiając się, gdzie jest dom Carlo. Przecież już nie rozmawia z opatem. Cóż, to nie jej sprawa, a poza tym będzie musiała wstać wcześniej, żeby nakarmić ptaki i wierzchowce. Nie chciała dzielić kwatery z mężczyznami, którzy towarzyszyli Carlowi i Orainowi, więc postanowiła spać na sianie w stajni. Miała tam ciepło i nikt jej nie obserwował. Nie potrzebowała zachowywać aż takiej ostrożności. Dopóki nie została całkiem sama, nie zdawała sobie sprawy, w jakim napięciu ostatnio żyła, uważając na każde słowo czy gest mogący ją zdradzić. Ściągnęła buty, zadowolona, że ma na stopach grube skarpety. Zwinęła się w kłębek na sianie i próbowała zasnąć.

Okazało się jednak, że wcale nie jest senna. Słyszała poruszenia ptaków na stojakach, ciche szuranie kopyt koni i *chervine*. Z głębi klasztoru dobiegł cichy dzwonek i szmer kroków. To mnisi udawali się na nocne nabożeństwo, podczas gdy cały świat spał. Przypomniała się jej uwaga rzucona przez Oraina. Czyżby miał na pieńku z *cristoforo*? A może był bigotem? Romilly nie poświęcała zbyt wielu myśli sprawom religii. Po prostu pochodziła z rodziny *cristoforo* i przez całe życie słyszała opowieści o naukach Nosiciela Brzemion, które zostały przywiezione z gwiazd w czasach, których już nie pamiętał żaden człowiek. W końcu, słuchając dobiegającego z oddali przytłumionego śpiewu, zapadła w niespokojny sen. Śniła o lataniu na skrzydłach sokoła albo ptaka-zwiadowcy. W dole widziała nizinną okolicę, zieloną i piękną, pełną jezior i rozległych pól. Zobaczyła też białą wieżę stojącą nad brzegiem dużego jeziora. Obudziła się, kiedy w klasztorze rozbrzmiał dzwon. Pomyślała z żalem, że gdyby została na kolacji w domu gościnnym, mogłaby posłuchać chóru, może jako jedyna kobieta w historii.

Cóż, zostaną tutaj jeszcze przez jakiś czas. Będą inne noce i inne nabożeństwa. Jakie to szczęście, że Darrena nie ma już w klasztorze, bo dostrzegłby ją i rozpoznał nawet ze swojego miejsca na chórze.

Jeśli król Carolin przybędzie do klasztoru, zostanie rozpoznany przez małego Caryla, przypomniała sobie znowu. Dom Carlo musi go ostrzec.

Zasnęła ponownie i tym razem śniła pomieszane sny o królach i dzieciach, a także o kimś, kto mówił do niej głosem Oraina i głaskał pieszczotliwie. W końcu Romilly zapadła w głęboki sen bez marzeń. Obudziły ją o brzasku krzyki ptaków-zwiadowców.

Życie w klasztorze potoczyło się utartym torem. O świcie karmienie zwierząt, potem śniadanie w domu gościnnym, od czasu do czasu załatwianie drobnych spraw dla dom Carla i Oraina. Dwa dni później Romilly odebrała nowe buty uszyte na miarę i dostała zapłatę za pierwszą dekadę służby. Znalazła kram z ciepłymi ubraniami i

kupiła sobie ciepłe skarpety, tak że mogła wyprać te, które dostała od Oraina. Po południu wędrowała samotnie ulicami Nevarsin, ciesząc się wolnością, której nie miała w Falconsward jako dama i córka MacArana. Wieczorami, po skromnej kolacji w domu gościnnym, wślizgiwała się do kaplicy i słuchała chóru. Wśród chłopców wyróżniał się jeden sopran czysty niczym głos fletu. Romilly wyteżyła oczy, żeby dojrzeć śpiewaka, i stwierdziła, że to syn Lyondriego Hastura.

Mały Caryl nie życzył źle królowi. Romilly miała jednak nadzieję, że Orain przekazał wiadomość dom Carlowi, a ten zaniósł ją Carolinowi.

W ciągu następnej dekady jeszcze ze dwa razy poszła do tawerny z Orainem, który już nie pił więcej niż kubek czy dwa miejscowego wina i nie bywał nim ani trochę zamroczony. Dom Carla nie widywała. Przypuszczała, że wykonuje dla króla Carolina zadanie, które sprowadziło go do miasta. Miała jednak nadzieję, że wyjechał z Nevarsin, by ostrzec Carolina przed przyjazdem do miasta. Nie sądziła, żeby chłopiec mógł wydać Carolina – sam mówił, że król traktował go przyjaźnie – ale zapewne poczuwał się do lojalności wobec ojca. O nic nie wypytywała Oraina. Była zadowolona, że to nie jej sprawa.

Nieśmiało zaczęła się zastanawiać, czy odmówiłaby, gdyby ojciec postanowił wydać ją za kogoś takiego jak Orain. Doszła do wniosku, że nie, ale zaraz naszły ją wątpliwości.

Gdybym wyszła za męża, musiałabym zostać w domu i nigdy nie zaznałabym prawdziwej wolności, stwierdziła. Nie wędrowałabym po lasach i polach, nie chodziłabym po mieście i do tawern, nie mogłabym pracować i mieć własnych pieniędzy; nawet nie zdawałabym sobie sprawy, że nie jestem wolna. Nie

zajmowałabym się też ptakami-zwiadowcami.

Coraz bardziej lubiła wielkie, brzydkie ptaszyska. Jadły jej z ręki równie chętnie jak krogulce albo domowe ptaszki. Chyba stała się silniejsza, bo bez specjalnego wysiłku mogła przez dłuższy czas trzymać ptaki na rękawicy. Ich łagodność i uległość, które czuła, wchodząc z nimi w kontakt, przywodziły jej na myśl Preciosę. Czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy?

Rzadko widywała niedawnych towarzyszy podróży. Spała osobno i spotykała ich tylko rano i wieczorem, kiedy wszyscy schodzili się na posiłki w domu gościnnym klasztoru. Odpowiadała jej taka sytuacja. Nadal trochę się bała Alarica, a pozostali mężczyźni wydawali się jej obcy. Czasami jedyną osobą, z którą rozmawiała przez te dni, oprócz człowieka, który dostarczał karmę dla ptaków oraz paszę dla koni i *chervine*, był Caryl. Gdy tylko mógł się wyrwać z lekcji, przychodził odwiedzić ptaki. Brał je na ręce i zagadywał pieszczotliwie. Romilly zawsze miała obawy, że chłopiec się zapomni i znów zwróci się do niej „*vai domna*”. Dziecku trudno było utrzymać

sekret. Kiedyś do kaplicy przyszedł Orain, żeby posłuchać śpiewów. Zajął miejsce w tylnych ławkach, w największym cieniu. Romilly była pewna, że Caryl z oświetlonego chóru nie może dojrzeć samotnego mężczyzny siedzącego w najmroczniejszej części kaplicy. Znajac Carolina, na pewno rozpoznałby jednego z jego ludzi. Była tak napięta, że wstała cicho i wyszła, bojąc się, że mały telepata wyczuje jej niepokój i odkryje jego przyczynę.

Zbliżało się święto środka zimy. Na targowisku pojawiły się kramy z piernikami ozdobionymi miedzianą folią i zabawkami pomalowanymi na wesołe kolory, a sprzedawcy słodczy wypełnili wystawy gwiazdami z piernika albo ciasta orzechowego. Romilly, w której pod wpływem zapachu świeżych pierników budziła się tęsknota -Luciella zawsze piekła je sama, twierdząc, że w tym gorącym okresie nie można dodawać służącym jeszcze więcej zajęć – niemal żałowała, że opuściła dom. Potem jednak uświadomiła sobie, że i tak nie spędzałaby świąt w domu, tylko w Scathfell, jako żona dom Garrisa. Do tej pory zapewne byłaby już w pierwszej ciąży, gruba i brzydka jak Darissa! Nie, tutaj było jej lepiej. Żałowała jednak, że nie może wysłać prezentu Raelowi i że brat nie widzi kolorowych wystaw.

Rano przed świętem obudził ją śnieg wciskający się szparami do pomieszczenia, w którym spała. Na szczęście ona miała ciepło pod warstwą siana. Od Muru Otaczającego Świat dął z wyciem zimowy wiatr, a dziedziniec klasztoru pokrywała gruba po kolana warstwa świeżego puszystego śniegu. Romilly nałożyła obie pary

ciepłych skarpet i dodatkową tunikę. Mimo to drżała, kiedy wyszła na podwórko, żeby umyć się przy studni. Zaskoczył ją widok małych uczniów i nowicjuszy, którzy biegali na bosaka, śmiejąc się i ciskając w siebie śnieżkami.

Wyglądało na to, że jest im ciepło. Byli zaróżowieni, podczas gdy jej ręce zsiniały z zimna!

Dziewczyna wróciła do budynku i przystanęła skonsternowana. W stajni nie było konia dom Carla! Skradziono go? Chyba że dom Carlo wyjechał. W taką burzę? Śnieg padał bez przerwy z ciemnego od chmur nieba, choć już trochę rzadszy. Gdy uniosła pełne widły pachnącego siana, zjawił się Orain.

–Koń dom Carla... – zaczęła Romilly.

–Cicho, chłopcze – rzucił szeptem. – Nie mów nic, nawet przy jego ludziach.

Możliwe, że życie Carla jest w twoich rękach. Ani słowa!

Romilly skinęła głową.

–Dobry chłopak. Po południu pójdziesz ze mną do miasta. Może będę miał dla

ciebie świąteczny prezent.

Jesteś przecież z dala od domu i rodziny. Wydawało się, że Orain czyta w jej myślach.

–Nie oczekuję żadnych prezentów, sir – oświadczyła sztywno. Czyżby się domyślał albo wiedział?

–Po południu, pamiętaj – rzucił tylko z szerokim uśmiechem i wyszedł.

W południe, przed karmieniem, Romilly wyniosła ptaki na dziedziniec. Z powodu pogody miały mało ćwiczeń. Krzyczały buntowniczo, kiedy przywiązała im linki do nóg i próbowała zachęcić do latania. Najwyraźniej nie lubiły śniegu, który był tak głęboki, że wsypywał się Romilly do butów i topił w środku. Stopy miała lodowate, a palce zgrabiałe. Była przemarznięta i zirytowana. Nawet wesoła buzia Caryla nie mogła poprawić jej nastroju. W taką pogodę może lepiej być damą, która tylko siedzi przy kominku, wyszywa albo piecze pierniki! Caryl był ubrany tylko w cieką tunikę.

–Nie marzniesz? – spytała z irytacją, patrząc na jego gołe ramiona i bosc stopy.

Potrząsnął głową ze śmiechem.

–To pierwsza rzecz, której uczą nas mnisi: jak ogrzewać się wewnętrznym

cieplem, właściwie oddychając. Starsi mnisi potrafią się kąpać w studziennej wodzie,

a potem jeszcze suszyć ubranie na własnym ciele, ale ja bym się chyba nie odważył.

Przez pierwszą dekadę marzłem, ale od tamtej pory nigdy już nie cierpiałem z powodu

zimna. Biedny Rumał. Wyglądasz na bardzo zziębniętego. Szkoda, że nie potrafię

nauczyć cię, jak się rozgrzać! – Wyciągnął rękę do Rozwagi. – Chodź, ptaszku, musisz polatać. Wiem, że nie lubisz śniegu, ale nie możesz przez cały czas siedzieć na stojaku. Trzeba ćwiczyć, żeby mieć mocne skrzydła.

Rozwaga wzbiła się w górę i zaczęła krążyć w powietrzu. Gdy Caryl rzucił przynętę, spadła na nią błyskawicznie.

–Widzisz, ona lubi się tak bawić, nawet mimo śniegu! Spójrz na nią!

–Jesteś szczęśliwy – stwierdziła Romilly kwaśno i dodała: – Lubisz taki ziąb?

–Nie, wolałbym gdzieś wyjść, ale w taką pogodę muszę siedzieć w klasztorze.

Fecht mistrz też nie przyjdzie, więc stracę lekcję fechtunku, ale jestem szczęśliwy, bo

jutro jest święto i przyjedzie do mnie z wizytą ojciec.

Tęsknię za nim i za braćmi. Tata na pewno przywiezie mi wspaniały prezent. Obiecał mi miecz, kiedy skończę dwanaście lat. Może teraz mi go da. Zawsze zabiera mnie do miasta, żebym mógł sobie kupić pierniki i słodycze, a mama przysyła mi co roku nowy płaszcz. Uczyłem się pilnie na wszystkich lekcjach, bo chcę, żeby był ze mnie zadowolony.

Lyondri Hastur? Tu, w klasztorze? W pierwszej chwili Romilly pomyślała o Orainie i dom Carlu, a potem o ich królu, ale zaraz starannie ukryła swój niepokój.

– Twój ojciec już tu jest?

– Nie, ale przyjedzie na święto, chyba że pogoda zatrzyma go w naszym domu odległym o dzień drogi. Ojciec nigdy nie bał się burz! Ma trochę starego daru

Dellerayów. Potrafi wpływać na pogodę. Zobaczysz, że jeszcze przed nocą zrobi tak, że

śnieżyca ustanie.

– O takim *laran* nigdy nie słyszałam. Czy i ty go masz, Carylu?

– Chyba nie. Nigdy tego nie sprawdzałem. Pozwól mi wypuścić Wstrzemięźliwość, gdy ty będziesz się zajmować Pilnością, dobrze?

Romilly wręczyła mu linkę, starając się ukryć niepokój. Alarica również należało ostrzec. A może będzie próbował zemścić się na wrogu, którego uważał za mordercę swej żony i dziecka? Z trudem podtrzymywała rozmowę z chłopcem. W połowie karmienia ptaków zobaczyła, że drzwi stajni się otwierają i na dziedziniec wychodzi Orain. Usiłowała gestem pokazać mu, żeby się cofnął, ale było za późno.

– Jeszcze nie skończyłeś, chłopcze? – spytał. – Pośpiesz się. Chcę cię zabrać do miasta.

Caryl odwrócił się i na widok Oraina wytrzeszczył oczy.

– Panie, co tutaj robisz? – spytał kłaniając się.

Orain drgnął i przez chwilę nie odpowiadał.

–Przyjechałem znaleźć schronienie w sanktuarium, chłopcze, bo już nie jestem mile widziany na dworze, gdzie twój ojciec rządzi królem. Zamierzasz podnieść alarm?

–Oczywiście, że nie – odparł chłopiec z godnością. – Pod dachem Świętego

Walentego nawet skazaniec jest bezpieczny, sir. Wszyscy, którzy tutaj przebywają, są

braćmi. Tak mówią *crisoforo*. Mistrzu Rumalu, jeśli chcesz iść ze swoim panem, ja odstawię ptaki na ich miejsca.

–Dziękuję, ale sam sobie poradzę.

Romilly wzięła Wstrzemięźliwość na rękawicę i ruszyła w stronę stajni. Caryl poszedł za nią, niosąc oburącz drugiego ptaka.

–Wiedziałaś, że to jeden z ludzi Carolina? – szepnął. – Nie są tutaj bezpieczni.

–Nie zadaję pytań lepszym od siebie – burknęła Romilly w odpowiedzi. –

Powinieneś iść na próbę chóru, Carylu.

Zarumieniony chłopiec przygryzł wargi i puścił się biegiem przez śnieg, rozgarniając go bosymi stopami. Romilly odetchnęła głęboko. Chciała odwrócić się do Oraina i odezwać się do niego, ale poczuła na ramieniu żelazny uścisk jego dłoni.

–Nie tutaj. Za murami. Boję się, że mają uszy.

Romilly w milczeniu dokończyła pracę i ruszyła za Orainem w stronę klasztornej bramy. Ulice były białe i puste. Wszelkie odgłosy tłumił gęsty śnieg.

–Pomiot Hasturów? – rzucił wreszcie Orain.

Skinęła głową.

–To jeszcze nie jest najgorsze – powiedziała tak cicho, że Orain musiał nachylić się do niej. – Lyondri Hastur jest niedaleko i odwiedzi syna w święto.

Orain uderzył pięścią w dłoń.

–Przekleństwo! Zandru wie, że ten człowiek nie uszanuje sanktuarium! Jeśli

zobaczy... – Nie skończył zdania. – Dlaczego dom Carlo musiał wyjechać akurat teraz?

Prześladuje nas zły los! Spróbuję przekazać mu wiadomość.

Zapadła cisza. Nie słyhać było nawet odgłosu ich kroków, tłumionego przez śnieg.

–Chodźmy do tawerny – zaproponował Orain po chwili. – Usłyszawszy takie nowiny muszę koniecznie dostać kubek wina. Mają tam z okazji świąt cydr z korzeniami, więc ty również będziesz mógł się napić.

–Czy nie należy ostrzec Alarica i innych, że powinni być ostrożni, skoro ma się tu zjawić lord Hastur? – spytała Romilly rzeczowo.

–Przekażę im wieść, ale na razie dość gadania.

W tawernie, gdzie kiedyś grali w strzałki, Orain zamówił wino dla siebie i grzany cydr dla Romilly. Napój pachniał przyprawami. Wypiła go z rozkoszą i chętnie przyjęła drugi kubek.

–Mam dla ciebie prezent – powiedział Orain. – Ten nędzny płaszcz, który nosisz, nie nadaje się nawet dla parobka. Znalazłem coś odpowiedniego w jednym z kramów.

Jest stary i podniszczony, ale w sam raz dla ciebie. – Skinął na usługującą kobietę.

Przynieś mi pakunek, który tu wczoraj zostawiłem.

Gdy służąca wróciła, podał paczkę Romilly.

–Miłych świąt i niech cię Avarra strzeże, chłopcze.

Romilly rozwiązała sznurki i ujrzała zielony płaszcz z króliczej wełny, pięknie haftowany i ozdobiony skórzanymi zapinkami. Musiał być bardzo stary, gdyż był skrojony z jednego kawałka materiału razem z rękawami, według mody, którą знаła z portretów pradziadków wiszących w Wielkim Domu w Falconsward. Podbity gęstym futrem, wyglądał na wygodny. Romilly cisnęła na krzesło płaszcz Rory'ego i przymierzyła nowy.

–Nie mam dla ciebie prezentu, Orainie – stwierdziła zakłopotana. Mężczyzna otoczył ją ramieniem.

–Nic od ciebie nie chcę, synu. Daj mi tylko całusa i uściskaj jak ojca.

Romilly – zaczerwieniła się, objęła Oraina i delikatnie musnęła wargami jego policzek.

–Jesteś dla mnie bardzo dobry, sir. Dziękuję.

–Wcale nie. Teraz przynajmniej masz ubranie odpowiednie do swoich rudych włosów i manier szlacheckiego syna.

W jego słowach było nieco ironii. Romilly zastanowiła się. Czyżby wiedział, że ma przed sobą dziewczynę? Czują bowiem, że dom Carlo wszystkiego się domyślił.

–Tamtego łachmana możesz używać jako derki dla konia – powiedział Orain i skinął na posługacza, żeby zapakował stary płaszcz.

Romilly wolałaby go wyrzucić, ale stwierdziła, że w taką pogodę koniowi przyda się dodatkowe okrycie. Derka, którą zarzucała mu na grzbiet, była przeznaczona do cieplejszego klimatu.

Tego wieczoru w tawernie było zaledwie paru gości. Śnieżycą i zbliżające się święto skłoniły większość mężczyzn do pozostania w domu, przy własnych kominkach.

–Zagramy w strzałki? – zapytał Orain, kiedy skończyli jeść.

–Szkoda czasu. Jestem zbyt słabym graczem – odparła Romilly. Orain roześmiał się.

–I co z tego? Chodź.

Wieczór pomału upływał, a oni na przemian rzucali strzałkami i popijali z kubków. Nagle Orain znieruchomiał.

–Twoja kolej – przypomniała Romilly.

–Rzucaj. Zaraz wrócę – rzucił Orain bełkotliwie i odszedł zataczając się. To niemożliwe, żeby już się upił, zdziwiła się.

–Pijany tak wcześnie w przedświąteczną noc? – zawołał jowialnie jeden z

nielicznych klientów. – Nie będziesz mógł się napić wina w święto, człowieku!

Czyżby był chory? Może powinnam pójść i pomóc mu? zatroskała się Romilly. W czasie tygodni spędzonych w mieście starannie unikała chodzenia do wspólnej latryny. Jedynie w tym miejscu mogła zostać zdemaskowana. Lecz Orain z pewnością zasługiwał na pomoc.

***Nie. Zostań, gdzie jesteś. Zachowuj się, jakby wszystko było w porządku,* odezwał się cichy głos w jej głowie. Nie przyzwyczajona do używania *laran* i tak bliskiego kontaktu z drugim człowiekiem – choć kontakt z ptakami traktowała jako coś naturalnego – nie była pewna, czy odbiera wiadomość od kogoś, czy to jej własne myśli, ale posłuchała głosu.**

–Mój przyjaciel przesadził z piciem. Czy ktoś chce zagrać? – zawołała przyciągając uwagę obecnych.

Na jej wyzwanie zareagowali dwaj mężczyźni. Romilly szło tak kiepsko, że wkrótce przegrała i musiała postawić zwycięzcom kolejkę. Wydawało jej się, że w mrocznym kącie izby widzi jakiś ruch. Czyżby Orain nie wyszedł z sali, tylko się schował? Z kim rozmawiał? Grając dalej, całym wysiłkiem woli starała się nie odwracać i nie przyglądać wysokiemu człowiekowi w kapturze nasuniętym na twarz, siedzącemu obok Oraina. Miała jednak wrażenie, że go widzi, jakby miała oczy z tyłu głowy. Słyszała szepty. Na plecach czuła mrowienie i wydawało się jej, że lada moment zabrzmiały okrzyki i powstanie wrzawa. Święty Nosicielu Brzemion, modliła się w duchu, dzisiaj jest twój dzień. Powiedz mi, w jaki sposób wplątałam się w tę intrygę? Zupełnie jakby miało dla mnie znaczenie, kto zasiada na tronie *HaWimyn*. Niech diabli wezmą ich obu, wygnańca i uzurpatora. Dlaczego taki dobry człowiek jak Orain

nadstawia karku, bo taki czy inny król objął tron Hasturów?

Jeśli mojemu przyjacielowi stanie się jakaś krzywda, ja...

Co mogła zrobić? W przeciwieństwie do braci nie umiała władać bronią. Była bezradna. Jeśli wyjdę cała z tej opresji, poproszę Oraina, żeby nauczył mnie sztuki walki, postanowiła.

–A teraz bęc, prosto w kocie oko – wykrzyknęła śmiejąc się.

Rzuciła strzałkę niemal na oślep i była zaskoczona, kiedy trafiła blisko celu.

–Napij się, młodziaku – rzekł przegrany i postawił przed nią kubek wina.

Romilly nierozważnie wypita go do połowy i zakręciło się jej w głowie. Lecz ponieważ wszyscy na nią patrzyli, wbrew rozsądkowi dokończyła pucharek.

–Następna rundka? Teraz moja kolej na wygraną – powiedział jeden z mężczyzn.

Romilly wzruszyła ramionami i oddała strzałkę. Na karku czuła chłodne

mrowienie. Wiedziała, że jest obserwowana z ukrycia. Co się dzieje w tej sali? Do diabła ze wszystkimi intrygami!

Raptem znalazł się przy niej Orain. Poklepał ją po ramieniu.

–Już załapałeś, w czym rzecz, ale nie nauczysz starego psa gryźć kości. Dawaj strzałki, chłopcze.

Wykonał serię rzutów i zamówił wino dla wszystkich. Romilly dostrzegła w jego oczach błysk podniecenia. Przekazał strzałki innym zawodnikom i szepnął jej do ucha:

–Po następnej kolejce musimy się stąd wynieść.

Mam nowinę.

Romilly skinęła głową.

–Na dziewięć piekieł, co robisz, człowieku! – krzyknął Orain. – Przekroczyłeś linię o pół stopy. Nie będę grał z oszustem, choć mamy święto. Mogę rozdawać prezenty,

ale nie pozwolę się naciąć na srebrniaka!

Popchnął gniewnie mężczyznę, który akurat rzucał. Ten odwrócił się i zamachnął niezdarne.

–Kogo nazywasz oszustem, ty nizinny pedrylu?

Przełkniesz te słowa razem z następną kolejką albo wduszę ci je do gardła!

Zdzielony w podbródek Orain zatoczył się na ścianę i natychmiast odbił od niej, wymachując pięściami. Gdy napastnik znowu ruszył do ataku, Romilly trafiła go strzałką w ramię. Mężczyzna odwrócił się z rykiem i ruszył na nią, wyciągając ręce, jakby chciał ją udusić. Romilly cofnęła się, potknęła o beczkę i runęła jak długa na podłogę wysypaną trocinami. Orain chwycił ją i podniósł.

–Spokój, spokój – krzyknął barman rozdzielając walczących. – Bez burd,

przyjaciele! Napijcie się!

–Ten mały drań rzucił we mnie strzałką – ryknął poszkodowany, pokazując czerwony ślad na ramieniu.

–Będiesz wrzeszczał jak dziecko, które użądliła pszczoła? – spytał drwiąco Orain. Barman stanął między nimi.

–Siadajcie obaj! Za karę stawiacie wszystkim kolejkę!

Orain z udawaną niechęcią wyciągnął portfel i rzucił na ladę sztukę miedzi.

–Pijcie i niech was diabli! Mam nadzieję, że się wszyscy udławicie! Idziemy w spokojniejsze miejsce! – warknął.

Wziął Romilly za łokieć i ruszył do drzwi chwiejnym krokiem. Na zewnątrz wyprostował się spytał cicho:

–Jesteś ranny?

–Nie, ale...

–To dobrze. Pośpieszmy się!

Ruszył pod górę, narzucając takie tempo, że Romilly z trudem dotrzymywała mu kroku. Wypiła za dużo i zastanawiała się teraz, czy nie zwymiotuje. Po chwili Orain odwrócił się do niej.

–Przepraszam, chłopcze, weź mnie pod ramię – powiedział łagodnie. – Nie powinieneś być pić tego ostatniego kubka.

–Nie umiałem wymyślić nic lepszego.

–Uratowałeś mi kark – szepnął Orain. – Chodź, trochę odpoczniesz w klasztorze, zanim... Spójrz. – Wskazał ręką na przecierające się niebo. – Śnieg przestał padać. Powinniśmy się pokazać na świątecznym nabożeństwie. Na te ich cholerne śpiewy musi stawić się każdy gość, który nie leży w łóżku ze złamaną nogą! A tu pogoda się poprawiła, więc ten szcur Lyondri... – Zacisnął pięści. – Może już tam być. Siedzi w kaplicy, jak zawsze paskudny i zadowolony z siebie, i śpiewa hymny niczym porządny człowiek.

–Rozpoznałby cię, wujku? – spytała Romilly zaniepokojona.

–Tak – odparł Orain ponuro. – Innych też.

Czyżby sam Carolin przebywał w klasztorze? A może Orain miał na myśli Alarica, który winił hasturskiego lorda za śmierć swojej rodziny? Albo mówił o Carlu, wygnańcu i zaufanym człowieku Carolina?

–Wesprzyj się na mnie, chłopcze – powiedział Orain. – Udawałbym, że jestem chory, ale zaciągnęliby mnie do infirmerii i stwierdzili, że nic mi nie dolega poza tym, że wypilem za dużo wina.

Romilly zadrżała na ostrym wietrze, który się zerwał, kiedy przestał padać śnieg.

–Czy naprawdę istnieje *laran*, za pomocą którego można wyprawiać czary z pogodą?

–Tak słyszałem – mruknął Orain i znowu sposepniał. – Gdybyś ty miał choć jego ślad, synu!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Świąteczne nabożeństwo u Świętego Walentego od Śniegów było słynne w całym Hellerach. Z Nevarsin i okolic schodzili się ludzie, żeby posłuchać chóru. Romilly słyszała go już wcześniej, ale nigdy jeszcze nie brzmiał tak dobrze. Rozkoszowałaby się śpiewami, gdyby nie udzielał jej się niepokój Oraina, który siedział obok niej w jednej z tylnych ławek. Kiedy zapytała, gdzie jest dom Carlo i dlaczego nie pojawił się na nabożeństwie, Orain łypnął na nią spode łba i nic nie odpowiedział. Ostrzeżony przez niego Alaric w ogóle nie przyszedł do kaplicy. Lecz pod koniec nabożeństwa, kiedy zapadła chwilowa cisza, szepnął:

–Na razie nie widać Lyondriego Hastura. Może będziemy mieli szczęście. – Skrzywił się. – Mielibyśmy jeszcze większe, gdyby spadł gdzieś w przepaść i w ogóle nie dotarł do Nevarsin!

Caryl miał rację, pomyślała dziewczyna. Ktoś z czarował pogodę. Nie sądzę, żeby sama tak szybko się zmieniła.

Romilly dojrzała wypucowanego chłopca, który stał w pierwszym rzędzie chóru i śpiewał jak anioł. Jego głos wybijał się ponad inne. Może dobrze, że dom Carlo nie przyszedł, choć z niepokojem Orain ledwo mógł wysiedzieć w kaplicy i gdy tylko nabożeństwo dobiegło końca, zerwał się i przepychając przez tłum ruszył do wyjścia. Poszedł za Romilly do stajni i zaczął pomagać przy ptakach, czym ją tylko rozzłościł. Czyżby sądził, że ona nie da sobie rady? Później dopiero zrozumiała, dlaczego wtedy trzymał się blisko niej. Chciał, żeby w każdej chwili, kiedy trzeba będzie wyjeżdżać, mogli zostać znalezieni razem. Teraz jednak zastanawiała się, czy Orain jest jeszcze pijany albo czy może uważa, że to ona wypła za dużo, żeby zajmować się ptakami. Zajrzał również do *cheruine* i koni, sprawdził podkowy, poprawił derki i siodła. Poirytowana tą krzątaniem Romilly miała ochotę na niego krzyknąć. A może po prostu

czekał, żeby się przekonać, czy Lyondri Hastur rzeczywiście przybędzie do klasztoru? W końcu westchnął i podszedł do niej.

–Miłych świąt, chłopcze. – Uścisnął Romilly. – Jeśli w stajni jest ci za zimno, możesz spać w łóżku dom Carla. Nikomu to nie zrobi różnicy.

–Myślę, że powinienem zostać z ptakami – odparła Romilly unikając jego wzroku.

Nie żeby mu nie ufała. Razem podróżowali i jeśli do tej pory nie odkrył jej płci,

wydawało się to mało prawdopodobne teraz. A nawet gdyby tak się stało – zrobiło jej słabo na tę myśl – Orain nie obowiązywało Przykazanie Czystości, bo nie był *cristoforo*. Słyszała wiele o tym, jacy rozwiążli są mieszkańcy nizin i *Hali'imyn*, ale nie

mogła sobie wyobrazić, żeby próbował ją zniewolić. Czuła się jednak nieswojo w jego ramionach. Odsunęła się szybko, przypomniawszy sobie niedawny sen, w którym Orain obejmował ją i pieścił jak kobietę.

Zagrzebała się w sianie, jeszcze trochę oszołomiona wypitym winem. Znowu przyśniło się jej, że frunie na skrzydłach sokoła albo ptaka-zwiadowcy, a przy niej ktoś leci, przemawia głosem Oraina i pieści ją leniwie. Pogrążyła się w tym śnie, nie myśląc nawet o oporze.

Zbudziła się raptownie i usłyszała dźwięk dzwonów. Czyżby mnisi już zaczęli obchody święta? Usiadła w półmroku i zobaczyła stojącego w drzwiach Oraina, bladego jak śmierć.

–Rumalu, mój chłopcze! Czy jest z tobą dom Carlo? Nie pora na wstydlivość.

–Dom Carlo? Nie widziałem go od wielu dni! O co ci chodzi, Orainie?

–Kiedyś... nie, widzę, że nie wiesz nawet, co mam na myśli. Niech to diabli! –

Zatoczył się na ścianę. – Miałem wbrew sobie nadzieję... Niemożliwe, żeby go schwytano! Na Aldonesa, może w porę dostał ostrzeżenie i zdążył uciec...
Posłuchaj! –

Romilly znowu usłyszała dzwon alarmowy. – Chyba ktoś nas wydał. Rozpoznał jego albo mnie. Wiedziałem, że nie powinien być dzisiaj ryzykować! – Zaklął i uderzył pięścią w ścianę. – Szybko, chłopcze, wstawaj, poszukaj go w domu gościnnym!
Oni

wiedzą, że gdzie ja jestem, Carolin albo jego ludzie nie mogą być daleko! Opat nie pozwoli zbezczścić sanktuarium, ale ten hasturski lord nie będzie przestrzegał prawa, nawet gdyby zjawił się przed nim sam Pan Światła i nakazał mu...

Orain już całkiem otrzeźwiał. Wyglądał na chorego. Jego chuda twarz była zmizerowana, ale oczy płonęły gniewem.

–Myślisz, że dzieciak Lyondriego wypaplał coś kolegom? Syn Lyondriego... Jaki

pies, taki szczeniak! Przebiłbym go skenem! Myślę, że świat byłby bezpieczniejszy,

gdyby chłopak nie wyrósł na takiego paskudnego typa jak jego ojciec! Romilly cofnęła się, a Orain spojrział na nią chmurnym wzrokiem.

–Nie, nie zrobię dzieciakowi krzywdy, nawet synowi Lyondriego. Zakładaj buty,

chłopcze! Musimy szybko wynieść się z miasta. Jeśli nas złapią, nasze życie nie będzie

warte funta kłaków! Idź i zawołaj... Nie, ja obudzę Alarica i pozostałych! Ty przygotuj

konie!

Nagle Romilly ujrzała przed sobą twarz dom Carla... A przecież go tutaj nie było! Wydawało jej się jednak, że słyszy jego głos: *Weź ptaki i idź do najwyższej położonej bramy klasztoru, do sekretnego przejścia prowadzącego na lodowiec.*

–Ruszaj się, chłopcze! – warknął Orain. – Na co się gapisz? Romilly drżącym głosem powtórzyła słowa dom Carla.

–On tutaj był, słyszałem go, słyszałem wyraźnie jego głos...

–Urojenia – skwitował Orain niecierpliwym tonem.

W głowie Romilly znowu rozbrzmiał głos dom Carla: *Przypomnij mu o pasie z czerwonej skóry, o który rozkrwawiliśmy sobie nosy.*

Orain już ruszył do wyjścia, ale Romilly chwyciła go za rękaw.

–Przysięgam, że słyszałem dom Carla. Wspomniał, że kiedyś pobiliście się o czerwony skórzany pas.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy i zrobił gest, jakby odczytnął uroki.

–Masz *laran*, co? Tak przypuszczałem. Tak, ten pas przez wiele lat był dla nas przedmiotem żartów. Obudzę ludzi. Przygotuj się do drogi najszybciej jak potrafisz.

Romilly sprawnie osiodłała konie. Włożyła płaszcz, który dostała w prezencie od Oraina – w pełni doceniła teraz futrzane podbicie – i wypakowała dwa juki paszą dla zwierząt, a jeden śmierdzącym mięsem. Nałożyła ptakom kaptury, żeby siedziały spokojnie, bo inaczej nie dałaby sobie z nimi rady w środku nocy, nie budząc całego klasztoru. Umocowała stojaki do siodła Oraina, Alarica i swojego.

W pewnym momencie podniosła wzrok i zobaczyła Alarica.

–Jakiś łajdak nas zdradził – powiedział drżącym głosem, nasłuchując dźwięku dzwonów, który coraz bardziej zbliżał się do nich. – Przeszukują wszystkie domy w

mieście. Kiedy dotrą do klasztoru, sprawdzą każdą mnisią celę i nawet kaplicę, zajrzą do mysiej nory! Jaki rozkaz wydał Orain? Czy mamy stratować ich u bramy?

–Nie należę do rady, ale słyszałem coś o sekretnym przejściu w najwyższej części klasztoru – odparła Romilly.

–Mamy tracić czas na szukanie go, kiedy ludzie Lyondriego depczą nam po piętach? Nie chcę zatańczyć na linie!

–Nie sądzę, żeby dom Carlo nas opuścił. Ufam mu całkowicie – oświadczyła Romilly spokojnie.

–Tak, ale *vai dom* jest z Hasturów. Kiedy co do czego przyjdzie, krew nie woda, jak powiadają...

–Alaricu! – zawołała Romilly z oburzeniem. – Chyba nie wierzysz, że dom Carlo mógłby stanąć po stronie tego hasturskiego lorda przeciwko Orainowi i nam!

–Przeciwko Orainowi nie. Zakładaj siodło, chłopcze. Jeśli istnieje jakaś szansa... ale skąd mam wiedzieć?

Pewnie sam jesteś ze szlacheckiego rodu... – rzucił niepewnie.

–Kończ siodłanie i nie gadaj bzdur. Przytroczysz juk z paszą? Sam nie dam rady go podnieść.

Alaric pomógł jej dźwignąć ciężki worek na grzbiet *chervine* i wyprowadził zwierzę ze stajni. W tym momencie czyjaś ręka chwyciła Romilly mocno za przegub. Dziewczyna już miała krzyknąć, ale mimo ciemności rozpoznała Oraina, sama nie wiedząc jak.

–Tędy – szepnął znajomy głos.

Romilly odprężyła się i ruszyła za Orainem przez mroczny tunel. Za sobą słyszała ciche kroki pozostałych mężczyzn, od czasu do czasu szuranie i inne odgłosy. Ktoś uderzył palcem u nogi o kamień i zaklął cicho.

–Panie Orainie... – rozległ się nagle dziecięcy szept.

–Ach, to ty, diabelski pomiole! Caryl wydał zduszony pisk.

–Nie zdradzę was – wybełkotał.

Romilly nic nie widziała w ciemności, ale sądząc po bólu, który słychać było w

ciemkim głosiku, Orain musiał brutalnie chwycić dziecko.

–Ja tylko zamierzałem poprowadzić was do sekretnego wyjścia. Ja nie chcę, żeby mój ojciec was znalazł...

***vai dom...* Będzie zły, ale...**

–Puść go, Orainie – szepnęła Romilly. – On mówi prawdę!

–Wierzę w twój *laran*, chłopcze – powiedział Orain.

Romilly usłyszała ciche westchnienie ulgi, kiedy puścił chłopca.

–Znasz drogę? W takim razie prowadź. Lecz jeśli nas oszukasz, przebiję cię skenem, nie zważając na to, że jesteś dzieckiem – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Ruszyli wąskim tunelem, wpadając na siebie i tłocząc się. Ptaki wydawały niespokojne piski. Ktoś zaklął półgłosem i Romilly ujrzała iskrę z krzesiwa.

–Zgasić to! – warknął Orain.

Ogieniek zniknął, ale rozległo się czyjeś sarkanie i przekleństwa.

–Cisza! – nakazał Alaric.

Wszystkie dźwięki ucichły z wyjątkiem cichych odgłosów wydawanych przez zwierzęta stłoczone w wąskim kamiennym tunelu. W pewnym miejscu trzeba było iść gęsiego, a jeden z objuczonych *chervine* utknął między ścianami. Alaric i jeszcze ktoś w pośpiechu zdjęli z niego ładunek, klnąc szeptem. Trochę dalej powietrze nasycone było siarkowym odorem, jakby napływało z wnętrza planety. Romilly nie mogła stłumić kaszlu.

–Przykro mi – mruknął Caryl półgłosem. – Już niedaleko, ale musicie uważać na szczeliny i pęknięcia.

Można złamać sobie nogę.

Romilly wyszukiwała w ciemności drogę, szurając butami, żeby nie wpaść w niewidoczną dziurę. W końcu poczuła na twarzy świeży powiew od lodowca i wkrótce stanęła pod wygwieżdżonym niebem. Nisko nad górami wisiała mała, blado-perłowa Mormallor, ledwo rozjaśniając mrok. Pod stopami lśnił biały lód.

–Nikt tędy nie chodzi oprócz paru braci, którzy umartwiają się mieszkając tu nago

–szepnął Caryl. – Nawet gdyby was zauważyli, nie wiedzieliby, kim jesteście. Zresztą nic by ich to nie obeszło. Oni myślą tylko o niebiosach, a nie o królach i wojnach.

Musicie jednak być ostrożni, panowie, bo czyhają tu różne niebezpieczeństwa.

–Jakie niebezpieczeństwa? – spytał Alaric chwytając go za gardło.

Caryl nie krzyknął, tylko pisnął cicho.

–Nie ze strony ludzi, lecz ptaków banshee. Mnisi mają z nimi pakt, podobnie jak kiedyś Święty Walenty od Śniegów, który wygłaszał do nich kazania i nazywał je małymi braćmi Boga.

–Zaprowadziłeś nas do gniazda banshee, ty diabelski pomiole? – spytał Alaric.

–Puść go, do diabła – rozkazał Orain. – Jeszcze raz tknij chłopaka, a dam ci taką nauczkę, że popamiętasz! On nie sprowadził tu banshee, tylko chciał nas ostrzec, o czym nawet opat nie pomyślał!

–Zabierz ręce od chłopca, Alaricu! Oszalałeś? – odezwał się nowy głos.

Raptem stanął wśród nich dom Carlo. Romilly nie widziała, skąd nadszedł. Po prostu się zjawił. Później zrozumiała, że musiał przyjść innym sekretnym tunelem

albo ścieżką, ale wtedy zdawało się, że wyskoczył spod ziemi niczym za sprawą magii. Przestraszony Caryl krzyknął cicho, a po chwili wyciągnął ramiona do dom Carla i uścisnął go jak krewniaka. Oczy Romilly przywykły już do ciemności, więc widziała twarz chłopca.

–Wujku, cieszę się, że widzę cię bezpiecznym – powiedział po prostu.

–Moje serce się raduje, że nie jesteś moim wrogiem – rzekł Carlo takim tonem, jakby zwracał się do szlachcica równego mu wiekiem i rangą, a nie do dziecka. Ucałował chłopca w oba policzki. – Chadzaj w Świetle, chłopcze, do naszego następnego spotkania.

–*Vai dom...* – Dziecinny głos Caryla nagle zadrżał. – Jestem twoim przyjacielem, ale błagam cię, jeśli mój ojciec znajdzie się w twoich rękach, oszczędź go przez wzgląd na mnie.

Dom Carlo łagodnie wziął go za ramiona.

–Żałuję, że nie mogę ci tego obiecać, synu. Przysięgam jednak na Pana Światła, któremu służę, tak jak ty Nosicielowi Brzemion, że pierwszy nie zacznę kłótni.

Mam szczerą nadzieję, że Lyondri będzie się trzymał ode mnie z daleka. W przeciwieństwie do niego nie życzę mu źle. Był kiedyś moim przyjacielem, a spór wybuchł nie przeze mnie. – Jeszcze raz ucałował Caryla. – Wracaj do łóżka, dziecko, zanim twój ojciec albo opat dowiedzą się, że wychodziłeś w nocy. Niech Bogowie cię prowadzą, *chiyu*.

–I ciebie, panie.

Caryl ruszył w stronę ciemnego tunelu, lecz Alaric chwycił go w pasie. Chłopiec próbował się wyrwać, ale po jednym ciosie westchnął cicho i zawisł bezwładnie w rękach mężczyzny.

–Oszaleliście, *vai domyn*? – zawołał. – Mieć syna Lyondriego jako zakładnika i puścić go wolno? Dzięki niemu możemy wywinąć się z łap samego Rakhala, nie mówiąc o Lyondrim Hasturze.

–Tak chcesz mu odplacić za to, że nas zaprowadził w bezpieczne miejsce? – krzyknęła Romilly z oburzeniem, lecz twarz Alarica pozostała zacięta i nieubłagana.

–Jesteś głupi, Rumalu. I, proszę mi wybaczyć, wy również, panowie – zwrócił się do Oraina i dom Carla. – Może chłopak i jest szczerzy. Kto by nie zaufał dzieciakowi o anielskiej twarzy? Starsi jednak mają *laran*.

Nawet jeśli on nie chce naszej krzywdy, skąd możemy wiedzieć, że tamci nas nie śledzili za jego pośrednictwem?

Zostanie z nami, póki nie zejdziemy bezpiecznie z lodowca! Włos mu z głowy nie spadnie! Możemy go zostawić w Caer Donn czy innym takim miejscu!

–Jeśli coś mu zrobiłeś... – zaczął dom Carlo z groźbą w głosie i dotknął czoła Caryla. – Nie potrafiłbym w taki sposób wynagrodzić chłopca za lojalność!

Nie możemy jednak go tutaj zostawić nieprzytomnego, bo umrze z zimna. Weźcie go ze sobą. Nie mamy czasu czekać, aż odzyska zmysły. Jeszcze sobie porozmawiamy, Alaricu – zapowiedział gniewnie i odwrócił się do niego plecami. – Posadźcie chłopca na jednego z koni, a ty, Rumalu, pojedziesz razem z nim, bo sam nie utrzyma się w siodle, a nie chcę go wiązać jak jeńca.

Zbierajcie się szybciej!

Nieprzytomnego Caryla wsadzono na konia, a Romilly wskoczyła za nim, żeby przytrzymać go na wyboistej, oblodzonej ścieżce. W ciszy ruszyli pod górę. Słychać było tylko ciche, niespokojne okrzyki zakapturzonych ptaków. Jadąc w ciemności i podtrzymując bezwładnego Caryla, Romilly pomyślała o Raelu, któremu zdarzało się zasnąć na jej ramieniu. Tęskniła za nim bardzo. Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy

braciszka?

Wąska, oblodzona ścieżka była tak stroma, że Romilly musiała nachylać się do przodu w siodle. Mocno trzymała Caryla, żeby nie spadł, gdyby koń pośliznął się na lodzie. Mężczyźni starali się zapanować nad nerwowymi *chervine* i ptakami-zwiadowcami, które mimo kapturów podskakiwały na stojakach, próbowały trzepotać skrzydłami i cicho popiskiwały, a to, niestety, wprawiało wierzchowce w jeszcze większy niepokój. Romilly intrygowało, co takiego wyczuwają swymi znacznie czulszymi zmysłami. Nawiązałyby z nimi kontakt, ale musiała chronić siebie i nieprzytomne dziecko przed upadkiem.

W pewnej chwili rozległ się wysoki, jękliwy krzyk, od którego krew zastygła Romilly w żyłach. Jej koń przestraszył się i zaparskał nerwowo. Ptaki-zwiadowcy zaczęły wiercić się na stojakach i bić w panice skrzydłami. Romilly nigdy jeszcze nie słyszała takiego dźwięku, ale doskonale wiedziała, że jest to krzyk wielkich nielotnych ptaków banshee żyjących powyżej linii wiecznego śniegu. Stworzenia te były prawie ślepe, lecz wyczuwały ciepło ciała i jednym uderzeniem potężnych szponów potrafiły rozpruć brzuch koniowi albo człowiekowi. W nocy widziały trochę lepiej, nie tak jak w dzień, gdy światło czerwonego słońca oślepiało je. Ich przeraźliwy, upiorny wrzask miał obezwładniać ofiarę. Słyszając go teraz z oddali, Romilly miała nadzieję, że nie ujrzy banshee na własne oczy.

W tym momencie Caryl jęknął cicho z bólu i namacał guz na głowie. Ruch wystraszył konia, który omal nie pośliznął się na zlodowaciałej ścieżce.

–Wszystko w porządku, ale musisz być cicho – szepnęła mu do ucha Romilly. –

Droga jest niebezpieczna. Jeśli spłoszysz konia, upadnie, a my razem z nim.

Zachowuj się spokojnie, Carylu.

–Panna Romilly?

–Cii – powiedziała ostro.

Chłopiec zamilkł i spojrzał na nią z przestraczem. Skrzywił się, ostrożnie dotykając guza. Romilly miała nadzieję, że Caryl nie zacznie płakać.

–Skąd się tutaj wziąłem? Co się stało? – I nagle przypomniał sobie. – Ktoś mnie uderzył!

W jego głosie było więcej zdziwienia niż gniewu. Romilly przypuszczała, że jako rozpieszczone dziecko z nizin nigdy nie był bity ani nawet ostro karcony. Przytuliła go mocno.

–Nie bój się. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Wiedziała, że jeśli Alaric jeszcze raz spróbuje przemocy wobec chłopca, ona stanie między nimi. Caryl poprawił się na siodle. Teraz, gdy już nie zwisał bezwładnie całym ciężarem i nie wymagał podtrzymywania, łatwiej jej było prowadzić konia.

–Gdzie jesteście? – spytał.

–Na drodze, którą nam pokazałeś. Alaric chciał wykorzystać ciebie jako zakładnika, ale dom Carlo mu nie pozwolił. Byłeś nieprzytomny i nie można cię było zostawić, bo zamarzyłbyś na śmierć, więc kazał nam zabrać cię ze sobą. Nic się nie bój.

Orain nad tobą czuwa.

–Pamiętam, że lord Orain zawsze był dla mnie dobry – stwierdził Caryl po chwili. – Szkoda, że ojciec pokłócił się z nim. Opat będzie na mnie bardzo zły.

–To nie twoja wina.

–Opat mówi, że cokolwiek nam się przytrafia, zawsze jest naszą winą, w taki czy inny sposób – odparł chłopiec cichutko. – Zasłużyliśmy na swój los w obecnym albo w innym życiu. Jeśli spotyka nas coś dobrego, możemy się cieszyć, bo zapracowaliśmy kiedyś na to, a jeśli coś złego, musimy przyjąć to z pokorą. Nie zawsze łatwo w tym się rozeznąć. Opat pocieszył mnie, że zrozumiem, kiedy będę starszy.

–Więc ja też jestem bardzo młoda – stwierdziła Romilly nie mogąc powstrzymać się od śmiechu. Wzniosła rozmowa o filozofii *crisoforo* w trakcie ucieczki niebezpiecznym szlakiem! – Przyznam się, że nic z tego nie rozumiem.

Orain usłyszał śmiech. Ściągnął konia i zaczekał na nich w miejscu, gdzie ścieżka była trochę szersza.

–Obudziłeś się, młody Caryl?

–Nie spałem – zaprotestował chłopiec z pochmurną miną. – Ktoś mnie uderzył!

–To prawda – stwierdził Orain. – Wierz mi, że Alaric dostał za swoje od dom Carla. Obawiam się jednak, że teraz musisz pojechać z nami do Caer Donn. Nie możesz sam wrócić do klasztoru. Ja bym ci zaufałem, że nas nie zdradzisz, ale wiem, że Lyondri ma *laran* i mógłby wyczytać z twoich myśli, którędy pojechaliśmy. Daję ci słowo, którego w przeciwieństwie do twojego ojca nigdy nie złamałem, że kiedy dotrzemy do

Caer Donn, zostaniesz odesłany do niego z flagą pokoju. On – wskazał ręką na dom Carla jadącego w przodzie – nie życzy ci źle. Powiniem jednak cię ostrzec, że w tym towarzystwie należy trzymać język za zębami.

–Panie... – zaczął Caryl, ale Orain potrząsnął ostrzegawczo głową.

–Jeśli wolisz jechać za mną, możesz się przesiąść, kiedy droga zrobi się szersza. Albo jeśli dasz mi słowo Hastura, że nie uciekniesz, pozwolę ci jechać samemu na jednym z jucznych zwierząt.

–Dziękuję, ale wolałbym zostać z... – zawahał się i przełknął ślinę – z Rumalem.

Romilly była zaskoczona jego przytomnością umysłu. Żadne inne dziecko nie pamiętałoby o dochowaniu sekretu, zwłaszcza w takich okolicznościach.

–Jedźcie ostrożnie – powiedział Orain. – Pilnuj go, Rumalu.

Wprawdzie byłoby wygodniej, gdyby chłopiec siedział z tyłu i trzymał się jej, ale na razie nie mogli zamienić się miejscami. Romilly doszła do wniosku, że Caryl to niezwykle dziecko i bystrzejsze niż Rael, choć myśląc tak czuła się nielojalna wobec braciszka. Ten chłopiec chronił ją przed zdemaskowaniem, choć nie miał nic do zyskania, a mógł narazić się na kłopoty ze strony porywaczy.

Caryl wiedział, że ona jest kobietą. Czasami miała wrażenie, że dom Carlo również zna prawdę, ale z własnych powodów zatrzymuje ją dla siebie. Raptem przypomniało się jej – dopiero teraz, bo tyle się zdarzyło w ciągu paru ostatnich godzin – co powiedział Orain, kiedy ją obudził: „Czy Carlo jest z tobą? To nie pora na wstydlivość!” Czyżby Carlo wyjawiał tajemnicę Orainowi, a ten uznał ją za kobietę swobodnych obyczajów i dlatego szukał przyjaciela w jej łóżku? Mimo przenikliwego zimna na policzki Romilly wypełzył gorący rumieniec wstydu. A za jaką niby kobietę miał ją wziąć, skoro podróżowała z nimi w męskim przebraniu?

Cóż, niech sobie Orain myśli, co chce. Przynajmniej był na tyle dżentelmenem, że nie wygadał jej sekretu przed tymi prostytutkami. A już tak bardzo go polubiła!

Z góry dobiegł znowu niesamowity krzyk. Był teraz bliższy. Romilly zadrżała. Straszliwe pulsujące zawrodoenie przeniknęło ją do głębi. Zrozumiała, jak musi się czuć ofiara banshee. Krzyk paraliżował i mącił wzrok. Świat się rozmywał i zostawała tylko przerażająca vibracja. Caryl jęknął i zasłonił uszy rękami. Konie spłoszyły się i mężczyźni próbowali nad nimi zapanować. Ptaki-zwiadowcy trzepotały dziko skrzydłami, a *cheruine* rżały i wierzgały na wąskiej ścieżce. Jeden potknął się i upadł. Jeździec ześliznął się spory kawałek, nim udało mu się wbić piętę w lód. Drugie zwierzę runęło na to, które wcześniej się przewróciło. Powstało kłębowisko. Ludzie

przeklinali i ciągnęli za wodze. Do wrzawy dołączyły chrapliwe głosy ptaków-zwiadowców i trzepot ich skrzydeł. Znow rozległ się budzący grozę krzyk banshee. Odpowiedział mu inny.

Romilly potrząsnęła lekko Carylem.

–Przestań i pomóż mi uspokoić ptaki!

Oddech zamierał jej w krtani, ale skupiła się i wysłała do ptasich umysłów kojące myśli o jedzeniu, ciszy i miłości. Poczwała, że Caryl dołącza swoje myśli. Wkrótce ptaki zamilkły i przestały się miotać. Dzięki temu jeźdźcy mogli opanować zwierzęta. Carlo dał wszystkim znak, żeby zebrali się wokół niego. W tym miejscu ścieżka była na tyle szeroka, że mieściły się na niej obok siebie trzy albo cztery wierzchowce. Uciekinierzy zbili się w niewielką gromadkę.

Na tle blednącego nieba rysowały się już ostro czarne turnie. Nad przełęczą zwiwały różowe i fioletowe chmury. Powoli wstawał świt. Szlak prowadzący przez lodowiec zwężał się w górze. W pewnym momencie między skałami przesunął się cień niezdarnego stworzenia i rozległo się przeraźliwe zawodzenie, a zaraz po nim drugie, które dobiegło z wyżej położonego miejsca. Orain zacisnął usta.

–Tego nam właśnie potrzeba – powiedział kwaśno. – Dwóch cholernych banshee! Do świtu jeszcze godzina, ale nawet kiedy wzejdzie słońce, nie uciekniemy im. Zresztą nie możemy czekać. Powinniśmy przejść lodowiec, nim robi się jasno. Dalej są lasy. Na lodzie nawet ślepiec wytropiłby nasze ślady, a Lyondri z pewnością ma za sobą z pół tuzina przeklętych *leroni*!

–Jesteśmy w pułapce – mruknął Carlo, a jego twarz przybrała nieobecny wyraz. Po chwili dodał: – Na razie nikt nas nie ściga. Nie potrzebuję *leronis*, żeby to stwierdzić. Zachowalesz się jak ostatni głupiec, Alaricu.

Lyondri pójdzie śladem syna nawet przez dziewięć piekieł Zandru! Ma teraz do mnie drugą, tym razem osobistą urazę.

–Ale za to, mając chłopaka, będziemy mogli się potargować! – rzucił Alaric przez zaciśnięte zęby.

Caryl wyprostował się na siodle.

–Ojciec nie narazi na szwank swojego honoru, żeby mnie uratować – oświadczył z gniewem. – Zresztą sam bym tego nie chciał!

–Honor Lyondriego? – prychnął jeden z mężczyzn. – Słodki oddech ptaka banshee,

przyjemny klimat dziewiątego piekła Zandru!

–Nie będę tego słuchał...

Romilly przytrzymała chłopca, nim zdążył zsiąść z konia i rzucić się na mężczyznę.

–Dość tego, Carylu – odezwał się spokojnie Carlo. – Twoja postawa jest godna pochwały, ale nie mamy czasu na próżne gadanie. Musimy jechać dalej. Nie mam złych zamiarów, ale obawiam się, że będę musiał cię zakneblować, jeśli nie potrafisz utrzymać języka za zębami. Moi ludzie nie są w nastroju, żeby wysłuchiwać mowy w obronie człowieka, który wyznaczył cenę za nasze głowy. A wy, Garanie i Alaricu, też

zamilknijcie. Nie należy przy dziecku drwić z ojca, a poza tym czeka nas trudniejsze zadanie niż kłótnia z małym chłopcem!

Zerknął w górę, gdyż przenikliwy krzyk banshee zagłuszył jego ostatnie słowa. Romilly spostrzegła, że ciało dom Carla napina się z wysiłku, żeby przewyciężyć czysto fizyczny strach wywołany przez upiorny dźwięk. Sama objęła mocno Caryla, ale nie była pewna, czy chce dodać mu otuchy, czy też opanować własny lęk.

–Pomóż mi uspokoić zwierzęta – szepnęła.

Chciała, żeby skupił się na czymś innym niż własne przerażenie.

Otoczyła ich kojąca wibracja. Romilly wiedziała, że to jej własny *laran* wzmocniony przez potężny już dar młodego Hastura. Gdy zapadła cisza. Alaric sięgnął po sztylet.

–Polowałem kiedyś na banshee, *vai dom*. Parę zabiłem.

–Nie wątpię w twoją odwagę, człowieku, tylko w rozsądek, skoro uważasz, że możemy stawić czoło dwóm banshee na tej wąskiej ścieżce – powiedział Carlo. – Nie mamy głuchych ogarów, lin ani sieci. Może udałoby się nam uciec, gdybyśmy poświęcili konie i *chewine*, ale musielibyśmy wtedy na piechotę przebyć najgorszą krainę w Hellerach! Jeśli natomiast zostaniemy tutaj, wpadniemy w pułapkę!

–Lepszy dziób banshee niż łaskawość ludzi Lyondriego – stwierdził jeden z mężczyzn, wycofując się ze swojego miejsca na czele małej kawalkady. – Stawię czoło

wszystkiemu temu, co i ty, panie.

–Szkoda, że nie znasz się także i na tych ptaszyskach – powiedział Orain zerkając na Romilly. – Gdybyś potrafił je uspokoić tak, jak sokoły i ptaki-zwiadowców, byłibyśmy w równie dobrej sytuacji jak hasturski lord mający do pomocy *Ieronis!*

Romilly wzdrygnęła się. Wejść do umysłów tych okrutnych mięsożerców czających się wśród skał?

–Mam nadzieję, że żartujesz, *vai dom* – odparła drżącym głosem.

–Dlaczego *Iaran* nie miałyby działać na banshee tak samo jak na ptaki-zwiadowców albo domowe ptactwo? – spytał Caryl prostując się w siodle. – To też są

stworzenia boże i skoro Rom... Rumal potrafi uspokoić ptaki-zwiadowców, może z pomocą mojego *Iaran* dotarłby do umysłów banshee i przekonał je, że nie nadajemy się na śniadanie dla nich.

Romilly dreszcz przebiegł po plecach. Wstydziła się jednak okazać strach w obecności pełnego entuzjazmu Caryla.

–Wolałbym nie składać naszego bezpieczeństwa w ręce dwóch dzieciaków, gdy dorośli mężczyźni są bezradni – odezwał się Carlo. – Zdaje się jednak, że nie ma innego

wyjścia. Jeśli dalej będziemy zwlekać, wszyscy zginiemy. Ciebie ojciec nie skrzywdzi,

młody Carolinie, ale obawiam się, że reszta z nas umrze, i to nie łatwo ani szybko.

Caryl zamrugał.

–Nie chcę, żeby stała ci się krzywda, sir. Ojciec chyba nie rozumie, że jesteś dobrym człowiekiem. Może dom Rakhal zatrął jego umysł. Chętnie zrobię co w mojej mocy, żeby jeszcze raz przemyślał przyczyny całej tej waśni.

Romilly zauważyła, że chłopiec też jest przestraszony.

–Boję się, Rumalu – szepnął, gdy wolno ruszyli dalej. – One wyglądają tak groźnie,

jakby wcale nie były bożymi istotami. Muszę wciąż sobie przypominać, że

błogosławiony Walenty od Śniegów zawarł z nimi pakt przyjaźni i nazywał ich małymi

braćmi.

Nie sędzę, żebym chciała być bratem banshee, uznała dziewczyna. Popędziła konia cmoknięciem i naciskiem kolana, starając się jednocześnie uspokoić go kojącymi falami. Nie wolno jej jednak myśleć w ten sposób. Musi pamiętać, że ta sama Moc, która stworzyła psy, konie i ukochane sokoły, powołała do życia również banshee, choć nie wiadomo w jakim celu. Ptaki-zwiadowcy o groźnym wyglądzie okazały się po bliższym poznaniu równie łagodne i kochające jak domowe ptaszki. Naprawdę pokochała Pilność, a wobec Wstrzeźliwości i Rozwagi żywiła ciepłe

uczucia.

Skoro banshee jest moim bratem... Wezbrał w niej histeryczny śmiech, ale opanowała się w porę. Łagodny Ruyven, nieśmiały Darren i kochany mały Rael wymawiani jednym tchem ze straszidłami wrzeszczącymi wśród skał?

Usłyszała, że Caryl szepcze coś do siebie. Wychwyciła tylko słowa: „Święty Nosicielu Brzemion i Błogosławiony Walenty... ” Chłopiec modlił się. Przytuliła go mocno do siebie, ukryła twarz w fałdach jego płaszcza i zamknęła oczy. Czy przypuszczenie, że razem zdołają dotrzeć do umysłów banshee, było szalone? Czy te stworzenia w ogóle mają jakiś umysł? Znowu miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Nie mogła jednak pozwolić sobie na płacz ani na histeryczne zachowania. Nikt nie wiedział, że jest dziewczyną. Zauważyła, że Orain i dom Carlo też wyglądają na przestraszonych. Skoro oni się bali, nie powinna wstydzić się swojego strachu!

Skupiła się, usiłując przypomnieć sobie jakąś modlitwę, ale bezskutecznie. Święty Nosicielu Brzemion, wiesz, o co chcę cię poprosić. Muszę teraz spróbować zrobić wszystko, co tylko zdołam, żeby uratować nas wszystkich. Westchnęła.

–Spróbujemy, Carylu. Połączmy siły.

Zachowała tylko tyle świadomości, żeby utrzymać się w siodle. Najpierw dotarła do koni, rozdygotanych wewnątrz, ale idących krok za krokiem z lojalności wobec jeźdźców. Wyczuła zwiadowców spłoszonych hałasem i nakazała im spokój. Ptaki posłuchały znajomych mentalnych głosów, którym ufały. Sięgnąwszy dalej, poczuła coś zimnego i budzącego grozę, usłyszała przeszywający krzyk, który wstrząsał każdą żywą istotą. Trzymając się z Carylem za ręce, ruszyła w głąb obcego umysłu.

Z początku odbierała tylko straszliwe napięcie, dotkliwy głód, od którego aż ścisnęło ją w żołądku, oraz dążenie do źródła ciepła, które kojarzyło się ze światłem, domem i zadowoleniem. Całe jej ciało ogarnęła fala gorąca, budząc niemal seksualne pragnienie. Resztą świadomości, która nadal pozostała Romilly, wiedziała, że dotarła do umysłu banshee. *Biedne, głodne i zziębnięte stworzenie. Ono tylko szuka ciepła i jedzenia jak wszystkie żywe istoty.* Wzrok jej się zaćmił. Nic nie widziała, tylko czuła. Była banshee i przez chwilę toczyła ze sobą zażartą walkę, żeby nie rzucić się w stronę ciepła, zacząć szarpać i rozrywać, poczuć ciepły strumień tryskającej krwi. Romilly stwierdziła, że ścisła ciepłe dłonie Caryla, i w przebłysku świadomości zrozumiała, że jest człowiekiem, kobietą, i ma pod swoją opieką dziecko, a życie pozostałych towarzyszy zależy od jej umiejętności.

Poczuła kojący mentalny dotyk Caryla niczym cichy szept. *Bracie banshee,*

stanowisz jedność ze mną i ze wszystkim, co żyje. Żywisz się krwią ofiar, ale takim stworzyli ciebie Bogowie. Kocham cię, ale proszę, żebyś pozwolił nam odejść. W tej dziczy są istoty, które nie odczuwają strachu, gdyż Bogowie nie dali im świadomości. Szukajcie zdobyczy wśród nich, moi mali bracia. W imię błogosławionego Walentego błagam was, noście swoje brzemie i nie próbujcie zakończyć mojego życia przed wyznaczonym czasem. Błogosławiony, kto poluje, i ten, kto daje życie innym.

Nie chcę waszej krzywdy,* podsumowała Romilly swój mentalny apel. *Poszukajcie jedzenia gdzie indziej.

Przez chwilę miała wrażenie, że ona, koń, chłopiec i wygłodniały banshee szukający ciepła stanowią jedność. Ogarnęła ją niezwykła radość, a czerwone promienie wschodzącego słońca napełniły ciało i umysł żarem i cudownym uczuciem szczęścia. Od Caryla wspartego o nią biła czułość i miłość. Przyszła jej do głowy niebezpieczna myśl: Gdyby banshee wybrał mnie na swoją ofiarę, jeszcze bardziej stopiłabym się z tą wspaniałą istotą, ale chcę również cieszyć się życiem i światłem słonecznym. Nigdy jeszcze nie czuła się taka szczęśliwa. Wiedziała, że po twarzy płyną jej łzy, ale nie przejmowała się tym. Była częścią wszystkiego, co żyje, a jej oddech częścią nieba i skał. Nawet zimno lodowca pozwalało bardziej rozkoszować się ciepłem wstającego słońca.

Nagle magiczna więź zerwała się. Schodzili z przełęczy, a w górze ptak banshee wędrował ociężale w stronę jaskini, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Caryl płakał w jej ramionach i tulił się do niej.

–On był taki głodny, a my pozbawiliśmy go śniadania.

Romilly poklepała go po plecach, zbyt wstrząśnięta, żeby mówić, wciąż jeszcze pod wrażeniem niedawnego przeżycia.

–Dziękuję wam, chłopcy – powiedział Carlo ochryple. – Naprawdę nie chciałbym być śniadaniem banshee, nawet jeśli biedne stworzenie jest głodne. Gdzie indziej może sobie poszukać jedzenia.

Mężczyźni patrzyli na nich oboje z nabożnym podziwem.

–Byłbyś zbyt dużym i twardym kąskiem dla delikatnego ptasiego żołądka – stwierdził Orain drżącym głosem, próbując zmienić nastrój. – Lepiej by mu smakował

młody królik śnieżny, jestem tego pewien.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Romilly czuła się słabo, nadal pod działaniem wszechogarniającego czaru, który razem z Carylem rzucili za pomocą swych *laran*.

Dom Carlo zaczął grzebać w jukach.

–Nie potrafię wyrazić, jak wam jestem wdzięczny.

Pamiętam, że po takiej pracy *leroni* są głodne jak wilki.

Macie.

Wcisnął im do rąk suszone mięso i owoce oraz po kawałku suchara. Romilly ugryzła mięso i raptem zrobiło się jej niedobrze.

Kiedyś była to żywa, oddychająca istota. Jak mogę ją uczynić swoim pożywieniem? Może nie jestem lepsza od ptaka banshee? Kiedyś to suszone mięso było moim żyjącym bratem. Zakrztusiła się, wypluła nadgryziony kawałek i wzięła do ust suszony owoc.

On również żył, ale nie oddychał, więc nie napelnia mnie obrzydzeniem, rozważała. Nosiciel Brzemion stworzył niektóre istoty tylko w tym celu, żeby oddawały życie, karmiąc inne stworzenia. Gdy poczuła w ustach łagodny smak, ekstaza wróciła. Ten owoc oddawał swoją słodycz, żeby ona nasyciła głód.

Caryl energicznie żuł twardego suchara. On również odłożył mięso. Były na nim ślady zębów. Najwyraźniej miał takie same odczucia jak ona. Romilly dziwiła się, jak kiedykolwiek mogła jeść mięso. Miała wrażenie, że jej dotychczasowe życie było snem.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy rozbili obóz, żeby nakarmić wierzchowce i ptaki. Romilly nie jadła suszonego mięsa, tylko owoce i chleb. Zrobiła sobie zimnej

owsianki na wodzie i zjadła jej całą miskę. Zaskoczył ją za to u siebie brak gwałtownej reakcji, gdy ptaki rzuciły się na podgniłe mięso, które dla nich wieziono. Taką miały naturę. Były takie, jakimi je stworzono.

Zauważyła, że mężczyźni zachowują wobec niej i Caryla dystans. Nie dziwiła im się. Gdyby widziała, jak ktoś uspokaja atakującego banshee, też zamilkłaby w nabożnym lęku. Nadal nie mogła uwierzyć, że tego dokonała.

Gdy najedli się i osiodłali konie, Romilly spojrzała na dom Carla, który z nieobecna miną stał wyprostowany na skraju rozpadliny, nasłuchując. Miała już dość wprawy w używaniu *laran*, by zorientować się, że mężczyzna sięga świadomością ku przełęczy, którą niedawno pokonali.

–Na razie nikt nas nie ściga – oznajmił w końcu. – Jest tyle dróg do wyboru, że

Lyondri musiałyby mieć ze sobą całą armię *leroni*, by trafić na nasz ślad.

Zachowamy ostrożność, ale myślę, że możemy bezpiecznie jechać do Caer Donn. Wyciągnął ramiona do Caryla.

–Wsiądziesz na konia za mną, krewniaku? – spytał, jakby zwracał się do dorosłego mężczyzny, równego sobie. – Mam ci coś do powiedzenia. Caryl zerknął na Romilly.

–Jak sobie życzysz, krewniaku – odparł grzecznie.

Wdrapał się na konia. Gdy kawalkada ruszyła, dom Carlo i Caryl zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Romilly stwierdziła, że brakuje jej ciepła i obecności chłopca. W pewnym momencie zobaczyła, że Caryl potrząsa głową. Do jej uszu dotarło parę słów.

–... o nie, krewniaku, daję słowo...

Zazdrosna o ich bliskość, żałowała, że nie może usłyszeć całej rozmowy. Raptem przyszło jej do głowy, że mogłaby użyć *laran*.

Mogłabym po prostu sięgnąć do nich i już wiedziałabym, co mówią, pomyślała.

Zaskoczyła samą siebie. Skąd taki pomysł u niej, która wychowała się w Wielkim Domu i uczono ją jednakowej grzeczności wobec równych sobie i niżej postawionych? Takie postępowanie równałoby się podsłuchiowaniu pod drzwiami i wtykaniu nosa w nie swoje sprawy. Zachowałaby się jak niegrzeczne dziecko, całkiem niestosownie.

Posiadanie *laran* nie oznaczało, że ma prawo wiedzieć rzeczy, które jej nie dotyczą!

Zmarszczyła brwi i zajęła swoje miejsce w szeregu. Wzięła Pilność na swoje siodło, żeby dom Carlo mógł zabrać Caryla. Jadąc zaczęła rozmyślać o właściwym zachowaniu posiadaczy *Iaran*. Miała prawo narzucać swoją wolę koniom i sokołom, które szkolila, a nawet dzikim ptakom banshee, żeby ratować życie. Jak daleko sięgała jej moc? Do czego ją uprawniała? Mogła nakłonić konia do noszenia siodła i uprzęży, bo ją kochał i chętnie uczył się wszystkiego, co go z nią zbliżało. Zdobyła też miłość sokolicy, która wróciła do niej z własnej woli.

Zakłuło ją w sercu. Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę Preciosę? myślała.

Zapewne słusznie zrobiła, uspokajając psy, żeby nie obudziły domowników. Nie wszystko jednak było takie oczywiste. Umiała zwabić ofiarę prosto do dzioba sokoła, zapędzając młodego i głupiego królika w paszcze czekających psów. Z pewnością takie wykorzystanie swojej przewagi nie miało nic wspólnego z prawami natury i było w oczywisty sposób nieuczciwe!

Oczy ją zapiekły. Pochyliła głowę i po raz pierwszy zaczęła szczerze się modlić:

Święty Nosicielu Brzemion! Nie prosiłam o tę moc. Proszę, pomóż mi jej używać tylko do dobrych celów, tak jak przez krótką chwilę dzisiaj rano, kiedy zrozumiałam, że stanowię jedność ze wszystkim, co żyje. Podpowiedz mi, jak mądrze korzystać z tej mocy. Po chwili dodała szeptem: „Już wiem, że jestem częścią natury... bardzo małą

częstką!”

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez całą długą drogę do Caer Donn dręczyły ją te same rozterki. Polując dla ptaków-zwiadowców bała się, że nadużyje *laran* i dlatego czasami pozwalała zwierzynie uciec, a później dostawała ostrą burę od mężczyzn. Za pomocą swych szczególnych zdolności wyszukiwała na wzgórzach i w lasach martwe zwierzęta, żeby nimi nakarmić podopiecznych, co z pewnością nie było złe, w przeciwieństwie do zabijania żywych istot. Romilly miała ochotę ukryć głęboko swój dar, ale musiała go wykorzystywać, zajmując się ptakami. Okazywanie im uczuć nie mogło być przecież złem. A może tak, skoro utrzymywała te stworzenia w ryzach dla własnej wygody?

Czasami próbowała nad nimi zapanować, nie uciekając się do daru Mac Aranów, ale kiedy krzyczały i buntowały się, dom Carlo pytał:

–Co się z tobą dzieje, chłopcze? Wykonuj pracę, za którą ci płacimy, i ucisz te ptaki!

Musiała wtedy posługiwać się *laran* i znowu staczać wewnętrzną walkę, niepewna, czy dobrze postępuje.

Żałowała, że nie może porozmawiać z dom Carlem. On też miał *laran* i zapewne przeżywał podobne rozterki, kiedy był w jej wieku i uczył się z niego korzystać. Czy Ruyven doświadczył tego samego co ona? Nic dziwnego, że uciekł z miejsca, gdzie ujeżdżano konie, i znalazł schronienie za murami Wieży! Romilly stwierdziła, że zazdrości Darrenowi, który nie miał daru MacAranów.

Choć bał się i nienawidził sokołów i koni, przynajmniej nie kusilo go, żeby manipulować ich umysłami i pokazać swoją władzę nad nimi! Nie mogła porozmawiać z Carylem, który był tylko dzieckiem i cieszył się swoją mocą, tak jak ona dawno temu, kiedy się przekonała, że ma szczególne podejście do koni. Gdy próbowała jeść świeżo upolowaną zwierzynę, miała wrażenie, że w jej umyśle pulsuje

kwę i życie martwego stworzenia. Krztusiła się i rezygnowała z jedzenia. Jadała posiłki złożone z owoców, owsianki i chleba. Dlatego też w lodowatym górskim powietrzu była przez cały czas wściekle głodna, ale nie mogła jeść mięsa, nawet kiedy dom Carlo jej kazał. Raz stał nad nią, aż niechętnie przeżuła kawałek dzikiego *chervine*, którego upolowali na kolację. Raptem poczuła takie obrzydzenie, że odbiegła na bok i wymiotowała. Gdy wróciła blada do ogniska i zaczęła trzęsącymi się rękami dzielić wnętrzności i resztki dla zwiadowców, podszedł do niej Orain. W tej śnieżnej krainie trudno było znaleźć żwir, więc musiała wymieszać mięso ze skórą i kawałkami kości, bo inaczej ptaki miałyby trudności z trawieniem.

–Daj mi to – powiedział.

Zaniósł jedzenie ptakom siedzącym na stojakach i po chwili wrócił.

–Co ci jest, chłopcze? Wymiotowałeś? – zapytał. – Wiesz, że Carlo dobrze ci życzy. Po prostu martwił się, że w tym paskudnym klimacie jesz za mało.

–Wiem – odparła nie patrząc na niego.

–Co ci dolega, młodziku? Mogę ci jakoś pomóc?

Romilly potrząsnęła głową. Nie sądziła, żeby ktokolwiek umiał jej pomóc. Gdyby mogła porozmawiać z ojcem, który w młodości stoczył podobną walkę, skoro doszedł do ładu z własnym darem. Nienawidził słowa *laran* i zabraniał używać go w swojej obecności, ale miał tę moc, jakkolwiek postanowił ją nazywać. Romilly przypomniała sobie Falconsward i twarz ojca, kochającą i dobrą, a potem wykrzywioną gniewem. Ogarnęła ją nagła tęsknota. Ukryła twarz w dłoniach, próbując stłumić szloch, który zdradziłby ją jako dziewczynę. Była jednak zbyt zmęczona, żeby powstrzymać łzy. Orain delikatnie położył jej dłoń na ramieniu.

–No, synu. Nie należę do ludzi, którzy uważają łzy za niemęską rzecz. Jesteś chory

i zmęczony, to wszystko. Rycz, jeśli chcesz. Nikomu nie powiem. – Klepnął ją po

plecach i podszedł do ogniska. Wrzucił trochę swoich cennych ziół do gorącej wody

wcisnął jej kubek do ręki. – Masz, wypij to, pomoże ci na żołądek.

Napój był aromatyczny i miał przyjemną goryczkę. Rzeczywiście poczuła się po nim lepiej.

–Jeśli nie możesz jeść mięsa, przyniosę ci chleba i owoców. Nie powinienes

chodzić głodny w taki ziąb.

Podał jej kawałek twardego suchara grubo posmarowanego tłuszczem *chervine*. Romilly była tak głodna, że zjadła go łapczywie, a potem jeszcze garść owoców, które Orain przyniósł, kiedy pętali konie na noc. Następnie rozłożył koce. Caryl nie miał

żadnego, więc spał owinięty płaszczem Romilly, wtulony w jej objęcia. Zdejmując buty poczuła złowieszczy tępy ból w dole brzucha. Zaczęła ukradkiem liczyć na palcach. Tak, minęło czterdzieści dni od ucieczki z chaty Rory'ego. Znowu będzie musiała ukrywać tę okresową niewygodę! Do diabła! Tak to jest być kobietą! Leżąc między Carylem i Orainem, zastanawiała się ponuro, jak ma w tych warunkach ukryć swoją przypadłość. Na szczęście panowało dojmujące zimno, więc nikt w obozie się

nie rozbierał. Nawet do spania nakładali na siebie wszystkie ubrania i okrywali się wszystkimi kocami, jakie mieli. Romilly owinęła się nie tylko grubym płaszczem, który dostała od Oraina, ale również starym, tuląc do siebie Caryla.

Musiała coś wymyślić. Nie miała szmatek ani zbędnej bielizny, którą mogłaby podrzeć. W wysokich górach rósł obficie pewien gatunek gęstego mchu, który знаła z Falconsward. Biedniejsze kobiety używały go na swoje comiesięczne potrzeby oraz zamiast pieluszek dla dzieci. Mimo pewnego niesmaku Romilly doszła do wniosku, że łatwiej jej będzie w tym klimacie zagrzebywać mech w śniegu niż robić pranie. Postanowiła, że jutro go poszuka. Przynajmniej nie będzie zabrudzony ziemią ani błotem. Jakaż to niedogodność być kobietą!

Z powodu dotkliwego zimna wszyscy spali blisko siebie jak psy zwijające się w jeden duży kłębek.

–Hej, człowieku, prowadzisz ochronkę dla dzieci? – rzucił drwiąco Alaric, kiedy rano obóz budził się do życia, a Orain wyplątywał się z objęć Caryla i Romilly.

Obecność Oraina dodawała Romilly otuchy. Dziewczyna czuła, że Carylowi również. Orain był łagodny i ojcowski. Nie bała się go. Nie wątpiła, że mogłaby mu powierzyć swój sekret i nic by jej nie groziło. Pewnie byłby wstrząśnięty dowiadując się, że „Rumal” jest dziewczyną, ale nie spodziewała się takich kłopotów z jego strony, podobnie jak ze strony ojca czy braci. Nie miała wątpliwości, że nie potrafiłby zniewolić albo poniżyć kobiety.

Ponieważ zawsze szukała ustronnych miejsc, trochę z niej kpiono, że jest wstydliva jak kobieta, ale tłumaczono to religijnym wychowaniem. *Cristoforo* byli znani ze swojej skromności i pruderii. Na pewno nikt jej nie podejrzewał, a Caryl, który znał prawdę – i dom Carlo, który według niej wszystkiego się domyślił – nie zamierzali nic mówić.

Mogła utrzymać sekret tak długo, jak się da. W Caer Donn poszuka sobie pracy jako sokołnik albo ujeżdżacz koni, choć zapewne nie będzie to takie łatwe jak w Nevarsin. Orain albo dom Carlo dadzą jej dobre referencje.

W dalszym ciągu czuła obrzydzenie do mięsa, choć wiedziała, że to głupie. W naturze jedne zwierzęta stają się ofiarami innych. Początkowa odraza wprawdzie osłabła, lecz ona nadal wolała owsiankę i chleb. Carlo – może pod wpływem Oraina - już nie zmuszał jej do jedzenia mięsa, lecz dawał większą porcję zupy i owoców. Gdy Alaric próbował z tego kpić, dom Carlo kazał mu zamilknąć.

–Im mniej mięsa dla niego, tym więcej dla nas.

Niech sobie je, co chce, a ty rób to samo! Gdyby wszyscy ludzie byli jednakowi, już dawno stałbyś się posiłkiem dla banshee. Zostaw chłopaka w spokoju. Przynajmniej

to jesteśmy mu winni.

Dziewiątego dnia podróży Romilly zobaczyła ptaka nadlatującego od strony wzgórz. Ptaki-zwiadowcy, które właśnie karmiła, zaczęły się miotać w pętach. Dom Carlo stanął nieruchomo z wyciągniętymi ramionami i nieobecnym, skupionym wyrazem twarzy człowieka posługującego się *laran*. Ptak wylądował na jego ręce.

–Wiadomość z Caer Donn od naszych ludzi – oznajmił Carlo.

Odszukał pod skrzydłem pakiecik, otworzył go i przebiegł wzrokiem drobne pismo. Romilly osłupiała. Słyszała o skrzydlatych posłańcach, którzy potrafil wrócić do domu poprzez zupełne pustkowia, ale nie zdarzało się, żeby odnajdowali konkretnego człowieka, którego miejsca pobytu nie znała osoba wysyłająca wiadomość!

Carlo uśmiechnął się szeroko.

–Musimy śpieszyć się do Caer Donn! – wykrzyknął. – Pod Aldaranem zbiera się wielka armia, która za dekadę pomaszeruje na niziny pod wodzą Carolina.

Niech się Rakhal strzeże, moi wierni sprzymierzeńcy!

Mężczyźni wzniesli okrzyki, do których Romilly też się przyłączyła, natomiast Caryl w milczeniu opuścił głowę i przygryzł wargi. Dziewczyna już miała zapytać, o co chodzi, ale ugryzła się w język. Trudno, by chłopaka ucieszyła wiadomość, że przeciwko jego ojcu, głównemu doradcy Rakhala, zbiera się armia. Z drugiej strony Caryl kochał dom Carla jak członka rodziny. Właściwie Romilly była przekonana, że naprawdę są krewnymi, chociaż zapewne dalekimi. Słyszała, że wszyscy Hasturowie z nizin są spokrewnieni. Dostrzegłszy teraz podobieństwo rudowłosego Carla do Alderica, upewniła się, że pochodzi on z Hasturow i przewyższa rangą wszystkich znanych jej mężczyzn. Skoro Orain, przybrany brat króla, traktował go z takim szacunkiem, Carlo musiał być prawdziwym arystokratą.

Do Caer Donn wjechali późnym wieczorem. Za bramą miasta dom Carlo zwrócił się do Oraina.

–Weź ludzi i ptaki do dobrej gospody i zamów im najlepszą kolację, jaką można dostać za pieniądze. Wiernie służyli wygnańcowi i mieli ciężką podróż. Wiesz, dokąd muszą jechać.

–Tak, wiem – powiedział Orain.

Dom Carlo uśmiechnął się blado i ścisnął jego dłoń.

–Przyjdzie dzień...

–Oby dali Bogowie.

Pożegnawszy się Carlo odjechał, zostawiając ich na ulicy.

Gdyby Romilly nigdy nie widziała Nevarsin, uznałaby Caer Donn za duże miasto. Na zboczu wysokiej góry wznoszącej się za murami stał zamek.

–To siedziba Aldaranów z Aldaran – poinformował ją Orain. – Aldaranowie pochodzą od Hastura, ale nie biorą udziału w nizinnym konflikcie. Mimo to więzy krwi są silne.

–Czy jest tam król? – spytała Romilly.

Orain uśmiechnął się i wziął głęboki oddech.

–Dotarliśmy w okolice, gdzie Rakhal, ta bestia, nie cieszy się uwielbieniem, a Carolin nadal jest królem.

Ptaki, które przywieźliśmy, za kilka dni znajdą się w rękach królewskich *Ieroni*. Szkoda, że nie przeszedłeś szkolenia *Iaranzu*, chłopcze. Masz talent. Oddałeś ludziom Carolina wielką przysługę. Wierz mi, król ci się odwdzięczy, kiedy wróci na tron. – Rozejrzał się. – O ile pamięć mnie nie zawodzi, w pobliżu miejskich murów znajduje się gospoda, gdzie nasze ptaki znajdą pomieszczenie, zwierzęta zostaną nakarmione, a my też zjemy dobry posiłek zarządzony przez Carla. Poszukajmy jej. Gdy ruszyli wąskimi ulicami, podjechał do nich Caryl.

–Lordzie Orainie, *vai dom* obiecał, że odeśle mnie do ojca pod flagą pokoju. Czy dotrzyma obietnicy? Mój ojciec... – Głos mu się załamał. – Na pewno szaleje ze strachu o mnie.

–I dobrze! – wtrącił Alaric ochryple. – Niech poczuje to, co ja czułem, kiedy mój syn i żona zginęli z jego ręki.

Caryl wytrzeszczył oczy.

–Nie poznałem pana wcześniej, panie Alaricu. Teraz sobie przypominam. Myli się pan jednak. Mój ojciec nie zabił pańskiego syna. On umarł na tyfus, tego samego lata

co mój własny brat, a królewskie uzdrowicielki leczyły ich obu z równą

troskliwością.

To smutne, że pański syn umarł z dala od ojca i matki, ale przysięgam na mój honor, że ojciec nie przyłożył ręki do jego śmierci.

–A co z moją biedną żoną, która rzuciła się z okna, kiedy usłyszała, że syn umarł z dala od niej?

–Nie wiedziałem o tym – powiedział Caryl ze łzami w oczach. – Moja matka także szalała z żalu po śmierci mego brata. Bałem się spuszczać ją z oka w obawie, że zrobi sobie coś złego. Przykro mi, panie Alaricu.

Ach, jak mi przykro. – Otoczył go ramionami. – Gdyby ojciec to wiedział, z pewnością nie obwinałby cię o wszczęcie waśni i nie ścigał. Alaric przełknął ślinę. Stał bez ruchu w objęciach chłopca.

–Chciałbym, żeby mój syn bronił mnie w taki sposób. Nie mogę cię winić za lojalność wobec ojca, chłopcze. Lord Orain zadba, żebyś wrócił do niego bezpiecznie, a ja mu pomogę.

Orain westchnął z ulgą.

–Nie wyślemy cię samego na niebezpieczne niziny, Alaricu. Zostaniesz tutaj z armią. W mieście jest zajazd Sióstr Mieczowych, do których należy moja kuzynka.

Najmiemy dwie lub trzy z tych kobiet, żeby odstawiły chłopca do Thendary. Porozmawiam z dom Carlem, Carylu. Mógłbyś wyruszyć pojutrze. Wyślemy do twojego ojca do Hali ptaka-pośłańca z wieścią, że wracasz pod eskortą cały i zdrowy.

–Jesteś dla mnie dobry, lordzie Orainie – stwierdził Caryl. – Podróż mi się podobała, ale nie mogę myśleć o niepokoju ojca. Albo matki, jeśli się dowie, że nie ma mnie w Nevarsin.

–Zajmę się tym, gdy tylko dotrzemy do gospody – odparł Orain.

Ruszył na czele kawalkady w stronę niskiego, długiego budynku z prymitywnie namalowanym na godle sokołem i ze stajniami na tyłach.

–Pod Sokołem zjemy dobrą kolację i odpoczniemy po ciężkiej podróży przez

śniegi. Kto z was chciałby wziąć gorącą kąpiel? W mieście są gorące źródła, a nie dalej,

niż dziesięć domów stąd, łaźnia.

Jego słowa wywołały ogólny aplauz, tylko Romilly pomyślała smętnie, że nic jej po tych atrakcjach. Wiedziała, że nie zaryzykuje kąpieli w męskiej łaźni, choć czuła się brudna i tęskniła za czystością! Cóż, nic nie mogła na to poradzić. Dopilnowała rozmieszczenia koni i *cheruine* w stajni, zadbała o ptaki, umyła twarz i ręce i poszła na obiecaną ucztę. Orain zamówił również pokoje dla wszystkich, w tym najlepszy dla Caryla, odpowiednio do jego pozycji.

–Ty możesz ze mną dzielić kwaterę, Rumalu.

–To miłe z pańskiej strony, ale zostanę w stajni z moimi podopiecznymi. Ptaki będą niespokojne w obcym miejscu.

Orain wzruszył ramionami.

–Jak chcesz. Lecz przy kolacji poproszę cię o coś jeszcze.

–Jak sobie życzysz, sir.

Poszli do sali jadalnej, gdzie na stołach ujrzeli świeży pulchny chleb ze złotą skórką i pieczone bulwy, drób oraz duszone warzywa. Po długiej podróży i spartańskim wyżywieniu wszyscy jedli z apetytem. Było dużo wina i piwa, ale Orain po ojcowsku zabronił ich Carylowi i zmarszczył brwi, kiedy Romilly sięgnęła po drugi kubek.

–Dobrze wiesz, że nie masz mocnej głowy – upomniał ją. – Obsługa! Przynieś chłopcom cydru z korzeniami.

–Och, stara mamuśka Orain – zadrwił Alaric dobrodusznie. – Położysz ich do łóżka i zaśpiewasz kołysankę, gdy my będziemy moczyli się w łaźni po długiej podróży?

–Nie, idę z wami.

–A zaraz potem do domu schadzek! – zawołał jeden z mężczyzn, nabierając wielką łyżkę gotowanych owoców, które podano na deser. – Nie widziałem kobiety od Zandru wie jak dawna!

–A ja zamierzam nie tylko patrzeć! – ryknął inny.

–Róbcie, co chcecie, ale nie wypada tak mówić w obecności dzieci – zmiłgował ich Orain.

–Ja też chciałbym się wykąpać – stwierdził Caryl, ale Orain potrząsnął głową.

–Tutejsza łaźnia nie przypomina klasztornej. Chodzą do niej uliczne dziewczki i różni inni ludzie. Ja potrafię zadbać o siebie, ale to nie jest miejsce dla porządnego chłopca w twoim wieku. Zamówię ci balię z wodą do pokoju. Będziesz mógł spokojnie

się umyć, wymoczyć, a potem pójść do łóżka i dobrze wypocząć. Ty też – dodał marszcząc brwi na Romilly. – Jesteś za młody na towarzystwo, które spotyka się w łaźni. Dopilnujesz, żeby chłopiec dobrze umył nogi, i zamówisz kąpiel dla siebie. Stałbyś się zbyt łatwą zdobyczą dla typków, którzy kręcą się w takich miejscach. Jeszcze prędzej, niż gdybyś był szanującą się panienką.

–Po co rozpieszczą chłopaka? – spytał Alaric. – Niech zobaczy trochę życia, tak jak

ty zapewne robiłeś w jego wieku, lordzie Orainie!

Orain spojrział na niego wilkiem.

–To, co ja robiłem, nie ma nic do rzeczy. Chłopiec jest pod moją opieką, podobnie jak syn Lyondriego. Poza tym nie uchodzi, żeby Hastur obywatel się bez służby.

Zostaniesz tutaj, Rumalu, i zajmiesz się chłopcem. Dopilnujesz, żeby położył się spać. Potem sam weźmiesz kąpiel.

–Walcz o swoje prawa, chłopcze. Nie daj się traktować jak dziecko – odezwał się jeden z mężczyzn, któremu wino zaszumiało w głowie. – Nie jesteś sługą szczeniaka Husturów!

–Wolę zostać – oświadczyła Romilly, zadowolona z takiego rozwiązania. – Jestem *crisoforo* i nie mam chęci na przygody.

–Ach tak, *crisoforo* związany Przykazaniem Czystości – zadrwił Alaric. – Cóż, zrobiłem dla ciebie, co mogłem, chłopcze. Jeśli wolisz trzymać się spódnicy Świętego

Nosiciela Brzemion, twoja sprawa! Kto idzie do łaźni?

Jeden za drugim mężczyźni wstawali do stołu i niezbyt pewnym krokiem wychodzili na ulicę. Romilly udała się z Carylem na piętro i posłała służącą po wodę. Gdy chciała wykąpać chłopca tak jak w domu Raela, ten poczerwieniał na twarzy.

–Przecież wiem, że jesteś dziewczyną, choć nikomu o tym nie powiem. Nawet moja matka ani siostra mnie nie myją. Sam potrafię! Wyjdź, Romilly. Każę przygotować dla ciebie kąpiel, dobrze? Lord Orain niewątpliwie będzie siedział w łaźni przez pół nocy, a potem pewnie znajdzie sobie kobietę. Jestem dostatecznie duży, żeby wiedzieć o takich rzeczach. Możesz wykąpać się w jego pokoju i pójść potem do łóżka.

Romilly nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

–Jak sobie życzysz, mój panie.

–Nie kpij ze mnie!

–Nawet nie przyszło mi to do głowy – odparła Romilly, starając się zachować powagę. – Lord Orain kazał mi dopilnować, żebyś dobrze umył nogi.

–W klasztorze kąpałem się sam przez ponad rok – oznajmił Caryl zirytowany. – Odejdź, panno Romilly, zanim woda mi ostygnie.

Romilly była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Rzeczywiście tęskniła za gorącą kąpielą. Zeszła do stajni po juki, a tymczasem służące przyciągnęły do pokoju Oraina drewnianą balię i napełniły ją gorącą wodą. Obok zostawiły wielki puszysty ręcznik i drewnianą faskę mydlanego ziela, ale jedna z posługaczek ociągała się z wyjściem, wlepiając oczy w Romilly.

–Mam zostać i pomóc ci, paniczu? – spytała znaczącym tonem. – Z przyjemnością umyję ci nogi i wyszoruję plecy. Za pół srebrniaka zostanę tak długo, jak zechcesz. Będę dzielić z tobą łóżko.

Romilly z trudem powstrzymała uśmiech. Czowała się skrępowana. Czyżby była takim przystojnym młodzieńcem, czy też kobiecie zależało tylko na zapłacie? Potrząsnęła głową.

–Jestem zmęczony jazdą. Chcę się umyć i wyspać.

–A może mam ci przysłać masażystę, paniczu?

–Nie, niczego więcej nie chcę. Zostaw mnie samego – powiedziała Romilly

stanowczo, ale dała kobiecie drobną monetę. – Za godzinę możesz przyjść po balię.

Po wyjściu służącej rozebrała się i weszła do wody. Wyszorowała się porządnie mydlanym zielem i z westchnieniem zadowolenia położyła w gorącej kąpeli. Ostatnio myła się cała w chacie Rory'ego. W Nevarsin nie odważyła się korzystać z klasztornej łaźni. Nie śmiała też pójść do miejskiej łaźni dla kobiet. Nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył wychodzącą stamtąd.

Jaką wspaniałą rzeczą była gorąca kąpiel! Romilly rozkoszowała się nią, póki woda nie ostygła. Potem wysuszyła starannie włosy i założyła najczystsza bieliznę. Spojrzała z tęsknotą na pościelone już łóżko. Orain na pewno już opuścił łaźnię i znalazł sobie kobietę na noc, a tu marnuje się wygodne łóżko. Romilly poczuła ukłucie zazdrości. Przypomniała sobie sen, w którym Orain ją pieścił. Czyżby naprawdę była zazdrosna o nieznaną kobietę, z którą spędzał noc?

Cóż, powinna zadzwonić po służącą, a sama pójść do stajni. Miała tam siano i koce, więc byłoby jej ciepło. Poza tym mogła zamówić gorące cegły i więcej koców. Włożyła spodnie i wezwała kąpielową, a sama udała się do pokoju Caryla i zapukała cicho do drzwi. Już zasypiał, ale usiadł i uściskał ją jak siostrę. Potem życzył jej dobrej nocy i natychmiast usnął. Romilly korciło, żeby położyć się obok chłopca. W podróży często spali przytuleni do siebie. Na łóżku zmieściłyby się swobodnie trzy albo cztery osoby. Uświadomiła sobie jednak, że po obudzeniu Caryl byłby zakłopotany. W każdym razie nic nie zaszkodzi, jeśli trochę się zdrzemnę w łóżku Oraina, pomyślała ziewając. Nie chciało jej się iść do stajni. Orain na pewno nie wróci przed świtem, a jeśli nawet, to będzie tak pijany, że jej nie zauważy. Zresztą nie będzie go obchodziło, czy ona jest chłopcem, czy, powiedzmy, psem. Nie domyśli się jej płci, skoro nie wpadł na to w ciągu długiej podróży. Poza tym nie miał *laran*, dzięki któremu Caryl i zapewne dom Carlo odkryli prawdę.

Pośpi sobie trochę, a kiedy obudzą ją kroki Oraina na schodach, wróci do stajni.

Łóżko wyglądało kusząco po tylu nocach spędzonych pod gołym niebem. Kiedy posługaczka zabierała balię, ogrzała pościel garnkiem wypełnionym żarem. Pościel pachniała świeżo i zapraszająco. Skończywszy z wahaniem, Romilly położyła się w koszuli i naciągnęła na siebie kołdrę. Zdążyła jeszcze pomyśleć, że nie powinna mocno zasypiać, bo Orain może wrócić wcześniej... i zapadła w sen.

Skrzypnęły drzwi. Do pokoju wszedł cicho Orain, zrzucił zwierzchnie ubranie i ziewając usiadł na brzegu łóżka. Romilly zerwała się przerażona, a mężczyzna uśmiechnął się do niej szeroko.

–Zostań, chłopcze – rzekł sennym głosem. – Łóżko jest dostatecznie duże dla nas

dwóch.

Ziało od niego winem, ale nie był pijany. Wyciągnął rękę i przesunął po włosach Romilly.

–Jakie miękkie. Ty też chyba miałaś przyjemną kąpiel.

–Już pójdę...

–Zewnętrzne drzwi gospody są od dawna zamknięte na klucz. – Jego głos brzmiał miękką niziną wymową. – Zostań, chłopcze. Ja już prawie śpię.

Ściągnął buty i ubranie. Romilly przeturlała się w drugi koniec łóżka, schowała głowę pod kołdrę i zasnęła.

Nie wiedziała, co ją obudziło, ale miała wrażenie, że krzyk. Orain rzucił się na materacu, usiadł prosto i wrzasnął przerażony.

–Uważaj, Carolinie, złapią cię!

Wpatrywał się w pusty pokój, aż Romilly zorientowała się, że on jeszcze śpi. Pociągnęła go za ramię.

–Obudź się! To tylko koszmar!

–Ach. – Mężczyzna oprzytomniał i wziął głęboki oddech. – Widziałem mojego

brata i przyjaciela w rękach Rakhala, niech Zandru ześle na niego skorpionowe bicze.

Położył się, ale na jego twarzy nadal malował się niepokój. Romilly skuliła się w kłębek i próbowała zasnąć. Po jakimś czasie poczuła, że Orain obejmuje ją ramieniem i delikatnie przyciąga do siebie.

Odsunęła się wystraszona.

–Chłopcze, nie wiesz, co czuję? – spytał Orain łagodnie. – Tak mi przypominasz

młodego Carolina... Te rude włosy... Jesteś nieśmiały i wstydlivy, ale potrafisz być dzielny.

To niepotrzebne. On nie wie, że jestem kobietą, ale powiem mu, że wszystko w porządku, myślała drżąc z zakłopotania i nieśmiałości. Ponieważ jednak naprawdę lubiła Oraina, było to całkiem co innego niż wtedy, gdy dom Garrisa próbował ją obmacywać albo kiedy Rory chciał posiąść ją siłą.

Usiadła na łóżku i otoczyła mężczyznę ramionami, kładąc mu głowę na ramieniu.

–Wszystko w porządku, Orainie – szepnęła trzymając usta blisko jego policzka. –

Wiedziałaś przez cały czas, prawda? Ja... ja...

Zamiast dokończyć, ujęła jego dłoń i wsunęła sobie pod koszulę. Orain wyszarpnął rękę i poderwał się. Jego twarz płonęła.

–Na ogień piekielny! – wyszeptał z niedowierzaniem i prawdziwą konsternacją. –

Na ogień piekielny, jesteś dziewczyną!

Wyskoczył z łóżka i stał gapiąc się na nią. Poprawił na sobie koszulę nocną i odwrócił obyczajnie wzrok.

–Panienko... *damisela*, tysięczne przeprosiny. Najpokorniej błagam o wybaczenie.

Nigdy, ani przez chwilę nie domyślałem się... Na litość Avarry, panienko, nie mogę uwierzyć! Kim jesteś?

–Romilly MacAran – odparła drżąc z zimna.

Czując się odrzucona, wybuchnęła płaczem.

–Och, błogosławieni Bogowie. – Orain nachylił się i otulił ją kocem. – Nie płacz, bo ktoś usłyszy. Nie skrzywdziłbym cię za nic w świecie, pani.

Cofnął się potrząsając głową.

–Co za okropna historia! Ależ zrobiłem z siebie głupca! Wybacz, pani. Nie tknę cię nawet palcem.

Romilly zaczęła płakać jeszcze rozpaczliwiej, a Orain starał się ją uspokoić.

–Nie płacz, mała damo. Nie ma o co. No, cicho, przecież byliśmy przyjaciółmi, prawda? Nie obchodzi mnie, że jesteś dziewczyną. Musiałaś mieć ważne powody, żeby to ukrywać.

Romilly usiłowała pohamować szloch. Orain siadł na łóżku i wytarł jej nos prześcieradłem.

–No już, już, grzeczna dziewczynka, nie płacz, kochanie. Myślę, że lepiej będzie, jeśli mi wszystko opowiesz.

KSIĘGA TRZECIA

Siostra Mieczowa

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nad ranem spadł śnieg i pokrył ulice Caer Donn grubą warstwą nieskalanej bieli. Mimo to powietrze było łagodne. Wychowana na wsi Romilly czuła, że zbliża się wiosenna odwilż i że jest to ostatni atak zimy.

Ojciec zawsze mówił, że tylko szaleńcy albo desperaci podróżują zimą, a ja przebyłam Hellery po zimowym święcie. Dlaczego akurat teraz o tym myślę?

Orain poklepał ją po ramieniu niezręcznie, ale z takim samym szacunkiem, jaki okazywał od zeszłej nocy. Ten gest sprawił, że Romilly zachciało się płakać za utraconym zwyczajnym koleżeństwem. Powinna była przewidzieć, że jako kobietę będzie ją lubił o wiele mniej. Musiało to być oczywiste dla wszystkich oprócz niej. Wystarczyło na niego spojrzeć.

–Jesteśmy na miejscu, *damisela* – oznajmił.

–Mam na imię Romilly i nie zmieniałam się aż tak bardzo, Orainie – warknęła urażona i stwierdziła, że Orain ma wzrok jak zbity pies.

–Oto zajazd Sióstr Mieczowych.

Ruszył pierwszy po schodach.

Skoro już się dowiedział, nie mógł pozwolić, żeby narażała się na niebezpieczeństwa grożące w podróży. Od tej pory zawsze już miał pamiętać o jej płci. Właściwie to było najlepsze rozwiązanie.

W głównym holu przywitała ich kobieta o surowej twarzy i rękach, które bardziej nadawały się do trzymania wideł. Romilly doszła do wniosku, że „przywitała” nie jest właściwym słowem. Raczej wpuściła ich do środka.

–Proszę uprzejmie poinformować pannę Jandrię, że przybył do niej z wizytą kuzyn – powiedział Orain.

Jego ton był znowu nienagannie uprzejmy jak przystało na dobrze wychowanego dworzanina, a wszelkie ślady wiejskiej wymowy starannie ukryte. Kobieta zrobiła podejrzliwą minę.

–Proszę usiąść.

Wskazała im ławę, jakby byli parą uliczników, którzy przybyli po jałmużnę, i

zostawiła ich samych.

Z głębi domu dobiegały kobiece głosy, dźwięk młota uderzającego o kowadło - przynajmniej tak to brzmiało – ciche, znajome, przyjazne pobrzękiwanie, które sprawiło, że Romilly trochę się odprężyła. Po chwili korytarzem przeszły dwie młode kobiety w szkarłatnych tunikach, z włosami wsuniętymi pod czerwone czapki. Nie należały do osób, które macocha Romilly zaliczyłaby do dam. Jedna z nich miała ręce duże i czerwone jak dojarka, długie luźne spodnie i wysokie buty.

W głębi korytarza pojawiła się jeszcze jedna kobieta. Była smukła i ładna, mniej więcej w wieku Oraina, czyli miała około czterdziestu lat, lecz ciemne, krótko obcięte włosy na skroniach już przyprószyła siwizna.

–Z czym przybywasz, krewniaku? – Miała wiejską wymowę, którą Orain nauczył się ukrywać. – Co sprowadza cię zimą w te strony? Podobno sprawy króla. Co u niego?

Uścisnęła go krótko, serdecznie i pocałowała w policzek.

–Król ma się dobrze, chwała Aldonesowi – odparł Orain. – Jest teraz u Aldaranów.

Mam dla ciebie dwoje podopiecznych, Janni.

–Dwoje? – Szpakowate brwi uniosły się w grymasie rozbawienia. – Po pierwsze, kto to jest? Chłopiec czy dziewczyna? A może jeszcze się nie zdecydował albo nie zdecydowała?

Romilly poczerwieniała na twarzy i wbiła wzrok w podłogę. Miała wrażenie, że na swój dobrotliwy i lekko kpiący sposób kobieta przyjrzała się jej dokładnie, oceniła i uznała za bezużyteczną.

–Nazywa się Romilly MacAran – powiedział Orain. – Nie kpij z niej, Janni.

Przeszła z nami Hellery w najgorszą pogodę, a my nie wiedzieliśmy, że jest dziewczyną. Robiła to, co inni, i dbała o Ptaki-zwiadowców.

Dzięki niej przywieźliśmy je w dobrej kondycji. O konie również się zatroszczyła. Nie miałem pojęcia, że kobieta może to wszystko umieć. Uważałem ją za zdolnego chłopca, ale okazała się jeszcze bardziej niezwykła, więc przyprowadziłem ją do ciebie.

–Już ci nie jest potrzebna, skoro odkryłeś, że nie jest chłopcem – stwierdziła

Jandria z ironicznym uśmieszkiem i spojrzała na Romilly.

–Nie umiesz mówić, dziewczyno? Co cię sprowadza w góry w męskim przebraniu?

Jeśli tak łatwo było ci znaleźć mężczyznę, lepiej zabieraj się stąd, bo nie chcemy wśród nas dziewcząt, przez które ludzie będą nazywać nas ladacznicami! Maszerujemy z armiami, ale nie jesteśmy markietankami, żeby to było jasne! Dlaczego uciekłaś z domu?

–Opuściłam dom, bo ojciec zabrał sokoła, którego sama wytrenowałam, i dał go mojemu bratu – wyjaśniła Romilly obronnym tonem. – Uznałam, że to nieuczciwe.

Poza tym nie chciałam wyjść za mąż za dziedzica Scathfell, który by wymagał, żebym

siedziała w domu, wyszywała poduszki i rodziła mu paskudne bachory!

Jandria przyjrzała się jej uważnie.

–Boisz się małżeńskiego łoża i rodzenia, co?

–Nie o to chodzi – odparła Romilly. – Lubię konie, ogary i sokoły, a jeśli miałabym kiedyś wyjść za mąż... – Sama nie wiedziała, co chce powiedzieć, dopóki nie usłyszała własnych słów. – Poszukam człowieka, który będzie chciał mnie takiej, jaką jestem, a nie malowanej lalki, żeby ją nazywać żoną i nie zastanawiać się nawet, kim ona jest! Poślubię mężczyznę, który nie będzie uważał, że jego męskość jest zagrożona, bo żona potrafi siedzieć w siodle i polować z sokołami! Raczej jednak nie wyjdę za mąż, przynajmniej na razie. Chcę podróżować, zobaczyć świat i spróbować różnych rzeczy... Żle przedstawiła swoje motywy. Mówiła jak niezadowolona, zbuntowana córka. Cóż, była taka, a nie inna. Jeśli nie spodoba się pannie Jandrii, to trudno. Żyła do tej pory jak mężczyzna, więc i dalej sobie poradzi, jeśli będzie musiała!

–Nie proszę o łaskę, panno Jandrio. Orain mnie zna! Jandria zaśmiała się.

–Mam na imię Janni, Romilly. A Orain nic nie wie o kobietach.

–Lubił mnie, póki nie odkrył, że jestem kobietą – poskarżyła się Romilly. Janni znowu wybuchnęła śmiechem.

–Właśnie to miałam na myśli. Na pewno uważa, że powinnaś była nosić spódnicę i wysyłać znaki ostrzegawcze, żeby nikt się nie nabrał. Przestał się strzec w twojej obecności, sądząc, że jest bezpieczny, i teraz nigdy ci tego nie wybaczy. Czyż nie?

–Jesteś dla mnie zbyt surowa, Janni – powiedział Orain niepewnie. – Musisz zrozumieć, że panna MacAranowna nie może podróżować i obozować z twardymi mężczyznami, którymi dowodzę!

–Mimo że to robiła przez ileś dekad – rzuciła Jandria z krzywym uśmiechem. – Cóż, masz rację, tu jest dla niej miejsce. Skoro dobrze sobie radzi z końmi i ptakami, przyda się nam, o ile będzie chciała żyć zgodnie z naszymi zasadami.

–Skąd mam wiedzieć, póki ich nie poznam? – spytała Romilly.

Jandria roześmiała się.

–Ona mi się podoba, kuzynie. Możesz ją zostawić i iść sobie. Nie ugryzę jej. Zaczekaj chwilę. Powiedziałeś, że masz dla mnie dwoje podopiecznych.

–Tak. Carolina, syna Lyondriego Hastura. Był uczniem w klasztorze Nevarsin. Wpadł w nasze ręce jako zakładnik. Mniejsza o to jak. Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Dałem słowo, odeślę chłopca do Thendary pod białą flagą, kiedy drogi będą przejezdne. Sam nie mogę jechać.

–Oczywiście – powiedziała Jandria. – Wprawdzie głowę masz brzydką jak grzech, a w niej pełno przesądów, ale lepiej, żeby zdołała twój kark niż norę Lyondriego, nadziana na pikę! Zawieziemy chłopca do Thendary. Mogę nawet pojechać osobiście. Lyondri nie widział mnie, odkąd tańczyliśmy razem na dziecięcych balach, a i tak nie pozna bez długich loków i kokard. – Zachichotała jak z dobrego żartu, który tylko ona rozumiała. – Ile lat ma młody Carolin? Pewnie osiem albo dziewięć.

–Chyba dwanaście. Jest miłym dzieckiem. Szkoda, że został wmieszany w nasze sprawy, ale uratował kark mnie i moim ludziom. Carolin ma powody być wdzięcznym swojemu chrześniakowi, więc strzeż go dobrze, Janni.

Kobieta skinęła głową.

–Zawiozę chłopca na południe, gdy tylko stopnieją śniegi. Możesz go do mnie przysłać. – Bezceremonialnie uściskała Oraina. – Musisz już iść, kuzynie. Co będzie z

moją reputacją, gdy się rozniesie, że przyjmuję mężczyzn? A co dopiero z twoją, gdy

wyjdzie na jaw, że potrafisz uprzejmie rozmawiać z kobietą?

–Och, daj spokój, Janni – powiedział Orain i wstał z ławy. Spojrzał zakłopotany na

Romilly i wyciągnął rękę. – Życzę ci wszystkiego dobrego, *damisela*.

Tym razem Romilly nie zadała sobie trudu, żeby go poprawić. Jeśli nie widział, że w męskim czy kobiecym stroju jest taka sama, jak była, tym gorzej dla niego. Już nie zachowywał się jak jej przyjaciel Orain. Miała ochotę się rozplakać, ale nie zrobiła tego, bo Janni patrzyła na nią uważnie.

–Co się stało? – spytała, gdy drzwi zamknęły się za Orainem. – Próbował zwabić cię do łóżka i przeraził się, gdy odkrył, że jesteś kobietą?

–Niezupełnie – odparła Romilly czując, że powinna bronić Oraina, nawet nie wiedząc czemu. – Był dla mnie dobry. Myślałam, że wie, iż jestem kobietą, i pragnie mnie taką. Nie jestem rozwiązła. Kiedyś omal nie zabiłam mężczyzny, który chciał mnie wziąć siłą. – Zamknęła oczy. Jeszcze nie zdołała uwolnić się od dręczącego wspomnienia o Rorym. – Bardzo polubiłam Oraina. Chętnie byłabym dla niego miła, gdyby tego pragnął.

Janni uśmiechnęła się, ale Romilly nie mogła zrozumieć, co takiego zabawnego powiedziała.

–Nie wątpię, że nadal jesteś dziewicą – rzekła kobieta dość miłym tonem.

–Nie wstydzę się tego – wybuchnęła Romilly.

–Ależ jesteś drażliwa! Będziesz żyć według naszych zasad?

–Odpowiem, gdy je poznam.

Po twarzy Janni znowu przemknął uśmiech.

–No, dobrze. Czy będziesz naszą siostrą niezależnie od pozycji? Wstępując do Sióstr Mieczowych, status zostawiamy za sobą. Tutaj nie będziesz „lady” ani „damisela”. Nikogo nie obchodzi, że urodziłaś się w Wielkim Domu. Musisz wykonywać pracę, która ci przypadnie w udziale, i nigdy nie prosić o szczególne względy z tego powodu, że jesteś kobietą. Gdybyś miała romans z mężczyzną, musisz

zachować dyskrecję, żeby nikt nie mógł nazwać Sióstr zgromadzeniem markietanek.

Większość z nas przyrzeka żyć w celibacie, kiedy podążamy za armią, ale nikogo do tego nie zmuszamy. Romilly spodobało się to, co usłyszała.

–Przysięgniesz, że tak będziesz postępować?

–Chętnie.

–Poza tym twój miecz ma być gotowy, w czasie pokoju lub na wojnie, do obrony każdej siostry, którą wbrew jej woli tknie mężczyzna.

–Chętnie złożę taką przysięgę, ale nie sądzę, żeby mój miecz na coś się przydał. Nie mam pojęcia o szermierce.

Janni uściskała ją.

–Nauczmy cię wszystkiego. Zanieś swoje rzeczy do pokoju. Czy ten gamoń Orain pamiętał o śniadaniu?

A może zapomniał, że kobiety też bywają głodne, bo tak mu było spieszno pozbyć się ciebie z obozu?

Romilly, która nadal cierpiała z powodu odrzucenia, nie chciała przyłączyć się do kpin z Oraina, ale nie mogła pohamować śmiechu, bo domysł Janni był trafny.

–Rzeczywiście jestem głodna. Kobieta chwyciła jeden z jej tobołków.

–W stajni gospody został mój koń – powiedziała Romilly.

–Poślę po niego którąś z sióstr. Chodźmy do kuchni. Już dawno po śniadaniu, ale

znajdzie się trochę chleba i miodu. Potem przekłujemy ci uszy, żebyś mogła nosić nasz znak i żeby reszta widziała wyraźnie, że jesteś jedną z nas. Dzisiaj wieczorem złożysz przysięgę. Najpierw tylko na rok, a potem, jeśli ci się spodoba, na trzy lata. Gdy wytrzymasz z nami cztery lata, zadecydujesz, czy chcesz złożyć przysięgę na całe życie, pójść swoją drogą czy też wrócić do rodziny i wyjść za mąż.

–Nigdy! – zapewniła Romilly z żarem.

–Wypuścimy tego sokoła, kiedy mu urosną lotki – skwitowała Janni. – Na razie przyłączysz się do nas.

Przyjmujemy cię tym chętniej, że znasz się na koniach i sokołach. Mhari, która zajmowała się końmi, umarła tej zimy na zapalenie płuc, a jej pomocnice są daleko na południu razem z armią. Żadna z dziewcząt przebywających obecnie w zajeździe nie jeździ dobrze na koniu, nie mówiąc o ujeżdżaniu. A jak z tobą? Mamy cztery żrebaki gotowe do ujeżdżenia, a jeszcze więcej w dużym zajeździe blisko Thendary.

–Wychowałam się w Falconsward – powiedziała Romilly tonem wyjaśnienia, ale Janni ostrzegawczo uniosła rękę.

–My nie mamy rodziny ani przeszłości, tylko imiona. Uprzedzałam, że nie jesteś już „lady” ani „panną MacAranówną”.

Skarcona Romilly zamilkła.

Nic nie zmieni faktu, że jestem Romilly MacAran z Falconsward, myślała. Nie chełpiłam się pochodzeniem, tylko tłumaczyłam, skąd się wzięły moje umiejętności. Trudno byłoby mi nauczyć się tego wszystkiego w górskiej zagrodzie! Skoro jednak ona uważa, że się przechwalam, nic na to nie poradzę. Niech sobie myśli, co chce. Romilly poczuła się stara, cyniczna i mądra życiowo. W milczeniu szła za Janni długim korytarzem, aż dotarły do wielkich podwójnych drzwi.

Ona również ma dobre pochodzenie, choć nie chce o tym mówić. Wspomniała o dziecięcych balach i tańcach z Lyondrim Hasturem. Może ją też upominano, żeby nie rozmawiała o swojej przeszłości.

To był długi i pracowity dzień. Romilly zjadła w kuchni chleb z serem i miodem, a potem ćwiczyła walkę bez broni razem z grupką młodych dziewcząt, które okazały się znacznie bardziej wprawione od niej. Ona nie mogła przyswoić sobie żadnego z pokazywanych jej chwytów. Czowała się tępa i niezdarna. Nieco później tego samego dnia około sześćdziesięcioletnia kobieta o surowej twarzy dała jej drewniany miecz podobny do tych, jakimi ona i Ruyven bawili się w dzieciństwie, i próbowała nauczyć ją podstawowych pozycji obronnych, ale bez większego powodzenia. Romilly nie

udało się też spamiętać wszystkich imion, tyle ich było. Tak przynajmniej jej się wydawało, bo w jadalni naliczyła tylko dziewiętnaście kobiet. Po obiedzie pozwolono jej zajrzeć do stajni, dokąd już przyprowadzono jej wierzchowca. Romilly stwierdziła, że dużo łatwiej jest jej zapamiętać imiona koni i paru stojących tam *chervine*. Potem Janni przekłuła jej uszy i założyła małe złote kolczyki.

–Kiedy ranki się zagoją, dostaniesz znak Sióstr Mieczowych. Na razie musisz przekręcać kolczyki i przemywać uszy trzy razy dziennie ciepłą wodą i wywarem z liści tarniny.

Wieczorem Romilly złożyła przysięgę przed całym zgromadzeniem – ze zmęczenia widziała tylko rozmazane plamy zamiast poszczególnych twarzy – i do następnych wiosennych roztopów musiała zostać u Sióstr Mieczowych. Gdy uroczystość dobiegła końca, kobiety otoczyły ją i zarzuciły pytaniami, na które odpowiadała z wahaniem, pamiętając o zakazie Janni. Potem dostała znoszoną i mocno połataną koszulę nocną i udała się na spoczynek w długiej sali zastawionej pół tuzinem łóżek. Kiedy obudził ją dzwon, miała wrażenie, że dopiero co zasnęła. Obmyła twarz i ubrała się w sali pełnej zaspanych dziewcząt w jej wieku i młodszych, biegających w negliżu i kłócących się o miednice.

Przez pierwszych kilka dni Romilly wydawało się, że wciąż gdzieś biegnie zasapana, usiłując dotrzymać kroku grupce dziewcząt. Lekcje walki wręcz przerażały ją. Instruktorka była surowa i mówiła gniewnym głosem. Choć któregoś popołudnia, kiedy Romilly miała dyżur w kuchni, gdzie czuła się najlepiej, weszła Merinna – takie imię nosiła jej dręczycielka – i poprosiła o herbatę. Gdy ją dostała, bardzo miło gawędziła z uczennicą, która doszła do wniosku, że na zajęciach Merinna celowo przybiera ostry ton, by zmusić dziewczęta do skupienia się na tym, co robią. Szermierka okazała się łatwiejsza, gdyż w domu czasami pozwalano Romilly obserwować lekcje Ruyvena, a zdarzało się, że z nim ćwiczyła. Kiedy miała osiem czy dziewięć lat, ojca bawił widok córki z mieczem w dłoni, ale gdy podrosła, zabronił jej dotykać nawet drewnianej broni. Stopniowo przypomniały jej się tamte lekcje i pewniej zaczęła sobie radzić z pałkami, które służyły do ćwiczeń.

Wśród koni w stajni czuła się jak u siebie w domu. Pracę przy zwierzętach zaczęła już w dzieciństwie, od czyszczenia siodłał mydłanym zielem i oliwą.

Pewnego dnia była zajęta polerowaniem nitów przy siodle, gdy usłyszała hałas dobiegający z dworu. Do stajni wpadła jedna z najmłodszych dziewcząt.

–Och, Romi, chodź. Ulicą idzie armia królewska.

Merinna dała nam wolne, żebyśmy mogły popatrzeć!

Carolin pomaszeruje na południe, gdy tylko drogi będą przejezdne!

Romilly rzuciła szmatkę nasączoną oliwą i wybiegła za bramę razem z Lillią i Marga. Ulica była pełna żołnierzy i koni, a pod ścianami stali ludzie i wiwatowali na cześć Carolina.

–Patrzcie, patrzcie, tam jedzie, pod sztandarem z jodłą, niebiesko-srebrnym. To

król Carolin – zawołał ktoś.

Romilly wyciągnęła szyję, ale dostrzegła tylko przelotnie wysokiego mężczyznę o ascetycznym profilu, trochę podobnego do Carla. W tym momencie podmuch wiatru

wydał mu pelerynę, zasłaniając twarz, i widać już było tylko powiewające rdzawe włosy.

–Kim jest ten wysoki chudy mężczyzna jadący za nim? – spytał ktoś.

–To Orain. Słyszałam, że jest jednym z przybranych braci Carolina – powiedziała Romilly, która nawet w ciemności poznałaby tę twarz.

–Znam go – oświadczyła jedna z dziewcząt. – Przychodził z wizytami do Jandrii. Ktoś mi mówił, że jest jej krewnym, ale nie wiem, czy mam w to wierzyć.

Romilly obserwowała konie, ludzi i sztandary z uczuciem żalu. Mogłaby teraz jechać z nimi, gdyby tamtej nocy poszła spać do stajni. Orain traktowałby ją nadal jak równego sobie i przyjaciela. Lecz stało się.

–Wracajmy do pracy – rzuciła gwałtownie. – Widziałam w życiu dość koni, a król to człowiek jak każdy inny, czy pochodzi od Hastura, czy też nie.

Słyszała, że armia zbiera się na wielkiej równinie za Caer Donn. Kilka dni później wezwała ją Janni. Kiedy Romilly weszła do głównego holu, zobaczyła Oraina i Caryla.

Orain pozdrowił ją z pewnym skrępowaniem, natomiast Caryl rzucił się jej w ramiona.

–Och, Romilly, tęskniłem za tobą! Ach, jesteś ubrana jak kobieta. To dobrze, bo nie będę musiał pamiętać, żeby zwracać się do ciebie, jakbyś była chłopcem.

–Dom Carolinie – powiedziała Janni oficjalnym tonem.

Chłopiec odwrócił się do niej z szacunkiem.

–Słucham, mestra – powiedział używając najbardziej uprzejmej formy tytułowania kobiety o niższej pozycji.

–Lord Orain zlecił mi odeskortowanie cię do Hali, do ojca. Masz do wyboru dwie możliwości. Zamierzam potraktować cię jak człowieka honoru i zapytać o zdanie przed podjęciem decyzji. Czy jesteś dostatecznie dorosły, żeby mnie wysłuchać,

odpowiedzieć rozsądnie i dotrzymać słowa?

Twarz Caryla była równie poważna jak wtedy, gdy śpiewał w kaplicy Nevarsin.

–Tak, mestra Jandria.

–W porządku. Czy mamy cię strzec jak jeńca? Weź pod uwagę, że wprawdzie jesteśmy kobietami, ale nie będziemy nieostrożne i nie pozwolimy na ucieczkę.

–Wiem, mestra. Miałem kiedyś guwernantkę, która była wobec mnie surowsza niż którykolwiek z nauczycieli albo braci w klasztorze.

–Dobrze. Chcesz więc być naszym więźniem, czy też dasz nam słowo, że nie spróbujesz ucieczki? Mógłbyś wtedy jechać przy nas i cieszyć się podróżą. Nie będzie

ona łatwa, ale byłaby przyjemniejsza, gdybyśmy nie musiały dzień i noc obserwować

każdego twojego ruchu ani związywać cię na noc. Bez wahania przyjmę słowo Hastura.

Chłopiec nie odpowiedział od razu.

–Czy jesteście wrogami mojego ojca?

–Niezupełnie. O twoim ojcu, mój chłopcze, wiem tylko to, co mi powiedziano.

Jestem natomiast wrogiem Rakhala, a twój ojciec to jego przyjaciel, więc mu nie ufam. Z drugiej strony, to nie jego prosiłam o słowo honoru. Mam do czynienia z tobą,

dom Carolinie, a nie z nim.

–Czy Romilly jedzie z nami?

–Myślałam o tym, by powierzyć cię jej opiece, bo już razem podróżowaliście. Jak chcesz, młody panie.

Caryl uśmiechnął się.

–Chciałbym jechać z Romilly. I chętnie dam słowo honoru, że nie będę próbował ucieczki. Nie dałbym rady sam przeprawić się przez Hellery. Obiecuję więc, mestra, że będę słuchał waszych rozkazów, dopóki nie znajdę się u ojca.

–Świetnie – powiedziała Janni. – Przyjmę twoje słowo, a ty możesz przyjąć moje, że będę cię traktować jak jedną z moich sióstr. Dasz mi rękę na znak zgody, dom

Carolinie?

Caryl podał jej rękę.

–Nie musisz nazywać mnie dom Carolinem, mestra. Tak ma na imię były król i wróg mojego ojca, choć nie mój. Ja jestem Caryl.

–W takim razie mów mi Janni. – Wreszcie się uśmiechnęła. – Będziesz naszym gościem, a nie więźniem.

Romy, zabierz go do pokoju gościnnego i zadbaj o jego wygody. Orainie, wyruszamy jutro, jeśli pogoda pozwoli.

–Dziękuję, kuzynko. Tobie również – zwrócił się do Romilly, pochylając się dwornie nad jej ręką.

Dziewczyna pomyślała z ukłuciem w sercu, że kilka dni wcześniej pożegnałby się z nią szorstkim uściskiem.

Miała żarliwą nadzieję, że ona i Orain nigdy więcej się nie spotkają.

Wyjechali z Caer Donn bardzo wcześnie rano. Już od przeszło godziny znajdowali się w drodze, kiedy przez mgły przebiło się ogromne czerwone słońce. Caryl jechał obok Romilly na kucu, którego wybrała dla niego Jandria. Za nimi sześć Sióstr Mieczowych prowadziło na długich wozach kilkanaście dobrych koni przeznaczonych dla armii stacjonującej na południu. Nie mówiły, dla której armii, a Romilly przezornie nie pytała.

Dobrze było znowu jechać w ciepłe słońca, bez mrozu i burz, które towarzyszyły wcześniejszej podróży przez Hellery. W południe grupka zatrzymała się, żeby nakarmić konie i dać im trochę odpocząć. Późnym popołudniem znaleziono miejsce na obóz i na polecenie Jandrii rozładowano jednego z juczych koni. Dwie kobiety wzięły się za rozniecanie ogniska.

–Romi, chodź tutaj i pomóż mi z tym namiotem – zawołała Janne.

Romilly nie miała pojęcia, jak się stawia namiot, ale posłusznie naciągała linki i wbijała kołki w miejscach, które wskazała Janni. Po paru minutach wielki, przestronny namiot z wodoodpornego płótna był gotowy. Rozłożono w nim pośłania, a duża kłapa chroniła ognisko przed wieczorną mżawką. Wkrótce zapachniała owsianka z cebulą usmażoną na tłuszczu z pieczonego ptactwa. Kobiety usiadły ze skrzyżowanymi nogami na pośłaniach i jadły z drewnianych misek, wyjętych z juków.

–Miło tu – stwierdził Caryl z podziwem. – Mężczyźni nigdy nie urządzają tak wygodnego obozu.

Janni zaśmiała się.

–Nie ma powodu, dla którego nie mogliby tego robić. Są równie dobrzy w polowaniu i gotowaniu jak kobiety i pewnie sami by to przyznali, gdybyś zapytał, ale chyba uważają, że dążenie do wygody w warunkach polowych jest niemęskie. Wolą prymitywne obozowanie, bo dzięki temu czują się twardzi i silni. Jeśli chodzi o mnie, nie lubię spać na deszczu i nie wstydzę się przyznawać, że lubię wygody.

–Ja też – powiedział Caryl ogryzając kości. – To jest dobre, Janni. Dziękuję.

Jedna z kobiet, której Romilly nie znała dobrze, o imieniu Lauria, wyjęła z plecaka małą harfę i zaczęła grać. Jeszcze z pół godziny siedzieli wokół ogniska, śpiewając górskie ballady. Caryl słuchał z roziskrzonym wzrokiem, ale w końcu osunął się zmorzony snem.

Janni dała znak Romilly.

–Zdejmij mu buty i okryj go kocem, dobrze?

–Oczywiście.

Kiedy Romilly zaczęła ściągać Carylowi buty, chłopiec usiadł i zaprotestował sennie.

–Niech młodzieniec sam się sobą zajmie, Romy! – rzuciła gderliwie Lauria. –

Janni, dlaczego jedna z naszych sióstr ma usługiwać temu chłopakowi, w dodatku naszemu jeńcowi? Nie jesteśmy poddanymi ani służącymi Hasturów!

–To przecież tylko dziecko – odparła Janni pojednawczo. – Dobrze nam zapłacono za opiekę nad nim.

–Siostry nie są niewolnicami mężczyzn – nie dawała za wygraną Lauria. – Dziwię ci się, Janni, że dla pieniędzy podejmujesz się eskortowania jakiegoś dzieciaka, i to chłopca, przez góry.

–Chłopak czy dziewczynka, nie może podróżować samotnie, a poza tym nie należy go wciągać w spory dorosłych! – odparła Janni. – Romilly chętnie się nim zajmie.

–Ha, nie wątpię – rzuciła szyderczo inna mieczniczka. – Ona wciąż jest jedną z tych kobiet, co to uważają, że ich życiowym obowiązkiem jest usługiwać mężczyznom na wszelkie sposoby. Okrywa hańbą nasz znak.

–Opiekuję się nim, bo jest bardzo śpiący – wybuchnęła Romilly. – Jest w wieku mojego małego braciszka! Czy ty nie zajmowałaś się młodszym rodzeństwem? A może uważasz się za kogoś lepszego i obchodzi cię tylko własna osoba? Skoro Święty Nosiciel Brzemion mógł przenieść na własnych barkach Dzieciątko-Świat przez Rzekę Życia, dlaczego ja nie miałabym zaopiekować się każdym dzieckiem, które tego potrzebuje?

–A, *cristoforo* – stwierdziła drwiąco jedna z kobiet. – Czy powtarzasz przed snem Kredo Czystości, Romy?

Romilly już miała rzucić gniewną odpowiedź – ona przecież nie robiła lekceważących uwag o innych Bogach i religiach – ale zobaczyła, że Janni marszczy brwi.

–Mogłabym wymyślić gorsze rzeczy do powtarzania.

Odwróciła się plecami do rozgniewanej dziewczyny i poszła położyć koc Caryla obok swojego.

–Będziemy spać w jednym namiocie z mężczyzną? – spytała ze złością mieczniczka, która wcześniej protestowała. – To jest namiot dla kobiet.

–Och, cicho, Mhari, chłopiec nie może spać na deszczu razem z końmi – odparła Janni z irytacją. – Reguła regułą, ale trzeba się kierować zdrowym rozsądkiem.

To jeszcze dziecko! Chyba nie sądzisz, że wejdzie którejs pod koc i ją zgwałci?

–To sprawa zasad – oświadczyła Mhari posępnie i zapytała: – Czy dlatego, że ten szczeniak jest Hasturem, musimy go wpuszczać do miejsca przeznaczonego dla Sióstr? Uważałabym tak samo, nawet gdyby miał dwa latka!

–Więc lepiej, żebyś nigdy nie zachowała się na tyle niestosownie, by urodzić syna zamiast córki – powiedziała Janni lekkim tonem. – A może dla zasady odmówisz karmienia chłopca piersią? Idź spać, Mhari.

Dziecko może spać między mną i Romilly. Będziemy strzegły twojej cnoty.

Caryl otworzył usta, ale Romilly szturchnęła go w żebra i chłopak nie odezwał się. Wyraźnie tłumił chichot. Uznała, że Siostry mają swoje reguły i zasady, podobnie jak bracia z Nevarsin, choć te akurat wydawały się jej cokolwiek niemądre. Położyła się

obok Caryla i zasnęła.

Mała wyrazisty sen, że połączona umysłem z Preciosą lata nad zielonymi falistymi wzgórzami rodzinnych okolic. Obudziła się z dławieniem w gardle, mając żywo w pamięci widok długiej doliny z urwiska Falconsward. Czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy dom, siostrę, braci? Jak by potraktowali wędrowną Siostrę Mieczową? Bolały ją przekłute uszy. Tęskniła za Orainem, Carlem i nawet za Alarikiem o niewyparzonym języku. Dotąd nie zawarła jeszcze przyjaźni wśród tych obcych kobiet. Złożyła jednak przysięgę na rok i nie mogła teraz się wycofać. Słuchała równego oddechu śpiącego Caryla i nigdy jeszcze nie czuła się taka samotna, nawet kiedy uciekała z górskiej chaty Rory'ego.

Po pięciu dniach jazdy na południe grupa dotarła do rzeki Kadarin, tradycyjnej granicy między nizinami a podnóżem Hellerów. Romilly zdawało się, że wkroczenie do obcego kraju powinno być pewnym wydarzeniem, ale dla Janni była to po prostu kolejna rzeka, przez którą należało się przeprawić. Pokonali sprawnie płytki bród, gdzie konie ledwo zmoczyły kolana. Wzgórza nie były tutaj wysokie, a niebawem wjechali na rozległy płaskowyż. Caryl promieniał. Przez całą drogę miał dobry humor,

a teraz po prostu kipiał radością. Zapewne cieszył go powrót do domu i długa przerwa w nauce.

Romilly natomiast czuła się nieswojo bez gór, które zawsze ją otaczały. W płaskiej krainie pod odległym bladym nieboskłonem była niczym małe bezbronne stworzenie. Ze strachem zerknęła w niebo, jakby zaraz miał z niego spaść drapieżny ptak i porwać ją silnymi szponami. Wiedziała, że to śmieszne obawy, ale z niepokojem patrzyła na przesuwające się fioletowe chmury. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. W końcu jadący przy niej Caryl odebrał jej uczucia za pomocą swego *laran*.

–O co chodzi, Romy? Dlaczego wciąż spoglądasz w niebo?

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

–Jestem niespokojna. Zawsze mieszkałam w górach, więc tutaj czuję się taka odsłonięta.

Próbowała się roześmiać i znowu zerknęła w obce niebo. Bardzo wysoko, na skraju pola widzenia, dostrzegła małą plamkę, ale zignorowała ją i opuściła wzrok na szorstką, lekko oszronioną trawę.

–Z jakimi sokołami poluje się na tych równinach?

–Mój ojciec i jego przyjaciele trzymają *verñn*.

Znasz je, czy też po drugiej stronie rzeki macie tylko te brzydkie Ptaki-zwiadowców?

–Ja miałam *verrin* – odparła Romilly. – Sama go wyszkoliłam. Rozejrzała się niespokojnie, czując mrowienie na skórze.

–Naprawdę? Dziewczyna? Niewinne pytanie rozjątrzyło starą ranę.

–A dlaczego nie? – warknęła. – Mówisz jak mój ojciec. Czy to, że urodziłam się do noszenia spódnicy, oznacza, że nie mam duszy ani rozumu?

–Nie zamierzałem cię obrazić, Romy – powiedział Caryl łagodnie, przez co wydał się dużo starszy. – Po prostu nie znałem wielu dziewczyn oprócz mojej siostry, a ona bałaby się dotknąć sokoła. Lecz skoro potrafisz obchodzić się z ptakami-zwiadowcami i uspokoić banshee, z pewnością nie miałaś kłopotów z trenowaniem *verrin*. – Spojrzał na nią, przechylając głowę na bok. Ze swoimi bystrymi oczami sam wyglądał teraz jak ptak. – Czego się boisz, Romy?

–Nie boję się – odparła. Czowała się nieswojo pod jego wzrokiem. – Tylko wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje – powiedziała mimo woli i zaraz dodała tonem usprawiedliwienia: – Pewnie dlatego, że okolica jest taka płaska. Widać nas z każdej strony.

Przeszukała wzrokiem niebo, mrużąc oczy przed słońcem. Punkcik nie zniknął. *Jestem obserwowana!*

–Nie ma w tym nic niezwykłego – odezwała się Janni, podjeżdżając do nich. –

Kiedy po raz pierwszy pojechałam W góry, miałam wrażenie, że mnie osaczają i zaraz

przygniotą. Z czasem do nich przywykłam, ale wracając na równiny, od razu łatwiej

oddycham, jakby zdjęto ze mnie wielki ciężar. Myślę, że właśnie takie rzeczy, a nie

królowie czy obyczaję, dzielą naprawdę górali i mieszkańców nizin. Orain też mówi, że

z dala od gór czuje się nagi i bezbronny.

Romilly niemal słyszała jego łagodny, lekko drwiący ton. Tęskniła za Orainem i jego miłym towarzystwem. Wśród tych kobiet czuła się jak ryba na drzewie! Drażniły ją nawet ich głosy. Czasami zdawało jej się, że mimo sprawności w posługiwaniu się mieczem i jeździe konnej są bardzo podobne do jej siostry Malliny, głupie, ograniczone i małostkowe. Tylko Janni wydawała się inna. Może dlatego, że była

podobna do Oraina i przez to mniej kobieca? Romilly nie miała ochoty zastanawiać się nad tym.

Tak, czterdzieści dni temu sądziłam, że towarzystwo mężczyzn lubię jeszcze mniej niż kobiet, pomyślała zła na siebie. Czy nigdy już nie będzie mi dobrze? Dlaczego nie umiem cieszyć się tym, co mam? Skoro jestem niezadowolona, równie dobrze mogłam zostać w domu i wyjść za dom Garrisa. Przynajmniej czułabym się swobodnie w znajomym otoczeniu!

Poczuła ostrożny dotyk *Iaran*, jakby Caryl pytał ją, o co chodzi. Westchnęła i uśmiechnęła się do niego.

–Urządzimy wyścigi? Konie mamy podobnej klasy, więc możemy sprawdzić, które z nas jest lepszym jeźdźcem.

Popędzili na złamanie karku. Romilly musiała całą uwagę skupić na tym, żeby utrzymać się na koniu, więc przykre myśli pierzchły. Dotarła do wyznaczonego celu o całą końską długość przed Carylem, ale Janni, która nadjechała wolniej, zwymyślała oboje jednakowo. Nie znali terenu, mogli okuliwić konie na jakimś niewidocznym w trawie kamieniu lub norze!

Tego wieczora, kiedy rozbili obóz – dni tak się wydłużyły, że było jeszcze jasno, kiedy jedli kolację – Romilly znowu miała wrażenie, że jest obserwowana niczym małe zwierzątko kryjące się przed ostrym wzrokiem sokoła. Przyjrzała się uważnie ciemniejącemu niebu, ale niczego nie zauważyła. Nagle owładnęło nią znajome

uczucie dzikiej radości lotu, porozumienia, bliskości. Usłyszała szum skrzydeł i odruchowo podniosła rękę.

–Preciosa! – zaszlochała czując ostre szpony na gołym nadgarstku.

Zobaczyła czarne lśniące skrzydła o niebieskawym połysku, bystre oczy. Jakimś cudem Preciosa ją odnalazła, podążając za nią nad nieznanymi wzgórzami i równinami.

Była w świetnej formie, wymuskana i dobrze odżywiona. Oczywiście. Na równinach polowało się lepiej niż na Wzgórzach Kilghardzkich. Przez dłuższy czas Romilly siedziała bez ruchu z Preciosa na ręce. Obie bez słów wyrażały radość ze spotkania.

–Spójrzcie! – rozległ się głos jednej z dziewcząt. – Skąd wziął się ten sokół? Chyba jest zaczarowany!

Romilly wzięła głęboki oddech.

–To mój sokół – powiedziała do Caryla, który patrzył na nią jak urzeczony. –

Znalazła mnie aż tutaj, tak daleko od domu, tak daleko...

Nie mogła dalej mówić z powodu łez. Zaniepokojona Preciosa machnęła skrzydłami, próbując zachować równowagę, a następnie poderwała się z ręki Romilly i odleciała. Usiadła na pobliskim drzewie, spoglądając na nich w dół bez śladu strachu.

–Czy to ten sokół, którego wyszkoliłaś? – spytała Mhari.

–Mówiłaś, że ojciec dał go twojemu bratu – przypomniała Janni. Romilly z trudem odzyskała panowanie nad głosem.

–Zapewne Darren doszedł do wniosku, że ojciec nie ma prawa decydować o losie

Preciosy.

Załamionymi oczami spojrzała na gałąź, na której bez ruchu siedziała Preciosa. Wyglądała jak malowany sokół na malowanym drzewie. Znowu poczuła znajomy dotyk i zrozumiała, że nie jest już sama wśród obcych kobiet i w obcych stronach, choć wszystko, co знаła, zostało po drugiej stronie rzeki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Trzy dni później dotarli do ciepłej krainy zielonych wzgórz i łagodnego powietrza. Do końca życia Romilly zapamiętała swą pierwszą podróż przez zielone i żyzne Równiny Valeronu, jak nazywał je Caryl. Na polach dojrzewały zboża, a na drzewach nie było widać osłonek od śniegu, które w górach chroniły pączki rozwijające się w nocy. Na łąkach kwitły czerwone, niebieskie i srebrno-złote kwiaty, a ciepłe i ogromne czerwone słońce rzucało na drogę fioletowe cienie. Powietrze było słodkie i upajające. Uszczęśliwiony Caryl pokazywał Romilly znajome punkty orientacyjne.

–Nie spodziewałem się, że wrócę do domu przed połową lata! Och, tak się cieszę.

–Ojciec wysłał cię z tego ciepłego i pięknego kraju w śniegi Nevarsin? Musi być dobrym *cristoforo*.

Caryl potrząsnął głową, a jego twarz na moment przybrała poważny i nieobecny, prawie dorosły wyraz.

–Służę Panu Światła, jak przystało na Hastura.

Więc dlaczego? omal nie wyrwało się Romilly. W porę jednak przypomniała sobie, że lepiej nie pytać Caryla o ojca. On jednak odebrał pytanie z jej umysłu.

–*Cristoforo* z Nevarsin to wykształceni i dobrzy ludzie – powiedział. – Odkąd

powstało Sto Królestw, na nizinach wybuchają wojny i panuje chaos. Trudno tu

zdobyć dobre wykształcenie. Ojciec chciał, żebym pobierał nauki z dala od wojen i

waśni rodowych, które nękają potomków Hastura. On szanuje wiedzę mnichów i ich

religię, choć jej nie wyznaje. To ludzie miłujący pokój.

Popadł w milczenie, a Romilly uszanowała jego nastrój. Sama też się zamyśliła. Jakie sceny bitew i grabieży widziało to dziecko wychowane na nizinach, gdzie, inaczej niż w górach, nie było fortec, w których ludzie czuliby się bezpiecznie? Słyszała wiele opowieści o wojnach, które spustoszyły ten zielony i spokojny kraj. Ujrzała go

raptem zbroczonego krwią. Ziemia krzyczała o rzezi niewinnych mieszkańców i armiach tratujących zasiewy. Romilly wzdrygnęła się i przerażające obrazy zniknęły. Odbierała je z umysłu chłopca.

Rzeczywiście ojciec zrobił dobrze, wysyłając syna do bezpiecznego, choć zimnego Miasta Śniegów. Okres spokoju wygoi rany zadane dziecku obdarzonemu *lاران*,

wrażliwemu na okropności wojny. Romilly ogarnęła silna tęsknota za jej własnym ojcem i wdzięczność, że trwał przy swoim zdaniu i nie popierał żadnej z frakcji dążących do władzy, dzięki czemu miała spokojne dzieciństwo. Jakie to słowa tak często powtarzał? „Do najgłębszych kuźni Zandru z nimi i ich sługami!”

Och, ojczy, czy jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę?

Zerknęła na Caryla, ale chłopiec jechał w milczeniu, pogrążony we własnym bólu. Nie dostrzegając jej smutku albo świadomie próbował odciąć się od niego. Czyżbym doszła do takiego punktu, myślała, że muszę szukać pociechy u dwunastoletniego dziecka, niewiele starszego od mojego braciszka, bo nie umiem pogodzić się z losem, który sama sobie wybrałam? Przez chwilę zastanawiała się, czy jej towarzyski podróży czują to samo co ona. Każda jedzie zaprzęgnięta własnymi myślami i dźwiga na barkach swoją część brzemienia ciążącego na ludzkości. Czy dlatego właśnie niektórzy odwołują się do Świętego Nosiciela Brzemion, jakby był nie tylko wielkim nauczycielem mądrości, ale również Bogiem? Potrzebujemy więc Bogów, żeby pomogli nam nieść ciężary, które są ponad nasze siły?

Nie mogła znieść smutku malującego się na twarzy Caryla. Był jeszcze dzieckiem i w przeciwieństwie do niej, dorosłej kobiety, nie powinien sam dźwigać brzemienia.

–Czy mam zawołać Preciosę, by jechała z tobą? – spytała łagodnie. – Myślę, że jest samotna.

Kiedy gwizdem przywołała sokoła, z twarzy Caryla natychmiast zniknął niedziecinny wyraz cierpienia. Chłopiec z radością obserwował ptaka, który sfrunął mu na rękę.

–Gdy wojna się skończy i w kraju zapanuje pokój, czy przyjmiesz u mnie posadę sokolnika i nauczysz mnie szkolić sokoły, Romi? Nie, dziewczyna nie może być sokolnikiem, prawda? Czy zostaniesz więc moją sokolniczką?

–Nie wiem, gdzie będziemy, kiedy skończy się wojna, Carylu. Chętnie nauczyłabym cię wszystkiego, co wiem o ptakach. Pamiętaj jednak, że wielu z tych rzeczy nie można się nauczyć. Musisz znaleźć je w sobie, sercem i *laran*. – Już swobodnie wymawiała zakazane słowo. – Musisz pokochać sokoły i poznać ich obyczaje.

W tym momencie uwierzyła, że ten mały mądry chłopiec, obdarzony niezwykłą wrażliwością, powagą cechującą mnichów, wśród których się wychował, a także

urokiem potomków Hastura, może pewnego dnia zostać królem. Przez chwilę miała wrażenie, że jego rudawe kędziory otacza świetlisty krąg, ale odpędziła ten obraz. Szybko uczyła się panować nad swym Darem.

Czy w taki sposób radził sobie ojciec, który nie szkolił się w Wieży? Blokował tę część swego *laran*, z której nie korzystał przy ujeżdżaniu koni? Czy ona potrafiłaby wyrzec się nowo odkrytych elementów swojej osobowości? Za ten niezwykły dar płaciło się dużą cenę. Nic dziwnego, że w górach opowiadało się baśnie o ludziach, którzy oszaleli, kiedy ujawnił się u nich *laran*.

W jaki sposób Caryl mógłby zostać królem? Jego ojciec był tylko zaprzysiężonym wasalem dom Rakhala. Niezależnie od tego, kto wygra wojnę, Lyondri Hastur nie będzie królem. A może, opętany ambicją stworzenia własnej dynastii, zdradzi Rakhala, tak jak zdradził Carolina?

–Romilly, Romi! Spisz w siodle? – Wesoły głos Caryla przerwał tok jej myśli. – Czy mogę wypuścić Preciosę? Powinniśmy upolować kilka ptaków na kolację, prawda? Romilly uśmiechnęła się do chłopca.

–Spróbuj, czy zechce polować dla ciebie. Ja nie mogę ci tego obiecać. Musisz jednak zapytać damę Jandrię, czy potrzebujemy mięsa na kolację. Ona tu dowodzi. –Przepraszam – rzucił Caryl bez skruchy. – Nigdy nie pamiętam, że muszę ją pytać. Wciąż zapominam, że ona jest szlachcianką. W twoim towarzystwie zawsze czuję, że pochodzisz od Hastura.

–Janni jest kuzynką lorda Oraina, jeśli chcesz wiedzieć; ma krew równie dobrą jak moja.

Caryl zrobił przestraszoną minę.

–Szkoda, że mi o tym powiedziałaś, bo to znaczy, że ona jest jednym z największych wrogów mojego ojca, a ja nie chcę, żeby on jej nienawidził.

Romilly zwymyślała sobie w duchu. Chłopiec był wyraźnie wstrząśnięty.

–Pozycja społeczna nie ma znaczenia u Sióstr Mieczowych – próbowała go uspokoić. – Jandria wyrzekła się przywilejów związanych ze szlacheckim urodzeniem

i ja również, Carylu.

Chłopcę najwyraźniej ulżyło, ale Romilly nie była pewna dlaczego.

–Zapytam Jandrię, czy potrzebne nam świeże mięso – powiedziała szybko. – Z

pewnością nie zabroni ci upolować dla siebie ptaka na kolację, chyba że próbowałbyś nakłonić którąś z nas, żeby ci go oskubała i upiekła.

–Sam mogę to zrobić – oświadczył Caryl dumnie.

Potem uśmiechnął się szeroko, spuścił wzrok i rzekł cichutko: – Jeśli powiesz mi jak.

Romilly zachichotała, a chłopiec jej zawtórował.

–Pomogę ci upiec ptaka za jego część. Umowa stoi?

Trzy noce później jechali już brzegiem jeziora leżącego w zagłębieniu między wzgórzami. Caryl wskazał na wielką budowlę stojącą u wlotu długiej doliny.

–Tam leży Hali i zamek mojego ojca.

Romilly pomyślała, że siedziba wygląda raczej jak pałac niż jak forteca, ale nie odezwała się.

–Cieszę się, że zobaczę ojca i mamę – wyznał Caryl.

Romilly była ciekawa, czy Lyondri Hastur ucieszy się, gdy zobaczy syna jako zakładnika swojego najgorszego wroga, który go porwał z bezpiecznego Nevarsin. Tego ranka, lecąc razem z Preciosą, oglądała jej oczami bezmiar Równin Valeronu oraz armie zbierające się na granicach. Wkrótce te zielone ziemie miała znowu nawiedzić wojna.

Cały dzień jechali przez spustoszoną okolicę. Gospodarstwa leżały w ruinie, a z wielkich kamiennych wież nie został kamień na kamieniu, jakby miało tu miejsce potężne trzęsienie ziemi. Jaka armia, jaka straszliwa broń tego dokonała? Raz musieli nadłożyć drogi, bo gdy dotarli na szczyt wzniesienia, ujrzeli w dolinie wymarłą wioskę. Panowała w niej upiorna cisza. Domy stały nie zniszczone, ale z kominów nie unosił się dym, nie słyhać było rżenia koni, głosów bawiących się dzieci, kucia młotów ani pieśni śpiewanych przez kobiety tkające na krosnach albo piorące bieliznę. Romilly zobaczyła słabą zielonkawą poświatę, jakby nad wsią stał trujący opar, niemal dotykalna mgła zagłady. Blade światło lekko pulsowało. Romilly domyśliła się, że kiedy zapadnie noc, ulice i domy zaczną świecić w ciemności niesamowitym blaskiem.

Nagle dostrzegła wychudzonego drapieżnika, który przemykał cicho ulicą. Biegł

coraz wolniej, aż na ich oczach osunął się na ziemię i legł bez sił, nie wydając żadnego głosu.

–Diabelski pył – stwierdziła Jandria krótko. – Tam, gdzie rozrzuci się z powietrza to świństwo, ziemia umiera. Gdybyśmy przejechali przez wioskę, wkrótce bylibyśmy w nielepszym stanie niż ten leśny kot. Objedziemy ją. Lepiej się do niej nie zbliżać. Droga jest zamknięta, jakby jej strzegła rodzina smoków. Albo i jeszcze gorzej, bo ze smokami moglibyśmy przynajmniej walczyć. Przez dziesięć lat albo więcej te tereny pozostaną niedostępne, a zwierzęta w lasach będą rodziły się zniekształcone. Kiedyś widziałam górskiego kota o czterech oczach i równinnego *cheruine* z palcami zamiast kopyt.

Straszne! – Wzdrygnęła się i zawróciła konia. – Okrążymy to miejsce jak największym łukiem. Nie chcę, żeby mi wypadły włosy i zęby, a krew zamieniła się w serwatkę!

Objazd przedłużył podróż o dwa albo trzy dni. Janni ostrzegła Romilly, żeby nie wypuszczała Preciosy.

–Gdyby zjadła skażone mięso, zginęłaby, ale nie od razu, tylko po długich cierpieniach. My zaś co najmniej stracilibyśmy włosy i zęby. Ta substancja jest bardzo trwałą. Przenika do organizmów drapieżców i innych stworzeń żyjących na zniszczonym terenie. Lepiej, żeby twoja sokolica pościła ze dwa dni, niż żeby miała ryzykować polowanie w pobliżu tego terenu.

Przez dwa dni Romilly wiozła Preciosę na siodle, choć wcześniej przysięgała, że nigdy już jej nie uwięzi. Przestraszyła się jednak i spętała ptakowi nogi.

Nie możesz polować, bo zjadłabyś coś, co by cię zabiło. Spróbowała przekazać do umysłu sokoła zrozumiały obraz skażonej zwierzyny otoczonej groźną poświatą. Nie była jednak pewna, czy jej się to udało, bo Preciosa jechała nadąsana, z głową wsadzoną pod skrzydło. Romilly wyczuwała jej dziki głód, ale ptak najwyraźniej pogodził się z tym, że musi być spętany dla swego własnego dobra.

W końcu opuścili niebezpieczny teren. Janni uważała wprawdzie, że okrążyli go dostatecznie dużym łukiem, ale uprzedziła kobiety, że jeśli zaczną im garściami wypadać włosy albo chwiać się zęby, mają jej natychmiast o tym powiedzieć.

–Bo niczego nie można być pewnym z tym śmiercionośnym paskudztwem –

ostrzegła z zaciętą miną.

Później zerknęła na Romilly i zaraz opuściła wzrok. Wyglądała w tym momencie jak posępna i zamknięta w sobie Preciosa.

–Orain wychował się w tej wiosce – powiedziała cicho. – Teraz przez wiele lat nikt nie będzie mógł w niej mieszkać. Niech Bogowie spalą Lyondriego i jego diabelską broń!

Romilly rzuciła szybkie spojrzenie na Caryla, ale chłopiec nie dosłyszał uwagi

Janni albo udawał. Jakże wielki ciężar musiał dźwigać!

Tej nocy wcześniej rozbili obóz. Kiedy kobiety rozstawiły namiot, Janni odwołała Romilly na bok.

–Chodź ze mną. Muszę z tobą porozmawiać. Nie, Carylu, ty nie.

Chłopiec cofnął się jak szczeniak, którego kopnięto. Gdy oddaliły się od obozu, Jandria gestem kazała Romilly usiąść. Sama też usiadła ze skrzyżowanymi nogami na miękkiej trawie.

–Wypadają ci włosy albo chwieją się zęby?

Romilly obnażyła zęby w uśmiechu i szarpnęła krótkie włosy.

–Ani trochę, Janni.

Kobieta westchnęła z ulgą.

–Chwała Evandzie, która chroni swe panny. Dzisiaj rano wyczesalam trochę włosów, ale starzeję się, więc nic dziwnego, że je tracę. Muszę do tego przywyknąć.

Nie mogę pozbyć się strachu, że nie okrążyliśmy tamtej nieszczęsnej wioski dostatecznym łukiem. Jaki szaleniec niszczy ziemię swojego wasala? Bywałam na wojnach i rozumiem, że można spalić zagrodę, choć nie podoba mi się zabijanie niewinnych ludzi z powodu własni możnych i potężnych. Spaloną zagrodę można jednak odbudować, a stratowane zasiewy odrosną, kiedy zapanuje pokój. Lecz niszczyć ziemię tak, żeby już nic na niej nie wyrosło przez całe pokolenie? Może jestem zbyt wrażliwa jak na wojownika. – Przez chwilę milczała. – Miałaś kłopoty ze swoim jeńcem?

–Nie – odparła Romilly. – Jest zadowolony, że wraca do domu, i skrupulatnie dotrzymuje słowa.

–Cieszę się, że to słyszę.

Jandria westchnęła, gdy wiatr poruszył jej gęstymi włosami. Odpięła tanie srebrne sprzączki i rozchyliła płaszcz. Jej twarz była wymizerowana i pokryta zmarszczkami.

–Wyglądasz na bardzo zmęczoną, Jandrio – stwierdziła Romilly ze współczuciem.

–Przeznacz mi część prac obozowych i idź odpocząć do namiotu. Przyniosę ci kolację.

Janni uśmiechnęła się.

–To nie zmęczenie mi doskwiera, Romi. Jestem zahartowana. Wiele

podróżowałam i sypiałam bez skargi w jeszcze gorszych warunkach. Martwię się, bo zdrowy rozsądek podpowiada mi jedno, a honor drugie.

Romilly zaintrygowało ostatnie zdanie. Jandria sięgnęła po jej rękę.

–Młody Carolin jest pod moją opieką i honor wymaga, żebym to ja przekazała go ojcu. Pomyślałam jednak, że może ciebie pošlę do Hali z tą misją.

W pierwszej chwili Romilly ucieszyła się, że zobaczy wielkie nizinne miasto, a w następnej pomyślała, że będzie jej bardzo przykro rozstać się z Carylem. Dopiero potem uświadomiła sobie, że czeka ją spotkanie z łotrem Lyondrim Hasturem.

–Dlaczego ja, Janni?

Kobieta westchnęła głośno.

–Bo znasz się na obyczajach i etykiecie Wielkiego Domu. Mówiąc to czuję się jak zdrajczyni wobec sióstr, skoro na zawsze wyrzekłam się swojej pozycji. Mhari, Reba, Shaya... to dobre kobiety, ale wychowały się w wiejskich zagrodach i tam uczyły się manier, więc nie mogę ich wysłać z tak delikatną misją. Poza tym chodzi o nasze bezpieczeństwo. – Uśmiechnęła się z przymusem. – Cokolwiek opowiadałam Orainowi, Lyondri Hastur rozpoznałby mnie, nawet gdybym miała na sobie pióra ptaka banshee i wykonała taniec Yamanów z pory, kiedy wieje Upiorny Wiatr! Nie mam ochoty zawisnąć na szubienicy! Carolin i Orain należeli do osób, które kochał najbardziej, a teraz ściga ich z największą furią. Carolin, Orain, Lyondri i ja wychowywaliśmy się razem. – Zawahała się i znowu westchnęła. – Oraina nigdy nie interesowało, co się dzieje między mężczyzną i kobietą, więc nic nie wiedział... Do

diabła! Dlaczego wstydzę się, gdy mówię, że nie raz spałam z Lyondrim, zanim jeszcze stałam się dojrzałą kobietą. Teraz on z przyjemnością kazałby mnie powiesić, gdyby moja śmierć zadała ból Carolinowi albo jego przyjacielowi! Poza tym nie zniosłabym spotkania z nim. Niech Avarra mnie pocieszy, bo nadal go kocham prawie tak samo, jak nienawidzę! – Opuściła wzrok i mocno ścisnęła dłoń Romilly. – Teraz wiesz, dlaczego boję się z nim spotkać, nawet pod białą flagą, choć może oszczędziłby mnie ze względu na dawną miłość. Nie wiem.

–Nie martw się, Janni – powiedziała Romilly ze współczuciem. – Chętnie pojedę. Nie wolno ci ryzykować.

–Rozumiesz mnie, Romilly? Jeśli pojedziesz, Lyondri i Rakhal zobaczą tylko obcą osobę, którą w dodatku Caryl bardzo kocha i która była dla niego dobra.

Będziesz wysłanniczką Sióstr, a nie buntowniczką zaprzysiężoną po stronie Carolina. Żeby wszystko było jasne, Romilly: narażam cię na niebezpieczeństwo.

Lyondri może nie dotrzymać słowa, że kurierowi, który przyprowadzi mu syna, nic nie grozi. Ale ryzykujesz zapewne najwyżej uwięzienie. Lyondri mógłby może cię zabić, ale z pewnością nie przepuściłby okazji, żeby wyrzucić swoją zemstę na mnie.

Ryzyko dla niej wobec pewnej śmierci dla Janni? Romilly wahała się tylko przez chwilę.

–Nie mogę wydać ci rozkazu, Romilly – powiedziała Janni ze znużeniem. – Mogę cię tylko błagać. Nie poślę Caryla samego do miasta. Przrzekłam, że odstawię go bezpiecznie prosto do ojca.

–Sądziłam, że Lyondri zagwarantował nam nietykalność.

–Tak, ale ja mu nie ufam, bo on zawsze widzi tylko własną korzyść.

Jandria ukryła twarz w dłoniach. Romilly ogarnął strach i zwątpienie. Zaraz jednak pomyślała, że Siostry przyjęły ją, kiedy była samotna, dały schronienie i jedzenie, powitały przyjaźnie. Powinna im się odwdzińczyć. Poza tym, złożyła przysięgę.

–Pójdę, siostro – oświadczyła ściskając dłoń Jandrii. – Możesz mi zaufać.

Zanim ruszyli w drogę do miasta, Caryl umył się starannie w strumieniu, pożyczyl grzebień od jednej z kobiet i uczesał włosy, a na koniec obciął paznokcie. Wygrzebał z juków pogniecione ubranie. Przez kilka ostatnich dni chodził w starych spodniach i tunice jednej z kobiet, tak że mógł wyprać swoje rzeczy w strumieniu, choć nie zdołał przywrócić im wyglądu odpowiedniego dla księcia.

–Ojciec przysłał mi przed Festiwalem nowy odświętny strój, ale musiałem

zostawić go w klasztorze, który tak nagle opuściłem – powiedział z żalem. – Cóż, nic na

to nie poradzę. Nie mam lepszego ubrania.

–Podetnę ci włosy, jeśli chcesz – zaproponowała Romilly.

Wyrównała kręcone włosy chłopca i wyszczotkowała je, aż zaczęły lśnić. Caryl śmiał się, że nie jest koniem, ale potem z satysfakcją przejrzał się w strumieniu.

–Przynajmniej znowu wyglądam jak dżentelmen.

Nienawidzę być obdarty niczym jakiś drab. Mestra Jandria, nie jedziesz z nami? Ojciec nie będzie gniewał się na kogoś, kto był tak dobry dla jego syna. Jandria potrząsnęła głową.

–Mamy z Lyondrim stare porachunki z czasów, zanim się urodziłeś i zanim

Rakhal wydarł Carolinowi tron, drogi chłopcze. Wolalabym nie wchodzić w oczy twojemu ojcu. Romilly cię odwiezie.

–Chętnie pojedę z Romilly. Jestem pewien, że ojciec będzie jej wdzięczny.

–W imię wszystkich hasturskich Bogów, mam taką nadzieję. – Kiedy chłopiec

pochylił się dwornie nad jej dłonią, uścisnęła jego rękę. – *Adelandeyo* – rzuciła

zwyczajem kobiet z gór. – Niech was Bogowie prowadzą, ciebie i Romilly.

Tylko Romilly, obserwując jej zaciśnięte usta i wyraz oczu, wiedziała, o czym myśli

Janni. Niech Bogowie mają cię w opiece, dziewczyno. Obyś bezpiecznie wróciła z rąk Lyondriego Hastura.

Romilly dosiadła konia. Spojrzała na jasne, pogodne niebo, duży namiot, Mhari i Laurię ze stukotem ćwiczące drewnianymi pałkami zamiast mieczy, dwie inne kobiety odprawiające taneczny rytuał walki wręcz, który przygotowywał mięśnie do automatycznej reakcji na atak. Widziała te obrazki tak wyraźnie jak wtedy, gdy znajdowała się w kontakcie z sokołem i patrzyła na świat nie własnymi oczami, tylko za pośrednictwem *laran*. Nagle poczuła dym i wystraszyła się – przecież już dawno po śniadaniu! – ale zaraz sobie uświadomiła, że nie znajdują się w lesie, tylko na zielonej łące, gdzie nie groził pożar, a dym pochodzi z dogasającego ogniska.

Wcześniej doprowadziła się do porządku i założyła płaszcz, który Orain kupił jej w Nevarsin. Jego widok drażnił ją i smucił, ale nie miała innego równie porządnego i ciepłego okrycia. Pożyczyła najczystszą tunikę, jaką znalazła w obozie. W uszach miała kolczyki, wyraźnie widoczne z powodu krótkich włosów. Cóż, jestem tym, kim jestem, powiedziała sobie. Należę do Sióstr Mieczowych, choć wciąż nienajlepiej idzie mi z mieczem. Lyondri Hastur ma mnie przyjąć jako emisariuszkę z glejtem. Dlaczego miałabym się martwić, czy wyglądam jak dama? Kim jest dla mnie Lyondri? Mimo to w jej głowie rozbrzmiewał cichy głos podobny do głosu Lucielli, mówiącej afektownie i z naganą: „Romy, na litość boską, długie buty i spodnie, męskie siodło, co by powiedział ojciec?” Stanowczo nakazała głosowi zamilknąć.

Cmoknęła na konia i skinęła głową Carylowi. Oboje ruszyli lekkim kłusem.

W Hali nie było potężnych obronnych murów, a jego szerokie ulice miały niewiarygodnie gładką nawierzchnię.

Dostrzegłszy zdziwiony wzrok Romilly, Caryl uśmiechnął się i wyjaśnił, że położono ją nie ludzkimi rękami, lecz z wykorzystaniem techniki matrycowej. Dziewczyna spojrzała na niego sceptycznie.

–Naprawdę, Romy! – zapewnił. – Ojciec pokazał mi kiedyś, jak to się robi. Układa się kamienie za pomocą wielkich sieci matrycowych, które obsługuje dziesięć lub dwanaście *leroni* albo *laranzu'in*. Pewnego dnia też zostanę czarodziejem i będę pracował przy ekranach i przekaźnikach!

Romilly nadal miała wątpliwości, ale doszła do wniosku, że nie ma sensu podważać tego, co Carylowi mówił ojciec, więc zachowała milczenie.

Chłopiec pokazywał jej drogę, a ona usilnie starała się nie rozglądać z otwartymi ustami niczym chłopiek z najbardziej zapadłej wsi, który pierwszy raz opuścił swe gospodarstwo i przyjechał do miasta. Nevarsin i Caer Donn były pięknymi miastami, ale Hali różniło się od nich bardzo. Zamiast stromych brukowanych ulic i kamiennych domów stłoczonych pod urwiskami Hellerów lub Zamku Aldaran, dominowały tu szerokie aleje i niskie budowle. Romilly nigdy nie widziała domu nie zbudowanego jak forteca i dziwiła się, jak można tu czuć się bezpiecznie we własnym łóżku, skoro nawet granice miasta nie są obwarowane.

Ludzie też wydawali się inną rasą niż mocno zbudowani, dzicy i twardzi górale ubrani w futra i skóry dla ochrony przed przenikliwym zimnem. Mieszkańcy tego miłego nizinnego miasta spacerowali wystrojeni szerokimi ulicami. Kobiety miały na sobie haftowane tuniki, jaskrawe spódnice i lekkie szale, a mężczyźni długie barwne płaszcze, spodnie i cienkie opończe w żywych kolorach, ozdobne, lecz mało praktyczne.

Paru ludzi zatrzymało się, żeby popatrzeć na rudowłosego chłopca i szczupłą młodą kobietę z kolczykami w uszach, w spodniach i szkarłatnej tunice Sióstr Mieczowych oraz staroświeckim płaszczu z futra i samodziału uszytym według górskiej mody.

–Poznaję mnie – rzucił Caryl półgłosem. – Sądzą, że ty również jesteś z Hasturów, bo masz rude włosy. Ojciec może też tak pomyśli. W dodatku masz *laran*, więc na pewno jesteś jedną z nas, Romilly.

–Nie sędzę. Rudowłosi trafiają się w rodzinach, w których nigdy ich nie było, podobnie jak hemofilitycy czy albinosi. Wszyscy MacAranowie są rudzi. Pamiętam swoją prababkę, która umarła, zanim nauczyłam się jeździć konno. Jej włosy miały intensywniejszą barwę od moich, choć już miejscami siwiały.

–Co dowodzi, że kiedyś MacAranowie musieli być spokrewnieni z potomkami Hastura i Kasyldy – upierał się chłopiec.

Romilly potrząsnęła głową.

–Myślę, że to pochopny wniosek. Niewiele wiem o potomstwie Hastura... –

Ugryzła się w język, bo chciała dodać: „... a to, co wiem, wcale mi się nie podoba. ”

Wiedziała jednak, że chłopiec odebrał nie wypowiedziane słowa. Wlepił wzrok w koński grzbiet i nie odezwał się.

Zbliżali się do Wielkiego Domu usytuowanego w centrum miasta i Romilly zaczęła trochę się denerwować. Zaraz miała się spotkać z osławionym Lyondri Hasturem,

który popierał uzurpatora Rakhala, wypędził Carolina i zabił albo pozbawił domów wielu jego zwolenników.

–Nie bój się – powiedział Caryl i wyciągnął do niej rękę. – Ojciec będzie ci wdzięczny. On naprawdę jest dobrym człowiekiem, mówię ci, Romi. Słyszałem, że obiecał nagrodę wysłanniczce Sióstr Mieczowych, która mnie przywiezie.

Nie potrzebuję nagrody. Chcę tylko wydostać się stąd cało. Lecz, jak większość młodych ludzi, nie potrafiła sobie wyobrazić, że za godzinę może być martwa.

Strażnik stojący u wielkiej bramy przywitał Caryla ze zdumieniem i radością.

–Dom Caryl! Słyszałem, że masz dzisiaj wrócić, młodzieńcze! Zatem byłeś na

wojnie i wszystko widziałeś! Dobrze, że znów jesteś w domu!

–Och, Harrynie, cieszę się, że cię widzę – odparł Caryl z uśmiechem. – A to moja przyjaciółka, Romilly, która mnie eskortowała.

Romilly poczuła na sobie taksujący wzrok mężczyzny, który obejrzał ją od piórka na wełnianej czapce po długie buty nasunięte na spodnie.

–Ojciec czeka, młody panie – oznajmił. – Zaprowadzę was do niego od razu.

–Ach, więc w takim razie zostawiam cię w rękach strażnika – rzuciła pośpiesznie dziewczyna, znalazłszy okazję do ucieczki.

–Och, nie, Romilly – wykrzyknął Caryl. – Musisz poznać ojca. Na pewno będzie chciał cię wynagrodzić.

Wyobrażam sobie. Z drugiej strony Lyondri Hastur nie miał powodu, żeby złamać dane słowo i uwięzić nie znaną nikomu Siostrę Mieczową, wobec której nie żywił osobistej urazy. Zsiadła z konia i oddała wodze stajennym, a sama ruszyła za Carylem do Wielkiego Domu.

W środku dworzanin o miłym głosie – tak elegancko ubrany i doskonale wychowany, że nazywanie go służącym wydało się Romilly niewłaściwe – powiedział Carylowi, że ojciec czeka na niego w sali muzycznej. Chłopiec puścił się biegiem, zostawiając Romilly, która poszła za nim bez pośpiechu.

Więc to jest lord Hastur, ta okrutna bestia, o której mówił Orain. Nie powinnam tak myśleć. On pewnie ma laran, tak samo jak Caryl. Może czytać w moich myślach.

Wysoki, szczupły mężczyzna wstał z głębokiego fotela i odłożył harfę, którą trzymał na kolanach. Wziął Caryla za rękę.

–I co, Carolinie, wróciłeś? – Przyciągnął syna do siebie i ucałował w policzek. –

Jesteś cały, mój synu?

Wyglądasz zdrowo. Siostry cię nie zagłodziły.

–Karmiły mnie dobrze i były dla mnie miłe – zapewnił Caryl. – Kiedy

przejeżdżaliśmy przez jakieś miasto, kupowały mi ciastka i słodczyce, a jedna pożyczyła

mi sokoła, żebym mógł upolować sobie ptaki na kolację.

To właśnie ta od sokoła – dodał biorąc dziewczynę za rękę. Wyciągnął ją na środek.
– Jest moją przyjaciółką.

Ma na imię Romilly.

Romilly stanęła przed lordem Hasturem, szczupłym mężczyzną o opanowanej twarzy, który sprawiał wrażenie, jakby ani na chwilę się nie odprężył. Szczęki miał zaciśnięte. Szare oczy w jasnej oprawie przywodziły na myśl sokoła.

–Jestem ci wdzięczny, że byłaś dobra dla mojego syna – powiedział spokojnym, obojętnym tonem. – Sądziłem, że w Nevarsin będzie bezpieczny, ale poplecznicy

Carolina uznali, że wzięcie go jako zakładnika jest świetnym pomysłem.

–To nie był pomysł Romilly, ojciec – oświadczył Caryl.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć ojcu, że Orain złościł się z tego powodu na swoich ludzi. Doszedł jednak do wniosku, że teraz nie pora, by w ogóle wymieniać jego imię. Widząc, że szczęki lorda Hastura zacisnęły się jeszcze mocniej, Romilly zorientowała się, iż doskonale usłyszał słowa, których syn nie wypowiedział. W umyśle Romilly rozbrzmiało echo jego głosu, dalekie i niesamowite: *Kolejny punkt przeciwko Orainowi, który był moim człowiekiem, zanim przeszedł na stronę Carolina.*

Powiniennem zatrzymać tę kobietę jako zakładniczkę. Niewykluczone, że zna miejsce jego pobytu, a tam, gdzie jest Orain, można znaleźć Carolina.

Tymczasem chłopiec odebrał myśl ojca i spojrzał na niego z prawdziwą zgrozą.

–Daleś słowo – wyszeptał. – Słowo Hastura.

Romilly niemal widziała, jak na oczach Caryla pokrywa się rysami świetlany obraz ojca. Lyondri Hastur przeniósł wzrok na nią.

–Siostró Mieczowa, czy wiesz, gdzie znajduje się w tej chwili Orain? – zapytał surowo.

Romilly zrozumiała, że pod jego ostrym spojrzeniem nie mogłaby skłamać, i z ulgą stwierdziła, że wcale nie musi.

–Ostatnio widziałam Oraina w Caer Donn, kiedy przyprowadził Caryla... dom

Carolina, do zajazdu Sióstr Mieczowych. To było ponad dekadę temu.
Przypuszczam,

że teraz jest gdzieś z armią.

Choć się starała, nie mogła wyrzucić z umysłu obrazu armii maszerującej ulicami miasta, niebiesko-srebrnej chorągwi Hasturów i Oraina jadącego u boku króla, którego Lyondri uważał za uzurpatora.

Złożyłem obietnice, których nie mogłem dotrzymać. Nie wiedziałem, jakiemu człowiekowi służę; ani że zostanę żelazną ręką i katem Rakhala. Wstrząśnięta Romilly uświadomiła sobie, że odbiera myśli Hastura. Czy było tak naprawdę, czy też po prostu rozszyfrowywała go po drobnych ruchach oczu i ciała, jak to robią zwierzęta? Poczowała ulgę, kiedy kontakt urwał się nagle, jakby Lyondri Hastur zorientował się, co się dzieje i zamknął swój umysł.

Przez większą część życia odczytywałam cudze myśli, więc dlaczego teraz miałoby wprawiać mnie to w zakłopotanie i niepokoić?

–Jestem ci winien nagrodę za opiekę nad moim synem – stwierdził Hastur oficjalnym tonem. – Dam wszystko oprócz broni, która mogłaby zostać użyta przeciwko mnie w tej niesłusznej wojnie. Powiedz, co chcesz, mestra.

Jandria przygotowała Romilly na taką możliwość.

–Mam prosić o trzy worki leków dla naszych szpitali, bandaże, żele do tamowania krwotoków i proszek *karalla* – wymieniła bez namysłu.

–Mógłbym potraktować te rzeczy jako broń, gdyż niewątpliwie zostaną użyte na korzyść buntowników rannych w walce przeciwko królowi – powiedział Lyondri i wzruszył ramionami. – Ale dam ci je. Wydam rządcy odpowiednie rozkazy. Dostaniesz także juczne zwierzę, żebyś mogła zawieźć ładunek do waszego obozu.

Romilly odetchnęła z ulgą, że nie zostanie uwięziona ani wzięta jako zakładniczka.

–Uwierzyłaś w te historie o mnie? – spytał Hastur i zaśmiał się krótko.

Dwoje telepatów nie może siebie nawzajem okłamywać. Miała szczęście, że Lyondri nie chciał rozwiać złudzeń syna co do swojego honoru.

Romilly była wdzięczna losowi, że nie spotkała Lyondriego Hastura w innych okolicznościach, samego, albo kiedy nie zależałoby mu na zachowaniu podziwu syna.

–Ojcze, ta kobieta pożyczała mi swojego sokoła – przypomniał Caryl. – Mogę mieć

własnego? Chciałbym też, żeby mistrzyni Romilly została kiedyś moją sokolniczką.

Lyondri Hastur przywołał na twarz skąpy uśmiech, który wzbudzał jeszcze większy niepokój niż jego śmiech.

–Mój syn najwyraźniej cię polubił. Zatrudniam u siebie Siostry Mieczowe. Gdybyś chciała tu zostać i uczyć Caryla sztuki sokolniczej...

Romilly pragnęła jedynie wynieść się stąd. Bardzo lubiła Caryla, ale nigdy nie spotkała równie przerażającego człowieka jak ten oschły mężczyzna o zimnym uśmiechu i głęboko osadzonych oczach.

–Mam inne zobowiązania, *vai dom* – odparła.

Lyondri skłonił się lekko, przyjmując do wiadomości uprzejmą odmowę. Wiedział, że to pretekst, doskonale zdawał sobie sprawę, co Romilly o nim myśli, i że ona o tym wie.

–Jak sobie życzysz, mestra. Carolinie, pożegnaj się z przyjaciółką i biegnij do matki.

Chłopiec podał Romilly rękę oficjalnym gestem, a następnie uściskał ją pod wpływem impulsu.

–Może kiedy wojna się skończy, ujrzę cię znowu, Romilly... i twojego sokoła.

Przekaż Preciosie moje pozdrowienia.

Złożył jej ukłon niczym damie dworu i szybko wyszedł z pokoju, ale Romilly dostrzegła lśnienie łez w jego oczach. Caryl nie chciał płakać w obecności ojca. Lyondri Hastur zakaszłał.

–Juczne zwierzę i medykamenty będą czekać przy bocznym wyjściu obok stajni.

Rządca pokaże drogę.

Romilly zrozumiała, że audiencja skończona. Lord Hastur skinął na mężczyznę, który właśnie stanął w drzwiach.

–Tędy, mestra.

–Dziękuję, sir.

Ruszyła do wyjścia, ale w tym momencie Lyondri Hastur chrząknął.

–Mistrzyni Romilly?

–*Vai dom?*

–Proszę powiedzieć Jandrii, że nie jestem takim potworem, za jakiego mnie uważa. Nie aż takim. To wszystko.

Wyszedłszy z pokoju, Romilly pomyślała drżąc na całym ciele: Co jeszcze wie ten człowiek?

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy przekazała słowa Lyondriego Hastura: „Powiedz jej, że nie jestem takim potworem, za jakiego mnie uważa. Nie aż takim”, Jandria nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Romilly wywnioskowała więc (po raz pierwszy uczyniła świadomy wysiłek, żeby nie używać *laran*), że Jandria miałaby parę rzeczy do powiedzenia, ale nie jej.

–Dał ci leki? – spytała w końcu.

–Tak, i juczne zwierzę. Razem poszły obejrzeć dary.

–Był hojny – stwierdziła krótko Janni. – Lyondri Hastur ma wiele wad, ale skąpstwo do nich nie należy.

Powinnyśmy oddać zwierzę, ale prawda jest taka, że go potrzebujemy. Nie będę mieć wyrzutów sumienia. Dla Lyondriego to jak kupić synowi torebkę cukierków na targu.

Wezwała trzy kobiety, żeby przejrzały medykamenty, i powiedziała Romilly, że może wrócić do koni. W ostatniej chwili jeszcze ją zawołała.

–Dziękuję, *chiya*. Wysłałam cię z trudną i niebezpieczną misją, choć nie miałam do tego prawa, a ty wypełniłaś ją jak kurier dyplomatyczny. Może powinnam znaleźć ci odpowiedniejsze zajęcie niż przy bezrozumnych zwierzętach.

Wolę zajmować się końmi niż jeździć z misjami dyplomatycznymi! Gdy po chwili wypowiedziała to zdanie na głos, Jandria uśmiechnęła się.

–W takim razie nie będę cię odciągając od pracy, którą lubisz. Wracaj do koni, moja droga. Masz moje podziękowania.

Romilly wróciła do stajni i wyprowadziła na padok konia, którego już wcześniej zaczęła ujeżdżać. Niedługo potem zjawiała się Mhari.

–Romy, natychmiast osiodłaj swojego konia, dwa juczne *chewine* i wierzchowca Jandrii. Zaraz wyjeżdżacie.

Romilly wytrzeszczyła oczy i poklepała nerwowego ogiera, któremu nie podobała się szorstka derka na grzbiecie.

–Wyjeżdżamy? Dokąd?

–O to musisz zapytać Janni – odparła Mhari nadąsana. – Cieszyłabym się, gdyby mnie ze sobą wzięła dokądkolwiek, ale ona wybrała ciebie. Kazała mi spakować twoje rzeczy i racje żywnościowe na cztery dni.

Romilly zmarszczyła brwi. Właśnie zaczęła robić postępy w oswojaniu tego konia, a już musi przerwać pracę? Złożyła przysięgę Siostron Mieczowym, ale czy to oznaczało, że jest zależna od czyichś kaprysów? Ponieważ jednak bardzo lubiła Janni, nie miała zamiaru sprzeciwić się jej decyzjom. Wzruszyła ramionami, zmieniła lonżę na krótkie wodze i odprowadziła konia do stajni.

Osiodłała już jednego wierzchowca i właśnie kładła derkę na drugiego, gdy do stajni weszła Janni w płaszczu i butach do jazdy konnej. Romilly stwierdziła ze zdumieniem, że kobieta ma zaczerwienione oczy, jakby płakała.

–Dokąd jedziemy, Janni? – spytała. – I po co?

–W tym, co Lyondri ci powiedział, była ukryta wiadomość dla mnie. Lyondri wie, że tutaj jestem. Bez wątpienia kazał cię śledzić aż do tego zajazdu. Pozostając tu narażam siostry z Hali, które nie biorą udziału w wojnie. Lyondri mógł dojść do wniosku, że przeze mnie wytropi Oraina. Pewnie myśli, że wiem coś o planach mojego krewniaka albo Carolina. Muszę natychmiast wyjechać, by siostry mogły zgodnie z prawdą oświadczyć ludziom Rakhala, nawet w obecności *Ieronis* czytającej w myślach, że nie wiedzą, dokąd pojechałam ani gdzie zbierają się ludzie Carolina. Jedziesz ze mną, ponieważ boję się, że Lyondri spróbuje dopaść również ciebie. Dlatego wolę, żebyś zniknęła mu z oczu, a nie kręciła się tuż u bram Hali. Poza tym... -uśmiechnęła się lekko – Siostry Mieczowe nigdy nie podróżują same, lecz w towarzystwie przynajmniej jednej mieczniczki.

Romilly nie przyszło do głowy, że Lyondri Hastur może ją wykorzystać jako zakładniczkę, nawet jeśli, jak obawiała się Jandria, nie zamierza jej uśmiercić.

–*A ves ordres, mestra* – powiedziała oficjalnym tonem i dokończyła siodłanie konia.

–Idź do kuchni i weź trochę chleba i sera – poleciała Jandria. – Zjemy w drodze. Pośpiesz się, siostrzyczko.

Rzeczywiście musimy się śpieszyć, czy też Jandria boi się bez powodu? Nie zadawała jej jednak żadnych pytań, tylko wykonała polecenie. Wróciła z bochenkiem chleba i wielką gomółką białego sera. Schowała je do juku. Na razie nie była głodna. Słowa Jandrii popsowały jej apetyt. Romilly wiedziała jednak, że później zapasy się przydadzą. Kucharka dała jej również torbę jabłek.

–Dokąd jedziemy, Jandrio? – spytała, kiedy wyprowadziły konie.

–Lepiej, żebyś na razie nie wiedziała.

Romilly dostrzegła w jej oczach prawdziwy strach.

–Jedźmy, siostrzyczko.

Ruszyły na północ, ale gdy droga wkrótce skręciła, Jandria wybrała mało uczęszczany szlak, zaledwie ścieżkę wydeptaną przez górskie *chervine*, która pięła się na wzgórza. Romilly straciła w końcu poczucie kierunku, ale Janni doskonale wiedziała, dokąd zmierza.

Niedługo potem znalazły się pod osłoną mocno zalesionych zboczy i Jandria trochę się odprężyła. Po mniej więcej godzinie poprosiła o chleb i ser. Zjadła je z wyraźnym apetytem. Romilly gryzła chrupiącą skórkę i zastanawiała się nad sytuacją, ale o nic nie pytała.

Po skończonym posiłku Jandria dosiadła konia i wzięła na sznur juczne zwierzę.

–Nawet ptak-zwiadowca nie zdoła nas tutaj wytropić. Nie wiem, czy Lyondri je ma – nie tak znów często się ich używa – ale pomyślałam, że lepiej wybrać dobrze osłonięty szlak. Inaczej zaprowadziłabym go prosto do armii Carolina, niech Bogowie bronią.

–Do niego właśnie jedziemy?

–Siostry Mieczowe mają tam swój oddział – odparła Jandria. – Twoje umiejętności trenerskie przydadzą się armii. Nie wątpię, że dla mnie też znajdzie się zajęcie. Jeśli Lyondri wiedział, że przebywam w zajeździe – a na pewno wiedział, skoro przysłał mi wiadomość – mógł uznać, że dotrze do Carolina, każąc mnie śledzić, o ile nie wydobyłby potrzebnych informacji prosto z mojego umysłu, a mógłby to zrobić nawet bez pomocy *Ieronis*. Dlatego wyjechałyśmy w takim pośpiechu. Może zadziałałam w porę i już jesteśmy bezpieczne.

Obejrzała się jednak z lękiem na szlak, a potem, z jeszcze większym strachem, zerknęła w niebo, jakby wypatrywała ptaków-zwiadowców Lyondriego. Jej nastrój udzielił się Romilly.

Tej nocy obozowały w lesie, a Jandria zabroniła rozpalać ogień. Przywiązały

zwierzęta do wielkiego pnia i zjadły chleb z serem. Rozłożyły podwójne koce pod drugim drzewem i Romilly usnęła szybko, zmęczona jazdą i przyzwyczajona do zimnego górskiego klimatu. W nocy obudził ją cichy płacz Jandrii. Żałowała, że nie umie pocieszyć towarzyski, gdyż nie miała pojęcia o jej kłopotach. W końcu zasnęła ponownie, a gdy wczesnym rankiem otworzyła oczy, stwierdziła, że Jandria już siodła konie. Oczy miała suche i spokojną twarz, ale powieki opuchnięte i zaczerwienione.

–Myślisz, że możemy zaryzykować ognisko? Zjadłabym coś gorącego. Skoro do tej pory nikt nas nie ściga, pewnie udało nam się uciec – powiedziała Romilly.

Jandria wzruszyła ramionami.

–Pewnie to i tak bez różnicy. Gdyby Lyondri naprawdę chciał mnie znaleźć, nie potrzebowalby tropicieli, zważywszy na odległość, z jakiej odebrał moje myśli.

Zresztą to nie Lyondri by nas ścigał, lecz Rakhal. – Westchnęła. – Rozpal ognisko, a ja ugotuję owsiankę, siostrzyczko. Nie mam prawa utrudniać ci życia z powodu własnych lęków i obaw. Dość się napodróżowałaś, Romi, a ja znowu cię gdzieś ciągnę, choć pewnie już sądziłaś, że znalazłaś dla siebie spokojne miejsce.

–Wszystko w porządku.

Wolała podróżować z Jandria niż zostać z obcymi kobietami, wśród których nie miała żadnej przyjaciółki. Uklękła, żeby rozniecić ogień. Kiedy jadły gorącą owsiankę, a konie skubały trawę, zapytała z wahaniem:

–Smucisz się z powodu Lyondriego?

Była ciekawa, czy Jandria nadal jest przywiązana do dawnego kochanka. Kobieta westchnęła i uśmiechnęła się smętnie.

–Raczej użalam się nad sobą. I tęsknię za mężczyzną, jakim był kiedyś Lyondri i jakim mógłby pozostać, gdyby Rakhal go nie omamił, podsuwając myśl o władzy. Tamten mężczyzna, człowiek, którego kochałam, nie żyje. Umarł tak dawno temu, że nawet Bogowie nie mogą go przywołać z miejsca, dokąd odchodzą nasze utracone nadzieje. Nadal chciałby, żebym dobrze o nim myślała – świadczy o tym jego wiadomość czy też ostrzeżenie – lecz być może po prostu przeważyła w nim próżność. Nie sądzę, by był zły do gruntu. – Zawahała się. – Wina spada na Rakhala. Lecz do tej pory Lyondri na pewno się przekonał, jaki jest Rakhal, a mimo to nadal go popiera. Jest zatem winny okropieństw, których dokonuje w imieniu Rakhala.

–Znałaś ich obu, Carolina i Rakhala? – spytała Romilly nieśmiało. – W jaki sposób Rakhal zdobył tron?

–Nie wiem. Opuściłam dwór, kiedy Rakhal udawał lojalność wobec króla i

przyjmował zaszczyty, którymi obsypywał go Carolin jako swojego najdroższego kuzyna, gdyż razem się wychowali.

–Carolin musi być dobrym człowiekiem, skoro wzbudził takie przywiązanie w

Orainie... i w tobie – stwierdziła Romilly.

–No, ale będąc z Orainem, chyba poznałaś Carolina?

–Król podobno był w Nevarsin, ale nie spotkałam go. Jandria uniosła brwi.

–Dokończ owsiankę, dziecko, i umyj naczynia w strumieniu. Zaraz ruszamy. Romilly wykonała polecenie, a następnie osiodłała wierzchowce i spakowała

resztkę zapasów. Dopiero kiedy wsiadły na konie, Jandria odpowiedziała na pytanie, o którym Romilly już dawno zapomniała.

–Carolin to dobry człowiek. Jego jedyną wadą jest nierozsądna wiara w honor

Hasturów. Popełnił błąd, darząc Rakhalą zaufaniem. Nawet Orain nie potrafił

otworzyć mu oczu. Ja również. Carolin doszedł do wniosku, że Orain jest zazdrosny.

Zazdrosny! Orain!

–Jaki jest Rakhal? – zapytała Romilly.

Jandria potrząsnęła głową.

–Nie potrafię ocenić go sprawiedliwie. Zaślepia mnie nienawiść. Podczas gdy

Carolin ponad wszystko miłuje honor, wiedzę i swoich ludzi, Rakhal kocha tylko

władzę. Jest jak górski kot, który posmakował krwi. – Usadowiwszy się w siodle,

powiedziała: – Dzisiaj ty weźmiesz na linkę juczne zwierzę, a ja będę wskazywać

drogę.

Gdy wyjechały spod osłony lasu, Romilly znowu odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Rozpoznała strumyk świadomości. Preciosa nie sfrunęła jej na rękę, ale raz czy dwa Romilly dostrzegła ją zawieszoną wysoko na niebie i poczuła, że nie jest sama. Zrobiło się jej cieplej na sercu, a strach zniknął.

Stanowimy jedność. Ona związała swoje życie z moim.

Romilly przypuszczała, że podobna więź, nierozzerwalna i głęboka, musi łączyć dobre małżeństwo. Nie była tak związana, na przykład, ze swoim koniem, choć nosił ją wiernie, a ona dbała o niego.

Koń jest moim przyjacielem. Preciosa to coś więcej, niemal jak kochanek.

Zaczęła nieśmiało rozmyślać, chyba po raz pierwszy, jak to będzie mieć kochanka, związać się z kimś umysłem, sercem, a nawet ciałem. Porozumiewać się z nim bez

konieczności zasypywania ogromnej przepaści dzielącej zwierzęta i ludzi, czym właśnie zajmowali się MacAranowie. Dom Garris pragnął jej, ale jego lubieżne spojrzenia budziły w niej tylko odrazę. Jeszcze większe obrzydzenie czuła wobec Rory'ego, który gotów był poderżnąć jej gardło za konia, płaszcz i parę sztuk miedzi, gdyby nie to, że potrzebował kobiety, która dzieliłaby z nim łożę.

Orain też miał na nią ochotę... przynajmniej póki brał ją za chłopca. Ona też go pragnęła. Dopiero teraz przyznała się do tego sama przed sobą. Z drugiej strony, nie zdawała sobie wtedy sprawy z własnych uczuć. Tak czy inaczej, wolałaby Oraina jako przyjaciela niż kochanka. Kiedy jeszcze sądziła, że on zna jej prawdziwą płęć, chętnie by mu uległa, żeby zachować jego przyjaźń. Czyżby nigdy nie myślała w ten sposób o innych mężczyznach? Z pewnością nie o chłopcach, z którymi dorastała, nie o przyjaciółach braci. Nie mogła ich sobie wyobrazić ani jako kochanków, ani jako mężów, zresztą małżeństwo było ostatnią rzeczą, której pragnęła.

Sądzę, że mogłabym poślubić kogoś takiego jak Alderic, myślała. Rozmawiał ze mną jak z ludzką istotą, a nie z głupiutką siostrzyczką swojego przyjaciela Darrena. Nie należał też do mężczyzn, którzy uważaliby, że muszą panować nade mną w każdym momencie, bojąc się, że odfrunę jak nie oswojony sokół, gdy uwolni się go z pęt choćby na chwilę.

Nie znaczy to, że aż tak bardzo chciałabym go za męża. Lecz może zdecydowałabym się poślubić mężczyznę, który byłby przede wszystkim moim przyjacielem.

Przez całe dwa dni, gdy tylko podniosła wzrok, widziała Preciosę krążącą w górze na skraju pola widzenia. Pozostawała z nią w kontakcie. Widziała drogę przed sobą i czuła, że siedzi w siodle, ale częścią świadomości fruwała razem z sokołem wysoko nad ziemią. Jandria powiedziała jej, że jadą teraz przez Wzgórza Kilghardzkie.

Nie przypominały one rodzinnych gór Romilly – nagich, jałowych, ze skalnymi urwiskami i lichą glebą, której każdy nędzny skrawek trzeba było wydzierać pod uprawę. Jeszcze bardziej różniły się od rozległych i żyznych Równin Valeronu, przez które przejeżdżali w drodze do Hali. Wysokie i strome wzgórza porastał dziewiczy las, a miejscami gęste krzaki, przez które kobiety musiały sobie wycinać drogę albo cofać się mozolnie po własnych śladach, żeby je okrążyć. Nie brakowało natomiast zwierzyny łownej. Czasami przed zachodem słońca, drzemiąc w siodle, Romilly szybowiała z Preciosą, pikowała w dół, czuła strach ofiary, morderczy cios i strumień świeżej krwi w żyłach. Za każdym razem było to dla niej nowe i porywające przeżycie.

Chyba szóstego dnia podróży leciała razem z sokołem, gdy raptem koń nastąpił na norę błotnego królika, potknął się i upadł. Wierzgał i rżał, a posiniaczona Romilly leżała obok niego, dysząc ciężko. Nim się pozbierała, Jandria zeskoczyła z konia i pomogła jej wstać.

–Na zamarznięte piekła Zandru, gdzie miałaś oczy?

Taki dobry z ciebie jeździec i nie zauważyłaś nory? – spytała gniewnie.

Wstrząśnięta Romilly uklękła przy koniu. Miał przekrwione oczy i toczył pianę z pyska. Dziewczyna weszła z nim w kontakt i poczuła rozdzierający ból w nodze. Zobaczyła białą strzaskaną kość, która przebiła skórę. Nic nie mogła zrobić. Szlochając z przerażenia i żalu, wyciągnęła zza pasa nóż, odszukała tętnicę szyjną i zadała jedno głębokie pchnięcie. Chwila śmiertelnego bólu i strachu, konwulsyjna walka... a potem spokój i cisza. Koń odszedł wraz ze swoim przerażeniem, zostawiając ją pustą i zimną.

Oszołomiona Romilly wytarła nóż o kępkę trawy i schowała go do pochwy. Nie śmiała spojrzeć Jandrii w oczy. Koń zginął przez jej przeklęty *laran*, bo gdyby uważała na drogę, z pewnością zauważyłaby norę.

–Czy to było konieczne? – spytała wreszcie Jandria.

–Tak.

Romilly nie próbowała nic tłumaczyć. Jandria nie miała dość *laran*, żeby zrozumieć to, co się stało, a poza tym nie było potrzeby obciążać jej własnym poczuciem winy, gniewem na Dar, przez który zapomniała o koniu. Połknęła łyżę, które ścisnęły jej gardło.

–Przykro mi, Jandrio. Powinnam była bardziej uważać. Jandria westchnęła.

–Nie robiłam ci wyrzutów, *chiya*. To tylko pech.

Zostałyśmy bez konia w samym środku wzgórz, a miałam nadzieję, że dotrzemy do Serrais przed jutrzejszą nocą.

–Jedziemy do Serrais?

–Nie mówiłam ci tego na wypadek, gdybyśmy były śledzone. Jak czegoś nie wiesz, nie wygadasz.

Więc Jandria mi nie ufa. Cóż, widocznie nie jestem godna zaufania. Przekonał się o tym mój biedny koń.

–Nigdy bym cię nie zdradziła – zaprotestowała Romilly.

–Nie wątpię, kochanie. Miałam na myśli jedynie to, że jeśli czegoś nie wiesz, nie

można nic z ciebie wydobyć torturami ani za pomocą gwiazdnego kamienia *leronis*. Szybko by się zorientowano, że niczego nie ukrywasz. Teraz i tak za dzień lub dwa poznałabyś cel podróży. Uklękła przy Romilly i pomogła jej zdjąć siodło z martwego konia.

–Pojedziesz na jednym z jucznych *chervine*. Bagaże przełożymy na drugiego.

Będziemy podróżować wolniej, niż gdybyśmy nadal miały dwa porządne konie, ale trudno.

Zaczęła rozładowywać *chervine*, ale kiedy zobaczyła, że Romilly stoi jak wmurowana, warknęła:

–Rusz się i pomóż mi.

Romilly patrzyła na martwe zwierzę. W kałuży zaschniętej krwi już roiło się robactwo.

–Nie możemy go pochować?

Jandria potrząsnęła głową.

–Nie mamy czasu ani narzędzi. Niech się nim nakarmią dzikie zwierzęta. – Widząc przerażone spojrzenie Romilly, dodała łagodnie: – Drogie dziecko, wiem, ile znaczył dla ciebie ten koń...

Nie, nie wiesz. Nie masz pojęcia.

–Uważasz, że jest dla niego istotne, czy pożywią się nim inne stworzenia, czy będzie miał pogrzeb godny Hastura? Jego już nie ma w tym ciele. Romilly przełknęła ślinę.

–Wiem, mówisz rozsądnie, ale...

Jandria położyła jej dłoń na ramieniu.

–W lesie żyją stworzenia, które żywią się martwymi zwierzętami. Mają głodować,

Romy? Bawisz się w sentymenty, a przecież nie czujesz bólu, kiedy twój sokół zabija.

Przewrażliwiona Romilly uznała, że Jandria wypomina jej brak uwagi, przez który zginął koń. Odsunęła się od niej.

–Nie mam wyboru, prawda? – powiedziała gorzko. – *A ves ordres, mestra.*

Przystąpiła do zdejmowania pakunków z *chervine*. W jej umyśle odżyło bolesne wspomnienie ptaków-zwiadowców, dla których znajdowała padlinę. Teraz jej wierzchowiec stanie się pożywieniem dla *kyorebni* i może tak powinno być, ale ona czuła, że nie zniesie tego widoku i świadomości, że jej nieuwaga kosztowała życie wiernego konia.

Spojrzała w niebo, jakby szukała pocieszenia, ale nigdzie nie dostrzegła Preciosy.

Może ona również mnie opuściła.

* * *

Pod wieczór krajobraz zmienił się. Zielone pola ustąpiły miejsca piaszczystem płaskowyżom i drogom ze spieczonej gliny. *Chervine*, stworzenia wzgórz i lasów, ledwo się wlokły, a strumyki potu rzeźbiły pionowe linie w ich gęstej sierści. Romilly wytarła czoło rękawem, zdjęła gruby płaszcz i zwinięty umocowała na siodle. Ostre słońce jarzyło się na bezchmurnym niebie. Gdy wreszcie zapadł mrok, Jandria pokazała ręką przed siebie.

–Tam leży Serrais i zajazd Sióstr Mieczowych, w którym będziemy spały dzisiaj, a może nawet przez parę dekad. Z przyjemnością wyciągnę się w porządnym łóżku, a ty?

Romilly przytaknęła, ale w głębi duszy było jej przykro, że długa podróż dobiega końca. Polubiła Jandrię, a myśl o zamieszkaniu w domu pełnym obcych kobiet naprawdę ją przerażała. Miała ponadto obawy, że w stałej siedzibie Sióstr Mieczowych będzie musiała wrócić do zniechęcających lekcji walki wręcz i fechtunku.

Cóż, skoro złożyła przysięgę, powinna dać z siebie wszystko w nowym miejscu, do którego przywiodła ją Opatrzność. „Święty Nosicielu Brzemion, który dźwigasz ciężar całego świata, pomóż nieść moje własne brzemie!” Zaskoczyła samą siebie. Nigdy nie poświęcała wiele czasu na modlitwy, a teraz odmawiała je przy każdej okazji. Ciekawe, czy to jest to, co Księga Brzemion nazywa *Dhe shaya*, łaską Bożą,

czy też objaw słabości, zagubienia i samotności? Janni była jej przyjaciółką, lecz nie podzielała lęków Romilly. Lubiła życie Sióstr Mieczowych i nie paraliżowała jej myśl o wojnach i bitwach. Takie rzeczy jak wioska zniszczona przez diabelski pył budziły w niej gniew, ale nie napełniały przerażeniem. Janni zdawała się całkowicie wolna od strachu o własną osobę!

Do miasta wjechały po zmierzchu. Ruszyły szeroką ulicą między domami z białego kamienia, który lśnił w świetle księżyca. Romilly drzemała w siodle, zdając się na człapiącego *chewine*. Ocknęła się, kiedy stanęły przed wielką łukowatą bramą. Jandria pociągnęła za sznur od dzwonka. Wewnątrz budynku rozbrzmiał stłumiony dźwięk. Po pewnym czasie senny głos zapytał:

–Kto tam?

–Przybywamy z Hali – zawołała Janni. – Siostra Mieczowa Jandria i nowicjuszka

Romilly związana przysięgą szukają schronienia.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i kobieta wyjrzała na ulicę.

–Wejdźcie, siostry. Akurat jemy kolację. Wprowadźcie zwierzęta tam, do stajni, i dajcie im paszy.

Wskazała budynek stajni. Romilly zamrugnęła, kiedy w świetle latarni zobaczyła stłoczone w kilku boksach konie, jedne z najpiękniejszych, jakie w życiu widziała. Co to za miejsce i dlaczego zgromadzono tyle koni na tak małej przestrzeni? Przyszło jej do głowy wiele pytań, ale nie śmiała ich zadać. Wprowadziła swojego *cheruine* i konia Jandrii do mniejszych boksów, zarzuciła torbę na ramię i ruszyła za obcą kobietą.

W domu unosił się miły zapach świeżego chleba oraz korzenne aromaty nie znanych przypraw i gotowanego jedzenia. W dużym pomieszczeniu obok holu, gdzie zostawiły bagaże, siedziało przy dwóch długich stołach około pięćdziesięciu kobiet. Grzechot łyżek o drewniane miski z zupą i przekrzykiwanie się z jednego końca sali w drugi czyniły taki harmider, że Romilly cofnęła się mimowolnie. Po ciszy panującej na leśnych szlakach hałas wydawał się ogłuszający.

–Tam są dwa wolne miejsca – powiedziała ich przewodniczka. – Jestem Tina. Po kolacji zaprowadzę was do matki domu, która znajdzie dla was jakieś łóżka.

Jak widzicie, trochę tu u nas ciasno. Zakwaterowano nam chyba połowę naszego zgromadzenia, ale muszę powiedzieć, że regularnie otrzymujemy na nie racje żywnościowe. W przeciwnym razie żywiłybyśmy się zeszłorocznymi orzechami! Usiądźcie i zjedzcie kolację. Pewnie o niej marzycie po długiej podróży.

Zdawało się, że przy długim stole, który im pokazała, nie ma miejsca, ale kobiety ścisnęły się i wpuściły Jandrię i Romilly. Dyżurna krążąca między stołami z garnkiem i chochlą naląła im zupy do misek i podsunęła bochenek chleba. Romilly wyciągnęła zza pasa nóż i ukroiła dwa kawałki. Siedząca obok uśmiechnięta piegowata dziewczyna podała jej dżem owocowy. Miała ciemne włosy sięgające do pasa i związane na plecach.

–Masło właśnie się skończyło, ale ten dżem bardzo pasuje do chleba. Zostaw łyżkę w słoiku.

Okazało się, że jest to aromatyczny mus z rozgotowanych jabłek. W zupie pływały kawałki jakiegoś mięsa i dziwnych warzyw, ale zgłodniała Romilly jadła ją z apetytem.

–Mam na imię Ysabet, ale mówią na mnie Betta – przedstawiła się sąsiadka. –
Przyjechałam z Thendary.

A ty?

–Byłyśmy w Hali, a wcześniej w Caer Donn – odparła Romilly. Betcie rozszerzyły się oczy.

–Tam, dokąd uciekł król? Widziałaś jego armię? Romilly skinęła głową.

–Słyszałam, że Carolin rozbił się obozem na północ od Serrais – oznajmiła Betta. –

Podobno, zanim spadną śniegi, pomaszeruje na Hali. Obóz wrze od plotek, ale ta powtarza się najczęściej. Co umiesz?

–Nic szczególnego. Trenuję konie i sokoły. Zajmowałam się też ptakami-zwiadowcami.

–Mówiono nam, że z Hali przybędzie ekspert od koni! To musisz być ty, chyba że chodzi o twoją przyjaciółkę. Jak ona ma na imię?

–Jandria.

Betta wytrzeszczyła oczy.

–Lady Jandria! Słyszałam o niej, jeśli to ta sama.

Wiem, że nie powinniśmy myśleć o rangach, ale mówią, że jest kuzynką samego Carolina. Rzeczywiście, ma rude włosy i rysy Hasturów. Przydacie się nam. Widziałaś

te wszystkie konie w stajni? Na padoku jest ich jeszcze więcej. Zarekwirowano je Altonom ze Wzgórz Kilghardzkich dla naszej armii. Siostry Mieczowe pojedą na nich w bój za prawdziwego króla. – Zerknęła podejrzliwie na Romilly. – Jesteście za Carolinem, prawda?

–Przez ostatnich siedem dni jechałam od świtu do nocy. Ledwo pamiętam własne imię. – W pomieszczeniu było bardzo gorąco i Romilly oczy same się kleiły.

Przypomniawszy sobie jednak, że uciekły z Janni przed Lyondri Hasturem, dodała:
– Tak, jesteśmy za Carolinem.

–Jak już powiedziałam, kwateruje u nas chyba połowa Sióstr Mieczowych. W zajeździe krąży wiele plotek.

Dwie noce temu kobiety spały tu na stołach, a nawet pod nimi, choć my, stałe mieszkanki, gnieździłyśmy się po dwie w jednym łóżku, a wolne oddałyśmy gościom.

–Często sypiałam na ziemi – powiedziała Romilly. – Zadowolę się kawałkiem podłogi.

Dobrze przynajmniej, że znajdowały się pod dachem, osłonięte przed deszczem.

–O, dla lady Jandrii na pewno znajdzie się łóżko – stwierdziła Betta. – Czy jesteś jej kochanką?

Romilly była zbyt śpiąca i zaskoczona, by mieć pewność, o co chodzi Becie.

–Nie, oczywiście, że nie.

Doszła jednak do wniosku, że pytanie jest uzasadnione. Dlaczego kobieta zostawała Siostrą Mieczową, skoro mogła wyjść za mąż? Romilly parę razy zastanawiała się, czy jej niechęć do małżeństwa nie oznacza u niej nadmiernego upodobania do kobiet. Ta myśl nie wzbudzała w niej odrazy, ale też nie pociągała. Choć polubiła Jandrię w ciągu ostatnich dni, nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby uwieść przyjaciółkę.

Czy dlatego nigdy nie pragnęłam mężczyzny, pomyślała, i nawet z Orainem łączyła mnie sympatia i zrozumienie, a nie pożądanie?

Jestem zbyt zmęczona, żeby jasno myśleć o czymkolwiek, nie wyłączając tak ważnej kwestii!

Wiedziała jednak, że musi ją rozważyć pewnego dnia, zwłaszcza jeśli ma spędzić życie wśród Sióstr Mieczowych.

Kobiety zaczęły wstawać od stołów. Na podłodze rozłożono koce, upchnięte na dzień w kącie dużej sali. Było trochę przekomarzania o miejsce przy kominku. Tina zaprowadziła Jandrię i Romilly do pokoju z trzema łózkami, z których dwa okazały się już zajęte.

–Możecie spać tutaj – oznajmiła. – Matka chce cię widzieć, lady Jandrio.

–Idź spać – powiedziała Janni do Romilly. – Przyjdę później.

Romilly była tak zmęczona, że zapadła w sen, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, choć wcześniej obawiała się, iż trudno jej będzie usnąć w jednym pokoju z czterema chrapiącymi kobietami. Nie słyszała, kiedy wróciła Jandria.

–Wszyscy tutaj wiedzą, kim jesteś – powiedziała rano, kiedy się ubrały. – Spodziewano się nas. Jakim cudem wiadomość przybyła szybciej niż my? Jandria podniosła wzrok znad trzymanej w dłoni skarpety.

–W armii Carolina jest moja znajoma *Ieronis*. Teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałam wpaść w ręce Lyondriego. Za dużo wiem. Wysłałam wieść i poprosiłam o jej przekazanie do zajazdu Sióstr Mieczowych.

Myślisz, że po zmierzchu otworzyłyby drzwi w mieście pełnym żołnierzy szykujących się do wojny?

Romilly stwierdziła, że każdego dnia dowiaduje się czegoś nowego o przyjaciółce. Więc Jandria również miała *Iaran*! Dziwny *Iaran*, dzięki któremu można przesyłać wiadomości na niezmierzone odległości? Ogarnęło ją zakłopotanie. Czyżby Jandria

potrafiła czytać w myślach, czyżby wiedziała o jej obawach i wątpliwościach? Romilly wolała nie zastanawiać się nad tym.

–Skoro mam tu ujeżdżać konie, chyba powinnam zaraz pójść do stajni.

Jandria roześmiała się.

–Myślę, że zdążysz jeszcze zjeść – madame. Matka domu kazała mi wyspać się porządnie po długiej jeździe.

Myślę, że o tej porze znajdziemy miejsce w jadalni, nie zrzucając śpiących ze

stołów. To był jedyny powód, dla którego nie chciałam tam spać. Wiedziałam, że kucharki i dekadowe dyżurne obudziłyby nas o świcie, żeby dostać się do garnków!

Rzeczywiście jadalnia była już pusta. Tylko kilka kobiet w starszym wieku siedziało nad kubkami gorącego mleka, w którym moczyły kawałki chleba. Kiedy Jandria i Romilly nalały sobie owsianki z kociołka, zjawiła się Betta.

–Masz iść do matki domu, lady Jandrio. A mistrzyni Romilly do stajni.

–Wystarczy Jandria albo Janni. Zapomniałaś o regułach Sióstr Mieczowych?

–Janni – poprawiła się Betta, ale nadal mówiła uniżonym tonem. – Ćwiczenia w walce wręcz odbywają się w południe na trawiastym dziedzińcu, a walka na miecze o czwartej. Do zobaczenia.

Na padoku Romilly ujrzała stado pięknych karych koni ze Wzgórz Kilghardzkich, najwspanialszych, jakie zdarzyło się jej widzieć w życiu. Stwierdziła, że ujeżdżanie ich będzie przywilejem i rozkoszą.

–Armia potrzebuje tych wierzchowców najszybciej, jak to możliwe – powiedziała

Tina, która ją tutaj przyprowadziła. – Trzeba je przyuczyć do siodła i spokojnego kłusa

oraz do znoszenia dużego hałasu. Mogę ci dać tyle pomocnic, ile zażadasz. Lady

Jandria wspomniała, że masz dar MacAranów, więc będziesz kierowała ujeżdżaniem.

Romilly spojrzała na konie. Było ich dobre dwa tuziny- Czy któregoś z nich uczono chodzenia na lonży?

–Okolo tuzina.

Romilly skinęła głową.

–Dobrze, znajdź więc dwanaście kobiet i przyprowadź je na padok. Ja tymczasem zawrę znajomość z pozostałymi końmi.

Gdy zjawiły się kobiety, Romilly dostrzegła wśród nich Bettę. Pozdrowiła ją uśmiechem i skinieniem głowy. Kazała mieczniczkom prowadzić zwierzęta w kółko na lonżach i pilnować równego kroku, po czym udała się do stajni, żeby wybrać konia, z którym sama będzie pracować.

Postanowiła, że każdego z koni powierzy na stałe tej z pomocnic, która ćwiczyła z

nim dzisiaj. Praca bowiem będzie szła tym łatwiej, im ściślej nawiązą więź z podopiecznymi.

–Wtedy zwierzę zaczyna wam ufać i robi wszystko, żeby was zadowolić. Nie może to jednak być jednostronna więź – ostrzegła. – Zwierzęta kochają was i ufają wam, ale i

wy też musicie je pokochać i być całkowicie szczere, żeby one mogły odczytać w waszych umysłach, że je kochacie. Natychmiast wyczują kłamstwo, więc nie możecie

udawać. Musicie otworzyć się na ich uczucia.

Kolejna sprawa... – Wskazała na krótkie szpicruty. – Można trzaskać batem, żeby skupić na sobie uwagę konia, lecz jeśli któraś uderzy konia tak, że zostanie ślad, to nie nadaje się do pracy ze zwierzętami. Jeśli zobaczą taką, co używa bata na serio, będzie mogła pójść sobie ćwiczyć walkę na miecze!

Odesłała kobiety do pracy i przez chwilę słuchała ich uwag.

–Mamy nie używać szpicrut? Po co w takim razie są?

–Nie rozumiem tej kobiety. Skąd ona jest? Z dalekich gór? Jej mowa jest taka dziwna.

Romilly uważała, że to ich mowa jest dziwna, powolna i rozwlekła, jakby żuły każde słowo, zanim je wypowiedziały. Lecz kiedy usłyszała, jak kilkanaście kobiet twierdzi, że jej nie rozumie, spróbowała mówić z afektowaną, według niej, i nienaturalną powolnością.

W Falconsward wszyscy uznaliby ich wymowę za obcą i sztuczną. Uznała, że to kwestia przyzwyczajenia.

Z ulgą zajęła się końmi. One przynajmniej nie krytkowały jej mowy i manier. Wśród nich mogła być sobą.

Konie rozmawiają moim językiem, pomyślała.

Pochodziły z najróżniejszych ras: od krzepkich kudłatych górskich kuców jak ten, którego musiała zabić po drodze, po smukłe karosze, jakie wyhodował jej ojciec. Weszła do ogólnego boksu (ku przerażeniu Betty, która zrobiła taką minę, jakby Romilly wkroczyła do klatki pełnej drapieżnych górskich kotów) i zaczęła szukać konia, z którym mogłaby zacząć naukę. Musiała popisać się umiejętnościami, bo

wiedziała, że siostry będą skore do wyszukiwania błędów. Słyszała trochę narzekań na młody wygląd nowej trenerki.

Nie jestem aż taka młoda, myślała, i pracuję z końmi, odkąd skończyłam dziewięć lat. Lecz one tego nie wiedzą.

Jeden z koni cofnął się aż pod drewniane ogrodzenie i zaczął wierzgać. Romilly zobaczyła obnażone zęby i duże wytrzeszczone oczy.

–Odsuń się od niego, Romilly! – zawołała Tina z przestrawieniem. – To zabójca.

Chcemy go zwrócić.

Nikt nie będzie w stanie na nim jeździć. Nadaje się tylko na reproduktora. Jest za stary na ujeżdżenie!

Skupiona i nieobecna duchem, Romilly potrząsnęła głową. On tylko boi się śmiertelnie. Nie zrobi mi krzywdy.

–Przynieś linkę i uzdę, Tino. Nie musisz wchodzić do boksu, jeśli się boisz. Podaj mi je przez ogrodzenie.

Tina wykonała polecenie, blada ze strachu. Romilly, trzymając linę w ręce, wpatrywała się w czarnego konia.

I co, ty piękniśiu? Myślisz, że możemy się zaprzyjaźnić?

Koń cofnął się, ale przestał wierzgać. *Co za głupiec wsadził go do przepelnionego boksu? Spokojnie, spokojnie, Czarny, nie skrzywdzę cię. Chcesz wyjść na słońce?*

Przekazała mu do umysłu wyraźny obraz tego, co zamierza zrobić, i koń, parskając niespokojnie, pozwolił sobie nałożyć uzdę i linkę. Romilly usłyszała, że Tina głośno wciąga powietrze, ale była teraz w zbyt głębokim kontakcie ze zwierzęciem, żeby zwracać na nią uwagę.

–Otwórz bramę. Wystarczy. *Chodź, ty piękne czarne stworzenie.* Widzisz, jeśli postępuje się właściwie, żaden koń nie jest groźny. One tylko się boją i nie wiedzą, czego się od nich oczekuje.

–Ty masz *lاران*, a my nie – zauważyła z niechęcią jedna z obserwujących kobiet. – Jak możemy robić to co ty?

–Mniejsza o *lاران*. Jeśli jesteście sztywne ze strachu, całym ciałem i każdą myślą, to myślicie, że koń tego nie zauważy, nie zwęszy? Zachowujcie się, jakbyście mu

ufały. Rozmawiajcie z nim, stwórzcie w umyśle wyraźny obraz tego, co chcecie zrobić. Kto wie, może zwierzęta mają własny *laran*? A przede wszystkim, dajcie bardzo wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierzacie go skrzywdzić. Jeśli boicie się go albo życzyście mu źle, on to wyczuje w każdym waszym ruchu, każdym oddechu.

Spojrzała na karego ogiera.

–A teraz, mój piękny, pójdziemy na słońce. Chodź.

Nie tędy, głuptasie. Chyba nie chcesz wracać do stajni – mówiła półgłosem, lekko ciągnąc za linę.

Na padoku kobiety prowadziły konie na długich lonżach, starając się narzucić im równe tempo. Romilly szybko dokonała przeglądu sytuacji – siostry radziły sobie całkiem nieźle, bo na początek wybrały najłagodniejsze konie – a potem znalazła sobie w miarę odosobnione miejsce. Niektóre klacze mogły być w okresie rui. Nie chciała, by cokolwiek rozpraszało uwagę ogiera. Cmoknęła na niego.

Był duży i mocno zbudowany. Gdy puścił się klusem, szarpnięcie omal nie zważyło Romilly z nóg. Pociągnęła mocno za linę i koń zwolnił. Kiedy upewniła się, że zrozumiał, o co chodzi, pozwoliła mu przyspieszyć nieco kroku.

Ma piękny chód. To koń odpowiedni dla samego Carolina. *Och, jesteście wspaniały, wspaniały!*

Biegał przez godzinę, przyzwyczajając się do uzdy. Gdy Romilly założyła mu wędzidło, przez chwilę walczył zaskoczony. Dziewczyna współczuła mu i nie dziwiła się. Jej też nie podobałby się zimny metal siłą wtłoczony do ust.

Niestety, mój piękny, musisz się do tego przyzwyczaić, żebyś mógł potem jeździć ze swoim panem...

W południe odprowadziła go do stajni. zaproponowała jednej z kobiet, żeby umieściła swojego łagodnego konia w ogólnym boksie, a mniejszy odstąpiła jej dla czarnego ogiera. Oczami wyobraźni już widziała króla Carolina wjeżdżającego do Hali na tym pięknym rumaku.

Po łatwej pracy – no, może nie aż takiej łatwej, ale dobrze znanej i przyjemnej - posłano ją na ćwiczenia w walce wręcz. Nie miała nic przeciwko temu, żeby nauczyć się padać tak, by nie zrobić sobie krzywdy, ostatecznie ucząc się jeździć spadała z konia niezliczoną ilość razy. Jednak te chwyt, przerzuty, dźwignie i zvarcia wydawały się jej bardzo skomplikowane. Oceniała, że wszystkie kobiety, łącznie z nowicjuszami, z którymi uczyła się podstaw, umiały więcej od niej. instruktorka przez chwilę obserwowała Romilly, aż w końcu odwołała ją na bok, a pozostałe

zwolniła.

–Od jak dawna jesteś u Sióstr Mieczowych? – spytała.

Tyle się działo w ciągu ostatnich kilku księżyców, że Romilly nie mogła sobie dokładnie przypomnieć.

–Nie jestem pewna. Chyba kilka dekad.

–Nie widzisz sensu w takim szkoleniu, prawda?

–Muszą być jakieś powody, skoro podobne treningi odbywają się we wszystkich zajazdach Sióstr Mieczowych – odparła dyplomatycznie.

–Gdzie się wychowałaś? Jak się nazywasz?

–Romilly. Mówią na mnie Romi. Wychowałam się u podnóża Hellerów, w pobliżu Falconsward.

Kobieta pokiwała głową.

–Domyśliłam się po twojej mowie. Mieszkałaś więc na zapadłej prowincji, z dala od dużych miast, i rzadko spotykałaś obcych?

–To prawda.

–W takim razie przypuścimy, że idziesz zatłoczoną ulicą jakiegoś miasta. – Skinęła na Bettę. – Idziesz brudną ulicą, na której zbierają się złodzieje, a mężczyźni uważają wszystkie kobiety za dziewczki z tawern.

Betta ruszyła wzdłuż muru. Nagle instruktorka skoczyła na nią i zaczęła dusić. Dziewczyna nachyliła się, przerzuciła kobietę przez bark i cisnęła na ziemię, unieruchamiając jej ramię na plecach.

–Au! Betto, byłaś zbyt brutalna, ale Romi chyba zrozumiała w czym rzecz. Teraz zaatakuj mnie nożem.

Betta wyjęła zza pasa kawałek drewna wielkości składanego noża i ruszyła na instruktorkę. Romilly nawet nie zauważyła, kiedy „nóż” znalazł się w rękach starszej kobiety, która udawała, że wymierza kopniaka leżącej na plecach dziewczynie.

–Ostrożnie, Cleo – powiedziała Betta ze śmiechem, przetoczyła się błyskawicznie na brzuch, chwyciła instruktorkę za stopę i pociągnęła na ziemię.

Clea wstała śmiejąc się i powiedziała do Romilly:

–Teraz rozumiesz, jakie są korzyści takiego szkolenia? Zwłaszcza w takim mieście

jak to, leżącym na granicy Suchych Miast, których mieszkańcy uważają, że kobieta jest

własnością mężczyzny i można ją zakuć w łańcuchy? Nawet w cywilizowanym mieście,

takim jak Thendara, spotyka się ludzi, którzy nie mają szacunku dla nikogo. Każda z

Sióstr Mieczowych musi nauczyć się bronić i... – Jej roześmiana twarz nagle

spoważniała. – Gdy złożysz przysięgę na całe życie, dostaniesz broń. – Położyła dłoń na

sztylecie zawieszonym na szyi. – Przysięgałam, że raczej zabiję mężczyznę albo siebie,

niż dam się wziąć siłą.

Romilly przebiegł dreszcz po plecach. Była kiedyś gotowa poważnie zranić Rory'ego, ale zabić? Czy nie stałaby się równie zła jak on? Będę musiała rozstrzygnąć tę kwestię, myślała, jeśli kiedykolwiek złożę przysięgę Sióstr Mieczowych. Może do tego czasu przekonam się, do czego jestem zdolna.

Clea zauważyła minę Romilly i poklepała ją po ramieniu.

–Mniejsza o to. Nauczysz się wszystkiego. Teraz idź poćwiczyć. Betto, zademonstruj jej podstawowe chwytty, żeby nie była taka zdezorientowana. Będzie jeszcze dość czasu, by ją przerzucić do grupy dla początkujących.

Gdy wreszcie ktoś zadał sobie trud i wyjaśnił Romilly, po co są treningi, od razu poszło jej lepiej. Stwierdziła, że stojąc naprzeciwko partnerki, potrafi, śledząc drobne ruchy ciała i oczu, przewidzieć, co tamta zamierza, i wykorzystać to. Lecz sama wiedza nie wystarczała. Trzeba było jeszcze nauczyć się precyzji ruchów, chwytów, dźwigni i przerzutów oraz używania odpowiedniej siły, żeby nikomu nie zrobić krzywdy.

A przecież w męskim przebraniu pokonałam całe Hellery, myślała. Wolałabym raczej żyć w taki sposób, żeby nie stawać się ofiarą mężczyzn.

Jednocześnie dumą napawała ją świadomość, że potrafi się bronić i nie musi nikogo błagać o litość. Lekcje fechtunku wydały się potem łatwiejsze, ale ujawniły inny lęk.

Dobrze jej się ćwiczyło drewnianymi pałkami, gdy jedynymi skutkami błędów były siniaki. Czy potrafiłaby jednak walczyć bez strachu ostrą bronią i zadawać prawdziwe ciosy? Myśl o zranieniu ludzkiego ciała przyprawiała ją o mdłości.

Nie jestem wojowniczką, lecz trenerką koni i ptaków. Walka to nie moja specjalność.

Mijały dni wypełnione lekcjami i ciężką pracą. Spędziwszy w Serrais cztery dekady Romilly uświadomiła sobie, że zbliża się środek lata i wkrótce minie rok od ucieczki z domu. Ojciec i macocha pewnie dawno uznali ją za zmarłą, a Darrena zmusili do pełnienia obowiązków dziedzica Falconsward. Biedny Darren, jakże on musiał nienawidzić takiego życia! Ze względu na ojca Romilly miała nadzieję, że mały Rael zajmie jej miejsce i nauczy się korzystać z Daru. Jeśli chłopiec okaże się prawdziwym MacAranem, Darren będzie mógł wrócić do klasztoru. Albo tak jak ona wyjedzie bez pozwolenia.

Rok temu ojciec zaręczył ją z domem Garrisem. Jakie zmiany zaszły w ciągu tego roku! Romilly urosła. Rzeczy, w których tutaj przyjechała, musiała odłożyć do skrzyni z niepotrzebnymi ubraniami i znaleźć sobie większe. W wyniku ćwiczeń z mieczem i pracy przy koniach mięśnie rąk i nóg zarysowały się wyraźniej i wzmocniły. Ależ Mallina by z niej drwiła, a macocha ubolewała. „Nie wyglądasz jak dama, Romilly. ” Nie jestem damą, lecz Siostrą Mieczową, odpowiedziała Lucielli w myślach.

Na szczęście każdego dnia wszystkie jej troski znikwały, gdy pracowała z końmi, a zwłaszcza w ciągu tej godziny, kiedy zajmowała się czarnym ogierem. Nikt inny go nie dotykał. Romilly wiedziała, że pewnego dnia będzie z niego wierzchowiec odpowiedni dla samego króla. Dzień mijał za dniem, księżyc za księżycem, pory roku następowały po sobie. Nastąpiła zima i czasami nie można było wyprowadzić koni na padok. Czas i wspólna praca sprawiły, że obce kobiety z zajazdu stały się jej przyjaciółkami. Nadeszły zimowe święta z prezentami i tradycyjnymi piernikami. Kilka mieczniczek pojechało odwiedzić rodziny. Zapytana, czy chce dostać pozwolenie na wyjazd do domu, Romilly odparła spokojnie, że nie ma żadnych krewnych. Tak było prościej. Zastanawiała się jednak, jak przyjąłby ją ojciec, gdyby zjawiła się z wizytą jako Siostra Mieczowa w karmazynowej tunice i kolczykami w uszach, nie prosząc o nic? Wypędziłby ją, mówiąc, że bezpłciowa mieczniczka nie może być jego córką? Czy też przywitałby ją z dumą i pochwalił niezależność i siłę, którymi się wykazała, urządzając sobie życie z dala od Falconsward?

Nie miała najmniejszego pojęcia. Może kiedyś, za parę lat, spróbuje się przekonać. Tak czy inaczej nie mogłaby w środku zimy jechać w dalekie Hellery. Większość kobiet, które wzięły przepustki na odwiedzenie rodzin, mieszkała nie dalej niż w Thendarze lub Hali leżących w odległości siedmiu dni jazdy.

W tej pustynnej okolicy było niewiele oznak wiosny. Jednego dnia wiał lodowaty

wiatr smagający deszczem, a następnego słońce mocno przygrzewało i Romilly wiedziała, że w odległych Hellerach zaczęły się roztopy. Trenując konie, zdejmowała płaszcz i zostawała w starej, połatannej tunice i spodniach.

Wraz z wiosną dotarli do zajazdu plotki o bitwie między wojskami Carolina i Lyondriego Hastura. Później mieczniczki usłyszały, że Carolin zawarł pokój z Wielkim Domem Serrais i że jego armia znowu zbiera się na równinach. Romilly nie zwracała uwagi na te wieści. Całymi dniami zajmowała się nowymi końmi, które przyprawiono wczesną wiosną. Zbudowano dla nich nową stajnię i wynajęto padok poza murami zajazdu. Romilly chodziła tam każdego popołudnia razem z pomocnikami. Jej świat skurczył się do stajni, padoku i równiny za miastem, na której co dwa lub trzy dni ćwiczyły konie. Pewnego popołudnia, kiedy prowadząc wierzchowce wyszły za bramę, ujrzały namioty, zwierzęta i mnóstwo ludzi.

–Cóż to takiego? – zdziwiła się Romilly.

–Przednia straż armii Carolina – odparła mieczniczka, która każdego ranka chodziła po świeże mleko i owoce. – Rozbijają tu stały obóz i stąd ruszą przez Równiny

Valeron, żeby wydać bitwę królowi Rakhalowi. – Wykrzywiła twarz i splunęła.

–Jesteś zwolenniczką Carolina? – zainteresowała się Romilly.

–Pewnie – powiedziała kobieta żarliwie. – Rakhal wypędził mojego ojca z niewielkiego gospodarstwa w Venza Hills i oddał je przybocznemu tego chciwego diabła Lyondriego Hastura! Matka zmarła niedługo potem, a ojciec wstąpił do armii Carolina. Jeśli Clea da mi pozwolenie, spróbuję go znaleźć i zapytam o braci, którzy uciekli, kiedy nas wypędzono z ziemi. Zostałam Siostrą Mieczową, bo bracia poszli do

wojska i nie mogli dłużej mnie utrzymać. Znalezione by mi kogoś na męża, ale byłby to człowiek, którego Lyondri i jego pan Rakhal zostawili w spokoju, a ja nie mogłabym przecież wyjść za kogoś, kto siedzi wygodnie we własnym domu, podczas

gdy mój ojciec musi się tułać!

–Trudno cię winić, Marelle – stwierdziła Romilly.

Pomyślała o towarzyszach podróży przez Hellery, a zwłaszcza o Alaricu, który ucierpiał od Lyondriego jeszcze bardziej niż rodzina Marelle.

–Ja również popieram Carolina, choć wiem o nim tylko to, że ludzie godni zaufania uważają go za porządnego człowieka i dobrego króla.

Była ciekawa, czy Orain i dom Carlo są w obozie. Mogłaby pójść tam razem z Marelle. Choć była kobietą, Orain był jej przyjacielem i miała nadzieję, że bezpiecznie przetrwał wojenną zimę.

–Spójrzcie! To jest chorągiew Hasturów: błękitna ze srebrną jodłą! – zawołała Clea pokazując ręką. – W obozie jest król Carolin, sam król!

„Gdzie jest Orain, tam można znaleźć Carolina. ” Czyżby wtedy w tawernie, kiedy Orain kazał jej odwracać uwagę, tajemniczą postacią, z którą rozmawiał w półmroku, był sam Carolin?

Jak przyjąłby jej wizytę? Może wprowadziłaby go tylko w zakłopotanie? Romilly postanowiła, że kiedy następnym razem Jandria odwiedzi zajazd – przez cały rok jeździła jako kurier między Serrais a miastami na południu, Dalereuth i Temorą -spyta ją o zdanie.

Powinna była wiedzieć, że kiedy telepata raptem zaczyna myśleć o kimś, kogo dawno nie widział, nie jest to przypadek. Następnego dnia, kiedy skończyła ćwiczenia z czarnym ogierem – po roku pracy był doskonale wyszkolony, łagodny jak dziecko i gotów do sprezentowania samemu królowi – ujrzała stojącą w drzwiach stajni Jandrię.

–Romi! Byłam pewna, że tutaj cię znajdę! Wiele razem dokonałyście od dnia, kiedy po raz pierwszy go okiełznałaś, a my wszystkie byłyśmy pewne, że zginiesz pod

kopytami!

Jandria miała na sobie strój do jazdy i zakurzone buty, a na szyi maskę przeciwpyłową, jakich używają w podróży mieszkańcy Suchych Miast. Romilly rzuciła się jej w objęcia.

–Janni! Nie wiedziałam, że wracasz!

–Długo mnie nie było, siostrzyczko – powiedziała Jandria, odwzajemniając uścisk. Romilly brudnymi rękami przygładziła rozwichrzone włosy.

–Rozsiodłam konia i porozmawiamy do samej kolacji. Czyż nie jest wspaniały?

Nazwałam go Słoneczny.

Powiedział mi, że tak o sobie myśli.

–Rzeczywiście, jest piękny – przyznała Jandria. – Nie powinnaś jednak nadawać koniom takich wyszukanych imion, tylko proste i łatwe do zapamiętania, skoro mają na nich jeździć żołnierze. Przede wszystkim zaś nie powinnaś ich rozpieszczać i tak się do nich przywiązywać, bo wkrótce ci je zabiorą. One są przeznaczone dla armii, nawet jeśli część przypadnie w udziale mieczniczkom, które znajdą się w wojsku Carolina. Przecież widziałaś obóz. Niedobrze, że tak głęboko się angażujesz.

–Niestety, nic nie mogę na to poradzić – odparła Romilly. – W taki sposób je trenuję. Zdobywam ich miłość i zaufanie, a one spełniają moją wolę.

Jandria westchnęła.

–Twój *laran* jest nam niezbędny, ale nie podoba mi się, że tak cię

wykorzystujemy, dziecko. – Poglaskała miękkie włosy Romilly. – Orain wspomniał mi,

że znasz się na ptakach-zwiadowcach. Mam cię zabrać do obozu Carolina, żebyś

nauczyła nowego opiekuna, jak się nimi zajmować. Idź i przebierz się do jazdy, moja droga.

–Do jazdy? A co, według ciebie, robiłam przez cały ranek?

–Byłaś na terenie zajazdu – stwierdziła Jandria surowo.

Nagle Romilly ujrzała siebie jej oczami: splątane włosy ze źdźbłami słomy, tunika rozpięta na piersiach z powodu gorąca, połatane i zbyt ciasne spodnie wygrzebane ze skrzyni, w której siostry trzymały ubrania używane do prac domowych. Dziewczyna spłonęła na twarzy i zachichotała.

–Pójdę się przebrać. Zaraz wracam.

Umyła się przy studni i pobiegła do pokoju, który dzieliła z Cleą i Bettą. Przyczesła zmierzwiłe włosy i nałożyła własne spodnie, czystą koszulę, karmazynowa tunikę mieczniczki i pas ze sztyletem. Teraz wyglądała nie jak kobieta w męskim przebraniu albo ulicznik, lecz jak prawdziwa Siostra Mieczowa i żołnierz

armii Carolina. W tym oficjalnym stroju wręcz sama siebie nie poznawała.

Jandria uśmiechnęła się z aprobatą na jej widok. Ona również miała na sobie przepisową szkarłatną tunikę, u pasa miecz, zawieszony na szyi sztylet, a w lewym uchu mały lśniący kolczyk. Ramię w ramię wyjechały z zajazdu i ruszyły ku murom Serrais.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dopiero teraz Romilly z bliska przyjrzała się obozowisku i srebrno-błękitnej chorągwi Hasturów powiewającej nad centralnym namiotem, który musiał być prywatną kwaterą króla albo siedzibą jego sztabu. Gdy mijaly kuchnię, doleciał do nich smakowity zapach. Trochę dalej, na polu odgrodzonym linami, Siostra Mieczowa, którą Romilly słabo znała, udzielała lekcji walki wręcz grupie nie ogolonych rekrutów. Kilku z nich wyglądało na zirytowanych i niezadowolonych. Zapewne nie podobało się im, że są szkoleni przez kobietę. Inni rozcierali siniaki i guzy, które zarobili, gdy instruktorka ciskała ich na ziemię, i przykładali się do zajęć z większą uwagą. Blisko środka obozu zatrzymał je strażnik. Jandria zasalutowała.

–Siostra Mieczowa Jandria i nowicjuszka Romilly. Wezwał nas lord Orain.

Romilly bała się, że strażnik rzuci nieuprzejmą lub szyderczą uwagę, ale on

odwzajemnił salut i zawołał gońca, chłopca mniej więcej w jej wieku. Kazał mu zawiadomić lorda Oraina o wizycie.

Romilly wszędzie rozpoznabyły tę wysoką, chudą postać i twarz o ostrych rysach. Teraz jednak Orain miał na sobie elegancki strój w barwach Hasturów, wysadzany klejnotami pas i piękny miecz. Dziewczyna doszła do wniosku, że gdyby go takim ujrzała po raz pierwszy, byłaby pod zbyt dużym wrażeniem, żeby się odezwać. Orain złożył kobietom ceremonialny ukłon.

–*Mestra'in*, to uprzejme z waszej strony, że tak szybko przybyłyście na wezwanie – powiedział kurtuazyjnym tonem dworzanina, bez śladu wiejskiej wymowy.

Jandria odparła równie uprzejmie, że służenie królowi jest dla niej przyjemnością i obowiązkiem.

–Wiem, że Romilly zna się na ptakach-zwiadowcach – kontynuował Orain mniej oficjalnie. – Z Tramontany przybył do nas *Iaranzu*, który jednak nie ma twojego doświadczenia. Czy zechcesz zaprezentować mu swoje umiejętności, *damisela*?

–Chętnie, lordzie Orainie. Pod warunkiem, że przestaniesz mnie tytułować

damisela?

Mężczyzna poczerwieniał na twarzy.

–Przepraszam, Romilly – bąknął nie patrząc jej w oczy. – Chodźcie ze mną. Romilly

ruszyła za Jandrią i Orainem.

–Jak się miewa wasza Wysokość? – spytała Jandria.

–Lepiej, po otrzymaniu wieści, które nadesłałaś, moja droga. Widziałaś się z Lyondrim?

–Ostatecznie stchórzyłam i wysłałam Romilly.

Gdybym go wtedy spotkała... – Zamilkła na moment. – Nie wiem, czy przejeżdżałeś

obok wiosek leżących przy starej Północnej Drodze. Nadal są wyludnione. – Wzdrygnęła się. – Cieszę się, że jestem uczciwą Siostrą Mieczową, a nie *Ieronis!* Gdybym musiała brać udział w niszczeniu dobrej ziemi, nie mogłabym potem spojrzeć na siebie w lustrze!

Romilly zastanawiała się przez chwilę, czy z tego właśnie powodu MacAran nienawidził Wież i wypędził *Ieronis*, która chciała przebadać Romilly i Mallinę, a Ruyven uciekł z domu? Sądząc choćby po tym, co sama widziała, wojna z użyciem *laran* była przerażająca.

–Carolin powiedział, że nie zastosuje pierwszy diabelskiej broni, ale skoro Rakhal

wystawił *laranzu'in* przeciwko jego armii, on jest zmuszony do tego samego. Sama

doskonale wiesz, Janni. – Westchnął. – Lepiej opowiedz mu, czego dowiedziałaś się w

Hali, choć te wieści go zasmucają. Jeśli chodzi o Romilly... – Obejrzał się na nią. – Tam

jest namiot mistrza od ptaków i jego ucznia. Na pewno ich gdzieś tam znajdziesz.

Chodź, Janni.

Jandria i Orain ruszyli w stronę namiotu z powiewającą chorągwią, a Romilly we wskazanym kierunku. Czowała się niepewnie. Nie wiedziała, jak ma rozmawiać z obcym *laranzu*. Zaraz jednak wyprostowała plecy i dumnie uniosła głowę. Była MacAranówną, Siostrą Mieczową i sokolniczką. Nie musiała się nikogo obawiać. To oni potrzebowali jej pomocy, a nie odwrotnie. Przy namiocie dostrzegła prosto ubranego chłopca w wieku około trzynastu lat, niosącego wielki kosz. Gdyby nawet go nie zauważyła, na pewno by wyczuła, bo z daleka śmierdział padliną. Ujrzała też trzy paskudne i zarazem piękne stworzenia siedzące na grubych stojakach. Podbiegła do nich ze śmiechem.

–Pilność! Rozwaga, moje kochane! – Wyciągnęła do nich ręce, a ptaki lekko

pochyliły głowy. Poznały ją i nawiązały kontakt. – Gdzie Wstrzemięźliwość? Ach, tam

jesteś, ślicznotko!

–Nie zbliżaj się do nich – odezwał się za nią dziwnie znajomy głos. – Te ptaszyska potrafią wydziobać oczy. Mój uczeń stracił wczoraj paznokieć!

Romilly odwróciła się i zobaczyła smukłego mężczyznę w ciemnej szacie przypominającej habity mnichów z Nevarsin. Brodacz patrzył na nią spode łba. Twarz wydawała się obca, ale dziewczyna nagle uświadomiła sobie, czyj to głos.

–Ruyven! – zawołała z niedowierzaniem. – Och, powinnam była się domyślić, kiedy usłyszałam o *Iaranzu* z Tramontany. Nie poznajesz mnie?

Śmiała się i płakała jednocześnie, a Ruyven gapił się na nią z otwartymi ustami.

–Romi – przemówił w końcu. – Siostró, jesteś ostatnią osobą na świecie, którą spodziewałbym się tutaj ujrzeć! W dodatku ten strój... – Obejrzał ją od stóp do głów i poczerwieniał. – Co tu robisz? Skąd się wzięłaś w obozie?

–Wezwano mnie, żebym zajęła się ptakami, głuptasie. Opiekowałam się nimi przez całą drogę od podnóży Hellerów do Nevarsin i z Nevarsin do Caer Donn. Znają mnie. Widzisz? – Ptaki wydały ciche odgłosy zadowolenia. – A co ty tutaj robisz?

–To samo co ty. Syn lorda Oraina i ja jesteśmy *bredin*. Przesłał po mnie, więc zjawilem się, żeby wstąpić do armii Carolina. Ale ty... – Spojrzał z niesmakiem na jej strój mieczniczki. – Czy ojciec wie, gdzie jesteś? Dostałaś jego zgodę?

–Tak samo jak ty na kształcenie twego *Iaran* w Wieży Tramontana – odparła krzywiąc się.

Ruyven westchnął.

–Biedny ojciec. Stracił nas oboje, a Darren... No cóż, stało się. Nosisz kolczyk Sióstr Mieczowych, a ja strój Wieży i oboje pomagamy Carolinowi. Widziałaś króla?

–Nie, ale przez jakiś czas podróżowałam z jego ludźmi: Orainem i dom Carlem z Niebieskiego Jeziora.

–Nie słyszałem o Carlu. Zajmujesz się ptakami-zwiadowcami? Pamiętam, że

zawsze miałaś dobrą rękę do koni, psów i sokołów, więc pewnie z nimi też sobie radzisz. Szkoliłaś swój *laran*, siostrze?

–Nie. Sama go w sobie rozwinęłam, pracując ze zwierzętami i ptakami. Ruyven potrząsnął głową, zaniepokojony.

–Nieszkolony *laran* to niebezpieczna rzecz, Romi.

Kiedy wojna się skończy, znajdę dla ciebie miejsce w Wieży. Czy ty wiesz, że jeszcze nie przywitałaś się ze mną jak należy? – Uściskał ją i pocałował w policzek. – Więc znasz te ptaki? Do tej pory nie spotkałem nikogo, kto dawałby sobie z nimi radę, oprócz lorda Oraina.

–To ja nauczyłam go wszystkiego.

Podeszła do stojaka i odwiązała pęta Rozwagi. Ptak wskoczył jej na nadgarstek, a Romilly od razu pożałowała, że nie wzięła rękawicy. Cóż, w obozie Carolina pewnie jakaś dla niej się znajdzie.

Z ukłuciem w sercu pomyślała nagle o Preciosie. Nie widziała jej od czasu przybycia w te pustynne okolice. Pamiętała jednak, że sokolica już raz ją opuściła, gdy dotarli do lodowców, i zjawiała się dopiero w krainie zielonych wzgórz. Możliwe, że wróci do niej pewnego dnia...

... a jeśli nie, to trudno. Jest dzika i wolna. Należy tylko do siebie, do nieba i wiatru.

–Zdobędziesz dla mnie rękawicę? – spytała. – Z Rozwagą poradzę sobie ostatecznie gołymi rękami, ale tamte są cięższe i nie mają tak delikatnego chwytu.

–To ptaszysko miałoby być delikatne? – Ruyven roześmiał się, ale gdy zobaczył, że Romilly nie żartuje, spochmurniał. – Nazwałaś ją Rozwagą? Wyślę pomocnika po rękawicę, a ty mi powiesz ich imiona i jak je rozróżniasz.

Ranek minął szybko. MacAranowie rozmawiali tylko o ptakach, nie wspominając o wspólnej przeszłości ani o Falconsward. W południe zabrzmiał dzwon wzywający na obiad. Ruyven kazał Romilly iść za sobą.

–W obozie jest kilka Sióstr Mieczowych, ale nocują w swoim zajeździe –

powiedział. – Zresztą pewnie znasz je lepiej niż ja. Możesz jadać posiłki z nimi. Sądzę,

że tak będzie najlepiej, bo one unikają żołnierzy, a ja nie mogę wyjaśniać całej armii,

że jesteś moją siostrą.

Romilly stanęła w długiej kolejce, po czym zaniósła swój chleb i gulasz do osobnego stołu, przy którym siedziało siedem czy osiem Sióstr Mieczowych zatrudnionych w armii – w charakterze kurierów, koniuszych, instruktorek walki wręcz i fechtunku. Niektóre z nich poznała już w zajeździe. Nie wydawały się zaskoczone jej widokiem. Jandria nie przyszła. Prawdopodobnie została z lordem Orainem i wyższymi oficerami, którzy mieli oddzielną stołówkę.

–Czym się zajmujesz? – spytała ją jedna z kobiet.

Romilly odparła krótko, że pracuje przy ptakach- zwiadowcach.

–Sądziłam, że to praca dla *leronyn* – zauważyła któraś. – Widzę, że masz rude włosy. Jesteś obdarzona *lararft* - Mam podejście do zwierząt. Nie wiem, czy to jest *laran*, czy coś innego.

Nie chciała, żeby ją traktowano z rezerwą i lękiem jak *leroni*. Po obiedzie wróciła do namiotu Ruyvena i do końca dnia oboje szkolili ptaki.

Zmierzchało już, gdy odstawili swych podopiecznych na stojaki. Właśnie nieśli je pod namiot, gdy Ruyven dostrzegł gościa.

–Prawa ręka Carolina – szepnął do Romilly. – Samego króla widzujemy rzadko. Rozkazy zawsze przekazuje lord Orain. Wiem, że go znasz.

–Podróżowałam z nim przez kilka miesięcy, ale wszyscy myśleli, że jestem chłopcem.

Orain podszedł do nich i zwrócił się do Ruyvena, ignorując Romilly.

–Kiedy ptaki będą gotowe do zwiadu?

–Może za dekadę.

–A Derek jeszcze nie przybył – oznajmił Orain nachmurzony. – Myślisz, że *leronis* się zgodzi?

–Pole bitwy nie jest miejscem dla lady Maury. Poza tym Lyondri to jej krewny. Powiedziała, że zajmie się ptakami, ale kazała mi obiecać, że nie będzie musiała walczyć przeciwko niemu. Nie dziwię się jej. Nie należy wciągać kobiety w wojnę, na której brat walczy przeciwko bratu, a ojciec przeciwko synowi.

–Mężczyzny również – stwierdził Orain z krzywym uśmiechem. – Niestety świat kręci się, jak chce, a nie tak jak my byśmy sobie życzyli. Ani ja, ani Carolin nie

wywołaliśmy tej wojny. Szanuję uczucia lady Maury.

Musimy znaleźć kogoś innego, kto będzie wypuszczał ptaki. Romilly... – W jego głosie dał się słyszeć ślad dawnego ciepła. – Zrobisz to dla Carolina?

Kiedy czegoś chce, potrafi być uprzejmy, pomyślała. Nawet wobec kobiety.

–Musisz spytać moje zwierzchniczki, *vai dom* – odparła chłodno. – Jestem nowicjuską i nie mogę sama podejmować takich decyzji.

–Och, myślę, że Jandria nie będzie robiła trudności – uśmiechnął się. – Nie wątpię, że Siostry Mieczowe wypożyczą nam ciebie.

Romilly ukloniła się w odpowiedzi. Pomyślała jednak: Na pewno nie, gdybym ja miała cokolwiek do powiedzenia.

Mieczniczki wracały do zajazdu w świetle zachodzącego słońca. Niebo było bezchmurne. Romilly nie przestała tęsknić za wieczornym deszczem lub śniegiem. Ta sucha, jałowa kraina nadal wydawała się jej niegościnna. Jandria próbowała z nią

rozmawiać o armii i okolicy, pokazała Wielki Dom Serrais przycupnięty na niskim wzgórzu, gdzie potomkowie Hastura obrali sobie miejsce na siedzibę, podobnie jak w Thendarze i Hali, a także w Aldaranie i Carcosie w górach. Lecz Romilly milczała, zatopiona w myślach.

Ruyven już nie jest bratem, którego znałam. Możemy się przyjaźnić, ale brakuje dawnej zażyłości. Miałam nadzieję, że zrozumie, dlaczego uciekłam z Falconsward. Z nim było przecież podobnie. Kiedyś patrzył na mnie po prostu jako na Romilly, a nie na małą siostrzyczkę. Teraz widzi we mnie tylko Siostrę Mieczową i sokolniczkę.

Utraciwszy Falconsward, ojca, matkę, dom, myślałam, że kiedy spotkamy się z Ruyvenem, będzie tak samo jak w dzieciństwie, ale on stał się obcy.

Teraz nie mam już nic, tylko mego sokoła oraz umiejętność walki na miecze i nawiązywania kontaktu ze zwierzętami.

Gdy dotarli do zajazdu, już dawno było po kolacji, ale jedna z kobiet znalazła im w kuchni coś do jedzenia. W milczeniu poszły do łóżek. Romilly doszła do wniosku, że myśli Jandrii muszą być równie gorzkie jak jej własne.

Niech będzie przeklęta ta wojna! Ruyven i Orain też to mówią. Ojciec chyba miał rację. Jakie ma znaczenie, który łotr zasiada na tronie, a który, jeszcze większy łajdak, stara się mu go wydrzeć?

Romilly codziennie pracowała najpierw z mniej inteligentnymi końmi, którymi łatwiej było kierować. Słonecznego zostawiała sobie jako nagrodę na koniec długiego ranka. Ponadto wydawała polecenia mieczniczkom i osobiście nadzorowała postępy w ujeżdżaniu wierzchowców i przyzwyczajaniu ich do rzędu i siodła. Wiedziała, że jest tylko jednym z armijnych koniuszych, którzy mieli zaopatrzyć kawalerię w wierzchowce. Pozostałych Carolin wynajął w Serrais. Czasami ich widywała. Przychodzili z miasta i pracowali na równinach. Ona wiedziała jednak, że jej konie są szkolone dużo szybciej i najlepiej.

Tuż przed południem obchodziła swoje małe włości, poklepując każdego konia i wchodząc z nim w długi emocjonalny kontakt. Kochała wszystkie i pamiętała, że wkrótce rozstanie się z nimi, ale każdy uniesie ze sobą część siebie samej, dokądkolwiek uda się armia Carolina. Klepała zwierzęta, obejmowała je za smukłe szyje, głaskała po aksamitnych chrapach. Każdy kontakt coraz bardziej wyostrzał jej świadomość, aż w końcu zakręciło się jej w głowie. Miała wrażenie, że biegnie w słońcu na czterech nogach i z radością niesie swojego pana. Przyszło jej do głowy, że każdy wierzchowiec ma w sobie coś z prawości Nosiciela Brzemion, który, według

pism świętego Walentego, samotnie dźwigał ciężar świata. Ona była każdym z koni po kolei, знаła ich charaktery, bunt, późniejsze zdyscyplinowanie, uległość i poczucie działania w pełnym zjednoczeniu oraz wszystkiego, co się z tym wiązało.

Może tylko konie wiedzą, czym jest prawdziwa wiara, skoro znają ciężar brzemienia, myślała w oszołomieniu. A ja, zaledwie istota ludzka, zostałam wybrana, żeby się tego dowiedzieć.

Łatwiej nawiązywało się kontakt i czuło jedność z końmi niż z sokołami, a nawet bystrzejszymi ptakami-zwiadowcami, bo konie cechowała żywsza inteligencja. Choć z wrażliwymi ptakami błogo dzieliło się ekstazę lotu, miały one ograniczoną świadomość, skupioną głównie w ostrym wzroku. Zmysłowa świadomość koni, jako istot bardziej zorganizowanych, bardziej przypominała ludzką.

Pod koniec porannej pracy, kiedy odprowadzono już zwierzęta do stajni, Romilly zabierała stamtąd Słonecznego. Zwykle wystarczyło mu jedno słowo, żeby wykonać polecenie. Dziewczynę przepelniała miłość. Ona sama była koniem, czuła na grzbiecie siodło i rzemienie popręgu. Świadomość miała osobiście rozdwojoną.

Nie wiedziała, czy wskakuje na siodło, czy też przejmując ciężar na swój grzbiet. Czuła własne ciało, a jednocześnie pędziła swobodnie razem z wiatrem. Była tak zgrana i stopiona z wierzchowcem, że czasami nie mogła odróżnić, gdzie jest ona, a gdzie Słoneczny. Mimo tych wrażeń nigdy jeszcze nie miała podobnego poczucia rzeczywistości i nigdy tak w pełni nie była sobą. Żar słońca, pot spływający po bokach, doskonały rytm. Czas zdawał się podzielony na nieskończone małe fragmenty, do których przykładała należytą wagę, nie myśląc o przeszłości ani o

przyszłości, gdyż wszystko działo się w terażniejszości.

Potem z żalem wracała, zsiadała ze Słonecznego i zarzucała mu ramiona na lśniąca szyć w ekstazie miłości i oddania. Nie potrzebowała słów. Ona była nim. On był nią. Nawet jeśli by mieli nigdy więcej nie zaznać tej rozkoszy spełnienia, wspaniałej i wszechogarniającej, gdyby już nigdy go nie dosiadła i nie popędziła w stronę bezkresnej równiny przyjemności dającej zapomnienie, ich jaźnie na zawsze będą ze sobą związane. Ta chwila była wieczna i miała powtarzać się bez końca.

Następnie, z lekkim żalem – tylko z lekkim, gdyż w swoim podniosłym nastroju wiedziała, że na wszystko jest właściwy moment i nie można go za bardzo przedłużyć – schodziła na inny poziom świadomości i znowu była sobą, Romilly. Obejmowała konia, klepała na pożegnanie po jedwabistym kłębie i odprowadzała do stajni. Wracając do zajazdu, nie czuła nóg i trochę irytował ją przyjazny głos Clei.

–Ależ on piękny. Czy to ten czarny ogier, o którym mi opowiadano? Nie jest zbyt dziki? Czy nie trzeba go będzie zwrócić? – Dostrzegła wyraz twarzy Romilly. – Jeździłaś na nim?

–Jest łagodny jak dziecko – odparła Romilly z roztargnieniem. – Kocha mnie, ale każdy mógłby na nim jeździć.

Żałowała, że nie może dać tego pięknego stworzenia Carylowi, który z pewnością by je pokochał tak jak ona, bo miał jej *Iaran*. Nie mogła zatrzymać królewskiego wierzchowca dla siebie, więc byłoby najlepiej, gdyby przypadł w udziale wrażliwemu chłopcu. Zaraz jednak wróciła na ziemię, przypomniawszy sobie, że Caryl to syn Lyondriego Hastura, jej zaprzysięgłego wroga.

–Czego chcesz, Cleo?

–Chciałam porozmawiać z tobą o lekcji walki wręcz, ale po drodze spotkałam Jandrię, która powiedziała, że znowu przysłano po ciebie z obozu króla.

Masz zająć się ptakami-zwiadowcami. Spakuj swoje rzeczy. Już tutaj nie wracasz.

Nie wraca? Musi więc pożegnać się ze Słonecznym wcześniej, niż sądziła. W obecnym stanie wiedziała jednak, że to nie ma znaczenia. Na zawsze pozostaną częścią siebie. Teraz ona będzie sokolniczką armii Carolina – nie zastanowiła się, skąd to wie – i podobnie jak Słoneczny poniesie wyznaczoną jej część ciężaru świata.

–Dziękuję, Cleo. Dziękuję za wszystko, czego mnie nauczyłaś.

–Romi, ale błyszczą ci oczy! Lubiłam cię uczyć. Zawsze przyjemnie uczy się kogoś,

kto jest taki pojętny.

–Uściskała ją spontanicznie. – Przykro mi, że odchodzisz. Mam nadzieję, że kiedyś wrócisz, a jeśli nie, to może zobaczymy się w innym zajeździe. Siostry Mieczowe dużo

podróżują i wciąż spotykają się na szlakach Stu Królestw.

Romilly ucałowała serdecznie Cleę i weszła do zajazdu, żeby spakować swój skromny dobytek.

Gdy zeszła do holu, ujrzała Jandrię gotową do jazdy. Ona również miała ze sobą węzełek z rzeczami osobistymi.

–Kazałam przygotować Słonecznego – oznajmiła. – Inne konie zostaną odprowadzone później w ciągu dnia, ale z nim spędziłaś tyle czasu i dałaś mu tyle miłości, że powinnaś mieć przywilej osobistego przekazania go królowi Carolinowi.

Więc stanie się to wcześniej, niż sądziłam. Lecz po dzisiejszym ranku Słoneczny i ja zawsze będziemy jednym.

Koń niechętnie dał się prowadzić na linie. Romilly żałowała, że nie może na nim jechać, ale nie wypadało w taki sposób sprezentować wierzchowca królowi. Uspokoila zwierzę łagodnymi słowami i kojącą falą czułości. Czując dotyk i troskę Romilly Słoneczny ruszył potulnie.

Wiesz, mój piękny, że masz być wierzchowcem króla?

Kontakt między nimi nie wymagał słów. Nic one nie znaczyły dla Słonecznego, który nie miał pojęcia o królach. Romilly wiedziała, że nawet jeśli koń zaufa Carolinowi i pokocha go, nie będzie między nimi takiego poczucia jedności i bliskości. Nagle zrobiło się jej żal Carolina. Piękny ogier będzie należał do niego, ale to ona na zawsze pozostanie jego prawdziwą właścicielką.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W obozie wyczuwało się subtelną zmianę atmosfery. Zwinięto wielki namiot z chorągwią Hasturów. Wszędzie panowało zamieszanie. Zostawiwszy Słonecznego z Jandrią, Romilly pobiegła do kwatery sokolników. Ruyven właśnie mocował stojaki na jucnych zwierzętach. *Chervine*, którym nie podobał się smród padliny, przestępowały niespokojnie z nogi na nogę i parskały.

–Domyślam się, że armia rusza na południe, a ja mam jechać z wami – stwierdziła Romilly.

Ruyven skinął głową.

–Sam nie dam sobie rady z trzema ptakami, a w promieniu stu kilkudziesięciu kilometrów nie ma innych wykwalifikowanych opiekunów, z wyjątkiem tych, którzy najpewniej są w przedniej straży Rakhala, niech nam Bóg dopomoże. Dostaliśmy wiadomość z Hali, że Rakhal zbiera armię pod wodzą Lyondriego Hastura, i jeśli wyruszy zgodnie z naszymi przewidywaniami – a zależą one w pewnym stopniu od tego, jak dobrze ty i ja wykorzystamy oczy naszych ptaków – spotkamy się w pobliżu

Neskaya na Wzgórzach Kilghardzkich. Lord Orain pytał, czy możemy dzisiaj wysłać zwiadowców na przeszpiegi.

–No i oczywiście kiedy Orain coś mówi, cała armia staje na baczność – skomentowała Romilly.

Ruyven wytrzeszczył oczy.

–O co ci chodzi, Romy? Lord Orain to dobry człowiek, główny doradca i przyjaciel Carolina! Nie lubisz go? Z jakiego powodu?

Romilly opamiętała się. Wiedziała, że w grę wchodzi zraniona duma. Póki Orain brał ją za chłopca, darzył podziwem i zaufaniem, a kiedy dowiedział się prawdy, jego stosunek uległ zmianie. Romilly stała się jedną z nic nie znaczących osób, kobietą,

może niebezpieczną dla niego. Lecz to był problem Oraina. Ona nie zrobiła nic, żeby zasłużyć na odrzucenie.

To on stracił, a nie ja, myślała gniewnie.

–Cenię zalety Oraina. Podróżowałam z nim przez wiele księżyców. Nie podoba mi się jednak, że patrzy na mnie z góry tylko dlatego, iż jestem kobietą. Udowodniłam, że potrafię pracować równie dobrze i wytrwale jak mężczyzna.

–Bez wątpienia, Romi – przyznał Ruyven tonem tak pojednawczym, że Romilly zaczęła się zastanawiać, czy skrywany gniew na tyle wyraźnie odmalował się na jej twarzy. – Lecz Orain nie kocha kobiet i nie szkolił się w Wieży. W Tramontanie wszyscy wiedzą, że możliwości kobiet i mężczyzn nie różnią się tak bardzo. Jesteśmy pierwszą Wieżą, która eksperymentalnie uczyniła kobietę Strażniczką jednego z kręgów. Ona spisuje się równie dobrze jak mężczyzna, nawet Hastur. Myślę, że ty też mogłabyś wynieść korzyści z takiego szkolenia.

–Dawniej tak przypuszczałam, ale teraz znam swój *laran*. Ojciec również ma Dar, bo inaczej nie szkoliby koni tak, jak je szkoli. Wiem, że odziedziczyłam Dar po nim.

–Nie wypowiadałbym się tak pochopnie przeciwko szkoleniu w Wieży. Ja również myślałem w Nevarsin, że opanowałem swój *laran*. Odkryłem jednak, że w wojnie ze sobą pierwszych linii broniłem dobrze, lecz tyły zostawiłem nie strzeżone. Omal przez to nie poniosłem klęski.

Romilly niecierpliwie machnęła ręką. Przenośnia wydała się jej chybiona.

–Skoro mamy wypuścić ptaki, bierzmy się do pracy. Lord Orain wydał rozkaz. Nie możemy pozwolić, żeby główny doradca króla czekał.

Ruyven już miał zaprotestować, ale westchnął tylko i zbył milczeniem jej sarkazm. W czarnej szacie wyglądał jak mnich, a szczupła twarz miała nieobecny, beznamiętny wyraz, który kojarzył się z braćmi z Nevarsin.

–Przyjdą po nas, kiedy będziemy potrzebni. Sprawdzisz, czy pęta

Wstrzemięźliwości nie są zbyt ciasne? Boję się, żeby nie podrażniły starej blizny na nodze. Orain mówił, że zanim się u nich zjawiłaś, ptak trochę ucierpiał. Masz bystrzejsze oczy niż ja.

Romilly poszła zbadać nogę Wstrzemięźliwości. Najpierw uspokoiła ją myślami. Nie stwierdziła niczego poważnego, ale przesunęła pęta w inne miejsce. Stara blizna

rzeczywiście był zaogniona. Romilly przemyśla ją na wszelki wypadek roztworem proszku *karalla*. Później nasypała go do trzech kapturów dla ochrony przed wilgocią i pasożytami, które czasem atakowały ptaki i powodowały linienie.

–Przykro mi, że wykorzystuję swoje umiejętności na wojnie – rzekł wreszcie

Ruyven. – Wolałbym siedzieć spokojnie w Wieży i pracować dla naszych ludzi w

górach. Z drugiej strony, wszystkie królestwa jedno po drugim wpadłyby w ręce

Lyondriego Hastura i nikczemnego Rakhala, który nie ma honoru, *laran* ani poczucia

sprawiedliwości, tylko żądzę władzy. Carolin przynajmniej jest honorowym człowiekiem.

–Orain też tak twierdzi. Ja nigdy nie widziałam króla.

–Wkrótce go zobaczysz – odezwał się za nimi Orain, który najwyraźniej słyszał

całą rozmowę. – Jandria powiedziała mi o darze od waszego zajazdu. Słusznie uznała,

że powinnaś przekazać go królowi osobiście, mistrzyni Romilly. Chodź ze mną.

Romilly zerknęła na Ruyvena.

–Ja też pójdę – powiedział brat i zdjawszy rękawicę ruszył za nimi.

Dlaczego Ruyven jest królewskim sokolnikiem, myślała gniewnie dziewczyna, a ja tylko jego pomocnicą? Umiera więcej od niego, a poza tym jestem zawodową Siostrą Mieczową; Ruyven wolałby siedzieć w Wieży, a dla mnie ta praca to całe życie. Sam wspomniał, że w Wieży kobiety mogą zajmować wysokie stanowiska, ale nie przyszło mu do głowy, że jego siostra też powinna być traktowana sprawiedliwie. W armii Carolina widocznie panuje stary pogląd, że mężczyzna zawsze lepiej wykonuje pracę niż kobieta, choćby najlepiej przygotowana.

Buntownicze myśli przerwał widok Jandrii trzymającej Słonecznego za wodze. Koń był osiodłany. Kiedy zarżał cicho na powitanie, Romilly z miłością sięgnęła do jego umysłu.

–To zaszczyt dla Sióstr Mieczowych, że możemy ofiarować królowi ten wspaniały dar – oświadczyła Jandria. – Dziękuję ci w ich imieniu.

–To ja czuję się zaszczycona – odparła Romilly cicho. – Praca ze Słonecznym była

przyjemnością.

–Oto król i lord Orain – powiedziała Jandria.

W ich stronę szedł Orain ubrany w strój do konnej jazdy i mężczyzna w płaszczu z kapturem. Romilly przejęta chwyciła wodze Słonecznego.

–Panie, wyświadczasz nam łaskę. – Jandria złożyła głęboki ukłon. – Siostry

Mieczowe mają zaszczyt i przyjemność podarować ci wspaniałego konia, którego wyszkoliła Romilly, nasz najlepszy koniuszy.

Dziewczyna nie podniosła wzroku na króla. Czowała na sobie spojrzenie Oraina.

–Ma na imię Słoneczny, Wasza Królewska Wysokość, i jest dobrze wyszkolony.

Będzie cię wiernie nosił.

Nie zna szpicruty ani ostróg.

–Wierzę, że jest świetnie szkolony, skoro ty się nim zajmowałaś, Romilly –

powiedział znajomy głos.

Dziewczyna podniosła wzrok i ujrzała dom Carla z Niebieskiego Jeziora. Mężczyzna uśmiechnął się na widok jej zdumionej miny.

–Przykro mi, że cię oszukałem, panno MacAran.

Już od dawna wiedziałem, kim jesteś.

Romilly przypomniała sobie moment, kiedy poczuła dotyk jego *lاران*.

–Szkoda, że mi nic nie powiedziałaś, *vai dom* – odezwał się Orain. – Nie miałem pojęcia, że ona jest dziewczyną, i zrobiłem z siebie kompletnego głupca!

Dom Carlo – nie, król Carolin, Hastur z Hasturów, władca Thendary i Hali -spojrzał na Oraina z nie skrywanym uczuciem.

–Widzisz tylko to, co chcesz widzieć, *bredu*. – Poklepał Oraina po ramieniu i

zwrócił się do Romilly. – Dziękuję Siostrze Mieczowej za wspaniały dar i tobie za lojalność. Obie te rzeczy są dla mnie równie cenne.

Słyszałem, że zajmujesz się ptakami-zwiadowcami, którym ocalałaś życie, kiedy spotkaliśmy się na szlaku do Nevarsin. Nie zapomnę ci tego, moja... – zawahał się i uśmiechnął – mieczniczko. Dziękuję. Dziękuję wam wszystkim.

Romilly dotknęła Słonecznego w geście ostatecznego pożegnania.

–Służ mu dobrze – szepnęła. – Noś go wiernie i kochaj, jak ja Kocham Ciebie.

Patrzyła, jak król bierze wodze i dosiada wierzchowca.

On też ma ślad Daru. Słoneczny nie idzie do brutalnego ani niewrażliwego człowieka, ale do takiego, który pozna się na jego wartości.

Mimo wszystko była niepokieszona. Dom Carlo nie zdradził sekretu przed mężczyznami, lecz mógł powiedzieć prawdę Orainowi i oszczędzić jej upokorzenia. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że nie miał pojęcia o jej uczuciach wobec Oraina i nie mógł przewidzieć, że ona znajdzie się w jego łóżku.

Cóż mniejsza o to. Stało się. W tym momencie podszedł do niej Ruyven, więc przedstawiła go Jandrii.

–Mój brat Ruyven. Lady Jandria.

–Siostra Mieczowa Jandria – sprostowała kobieta ze śmiechem. – Mówiłam ci, że tytuły zostawiamy za sobą, kiedy bierzemy do ręki miecz. A twój brat to...

–Ruyven MacAran, Czwarty w Tramontanie, Drugi Krąg. Czy masz jeszcze jakieś sprawy do mojej siostry, domna?

Romilly zauważyła, że odruchowo użył wobec Jandrii określenia „domna”, czyli „pani”, przeznaczonego dla osób równych lub wyższych pozycją, a nie „mestra”, stosowanego wobec osób stojących na niższym szczeblu drabiny społecznej.

–Możecie iść – powiedziała Jandria.

Romilly zmarszczyła brwi i poszła za Ruyvenem.

Miała nadzieję, że jeszcze tego dnia trafi się okazja, żeby porozmawiać z Ruyvenem o jej wyjeździe z Falconsward. Zamierzała wtedy – jakże to było dawno! – poszukać Wieży, w której schronił się brat. Spodziewała się, że przywita ją z otwartymi ramionami. Lecz ten milczący człowiek wyglądający na mnicha nie miał nic wspólnego z bratem, który był jej tak bliski w dzieciństwie. Nie potrafiłaby mu się zwierzyć. Czuła się swobodniej z Jandria, a nawet z Orainem, choć ten ostatnio stał się taki obcy!

Obejrzała się na Słonecznego, który szedł stępa, niosąc dom Carla... nie, króla Carolina. Krótki mentalny dotyk odnowił więź i porozumienie. Romilly uśmiechnęła się.

Jestem bardziej zżyta z tym koniem niż z jakimkolwiek człowiekiem, uświadomiła sobie.

Gdy skończyli pracę, przysłała po nią Jandria.

–Na skraju obozu jest namiot, w którym śpią Siostry Mieczowe towarzyszące armii Carolina – oznajmiła. – Pokażę ci go. Chodź ze mną, Romilly.

–Powinnam spać obok ptaków, jak przystało na dobrego sokolnika – stwierdziła Romilly wzruszając ramionami. – Zawinę się w płaszcz. Nie potrzebuję namiotu.

–Nie możesz spać wśród mężczyzn – oświadczyła Jandria. – To nie do pomyślenia.

–Królewski sokolnik to mój rodzony brat – zaprotestowała Romilly niecierpliwie. – Sugerujesz, że stanowi zagrożenie dla mojej cnoty? Z pewnością obecność starszego brata jest wystarczającą ochroną!

–Znasz zasady obowiązujące Siostry Mieczowe! – przypomniała ostro Jandria. – Nie możemy wszystkim żołnierzom mówić, że to twój brat, a jeśli rozniesie się, że zaprzysiężona mieczniczka spała w jednym namiocie z mężczyzną...

–Ich umysły muszą być niczym ścieki Thendary – rzuciła Romilly gniewnie. – Mam zostawić ptaki z powodu brudnych myśli żołnierzy, których nawet nie znam?

–Przykro mi. To nie ja ustanawiałam zasady i nie mogę ich zmienić, a ty składałaś przysięgę, że będziesz ich przestrzegać.

Gotując się ze złości, Romilly poszła z Jandria na kolację, a potem do namiotu przeznaczonego dla dwunastu Sióstr Mieczowych, które oddelegowano do armii Carolina. Zastała w nim Cleę i obcą kobietę z innego zajazdu. Obie miały szkolić żołnierzy w walce wręcz. Pozostałych Romilly nie знаła, choć od jakiegoś czasu kwaterowały w ich zajeździe. Były to trenerki koni, kwatermistrzynie i kancelistki. Krępa ciemnowłosa kobieta mówiąca ze znajomym górskim akcentem z Hellerów, o rękach jak cepy i rozrośniętych barkach, które nadawały jej niemal wygląd mężczyzny, okazała się kowalem.

Trudno uwierzyć, żeby jej cnota mogła być zagrożona, ironizowała w duchu Romilly, nawet gdyby ta kobieta spała naga wśród stu żołnierzy. Wyglądała, jakby potrafiła sama się obronić przed wszystkimi kowalami z kuźni Zandru!

Pomyślała z żalem, że była bardziej wolna, kiedy podróżowała w męskim przebraniu

przez Hellery razem z Orainem i Carlem – Carolinem – i grupką wygnańców. Pracowała z mężczyznami, chodziła sama po mieście, przesiadywała w tawernach. Teraz jej swobodę ograniczały zasady Sióstr Mieczowych, które bały się kłopotów i plotek. Nawet jako wolna mieczniczka nie była wolna.

Narzekając pod nosem, przygotowała się do snu. Przyszło jej do głowy, że życie tych kobiet jest żalosne. Jandrię kochała i mogła z nią rozmawiać swobodnie, nie cenzurując własnych myśli, ale nawet przyjaciółkę krępowała obawa, co sobie pomyślą żołnierze, jeśli Siostry Mieczowe nie będą się zachowywać skromnie niczym panny na wydaniu. Cleę również szanowała i szczerze lubiła, ale nadal miała niewiele przyjaciółek wśród mieczniczek.

Kiedy się u nich zjawiłam, zdawało mi się, że nareszcie będę mogła być sobą, nie udając mężczyzny, rozmyślała gorzko. Nie chcę ukrywać swojego prawdziwego ja. Lecz nie podoba mi się społeczność kobiet, nawet Sióstr Mieczowych. Dlaczego nigdy nie jestem zadowolona?

Przynajmniej wreszcie wykonywała pracę, na której się znała. Nie musiała się też bać żadnych mężczyzn tak jak Rory'ego. A sam król ją pochwalił. Zanim się położyła, sięgnęła umysłem do Słonecznego, jak robiła co noc przez rok spędzony w zajeździe. Tak, koń był zadowolony. Romilly wiedziała, że król Carolin będzie dla niego dobry, doceni jego inteligencję, niesłychaną szybkość i urodę. Sięgnęła trochę dalej, szukając ptaków-zwiadowców. Tak, wszystko w porządku, zresztą w razie czego Ruyven spał obok, jak przystało na dobrego sokolnika. Romilly westchnęła i zapadła w sen.

Następnego ranka udała się do namiotu sokolników i razem z uczniem Ruyvena, czternastoletnim Garenem, poszła nakarmić ptaki. Gdy sprawdzała nogę Wstrzemięźliwości, wyczuła obecność kogoś obcego. W następnej chwili ptaki niespokojnym krzykiem potwierdziły, że zbliża się nieznajoma osoba.

Okazało się, że jest to młody oficer w zielonozłotej pelerynie. Miał szczupłą i wrażliwą twarz, a włosy jasnobłond.

–Jesteś sokolnikiem?

–Czy wyglądam na niego? – warknęła Romilly. – Siostra Mieczowa, Romilly, *para servite*. Sokolniczka Carolina.

–Wybacz, mestra, nie chciałem cię obrazić. Jestem Randal Ridenow. Przynoszę rozkazy od Jego Królewskiej Wysokości. Mam poprowadzić oddział, który wyruszy przed trzonem armii. – Mówił szorstkim tonem, ale bez arogancji, uśmiechał się też odrobinę nerwowo. – Mam również odszukać swoją krewną, domną Maurę Elhalyn. – Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć ptasi jazgot.

–Jak widzisz, panie, nie trzymam tej damy w kieszeni – odparła Romilly

zgrzyźliwie. – O ile wiem, nie ma jej również w łóżku mojego brata, ale możesz go zapytać. A teraz, dom Ranałdzie, może być łaskawie odsunął się od ptaków, bo będą

hałasować, póki cię widzą.

Oficer nie poruszył się.

–Pani brat, mestra? Gdzie go znajdę?

W jego głosie brzmiało zdenerwowanie, choć musiał przekrzykiwać niespokojne wrzaski ptaków. Romilly podeszła do oficera i odsunęła go na bok. Wrzawa powoli ucichła.

–Nareszcie słyszymy się nawzajem, więc oświadczam, że nic nie wiem o pańskiej krewnej lady Maurze, choć zdaje się mój brat, sokolnik, wspominał o niej. Pójdę i...

Nie ma potrzeby, bo oto on.

–Romi? Słyszałem ptaki. Ktoś je wystraszył? W tym momencie Ruyven dostrzegł Ridenowa.

–*Su serva, dom...* Czym mogę ci służyć?

–Szukam lady Maury.

–Dama śpi w tamtym namiocie – odparł Ruyven wskazując ręką kierunek.

–Sama? Wśród żołnierzy?

Nozdrza Ranałda Ridenowa ściągnęły się z niesmakiem. Ruyven uśmiechnął się.

–Sir, ptaki strzegą tej damy lepiej niż cały oddział przyzwoitek i guwernantek.

Sam słyszałeś ich reakcję na zbliżanie się obcego. W razie niebezpieczeństwa przyszedłbym lady Maurze z pomocą albo obudził cały obóz.

Oficer spojrzał uważnie na młodego mężczyznę w ascetycznej ciemnej szacie i pokiwał głową z aprobatą.

–Jesteś mnichem *cristoforo*? - Nie mam tego zaszczytu, sir. Ruyven MacAran,

Czwarty w Tramontanie, Drugi Krąg.

Ridenow pokiwał głową.

–Zatem moja kuzynka jest bezpieczna w twoich rękach, *Iaranzu*. Proszę mi wybaczyć, że zapytam, ale czy lady już wstała?

–Właśnie miałem ją budzić, sir, tak jak mnie prosiła, albo raczej wysłać w tym celu moją siostrę. Romi, czy powiesz lady Maurze, że szuka jej krewniak?

–To nic pilnego – powiedział lord Ridenow. – Proszę ją jednak obudzić. Król Carolin wydał rozkaz, byśmy ruszyli jak najszybciej.

–Nie potrzebujemy więcej jak trzydzieści minut na przygotowanie – zapewnił go Ruyven. – Romi, jesteś gotowa do jazdy? Obudź lady Maurę i powiedz jej...

Jego władczy ton rozzłościł Romilly. Dla tego aroganckiego panicza z nizin miała zostać gońcem jakiejś damy?

–To nie takie proste – odburknęła. – Trzeba nakarmić ptaki, a poza tym nie jest ze mnie żadna służąca lady Maury. Jeśli chcesz ją tu mieć, to możesz sam ją sobie ściągnąć, mój panie.

Z konsternacją uświadomiła sobie, że jej mowa przybrała brzmienie z rodzinnych stron, choć przez rok spędzony na równinach prawie pozbyła się dialektu. Cóż, niech ten lord myśli sobie o niej, co chce. Była mieczniczką i góralką, a nie mieszkanką nizin, która musi kłaniać się i płaszczyć przed *Hali'imyn*! Ruyven miał zgorszoną minę, ale nim zdążył coś powiedzieć, odezwał się cichy głos:

–Dobrze powiedziane, Siostrze Mieczowa. Ja również jestem sługą Carolina i jego ptaków.

Przed małym namiotem stała młoda kobieta w długiej, grubej nocnej koszuli. Miała płomiennorude falujące włosy. Rozpuszczone i wijące się, sięgały jej niemal do pasa.

–Nie miałam przyjemności poznać cię wczoraj, mieczniczko. Jesteś opiekunką zwiadowców? – Ukłoniła się lekko Ranaldowi. – Dziękuję za troskę, kuzynie, ale niczego nie potrzebuję. Czy Carolin mnie wzywa? Nie?

W takim razie, jeśli nie chcesz zasznurować mi sukni, jak to zwykleś robić, kiedy miałeś dziewięć lat, możesz powiedzieć królowi, że będziemy gotowi za godzinę, gdy

tylko ptaki zostaną nakarmione. Spotkamy się później, krewniaku.

Odprawiła go skinieniem głowy i kiedy mężczyzna odszedł, wybuchnęła śmiechem.

–Więc ty jesteś Romilly? Ruyven mówił mi o tobie, ale nie mieliśmy pojęcia, że będziesz naszą sokolniczką.

Może dostaniesz od Sióstr pozwolenie, żeby dzielić mój namiot. Obie byłybyśmy w nocy blisko ptaków. Jestem *Ieronis* Maura Elhalyn, monitor Trzeciego Kręgu z Tramontany. Moja matka pochodziła z Ridenowów, więc mam trochę Daru Serraisów. Znasz ten *laran*”!

–Nie. Niewiele wiem o *laran*.

–Musisz go mieć, skoro zajmujesz się ptakami-zwiadowcami – stwierdziła lady

Maura. – Praktycznie nie da się z nimi pracować inaczej niż poprzez *laran*. Jesteś obdarzona starym Darem MacAranów? W której Wieży się szkolilaś, mestra? Kto był

twoim Strażnikiem?

Romilly potrząsnęła głową.

–Nigdy nie byłam w Wieży, domna.

Maura miała zbyt dobre maniery, żeby okazać zaskoczenie.

–Wybacz mi, pójdę założyć suknię. Tylko drażniłam się z moim kuzynem

Ranaldem. Sama doskonale potrafię się ubrać. Później wykonam swoją część roboty

przy ptakach. Nie zrzućę wszystkich obowiązków na ciebie, mieczniczko.

Wróciła do namiotu, rozwiązując po drodze nocną koszulę. Romilly poszła sprawdzić opatrunek na nodze Wstrzemięźliwości. Z ulgą stwierdziła, że podrażnione miejsce wygładziło się i nie jest już zaognione. Ruyven tymczasem zajął się Pilnością.

–Czy ta dama będzie nam rozkazywać? – spytała Romilly marszcząc brwi.

–Ta *Ieronis* jest na to za mądra, Romi. Sama mi powiedziała, że nie zna się na ptakach-zwiadowcach. Zauważyłaś jednak, że nie krzyczą na jej widok? Pomagała mi w drodze od gór. Chyba nie sądzisz, że sam doglądałem trzech ptaków?

–Dlaczego nie? Ja to robiłam. – Musiała jednak przyznać, że bezpośredniość Maury rozbroiła ją. – Jaki *laran* mają Sarraisowie?

–Niewiele o nim wiem. Nawet w Wieżach jest rzadki. W czasach gdy Hasturowie wcielali w życie program rozrodczy, zainteresowano się Serraisami, bo dzięki swojemu *laran* umieli porozumiewać się z nieлюдźmi, na przykład z niziołkami, kotoludźmi albo istotami z innych wymiarów wzywanych za pomocą gwiazdnych kamieni.

Nic dziwnego, że radzą sobie również z ptakami-zwiadowcami. Maura powiedziała kiedyś, że jej *laran* jest pokrewny Darowi MacAranów. Być może został wyhodowany na jego bazie.

–Dobrze ją znałeś w Wieży? – spytała Romilly z lekką zazdrością. Ruyven potrząsnął głową.

–Jestem *cristoforo*, a ona zaprzysiężoną dziewicą.

Tylko taka kobieta może przebywać wśród żołnierzy, nie powodując zamieszania.

Może powiedziałałby więcej, ale z namiotu wyszła lady Maura ubrana w prostą suknię z podwiniętymi rękawami. Bez wahania wzięła z kosza garść cuchnącego mięsa i podała ją na wyciągniętej ręce Rozwadze, przemawiając do niej pieszczotliwie.

–Masz, ślicznotko, jedz. A ty jadłaś śniadanie, Romilly? Nie, jako dobra opiekunka najpierw zajęłaś się ptakami, prawda? Nie musimy ich ćwiczyć. Będą miały dzisiaj aż nadto praktyki. Ruyvenie, mógłbyś posłać ordynansa do stołówki, żeby nam przyniósł

śniadanie, skoro zaraz mamy wyruszyć.

Jednocześnie karmiła ptaka kawałkami padliny, uśmiechając się, jakby to były pachnące kwiaty. Rozwaga gulgotała z zadowoleniem.

Nie jest kapryśna. Nie boi się ubrudzić rąk. Ruyven odebrał tę myśl i rzucił półgłosem:

–Mówiłem ci. W Tramontanie poluje z *verrin*. Sama go wyszkoliła. Ku wielkiej zresztą konsternacji lady Liriel Hastur, która jest tam najwyższą rangą, oraz Strażnika lorda Dorana. Oboje uwielbiają polować z sokołami, ale woleliby powierzyć ich szkolenie zawodowemu sokolnikowi.

–Widać, że nie jest damą o delikatnych rękach, która lubi, żeby jej usługiwać -

stwierdziła Romilly z niechętną aprobatą.

Sama zajęła się Wstrzemięźliwością. Kiedy ordynans przyniósł śniadanie, we trójkę usiedli na ziemi. Lady Maura bez ceregieli zgarnęła brzeg spódnicy pod siebie i jadła palcami tak jak oni.

Wkrótce pojawił się Randal Ridenow z kilkoma żołnierzami. Trzech z nich wzięło ptaki na siodła. Mały oddział przejechał przez budzący się obóz i ruszył na wschód przez pustynne ziemie w stronę Równin Valeronu.

Lord Ridenow narzucił ostre tempo, ale Romilly, Ruyven i żołnierze nie mieli trudności z dotrzymaniem mu kroku. Lady Maura jechała w damskim siodle, ale nie skarżyła się i nie zostawała w tyle. Na jednym z postojów powiedziała jednak do Romilly:

–Szkoda, że nie mogę nosić spodni tak jak ty, mieczniczko. Ale i tak już zgorszyłam przyjaciół i mojego Strażnika, więc chyba nie powinnam dawać im więcej

powodów do gadania.

–Ruyven mówił mi, że wyszkoliłaś *verrin*.

–Tak. Ależ wszyscy byli źli – odparła Maura ze śmiechem. – Ale teraz, kiedy ciebie poznałam, mieczniczko, wiem, że nie jestem pierwszą ani ostatnią kobietą, która tego dokonała. Wolałam od razu przyzwyczaić sokoła do własnej ręki, zamiast później pokonywać jego lojalność wobec obcego sokolnika. Czasami czułam, że latam razem z moim ptakiem, ale może to tylko wyobraźnia.

–Niekoniecznie. Ja też miałam podobne doświadczenia.

Jej serce ścisnął nagły żal na wspomnienie Preciosy. Minął ponad rok, odkąd zamieszkała w tym przeklętym pustynnym mieście. Sokolica pewnie wróciła do lasu i zapomniała o niej.

Nawet gdybym nigdy więcej jej nie zobaczyła, pamięć o naszej bliskości jest teraz częścią mnie i nie ma takiego czegoś jak przyszłość czy przeszłość, myślała. Zawirowało jej w głowie. Zlały się ze sobą chwile, kiedy latała razem z Preciosą, z tymi, kiedy gnała na Słonecznym, stanowiąc jedność z rumakiem; leciała, pędziła, złączona z niebem, ziemią i gwiazdami.

–Mieczniczko?

Lady Maura patrzyła na nią zaniepokojona. Romilly gwałtownie wróciła do

rzeczywistości i powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy.

–Mam na imię Romilly. Skoro mamy razem pracować, nie musisz zwracać się do mnie tak oficjalnie.

–Romilly – powtórzyła Maura z uśmiechem. – Ja jestem Maura. W Wieży nie ma dla nas znaczenia czyjeś pochodzenie. Jesteś przyjaciółką tych ptaków, więc ja jestem twoją.

Zatem Wieże mają dużo wspólnego z Siostrami Mieczowymi, doszła do wniosku dziewczyna. W tym momencie Ranald zawołał, że ruszają dalej. Romilly zastanawiała się, dlaczego tak bardzo wyprzedzają resztę królewskiej armii.

Jechali przez cały dzień, a wieczorem rozbili obóz. Żołnierze i Ruyven spali pod gołym niebem, natomiast dla lady Maury rozbito mały namiot, który *Ieronis* uparła się dzielić z Romilly. Obie były zmęczone po forsownej całodziennej jeździe, ale nim zasnęły, Maura spytała cicho:

–Dlaczego nie poszłaś do Wieży na szkolenie, Romilly? Na pewno masz wystarczający *Iaran*.

–Skoro znasz Ruyvena i historię jego ucieczki z domu, powinnaś sama się domyślić.

–Pokłóciłaś się z rodziną i opuściłaś dom, więc należałoby sądzić, że po czymś takim od razu do nas przyjedziesz – stwierdziła Maura.

Zamierzałam tak zrobić, ale poszłam swoją drogą i teraz nie potrzebuję żadnego szkolenia. Wiem o swoim *Iaran* więcej niż ktokolwiek inny. Zapadła w uporczywe milczenie, więc lady Maura zrezygnowała z wypytywania.

Po dwóch dniach jazdy przez pustynną okolicę dotarli do zielonej krainy. Romilly odetchnęła z ulgą, kiedy w oddali ujrzała wzgórza i poczuła chłodny powiew zapowiadający wieczorny deszcz. Lato było w pełni, ale rankiem ziemię pokrywał szron. W nocy przydawał się Romilly futrzany płaszcz. Trzeciego dnia droga zaprowadziła ich na wysokie wzgórza, skąd roztaczał się widok na wiele kilometrów we wszystkich kierunkach. Ranald Ridenow kazał oddziałowi się zatrzymać.

–To dobre miejsce – stwierdził. – Jesteście gotowi?

Maura najwyraźniej wiedziała, o co chodzi, bo skinęła głową.

–Z kim się połączysz? – spytała. – Z Orainem?

–Z samym Carolinem – odparł lord Ridenow. – Orain ma za słaby *laran*. Poza tym to król jest dowódcą wojska.

Maura zamrugła szybko, jakby usiłowała się nie rozplakać.

–Nie podoba mi się szpiegowanie Rakhala – rzekła półgłosem, bardziej do siebie niż do Romilly. – Wprawdzie przysięgam nie walczyć przeciwko niemu, lecz Lyondri sam sobie zawinił. Jest krzywoprzysięcą! Po tym, co zrobił... Krewniak czy nie... -Urwała i zacisnęła mocno wargi. – Romilly, czy wypuścisz pierwszego zwiadowcę?

–Nie wiem, co mam robić – zaprotestowała Romilly.

–Przecież jesteś sokolniczką.

–Znam się na zwyczajach, diecie i chorobach ptaków-zwiadowców, ale nigdy nie wykorzystywałam ich na wojnie. Nie wiem...

Maura szybko ukryła zaskoczenie. Romilly jednak dostrzegła je i zdziwiła się: stara się być wobec mnie uprzejma?

–Wystarczy, że pozostaniesz w kontakcie z ptakiem. Będziesz patrzeć jego oczami, a Ranald będzie przekazywał Carolinowi to, co zobaczysz. Król będzie mógł w ten sposób poznać ruchy Rakhala.

Raptem nazwa „Ptaki-zwiadowcy” nabrała dla Romilly innego znaczenia. Nigdy

nie zastanawiała się nad tym określeniem. Wzięła Rozwagę, odwiązała pęta i wypuściła ją w powietrze. Obserwowała, jak ptak wzbija się wysoko w niebo. Poprawiła się w siodle, zostawiając na ziemi część świadomości, bardzo małą cząstkę, tyle tylko, żeby nie spaść z konia, a potem...

... w górę na długich silnych podmuchach wiatru, wciąż wyżej i wyżej...

Cały kraj rozciągał się pod nią niczym mapa. Ujrzała w dole łuk rzeki i wyczuła niejasno czyjąś obecność w swoim umyśle. Po chwili rozpoznała umysł Carolina i raptem, poprzez niego, zaczęła, co prawda mgliście i na granicy świadomości, rozpoznawać to, co widziała w dole... szybowiała razem z ptakiem i patrzyła jego bystrymi oczami.

Brzegi Jeziora Mirin, dalej na północ Neskaya leżąca na skraju Wzgórz Kilghardzkich. A tam... Ach, Bogowie, jeszcze jeden czarny krąg. Nie ślady po pożarze lasu, lecz miejsce, które ludzie Rakhala wypalili płynnym ogniem wylewanym z nieba przez piekielne latające maszyny! Moi własni poddani ginęli w

ogniu Rakhala, choć przysięgałem z ręką w ogniach Hali, że będę ich bronił przed grabieżą i gwałtem, jeśli pozostaną lojalni wobec mnie. Za tę lojalność sptonęli...

... Rakhalu, póki Aldones żyw, przysięgam, że spalę ci rękę, którą posiałeś nieszczęście i śmierć wśród mego ludu... a Lyondri zawiśnie jak zwykły zbrodniarz, bo sam wyrzekł się prawa do godnej śmierci. Życie, które teraz wie dzie jako Rakhallowy siewca śmierci i cierpienia, jest bardziej haniebne niż śmierć z ręki kata...

Wzgórza Kilghardzkie pokryte letnią zielenią i żywiczne lasy pachnące w słońcu... tam wznosi się kolejna Wieża... teraz leć szybko na północ, ptaszku, z dala od szpiegujących oczu krzwoprzysięskich laranzu'in Lyondriego.

Tam rozłożyła się armia Rakhala. Możemy pomaszerować na wschód i zająć ich znienucką, chyba że nas wyśledzą oczami jak moje... myślę jednak, że Ptaki-zwiadowcy są obecnie już tylko w dalekich Hellerach.

Romilly usłyszała przenikliwy krzyk ptaka, jakby wydobywał się z jej gardła. Kontakt urwał się. Znowu siedziała na koniu, Carolin zniknął z jej umysłu, a gwałtownie wytrącony z transu Ranald Ridenow wpatrywał się w nią. Zachwiała się w siodle.

–Wystarczy. Teraz twoja kolej, Ruyvenie – powiedziała Maura spokojnie.

Romilly nie zauważyła, że brat wypuścił Wstrzemięźliwość w tym samym czasie, co ona Rozwagę. Pilność również zniknęła z siodła Maury. Romilly ujrzała, jak jej brat

bezwładnie opada w siodle, niewątpliwie tak jak ona sama przedtem?... i raptem stała się częścią Ruyvena/Ranalda/Carolina, lecąc w raporcie z ptakiem, szybując nisko nad ziemią, a coś w jej wnętrzu liczyło...

Jeźdźcy i piechota. Ależ ich dużo... Wozy z prowiantem, łucznicy... i... ach, Bogowie, niech nas Evanda strzeże, znam ten zapach. Gdzieś znów przygotowują płynny ogień...

Romilly z trudem zerwała kontakt. Nie interesowały ją wojskowe szczegóły. Woląa nic nie wiedzieć. Przerazenie, które odebrała z umysłu Ruyvena albo Carolina, przyprawiło ją o zawrót głowy i mdłości. Z osłabienia omal nie zasnęła w siodle. Zauważyła, że słońce niemal dotyka horyzontu i zmierzch już zapadł na tyle, że na wschodzie widać fioletowy dysk Liriel tuż przed pełnią. W ustach miała sucho, a w głosie łomotało, jakby tuzin małych kowali walił tam w kowadła.

Noc zapadła tak szybko, że Romilly nie była pewna, czy nie spała na koniu. Wydawało jej się, że w jednej chwili patrzyła na zachód słońca, a w następnej na światło księżycyca płynącego po niebie. Gdy wreszcie odzyskała świadomość, stwierdziła, że Ruyven patrzy na nią zaniepokojony.

–Wróciłeś?

–Już dawno – odparł zaskoczony. – Chodź, żołnierze przygotowali jedzenie. Romilly zsunęła się z konia. Bolały ją wszystkie mięśnie i głowa. Nigdzie nie

dostrzegła Maury, podszedł natomiast do niej Ranałd Ridenow.

–Wesprzyj się na mnie, mieczniczko – zaproponował. Romilly wyprostowała się dumnie.

–Dziękuję. Potrafię chodzić. Brat kazał jej usiąść na trawie.

–Ptaki... – zaprotestowała.

–Maura zajęła się nimi, kiedy zobaczyła, w jakim jesteś stanie. Jedz.

–Nie jestem głodna. – Wzruszyła ramionami i wstała szybko. – Lepiej pójdę do Rozwagi.

–Mówiłem ci, że Maura nakarmiła ptaki. Wszystko z nimi w porządku – rzucił Ruyven niecierpliwie i wepchnął jej do ręki lepki kawałek sprasowanego bloku suszonych owoców. – Zjedz to.

Romilly ugryzła kawałek i skrzywiła się. Wiedziała, że jeśli przełknie kęs, zrobi się jej niedobrze. Rozbito już mały namiot, który dzieliła z Maura. Wsunęła się do środka. Po pewnym czasie ujrzała nad sobą bladą i zmartwioną twarz Ranałda Ridenowa.

Dlaczego ten mężczyzna tak się przejmował? Rzuciła się na posłanie i runęła w przepaść snu.

Zdawała sobie sprawę, że nie obudziła się naprawdę, bo przez ściany namiotu widziała swoje leżące ciało. Było przezroczyste jak gaza, tak że dostrzegła bijące serce i pulsujące żyły. Machnęła ręką i serce zaczęło bić szybciej, a żyły zataczać kręgi. Zostawiła ciało i odleciała. Unoszona długimi silnymi podmuchami wiatru, szybowała nad równinami i wzgórzami w stronę Hellerów. Wyrosły przed nią lodowe turnie, a za nimi ujrzała mury miasta i kobietę, która stała na blankach i kiwała na nią.

Witaj w domu, droga siostrze, chodź do nas, wracaj do domu.

Lecz ona wzbiła się wyżej i frunęła dalej, coraz wyżej i wyżej, ponad górskimi szczytami. Minęła fioletowy dysk... nie, to była piłka, kula, mały świat. Nigdy nie myślała o księżycu jako o świecie. Pod nią pojawił się zielony glob, a potem pawioniebieski sierp Kyrrdis, pociemniały, tylko na krawędzi oświetlony przez czerwone słońce, które jakimś cudem jaśniało w środku nocy. Płonące słońce zostało w tyle jako jedna z wielu gwiazd. Spoglądała w dół na świat otoczony

czterema księżycami niczym naszymyjnikiem z klejnotów. Jakiś głos w jej głowie powiedział: *Hali to konstelacja Byka i stare ziemskie słowo z języka arabskiego oznaczające naszymyjnik*. Lecz te określenia i nazwy nic jej nie mówiły. Zaczęła wolno opadać. Na niższym ze szczytów Wzgórz Kilghardzkich leżał rozbity wielki statek. Dał Upiorny Wiatr. Mentorski głos rzucił uwagę: *Nigdy nie udowodniono istnienia pamięci genetycznej, gdyż niektóre części mózgu nadal są niedostępne dla badań naukowych*. Teraz leciała wzdłuż skraju Hellerów, ale lodowce wionęły na nią mroźnym oddechem. Przejmujące zimno ścisnęło jej serce, uderzenia skrzydeł stawały się coraz wolniejsze. Wtem jedno skrzydło, twarde jak lód, ułamało się i roztrzaskało na kawałki. W głowie i sercu poczuła straszliwy ból. Drugie skrzydło, białe i zamrożnięte, już nie miało siły machać. Zaczęła spadać z krzykiem...

–Romilly! Romilly! – Lady Maura biła ją lekko po policzkach. – Obudź się! Obudź!

Romilly otworzyła oczy. Namiot wypełniało przyćmione światło lampy, a ona

nadal marzła wśród lodowców. Serce raniły jej ostre nierówne brzegi skrzydeł, które popękały na mrozie i odpadły.

Maura wzięła jej ręce w swoje ciepłe dłonie. Romilly wróciła oszołomiona do własnego ciała i świadomości. Poczuła obcy, natrętny dotyk. *Leronis* badała ją mentalnymi palcami, sprawdzała serce i płuca. Romilly szarpnęła się.

–Leż spokojnie – powiedziała Maura łagodnie. – Pozwól mi cię monitorować. Czy dużo miałaś takich ataków choroby progowej? Romilly odepchnęła ją.

–Nie wiem, o czym mówisz. Miałam zły sen, to wszystko. Byłam zmęczona.

Wyczerpała mnie praca z ptakami. *Leroni* są pewnie do niej przyzwyczajone. Ja nigdy

czegoś takiego nie robiłam.

–Chciałabym cię zbadać i upewnić się...

–Nie, nie. Czuję się dobrze.

Odwróciła się plecami do kobiety. Po chwili Maura westchnęła i zgasła lampę. Romilly odebrała strzępy myśli. *Jest uparta, ale nie powinnam się narzucać. Nie jest dzieckiem. Może jej brat...* Dziewczyna zasnęła i tym razem nic jej się nie przyśniło.

Rano nadal bolała ją głowa, a od smrodu padliny zrobiło się jej niedobrze. Zupełnie jak w czwartym miesiącu ciąży, pomyślała zniecierpliwiona. Wiedziała jednak, że co innego jej dolega, bo była tak dziewicza jak jakaś zaprzysiężona *leronis*. Może to

kobieca przypadłość. Straciła rachubę czasu z powodu intensywnych treningów ze Słonecznym i całego tego wojennego zamieszania. A może zjadła coś niestrawnego. Nie miała ochoty na śniadanie. Nakarmiła ptaki i bez entuzjazmu osiodłała konia. Po raz pierwszy w życiu pomyślała, że przyjemnie byłoby siedzieć w domu, szyć, tkąć albo nawet haftować.

–Nic nie jadłaś, Romilly – stwierdził Ruyven.

Potrząsnęła głową.

–Chyba wczoraj się przeziębiam, siedząc tak długo nieruchomo na koniu, i to jeszcze po zachodzie słońca.

Na nic nie mam ochoty.

Ruyven przyjrzał się jej uważnie, jakby była w wieku Raela.

–Nie wiesz, co to znaczy, kiedy nie możesz jeść?

Czy badała się lady Maura?

Romilly nie chciała się kłócić.

–Zjem trochę chleba w czasie jazdy – powiedziała ostrym tonem.

Wzięła od brata kromkę posmarowaną miodem, zjadła kilka kęsów i ukradkiem wyrzuciła resztę.

Zerknęła na Ranalda jadącego z nieobecny, pustym wyrazem twarzy, charakterystycznym dla telepaty, którego umysł błądzi w innym miejscu. W końcu wyszedł z tego stanu i powiedział:

–Muszę się dowiedzieć, jak daleko za nami jest Carolin – stwierdził w końcu, otrząsnąwszy się. – Romilly, wyślij ptaka i sprawdź to.

Po ostatnim doświadczeniu Romilly bała się, ale kiedy wypuściła ptaka w powietrze i podążyła za nim umysłem, ku swojej wielkiej uldze stwierdziła, że nie ma w niej śladu dezorientacji. Było tak samo jak w czasie lotu z Preciosą, tyle że oglądała świat wzrokiem stukrotnie ostrzejszym od własnego. Wytropiła armię Carolina, która stanęła obozem pół dnia drogi za nimi, od miejsca, w którym jechała wraz ze swoim oddziałkiem zwiadowczym. Ranald odebrał od niej informację – tak delikatnie, że nie odczuła tego jako wtargnięcia – i przekazał ją samemu Carolinowi.

–Rozbijemy tu obóz i zaczekamy na nich – zdecydowała Maura. – Jesteśmy

zmęczeni. Zwłaszcza nasza sokolniczka potrzebuje odpoczynku.

Nie mogę pozwolić, żeby mnie rozpieszczali, postanowiła Romilly. Nie chcę, żeby Ruyven, Orain albo Carolin pomyśleli, że muszę być faworyzowana, bo jestem kobietą. Zdobędę szacunek Oraina, jeśli będę równie kompetentna jak mężczyzna.

Lord Ranald ziewnął.

–Po kilku dniach jazdy ja również czuję się, jakby mnie przeciągnięto pod górę wodospadu. Przyda mi się odpoczynek. Ptaków na razie nie będziemy wypuszczać.

Dał znak żołnierzom, żeby przygotowali obóz.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Romilly wiedziała, że nadchodzi główna armia. Nie podpowiadał jej tego słuch – choć leżąc w namiocie wychwytywała odległe dudnienie ziemi pod nogami żołnierzy maszerujących wielką kolumną – lecz. narastająca świadomość, poczucie jedności.

Słoneczny. Umysłem była połączona z czarnym ogierem. Wydawało się, że to na jej grzbiecie jedzie król otoczony przez swoich ludzi. Na chwilę dotknęła Carolina, żeby spojrzeć na Oraina jego oczami, z miłością i ciepłem. Gdy widziała ich razem, żałowała, że nie ma takiego przyjaciela. Teraz przez chwilę dzieliła krótkie nieświadome dotknięcie między królem i jego wiernym przybocznym, głębokie uczucie i bliskość, która istniała między nimi od czasów dzieciństwa. Romilly znalazła się jednocześnie w kilku czasach, bo zobaczyła obraz ich pierwszego spotkania, kiedy nie mieli jeszcze czterech lat, a także Słonecznego jako żrebaka biegnącego po wzgórzach rodzinnej krainy.

Zerwała kontakt i wróciła do własnego ciała, oszołomiona i wystraszona. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, ale przypuszczała, że otworzył się nowy wymiar jej *lاران*. Po co jej była Wieża?

Pracując tego dnia z ptakami, odbierała strzępy cudzych myśli i świadomości, tak samo jak wtedy, kiedy je wypuszczała. Pierwszą osobą, która do niej przysła, była Jandria. Uściskały się na powitanie.

–Dostaliśmy twoje informacje zdobyte dzięki ptakom – oznajmiła. – Sam

Wysokość mi je przekazał.

Jandria w taki właśnie sposób mówiła o nieobecny Carolinie.

–Dobrze sobie radzisz, Romi. Mam pozwolenie od Sióstr Mieczowych, żebyś dalej dzieliła namiot z lady Maura. Pójdę z nią porozmawiać. Byłyśmy razem jako dziewczęta.

Romilly zachowała spokój. Wiedziała, że Jandria ma arystokratyczne pochodzenie, choć wyrzekła się go, składając przysięgę mieczniczki. Zajmując się dalej zwiadowcami słyszała, jak dwie kobiety rozmawiają ze sobą. Poczwała w sercu ukłucie zazdrości.

Nie mam przyjaciółki ani kochanka. Jestem samotna jak mnich w lodowych jaskiniach Nevarsin. Zdziwiły ją własne myśli, bo nawet w tej chwili umysłem była przy wielkim ogierze niosącym Carolina...

Złożyła głęboki ukłon i dopiero wtedy podniosła wzrok. Nie miała pewności, czy oddała hołd Carolinowi czy Słonecznemu o czarnej grzywie rozwianej przez górski wiatr. Król zeskoczył z wierzchowca i pozdrowił ją łaskawie.

–Siostrze Mieczowa Romilly, chcę osobiście podziękować tobie i pozostałym opiekunom ptaków-zwiadowców za zdobyte informacje. Jutro pomaszerujemy na Rakhala, więc ty i *Iaranzu* będziecie musieli nimi pokierować, bo przyrzekłem mojej krewniaczce Maurze, że nie będzie musiała brać udziału w bitwie przeciwko swemu krewniakowi. – Uśmiechnął się. – Daj spokój, dziecko, nie byłaś taka milkliwa, kiedy jechałaś ze mną do Nevarsin. Nazywałaś mnie wtedy „wujkiem”.

–Robiłam to wyłącznie z niewiedzy, a nie z braku szacunku, sir – odparła Romilly. – Myślałam, że jesteś tylko Carlem z Niebieskiego Jeziora.

–Jestem – powiedział Carolin łagodnie. – Carlo to moje przezwisko z dzieciństwa, tak jak mojego małego kuzyna zwał Carylem. Kiedy skończyłem piętnaście lat, matka podarowała mi wiejską posiadłość zwaną Niebieskim Jeziorem. Zresztą, jeśli nawet wprowadziłem cię w błąd, ty zrobiłaś to samo. Brałem cię za chłopca stajennego, bękarta MacArana, a teraz widzę przed sobą *Ieronis*.

Romilly niemal od początku wiedziała, że Carolin domyślił się jej płci, ale z własnych powodów zachował milczenie. Dzięki tej dyskrecji zdobyła przyjaźń Oraina i teraz była za nią wdzięczna królowi.

–Wasza Królewska Wysokość...

Carolin machnął ręką.

–Nie lubię ceremonii z przyjaciółmi, Romilly. Nie zapomniałem, że gdyby nie ty, byłbym śniadaniem dla ptaka banshee. Wypuścisz Ptaki-zwiadowców, byśmy mogli zawczasu poznawać ruchy Rakhala i Lyondriego?

–Będę zaszczycona, sir.

–To dobrze. Muszę teraz pomówić z moją krewniaczką i rozwiązać jej obawy. Damę Jandria żywi resztki uczucia do Lyondriego.

–Do takiego, jakim był kiedyś, Carlo – odezwała się Jandria, stając w drzwiach namiotu Maury. – Nie umiałabym podnieść na niego ręki, ale nie zrobię nic, żeby

uniknął zasłużonego losu. Jeśli miałabym dosyć *laran*, znalazłabym się wśród twoich

Ieroni, by powstrzymać tę bestię, w jaką się przemienił. Gdyby zostało w nim choć trochę człowieka, jakim był, żeby mógł sobie uświadomić, kim się stał, modliłby się o

czystą śmierć.

Maura miała łzy w oczach.

–Carlo, przysięgam, że nigdy nie użyję *laran* przeciwko moim hasturskim

krewniakom. Jestem przecież Elhalyn. Oni są krwią z mojej krwi, ale tak samo jak

Jandria nie będę wam przeszkadzać w tym, co musicie zrobić.

Podeszła do stojaka, na którym siedziała Wstrzemięźliwość, i zwiesiła głowę. Romilly wiedziała, że Maura płacze.

W tej wojnie brat walczy przeciwko siostrze, a ojciec przeciwko synowi... Jakie ma znaczenie, który łotr zasiada na tronie, a który, jeszcze większy, stara się go zrzucić? Romilly nie była pewna, czy usłyszała myśl Ruyvena, czy też wróciło wspomnienie słów ojca. Wydawało jej się, że czas przestał istnieć.

–Przysięgam bronić mój lud i muszę go bronić nawet przed potomkiem Hastura, który nie dba o tę przysięgę – oświadczył Carolin, patrząc na nich ze smutkiem. – Chciałbym, byście wiedzieli, że nie zależy mi na tronie i chętnie zrzekłbym się go na rzecz Rakhala, gdyby traktował lud tak, jak powinien król, gdyby go szanował i chronił Carolin zdawał się mówić do siebie. Gdy skończył, Romilly miała wątpliwości, czy rzeczywiście wypowiedział te słowa na głos, czy też ona je sobie wyobraziła. Najwyraźniej *laran* płatał jej dziwne figle. Umysł nie mógł pomieścić natłoku wrażeń i obrazów. Dziewczyna czuła się zniewolona. Odnosiła wrażenie, że przepełniona głowa zaraz jej pęknie.

–Mogę przywitać się ze swoim dobrym przyjacielem, panie? – zapytała.

–Chyba za tobą tęsknił – stwierdził Carolin.

Romilly podeszła do Słonecznego stojącego przy ogrodzeniu i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Jesteś królewskim wierzchowcem, ale wciąż należysz do mnie. Poczwała, że Słoneczny dotyka jej umysłu. *Mój, miłość, razem, słońce/słoneczny, zawsze razem na*

świecie.

Nagle Romilly spostrzegła, że jest sama, a Słoneczny zniknął. Ruyven dotknął z wahaniem jej ramienia.

–Co ci dolega, Romy? Jesteś chora?

–Nie – rzuciła opryskliwie i poszła do ptaków.

Znowu straciła poczucie czasu. Czyżby to była nowa, niezrozumiała właściwość jej *laran*? Może powinna spytać Maurę. *Leronis* z pewnością chętnie by jej pomogła. W tym momencie usłyszała w swojej głowie Maurę płaczącą za Rakhalem, który kiedyś starał się o jej rękę. Teraz rozpaczała za Rakhalem tak jak Jandria za Lyondrim, a Romilly za dawną przyjaźnią z Orainem. Nie, to już przecież przeszłość. Co się z nią dzieje?

Tego dnia ptaki nie były potrzebne, co ucieszyło Romilly, wciąż słabą i oszołomioną po niedawnym wysiłku i złych snach. Jadąc na zaszczytnym miejscu tuż za Carolinem i jego doradcami, w rzeczywistości towarzyszyła Słonecznemu. Słyszała, jak Orain toczy swobodną rozmowę z lady Maura i lordem Ranaldem.

–Masz Dar Serraisów, Ranaldzie, więc bez trudu powinieneś nauczyć się

kierowania zwiadowcami. Ten *laran* jest podobny do Daru MacAranów, który

zauważyłem u mistrzyni Romilly, gdy razem podróżowaliśmy przez kilka dekad.

Romilly odebrała wspomnienie Oraina, który wtedy obserwował ją czułością i uczuciem bliskim miłości. Zrozumiała, dlaczego teraz jej unikał. Patrząc na nią, nie mógł zapomnieć o Rumalu, dobrze mu znanym, jak wtedy sądził. Czuł się jak głupiec. Warstwy świadomości nakładały się na siebie i zaciemniały obraz.

–Chętnie spróbuję – powiedział Ranald. – Może mistrzyni Romilly raczy mnie

podszkolić, choć jak wszystkie Siostry Mieczowe jest arogancka i ma ostry język.

Maura skwitowała jego wypowiedź wesołym śmiechem, mówiąc, że lord Ridenow najwyraźniej nie jest przyzwyczajony do kobiet, które nie uważają go za dar Bogów.

–Och, przestań, Mauro. Nie jestem rozpustnikiem, ale skoro kobiety zostały

stworzone przez Evandę dla rozkoszy mężczyzn, dlaczego miałbym zaniedbywać się w

wielbieniu Pani Światła w jej cudownych stworzeniach? – Zaśmiał się. – Bez wątpienia

kiedyś poniesiesz karę, Orainie, za to, że odmawiasz bogini należnej czci. Romilly usłyszała dobroduszny śmiech Oraina. Wiedziała, że ta rozmowa nie jest przeznaczona dla jej uszu. Próbowwała odciąć się od niej, ale nie wiedziała jak. Gdy zwróciła uwagę gdzie indziej, znowu jechała ze Słonecznym, zbyt blisko Carolina. Nie

był to miły dzień. Gdy zatrzymali się na noc, przyszedł do niej Ranald i zaoferował pomoc przy zsiadaniu z konia. Powiedział, że chciałby nauczyć się zwyczajów ptaków,

by móc zastąpić lady Maurę. Romilly potraktowała go szorstko.

–To nie takie proste. Możesz oczywiście spróbować podejść do nich, ale nie skarż się, jeśli stracisz paznokiec, albo i oko!

Nie podobał się jej sposób, w jaki na nią patrzył. Za bardzo kojarzył się z domem Garrisem albo nawet Rorem. Zupełnie jakby bezczelnie obmacywał jej piersi. Wyraźnie czuła na sobie jego spojrzenie, a w oczach dostrzegła pożądanie. Lecz Ranald nie zrobił ani nie powiedział żadnej niewłaściwej rzeczy, więc nawet nie mogła wyrazić oburzenia. Szczelniej otuliła się płaszczem i wskazała mu drogę do ptaków.

Ranald opuścił wzrok. Romilly zorientowała się, że wyczuł jej zmieszanie.

–Wybacz, mestro, nie chciałem cię obrazić.

Tak jak i Carolin, nie umiał na siłę szukać względów niechętniej dziewczyny, gdyż dzieliłby jej lęk, poczucie zniewolenia, wzbudzone nawet zbyt natarczywym spojrzeniem. Nie był jednak przyzwyczajony do kobiet, które nie pochodziły z rodu Hasturów, a mimo to zdawały sobie sprawę z jego odczuć.

Kochanie się z kobietą pozbawioną laran byłoby zupełnie jak parzenie się z bezrozumnym zwierzęciem. Romilly zobaczyła, że na jego szyję wypełza rumieniec, ale nie wiedziała, jak dać mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Ranald podszedł do ptaków. Sięgnął do nich umysłem, starając się przekazać zapewnienie o własnej nieszkodliwości i przyjaznych zamiarach. Po chwili Wstrzeźliwość potarła głową o drapaczkę, którą trzymał w ręce lord Ridenow.

Więc będzie z nami pracował w miejscu Maury. Nie wiadomo dlaczego ta myśl wprowadziła ją w zakłopotanie.

Maura musiała być gdzieś z armią. Nie mogła przecież zostać w kraju ogarniętym

wojną. Romilly nie wiedziała jej jednak tego dnia. Kiedy pojechali wypuścić ptaki, lord Ranald wziął Wstrzemięźliwość na siodło. Romilly odstąpiła swoją ulubienicę Rozwagę bratu, a sama wzięła Pilność, najtrudniejszego ze zwiadowców. Ptak wydawał nerwowe okrzyki i wiercił się na siodle, ale uspokoił się, kiedy dziewczyna dotknęła jego umysłu.

Tak, ty również jesteś piękna. Nie dostrzegła niczego niewłaściwego w takim zwracaniu się do wielkiego brzydkiego stworzenia.

Tego dnia nie potrzebowano jednak ich usług, z czego Romilly była zadowolona, bo lord Ranald zyskiwał czas, żeby poznać ptaka i nawiązać z nim bliski kontakt. Po godzinie, kiedy upewniła się, że nie będzie żadnych kłopotów, powędrowała w myślach ku Słonecznemu niosącemu Carolina, który jechał na czele armii.

Okolica wyglądała na opuszczoną. Gdzieś w pustkowiu widać było gospodarstwa ze zniszczonymi studniami i spalonymi lub zrujnowanymi budynkami.

Romilly towarzysząca Słonecznemu nie uświadamiała sobie, że podsłuchuje Carolina, Oraina i lady Maurę, która niewiele się odzywała.

–Przejeżdżałem tędy jako dziecko – powiedział Carolin. – Wtedy była to ludna kraina z licznymi gospodarstwami i polami uprawnymi. Teraz zmieniła się w ugory.

–Z powodu wojny? – spytała Maura.

–Wojny z czasów mojego ojca, kiedy jeszcze nie miałem siły utrzymać miecza. Pamiętam, jaka to była żyzna i zielona okolica. Teraz osady znajdują się bliżej gór. Po wojnie zawsze pojawiają się bandyci; ludzie, których wojna pozbawiła domów, a jej okropieństwa – sumienia. Rozgrabili wszystko, czego ona nie tknęła, a mieszkańcy przenieśli się bliżej twierdz i wojska z Neskaya.

Romilly natomiast, połączona umysłem ze Słonecznym, zachwycała się rozległymi pastwiskami i polami. Tej nocy obozowali przy strumieniu, który spadał kaskadą ze skalnego urwiska, a dalej płynął spokojnie przez bujną łąkę porośniętą drobnymi błękitnymi i złotymi kwiatami.

–Zapowiada się piękna letnia noc – stwierdził Carolin leniwie. – Wzejdą trzy księżycy, z czego dwa prawie w pełni.

–Jaka szkoda, że nie będziemy tutaj obchodzić Letniego Festiwalu – powiedziała Maura ze śmiechem.

Carolin nagle spochmurniał.

–Przysięgam ci, Mauro, i tobie, *bredu*, że wyprawimy Letni Festiwal w Hali. Co wy na to, krewniacy?

–Oby dała Evanda – odparła Maura poważnym tonem. – Tęsknię za domem.

–Czyżby żaden młodzieniec z tej dalekiej Wieży za górami nie zachwiał twoim postanowieniem, by zachować dziewictwo i Dar Widzenia, Mauro?

Maura roześmiała się trochę wymuszenie.

–Kiedy poprosisz mnie, żebym została królową, nie odprawię cię, Carolinie.

Król nachylił się i musnął ustami policzek Maury. Spłoszony rumak uskoczył w bok.

–Tak się stanie, jeśli Rada wyrazi zgodę, Mauro.

Bąłem się, że twoje serce umarło, kiedy Rakhāl odwrócił się od ciebie.

–Tylko moja duma została zraniona – odparła Maura spokojnie. – Kochałam go, owszem, jako kuzyna i przybranego brata, ale jego okrucieństwo zabiło we mnie miłość. Myślał, że może do mnie przyjść po trupach moich krewnych, a ja mu wybaczę, gdy zobaczę koronę, tak jak dziecko zapomina o siniaku, gdy dostanie słodkiego orzecha. Nie chciałabym jednak, by mówiono, że dla korony zamieniłam Rakhāla na ciebie. – Głos ją zawiódł.

Słoneczny potrząsnął głową z oburzeniem, lecz zatrzymał się, gdy Carolin szarpnęła wodze i ponownie nachylił ku Maurze. Tym razem król przeniósł szczupłą *leronis* na swoje siodło. Koń – a Romilly razem z nim – odebrał falę emocji, która wprawiła go w niepokój. Zaczął tańczyć w miejscu, lecz Carolin poskromił go pociągnięciem za wodze. W umyśle Romilly pojawiły się ulotne obrazy smukłych boków i aksamitnych ciał klaczy biegnących w świetle księżyca. Poczula się, jakby miała gorączkę. Ciało jej płonęło. Wróciła do siebie, uciekając od dziwnych emocji, które opanowały czarnego ogiera.

Co mnie napadło? zdziwiła się. Śmieję się i płaczę bez powodu.

Usłyszała w myślach głos Carolina, nie zdając sobie sprawy, że nie jedzie tuż obok. *Na noc zostawimy konie na tym polu, ale nie mamy czasu wznieść ogrodzenia. Jesteś leronis. Czy możesz zrobić coś, żeby się nie rozbiegły!* Romilly już miała odpowiedzieć, gdy dotarły do niej słowa Maury tak wyraźnie, jakby kobieta rzeczywiście się odezwała: *Nie mam daru Romilly, ale jeśli wezwiesz ją na pomoc,*

zrobię co w mojej mocy.

Dziewczyna ściągnęła wodze i zatrzymała własnego konia. Ruyven spojrział na nią zaskoczony.

–Staniemy tutaj na noc. Wzywają mnie król i *Ieronis*.

Wiadomość przyniósł jej Orain, który utorował sobie drogę przez tłum ludzi, koni i wozów.

–Dokąd się wybierasz, Romilly? – zawołał. – *Vai dom* prosi cię o przybycie!

–Wiem – odparła Romilly i ruszyła przed siebie, zostawiając Oraina z wybałuszonymi oczami.

Carolin wskazał ręką na rozległe pole.

–Tutaj rozbijemy obóz. Czy pomożesz Maurze wytyczyć pastwisko dla koni, żeby nie uciekły?

–Oczywiście.

Żołnierze krzątający się wokół nich odprowadzili na pole najlepsze konie, łącznie ze Słonecznym.

–A teraz zrobimy przepaść, którą będą widziały tylko konie. To wystarczy, bo zwierzęta boją się wysokości – oznajmiła Maura.

Wspólnymi siłami kobiety stworzyły iluzję; głęboką rozpadlinę otaczającą pastwisko. Romilly, która nadal była połączona umysłem ze Słonecznym, zobaczyła przepaść. Wraz z ogierem i resztą koni odczuła strach przed spadnięciem w jej głąb.

–Romilly, jesteś dziką telepatką, prawda? – spytała Maura poważnym tonem, zrywając więź.

–Nie wiem, co masz na myśli – odparła Romilly, wyczuwszy nutę nagany w jej głosie.

–Należysz do osób, u których *Iaran* rozwinął się samoistnie, bez szkolenia w Wieży. Wiesz, że to może być niebezpieczne? Chciałabym, żebyś dała mi się monitorować. Nie jest łatwo zapanować nad Darem.

–MacAranowie od niepamiętnych czasów szkolą konie, psy i sokoły – oświadczyła

Romilly wojowniczo. – A nie wszyscy mieli do czynienia z Wieżami. – Do jej mowy wkradł się górski dialekt, niczym echo głosu ojca. – *HaWimyn* chcieliby, żeby umysłem każdego człowieka rządzili *Ieronyn* z tych ich całych Wież!

–Nie chcę tobą rządzić – zapewniła Maura pojednawczo. – Ale wyglądasz, jakbyś miała gorączkę. Wciąż jeszcze jesteś w wieku, kiedy nie kontrolowany *Iaran* bywa niebezpieczny. Jeśli nie chcesz, żebym ja ciebie zbadła, może twój brat...

Surowemu i ascetycznemu bratu, podobnemu do mnicha *crisoforo*, tym bardziej nie mogła pozwolić, żeby czytał jej w myślach, do których sama przed sobą z trudem się przyznawała. Próbowwała odgrodzić się od Maury mentalną barierą.

–To wspaniałomyślne z twojej strony, *vai domna*, ale naprawdę nie musisz troszczyć się o mnie.

Maura lekko zmarszczyła brwi. Romilly wyczuła, że *Ieronis* waży na szali zasady telepaty wyszkolonego w Wieży, nauczonego, żeby nigdy nie był intruzem, i szczerą troskę o nią. Dziewczyna zirytowała się. Maura była niewiele od niej starsza. Dlaczego koniecznie chciała uporządkować jej *Iaran*!

Najpierw pozostawiono mnie samej sobie, myślała gniewnie, a teraz oferuje mi się pomoc, gdy już jej nie potrzebuję! Nikt nie próbował pomóc, kiedy ojciec chciał mnie sprzedać dom Garrisowi, kiedy omal nie zostałam zgwałcona przez Rory'ego, albo kiedy zrobiłam z siebie idiotkę włączając Orainowi do łóżka. Sama wygrałam tamte bitwy, więc teraz też nie potrzebuję niczyjej łaski.

Maura patrzyła na nią z niepokojem, ale w końcu, ku uldze Romilly, westchnęła i odeszła.

–Spójrzcie. – Carolin pokazał ręką. – Jesteście pewne, że wasza iluzja działa?

Romilly spojrzała we wskazanym kierunku i zaparło jej dech. Słoneczny biegł w ich stronę z uniesioną głową, nogami ledwo dotykając ziemi.

–Zaczekajcie – powiedziała Maura.

Gdy Słoneczny dotarł do skraju łąki, zatrzymał się gwałtownie, ryjąc kopytami ziemię. Opuścił łeb, tocząc pianę z pyska, jakby był śmiertelnie przerażony widokiem przepaści. Drżąc, cofnął się z rżeniem i pobiegł w drugą stronę.

–Iluzja wystarczy na dzisiejszą noc – stwierdziła Maura.

–Ale Słoneczny tak się przeraził – zaprotestowała Romilly. Ze strachu ociekała

potem tak samo jak koń.

–On nie ma pamięci ani wyobraźni – odparła Maura. – Spójrz na niego, Romi.

Rzeczywiście, ogier spokojnie skubał trawę. Nagle podniósł łeb, wciągnął w nozdrza wiatr i ruszył w stronę klaczy pasących się na łące.

–Poprawi jakość królewskiego stada – stwierdził Orain żartobliwie. – Nie wątpię, że każda pokryta dzisiaj przez niego klacz będzie miała źrebaka wartego twoich stajni.

Carolin zaśmiał się.

–Niech się stara. My, którzy jesteśmy odpowiedzialni za tę wojnę... – lekko dotknął ramienia Maury – musimy poczekać na przyjemności. Będą one jednak tym cenniejsze, prawda, kochana?

Na widok spojrzenia, które między sobą wymienili, i uśmiechu Maury, Romilly zarumieniła się i odwróciła wzrok.

Tego wieczoru Jandria spytała ją, czy chce wrócić do namiotu Sióstr Mieczowych. Mówiła takim tonem, jakby oczekiwała, że Romilly nie będzie posiadała się z radości, mogąc dołączyć do mieczniczek. Lecz dziewczyna była zbyt zmęczona na pogawędkę i chichoty z młodymi kobietami. Wolą spać przy ptakach.

–Nie musisz się o mnie obawiać – powiedziała kwaśno. – W towarzystwie lady

Maury i mojego brata-mnicha będę równie bezpieczna jak kapłanka Avarry na jej

strzeżonej wyspie, gdzie żaden mężczyzna nie może się pojawić, nie narażając się na

klątwę Mrocznej Matki! Jandria nadal miała zaniepokojoną minę, ale tylko uściskała Romilly.

–Odpocznij, siostrzyczko. Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Ciężko ostatnio pracowałaś, a jesteś na to za młoda. Zjedz porządną kolację. Wiem, że po wytężonej pracy krucha *Ieronis* potrafi zjeść tyle co trzech drwali!

Spij mocno i długo, moja droga.

Romilly nakarmiła ptaki z pomocą Ruyvena oraz lorda Ranalda, który nie wymigiwał się od obowiązków, co zauważyła z satysfakcją. Jednak smród padliny

dostarczonej przez królewskich łowczych znowu przyprawił ją o mdłości. Chociaż Carolin wraz z pozdrowieniami podesał opiekunom zwiadowców duży kawał pieczonego *chervine* z własnego stołu, nie mogła jeść, tylko grzebała w talerzu.

Nim rozbito obóz, było już dobrze po zachodzie słońca, ale noc rozświetlały trzy księżycy w pełni i pół tarczy czwartego.

–Cztery księżycy – powiedział lord Ranald ze śmiechem. – Jakie szaleństwo

popelnimy? W Thendarze ludzie mówią: „Nie trzeba pamiętać ani żałować tego, co się

robi pod czterema księżycami. ”

–Takie noce są święte – oświadczył Ruyven z uprzejmym chłodem. – Spędzę ją na milczeniu i medytacji, jeśli żołnierze Carolina mi pozwolą. – Wskazał ręką w stronę, skąd dobiegały dźwięki *rryl* oraz donośne głosy wyrzaskujące niemelodyjnie znaną pijacką piosenkę.

–Otrzymali dzisiaj dodatkową rację wina – wyjaśnił Ranald. – Nie tyle jednak, żeby można się upić. Będą siedzieli przy ogniskach i śpiewali, to wszystko. – Podał Romilly ramię. – Przyłączymy się do nich?

W moim poprzednim oddziale jest trzech czy czterech mężczyzn, którzy mają piękne głosy i śpiewają razem w tawernach. Dostają za to tyle piwa, ile chcą. Zapewniam cię, że nie obrażą Siostry Mieczowej. Będą zadowoleni, jeśli przyjdiesz posłuchać ich muzyki.

–Te głosy wcale nie brzmią pięknie – stwierdziła Romilly, słuchając fałszywych tonów.

Ranald roześmiał się.

–To nie oni. Synowie Wiatru, bo tak siebie nazywają, choć nie są braćmi, lecz

kuzynami, występują dopiero wtedy, kiedy wszyscy się zbiorą i poproszą ich, żeby dali

popis. Na pewno zdążymy ich jeszcze posłuchać.

Poza tym żołnierze lubią, kiedy do ich ognisk przysiada się szlachta.

Wobec takiego postawienia sprawy Romilly nie mogła odmówić mimo zmęczenia i bólu głowy. Wolałaby pójść do łóżka, lecz obóz był pełen śpiewów i śmiechu, więc i tak by nie zasnęła. Może Ruyven potrafił się skupić i medytować w takim hałasie, ale nie ona. Przyjęła oferowane ramię.

Blask księżyców sprawiał, że było jasno, prawie jak w dzień; no, może w pochmurny i deszczowy dzień. Raczej nie można by czytać druku, podobnie jak odróżnić jaskrawych kolorów płaszcz Ranałda i jej karmazynowej tuniki. Częścią świadomości Romilly towarzyszyła Słonecznemu, który pał się na łące, ale dręczył ją

dziwny niepokój. Gdy zbliżyli się do ognisk, żołnierze akurat ryczeli piosenkę o niezbyt przyzwoitych słowach, opowiadającą o dość skandalicznych wydarzeniach wśród szlachejnych państwa:

Mój ojciec Strażnikiem był z Arilinn Wieży, Kwiatem *kireseth* uwiódł raz *chieri*; Z tego romansu trzech było nas: Dwóch było *emmasca* i jeden ja...

–Gdyby zaśpiewali tę piosenkę na Równinach Arilinn, rozerwano by ich na kawałki – powiedział Ranałd. – Tutaj jest inaczej. Między Arilinn i Neskaya od dawna istnieje rywalizacja.

–Dziwne rzeczy dzieją się w Wieżach – zauważyła Romilly, która obraz Wieży wyrobiła sobie na podstawie tego, co widziała w zdyscyplinowanych i surowych myślach Ruyvena.

Ranałd roześmiał się.

–Spędziłem kilka lat w Wieży, żeby nauczyć się kontroli nad *laran*. Sama wiesz, jak to jest, kiedy ujawnia się dar. Ja miałem wtedy trzynaście lat. Czasami zachowywałem się jak *cralmac* w rui. Najchętniej rzuciłbym się na każdą napotkaną samicę! Przerażałem tym swoją guwernantkę, starą żmiję o kamiennej twarzy.

Nazwanie tej damy suką byłoby obrazą dla mojego ulubionego psa!

Na pewno często żałowała, że nie może kazać mnie wytrzebić jak jucznego *chervine*, żeby móc prowadzić lekcje! Romilly zachichotała niepewnie.

–Przepraszam – powiedział Ranałd wyczuwszy jej zmieszanie. – Zapomniałem, że jesteś *cristoforo*. Mam cztery siostry i jeśli kiedykolwiek żywiłem przekonanie, że

dziewczęta są inne i bardziej delikatne, szybko się go wyzbyłem. Nie będę cię więcej przepraszał. Jesteś kobietą z gór, a poza tym wystarczająco dużo zajmowałaś się zwierzętami, by wiedzieć, co mam na myśli.

Romilly zaczerwieniła się, ale nie czuła przykrego skrępowania. Przypomniała sobie lato w Falconsward, świat tętniący życiem, parzące się bydło i konie. Bez wstydu obserwowała budzenie się natury, choć w jej dziecięcym ciele zmysły były jeszcze uśpione.

–Słuchaj. Już jest nasz zespół – powiedział Ranald.

Romilly ujrzała czterech mężczyzn w mundurach zwykłych żołnierzy. Jeden był wysoki i krzepki, drugi niski i tłusty, o okrągłej różowej twarzy i krzywym uśmiechu, trzeci miał zmierzwiłone rudobrązowe włosy i nie przystrzyżoną brodę. Z gardła czwartego, wysokiego i chudego, o kościstej twarzy i dużych czerwonych rekach, wydobywał się najwspanialszy tenor, jaki Romilly kiedykolwiek słyszała. Przez chwilę mężczyźni nucili, żeby zestroić głosy, a następnie zaintonowali popularną i bardzo starą piosenkę biesiadną.

Błogosław, Aldonesie, zwyczajne ludzkie ramię; Błogosław, gdzie się w łokciu zgina. Bo gdyby krótsze było, to żylibyśmy sucho, A dłuższe gdyby było, to pilibyśmy uchem!

Na koniec chwycili kufle i odwrócili je do góry dnami, pokazując, że są puste. Żołnierze zawyli z aprobatą i nalali im do pełna. Śpiewacy wypili piwo i zaczęli następną piosenkę.

Głosy mieli wspaniałe, a ich piosenki były rubaszne, lecz nie sprośne, i mówiły głównie o kobietach i przyjemności picia. Romilly razem ze wszystkimi śpiewała refreny, aż ochrypła. Zapomniała o swoim dziwnym nastroju i była wdzięczna Ranaldowi, że ją tu przyprowadził. W pewnym momencie ktoś wcisnął jej do ręki kubek z mocnym, aromatycznym piwem, po którym poczuła przyjemny szmer w głowie. Zaczął się jej nawet podobać własny głos, choć zawsze uważała, że nie ma się czym chwalić. Nie była jednak tak pijana, by stracić kontrolę nad sobą. W końcu zrobiło się późno i Synowie Wiatru, mimo dużej ilości wypitego wina wciąż pewnie trzymający się na nogach, zaśpiewali ostatnią piosenkę ku aplauzowi i dzikim okrzykom zgromadzonych, po czym wszyscy udali się na spoczynek. Idąc do namiotu, Romilly musiała wspierać się na lordzie Ridenowie.

Nagle Ranald przyciągnął ją do siebie.

–Romy, nie trzeba pamiętać ani żałować tego, co się robi pod czterema księżycami

–szepnął.

Odepchnęła go bez przekonania.

–Jestem mieczniczką. Nie chcę okryć hańbą Sióstr Mieczowych. Uważasz mnie za kobietę lekkich obyczajów, bo pochodzę z gór? Poza tym Lady Maura dzieli ze mną namiot.

–Maura nie zostawi Carolina dzisiejszej nocy – stwierdził Ranald z powagą. – Nie mogą się pobrać, póki Rada nie wyrazi zgody, a nie zrobi tego, póki potrzebuje lady Elhalyń jako *Ieronis*. Myślisz, że Maura by ciebie winiła? A może uważasz mnie za

egoistę, który uczyni cię brzemienną w czasie wojny, gdy twoje umiejętności są równie cenne jak moje?

Znowu próbował wziąć ją w ramiona, ale ona gwałtownie potrząsnęła głową, więc puścił ją.

–Chciałbym, żeby to było przyjemnością nie tylko dla mnie. – Pocałował ją we wnętrze dłoni. – Może...

Zresztą mniejsza o to. Spij dobrze, Romilly.

Uklonił się i odszedł. Romilly poczuła się samotna i zziębnięta. Niemal żałowała, że go odprawiła.

Sama nie wiem, czego chcę. Chyba nie tego...

Ranald miał rację. Poślanie lady Maury leżało puste. Romilly zdjęła ubranie i wsunęła się pod koce. Zwykle na noc zostawała w koszuli, ale dzisiaj było jej tak gorąco, że nie mogła znieść dotyku płótna na rozgrzanej skórze. Miała wrażenie, że światło księżyców przenika przez brezent namiotu i przez całe jej ciało. W głowie nadal rozbrzmiewała jej muzyka i szumiało piwo. Wydało jej się, że stoi na dworze wśród ciemności i ciszy, grzebie nogą trawę, a z ziemi unosi się słodki, odurzający zapach. Dręczył ją szalony niepokój.

Na Słonecznego również zdawał się działać blask czterech księżyców. Nie było to dla niej nowe odczucie.

Miewała je już wcześniej, w minionych latach, ale nigdy z pełną mocą *Iaran* i nagle rozbudzonego ciała. Zapach trawy, krew tętniąca w żyłach... Całą ją ogarnęło bolesne napięcie. Podwójnymi zmysłami odbierała słodkie aromaty z nutą piżma i letnich kwiatów oraz nieznannej woni, która budziła bezmierne pożądanie, zmiatające bariery myśli i rozumu. Jednocześnie była czarnym ogierem i przerażoną Romilly,

usiłującą zerwać kontakt. Nie mogła znieść naporu zwierzęcej żądzы spotęgowanej światłem księżyców. Odwróciła się i rzuciła do ucieczki, nie wiedząc, czego właściwie się boi. Grozę budziła w niej myśl, że jeśli to coś się stanie nigdy nie będzie mogła wrócić do swojego ciała jakiego ciała nie miała pojęcia to było nie do zniesienia... Namiętność, przerażenie, ruja... NIE, NIE...

Niebieskie światło zalało namiot, kiedy uchyliło się płótno. Romilly nie widziała, że księżycowy blask sięgnął do jej miotającego się ciała.

Ktoś łagodnie wziął dziewczynę w ramiona i cicho zawołał jej imię.

–Romilly, Romi, Romi, wracaj, wracaj. Przytulę cię, biedactwo. Wracaj do mnie, wracaj tutaj.

Zobaczyła twarz Ranalda i usłyszała jego głos. Niczym uratowana z topieli, z ulgą wróciła do swojego ciała, które trzymał w ramionach. Dotknął wargami jej ust, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła gwałtownie do siebie. Zrobić cokolwiek, cokolwiek, żeby zostać bezpiecznie we własnym ciele, odciąć się od zalewu zbyt silnych emocji i fizycznych odczuć. Ranald objął ją i zaczął pieścić. Była sobą, znowu była Romilly i sama nie wiedziała, czy to ze strachu, wdzięczności czy z prawdziwego pożądanja przywarła wargami do jego ust, wtuliła się w jego ramiona, zerwała kontakt z ogierem, przypomniała sobie, że jest człowiekiem, i robi to, czego pragnęła. Wyczytała w umyśle mężczyzny, że jest zdumiony i zachwycony, może nawet lekko wystraszony jej nagłą zgodą, i jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy stwierdził, że ona jest dziewczicą, lecz w chwili wspólnej namiętności nie miało to znaczenia dla żadnego z nich.

–Wiedziałem – szepnął potem. – Wiedziałem, że to będzie za wiele dla ciebie. Nie sądzę, żebyś akurat mnie wzywała, ale czekałem w pobliżu. Wiedziałem.

Pocałowała go z wdzięcznością, oczarowana i zdziwiona. Wszystko odbyło się naturalnie i dokładnie tak, jak powinno. Gdy zapadła w sen, przemknęła jej przez głowę rozbawiona myśl: Nigdy by tak nie było z dom Garrisem! Słusznie uczyniłam, że za niego nie wyszłam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Armia Carolina obozowała nad strumieniem przez trzy dni. Ostatniego dnia Romilly poszła z Ranaldem wypuścić ptaki. Zdawała sobie sprawę, że musi ukrywać myśli przed Ruyvenem. Nie rozumiałby tego, co się wydarzyło. Wiedziałyby tylko, że jego młodsza, niewinna siostra dzieliła łożę z lordem Ridenowem. Prawdę mówiąc, Romilly wcale nie dręczył wstyd ani żal, tylko martwiła się, że prawda zaszkodziłaby współpracy ich trójki. Ruyven pewno uznałby Ranalda za uwodziciela, a on po prostu wybawił ją z sytuacji, której nie mogła znieść. Do tej pory Romilly nie miała pojęcia, co takiego było nie do zniesienia.

–Przypominaj mi, żebym wciąż nie zerkał na ciebie i nie uśmiechał się – poprosił

Ranald, kiedy odebrał jej niepokój, że sekret się wyda.

Romilly uśmiechnęła się w odpowiedzi. Czuła się spokojna i szczęśliwa. Bez niesmaku czy lęku mogła patrzeć na łąkę przy strumieniu, gdzie pasły się konie, i nawiązać dawny kontakt z ogierem bez budzącego się w niej niesmaku lub zakłopotania. Odzyskała poczucie bliskości i jedności ze Słonecznym.

Ranald to sprawił, rozważała dziewczyna. Maura natomiast powiedziała, że konie nie mają pamięci ani wyobraźni. Dlatego mogę podjąć wszystko w miejscu, gdzie przerwałam.

Dwa razy w ciągu tych dni udawała się do stołówki Sióstr Mieczowych i jadła z nimi wspólny posiłek. Clea drażniła się z nią trochę.

–Więc nadal jesteś jedną z nas, choć zadajesz się ze szlachtą?

–Bądź sprawiedliwa – zmitygowała ją Jandria. – Romilly ma pracę do wykonania, podobnie jak my, a lady Maura jest lepszą przyzwoitką niż cały zajazd sióstr. Poza tym jednym z ptasich opiekunów jest rodzony brat Romilly. Jeśli plotki mówią prawdę, lady Maura pewnego dnia zostanie naszą królową. – Spojrzała pytająco na dziewczynę.

–Wiesz coś o tym, Romi?

–Nie więcej niż ty. Król Carolin nie ożeni się, póki Rada nie da mu pozwolenia, a szlachcianka o pozycji lady Maury nie może wyjść za mąż bez zgody rodziców, zwłaszcza gdy ubiega się o nią król. Lecz oczywiście, jeśli będą tego naprawdę chcieli, małżeństwo dojdzie do skutku.

–A jeśli nie, król spłodzi bękarta, żeby jeszcze bardziej namącić w królestwie niż ten *gre'zuin* Rakhal – rzuciła Tina pogardliwie. – Piękne zachowanie jak na *Ieronis*. Wiem

od jej pokojówki, że spędziła dwie noce w namiocie króla. Jaka więc z niej przyzwoitką dla Romi?

Ranald nauczył ją trochę ukrywać myśli, więc Romilly udało się nie zaczerwienić ani też nie odwrócić wzroku.

–Naprawdę myślisz, Tino, że potrzebuję przyzwoitki, spędzając czas z trzema paskudnymi ptaszyskami i bratem? Jeśli chodzi o Maurę, słyszałam, że przysięgła pozostać dziewicą, żeby zachować Dar Widzenia, więc nie mogę uwierzyć, żeby go chciała stracić, nawet w łóżu króla, kiedy wciąż jeszcze szaleje wojna. Zresztą nie jestem strażniczką jej sumienia. To dorosła kobieta i *Ieronis*. Nie musi się tłumaczyć przed nikim.

Clea prychnęła lekceważąco.

–Więc nie można stracić dziewictwa z miłości, ale prehandlować je za koronę owszem? Pięknie! – Zaczęła bić brawo. – Weź z niej przykład, Romi!

Romilly przyszło wcześniej do głowy, że mogłaby porozmawiać o własnych przeżyciach z tymi kobietami, które postępowały według swojej woli. Miałyby na przykład ochotę zwierzyć się Jandrii. Lecz mieczniczka już wstała od stołu, żeby wrócić do doradców Carolina, a ona nikogo innego, nawet Clei, nie mogła uznać za swoją przyjaciółkę. Nie po ich pogardliwych uwagach. Nie potrafiłaby mówić o Ranaldzie. Żadna by tego nie zrozumiała.

Nie okryła się hańbą Sióstr Mieczowych. Przysięga nie zobowiązywała jej do niczego więcej. Przynajmniej nie sprzedała się temu staremu rozpustnikowi dom Garrisowi w zamian za bogactwo i powodzenie interesów ojca, który dostarczał koni Scathfellom!

Trzeciego dnia w dobrym nastroju poszła z Ranaldem i Ruyvenem wypuścić ptaki. Dzień był szary i dżdżysty. Padał deszcz i nawet w czasie krótkich przejaśnień dął porywisty wiatr. Ptaki skulone na stojakach zaczęły protestować, kiedy brali je na siodła. Nie podobała im się taka pogoda, ale po dwóch dniach leniuchowania i

objadania się potrzebowały ruchu. Carolin zaś chciał poznać ruchy armii Rakhala.

–Muszą lecieć na niedużej wysokości, żeby mogły coś dojrzeć przez mgłę – stwierdził Ranald.

–One tego nie lubią – zaprotestowała Romilly.

–Nie obchodzi mnie, co lubią, a czego nie – uciął Ranałd. – Nie wypuszczamy ptaków dla swojej czy ich przyjemności. Zapomniałaś o tym, Romilly?

Na chwilę rzeczywiście zapomniała, tak blisko czuła się związana z podopiecznymi. Wypuściła Pilność i razem z nią poleciała wysoko nad pasmo wzgórz. Po chwili opamiętała się, sfrunęła niżej i skierowała się na wschód, gdzie ostatnio wytropili armię Rakhala.

Mżawka przesłaniała widok, tak że mimo ostrego wzroku musiała zniżyć się jeszcze bardziej, by dojrzeć ziemię. Zacinający z północnego wschodu deszcz jeszcze pogarszał widoczność. Ten lot zupełnie nie przypominał poprzedniego, kiedy mknęli na dużej wysokości i przekazywali Carolinowi przez Ranałda obraz leżącej w dole krainy. Teraz była to powolna, żmudna praca, przełamywanie woli upartego ptaka, który chciał wrócić do domu, skulić się na stojaku i poczekać na ładną pogodę. Prócz tego Romilly musiała tłumić instynkt, który gnał go ponad chmury.

Ptaki-zwiadowcy, ptaki-szpiedzy. Wszyscy jesteśmy narzędziami w rękach króla, myślała. Jakże szalałby ojciec! Córka miała być rekompensatą za zbiegłego syna, którego wydziedziczył, i za drugiego – mola książkowego. Ciekawe, jak się wiedzie Darrenowi? Czy uległ woli MacArana i zajął się sokołami i końmi?

Nagle zgubiła ślad ptaka. Ostra pytająca myśl Ruyvena przywołała ją do rzeczywistości. Znowu leciała – czy też raczej Pilność – w deszczu, chłostana lodowatymi igiełkami, zziębnięta. Stwierdziła, że musi zaryzykować i bardziej się zniżyć, bo nic nie zobaczy przez gęstą kurtynę wody. Podążyła za Wstrzemięźliwością, która mknęła w stronę przerwy w chmurach. Ziemia w dole była opustoszała, ale na horyzoncie Romilly dostrzegła dym. Wiedziała, że to armia Rakhala przeczekuje deszcz. Za sobą czuła ruch powietrza spowodowany obecnością Rozwagi, która leciała za jej ogonem. Jednocześnie częścią świadomości utrzymywała równowagę w siodle, a częścią towarzyszyła Carolinowi, który czekał na informacje.

Przed nią pojawiła się szybko rosnąca plamka. Oczywiście! Powinna była wiedzieć, że wrogowie również mają zwiadowców i wypuszczą ich nawet w taką pogodę! Szybko zmieniła kurs – a może zrobiła to Pilność? – w nadziei, że nie zauważona minie nadlatującego ptaka. Czyżby kierował nim sam Rakhala, czy też jeden z jego doradców?

Czy będzie musiała stoczyć walkę? Nie mogła liczyć na to, że zapanuje nad ptakiem. Wystarczająco trudne było kontrolowanie jego umysłu, gdy wszystko szło dobrze, zaś w razie niebezpieczeństwa instynkt brał górę nad wspólną świadomością.

Wstrzemięźliwość kierowana przez Ruyvena nadal leciała daleko w przodzie. Romilly zobaczyła skraj obozu nieprzyjaciela i wóz, nad którym unosiło się coś czarnego i groźnego. Nie była pewna, czy widzi to własnymi oczami, czy odbiera obraz z umysłu Ruyvena. Ptaki nie potrafią interpretować tego, co rejestrują ich oczy, chyba że chodzi o jedzenie lub bezpośrednie zagrożenie. W uszach dźwięczały jej słowa Maury: „Nie mają pamięci ani wyobraźni. ”

Ogromnego trudu wymagało od niej utrzymanie Pilności na kursie. Obcy gryzący zapach coraz bardziej drażnił powonienie jej albo ptaka, natomiast czerń była czymś, co z pewnością odbierała z umysłów połączonych telepatycznie ze szpiegującym zwiadowcą. Romilly była ciekawa, co to jest, ale tak stopiła się ze świadomością ptaka, że z ulgą zostawiła interpretację Carolinowi.

Coś było w powietrzu... niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo. Rozżarzone do czerwoności żelazo przeszło jej mózg. Skręciła gwałtownie, krzycząc. Poczuli ostry ból w sercu. Z krzykiem zerwała kontakt. *Ból... strach...* Wiedziała, że Pilność spada jak kamień. *Zawrót głowy, utrata świadomości, śmierć.* Romilly siedziała na koniu, trzymając się za pierś, jakby strzała, która zabiła ptaka-zwiadowcę, przebiła również ją. Ból był koszmarny, nie do zniesienia. Rozejrzała się dzikim wzrokiem, zdezorientowana. Zaraz jednak zrozumiała, co się stało.

Pilność! Rozmyślnie wystawiła ptaka na niebezpieczeństwo, tłumiąc jego instynkt samozachowawczy, odruch, żeby lecieć wyżej, ratować się. Walczyły w niej teraz poczucie winy i smutek.

Ktoś zawołał z oddali jej imię. Wyłoniła się z szarej mgły... Ranald patrzył na nią z głęboką troską.

–Rozwaga... Wstrzemięźliwość, każ im wracać – powiedziała zduszonym głosem.

Ranald nabrał powietrza.

–Są daleko. Kazałem im lecieć w górę, poza zasięg... Przykro mi, Romy. Kochałaś ją.

–A ona kochała życie! Zginęła przez ciebie i Carolina. Och, nienawidzę wszystkich mężczyzn i waszych przeklętych wojen. Nic z tego nie jest warte jedno pióra z jej skrzydła.

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

Ruyven siedział bez ruchu, z zadartą głową, a jego twarz płonęła z wysiłku. Nagle z chmur wypadł ptak i siadł mu na rękawicy.

–Wstrzemięźliwość – szepnęła Romilly z ulgą. – A gdzie jest Rozwaga?

Jakby w odpowiedzi z góry dobiegł ostry krzyk, a zaraz po nim następny. Dwa ciemne kształty przebiły się przez warstwę mgły i deszczu. Tocząc walkę, spadały zwarte ze sobą. Posypały się pióra, a jazgot ustał. Małe bezwładne ciało runęło pod końskie kopyta. Drugi ptak odleciał, krzycząc triumfalnie.

–Nie patrz! Ranaldzie, przytrzymaj ją... – zaczął Ruyven.

Lecz Romilly już zeskoczyła z konia i łkając rozpaczliwie podniosła zakrwawioną Rozwagę, nieruchomą, jeszcze ciepłą. Przytuliła ją do piersi. Twarz miała mokrą od łez i pełną wściekłości.

–Rozwaga! Och, Rozwago, kochanie, tylko nie ty...

Krew ptaka poplamiała jej ręce i tunikę. Ranald zsiadł z konia, podszedł do Romilly i delikatnie wziął od niej martwe ciało.

–Ona nie żyje, Romilly – powiedział cicho i przytulił ją. – Biedactwo, nie płacz. Nic nie poradzisz. Jest wojna.

I to niby ma wszystko tłumaczyć! Wezbrała w niej wściekłość. Igrają z życiem dzikich stworzeń, a sami nie narażają się, mówiąc, że taka jest wojna. Niech się zabijają nawzajem, jeśli chcą, do tego mają pełne prawo, ale co niewinnego ptaka obchodzi taki czy inny król?

Ruyven uspokoił Wstrzemięźliwość i nasunął jej kaptur na głowę.

–Romilly, spróbuj się opanować. Jest zadanie do wykonania. Ranaldzie, widziałeś...

–Tak, Rakhal gdzieś tam w taborach ma płynny ogień. Nie wiem, gdzie zamierza go użyć, ale Carolin musi się dowiedzieć o tym natychmiast! Czasu mamy niewiele, jeśli nie chcemy spłonąć. Wolałbym, żeby nie użyto tego diabelstwa przeciwko mnie ani w ogóle w tej okolicy.

–Ja też. Widziałem w Tramontanie, co potrafi płynny ogień – powiedział Ruyven. – Co prawda, nie w czasie wojny. Carolin przysiągł, że nie użyje go przeciwko ludziom mieszkającym na jego ziemi. Nie mam jednak pojęcia, jak można z tym walczyć.

–Co to jest płynny ogień? – spytała Romilly.

–Tchnienie z kuźni samego Zandru – odparł Ranald. – Ogień, który płonie tak długo, aż nie ma co trawić. Wypala ciało do kości i ziemię do kamienia. Uzyskuje się

go za pomocą magii i *laran*.

Nie wątpię, pomyślała z goryczą. Dlaczego osoby, które zabijają niewinnego ptaka z powodu roszczeń jakiegoś króla, miałyby się powstrzymać przed mordowaniem ludzi?

–Chodź. – Ranald wziął ją delikatnie pod ramię i zaprowadził do konia. – Carolin musi się dowiedzieć o wszystkim. Poza tym będzie potrzebował wszystkich swoich *leronyn*. Maura przysięgała, że nie będzie walczyć przeciwko Rakhalowi, ale nie sądzę, żeby teraz się wahała. Na pewno nie dopuści do użycia płynnego ognia przeciwko swoim, niezależnie od tego, co jeszcze czuje do Rakhala!

Romilly jechała na oślep. Łzy strumieniem płynęły jej z oczu. Nie wiedziała i nie chciała wiedzieć nic o broni, której używali ci ludzie, ich królowie i *leroni*. Czuła, że Ranald jedzie obok niej, ale sięgnęła do Słonecznego. Siła wielkiego ogiera, ciepło i bliskość dodały jej otuchy. Razem tkwili w terażniejszości, bez pamięci i myśli o przyszłości, bez wyobraźni i emocji innych niż reakcja na proste bodźce: zieleń trawy, drogę pod nogami, ciężar ukochanego Carolina. Jechała nic nie widząc, bo umysłem była ze Słonecznym. Poczucie straty i żal rozplynęły się w beczasowości.

Wreszcie, trochę pocieszona, opuściła koński świat i uświadomiła sobie, że ktoś o niej mówi.

Bardzo lubiła Ptaki-zwiadowców. Była z nimi mocno związana. Nam z początku wydawały się brzydkie, ale ona nam pokazała, że jest w nich swoiste piękno.

To jej pierwsza taka strata. Musi się nauczyć zachowywać odrębność i nie angażować tak bardzo.

Czego się spodziewać po dzikiej telepatce, która sama dochodziła do swojej sztuki, nie nauczona dyscypliny panującej w Wieży.

Romilly pomyślała z oburzeniem, że jeśli w Wieżach uczą obojętności wobec śmierci niewinnych stworzeń, których nie obchodzą wojny prowadzone przez ludzi, to bardzo dobrze, że nie przeszła szkolenia!

–Zrozumcie, proszę – powiedział Carolin patrząc na trójkę ptasich opiekunów. – Nie winię żadnego z was, ale straciliśmy dwa z trzech ptaków-zwiadowców. Ostatniego trzeba wysłać natychmiast, bez względu na niebezpieczeństwo. Kto go wypuści?

–Ja – zgłosił się Ruyven. – Moja siostra jest głęboko zasmucona. Opiekowała się

ptakami od dawna i bardzo się do nich przywiązała. Nie sądzę, żeby miała dość siły, by teraz pracować, Sire.

Carolin zerknął na Ranalda.

–Będę potrzebował wszystkich moich *Ieronyn*, jeśli mamy zniszczyć płynny ogień, nim Rakhal go użyje. Jeśli chodzi o Romilly... – Spojrzał na nią ze współczuciem.

Dziewczyna zjeżyła się.

–Ja wypuszczę Wstrzemięźliwość. Wiem już co robić, żeby nie narazić jej na niebezpieczeństwo.

–Romilly... – Król Carolin zsiadł z konia i podszedł do niej. Rzekł poważnie: -Przykro mi z powodu twoich podopiecznych, lecz spojrzij na sytuację z mojego punktu widzenia. Ryzykujemy życiem ptaków i zwierząt, żeby ratować życie ludzi. Wiem, że ptaki znaczą dla ciebie więcej niż dla mnie albo kogokolwiek z nas, ale muszę cię zapytać: czy wolałabyś, żebym ja zginął zamiast nich? Czy nie zaryzykowałabyś ich życiem, żeby uratować Siostry Mieczowe?

Ptaki nie zrobiły krzywdy Rakhalowi, pomyślała. Dlaczego ludzie nie mogą toczyć bitew, nie narażając niewinnych? Wiedziała jednak, że jest to czysto emocjonalna reakcja. Jest przecież człowiekiem; poświęciłaby ptaka albo nawet konia, żeby ratować Ranalda, Oraina, lub samego Carolina albo też swego brata.

–Ich życie należy do ciebie, Wasza Królewska Wysokość. Możesz je oszczędzić albo wysłać na śmierć, jeśli chcesz. Lecz ja nie narażę ich na niebezpieczeństwo bez
ważnego powodu.

Zdziwiła ją bezmiernie smutna mina króla.

–Romilly, dziecko... – Milczał przez chwilę. – Każdy dowódca musi podejmować trudne decyzje, kłaść na szalę życie części ludzi i zwierząt, by uratować resztę.

Wolałbym nigdy nie patrzeć na śmierć moich żołnierzy. – Westchnął. – Jestem jednak

winien opiekę tym, którym przysięgałem służyć. Właśnie raczej służyć, niż rządzić.

Idź, wypuść ptaka.

Dopiero teraz Romilly uświadomiła sobie ze zdumieniem, że tylko trzy ostatnie słowa Carolin wypowiedział na głos.

Czytałam w jego myślach i on o tym wiedział. Nie mówiłby takich rzeczy wobec swojej armii, ale nie mógł ich ukryć przed tymi, którzy mają *laran*.

Szkoda, że taki król musi prowadzić swoich ludzi na wojnę. Powinna była wiedzieć, że Carolin bez potrzeby nie szafuje cudzym życiem. Skoro mógł oszczędzić swoich żołnierzy, wysyłając na niebezpieczeństwo ptaki-zwiadowców, dobrze, że tak postąpił. Ona sama skazała ptaka banshee na głód, bo inaczej zginęłyby jej towarzysze podróży. Była człowiekiem. Musiała być lojalna przede wszystkim wobec własnego

gatunku. Ukłoniła się królowi, odjechała kawałek i wypuściła Wstrzemięźliwość w deszczowe niebo.

Lecąc nad polami, usłyszała grzmot kopyt galopujących koni. Pędząc ze szczytu wzgórza, armia Rakhala zaatakowała wroga. Wojska starły się ze szczękiem, ziemia drżała. Romilly spojrzała na pole bitwy oczami ptaka.

Konie padające z rzeniem, ich brzuchy rozplątane mieczami i włóczniami. Umierający ludzie. Nie wiadomo było, czy to żołnierze Carolina, czy Rakhala. Zresztą nie miało to znaczenia. Duży oddział pocwałował w stronę, gdzie powiewała błękitna chorągiew z jodłą. Słoneczny! Zanieś mojego króla w bezpieczne miejsce. Śmignęła razem z czarnym ogierem, który galopem unosił króla. Nieco dalej utworzyła się zwarta grupa jeźdźców czekających na kolejny atak.

Płomienie rozżarzyły powietrze, które wypełniał ostry zapach palonego ciała. Ludzie krzyczeli, konie rżały. Wszędzie śmierć, wszędzie...

Romilly zachowała spokój. Unosiła się nad polem, przekazując obraz bitwy Carolinowi, żeby mógł kierować żołnierzy tam, gdzie byli najbardziej potrzebni. Mijały, jak się zdawało, godziny, a ona krążyła nad ziemią, oglądając straszne sceny. Smród płonących ciał przyprawiał ją o mdłości.

W końcu wojsko Rakhala pierzchło, zostawiając martwych i umierających. Romilly wróciła do swojego ciała, chora i wstrząśnięta. W czasie, kiedy utrzymywała kontakt telepatyczny z ostatnim zwiadowcą, Ruyven zaprowadził jej konia w bezpieczne miejsce na niewielkim wzgórzu, z którego roztaczał się widok na całe pole bitwy.

Dogorywające konie. Siedem z nich sama wyszkoliła w zajeździe Sióstr Mieczowych. Clea, wesola Clea, która tak lekko mówiła o śmierci, leżała martwa na ziemi. Na karmazynowej tunice mieczniczki nie widać było krwi. Clea, do tej chwili żywa, oddychająca, ukochana ludzka istota, umierającą w ramionach Jandrii, pozostawiająca po sobie tak ogromną pustkę i ciszę.

Nikt nie świętował zwycięstwa. Carolin stracił tego dnia zbyt wielu żołnierzy. Ludzie posępnie grzebali umarłych, miłosiernie dobijali konające zwierzęta. Ruyven pomagał uzdrowicielom opatrywać rannych. Romilly, oniemiała ze zgrozy, rozstawiła namiot przy pomocy młodego ucznia Ruyvena, który miał na ramieniu wielkie oparzenie od płynnego ognia. Tylko na jednym z trzech stojaków siedział osowiały ptak. Romilly robiło się niedobrze, kiedy go karmiła. Zewsząd teraz otaczał ich smród padliny. Nie mogła zasnąć w małym namiocie, który dzieliła z lady Maura, więc

przeszukała cały obóz rozbity na skraju pola bitewnego, aż znalazła niedobitki Sióstr Mieczowych i cicho położyła się między nimi. Tylu zabitych. Konie i ptaki, które stanowiły treść jej życia, którym poświęciła tyle czasu i miłości. Trenowała konie nie po to, żeby służyły ludziom, ale żeby zginęły w tej bezsensownej rzezi. I Clea, którą Jandria przyniosła martwą. Jakaś mieczniczka zawołała do Romilly:

–Siostró, jesteś ranna?

–Nie.

Była zupełnie odrętwiała. Przeżyła tyle śmierci, wdzierających się do jej nie osłoniętego umysłu, że sama nie wiedziała, w jakim jest stanie. Dopiero teraz stwierdziła, że na jej własnym ciele nie ma nawet draśnięcia.

–Znasz się na uzdrawianiu?

Kiedy Romilly odparła, że nie, powiedziały, żeby im pomogła kopać grób dla Clei.

–Siostra Mieczowa musi być pochowana oddzielnie. Po śmierci też nie może leżeć między żołnierzami.

Jakie ma teraz znaczenie, gdzie będzie spoczywać Clea? pomyślała Romilly z tępych bólem w głowie. Walczyła dzielnie, wiele sióstr nauczyła samoobrony, ale śmierć dopadła ją zniemacka. Teraz leżała zimna i sztywna. Na jej twarzy zastygł wyraz ogromnego zdziwienia. Romilly nie mogła uwierzyć, że mieczniczka już nie będzie się śmiała ani atakowała koleżanek z zaskoczenia, przyłapując je na nieuwadze, jak to miała w zwyczaju. Romilly wzięła łopatę, którą podała jej jedna z kobiet. Potrzebowała ciężkiej fizycznej pracy. Widziała zbyt wiele bólu i cierpienia, słyszała jęki i krzyki rannych. Ich ból rozszarpał ją od środka. Próbowwała odciąć się od strasznych wrażeń, tak jak nauczył ją Ranald, ale było ich za dużo, za dużo...

Nad polem zawisły w oczekiwaniu ciemne kształty. Nagle jeden spadł na martwego konia i z donośnym ochryplym krzykiem zadowolenia zatopił dziób we wzdętym brzuchu. Po nim sfrunęły w dół następne ptaki. Dziesiątki, setki. Przystąpiły do uczty, nawołując się radośnie. Romilly odebrała czyjaś myśl, ale nie potrafiła stwierdzić, czy od jednej z sióstr kopiących z nią grób, czy od kogoś w ciemnym

obozie: *Klęska ludzi jest szczęściem padlinożerców. Gdy ludzie mają żalobę, kyorebni świętują.* Wypuściła łopatę, ogarnięta mdłościami. Schyliła się, żeby ją podnieść, lecz nagle zgięła się w pół i zwymiotowała. Nie jadła od rana, więc zwróciła tylko trochę żółci. Stała pochylona, chora i wyczerpana, zbyt słaba, żeby płakać.

Podeszła do niej Jandria i w milczeniu zaprowadziła ją do namiotu. Dwie mieczniczki opatrywały trzy rane. Jedna miała na ręce oparzenie od płynnego ognia,

który nadal płonął, wgryzając się w ranę. Druga była nieprzytomna po ciosie mieczem w głowę, a trzecią przygniótł padający koń, łamiąc jej nogę. Jedna z sióstr podniosła wzrok i zmarszczyła brwi, kiedy Jandria posadziła Romilly na kocu.

–Ona nie jest ranna. Powinna pomóc grzebać zmarłych!

–Istnieją różne rany! – burknęła Jandria.

Przytuliła Romilly i zaczęła ją kołysać, gładzić po włosach i uspokajać, ale dziewczyna nic nie czuła. Pograżona samotnie w rozpacz, szukała zmarłych.

W mrocznym śnie wędrowała przez rozległą szarą równinę, gdy ujrzała przed sobą roześmianą Cleę jadącą na jednym z padłych koni. Na ręce trzymała Rozwagę. Była tak daleko. Romilly nie mogła jej dogonić, choć pędziła co sił. Stopy jej grzęzły niczym w gęstym syropie.

Usłyszała jakiś głos. Czuła, że powinna go znać, ale nie mogła sobie przypomnieć, do kogo należy. *Nie nauczyła się wyłączać. Tym razem być może uda mi się otoczyć ją barierą, ale nic więcej nie mogę zrobić. Jest dziką telepatką i nie ma dostatecznej ochrony.*

Romilly czuła, że ktoś – Carolin? Lady Maura? – dotknął lekko jej czoła. Raptem wróciła do namiotu Sióstr Mieczowych, a wielka, szara, opustoszała równina śmierci zniknęła. Przywarła do Jandrii, drżąc i szlochając – Clea nie żyje. I moje konie, wszystkie moje konie... i ptaki...

Jandria kołysała ją.

–Wiem, kochanie, wiem. W porządku, płacz po nich, jeśli musisz, płacz. Jesteśmy wszyscy przy tobie.

Ona też płacze, stwierdziła Romilly, z otępiałym zdumieniem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Romilly obudziła się rano po bitwie. Dzień był szary i smętny. Padał gęsty deszcz. Na polu nic się nie poruszyło z wyjątkiem wszechobecnych padlinożerców. Nie zniechęcone ulewą, pożywiały się ciałami ludzi i koni.

Jej to już nie sprawia różnicy, pomyślała Romilly, ale odczuła ulgę, że ciało Clei spoczywa w grobie, zabezpieczone przed ostrymi dziobami walczących ze sobą *kyorebni*. Tak czy inaczej miało rozłożyć się na pierwotne składniki, zmienić w pokarm dla małych stworzeń żyjących w glebie, zasilić trawę i drzewa. Clea włączyła się w niekończący się, zamknięty cykl, w którym karmiący się tym, co rodzi ziemia, stawali się z kolei pożywieniem dla niej. Po co więc się smucić? zadała sobie pytanie Romilly i natychmiast znalazła odpowiedź.

Jej śmierć nastąpiła przedwcześnie. Clea zginęła na wojnie, której sama nie wywołała. Romilly przypomniało się spotkanie z Lyondrim Hasturem. Ten człowiek popełnił wiele okrucieństw, podczas gdy Carolin przynajmniej uważał za swój obowiązek służyć ludziom żyjącym w kraju, nad którym rządy należały mu się z racji urodzenia, chronić ich w miarę swoich możliwości.

Carolin jest jak koń; Romilly nawet nie przyszło do głowy, że porównanie mogłoby być dla króla obraźliwe. Rakhal i Lyondri zaś są niczym ptaki banshee żerujące na żywych istotach. Po raz pierwszy od roku spędzonego u Sióstr Mieczowych Romilly była zadowolona, że Preciosa ją opuściła.

Ona również poluje na żywe istoty. Taką ma naturę. Kocham ją, ale nie mogłabym już brać w tym udziału!

Ubrała się, naciągnęła na głowę kaptur grubego płaszcza i poszła do Wstrzemięźliwości. W pierwszym odruchu chciała zostawić obowiązki Ruyvenowi. Czuła, że widok pustych stojaków Rozwagi i Pilności obudzi wspomnienie ich

strasznej śmierci. Przysięgała jednak dbać o ptaki. Była królewską sokolniczką, a Ruyven, choć o nie dbał, nie kochał ich tak jak ona.

Wstrzemięźliwość siedziała na stojaku skulona dla ochrony przed wilgotnym chłodem i wiatrem. Romilly postanowiła przenieść ptaka do namiotu, w którym ani ona, ani Maura nie spały od kilku nocy. Wstrzemięźliwość była jedynym pozostałym przy życiu ptakiem-zwiadowcą w armii Carolina i gdyby się przeziębila, nie mogłaby latać na przespiegi. Romilly wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie ostatni lot, ale wiedziała, że znowu wypuści ptaka bez względu na niebezpieczeństwo. Zrobi to bez dawnej radości, gdyż utraciła ją wraz z niewinnością. Wykona rozkaz, bo widziała skutki wojny i zapowiedź losu, który może spotkać ludzi pod twardymi rządami Lyondriego Hastura.

Mimo krótkiej rozmowy Romilly wiedziała, że Lyondri nie chciał zostać oprawcą w służbie Rakhala. „Powiedz Jandrii, że nie jestem takim potworem, za jakiego mnie uważa. ” Uznał jednak, że tylko w ten sposób zdobędzie władzę i dlatego był tak samo winny jak Rakhal.

Jest krewnym Carolina. Jak to możliwe, że są tak niepodobni do siebie?

Nagle usłyszała kroki na zewnątrz namiotu. Obejrzała się i zobaczyła znajomą twarz.

–Dom Alderic! – wykrzyknęła.

Przybysz spojrział na nią zdumiony, ale w tym momencie podbiegł Ruyven i chwycił go w objęcia.

–*Bredu!* Powinienem być wiedzieć, że odnajdziesz nas tutaj! Czy twój ojciec już wie?

Alderic Castamir potrząsnął głową i uśmiechnął się do przyjaciela.

–Przybywam wprost z Falconsward. Twój ojciec puścił mnie, choć niechętnie.

Wiesz, Darren wrócił do klasztoru.

Ruyven westchnął.

–Ochoczo odstąpiłem Darrenowi miejsce dziedzica Falconsward i miałem nadzieję, że ojciec pozna się na jego zaletach.

–Prawdziwych zaletach – dodał Alderic. – Darren nie przepada za końmi ani sokołami, nie ma też śladu Daru MacAranów. Nie można go winić za to, jaki jest, podobnie jak ciebie, *bredu*. MacAran chyba pogodził się, że nie wykujesz młota z pierza ani nie utkasz jedwabiu nawet z drogocennej miedzi. Darren ma inne talenty, więc ojciec posłał go do Nevarsin, żeby dokończył nauki. Pewnego dnia zostanie rządcą u Raela, a tymczasem Rael... Już zacząłem go uczyć pracy z końmi i sokołami.

–Małego Raela! – zdumiał się Ruyven. – Kiedy wyjeżdżałem z Falconsward, wciąż jeszcze trzymał się spódnicy Lucielli! Wiedziałem jednak że ma Dar MacAranów.

Byłem ślepy, jeśli chodzi o Darrena, bo go kochałem. Pragnąłem, żeby miał Dar, bo wtedy ja byłbym wolny. Cóż, Darren znalazł swoje miejsce tak jak ja.

Alderic podszedł do Romilly i pochylił się nad jej dłonią.

–Panno Romilly.

–Siostró Mieczowa – sprostowała dziewczyna. – Wiem, co by ojciec powiedział, ale nie będzie po temu miał okazji.

–Za pozwoleniem, Romi. Ojciec cię kocha i opłakuje jak zmarłą – powiedział

Alderic patrząc jej prosto w oczy. – Twoja macocha również. Błagam cię jako wasz przyjaciel, byś posłała im wiadomość, że żyjesz.

Romilly uśmiechnęła się z przymusem.

–Lepiej nie. Ojciec z pewnością wolałby, żebym była martwa, niż nosiła kolczyk Sióstr i mieczem zarabiała na chleb.

–Nie byłbym tego taki pewien. Myślę, że zmienił się, odkąd opuściłaś

Falconsward. Niedługo potem przejrzał na oczy i pozwolił Darrenowi wrócić tam, gdzie chłopak czuł się szczęśliwy. Musiałabyś być ślepa, głucha i nierozumna, Romilly,

by nie zauważyć, że byłaś jego ulubionym dzieckiem, choć oczywiście ojciec kocha was

wszystkich.

–Ja to wiem – powiedział Ruyven zduszonym głosem, spuszczać wzrok. – Nie

sądziłem, że się ugnie. Ja również byłem uparty i opryskliwy. Jeśli wyjdziemy cało z tej wojny, oby dał Święty Nosiciel Brzemion, wrócę do Falconsward, pojednam się z

nim i ubłagam, żeby zawarł pokój z Wieżami. Rael powinien wyszkolić swój *laran*, nim będzie za późno. Jeśli trzeba, ukorzę się przed nim.

Byłem zbyt dumny.

–A ty, Romilly? – spytał Alderic. – On tak bardzo po tobie rozpaczał, że postarzał się w ciągu tego jednego roku.

Romilly zamrugła, czując łzy napływające do oczu. Serce zakłuło ją na myśl o ojcu jako starcu.

–Lepiej, żeby uważał mnie za zmarłą niż za córkę, która okryła go hańbą, nosząc ten kolczyk.

Alderic potrząsnął głową.

–Nie umiem cię przekonać, ale może ucieszy cię wiadomość, że Mallina poślubiła dom Garrisa w zimowe święto.

–Mallina? Moja siostrzyczka? Tego... tego obleśnego rozpustnika? – wykrzyknęła Romilly. – I ty twierdzisz, że ojciec się zmienił?

–Nie sądź pochopnie – ostrzegł Alderic. – Garris świata poza nią nie widzi, a ona, wszystko na to wskazuje, poza nim. Jeszcze przed ślubem wyznała mi, że Garris okazał się nie taki zły, kiedy go bliżej poznała. Biedak był tak samotny i nieszczęśliwy, że postępował niegodnie, ale odkąd ma kogoś, kto go kocha, całkowicie się zmienił! Powinnaś zobaczyć ich razem!

–Niech mnie Bóg broni. – Romilly potrząsnęła głową. – Lecz skoro Mallina jest szczęśliwa, lepiej, że to ona za niego wyszła, a nie ja! – Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można znieść tego człowieka, ale jej siostra zawsze była głuptasem, więc może zasłużyli na siebie nawzajem! – W każdym razie Mallina będzie łagodną i posłuszną żoną, a takiej właśnie pragnął Garris.

–Twierdzisz, że bardzo lubisz mojego ojca, a jeszcze nie przywitałeś się ze swoim - zauważył Ruyven.

–Mój ojciec doskonale obejdzie się bez mojego towarzystwa – stwierdził Alderic marszcząc brwi. – Nigdy go nie szukał. W mojej twarzy widzi tylko rysy swojej żony.

Romilly jeszcze w Falconsward podejrzewała, że Alderic jest synem Carolina! I prawowitym dziedzicem całego królestwa...

–Pozwól, że zaprowadzę cię do ojca, książę – powiedziała składając ukłon.

Alderic wytrzeszczył oczy i roześmiał się.

–Romilly, Romilly, moja młoda przyjaciółko, jeśli sądziłaś, że jestem synem króla,

to powiem ci, że się myliłaś. Synowie Carolina są bezpieczni pod opieką Hastura z Carcosy, a ja słyszałem plotki, że Carolin nadskakuje pewnej *Ieronis* z Tramontany.

– Uśmiechnął się do Ruyvena. – Mówiło się o tym, jeszcze zanim opuściłeś Wieżę, przyjacielu.

– Domna Maura obiecała wyjść za niego, jeśli Rada wyrazi zgodę – potwierdził Ruyven. – O ile przetrwamy tę wojnę. Rakhal użył przeciwko nam strzał z płynnym ogniem. Odparliśmy go, ale on ponownie zaatakuje, kiedy zbierze siły. Tylko Nosiciel

Brzemion wie, jaką piekielną broń *Iaran* ten łotr na nas szykuje! Pośpiesz się więc, jeśli chcesz przywitać ojca, 'Dericu, bo to tylko cisza przed burzą, a jutro o tej porze będziemy pewnie musieli walczyć o życie! Chciałbyś stanąć przed Bogami nie załagodniejszy wpierw rodzinnych niesnasek? Gdyż bardzo jest prawdopodobne, że wkrótce zginiesz u boku ojca.

– Aż tak źle? – spytał Alderic szukając oczu Ruyvena.

Ruyven ponuro skinął głową.

– Znajdujemy się w samym środku burzy. Spokój jest tylko chwilowy. Carolin potrzebuje wszystkich swoich *Ieronyń*, 'Deriku.

– O co tu chodzi? – przerwała im Romilly. – Jeśli nie jesteś synem Carolina...

– Mój ojciec ma na imię Orain, jest przybranym bratem i przyjacielem Carolina. Wychowałem się na królewskim dworze.

Romilly sięgnęła po jego rękę. Powinna była domyślić się prawdy, kiedy mówił, że ojciec nie może na niego patrzeć. Carolin odnosiłby się z galanterią i dobrocią nawet wobec nie kochanej żony poślubionej ze względów dynastycznych. Popęłniła gafę, ale dzięki temu wejrzała w serce Oraina. Współczuła Aldericowi, że nie zaznał ojcowskiej miłości, bo sama ją teraz doceniła.

– Jestem królewską sokolniczką. Skoro mamy spotkać się z Rakhalem na polu

bitwy, król wkrótce będzie potrzebował ptaka-zwiadowcy. Twój ojciec zapewne jest przy Carolinie.

–Nie wątpię. Nigdy nie odstępuję swojego króla. Kiedy byłem młodszy, nienawidziłem go za to i czułem urazę, że bardziej zależy mu na synach Carolina, a nawet na dzieciaku Lyondriego Hastura, niż na mnie. – Wzruszył ramionami. – Świat kręci się, jak chce. Miłości nie można wymusić, nawet w rodzinie, a dla takiego człowieka jak ojciec samo moje istnienie jest zapewne przykrym przypomnieniem nieszczęśliwego okresu w życiu. Mam wobec niego synowskie obowiązki, i obym nigdy im się nie sprzeniewierzył, ale nic więcej. Czasami myślę, że pokrewieństwo jest żartem Bogów, którzy wiążą nas z niekochanymi osobami w nadziei, że pojednamy się z nimi.

Natomiast przyjaciele to dar. MacAran był mi przyjacielem, niemal przybranym ojcem. Kiedy wojna się skończy... – Lekko dotknął jej dłoni. – Nie musimy teraz o tym rozmawiać. Chyba wiesz, co chcę powiedzieć.

Romilly nie spojrzała na niego. Kiedyś rzeczywiście myślała, że chętnie wyszłaby za tego mężczyznę. Lecz w ostatnim roku tyle się wydarzyło. Pożądała Oraina, choć on jej nie chciał. A Ranald... To, co się wydarzyło między nią i Ranaldem, nie prowadziło do małżeństwa. Było mało prawdopodobne, żeby pan z Suchej Krainy poślubił mieczniczkę z gór. Zresztą ona sama nie wyraziłaby zgody, nawet gdyby poprosił ją o rękę. Ich ciała połączyły się z rozkoszą, ale wydarzyło się to w niezwykłych okolicznościach. Tak naprawdę słabo się znali. Romilly podejrzewała, że przyjęłaby

wtedy każdego mężczyznę, który zaoferowałby się uspokoić chaos, jaki ją wypełniał. Czy Alderic nadal by ją chciał, gdyby wiedział, że ona już nie jest cnotliwym dziewczęciem, jakim była w Falconsward?

–Kiedy wojna się skończy, lordzie Alderic...

–Nazywaj mnie 'Derikiem. Ruyven i ja jesteśmy *bređin*, więc jako przyjaciel obu twoich braci winien ci jestem zawsze braterską opiekę, jeśli nie więcej.

–Jestem Siostrą Mieczową, 'Dericu. Nie potrzebuję męskiej opieki, ale chętnie przyjmę, twoją przyjaźń. Sądzę, że miałam ją jeszcze w Falconsward. Jeśli chodzi o

coś więcej niż przyjaźń, myślę... – Głos jej drżał. – Nie powinniśmy o tym nawet mówić, póki nie skończy się ta przeklęta wojna!

–Dziękuję za szczerość, Romilly. Nie chcę kobiety, która poślubiłaby mnie tylko dlatego, że jestem synem głównego doradcy i przyjaciela Carolina. Mój ojciec ożenił się z dobrze urodzoną damą, ponieważ stary król chciał w ten sposób uhonorować przybranego brata swojego syna. Rodzice pogardzali sobą nawzajem, a ja przez nich cierpiałem. Nie pozwolę, żeby moje dzieci spotkało to samo. Przysiągłem, że nigdy nie poślubię kobiety, z którą nie będzie mnie łączyła co najmniej przyjaźń.

Spojrzał jej łagodnie w oczy. Nie wiedzieć czemu Romilly zachciało się płakać.

–Na więcej możemy poczekać, mieczniczko. Romilly skinęła głową.

–Chodźmy więc przywitać się z twoim ojcem – powiedziała tylko.

Zanim jednak dotarli do namiotu Carolina, natknęli się na Oraina, który śpieszył w ich stronę.

–Mistrzynie Romilly, potrzebny zwiadowca... – Zamrugał na widok jej towarzysza.

–Ojcze – powiedział Alderic kłaniając się.

Mężczyzna uścisnął syna krótko i oficjalnie. Romilly zakłuło w sercu, gdyż była przyzwyczajona do szorstkiej serdeczności Oraina. Pomyślała, że nawet ją przywitałby milej.

–Nie wiedziałem, że przyjechałeś, chłopcze. Carolin potrzebuje wszystkich osób obdarzonych *lاران*. Pewnie słyszałeś, że Rakhal zaatakował nas płynnym ogniem.

–Dowiedziałem się o tym, gdy przybyłem do obozu, ojcze. Zamierzam oddać swój skromny *lاران* na usługi Carolina. Najpierw jednak chciałem przywitać się z tobą, sir.

–Dziękuję ci w jego imieniu – powiedział Orain ze skrzepowaniem. – Królewscy

***leronyn* zbierają się tam. – Wskazał ręką. – Mistrzynie Romilly, proszę wziąć ze sobą**

zwiadowcę. Musimy się dowiedzieć, ile mamy czasu, zanim Rakhal zaatakuje nas ponownie.

–Wyruszamy więc na niego? – zapytał Alderic.

Orain skrzywił usta w ponurym grymasie.

–Tylko po to, żeby mieć swobodę manewru. Jeśli Rakhal ma płynny ogień, lepiej,

żebyśmy nie spotkali się z nim w lasach, bo inaczej cały kraj stąd do Neskaya zostanie

wypalony!

Romilly zobaczyła, że żołnierze zdejmują chorągiew i składają namiot Carolina. Alderic zerknął na nią.

–Muszę iść. Bądź ostrożna, Romilly – powiedział i oddalił się szybkim krokiem.

Dziewczyna poszła przygotować się do wymarszu. Posadziła Wstrzemięźliwość na

siodle, a pomocnikowi Ryuvena zostawiła spakowanie rzeczy i zwinięcie namiotu. Czy Rakhal rzeczywiście byłby zdolny wypuścić strzały z płynnym ogniem w lesistej krainie? O tej porze roku? Cóż, to byłoby do niego podobne. Za wszelką cenę musieli pokonać tego człowieka bez zasad, który mianował się królem!

Tym razem wiedziała, czego szukać, więc okazało się, że łatwiej jej kierować ptakiem-zwiadowcą. Z powodu deszczu Wstrzemięźliwość nie miała ochoty latać, ale Romilly nie zawahała się przed wysłaniem jej wysoko, aż pod niskie chmury. Razem z nią wolno zataczała coraz szersze kręgi, obserwując ruchy armii Rakhala. Częścią umysłu połączyła się z Carolinem i grupą wyszkolonych *Ieronyn*, mężczyzn i kobiet. Poczuli się jedną z nich.

Przyszło jej do głowy, że może nareszcie znalazła swoje miejsce.

Nadal jestem mieczniczką, ale dobrze, że nie muszę wyciągać broni w tej bitwie. Zrobiłabym to, gdybym musiała, lecz cieszę się, że inaczej wykorzystuję swoje umiejętności. Nie chcę zabijać.

Zaraz jednak uświadomiła sobie ponuro, że bierze udział w zabijaniu tak samo, jakby używała miecza albo łuku na polu bitwy. Nawet jeszcze bardziej, bo oczy jej ptaka-zwiadowcy kierowały zabijaniem. Zajęła miejsce pomiędzy lady Maura i Ranaldem. Jedno z nich lub oboje pozostawali z nią w kontakcie, żeby przekazywać informacje Carolinowi i jego generałowi.

Jandrii musi być niełatwo. Występuje przeciwko Lyondriemu i ma świadomość, że przyczynia się do jego śmierci, bo nie ma dla niego innego losu jak śmierć. Romilly nie była pewna, czyja to myśl: jej, lady Maury czy być może lorda Oraina. Wszyscy małą grupką skupili się wokół Carolina. Był wśród nich Alderic. Miło przywitał się z Jandrią, nazywając ją „drogą ciocią”. Romilly przemknęło przez myśl,

że gdyby poślubiła Alderica, zostałyby powinowatą Jandrii.

No, ale przecież obie złożyłyśmy przysięgę Sióstr Mieczowych. Nie muszę zawierać

małżeństwa, żeby razem z nią być częścią jednej rodziny. Alderic sam powiedział, że pokrewieństwo wynika z urodzenia, natomiast przyjaźń jest darem Bogów.

Maura spojrzała na nią znacząco i Romilly przypomniała sobie o pracy. Weszła w kontakt z Wstrzemięźliwością, która nadal zataczała szerokie kręgi nad wielką równiną. W końcu wypatrzyła ostrym ptasim wzrokiem ciemną chmurę kurzu na horyzoncie.

Armia Rakhala szybko zbliżała się w stronę zalesionych wzgórz. Romilly natychmiast przekazała informację Carolinowi i odebrała jego myśl: *Wkrótce skryje się pod osłoną drzew, bo wie, że nie odważę się użyć płynnego ognia ani nawet zwykłych ogniowych strzał, żeby nie spowodować pożaru żywicznego lasu. Muszę zaatakować go wcześniej, wydać mu bitwę na terenie, który sam wybiorę.* Romilly wyczuła jego dotyk w umyśle Słonecznego.

Prowadź moje wojsko, potężny rumaku.

Poszerzona świadomość Romilly objęła Słonecznego. Carolina i jego ludzi. Rariald chwycił wodze jej koma, żeby mogła jechać spokojnie, pozostając w kontakcie ze zwiadowcą. Przesłała mu wdzięczną myśl. Deszcz ustal i wkrótce przez chmury przebiło się dziwnie wodniste światło słoneczne. Romilly kazała Wstrzemięźliwości opaść niżej i lecieć tuż nad wrogą armią, zachowując jednak bezpieczną wysokość.

Pierwsza bitwa wyraźnie przetrzebiła szeregi nieprzyjacielskiego wojska, ale na północy Romilly dostrzegła oddział jeźdźców. Czyżby przybywali na pomoc Rakhalowi? Nie. Oddalali się szybko od jego głównych sił. Romilly odebrała radosną myśl Carolina.

Ludzie opuszczają Rakhala, bo poznali się na nim. Nie podoba się im taka wojna.

Lecz wroga armia nadal była liczna. Zatrzymała się na szczycie niskiego wzgórza. Z umysłów doradców Carolina Romilly wyczytała, że Rakhal zajął najlepszy teren, gdzie może umocnić się i efektywnie bronić.

Ta bitwa miała więc być decydująca. Ponaglona przez króla, Romilly kazała ptakowi podlecieć bliżej, żeby sztabowcy mogli oszacować zgromadzone siły. Wyglądało na to, że Rakhal zachował przewagę liczebną i pozycyjną.

Musimy jakoś wywabić Rakhala z tamtego wzgórza.

Alderic podjechał do ojca i przez chwilę coś do niego mówił. Kiedy skończył, Orain zwrócił się do króla:

–Za pozwoleniem, panie. Syn przypomniał mi o starej górskiej sztuczce. Mamy

dość *Ieronym*, by ją zastosować. Daj mi kilkunastu żołnierzy, a *Ieronym* niech stworzą

iluzję, że jest nas cztery razy więcej. Sprowokujemy Rakhala, żeby nas zaatakował.

Wtedy ty będziesz mógł zająć go od flanki.

Carolin zastanawiał się przez chwilę.

–To może się powieść – stwierdził w końcu. – Lecz nie poślę swoich *Ieronym* na niebezpieczeństwo.

Większość z nich nawet nie ma mieczy.

–Mój *Iaran* i miecz są do twoich usług, królu – oświadczył Ranald Ridenow. – Pozwól mi poprowadzić żołnierzy.

–Wybierz więc sobie ludzi i niech Aldones was chroni! – zdecydował Carolin. – Tylko starannie wybierzcie moment.

–Panna MacAran zrobi to za nas – odparł Ranald.

–Chcesz wziąć kobietę do boju? – spytał Orain. Romilly zerwała na moment kontakt z ptakiem.

–Lordzie Orain, jestem mieczniczką! Pójdę wszędzie tam, gdzie mój brat! Ruyven nie odezwał się, ale Romilly odebrała jego ciepłe słowa: *Brawo, siostró!*

oraz dotyk Alderica. Przypomniał się jej dzień, kiedy w Falconsward razem wypuszczali sokoły w czasie letniego święta.

Kiedy wojna się skończy, już nigdy więcej nie będę polować dla przyjemności. Teraz wiem, jak to jest być ofiarą.

Romilly ze zdumieniem rozpoznała myśl Oraina.

Jakież to bliskie moim własnym odczuciom! Po raz kolejny chwycił ją gorzki żal, że tak się od siebie oddalili. Byliśmy sobie tacy bliscy, tak podobni pod wieloma względami! Lecz nic nie mogła poradzić na to, że Orain jest, jaki jest. Ponownie nawiązała kontakt ze zwiadowcą i wpuściła Ranalda do swojego umysłu, żeby mógł przekazać Orainowi i Aldericowi obraz armii Rakhala.

Jeźdźcy otoczyli piechotę i łuczników, a w środku ustawiono wozy, nad którymi unosił się ostry zapach płynnego ognia. Wrogowie zajęli całe wzgórze i gdyby się na nim umocnili, trudno byłoby przełamać ich obronę.

Muszę to zrobić. Myśl pochodziła od Alderica, który pędził na złamanie karku na czele oddziału składającego się z dwudziestu paru żołnierzy i grupki *Ieronyn*. Nagle dał im znak.

Teraz!

Romilly ujrzała raptem wielką chmurę kurzu sunącą w stronę wzgórza do wtóru okrzyków i tętentu kopyt. ***Cóż to za żołnierze?*** I natychmiast rozpoznała dezertersów z armii Rakhala, których niedawno widziała uciekających. Obraz zbiegłej kawalerii, niczym odbicie w wielkim lustrze, został rzucony prosto na szeregi jego wojska. Zaatakowani z początku trzymali się twardo, a na grupkę żołnierzy Carolina i *Ieronyn* spadł grad strzał, które jednak nie dotarły do nich, tylko do iluzorycznego szarżującego oddziału.

Dołączcie do nas! W imię Bogów, niech przyłączą się do nas wszyscy, którzy mają laran. Musimy podtrzymać złudzenie. Wśród tumanu kurzu Romilly dostrzegła gdzieś niewyraźne kształty, wielkie końskie czaszki, szkielety płonące diabelskim ogniem.

Usłyszała nieznany głos odbijający się echem w jej umyśle:

–Wytrwajcie! Wytrwajcie!

Lecz nic nie mogło powstrzymać upiornej armii. Ludzie Rakhala rzucili się prosto w magiczną chmurę, krzycząc z przerażenia. Linia obrony przerwała się w kilkunastu miejscach. Z ziemi wystrzeliły zielone i niebieskie płomienie, a w górę zbiecza popłynęła rzeka krwi. Konie zaryły kopytami, rżąc z przerażenia i stając dęba. Jeźdźcy spadali. Tylko niewielu utrzymało pozycje.

–Nie ma zapachu krwi ani spalenizny – wołali. – To sztuczka, podstęp!

Lecz szeregi załamały się ostatecznie, konie w panice zderzały się i tratowały swych jeźdźców. Oficerowie rozpaczliwie starali się zaprowadzić porządek.

–Teraz! Carolinie!

–Hastur! Hastur!

Żołnierze Carolina ruszyli do ataku na wzgórze. Główne siły zmiotły zewnętrzną linię obrony i popędziły dalej. Ranald i Alderic przedarli się w stronę wozów z płynnym ogniem. Strzegący ich nieprzyjaciele pośpiesznie zaczęli maczać w nim strzały, lecz Orain, Alderic oraz członkowie małego oddziału złączyli umysły i ku wozom pomknął wał niebieskich płomieni. Gdy dotarł do celu, w niebo uniósł się z rykiem oślepiający słup ognia. Ludzie Rakhala rozpierzchli się, żeby ratować życie. Płonące krople spadły na niektórych, zamieniając ich w żywe pochodnie. Umierali krzycząc

rozdzierająco. Przerażeni żołnierze bezładnie rzucili się do ucieczki. Trafili prosto na miecze i włócznie żołnierzy Carolina.

Romilly sięgnęła do umysłu Słonecznego, którego Carolin poganiał naprzód.

Odebrała jego strach przed płomieniami, odorem płonącej trawy i ciał. Nawet deszcz, który zaczął siąpić, mimo że świeciło anemiczne słońce, nie ugasił płynnego ognia. Lecz ogier – a może to ona sama – dzielnie zwalczył instynktowny strach i wytrwale niósł jeźdźca w środek uciekającej armii.

–Patrzcie, dokąd ucieka Rakhal ze swoimi czarownikami! – krzyknął Orain. – Za nimi! Brać ich!

Romilly pozwoliła Wstrzemięźliwości polecieć wyżej, poza zasięg ognia, który dopalał się otoczony kręgiem, w którym nic już nie było do strawienia. Dokonali tego *Ieronym* Carolina. Ona natomiast, razem ze Słonecznym i Carolinem, pędziła na wzgórze, gdzie jeszcze się broniły niedobitki wojska Rakhala, odcięte przez królewskie oddziały i szalejący płynny ogień. Słoneczny zdawał się frunąć w powietrzu, ale Romilly czuła, że to ona niesie króla ku ostatecznemu zwycięstwu.

Nagle potknęła się – nie będąc pewna, czy potyka się ona sama, czy też koń - złapała równowagę, stanęła dęba wiedziona ręką Carolina i opadła na wroga, który skoczył na niego z mieczem. Ciężkie podkowy niczym młoty wdusiły napastnika w ziemię. Romilly poczuła, że jego głowa pęka jak dojrzały owoc pod jej kopytami - kopytami Słonecznego – a Carolin walczy o utrzymanie się w siodle. Raptem wyrósł przed nim następny żołnierz, błyskając stalą. Carolin zsunął się do tyłu i spadł, a w tej samej chwili Romilly poczuła ostry ból. Miecz przeszył jej szyję, przebił gardło i serce. Trysnęła krew i zaczęło z niej uchodzić życie.

Nawet nie poczuła, jak osuwa się na ziemię.

... padał zimny deszcz, zalewając strumieniami ziemię i splukując odór płynnego ognia. Niebo było ciemne. Zbliżała się noc. Romilly usiadła zamroczona, jeszcze nie w pełni świadoma, że to nie ją dosięgnął miecz.

Słoneczny! Poszuka jego umysłu i...

Nic nie znalazła! Tylko dojmujące uczucie braku, pustki. Rozejrzała się błędnie i zobaczyła leżące nie opodal ciało ogiera z prawie odciętą głową. Koń przygniatał swojego zabójcę. Deszcz zmył krew, która wylała się z wielkiej rany na szyi i wsiąkła w ziemię. *Słoneczny, mój Słoneczny, nie żyje, nie żyje, nie żyje!* Romilly znowu sięgnęła w nicość. Słoneczny, którego życie dzieliła tak długo...

I którego zdradziła, prowadząc na śmierć w wojnie między dwoma królami. *Żaden z nich nie jest wart włosa z jego czarnej grzywy. Ach, Słoneczny, umarłam razem z*

tobą... Poczula się taka pusta i zimna, że nie była pewna, czy jeszcze żyje. Słyszała

opowieści o ludziach, którzy nie wiedzieli, że umarli, i próbowali komunikować się z żywymi. Oszołomiona, wyprana z wszelkich emocji oprócz gniewu i żalu, podniosła się z trudem.

Wokół leżały ciała zabitych, żołnierzy Rakhala i Carolina. Po samym Carolinie nie było śladu. Tylko ciało Słonecznego wskazywało miejsce, gdzie niedawno znajdował się król. Ciekawe, czy wszyscy ludzie Carolina zginęli, a Rakhala zwyciężył, pomyślała Romilly obojętnie. A może oddział Oraina schwytał i zabił Rakhala? Jakie to miało znaczenie?

„Jakie ma znaczenie, który łotr zasiada na tronie... ”

Romilly rozejrzała się przytomniej. Tak samo jak po poprzedniej bitwie nad polem krążyły *kyorebni*. Jeden wylądował z ochryplym krzykiem na głowie Słonecznego. Romilly rzuciła się ku niemu z krzykiem i machaniem rękami. Ptak odleciał, ale ona wiedziała, że wróci.

Słoneczny nie żyje, myślała gnębiona rozpaczą i poczuciem winy. Sama go wyszkoliłam na wojnę, zdradziłam, oddając w ręce człowieka, który wziął go na tę rzeź. Szlachetny koń nie zawiódł, lecz przyniósł tutaj Carolina na swoją zgubę. Zrobiłabym lepiej, gdybym sama go zabiła, kiedy biegał radośnie po zielonym padoku przy zajeździe Sióstr Mieczowych. Wtedy nie poznałby ognia, strachu i miecza wbitego w ciało.

Zapadał mrok. Na skraju pola bitwy przesuwało się nagle, kołyszące się światełko. Hieny cmentarne? Grabarze? Nie. Intuicja podpowiedziała Romilly, kto to jest: Siostry Mieczowe szukające zabitych towarzyszek, które nie mogły leżeć we wspólnym grobie z żołnierzami Carolina.

Jakby dla umarłych miało znaczenie, gdzie spoczną.

Wkrótce tutaj dotrą. Gdy spadła z konia, porażona śmiercią Słonecznego, zapewne uznano ją za zmarłą. Teraz przyjdą ją zabrać, stwierdzą, że żyje, i ucieszą się.

Nagle Romilly ogarnął żal i gniew. Wezmą ją ze sobą, ogłoszą wojowniczką. Uciekła od mężczyzn, wstąpiła do Sióstr Mieczowych, a one co zrobiły? Kazały jej szkolić konie, ale nie po to, żeby służyły jeźdźcom, tylko na rzeź, bezsensowną rzeź, bo ludzie nie potrafią sami rozstrzygać sporów, tylko wciągają w swoje wojny niewinne ptaki i konie.

Mam do tego wrócić? Nie, nigdy!

Drżącymi rękami zerwała kolczyk Sióstr Mieczowych. Zapięcie zaczepiło się i

rozdarła sobie ucho, ale nie poczuła bólu. Cisnęła kolczyk na ziemię. Ofiara za

Słonecznego i wszystkich poległych! Ledwo mogła ustać na nogach. Rozejrzała się i zobaczyła, że tu i ówdzie po bitewnym polu błakają się konie bez jeźdźców. Wystarczył lekki dotyk *laran*, by sprowadzić jednego z nich. Zwierzę podeszło ulegle z pochyloną głową. W ciemności nie potrafiła stwierdzić, czy to klacz, czy wałach; siwek, kary czy deresz. Wdrapała się na siodło i skulona nad łękiem pozwoliła wierzchowcowi iść przed siebie. Dokąd? Nie miało to znaczenia. Z dała od tego miejsca śmierci, byle dalej, przyjacielu. Przestaję być żołnierzem, mieczniczką, *laronis*. Od tej pory nie będę służyła żadnemu człowiekowi. Z zamkniętymi oczami, pełnymi gorących łez, Romilly opuściła samotnie pole bitwy, kierując się w deszcz i mrok.

Jechała przez całą noc, zdając się na wierzchowca. Wstało słońce, a ona nadal siedziała jak bez życia na końskim grzbiecie, chwiejąc się na boki, lecz zawsze w ostatniej chwili przed upadkiem przytomniała. Nic nie miało znaczenia. Słoneczny nie żył. Carolin i Orain zniknęli nie wiadomo gdzie. Zresztą, co z tego. Orainowi i tak na niej nie zależało. Była przecież kobietą. Carolin, podobnie jak Siostry Mieczowe, chciał jedynie wykorzystać jej *laran*, żeby posyłać niewinne stworzenia na rzeź! Ruyven... Ruyvena niewiele obchodziła. Zachowywał się całkiem jak mnich. W przeklętej Wieży uczył się robić takie piekielne rzeczy jak płynny ogień.

Nie ma ani jednej osoby, która cokolwiek by teraz dla mnie znaczyła.

Jechała cały dzień przez spustoszony i wyludniony kraj, po którym przetoczyła się wojna. Na skraju lasu zeskoczyła z konia i puściła go wolno.

–Idź, bracie – szepnęła. – Nie służ żadnemu mężczyźnie ani kobiecie, bo oni tylko zaprowadzą cię na śmierć... Żyj na wolności i chodź swoimi drogami.

Koń spojrzał na nią. Romilly klepnęła go po zadzie. Zwierzę stało przez chwilę bez ruchu, zdezorientowane, a potem odbiegło niepewnym cwałem. Romilly weszła w ciemny las. Była przemoczona do suchej nitki, ale nie zwracała na to uwagi. Konie też nie przejmują się mokrymi grzywami. Znalazła niewielkie wgłębienie między korzeniami drzewa, wpełzła w nie i otuliła się płaszczem, zakrywając twarz. Zwinęła się w kłębek i zasnęła kamiennym snem.

O świcie obudziły ją ptasie głosy. Wydawało jej się, że słyszy wśród nich ochryple krzyki *kyorebni* żerujących wciąż na polu bitwy. Nie wiedziała dokąd pójść. Byle dalej od tych dźwięków. Odrętwiała ruszyła w głąb lasu, nie dbając o kierunek.

Szła prawie cały dzień. Nie czuła głodu. Poruszała się cicho jak dzikie stworzenie, omijając przeszkody i zamierając w pół kroku, gdy usłyszała jakiś hałas. Późnym popołudniem omal nie wpadła do małego strumienia. Złożywszy dłonie, napiła się

czystej słodkiej wody, a następnie legła na ziemi w plamie słońca, które przeświecało przez listowie i suszyło jej wilgotne ubranie. Nadal była otępiała. Gdy zapadła ciemność, skuliła się pod krzakiem i zasnęła. Jakieś małe zwierzątko otarło się o nią, ale ona nawet nie odwróciła głowy.

Następnego ranka spała długo. Obudziło ją ciepło słońca przygrzewającego w plecy. Przed nią pająk rozsunął sieć. Rosa osiadła na niej niczym klejnoty. Podziwiając cudownie misterną robotę, Romilly po raz pierwszy od wielu dni poczuła radość. Słońce lśniło na liściach. Wtem na dróżce pojawił się długonogi skoczek leśny prowadzący czwórkę potomstwa. Ich gęste niebieskawe ogony sterczały niczym małe chorągiewki. Romilly usłyszała własny śmiech. Stworzonka zamarły. Tylko ogonki im drgały. Gdy zapadła cisza, cztery malutkie chorągiewki błyskawicznie schowały się w trawie.

Jaka cisza panowała w lesie! W okolicy z pewnością nie było żadnej ludzkiej siedziby, bo zwierzęta nie byłyby takie ufne i mało płochliwe.

Romilly przeciągnęła się leniwie. Dręczyło ją pragnienie, ale w pobliżu nie wypatrzyła żadnego strumyka. Zlizła rosę z liści drzewa o nisko zwieszających się gałęziach. Na zwałonym pniu znalazła kilka starych zdrewniałych grzybów, a dalej trochę zeschniętych jagód na krzaczku. Idąc niespiesznie przez las, trafiła na zielone liście rośliny o jadalnych korzeniach. Wygrzebała je patykiem, starannie oczyściła z ziemi skrajem tuniki i zaczęła powoli żuć. Były łykowate i twarde, a od ostrego zapachu napłynęły jej łzy do oczu, lecz przynajmniej nasyciła głód.

Zaniknął gdzieś impuls, który gnał ją niestrudzenie naprzód. Większość dnia przesiedziała na pniu, a kiedy znowu zapadła noc, położyła się przy nim spać.

We śnie słyszała, jak ktoś woła jej imię, lecz nie rozpoznała głosu. Orain? Nie. Pragnął jej, póki uważał ją za chłopca, ale kobiety nie potrzebował. Ojciec? Był daleko, po drugiej stronie Kadarinu, bezpieczny w domu. Pomyślała z bólem o spokojnych wzgórzach Falconsward. Lecz to tam nauczyła się podłej sztuki trenowania koni, przez którą zdradziła swojego ukochanego i posłała go na śmierć. We śnie siedziała na grzbiecie Słonecznego i pędziła jak wiatr przez szarą równinę, którą już kiedyś widziała. Obudziła się z twarzą zalaną łzami.

Dwa dni później stwierdziła, że zgubiła buty i skarpety, ale nie pamiętała gdzie. Stopy już zdążyły stwardnieć i przyzwyczaić się do twardej ziemi i kamyków. Wędrowała bez celu, coraz głębiej w las. Żywiła się owocami i korzonkami. Od czasu do czasu chłodziła nogi w górskim potoku, ale nawet nie wpadło jej do głowy, żeby się

umyć. Jadła, kiedy znajdowała pożywienie. Kiedyś przez trzy dni nie trafiła na nic jadalnego i zdała sobie niewyraźnie sprawę, że jest głodna, ale nie przejęła się tym.

Już nie zadawała sobie trudu, żeby oczyścić korzenie wygrzebywane z ziemi. Brudne smakowały równie dobrze. Raz znalazła parę gruszek na samotnym drzewie. Okazały się takie słodkie, że ogarnęła ją ekstaza. Zjadła ich tyle, ile zdołała, ale nie przyszło jej do głowy, żeby napełnić nimi kieszenie.

Pewnej nocy obudziła się i ujrzała fioletową twarz Liriel, która zdawała się patrzeć na nią z wysoka i strofować ją. Pomyślała wtedy: Jestem szalona. Dokąd ja idę, co zamierzam zrobić? Nie mogę tak wędrować bez końca. Rano jednak zapomniała o wszystkim. Od czasu do czasu słyszała głosy: *Romilly, gdzie jesteś?* Zaciekało ją, kim jest ta Romilly i dlaczego ją wołają.

Następnego dnia dotarła na skraj lasu i wyszła na otwartą równinę. W oddali ciągnęły się wzgórza. Bliżej falowały łany dzikiego dojrzałego zboża. Kiedyś cała ta ziemia musiała być zasiedlona i uprawiana, lecz teraz od wschodu po zachód, od ściany lasu po szaroróżowe góry wznoszące się na horyzoncie nie było widać ani jednego ludzkiego domostwa. Romilly zebrała garść ziaren, obłuskała je i zaczęła jeść, idąc dalej przed siebie.

Wysoko na niebie krążył sokół. Nagle zaczął opadać ze złożonymi skrzydłami i po chwili wylądował jej na ramieniu. Zdawało się, że przemawia do jej umysłu, ale Romilly nie rozumiała go. Miała wrażenie, że kiedyś знаła tego sokoła, że miał jakieś imię, a ona szybowała w powietrzu razem z nim... Nie, to niemożliwe. Lecz zachowywał się, jakby ją dobrze znał. Wyciągnęła rękę, ale zatrzymała się w pół ruchu. Istniał kiedyś jakiś powód, dla którego nie powinna dotykać palcami jego piór, ale nie mogła sobie przypomnieć jaki. Spojrzała ptakowi w oczy żałując, że nie ma pojęcia, gdzie go wcześniej widziała.

Tej nocy znowu się obudziła i uświadomiła sobie, że jest całkiem szalona i że nie może wiecznie tak błąkać się bez celu. Nie wiedziała jednak, gdzie się znajduje, a nie miała kogo zapytać. Przypomniała sobie, że nazywa się Romilly, a ptak siedzący na gałęzi pobliskiego drzewa to Preciosa. Tylko po co sokolica ją tu odnalazła? Czyżby nie wiedziała, że ona, Romilly, używa swojego umysłu do szkolenia ptaków i koni, żeby ludzie mogli je wysłać na śmierć?

Przejście całej równiny zajęło jej pięć dni. Liczyła je bezmyślnie, patrząc na coraz bardziej okrągłą twarz Liriel. W czasie ostatniej pełni sięgnęła myślą do Słonecznego

i... Odcięła się od bolesnych wspomnień. W okolicy było pełno ziaren nadających się do jedzenia i wody do picia. Raz Preciosa przyniosła upolowanego ptaka i siadła jej z nim na ramieniu, krzycząc niespokojnie. Romilly spojrzała na martwe, poszarpane ostrym dziobem stworzenie i wzdrygnęła się. Rozumiała, że sokół ma taką naturę, ale widok krwi przyprawił ją o mdłości. Rzuciła zdobycz na ziemię i ruszyła przed siebie.

Tej nocy dotarła do kolejnego lasu. Znalazła drzewo uginające się pod zeszłorocznymi orzechami i tym razem miała dość rozsądku, żeby nazbierać pełne kieszenie. Wciąż nie była pewna, dokąd zmierza, ale w miarę możliwości zaczęła kierować się na północ. Bezszelestnie poruszając się po lesie, parła niestrudzenie naprzód, choć sama nie wiedziała po co.

Pod wieczór usłyszała nad głową krzyk wodnych ptaków lecących na południe. Uniosła się w powietrze i mknęła razem z nimi przez długą chwilę. Ujrzała w oddali wysoką białą wieżę oraz błysk jeziora. Gdzie ja jestem?

W nocy wszystkie cztery księżycy świeciły tak jasno – Liriel i Kyrrdis w pełni, a dwa pozostałe tuż przed pełnią – że nie mogła spać. Miała niejasne wrażenie, że kiedy ostatnio stały na niebie cztery księżycy, coś się wydarzyło... Nie, nie mogła sobie przypomnieć co, ale ciało płonęło niezaspokojonym pragnieniem. Leżąc na miękkim mchu, wyczuła po pewnym czasie wokół siebie podobne żądze.

Uległa wpływowi księżycowego światła, pozwoliła się unieść prądowi życia. Dziki kot pełził po gałęzi. Dostrzegła błysk wielkich oczu. Odurzył ją ostry piżmowy zapach. Podążyła za nim, nie wiedząc, czy to ona sama się skrada, czy zwierzę. Usłyszała własny pomruk, odgłos głodu i pożądania. Odwróciła się uderzając na boki długim ogonem. Ciało jej płonęło. Gdy wielki kot z krzykiem skoczył z drzewa i dopadł samicy, Romilly zagrzebała ręce w mchu, dysząc i jęcząc.

–Ronaldzie – szepnęła, nim porwała ją fala gorąca. Noc wypełniały pomruki, warkoty i krzyki parzących się górskich kotów. Romilly leżała nasłuchując, aż w końcu przeciążenie zmysłów i *laran* doprowadziły do tego, że straciła przytomność.

Gdy obudziła się rano, ledwo co pamiętała. Czuła się chora i wyczerpana. Stwierdziła, że musi się wydostać z lasu. Przyśpieszyła kroku. Kiedy usłyszała nad sobą znajomy pomruk, była zbyt odrętwiała, żeby się przestraszyć. Z góry śmignął ciemny kształt i na jej drodze stanął wielki kot, obnażając ostre kły. Romilly wyczuła za nim obecność małych kulek brązowego futra, ukrytych w pustym drzewie.

Kocica chroni swoje młode! Niechcący zapędziła się na jej terytorium. Ruszyła do tyłu niepewnym krokiem, zwalczając z trudem pokusę, żeby się odwrócić i rzucić do ucieczki. Gdyby to zrobiła, kocica dopadłaby ją w mgnieniu oka! Cofała się powoli i ostrożnie, starając się patrzeć zwierzęciu w oczy.

Spokojnie, spokojnie. Nie chcę skrzywdzić ciebie ani twoich małych. Już kiedyś robiła coś podobnego wśród śniegów.

Cofać się cicho, krok po kroku, cofać. Spokojnie, spokojnie, nie zrobię krzywdy tobie ani twoim dzieciom.

Gdy była już niemal na skraju polany, kocica jednym długim susem skoczyła prosto pod jej nogi.

***Spokój, spokój...* Kocica niemal położyła głowę u stóp Romilly. Dziewczynę ogarnęło przerażenie.**

Nie, nie! Zdradziłam Słonecznego. Przysięgłam, że nigdy więcej nie użyję mego *lاران*, przenigdy. Żadne niewinne stworzenie więcej przeze mnie nie zginie.

Ciężka łapa smagnęła niczym bicz i powaliła Romilly na ziemię. Pazury rozorały jej twarz. Z policzka i warg trysnęła krew. Teraz, kiedy przelała moją krew, pomyślała dziewczyna, zabije mnie na pożywienie dla swoich kociaków. Będzie to zadośćuczynienie za śmierć Słonecznego.

Ochrypy cichy pomruk nie ustawał. Romilly zwinęła się w kłębek, żeby ochronić twarz. Gdy kot skoczył znowu, rozległ się wściekły trzepot. Sokół sięgnął szponami do oczu napastnika i zaczął tłuc go skrzydłami po pysku.

Preciosa! Przyleciała, żeby mnie obronić!

Romilly poderwała się z ziemi i wdrapała na pobliskie drzewo. Preciosa latała poza zasięgiem groźnych pazurów, bijąc skrzydłami, atakując dziobem i szponami, aż wreszcie kocica, warcząc cicho, odwróciła się i zniknęła w wysokiej trawie. Romilly zeszła z drzewa i puściła się biegiem w przeciwnym kierunku. Za sobą słyszała łopot skrzydeł i ciche odgłosy wydawane przez sokolicę. W końcu zatrzymała się i odruchowo wyciągnęła rękę dobrze znanym gestem.

Precioso!

Gdy szpony ptaka zacisnęły się delikatnie na jej nadgarstku, przypomniała sobie wszystko i zaczęła płakać.

–Och, Precioso, przyleciałaś po mnie!

Umyła się tego wieczoru w strumieniu i otrzepała płaszcz z ziemi i liści. Zdjęła tunikę oraz spodnie, wyczyściła je i założyła z powrotem. Zgubiła kolczyk Sióstr Mieczowych, ale nie wiedziała gdzie. Z sokołem siedzącym jej na ramieniu rozejrzała się, próbując ustalić swoje położenie.

Przypuszczała, że pobliska biała Wieża to Neskaya, ale nie była pewna. Dzielił ją od niej dzień marszu. Może stamtąd będzie mogła wysłać wiadomość oraz dowiedzieć się, co z Carolinem i jego armią. Zadrżała na myśl o wojsku, ale zdawała sobie sprawę, że kiedyś musi wrócić między ludzi.

Późną nocą, szukając suchego miejsca do spania, zastanawiała się, jak radziła sobie przez tyle czasu. Według własnych obliczeń błąkała się po lasach najwyżej trzy dni. Nagle usłyszała, jak ktoś woła jej imię.

Romilly! Romilly!

Szukajmy jej za pomocą laran. Tylko tak ją znajdziemy, jeśli się ukrywa.

Na pewno żyje. Wiedziałbym, gdyby zginęła.

Mgliście rozpoznawała niektóre z tych głosów, choć nie potrafiła stwierdzić, do kogo należą.

Jeśli ją znajdziecie, nakłońcie ją do powrotu. Ten głos znała i kochała. Należał do Jandrii. Pobrzmiewał w nim smutek. Sięgnęła umysłem, choć nigdy wcześniej tego nie robiła na dużą odległość.

Gdzie jesteście? Co się stało? Myślałam, że wojna się skończyła.

Skończyła się. Carolin obozuje pod murami Hali. Lecz stoimy w martwym punkcie, bo Lyondri trzyma gdzieś w mieście Oraina jako zakładnika.

Romilly natychmiast zapomniała o urazie.

Przybędę jak najszybciej.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tej nocy spała niewiele. Ruszyła o brzasku, starając się po drodze wytropić za pomocą *Iaran* jakąś ludzką siedzibę. Wreszcie w pewnej wiosce znalazła mężczyznę, który miał konie do wynajęcia.

–Natychmiast potrzebuję szybkiego wierzchowca.

Jestem Siostrą Mieczową i wypełniam pilną misję dla króla Carolina. Muszę jak najszybciej dotrzeć do Hali.

–A ja jestem głównym kucharzem i pomywaczem butelek Jego Królewskiej

Wysokości – zadrwił mężczyzna. – Nie tak szybko, mestra. Czym mi zapłacisz?

Romilly ujrzała siebie jego oczami: chuda jak szczapa kobieta w postrzępionej tunice i spodniach, bosa, z twarzą rozoraną przez pazury górskiego kota i zaniedbanym sokołem na ramieniu.

–Mam za sobą wojnę i jeszcze gorsze przeprawy – wyjaśniła.

Tak długo żyła wśród zwierząt, że zapomniała o istnieniu pieniędzy. Przeszukała głębokie kieszenie tuniki i spodni. Znalazła kilka monet i wysypała je przed mężczyzną, nie licząc ich.

–Weźmie je jako zadatek. Przysięgam, że wyślę resztę, kiedy dotrę do zajazdu

Siostr Mieczowych, a dwa razy więcej, jeśli znajdziecie mi parę butów i trochę

jedzenia.

Wieśniak zawahał się.

–Chcę trzydziestu srebrniaków albo królewską sztukę miedzi – oświadczył. – I

jeszcze jednego jako zastaw za konia.

W oczach Romilly błysnęła wściekłość. Nie wiedziała czemu, ale czuła, że musi się śpieszyć, że jest potrzebna w Hali.

–W imieniu Carolina mogę zarekwirować twojego konia – oznajmiła.

Dała znak najbliższemu zwierzęciu, wielkiemu dereszowi, który wyglądał na silnego i szybkiego. Pod dotykiem *Iaran* zbliżył się do niej potulnie, opuszczając łeb w geście uległości. Rozzłoszczony właściciel zawołał na niego i chwycił za linkę, ale koń

wierzgnął, wyrwał mu się i otarł się o Romilly.

–*Leronis* – szepnął mężczyzna wytrzeszczając oczy.

–Nie tylko – rzuciła Romilly cierpko.

Całą scenę obserwowała młoda kobieta, mnąc w rękę fartuch.

–Siostra mojej matki jest mieczniczką, mestra – szepnęła w końcu. – Mówiła, że

Siostry zawsze spłacają długi zaciągnięte przez jedną z nich. Pozwól jej wziąć konia, mój mężu, i...

Wbiegła do domu i po chwili wróciła z parą butów.

–Należały do mojego syna. Kiedyś ludzie Rakhala przejeżdżali przez wioskę i

jeden z nich zabił go jak psa, kiedy chłopak poprosił o zapłatę za naszego wołu, którego zarżnęli na kolację. Żołnierze Carolina tak nie postępowali.

Romilly założyła buty, które okazały się wyłożone miękkim futrem i całkiem wygodne. Kobieta dała jej również pół bochenka chleba.

–Jeśli możesz poczekać, mestra, ugotuję gorącą strawę. Romilly potrząsnęła głową.

–Wystarczy mi chleb. Nie mogę czekać. Wskoczyła na konia.

–Żadna dama nie da sobie z nim rady. To mój najbliższy ogier – krzyknął wieśniak.

–Nie jestem damą, tylko Siostrą Mieczową.

Wykorzystując nowo odkryte możliwości swojego *laran*, sięgnęła nim tak samo jak do górskiego kota i mężczyzna cofnął się posłusznie, wybałuszając oczy.

–Nie chcesz siodła ani uzdy, mieczniczko? Pozwól, że opatrzę ci rany – zawołała kobieta.

–Nie mam czasu. Pokaż mi drogę do Hali.

Kobieta wskazała kierunek, a tymczasem mężczyzna w milczeniu gapił się na Romilly. Dziewczyna wbiła piętę w bok konia. W Falconsward jeździła na oklep, kiedy jako dziecko poznawała dopiero swój *laran*, kierując wierzchowcem jedynie siłą woli.

Nagle chwycił ją gryzący żal. Słoneczny! Słoneczny i bezimienny koń, którego zabrała z pola bitwy i wypuściła na wolność. Rzeczywiście musiała być szalona.

Deresz biegł szybkim i równym krokiem. Romilly zjadła kawałek twardego chleba.

Już od dawna żaden posiłek tak bardzo jej nie smakował. Potrzebowała kąpieli, świeżego ubrania i grzebienia, ale gnała ją niecierpliwość. Orain w rękach Lyondriego! Tylko raz zatrzymała się na popas i odpoczynek. Co niby mogę zrobić? zastanowiła się, ale zaraz ruszyła dalej.

Na jednym z brzegów długiego i nieprzejrzystego jeziora Hali o falach przypominających burzowe chmury wznosiła się Wieża. Armia Carolina rozbiła obóz na jego drugim końcu, tuż pod miastem, które otaczał posępny szary mur. Romilly sięgnęła *lاران*, żeby poszukać człowieka, którego znała jako dom Carla, swego przyjaciela, niezależnie od tego, kim okazał się potem. Otaczał ją wtedy opieką i dochował sekretu. Nawet wiernemu przybocznemu nie zdradził, że ona jest kobietą.

Romilly przejechała wśród gapiących się żołnierzy.

Jedna z mieczniczek ze zdumieniem zawołała jej imię. Musiała stanowić osobliwy widok: wychudzona, obdarta, brudna, z potarganymi włosami i krwawymi śladami na twarzy, na wiejskim koniu bez siodła i uzdy. Czy tak miała pokazać się królowi?

Kiedy zsunęła się z konia, Jandria chwyciła ją mocno w objęcia.

–Romilly, Romi, myśleliśmy, że nie żyjesz! Gdzie byłaś?

Romilly potrząsnęła głową, całkiem wyczerpana.

–Gdziekolwiek. Wszędzie. Nigdzie. Czy to ma znaczenie? Przyjechałam

najszybciej, jak mogłam. Ile czasu minęło od bitwy? Czy Orain naprawdę jest zakładnikiem Lyondriego?

Chwilę później podbiegli do niej Alderic i Ruyven.

–Próbowaliśmy do ciebie dotrzeć razem z lady Maura – powiedział Alderic – ale nie mogliśmy...

A Jandria zawołała:

–Co się stało z twoją twarzą? A kolczyk?

–Później – wyszeptała.

W tym momencie stanął przed nią Carolin, wyciągając ręce.

–Dziecko! – Uściskał ją jak ojciec. – Orain też ciebie kocha. Już myślałem, że straciłem was oboje; was, którzy wspieraliście mnie, choć byłem tylko zbiegiem wyjętym spod prawa! Chodź.

Zaprowadził ją do swojego namiotu. Na jego znak Jandria naląła wina, ale Romilly potrząsnęła głową.

–Nie, prawie nic nie jadłam. Upiłabym się połową kubka. Wolałabym raczej coś zjeść.

Zerknęła na stół z resztkami posiłku.

–Bierz, co chcesz – zachęcił Carolin.

Jandria ukroiła kawałek chleba i pieczeni, którą jednak Romilly odsunęła. Wiedziała, że już nigdy nie tknie mięsa. Wzięła natomiast chleb i zaczęła jeść powoli. Tymczasem Jandria ostrożnie przemyła jej winem głębokie szramy na twarzy.

–Skąd je masz? Uzdrowicielka musi to opatrzeć.

Rany od kocich pazurów często ropieją. Mogłabyś nawet stracić wzrok w jednym oku, gdyby ropienie się rozszerzyło. Romilly tylko potrząsnęła głową.

–Sama nie wiem. Któregoś dnia opowiem wam wszystko, co pamiętam – obiecała. – Co z Orainem?

–Trzymają go gdzieś w mieście – odparł Carolin.

Przemierzał namiot w tę i z powrotem, aż w końcu opadł ciężko na jedno ze składanych polowych krzesel. – Nie mam odwagi wkroczyć do Hali, bo ostrzeżono mnie...

Z drugiej strony, miałby lżejszą śmierć niż taka, jaką Lyondri planuje dla niego. Armia Rakhala jest rozbita.

Większość żołnierzy poddała się, ale sam Rakhal z paroma ludźmi i Lyondrim schronił się tutaj. W czasie bitwy pojмали Oraina i teraz nas szantażują. – Przełknął ślinę. – Obiecałem, że daruję im życie oraz podpiszę list żelazny, dzięki któremu będą mogli przekroczyć Kadarin i pójść, dokąd zechcą. Przyrzekłem też, że syna Lyondriego pozostawię w Nevarsin, a później wychowam na dworze razem ze swoimi synami, jak bliskiego krewniaka. Ale oni... oni...

Romilly zobaczyła, że ręce mu drżą.

–Pozwól, że ja dokończę, wuju – odezwał się Alderic łagodnie. – Zaproponowałem, że oddam się w ich ręce w zamian za mojego ojca i pójdę razem z nimi na wygnanie, dokądkolwiek zechcą się udać. Zaoferowałem również okup w miedzi i srebrze...

–Krótko mówiąc, dobrana para zażądała, ni mniej, ni więcej żeby Carolin sam im się poddał, bo tylko to uratuje życie Orainowi – wtrąciła Jandria. – Ja również proponowałam siebie na wymianę. Sądziłam, że Lyondri się zgodzi. Maura natomiast obiecała, że ulegnie Rakhalowi, a nawet pójdzie z nim na wygnanie, żeby tylko Carolin mógł odzyskać przyjaciela. – Lecz oni... – Spochmurniała. – Pokażcie Romilly, jaką nam przysłali odpowiedź.

Ruyven zaczął rozwijać małe zawiniątko z żółtego jedwabiu. Ręce drżały mu

niepohamowanie. Carolin wziął je od niego i sam niezgrabnie próbował otworzyć. Widząc to, Maura delikatnie odebrała mu pakunek i odwinęła zakrwawiony materiał.

W środku był ucięty palec, na którym widniał miedziany pierścień z niebieskim kamieniem, który Romilly zauważyła kiedyś u Oraina. Omal nie wymiotowała na widok skrzepłej krwi.

–Przysłali wiadomość, że oddadzą mi Oraina w kawałkach, jeśli nie poddam armii

i siebie – powiedział Carolin. Ręce mu się trzęsły, gdy starannie zawijał makabryczną

przesyłkę. Dostaliśmy to dwa dni temu, a wczoraj... ucho. Dzisiaj...

Nie mógł dalej mówić. Zamknął oczy. Spod powiek wypłynęły łzy.

–Oddałbym życie za Oraina, a nawet więcej, i on o tym wie, ale widziałem, co

Rakhal zrobił moim ludziom. Jak mogę wydać ich wszystkich jemu i jego rzeźnikowi Lyondriemu?

–Orain dałby się za ciebie posiekać na kawałki – stwierdziła Maura.

Carolin opuścił głowę i zaszlochał.

–Lyondri też o tym wie. Do diabła z nim! Niech będzie przeklęty we śnie i na jawie. – W jego głosie pojawiły się histeryczne nuty.

–Wystarczy.

Maura zabrała mu paczuszkę i odłożyła ją na bok.

–Przysięgam, że nie będę spać ani nie tknę wina, dopóki nie obedrę Lyondriego żywcem ze skóry – oświadczyła Jandria z zawziętością.

–Ani ja, lecz w ten sposób nie uratujemy Oraina – rzekł Carolin. – Przybyłaś, Romilly, kiedy już prawie straciliśmy nadzieję. Jestem gotowy przypuścić szturm na miasto, żeby Orain miał szybką i czystą śmierć, musimy się jednak dowiedzieć, gdzie go trzymają. Wprawdzie chronią miasto przed *laran*, ale ciągle jeszcze mamy jednego ptaka-zwiadowcę. Mogliśmy go byli wypuścić, lecz od czasu bitwy Ruyven nie umie sobie z nim poradzić.

–A Ranald poległa w ostatnim ataku – powiedziała Maura. – Myśleliśmy, że ty również zginęłaś, ale Ruyven z uporem twierdził, że żyjesz, bo poczułby, że umarłaś. Poza tym mieczniczki nie znalazły twojego ciała. Nie wiedzieliśmy jednak, gdzie się podziałaś. Musimy wytropić kryjówkę tych łotrów. Uprzedzili, że jeśli wejdziemy do miasta, zaczną ciąć Oraina na kawałki i możemy sobie zachować to, co z niego zostanie, zanim go znajdziemy. – Jej twarz wykrzywił grymas przerażenia. – Nie możemy więc szukać na oślep. Ich *leronyn* strzegą miasta, ale może nie zauważą jednego ptaka.

–Ptaka-zwiadowcę dostrzegą natychmiast i przejrzą nasz plan – stwierdziła Romilly.

–To samo powiedziałem – odezwał się Ruyven. – Lecz istnieje szansa, o ile poradzisz sobie z Wstrzemięźliwością.

–Lepiej posłać Preciosę – oświadczyła Romilly. – Odleciała, kiedy wjechałam do obozu, ale mogę ją wezwać.

Czyżby naprawdę wierzyła, że już nigdy nie użyje *laran*? Carolin miał prawo nim rozporządzać, podobnie jak jej życiem. Kraj, którym rządził taki dziki górski kot jak Lyondri, nie mógł przetrwać. Nie. Kot zabijał z głodu albo ze strachu, bo taką miał naturę, natomiast Rakhal i Lyondri robili wszystko wyłącznie z żądzy władzy.

–To może się udać – stwierdził Carolin. – Wezmą Preciosę za dzikiego sokoła. Jest ich dużo w okolicach Hali. Gdybyś wysledziła, gdzie jest przetrzymywany Orain, ruszylibyśmy prosto w tamto miejsce. Wtedy musieliby go wydać albo szybko zabić.

W tym momencie rozległ się dźwięk rogu. Carolin drgnął.

–To oni. W ciągu ostatnich dwóch dni posłaniec przybywał tuż przed zachodem

słońca, właśnie o tej porze. I podczas gdy ja zbierałem się na odwagę, żeby zaatakować

miasto, Orain... – Głos mu się załamał.

Ponownie zagrzemiał róg i Carolin wyszedł z namiotu. Zbliżył się do niego prosty żołnierz o butnej postawie. W ręce niósł małą żółtą paczuszkę. Ukłonił się.

–Carolinie, pretendencie do tronu Hasturów, mam zaszczyt zwrócić ci następnym kawałek twojego wiernego sługi. Możesz być dumny z jego dzielności.

Zaśmiał się szyderczo. Alderic stracił panowanie nad sobą i przyskoczył do żołnierza.

–Łajdaku, którego nie zaszczyciłbym mianem psa, wduszę ci do gardła ten śmiech! – ryknął.

–Nie, Deriku, oni zemszczą się na Orainie – ostrzegła go Jandria, łapiąc za ramiona.

–Nie chcecie obejrzeć męstwa i wierności swojego przybocznego? – spytał posłaniec.

Carolinowi drżały ręce.

–Daj mi to – powiedziała Jandria i uwolniła Alderica.

Odwinęła upiorny pakunek. W środku znajdował się kolejny palec.

–Lyondri przekazuje wam, że ma już dość tej zabawy – oznajmił żołnierz. – Jutro dostaniecie oko, pojutrze drugie, a kolejnego dnia jądra. Jeśli dalej będziecie zwlekać,

otrzymacie pas skóry z jego pleców...

–Dranie! Łajdacy! – krzyknął Carolin.

Posłaniec odwrócił się na pięcie i zadawszy w róg, ruszył w stronę bram miasta.

–Śledźcie go *laran*? – rozkazał Carolin.

Maura, Ruyven i Alderic podążyli za wrogiem swymi specjalnymi zmysłami, ale Romilly poczuła, że zaraz trafili na przeszkodę niczym kamienna ściana. Stracili kontakt, gdy tylko żołnierz zniknął za bramą. Carolin trząsał się cały, ale oczy miał suche. Już nawet nie był w stanie płakać. Maura wzięła go w ramiona.

–Mój najdroższy. Orain by nie chciał, żebyś się poddał.

–Wiem, na Avarrę. Gdybym mógł zabić go szybko...

Gdy wrócili do namiotu, przemówił z niepohamowaną wściekłością:

–Nie mogę pozwolić, żeby go oślepił, wytrzebili i obdarli ze skóry. Jeśli przez noc

niczego nie wymyślimy, jutro o świcie zaatakujemy miasto używając wszystkiego, co

mamy. Rozgłoszę, że żaden mieszkaniec nie ucierpi pod warunkiem, że nie podniesie

na mnie ręki.

Przeszukamy każdy dom, aż znajdziemy Oraina. Przynajmniej położymy szybki kres jego męce. A potem ja dopadnę jego dręczycieli.

Romilly wiedziała jednak, że Carolin nie byłby zdolny do okrucieństwa. W razie klęski Lyondri Hastur i tak znalazłby się w lepszej sytuacji niż teraz Orain. W najgorszym razie czekała go śmierć od miecza, jedyna godna szlachcica, choć król równie dobrze mógłby kazać go powiesić i wystawić tak pohańbione ciało na widok publiczny jako ostrzeżenie. Tymczasem zarządził przygotowania do szturm, który miał nastąpić o świcie.

–Czy twój sokół widzi dobrze w ciemności i zaprowadzi nas do miejsca, gdzie

ukrywa się Rakhal ze swoimi oprawcami? Bo nie sądzę, żeby sam się tym zajmował.

Wskazał paczuszkę.

–Nie wiem – odparła Romilly, lecz powoli dojrzywał w niej pewien plan. – Ilu ludzi jest na murach?

–Trudno stwierdzić, ale mają Ptaki-zwiadowców i groźne psy. Gdy raz próbowaliśmy zakraść się do miasta boczną furką, podniosły taki harmider, że obudziły wszystkich ludzi Rakhala – powiedział Carolin z przygnębieniem.

–To dobrze – oświadczyła Romilly spokojnie. – Nie mogłoby być lepiej.

–Co ty opowiadasz?

–Pomyśl, panie. Mówisz, że *Ieronym* Rakhala strzeżę miasta przed *Iaran* twoich

ludzi. Lecz mój Dar jest inny. Nie boję się ptaków ani psów. Żadne stworzenie, które ma cztery nogi albo skrzydła, nawet nie piśnie, kiedy mnie wyczuje. Pozwól mi iść samej do miasta, a znajdę Oraina, panie.

–Sama? Dziewczyna? – Carolin potrząsnął głową. – No cóż, wiele razy dowiodłaś, że jesteś kimś więcej niż tylko zwykłą dziewczyną, mieczniczko. Sądzę, że warto zaryzykować. Jeśli ci się nie uda, przynajmniej o świcie będziemy mieli jakieś pojęcie, gdzie uderzyć najpierw i zmusimy ich do zadania Orainowi szybkiej śmierci. Poczekajmy jednak, aż zapadnie noc. Masz za sobą długą jazdę. Dopilnuj, Jandrio, żeby zjadła coś porządnego i trochę się przespala.

–Nie usnę – zaprotestowała Romilly.

–Więc przynajmniej odpocznij – rozkazał Carolin. Romilly ukloniła się.

–Jak sobie życzysz, panie.

Jandria zaprowadziła ją do namiotu Sióstr Mieczowych, a następnie przyniosła jedzenie i czyste ubranie.

–Jeszcze poproszę o wodę do mycia i grzebień.

Kiedy przyjaciółka spełniła prośbę, Romilly umyła się i bez powodzenia próbowała rozczesać splątane włosy – Jandria musiała w końcu obciąć je bardzo krótko – i z przyjemnością założyła świeżą bieliznę, tunikę i spodnie oraz czyste skarpety, choć miała tylko buty, które dostała od wieśniaczki. Stwierdziła, że to miłe uczucie być czystą i porządnie ubraną, jeść gotowane potrawy. Być człowiekiem.

–Teraz musisz odpocząć – oznajmiła Jandria. – To rozkaz Carolina. Zbudzę cię o północy.

Romilly wyciągnęła się na kocu obok mieczniczki. Obserwując światło księżyca, które wpadało do namiotu, pomyślała z ogromnym smutkiem o Ranaldzie, który tulił ją w noc czterech księżyców. Jego śmierć wydawała się taka bezsensowna. Nie kochała go, ale lubiła. Był jej pierwszym mężczyzną. Zawsze będzie go pamiętać i opłakiwać. Jandria leżała obok niej w milczeniu, ale Romilly wiedziała, że ona też rozpacza. Nie tylko z powodu niebezpieczeństwa grożącego Orainowi, ale również z powodu Lyondriego Hastura, który jako pierwszy mężczyzna obudził w niej kobiecość i pożądanie. Jandria nie mogła nawet myśleć o nim ze smutkiem, bo odszedł od niej dalej, niż gdyby umarł. Stał się potworem. Romilly objęła przyjaciółkę i wyczuła jej drżenie.

Tyle niepotrzebnego cierpienia, myślała z goryczą. W swojej dumie ja również

sprowadziłam je na tych, którzy nie wyrządzili mi żadnej krzywdy. Zrobię wszystko, żeby uratować Oraina przed losem, jaki mu szykują. Sytuacja wygląda beznadziejnie, ale nie wszystko stracone. I cokolwiek się zdarzy, to jeśli dożyję świtu, pošlę wiadomość ojcu i Lucielli, żeby już dłużej po mnie nie boleli.

Jandria ma gorzej ode mnie. Jeśli Orain umrze, będę go opłakiwać jako przyjaciela, który zginął za ukochanego przezeń Carolina. Lecz jakie uczucia można żywić po śmierci Lyondriego, oprócz ulgi, że przestał czynić zło?

Trzymała w ramionach szlochającą Jandrię, aż w końcu zasnęła.

Po godzinie lub dwóch obudziło ją potrząśnięcie za ramię.

–Wstawaj, Romilly. Już czas.

Romilly spryskała twarz zimną wodą i zjadła trochę chleba, ale odmówiła wina. Musiała zachować pełną czujność. Carolin czekał na nią w swoim namiocie. Twarz miał opanowaną i zawziętą.

–Nie muszę ci mówić, że jeśli uwolnisz Oraina albo oszczędzisz mu cierpień, choćby wbijając sztylet w serce, możesz zażądać każdej nagrody. Nawet poślubić jednego z moich synów.

Romilly uśmiechnęła się. Dlaczego miałyby tego pragnąć?

–Dla Oraina zrobię wszystko, wujku. – Tak zwracała się kiedyś do Carla. – Był dla mnie dobry, nawet kiedy sądził, że jestem tylko zbiegłym uczniem sokolnika. Myślisz,

że Siostra Mieczowa, w dodatku z MacAranów, ryzykowałaby życie dla zaszczytów lub

bogactwa?

–Wiem, ale wynagrodzę cię dla własnej przyjemności, Romilly.

Dziewczyna spojrzała na Jandrię.

–W tych butach robię za dużo hałasu – powiedziała. – Znajdź mi parę miękkich sandałów, proszę.

Mieczniczka przyniosła jej swoje, trochę za duże, ale Romilly przywiązała je mocno do stóp. Okręciła włosy ciemną chustką i umazała twarz błotem, żeby nie zajaśniała w świetle latarni strażnika. Teraz mogła zakraść się bezszelestnie do miasta. Nie bała się żadnego psa ani ptaka-zwiadowcy, a o tej porze z pewnością większość ludzi spała.

–Pójdę z tobą do bocznej furty – zaoferował się Alderic tonem, który nie dopuszczał sprzeciwu.

Romilly skinęła głową. On również miał trochę jej *laran*. Bez słowa wzięła go za rękę i razem wyszli cicho z namiotu Carolina. Ruszyli w stronę miasta, szerokim

łukiem omijając bramy. Gdzieś zaszczekał pies. Zapewne poczuł mysz, pomyślała dziewczyna wysuwając czujną mackę świadomości. Telepatycznie zesłała na niego senność.

–Brama może zaskrzypieć – szepnął Alderic.

Bez słowa podstawił złożone ręce, jakby pomagał jej wsiąść na wysokiego konia. Romilly chwyciła górny brzeg furty i wspięła się na nią. Spojrzała z góry na uśpione miasto.

Wysłała myśli ku ptakom-zwiadowcom, nakazując im spokój i milczenie. Siedziały na murach, wielkie i brzydkie. Rysowały się na tle nieba niczym posągi. Wystarczyłby nieostrożny ruch, a wszczęłyby alarm, budząc armię Rakhala.

Spokój, spokój, cisza. Ich oczami spojrzała na ulice zalane księżycowym blaskiem. Światła w domach były pogaszone, tylko gdzieś jaśniały pojedyncze okna. Romilly zajrzała do nich kolejno. W jednym z oświetlonych pokojów kobieta walczyła, żeby dać życie dziecku. Położna klęczała przy łóżku, trzymając ją za ręce i dodając otuchy. W innym miejscu matka czuwała przy chorym dziecku, śpiewając mu kołysanki głosem ochryplym ze zmęczenia i troski. Mężczyzna, który na wojnie stracił nogę, rzucał się w gorączce.

W bocznej uliczce zawarczał pies. Romilly uciszyła go, nim zaczął wściekle ujadać. Wyczuła dezorientację zwierzęcia. Gdzie się podział intruz? Cicho przemknęła obok niego.

Znajdowała się już daleko od murów. Ptaki zachowywały się cicho. Czy wrogowie pomyśleli o tym, żeby chronić resztę miasta przed telepatycznymi szpiegami? A może garstka *Ierony* na usługach Rakhala wszystkie siły poświęcała strzeżeniu bram?

Romilly sięgnęła ostrożnie *laran*, gotowa od razu się wycofać. Miała nadzieję, że

wytropi Oraina, który nie był zupełnie niewrażliwy na mentalny dotyk. Leżał, nie śpiąc z powodu bólu swoich ran. Nie mogła pozwolić, by wyczuł jej obecność. Niewykluczone, że czarownicy Rakhala albo Lyondriego monitorowali go przez cały czas. Zbliżała się do niego cicho, mijając kamienicę po kamienicy. Żaden pies nie zaszczekał, nie pisnęła mysz. *Cisza, cisza, spokój w mieście.* Konie drzemały w stajniach, koty zrezygnowały z polowania na myszy i spały przed kominkami, niespokojne dzieci umilkły pod wpływem potężnego czaru. W całym Hali panowała cisza. Nawet rodząca kobieta zapadła w spokojny sen, a położna zdrzemnęła się u jej boku.

Spokój, cisza, spokój.

Romilly dotarła na drugi koniec zahipnotyzowanego miasta i w jednym z domów wyczuła obecność dwóch umysłów, których dotknęła już wcześniej. Orain leżał uśpiony czarem, który rzuciła na wszystkie istoty, ale odbierała jego ból, strach, rozpacz i nadzieję, że wkrótce umrze. Ostrożnie wysunęła mackę myśli.

Zachowaj spokój i nawet nie drgnij, żebyś budząc się nikogo nie zaalarmował.

Drzwi skrzypnęły, ale śpiący przed nimi strażnik nie poruszył się. W dalszym pokoju Romilly natrafiła na mentalny mur obronny Lyondriego Hastura. Jego również dręczył silny niepokój. Najstraszniejsze, myślała, że Lyondri nie jest człowiekiem okrutnym z natury. Nie umiałby nawet patrzeć na kata wykonującego swoją paskudną robotę. Lecz robi wszystko dla władzy!

W tym momencie mężczyzna ruszył myślami na poszukiwanie intruza. Romilly szybko schroniła się w umyśle kota chrapiącego przy kominku i po chwili Lyondri Hastur z powrotem zasnął. Wartownik nadal drzemał.

Nawet jeśli zabiję go tak szybko, że nie piśnie, uprzytomniła sobie Romilly zaciskając dłonie na rękojeści sztyletu, jego przedśmiertny mentalny okrzyk zbudzi Lyondriego! Ale może przynajmniej Hastur zawaha się przed zabiciem Oraina własnymi rękami.

Tak czy inaczej musiała to zrobić. Nie było innego wyjścia. Raptem uświadomiła sobie, że strażnik śpi bardzo głęboko. Nie potrafiłaby tego dokonać swoją kojącą świadomością rozciągniętą na całe miasto. Poczowała dotyk czyjegoś umysłu i usłyszała za sobą szelest. Odwróciła się błyskawicznie ze sztyletem w dłoni.

–Nie zabijaj mnie, Romilly – szepnął Caryl.

Ubrany był w białą dziecienną koszulę nocną, a włosy miał potargane, jakby dopiero co wstał z łóżka. Objął ją mocno, lecz czar nie osłabł ani na chwilę.

–Och, Romilly, Romilly. Błagałem ojca, ale nie chciał mnie słuchać. Nie mogę

znieść tego, co robią z Orainem. Mnie... mnie też boli. Przyszłaś po niego?

Mówił ledwo słyszalnym szeptem. Gdyby Lyondri dotknął w tym momencie umysłu syna, pomyślałby, że dręczą go nocne koszmary.

Hastur robił te straszne rzeczy, mimo że jego syn wszystko wiedział i czuł.

–Powiedział, że to mnie uodporni, gdybym w przyszłości musiał być czasami

okrutny dla dobra królestwa – szepnął Caryl. – Ja... jestem od tego chory. Nie

sądziłem, że ojciec jest zdolny do czegoś takiego.

Powstrzymał się od płaczu, żeby nie zaalarmować ojca. Romilly skinęła głową.

–Pomożesz mi uciszyć psy.

Nie mogła zabrać Oraina śpiącego. Cicho przekradła się obok strażnika. *To oprawca. Gorszy niż zwierzę. Ma umysł bestii, bo inaczej nie zdołałabym tak łatwo rzucić na niego czaru.*

–Orainie – szepnęła i zamknęła mu ręką usta, tłumiąc jego mimowolny krzyk.

Pamiętaj, że wszystko to ci się śni.

Orain natychmiast zrozumiał: gdyby Lyondri się ocknął, pomyślałby, że jeniec chodzi we śnie. Wstał bezszelestnie. Stopę miał owiniętą zakrwawionym bandażem. Romilly opanowała zgrozę, żeby utrzymać czar, podczas gdy Orain zakładał buty, krzywiąc się.

–Nie zostawię tego człowieka żywego – szepnął zerkając z nienawiścią na kata.

Zrozumiał jednak, czemu Romilly nie zamierza go zabić i pomyślał z ironią:

Kiedy Lyondri stwierdzi, że uciekłem, bo strażnik chrapał, to co zrobi temu

człowiekowi, będzie gorsze niż przebicie serca sztyletem. Powiniennem zabić go z litości, ale nie jestem aż taki dobry.

Po zapachu powietrza Romilly stwierdziła, że zbliża się świt i wkrótce będzie musiała stawić czoło ptakom budzącym się w całym mieście. Z drugiej strony, przedłużająca się cisza również zaalarmuje ich opiekunów. Muszą jak najszybciej wynieść się z miasta. Wzięła Oraina za ramię. Rękę również miał owiniętą bandażem, a na uchu opatrunek przesiąknięty krwią. Nie był jednak poważnie ranny. Gdy wyszli z domu, Romilly zorientowała się, że Caryl idzie za nimi bezszelestnie, nadal w nocnej koszuli.

–Wracaj! – szepnęła i mocno ścisnęła chłopca za ramię. – Nie mogę być

odpowiedzialna...

–Nie wróćę! – oświadczył z uporem. – On już nie jest moim ojcem. Stałbym się

gorszy od niego, gdybym został. – Po twarzy potoczyły mu się wielkie łzy. –

Pomogę ci

uspokoić strażę.

Romilly skinęła głową i dała chłopcu znak, żeby podtrzymał utykającego Oraina. Teraz musiała ukoić jego ból, utrzymać natłok myśli i emocji pod kontrolą i... tak, obudzić ptaki, żeby o zwykłej porze odzywały się w całym mieście, a tymczasem te siedzące na murach nad boczną furtą utrzymać pod działaniem czaru, póki cała trójka nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Dotarli do furty. Caryl otworzył ją i w tym momencie rozległo się przeraźliwe skrzypnięcie, jęk dręczzonego metalu i drewna, który wzbił się pod samo niebo. Wydawało im się, że na murach podniosła się wrzawa, więc porzucili wszelką

ostrożność i puścili się biegiem w stronę obozu. Zatrzymali się dopiero w namiocie króla. Carolin chwycił Oraina w objęcia, szlochając głośno z ulgi i radości, a Romilly mocno uściskała Caryla.

–Jesteśmy bezpieczni, jesteśmy bezpieczni. Och, Carylu, nigdy by się nam nie

udało bez ciebie.

Carolin otoczył ramionami również Romilly i Caryla.

–Posłuchajcie, jaki harmider w mieście – powiedział Orain. – Już wiedzą, że uciekłem.

–Nasza armia cię obroni, bracie – oświadczył Carolin. – Nikt już cię nie tknie, choćbym miał za to oddać własne życie. Teraz będą musieli się poddać. Nie spalę miasta, w którym mieszka mój lud, i oszczędzę każdego, kto okaże mi posłuszeństwo i przysięgnie lojalność.

Myślę, że Rakhal i Lyondri znajdą dzisiaj rano niewielu stronników. Uraził niechcący zabandażowane miejsce po uchu i Orain drgnął.

–Bracie, pozwól, że każę opatrzyć ci rany.

Wprowadził przyjaciela do namiotu, a Maura i Jandria zajęły się nim pośpiesznie.

Gdy zmieniały mu opatrunki, Carolin walczył ze łzami.

–Jak możemy cię wynagrodzić, Romilly? – zapytał.

–Nie potrzebuję żadnej nagrody – odparła. Teraz, kiedy już było po wszystkim, zaczęła dygotać. Z wdzięcznością przyjęła ramię Alderica i kubek z winem, który przystawił jej do ust. – Wystarczy, że teraz lord Orain już wie... – zawahała się – że chociaż jestem tylko dziewczyną, mam nie mniej odwagi niż chłopak i jestem tyle samo warta!

Orain chwycił ją w ramiona i uściskał. Zakrwawił jej przy tym całą tunikę, bo zsunął mu się bandaż.

–Moja kochana, najmilsza – wyszeptał przytulając ją mocno. – Nie zamierzałem...

nie potrafiłbym pragnąć ciebie w ten szczególny sposób, ale zawsze chciałem być twoim przyjacielem. Ja tylko czułem się takim głupcem...

Romilly pocałowała go w policzek i rozplakała się. Usiadła mu na kolanach jak dziecko, a on zaczął ją głaskać po włosach. Wolną rękę wyciągnął do Alderica.

–Słyszałem, że proponowałeś Lyondriemu, żeby wziął jako jeńca ciebie zamiast mnie, synu. Czym sobie na to zasłużyłem? Nigdy nie byłem dla ciebie dobrym ojcem.

–Daleś mi życie, sir – odparł Alderic cicho. – Przynajmniej to mogłem zrobić, skoro nie miałeś ode mnie miłości ani szacunku.

–Może dlatego, że nie zasłużyłem na nie – stwierdził Orain.

W tym momencie podbiegł do nich Caryl i otoczył ramionami Oraina i Romilly.

–Wszyscy jesteście cali i bezpieczni – powiedział Carolin odzyskując głos. – To

najważniejsze. Carylu, przyrzekam, że będę dla ciebie ojcem. Wychowasz się razem z

moimi własnymi synami. Nie zabiję Lyondriego, chyba że nie zostawi mi wyboru, a

nie można ufać jego przysięgom. Lecz jeśli da mi szansę, pozwolę mu spędzić resztę

życia na wygnaniu.

–Wiem, że postąpisz honorowo, wujku – odpowiedział Caryl drżącym głosem.

–Jeśli już skończyliście wzajemną adorację, chciałabym opatrzeć tego człowieka, żeby nie krwawił nam w śniadanie – wtrąciła Jandria uszczypliwie.

Orain uśmiechnął się do niej szeroko.

–Nie jestem aż tak ciężko ranny. Oprawca znalazł się na swojej robocie niczym wojskowy chirurg. Robił to przynajmniej szybko. Powiedzieli mi jednak, że... – Wzdrygnął się. – Przyszłaś w samą porę, Romilly. – Ujął jej dłoń zdrową ręką. – Nie mogę cię poślubić, dziecko. Mam inne upodobania. Lecz jeśli Carolin pozwoli, zaręczę

cię z moim synem. – Spojrzał na Alderica. – Widzę, że aż się do tego pali.

–A i mnie nic nie mogłoby bardziej ucieszyć – zapewnił Ruyven i uśmiechnął się do przyjaciela.

–Więc ustalone – stwierdził Orain wesoło, lecz Romilly wyrwała mu się z oburzeniem.

–Czy ja nie mam nic do powiedzenia? – Dotknęła ucha, w którym kiedyś tkwił kolczyk. – Na razie jestem związana przysięgą Sióstr Mieczowych, a kiedy rok próby dobiegnie końca... – uśmiechnęła się niepewnie do Alderica i Ruyvena. – Wiem, że mój

laran, choć silny, nadal nie jest odpowiednio wyszkolony. Zawiódł mnie na polu bitwy, kiedy zginął Słoneczny. Omal nie umarłam razem z nim, bo nie potrafiłam zerwać więzi. Pójdę do Wieży i jeśli mnie przyjmą, nauczę się kontrolować swój dar, żeby on nade mną nie zapanował. Następnie będę musiała pojednać się z ojcem i macochą, a potem... – Spojrzała z wahaniem na Alderica. – Potem może poznam sama

siebie na tyle, by wiedzieć, czy chcę wyjść za ciebie... czy w ogóle za kogokolwiek, mój

panie.

–Mówisz jak prawdziwa mieczniczka – pochwaliła ją Jandria.

Romilly nie zwróciła uwagi na słowa przyjaciółki. Alderic westchnął i ujął jej dłoń.

–Będę czekał na twoją decyzję, Romilly – oświadczył spokojnie.

Romilly uścisnęła jego rękę. Jeszcze nie była niczego pewna, ale już się nie bała...

–Panie – zwróciła się do Carolina. – Czy mogę zabrać twojego krewniaka do namiotu Sióstr Mieczowych i znaleźć mu jakieś spodnie?

Zerknęła na Caryla, który poczerwieniał z zakłopotania.

–Proszę cię, wujku. Nie mogę pokazać się żołnierzom w koszuli nocnej.

Carolin roześmiał się.

–Zrób, jak chcesz, sokolniczko. Byłaś wierna mnie oraz tym, których kocham.

Spodziewam się, że gdy spełnisz obowiązek wobec swojego *laran*, wobec rodziców i przyszłego męża, wrócisz tu do nas. – Wziął Maurę za rękę. – Przyrzekłem ci, że Letni

Festiwal będziemy świętować w Hali, prawda? To już w następnym miesiącu.

Pomyślałem, żeby sokolniczce wyprawić wesele w tym samym czasie co jej królowej. Lecz możemy trochę poczekać. Co ty na to, pani? – Zaśmiał się głośno. – Nie jestem aż takim tyranem, ale pewnego dnia zostaniesz, Romilly, sokolniczką panującego króla, tak jak nią byłaś dla króla na wygnaniu.

Romilly ukloniła się.

–Dziękuję, sir – powiedziała, lecz myślami już podążyła ku murom Wieży

Tramontana.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-18

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/